

JEFF VANDERMEER

**SHRIEK:
POSŁOWIE**

PRZEŁOŻYŁ ROBERT WALIŚ

WYDAWNICTWO MAG

WARSZAWA 2010



Tytuł oryginału:

Shriek: An Afterword

Copyright © 2006 by Jeff VanderMeer

Copyright for the Polish translation

© 2010 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Urszula Okrzeja

Korekta:

Magdalena Górnicka

Projekt graficzny serii:

Piotr Chyliński

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:

Tomasz Maroński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-161-4

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax (0-22) 813 47 43

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. (22) 721-30-00

www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa:

drukarnia@dd-w.pl

dla Ann

Nikt się nie wywinie.

- Songs: Ohia

Jeśli żyjesz w ciągłej rozpacz,
przynajmniej żyj z rozmachem.

- Dorothy Parker

Mieszkamy w kruchych, tymczasowych schronach.

- żydowski modlitewnik

Zmarli mają twoje zdjęcia.

- Robyn Hitchcock

POSŁOWIE DO
HOEGBOTTOŃSKIEGO
PRZEWODNIKA
PO WCZESNEJ HISTORII
MIASTA AMBERGRIS

JANICE SHRIEK
(I DUNCAN SHRIEK)

Spis treści:

OD AUTORKI	7
CZEŚĆ PIERWSZA	8
1	9
2	38
3	49
4	70
5	91
6	110
7	120
8	141
9	161
10	177
CZEŚĆ DRUGA	195
11	196
12	230
13	253
14	262
15	301
16	330
17	342
(KRÓTKIE) POSŁOWIE AUTORSTWA SIRINA	344
PODZIĘKOWANIA	350
MUZYCZNE PODZIĘKOWANIA	351

OD AUTORKI

Oto moja opowieść o życiu uznanego historyka Duncana Shrieka. Niniejszy tekst pierwotnie miał się stać spóźnionym posłowiem do „Hoegbottońskiego przewodnika po wczesnej historii miasta Ambergris” autorstwa Duncana, jednak od chwili rozpoczęcia pracy nad książką okoliczności uległy zmianie.

Opowieść rozpoczęła się jako posłowie, zakończyła jako elegia, w środku zaś uczyniłam z niej gorączkową rodzinną kronikę, a teraz, gdy czas pisania dobiega końca, mogę jedynie stwierdzić, że dałam z siebie wszystko i odchodzę. W mieście zwanym Ambergris nic nie trwa długo.

Co się tyczy Mary Sabon, pozostawiam tę opowieść także dla niej. Być może nawet teraz, mimo że zostało tak niewiele czasu, moje słowa cię zmienią.

Żegnajcie.

Janice Shriek

(Kiedy znalazłem ten maszynopis, rozważałem jego całkowite zniszczenie, jednak ostatecznie nie miałem motywacji ani serca, by to uczynić. Uznałem, że tak naprawdę wcale tego nie pragnę. Tekst zawiera poważne błędy, jest stroniczy i w wielu miejscach niedopracowany, lecz nie można mu odmówić szczerości. Mam nadzieję, że Janice wybaczy lub zapomni moje próby poprawienia jej relacji. Duncan).

CZEŚĆ PIERWSZA

[Na ołtarzu kappana Aquelusa odnaleźli] stary, wyblakły dziennik i dwie ludzkie gałki oczne, zachowane na drodze nieznanego nam obecnie procesu w bryle sześcianu z bliżej nieokreślonego przezroczystego metalu. Pomiedzy dziennikiem a sześcianami z gałkami ocznymi ktoś wyrysował krwią symbol... Jeszcze bardziej przerażający był fakt, że owo legendarne zejście, swego czasu zaślepione i zabite deskami, stało teraz otworem, i dokładnie te same schody, które kiedyś skusiły Manzikerta I, wzywały teraz Aquelusa. Dziennik, co oczywiste, był tym, który wiele lat temu zniknął wraz z Samuelem Tonsure'em. Oczy zaś, nieznośnie intensywnie niebieskie, mogły należeć tylko i wyłącznie do jednej osoby - Manzikerta I. Pochodzenia krwi nikt nawet nie starał się odgadnąć.*

- z opisu Ciszy autorstwa Duncana Shrieka w
„Hoegbottońskim przewodniku
po wczesnej historii miasta Ambergris”

* Na podstawie przekładu Konrada Kozłowskiego (przyp. tłum).

1

Mary Sabon powiedziała kiedyś o moim bracie Duncanie Shrieku, że „nie jest istotą ludzką, lecz ciągle tylko zbacza i wykracza”. Nie jestem pewna, co miała nadzieję osiągnąć tymi słowami, lecz i tak je wypowiedziała. Wiem, że to zrobiła, gdyż przypadkiem byłam tego świadkiem trzy tygodnie temu na przyjęciu wydanym dla Martina Lake'a. Sama pomogłam zorganizować to przyjęcie, by uczcić najnowsze dzieło genialnego artysty: serię sztychów ilustrujących „Dziennik Samuela Tonsure'a”. (Jedno z wielu przyjęć, które przegapiłem na przestrzeni lat. Może gdybym tam był, wszystko potoczyłoby się inaczej. Może nawet wpłynęłoby to na przeszłość, którą Mary opisała w swoich książkach).

Sabon przybyła długo po tym jak Lake, powściągliwy człowiek o psychice niepozobawionej skaz, wyszedł, udając się w stronę kawiarni „Pod Czerwonogardłym Cielaczkiem”. Nie zaprosiłam jej, jednak pozostali goście najwyraźniej uznali jej obecność za pewnik: zgromadzili się wokół niej jak koraliki oszłamiającego, choć niewątpliwie podrabianego naszyjnika. Pary na parkiecie tańczyły z taką ambicją, że wydawało się, że naszyjnik Sabon krąży wokół niej, choć wielbicieli trwali w bezruchu.

Krople deszczu uderzały o świetlik przy wtórze odgłosu, który przypominał postukiwanie polakierowanych paznokci o szkatułkę na klejnoty. Przez otwarte drzwi balkonowe wpadał świeży zapach deszczu, pomieszany - jak zwykle w Amberggris - z wonią zielonej wilgoci. Pokuśtykałam w dół marmurowych schodów, prosto w ich objęcia, wyławiając każdy śmiech, każdą niedoskonałość i rysę na ich zroszonych potem obliczach. W skład naszyjnika ciał wchodziły nazwiska, które pewnego dnia powinny zostać odhaczone na liście i zasługujące na większą popularność.

Na parterze widziałam już tylko fragmenty Sabon - mignięcie rudych włosów, ziemiste policzki pokryte skupiskami uwodzicielskiego różu, błysk oka, rzęsy ciężkie od tuszu. Absurdalnie wydęte usta. Poczulałam miazdzącą woń perfum, które bardziej pasowały do zakładu pogrzebowego. Wyglądała zupełnie inaczej niż podczas naszego pierwszego spotkania - wtedy była gibką studentką - i przez chwilę myślałam, że jest w przebraniu. Czyżby się ukrywała? Przed czym?

- On nie jest istotą ludzką, lecz ciągle tylko zbacza i wykracza.

Przyznaję, że roześmiałam się, słysząc komentarz Sabon, lecz powodowała mnie serdeczność, a nie okrucieństwo. Ponieważ Duncan rzeczywiście sływał z dygresji. Rzeczywiście dopuszczał się wykroczeń. Mógłby rozerwać ten żywy naszyjnik na pojedyncze koraliki, w równie zabawny sposób opisując Sabon, gdyby nie zniknął, być może na zawsze, na kilka dni przed przyjęciem. Oto kolejna z jego cech - Duncan zawsze gdzieś zniknął, już w dzieciństwie.

Komentarz Sabon był zabawny, ale, wbrew błędnej opinii jednego z dżentelmenów, nie był „ostatecznym stwierdzeniem faktu”. Szkoda, gdyż mój brat to uwielbiał. Gdy ktoś z przekonaniem stwierdzał jakiś fakt, Duncan zrywał się z krzesła i pozbawiał mówcę animuszu, spuszczał z niego powietrze za pomocą ostrza swego dowcipu, zadzierzystego geniuszu argumentacji, bezgranicznego wyczucia ironii. (Mam wrażenie, że oboje ze mnie kpicie. Kimkolwiek byłem za młodu - a nie pamiętam, bym kiedykolwiek był zręcznym rozmówcą - już dawno nie zajmują mnie sztuczki. To domena spór. Niech ci, którzy je ignorują - natywiści i tym podobni - tracą siły na efektowne słowne potyczki, które i tak nie przyniosą im żadnego pożytku).

Tak naprawdę powinnam zacząć jeszcze raz. Od nowa. Na razie pozostawić Sabon jej wielbicielom. Później będę miała czas, by do niej powrócić.

Duncan często tak robił - nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż ponowne rozpoczynanie w środku książki, niczym magik, który udaje, że znika - pozostawiając czytelnika zawieszzonego niepewnie nad otchłanią, by samemu zabrać się za budowanie kolejnej fabuły, a ostatecznie spleść wszystko w zgrabną całość, unikając katastrofy. Byłabym głupia, próbując powtórzyć taki wyczyn.

Był czas, gdy Duncan przesiadywał przy biurku w moim mieszkaniu - na starym wygodnym żółtym fotelu, który nasi rodzice kupili w Stockton wiele lat wcześniej. Blask pojedynczej lampki wydobywał jego sylwetkę z półmroku, w którym rozbrzmiewały tylko wezwania na modlitwę dobiegające z Dzielnicy Religijnej oraz chichot Duncana czytającego maszynopis najnowszego rozdziału swojej książki. Uwielbiał własne żarty, tak jak uwielbia się dzieci, które zasługują na miłość niezależnie od upośledzenia, braku kończyn czy złamanego kręgosłupa.

Jednakże najczęściej widywałam Duncana w jego ulubionej tawernie, Sporze Szarego Kapelusza, równie bliskiej jak stukanie tych klawiszy. (Ulubionej? Być może, ale czasami było to po prostu jedyne miejsce, do którego mnie wpuszczano. W bardziej przyzwoitych lokalach witała mnie cisza, jakby w progu nagle stanęło jakieś mityczne stworzenie). Trzeźwy

czy pijany, Duncan uznawał Sporę za idealne miejsce do pracy. W jej mrocznych i zadymionych pomieszczeniach, odcięty od zewnętrznego świata za matowymi szybami o zielonym kolorze wodorostów, mój brat czuł się niewidzialny i niezwycięzony. Większość jego tekstów powstała w pokoju na tyłach Spory. Za sprawą nietypowej synchronii korytarzy, która klóciła się z otaczającą lokal aurą labiryntu, klienci zebrani wokół ołtarza baru mogli, patrząc wzdłuż błyszczącego dębowego kontuaru, dostrzec sylwetkę Duncana oświetloną przez odprysk głównej sali - czasami pisał w natchnieniu w staroświeckim bloku listowym, a czasem leniwie wyglądał przez okno, które co prawda nie pozwalało dojrzeć świata zewnętrznego, lecz dzięki migoczącym zielonym odbiciom ujawniało sekrety wnętrza Duncana. (Świat zewnętrzny przychodził do mnie - przyjmowałem tam Mary, Sirina, Sybel, a nawet Bonmota, filar naszej społeczności).

Był już wtedy potężnym mężczyzną, nosił brodę i ubierał się w szare marynarki bądź płaszcze, które ukrywały wciąż rozwijające się osobliwe właściwości jego ciała. Czasami pozwalał sobie na cygaro - nowy zwyczaj, który zawdzięczał znajomości z alternatywnym historykiem Jamesem Lacondem - a wtedy rozpierał się w fotelu i palił, a ja znajdowałam go zatopionego we wspomnieniach, które nie zawsze byłam w stanie z nim dzielić. W tych chwilach problemy i choroba nie mogły go dotknąć.

Zdecydowanie wolę pamiętać mojego brata z tamtych chwil, spokojnego i skupionego. Gdy tam przebywał, wielu stałych klientów tawerny nazywało go Bogiem Zielonego Światła, sprawiał bowiem wrażenie zarazem ponadczasowego i nadszarpniętego upływem czasu. Teraz, kiedy odszedł, myślę sobie, że stał się Duchem Zielonego Światła i zapisze się w annałach Spory jako cicha, świetlista legenda. Duncanowi by się to spodobało: *niech więc tak będzie.*

Jednakże postanawiam zacząć od nowa - w końcu Duncan często tak czynił. Był jak snop zielonego światła przemierzający labirynt korytarzy Spory, a każda nowa analiza i perspektywa przedstawi zaledwie ułamek albo ułomek wizerunku człowieka, którego pod wieloma względami nigdy nie poznałam.

Gdybyśmy chcieli wskazać jakiś punkt startowy w życiu Duncana, musiałby to być dzień, w którym nasz ojciec, Jonathan Shriek, mało znany historyk, umarł pod wpływem gwałtownego przyływu radości w naszym domu w Stockton, mieście położonym o jakieś sto mil na południe od Ambergris, na drugim brzegu rzeki Moth. Radość przeszła naszego ojca i zniszczyła mu serce, gdy miałam trzynaście, a Duncan zaledwie dziesięć lat. Pamiętam, że właśnie siedziałam przy stole w kuchni i odrabiałam lekcje, gdy pojawił się listonosz. Tata

usłyszał dzwonek i skoczył do drzwi. „Skoczył” to nie przesada - był wyzywająco brzydkim mężczyzną zbudowanym jak ropucha, miał pofałdowane podgardle i masywne nogi.

Usłyszałam, jak w przedpokoju rozmawia z listonoszem o pogodzie. Trzask zamykanych drzwi. Szelest papieru, gdy otwierał kopertę. Chwila ciszy, jakby wciągał powietrze. A potem straszliwie głośny śmiech, okrzyk radości lub triumfu, albo obu. Wpadł do kuchni i przemknął obok mnie, zmierzając otwartym korytarzem do tylnych drzwi.

- Gale! - zawołał. - Gale!

Imię mojej matki. Wytoczył się na podwórko, a ja biegłam zaraz za nim, zapomniawszy o lekcjach, nie posiadając się z niecierpliwości. Stało się coś cudownego i chciałam się dowiedzieć co to takiego.

Na drugim końcu trawnika Duncan, dziesięcioletni i wciąż rudawy, pomagał matce w ogródku ziołowym. Ojciec pobiegł ku nim, w sam środek letniego dnia. Drzewa leniwie kołysały się na wietrze. Pszczoły gromadziły się wokół żółtych kwiatów. Ojciec wymachiwał listem ponad głową i wrzeszczał:

- Gale! Duncanie! Gale! Duncanie!

Był do mnie odwrócony plecami. Biegłam za nim, pytając:

- Co, tato? Co się staro?

(Pamiętam to równie intensywnie jak ty, Janice. Tata biegł w naszą stronę. Uśmiechałem się, bo uwielbiałem jego entuzjazm. Uwielbiałem, gdy euforia choć na chwilę pozbawiała go nieśmiałości).

Już prawie był na miejscu. Udałoby mu się. Nawet dziś nie wątpię, że by mu się udało. Ale stało się inaczej. Potknął się. Upadł na słodką, dziwną trawę. („Upstrzoną cieniami drzew”, zapisałem później w dzienniczku. To właśnie te cienie najlepiej zapamiętałem z tamtego dnia - łąty kontrastujących ze sobą światła i ciemności). Jako ostatnia upadła dłoń z listem, a druga dłoń zacisnęła się przy piersi.

Gdy zobaczyłam, jak upada, zatrzymałam się, myśląc, że się potknął. Spojrzałam ponad trawnikiem na matkę i brata. Mama przewróciła oczami, widząc niezdarność męża, ale twarz Duncana była blada z przerażenia. Duncan wiedział, że nasz ojciec się nie potknął, lecz coś go powaliło. (Nie wiem, skąd to wiedziałem, po prostu pamiętam, że ojciec przestał się uśmiechać, a jego oblicze nagle poblądło i pojawił się na nim smutek, gdyż, padając, zrozumiał, co się z nim dzieje). Po chwili mama także zdała sobie z tego sprawę i całą trójką podbiegliśmy do niego, otoczyliśmy go, podtrzymywaliśmy, szukaliśmy pulsu, dzwoniliśmy po lekarza i siedzieliśmy zapłakani, gdy się nie poruszył, nie wstał, nie powiedział, że to

wszystko żart lub wypadek. (Do dziś zapach świeżej trawy kojarzy mi się ze śmiercią. Czy już wtedy jakiś wartownik obserwował nas z cienia?).

To Duncan wyjął ojcu list z ręki i gdy lekarz już sobie poszedł, a przedsiębiorca pogrzebowy zabrał ciało, usiadł w kuchni, by go przeczytać. Najpierw przeczytał go sam, a potem odczytał na głos. Mama siedziała na kanapie w salonie, patrzyła nieobecny wzrokiem i nie usłyszała ani słowa.

List zdezorientował Duncana bardziej niż podejrzewałyśmy. Zagiął powierzchnię jego świata i wpuścił do niego czarną nutę tego, co nieracjonalne, nielogiczne i nonsensowne. Dla mnie ojciec był martwy i nie miało znaczenia, jak i dlaczego to się stało, gdyż nic nie mogło przywrócić mu życia. Jednakże dla Duncana było to niezwykle istotne. Bezpiecznie zakorzeniony w tym miejscu i rodzinie, był dzieckiem szaleńczo nieustraszonym - badaczem tuneli i wilgotnych, mrocznych miejsc. Nigdy nie doświadczył brutalnej interwencji przypadku i ironii. Aż do tej chwili. (Czy to rzeczywiście było istotne? Nie wiem. Zawsze wydawało mi się, że moja determinacja pochodzi wyłącznie z wewnątrz).

Ponieważ nasz ojciec, Jonathan Shriek, zmarł u szczytu kariery. W liście, który był oznaczony pieczęcią samego Kalifa, gratulowano mu „zdobycia Najwspanialszego Wyróżnienia - Laskiańskiej Nagrody Historycznej” za artykuł opublikowany w biuletynie Ambergriańskiego Towarzystwa Historycznego i zapraszano na w pełni opłaconą wycieczkę na dwór Kalifa, gdzie ojciec miał studiować księgi, których nie czytano od pięciu wieków, wliczając najświętszy ze świętych „Dziennik Samuela Tonsure'a”.

List stał się bronią. Uratował naszego ojca przed przeciętnością, a następnie go zabił, rozpędzając krew w jego żyłach do morderczej prędkości. (Nie mogłem pozbyć się myśli, że umarł przez coś, co odkrył w trakcie swoich badań, choć wydawało się to irracjonalne. Te podejrzania wpędziły mnie w paranoję. Przez pewien czas dopuszczałem możliwość, że list został zatruty przez ludzi Kalifa, gdyż tata znalazł się zbyt blisko odkrycia jakiejś historycznej tajemnicy, której wyjścia na jaw pragnął uniknąć Kalif).

Pogrzeb okazał się farsą i tragedią. Pojawiliśmy się przy niewłaściwej trumnie i zaszokowani ujrzeliśmy oblicze młodego mężczyzny, zupełnie jakby śmierć korzystnie wpłynęła na ojca. Tymczasem inna rodzina pogrzebała naszego ojca w zamkniętej trumnie.

„Ze śmiercią mu do twarzy”. To oczywiście kłamstwo wydawało się nam prawdą. Zanurzył się w śmierci jako starzec, a wyszedł jako młodzieniec. Jeszcze bardziej pocieszała nas myśl, że być może nastąpiła jakaś pomyłka i on wciąż gdzieś żyje.

Z nas wszystkich Duncan najdłużej wpatrywał się w młodego mężczyznę, który nie był naszym ojcem, zupełnie jakby szukał wyjaśnienia zagadki, której nie da się rozwiązać.

*

Cztery lata później przeprowadziliśmy się ze Stockton do Ambergris, gdzie zamieszkaliśmy z rodziną matki w wilgotnej starej posiadłości z zalaną piwnicą. Dom stał nad brzegiem rzeki Moth, z dala od większości zabudowań Ambergris, i trudno było go uznać za lepsze lokum od domu, w którym dorastaliśmy, był jednak tańszy, a matka doszła do wniosku, że po śmierci męża nic jej już nie trzyma w Stockton. Dlatego dzieliliśmy przestrzeń życiową ze stale zmieniającym się tłumem ciotek, wujków, kuzynów, siostrzeńców, siostrzenic oraz przyjaciół rodziny. (Chociaż w ciągu kolejnych lat tę kakofonię dalekich krewnych zastąpiła sama matka, czego zapewne pragnęła od samego początku).

Przybyliśmy do Ambergris promem poprzez gęste wody błotnistej rzeki Moth. Pamiętam, że podczas podróży zauważyłam w kieszeni koszuli Duncana jakąś kartkę. Gdy go spytałam, co to, wyjął papier i mi go pokazał. Okazało się, że zatrzymał wiadomość Kalifa do naszego ojca; z tego co wiem, list nadal jest w jego posiadaniu, rozsypujący się i porwany. (Owszem, mam go - a przynajmniej jego resztki. Nie mam już odwagi go otwierać, gdyż boję się, że obróci się w proch).

- Nie chcę zapomnieć - wyjaśnił, obdarzając mnie wyzywającym spojrzeniem, jakby czekał, aż podam w wątpliwość jego lojalność wobec ojca.

Nic nie odpowiedziałam, lecz przyszło mi do głowy, że chociaż podróżujemy do nowego miejsca, to zabieramy ze sobą przeszłość.

Co prawda, Ambergris miało własną bogatą przeszłość, tyle że po prostu znacznie gorzej ją znaleźliśmy. Wiedzieliśmy tylko, że w mieście mieszkają najwięksi artyści świata; że żyją tu tajemnicze szare kapelusze; że klan kupiecki Hoegbotton i Synowie siłą przejął kontrolę nad miastem od długiej linii królów; że Kalif i jego wielkie Zachodnie Imperium trzykrotnie próbowali zdobyć Ambergris; że dawno temu, przed kilkoma wiekami, nastąpiła tutaj katastrofa zwana Ciszą; oraz że doroczny Festiwal Słodkowodnych Kałamarnic często prowadzi do gwałtownych aktów przemocy i nerwowego bezprawia, które niektórzy przypisują szarym kapelusiom. Szare kapelusze, jak dowiedzieliśmy się od uczynnych krewnych, którzy starali się nas uspokoić, już dawno wycofały się do podziemnych jaskiń i katakumb. Pierwotnie wpędził je tam założyciel Ambergris, despotyczny wielorybnik Manzikert I, który zrównał z ziemią miasto szarych kapeluszy, dokonując możliwie największej masakry, po czym zbudował Ambergris na dymiących zgliszczach. (Byliśmy w takim wieku, że to wszystko wydawało się nam niezwykle ekscytujące i egzotyczne, a nie przerażające).

Wkrótce po przybyciu zauważyliśmy liczne ślady obecności artystów - olbrzymie malowidła na ścianach magazynów - jak również klanu Hoegbottonów, gdyż musieliśmy uiścić ich opłatę celną, by móc opuścić doki i wjechać do właściwej części miasta.

Co zaś się tyczy szarych kapeluszy, to zgodnie z zapewnieniami krewnych odkryliśmy niewielkie ślady tej „starej, niewysokiej tubylczej rasy”, jak ją określają przewodniki. Za dnia nieczęsto widywało się jej przedstawicieli na powierzchni, ale o zmroku i w nocy przemykali bocznymi uliczkami i cmentarzami. Cała nasza wiedza pochodziła z rzadkich, lecz niepokojących matczyńskich opowieści na dobranoc, dotyczących „grzybian z Ambergris”, a także krótkiego opisu, który znaleźliśmy w pewnej książce dla dzieci, a który jednocześnie nas zachwyił i wytrącił z równowagi:

„Z niszy wysypało się już pięćdziesięciu grzybian; w ich spokoju i rytmicznym oddechu było coś makabrycznego: wyglądali, jakby przestali nagle rosnąć, byli odziani w szaty o barwie szarej zieleni, jak podbrzusze żaby, a głowy ukrywali pod filcowymi kapeluszami z szerokim rondem, przypominającymi kapelusze organizmów, od których wzięli swe miano - zakrywały ich aż po kark. Jedyłą nieosłoniętą częścią ich ciała były szyje, niewiarygodnie długie i blade. Naprawdę przypominali grzyby”.*

O Ciszy wiedzieliśmy jeszcze mniej - słyszeliśmy szepty wśród dorosłych, mieliśmy poczucie, że nie powinniśmy o nią pytać. Nawet w Stockton, daleko od miejsca tragedii - zarówno pod względem czasu, jak i geografii - wydawało się nam, że ludzie obawiają się, iż tamte wydarzenia mogą się powtórzyć za sprawą choćby najbardziej błahego komentarza. Nie, Ciszę odkryłam dużo później - dopiero podczas krótkiego pobytu w Hoegbottonskiej Szkole Nauk Zaawansowanych dowiedziałam się, że adnotacje w książkach o historii Ambergris (Prz.C. i P.C.) oznaczają „przed Ciszą” i „po Ciszy”. O dzienniku Samuela Tonsure'a, nierozzerwalnie związanym z Ciszą, nie usłyszałam nawet szeptu, dopóki nie uświadomił mnie Duncan. (Być może odebrałam najbardziej osobistą i ekscentryczną edukację w temacie Ciszy w historii Ambergris!).

Niewiele o tym wszystkim dowiedzieliśmy się od matki, która przez sporą część naszej młodości w Ambergris rzadko wstawała przed południem. W niektóre dni prawie się z nią nie widywaliśmy. Miała w tym domu wiele pokoi, w których mogła się ukryć. Przetawiała swój wewnętrzny zegar na nocny, chaotyczny tryb. Nadal malowała, ale zdarzało się, że po

* Przekład Jolanty Pers (przyp. tłum).

powrocie do domu odkrywaliśmy, że zamiast płótna pokryła mieszaniną gryzących się ze sobą kolorów ścianę któregoś z nieużywanych pomieszczeń. Zanim woda z rzeki zaczęła zalewać piwnicę podczas każdego deszczu, matka uwielbiała tam przesiadywać w wilgoci i czytać przy starej lampie naftowej, którą przywieźliśmy ze sobą z Morrow - pamiątce rodzinnej pamiętającej czasy wielorybników-piratów. (Janice i ja czasami tam do niej dołączaliśmy. Siadaliśmy obok siebie na krzesłach i słuchaliśmy szepczących westchnień rzeki, próbującej przedostać się przez podłogę, oraz czytaliśmy książki lub odrabialiśmy lekcje. Matka rzadko cokolwiek mówiła, ale przebywanie razem w tym samym pomieszczeniu sprawiało, że czuliśmy się komfortowo. Wydaje mi się, że ona także to lubiła, ale nie jestem pewien).

Za to dobrze pamiętam, że podczas nieobecności matki jedna z moich ciotek próbowała pomóc nam lepiej poznać miasto, mówiąc: „Jest Dzielnica Religijna, Dzielnica Kupiecka i stara Dzielnica Biurokratyczna, a oprócz tego miejsca, w które się nie zapuszczamy niezależnie od okoliczności. Od nich trzymajcie się z daleka”. W obliczu tak niejasnych ostrzeżeń na początku musieliśmy odkrywać Ambergris, wypuszczając się na samodzielne wyprawy oraz wypytyując kolegów z klasy.

Przeprowadzka do Ambergris zmieniła moją relację z Duncanem. Przedtem Duncan był irytującym cieniem, naśladowcą, który zawsze musiał robić to, co ja. Gdy w wieku ośmiu lat zaczęłam kolekcjonować skały, zainspirowana odsłoniętym złożem granitu na wzgórzu w pobliżu naszego domu w Stockton, Duncan również się tym zajął, choć sam nie rozumiał dlaczego. Odpędzałam go, lecz on uparcie wędrował za mną w górę zbocza. Przezornie trzymając się poza zasięgiem moich poirytowanych mruknięć, przysiadł na drżących nogach i przebiegał dłońmi po kamykach, szukając tych najbardziej błyszczących. Z czasem coraz bardziej się przybliżał, kołysząc się jak kaczką, i zanim się zorientowałam, szukaliśmy kamieni wspólnie, a moja kolekcja stała się naszą kolekcją.

Kiedy zafascynowały mnie opowieści dla dzieci autorstwa teriologa Rogera Mandible'a, Duncan nie tylko ukradł książki z mojego pokoju, ale je pokolorował i pismem eleganckim jak u pijanego marynarza nabazgrał na znacznej części stron swoje imię.

Gdy skończyłam czternaście bądź piętnaście lat, zrozumiałam, że naśladował mnie, ponieważ mnie kochał i podnosił na mnie wzrok z podziwem. (Nie podnosiłem go zbyt długo - o ile dobrze pamiętam, przestałaś rosnąć w wieku czternastu lat).

Jednakże śmierć ojca i przeprowadzka do Ambergris sprawiły, że przestałam być tylko siostrą Duncana. Najwyraźniej coś we wzajemnej relacji taty z mamą dodawało im obojgu energii - czyniło ich czymś więcej niż byli osobno - ponieważ bez taty mama zapomniała, jak

się nami opiekować. Jestem pewien, że gdyby to ona umarła, tata zachowywałby się w taki sam sposób. Wcale nie był praktyczniejszy od matki. Przewracał się lub uderzał w duży palec u nogi podczas wkładania piżamy równie często, jak mama kaleczyła się podczas siekania marchewki. Łączyło ich ogólne roztargnienie, które Duncan i ja z dorosłej perspektywy uznaliśmy za urocze. Tata szukający gazety, którą trzymał w zgięciu ręki. Mama szukająca kolczyków, które przed chwilą odłożyła do szkatułki. Dopiero wspólnie udawało im się jakoś brnąć przez życie i maskować indywidualne rodzicielskie braki.

Śmierć taty i przeprowadzka do Ambergris pozbawiły mamę resztek troski o dzieci. Pod wieloma względami stałam się matką dla Duncana. Dbałam o to, by wstawał rano do szkoły. Robiłam mu śniadanie. Pomagałam mu w lekcjach. Pilnowałam, by o właściwej porze kładł się spać. Przestał mnie naśladować, a zaczął się mnie słuchać. (Chociaż czyniłem to z niegasnącym brakiem szacunku dla władzy, którą nagle zaczęła uosabiać moja surowa siostra. Nie, to nieprawda. Tak naprawdę się z tego cieszyłem. Potrzebowałem porządku. Wtedy potrzebowałem kogoś, kto powie mi, co mam robić. Wciąż byłem tylko dzieckiem. Często wystraszonym, pomimo moich licznych wypraw. Dowodzenie podczas wędrówek wydawało mi się naturalne; robienie tego samego w codziennym życiu okazywało się potwornie trudne). Zniknął podziw, ale wraz z nim także niszcząca choroba współzawodnictwa. Przynajmniej na jakiś czas.

W jakiś sposób, pomimo niewiedzy oraz wspomnianej zmiany życiowych ról, udało nam się dopasować, porozumieć, poczuć się częścią Ambergris łatwiej niż oczekiwaliśmy. Myślę, że miało to wiele wspólnego z naszym podejściem. Duncan i ja powinniśmy być niezadowoleni z opuszczenia naszej starej szkoły i kolegów, ale tak nie było. Nic z tych rzeczy. W pewnym sensie poczuliśmy ulgę, że możemy uciec od współczucia i troski, które nam okazywano, od pułapki postrzegania samych siebie jako ofiary. Wolność od tego wszystkiego oznaczała niejako wolność od tamtej chwili, w której umarł ojciec. To rekompensowało nam inne niedogodności.

(Czy odważyłbym się pozbawić czytelnika pierwszego spojrzenia na Ambergris? Tego pierwszego drażniącego spojrzenia z okien powozu jadącego od nabrzeża? Rozległej połaci Bulwaru Albumuth, zabudowanego w połowie cegłą, a w połowie lakierowanym drewnem? Jego brudu, jego smrodu perfum i nieprzyzwoitej zgnilizny. A pod spodem kolejnego zapachu - nęcącej woni grzybów, zarodni, spór splątanych z kurzem i powietrzem, opadających spiralnie jak śnieg. Okrzyków handlarzy, wrzasków świeżo okradzionych i nowo wyświęconych. Pierwszego kontaktu buta z ulicą po wyjściu z powozu - głośniejszej twardości ziemi i buczącej wibracji energii nagromadzonej pod chodnikiem, która przepływa przez but

do stopy, a przez stopę do reszty ciała, gwałtownie je ożywiając i pobudzając. Nagłego odczucia gorączkowej atmosfery - ileż możliwości! - oraz stale wyglądającej z kanałów burzowych i bocznych uliczek kuszącej ciemności, która stanowi zapowiedź tuneli i rychłych badawczych wypraw. Z pewnością nie sposób opowiadać o naszej przeprowadzce do Ambergris, nie opisując tych okoliczności! W pierwszych latach pobytu w mieście bulwar stał się naszym probierzem, tak jak dla niezliczonych rzesz ludzi przed nami. Właśnie tak wjeżdża się do Ambergris i tą samą drogą cię stamtąd wynoszą, gdy wreszcie opuścisz miasto).

Pomimo zafascynowania Ambergris Duncan wybrał inne miejsce na zdobywanie wykształcenia. Za namową matki, która w ten sposób dopuściła się jednego z nielicznych aktów rodzicielskich, Duncan ukończył studia historyczne w Religijnym Instytucie w Morrow (przez historyków często nazywanym „tym drugim miastem nad rzeką Moth”, oddalonym od Ambergris o ponad sto mil), skupiając się na sylwetkach licznych artystów, którzy urodzili się lub zdobyli fortunę w Ambergris oraz na dworze Kalifa - gdyż w tych dwóch geograficznych przeciwnościach dostrzegał sposób na objęcie swymi badaniami obu biegunów świata. Nie mógł studiować artystów z Ambergris, nie studiując samej anatomii miasta - od kultury po politykę, od gospodarki po teriologię. A ponieważ macki Ambergris sięgały bardzo daleko, niczym u najstarszych olbrzymich Słodkowodnych Kałamarnic, Duncan musiał badać Morrow, Aan i całe południe. Studiowanie Kalifa, co u Duncana wydawało się sprawą drugoplanową, oznaczało sporządzenie map całego zachodu i północy. (Początkowo nie miałem pojęcia, co jest „sprawą drugoplanową”. Wszystko mogło się okazać użyteczne. Liczyło się gromadzenie informacji i staranie się, by mnie one nie przytłoczyły).

Duncan nigdy nie był osobą religijną, dlatego uważam, że imponujący krąg jego zainteresowań stanowił próbę ponownego znalezienia dla siebie miejsca w świecie, odkrycia swojego rdzenia, utraconego po śmierci ojca, bądź zbudowania nowego w oparciu o gromadzenie wiedzy. W pewnym sensie Historia zawsze była dla Duncana sprawą osobistą, nawet jeśli nie zawsze potrafił to wyrazić.

Gdybym stwierdziła, że Duncan ciężko pracował, umniejszyłabym zapał, z jakim poszukiwał wiedzy. Pożerał teksty tak samo jak pożerał jedzenie, rozkoszując się nimi po połknięciu w całości. Zapamiętywał swoje ulubione książki: „Odbicie światła w więzieniu”, „Dziennik Samuela Tonsure'a”, „Kroniki Hoegbottońskie”, „Arie: Biografia Vossa Bendera”. Wiele lat później zwykł mnie zachwycać - niezależnie od tego, w jak dziwacznych okolicznościach się spotykaliśmy - teatralnymi czytaniem, podczas których naśladował

wyobrażony ton głosu poszczególnych autorów, okazując tak namiętną miłość do słów, że nieustannie uważałam swój własny entuzjazm za niewystarczający.

Mówiąc w skrócie, Duncana dopadła nadgorliwość. Obsesja. Determinacja. Wszystkie te obosieczne słowa. Nie dopuszczał do głosu ludzkiej słabości ani potrzeby bliskości ze światem za pośrednictwem ciała bądź kontaktów z innymi ludźmi. Z pewnością czuł, że lepiej będzie zostać martwą dłonią przeszłości, jej narzędziem.

Duncan nie miał znajomych. Nie miał też przyjaciółki. Gdy odwiedzałam go w jego pokojach w Instytucie podczas przerw w roku akademickim na Akademii Trilliana, gdzie studiowałam sztukę, ani razu nie przedstawił mi nikogo poza swoimi nauczycielami. Zapewne uchodził za jedną z najbardziej pobożnych osób wśród wszystkich pobożnych mnichów w historii. (Owszem, miałem znajomych. Twoje wizyty były tak rzadkie, że widziałas moje życie w Instytucie z perspektywy wąskiej niczym promień szmaragdowego światła w Sporze, o którym ciągle wspominasz. Musiałem rozmawiać z ludźmi, by sprawdzać swoje teorie, mierzyć poziom sprzeciwu i odkrywać, które z moich pomysłów rozplývają się w powietrzu po wypuszczeniu na światło dzienne).

Uznając geniusz Duncana oraz jego pragnienie odosobnienia, Instytut - którego szczodrość wzrosła za sprawą drobnego stypendium, jakim Duncan go wspomógł, a także ze względu na pamięć o naszym ojcu, który przemierzał te same rozległe korytarze - od drugiego semestru pozwolił mojemu bratu odizolować się w pokojach, które rozrastały się wraz z jego samotnością. Jedyne okno w jego lokum wychodziło na masywną, nieciekawą ceglana ścianę Budynku Filozofii, nie dając Duncanowi żadnej alternatywy dla energicznego życia wewnętrznego. (W końcu taki był cel istnienia Instytutu - skupiać się na niezbadanym życiu. Nie było w tym niczego złego).

Jakby pragnąc odzwierciedlić w świecie zewnętrznym złożoność i kruchą radość wewnętrznego życia, Duncan stopniowo zaczął pokrywać ściany swojego pokoju mapami, rysunkami, diagramami, nawet kartkami wrywanymi z książek. Władcy Ambergris spoglądali w dół szelmowsko, choć nieco krzywo, na wpół zakryci mapami przedstawiającymi ostatnią epicką bitwę Kalifa z niewiernym Stretcherem Jonesem. Akwaforty wykonane na korze przez lokalne plemię Aan dzieliły przestrzeń z ponurymi edyktami rozdawanymi przez jeszcze bardziej ponurych truffidiańskich kapłanów. Słynny akrylowy obraz Jamesa Alberona przedstawiający Bulwar Albumuth stanowił tło dla setki małych portretów członków pierwszego synodu Skamoo. Oszałamiające zielenie i fioletry „Budek na Placu Vossa Bendera” Darcimby rywalizowały z wyblakłą żółcią map dawnych

badaczy i czerwienią strzałek, którymi na wojskowych schematach oznaczano zbrojne potyczki.

Duncan poświęcił jeden mroczny zakątek tak zwanemu „zmieniającemu się obliczu Ambergris”. Początkowo umieszczał tam tylko nakładające się na siebie mapy ulic, jakby tworzył obraz miasta, zaczynając od szkieletu. Surowy biały papier pokryty czarnymi jak noc żyłami tuszu ostro kontrastował z resztą wystroju pomieszczeń. Mapy były tak stłoczone i tworzyły tak grubą warstwę, że ogólny efekt przypominał mi schemat ludzkiego ciała. Czy może raczej, ujmując rzecz poprawniej pod względem metaforycznym, gęsty las splątanych winorośli (jak w lasach mojej młodości w Stockton), przez który nikt nie byłby w stanie wędrować, nawet uzbrojony w maczetę. (Moje pierwsze wielkie osiągnięcie - znalazłem sposób na nakreślenie odniesień pomiędzy dziesiątkami pozornie niepowiązanych ze sobą zjawisk, by w pewnym świetle, w pewnej ciemności, móc dostrzec schematy, połączenia. Później korzystałem z tej samej techniki, na zupełnie innej skali, w Akademii Blythe'a).

Podczas każdej z kolejnych wizyt widziałam, jak las się rozrasta - od ciemnej plamy do obiektu, który kształtem przypominał najpierw grzyb, potem mantę, a w końcu jakiegoś straszliwie egzotycznego owada, który mógłby zabić pojedynczym użądleniem. Stopniowo, na drodze niepowstrzymanej inwazji w czasie i przestrzeni, Ambergris zaczęło dominować w pokojach Duncana, aż wreszcie warstwa map stała się grubsza od ścian, a przynajmniej tak mi się często wydawało, gdy siedziałam na swoim fotelu przeglądając maszynopis.

Plama stała się tapetą, a pozostałości materiałów niezwiązanych z Ambergris stały się plamą. Czy, patrząc na te najwcześniejsze diagramy i montaż na ścianach, Duncan mógł podejrzewać, dokąd go doprowadzą? Jak daleko dotrze i za jaką cenę? (Pod spodem każdy przenikliwy obserwator mógłby znaleźć szalone bogactwo nowych informacji. Wystarczyło oderwać narożnik, by ukazała się tajemna obsesja: duchy Ciszy, szare kapelusze i wiele więcej. Wszystko to mówiło: „Schodzę pod ziemię”. Jeśli ktoś potrafił czytać).

- Twoja ściana się zmieniła. Czy teraz skupiasz się na czymś innym? - spytałam go kiedyś.

- Być może - odpowiedział. - Ale to także nie ma sensu.

- Co nie ma sensu? - spytałam.

- Tylko oni mogli to zrobić. Ale dlaczego? I jak?

Popatrzyłam na niego, niczego nie rozumiejąc.

- Cisza - odparł Duncan, a ja poczułam na plecach dreszcz niczym echo. Cisza i szare kapelusze.

Ponad dwieście lat wcześniej z miasta zniknęło dwadzieścia pięć tysięcy osób, niemal cała populacja, podczas gdy wiele tysięcy innych odpłynęło rzeką Moth, by wziąć udział w dorocznym połowie ryb i słodkowodnych kałamarnic. Rybacy, wliczając władcę Ambergris, po powrocie zastali opuszczone miasto. Do dzisiejszego dnia nikt nie wie, co się stało z tymi dwudziestoma pięcioma tysiącami dusz, jednak wcześniej czy później do świadomości każdego z mieszkańców Ambergris wsącza się pogłoska - za sprawą plamy grzybów na oknie, kapania zielonej wody, czerwonych flag używanych jako wizytówek - że odpowiedzialne są szare kapelusze. W końcu wymordowaliśmy tak wielu z nich, a resztę wpędziliśmy pod ziemię. Z pewnością mogli się w ten sposób zemścić?

Dowiedziałam się o Ciszy dopiero w poprzednim semestrze; to przerażające, jak skutecznie dorośli ukrywają przed dziećmi szczegóły dotyczące niektórych wydarzeń. Dla mnie i moich kolegów z klasy było to objawienie; trudno opisać, jak głęboko nas dotknęło.

- Wszystko obraca się wokół Ciszy - oznajmił Duncan. - Moje badania, badania taty. A także dziennik Samuela Tonsure'a.

Tonsure, jak mi powiedział Duncan, był jedną z osób, które zeszły w ślad za szarymi kapeluszami pod ziemię podczas masakry, która poprzedziła założenie Ambergris. Nigdy nie powrócił na powierzchnię, ale jego dziennik, dziwaczne dzieło, w którym podjął próbę opisanie podziemnych królestw szarych kapeluszy został odnaleziony po mniej więcej siedemdziesięciu pięciu latach, a wtedy historycy zaczęli dogłębnie go studiować w poszukiwaniu informacji, które mogłyby rzucić nowe światło na Ciszę lub jakikolwiek inny temat związany z szarymi kapeluszami. Duncan zauważył, że nadal nad nim ślęczą.

- Nie jesteś tatą, Duncanie - odrzekłam. - Mógłbyś zająć się czymś innym.

Już wtedy, jeszcze zanim zaczął pracować dla Jamesa Laconda, zanim spotkał Mary, wyczuwałam grożące mu z tej strony niebezpieczeństwo. Już wtedy wiedziałam, że Duncanowi coś grozi. (Wszystkim nam coś grozi. Uważam się za szczęściarza, nie uległem bowiem typowym zagrożeniom, jak uzależnienie od grzybów czy alkoholu).

Duncan tylko popatrzył na mnie jakbym była głupia i odparł:

- Nie ma niczego innego do badania, Janice. Niczego ważnego.

Pamiętam, wyraźnie jak we śnie, niepowstrzymany rozwój obrazów na jego ścianach. Jednakże nie licząc kilku słów przytoczonych powyżej, nasze rozmowy rozplynęły się w niepamięci.

Duncan wyłonił się ze swoich pokoi z dyplomem i dobrymi perspektywami (przesada; miałem w perspektywie krótki przebłysk sławy, a po nim pilną potrzebę zarabiania na życie w

zawodzie innym niż ten, który wybrałem na swoją pasję), ale już wtedy różnił się od pozostałych studentów. (Mama, która coraz głębiej wycofywała się we wspomnienia, nie przyszła na uroczystość - odkąd dorośliśmy, rzadko ją odwiedzaliśmy). Podczas przyjęć organizowanych z okazji rozdania dyplomów widziałam, jak profesorowie schodzą mu z drogi. Traktowali go z obojętnym niepokojem, może nawet lękiem, jakby wyrósł na kogoś, kogo już nie potrafili łatwo zdefiniować, i obawiali się nawiązania z nim bliższej emocjonalnej relacji.

Później Duncan powiedział mi, że nigdy nie zaznał takiego odosobnienia i samotności jak podczas tamtych kilku godzin po ceremonii wręczenia dyplomów, gdy wędrował jak trędowny przez połączane sale, gdzie stały stoły pełne przekąsek i rozbrzmiewały rozmowy przeznaczone dla wszystkich poza nim. Starsi profesorowie, wysocy jak wieże, mijali go w ciszy i skupieniu, stanowiąc antytezę Mary Sabon i jej rozentuzjanzmowanego, pełnego zapału naszyjnika ciała. (Każdy czuje się osamotniony w takiej sytuacji, niezależnie od tego, jak udane jest przyjęcie i jak fascynujące toczą się podczas niego rozmowy, gdyż za chwilę mamy zostać wrzuceni w świat, usunięci z dobrze znanego zakątka).

Jednakże na fundamencie zapału, samotności i pasji, którą było widać nawet na ścianach jego pokoiów, Duncan zbudował coś, co mogło zająć miejsce ciszy, a przynajmniej na nią odpowiedzieć. Napisał książkę „*O odbiciu światła w więzieniu*”.

Pomimo niezliczonych egzaminów, prac pisemnych i ustnych prezentacji, Duncan znalazł czas na napisanie przełomowego tomu, w którym analizował mistyczny tekst „Odbicie światła w więzieniu” (napisany przez Mnichów Truffidiańskich uwięzionych w wysokiej wieży na dworze Kalifa). Zapewne nikogo nie zdziwi fakt, że był to jeden z tematów, którymi chciał się zająć nasz ojciec przed swoim nagłym zgonem. (Jak mógłbym się nim nie zająć przed zabraniem się do dalszej pracy? Dzięki temu chociaż w niewielkim stopniu mogłem uczynić życie ojca pełniejszym. Pamiętam, jak patrzyłem na ukończoną książkę opatrzoną dedykacją „Mojemu ojcu, Jonathanowi Shriekowi” i myślałem, że na chwilę udało mi się go wskrziesić, że ponownie ożył w mojej książce. Kiedy wysłałem ją naszej matce, ta wreszcie ocknęła się ze stoickiej ciszy i napisała do mnie długi list, w którym zawarła opowieści o tacie, których nigdy wcześniej nie miała śmiałości nam przekazać).

Dostałam przywileju przeczytania książki (a także pomogłaś ją zredagować na swój prowokacyjny sposób) w formie maszynopisu podczas jednej z podróży do Morrow. Do tego czasu moja edukacja w Stockton i Ambergris zdążyła dotrzeć do dość rozczarowującego końca, a ja byłam rozdarta pomiędzy karierą artystki a zanurzeniem się w historii sztuki. Prowadziłam liczne badania i nie raz natrafiłam na przejawy geniuszu, lecz pamiętam, że

oszołomiła mnie wspaniała zuchwałość wniosków, do których doszedł mój brat. Jednocześnie martwiłam się, że książka może się okazać zbyt dobra dla docelowych odbiorców. Być może mój brat był skazany na zapomnienie. Przyznaję, że poczułam ukłucie satysfakcji, gdyż trudno o gwałtowniejsze emocje niż te towarzyszące rywalizacji między rodzeństwem.

Tak czy inaczej Duncan w ciągu zaledwie trzech miesięcy znalazł wydawcę w Morrow: Frankwrithe'a i Lewdena, specjalistów od publikacji encyklopedycznych, osobliwej beletrystyki i książek historycznych. Frankwrithe i Lewden było wiekowym wydawnictwem, które według plotek założono pod szyldem „Writhelewd” w ostatnim stuleciu istnienia Imperium Saphanckiego. Wraz z rozpadem Imperium, wkrótce po przemianowaniu miasta z Cinsorium na Ambergris, wydawnictwo przeniosło się do Morrow, a jego nazwę zniekształcono i zmieniono podczas długiej podróży płaskodennymi łodziami w górę rzeki. Któż inny mógłby opublikować ezoteryczne dzieło Duncana?

Frankwrithe i Lewden wypuścili piętnaście tysięcy egzemplarzy „*O Odbiciu światła w więzieniu*”. Za pośrednictwem barek, wozów i pojazdów mechanicznych książka spenetrowała południową połowę kontynentu. Zamawiały ją duże i małe księgarnie. Objazdowi handlarze książkami kupowali ją w celu odsprzedaży. Rozsyłano egzemplarze przeznaczone do recenzji, opatrzone barwnymi komentarzami czytelników, począwszy od dziekana Instytutu, a skończywszy na prostych ludziach spotkanych na ulicy (był to źle pomyślany chwyt reklamowy, gdyż zbieranie opinii od przypadkowych osób zaowocowało takimi recenzjami jak: „Nie tak dobra jak butelczyna miodu, ale mnie i żonce nawet się spodobał ten kawałek o seksie mnichów” - John Tennant, hydraulik).

Początkowo nic się nie działo. Zastój, cisza bez odpowiedzi. „Zupełnie”, Duncan powiedział mi później, „jakbym wcale nie napisał książki, nie poświęcił czterech lat na zgłębianie tematu. Prawdę mówiąc, miałem wrażenie, jakbym nie istniał”. Potem, powoli, książka zaczęła się sprzedawać. Niezbyt dobrze, ale wystarczająco dobrze: to było jak strumyczek nieprzerwanie płynący z kranu.

Reakcje krytyków, choć nieliczne, dawały Duncanowi nadzieję, ponieważ gdy już się pojawiały, były entuzjastyczne. „Po początkowym zakorzenieniu w chłodnych, twardych faktach, Shriek wznosi się na rzadko spotykane wyżyny naukowego dyskursu, po którym możemy odróżnić dobrą książkę od złej” - Edgar Rybern, magazyn *Sztuka i Historia*. Albo taki smakowity kąsek: „Nie miałem pojęcia, że mnichom jest tak ciężko. Ta oszałamiająca książka przedstawia ich życie, zarówno tych uwięzionych, jak i cieszących się wolnością, jako cichą kontemplację przerywaną transcendentalnymi wybuchami epifanii”. (Wspomniany

wcześniej James Lacond, niech mu Truff błogosławi, w rzadkim gościnnym występie na łamach szacownego *Dnia Ambergris*).

Nieprzerwany strumyczek przybrał na sile, gdy właściciele państwowych i prywatnych bibliotek na Południu, dostosowując się do opinii mężczyzn i kobiet z dalekich stron (którzy równie dobrze mogli pisać swoje recenzje z zakładów dla obłąkanych lub pomiędzy schadzki w burdelu), wypuścili strużkę monet, by nagrodzić określenia takie jak „niespotykane wyżyny”, „dobra” i „oszałamiająca”.

Jednakże nawet krytycy nie byli w stanie zmienić strużki w bystry nurt. To zadanie przypadło w udziale urzędującej głowie kościoła truffidiańskiego, samemu ambergriańskiemu PrzedSIONowi, zadzierzystemu (a jednak wysublimowanemu) Henry’emu Bonmotowi. Nigdy nie zdołałam ustalić, jak wszedł on w posiadanie egzemplarza „*O Odbiciu światła w więzieniu*” (ale chce mi się śmiać, gdy przypominam sobie, w jaki sposób został nam przedstawiony). Później dowiedziono, że pogłoska, jakoby Bonmot wyszukiwał bluźniercze teksty, by rozreklamować truffidianizm (ze względu na spadającą liczbę powołań), wyszła od schizmatyków manziistów. Z kolei pomysł, że to Duncan wysłał Bonmotowi egzemplarz książki, by wywołać kontrowersje, to przykład całkowitego niezrozumienia charakteru mojego brata, więc nie będę tej plotki komentować.

Pozostaje jedna teoria, która wydaje się najbardziej prawdopodobna: Frankwrithe i Lewden podstępem umieścili egzemplarz książki na nocnym stoliku kapłana, uprzednio sprytnie zaginając rogi tych stron, które powinny najskuteczniej go rozbudzić. Absurd? Być może, lecz pamiętajmy, jak złowroga stała się działalność F&L w ostatnich latach. (Dawno temu na odległym dziedzińcu spytałem o to Bonmota, ale nie potrafił sobie przypomnieć szczegółów).

Tak czy inaczej, Bonmot zapoznał się z książką Duncana - wyobrażam sobie, jak siedział wyprostowany na łóżku, a włosy w jego uszach tliły się pod wpływem czytanych słów - po czym natychmiast ogłosił, że zawiera ona „osobliwe i niezaprzeczalne bluźnierstwa”. Zakazał jej czytania w tak ostrych słowach, że jego przełożeni później musieli go ocenzurować, częściowo dlatego, że „nie pozostawił żadnych gorszych inwektyw, jakimi w przyszłości można by określić literaturę lub sztukę, które na to zasługują”. (Miałem szczęście, że natrafił akurat na moje objaśnienie do pierwszego rozdziału „*Odbicia światła w więzieniu*” pt. „*Mistyczne pasje*”, gdzie w ramach pochwały czystości wymienia się wszystkie niemoralne akty seksualne, jakie ludzie popełnili w ciągu ostatnich pięciu tysięcy lat. Uważałem, podobnie jak tata, że w ten sposób mnisi umożliwili dwojaką interpretację dzieła. Z pewnością nie pomogło mi zamieszczenie złośliwego przypisu autorstwa taty, w

którym wskazywał on na zadziwiające podobieństwo pomiędzy formą niektórych truffidiańskich rytuałów a aktami opisanymi w tymże rozdziale).

Na szczęście dla Duncana nasz przemily (i przebojowy) Predsion podczas składania swojego oświadczenia tak znakomicie upodobnił się do psa toczącego pianę z pyska, że zażenowani członkowie bardziej praktycznej truffidiańskiej administracji kościelnej - „ci, co płacą rachunki”, jak to kiedyś ujął jeden z moich znajomych artystów - zrezygnowali z orzeczenia winy i nałożenia kary. Kościół Truffidiański wcale nie namawiał swoich wiernych, by „ukamienowali, pobili lub w jakikolwiek inny sposób zaatakowali” Duncana, jak kilka lat później sugerował nasz przyszły redaktor Sirin, który postanowił objąć patronatem książkę traktującą o „oczyszczających wartościach międzywyznaniowej romantycznej miłości”. (Sirinowi, którego ostrzegł życzliwy zecer, udało się zmienić treść orzeczenia i zawierające je ulotki, wskutek czego wyznaczony truffidiański mówca, u którego boku stał Predsion, czytając orzeczenie przed obliczem słynnej porcelanowej podobizny Boga Truffa i całym zgromadzeniem w Katedrze Truffidiańskiej, wezwał do ukamienowania, pobicia i uczynienia jeszcze gorszych rzeczy samemu Predsionowi. Później wielokrotnie drażniłem się z Bonmotem, wspominając to wydarzenie).

Zakaz doprowadził do przewidywalnego wzrostu sprzedaży książki, wnosząc ją na „niespotykane wyżyny”, które odróżniają bestseller od średniaka. (Przyznaję, że F&L niezwykle sprawnie wykorzystali zakaz, lecz to nieprawda, że na dwa dni przed wydaniem orzeczenia zlecono wydrukowanie dziesięciu tysięcy egzemplarzy nowego wydania z hasłem „Zakazana przez Predsiona!” krzyczącym z okładki pogrubioną czcionką Nicean Monk Face rozmiar siedemdziesiąt dwa).

Niespodziewanie Duncan zyskał coś na kształt reputacji. Gazety, zwykle i dużego formatu, historycy i filozofowie orzekali o książce, debatowali nad nią, wychwalali i szkalowali zarówno tekst, jak i samego Duncana - odnosząc się do nietypowo niejasnych elementów argumentacji Duncana. (Przykładowo, czy Wodny Lud zamieszkujący Niższą Deltę Moth kiedykolwiek zetknął się z nauką Truffa). Tymczasem dwór Kalifa zaprzeczał, jakoby nadal więził mnichów, którzy napisali pierwotne „Odbicie światła w więzieniu”, nową książkę zaś uznał za rozległą fikcję zbudowaną na równie fikcyjnym fundamencie. (Ponadto Kalif pośmiertnie odebrał ojcu nagrodę, czego nigdy mu nie wybaczyłem).

Jednakże niezależnie od tego, jakie stanowisko zajmowali poszczególni komentatorzy, nigdy nie kwestionowano tego, że „*O Odbiciu światła w więzieniu*” zawiera istotne i uczone treści. Duncana poproszono o napisanie artykułów do kilku większych i mniejszych czasopism historycznych. Jako że los mnichów stał się kwestią polityczną i, co za tym idzie,

obiektem zainteresowania wielu ludzi, Duncana zapraszano na więcej przyjęć z udziałem Ważnych Osobistości niż był w stanie znieść, nawet podczas swoich najbardziej ekstrawertycznych dni... a jednak wszystkie zaproszenia pozostały bez odpowiedzi.

Co zniechęcało go do rozkoszowania się nowo uzyskaną sławą? To nie lęk przed skutkami zakazu uczynił z niego wyrzutka, ani nie wrodzona niepewność w sytuacjach towarzyskich. Prawdziwą odpowiedź można wydedukować z jego dziennika, który mam obok siebie dla celów weryfikacyjnych. Na marginesie wpisu z tamtego okresu znajdujemy nabazgrane słowa: „Czy tak się czuł tata?”. Wspominając zgon ojca, który umarł u szczytu szczęścia, Duncan rzeczywiście wierzył, że jemu również jest pisana śmierć, jeśli zbytnio odda się radości - jeżeli nie na skutek zawału serca, to w jakiś inny sposób. (Twoja teoria może być zgodna z prawdą na poziomie podświadomości, ale na powierzchni po prostu zmagalem się z obsesją i paranoją. Obsesyjnie myślałem o możliwościach, jakie daje mi następna książka. Paranoicznie bałem się tego, jak ludzie będą teraz odbierać moje badania. Martwiłem się, jak sobie poradzę sam, bez wsparcia, jakie zapewniały mi notatki z badań taty).

Oczywiście zrozumiałam to dopiero dużo później. Wtedy uważałam, że nieśmiałość doprowadziła go do zaprzepaszczenia być może jedynej okazji zajęcia stałego miejsca w powszechnej świadomości. Okazało się, że nie miałam racji. Zażarta debata jeszcze długo nie ustawała, być może dodatkowo podsycana przez nieobecność Duncana.

Potem, wprowadzając ludzi w jeszcze większe zdumienie, Duncan zniknął z pola widzenia - podobnie jak kilkadziesiąt lat później przed przyjęciem Martina Lake'a. Jego pokoje w Morrow (w których Instytut pozwolił mi mieszkać jeszcze przez rok po zakończeniu studiów) pozostały nietknięte - nie zabrał choćby jednej skarpetki, nie usunął ani jednego wykresu ze ścian... Po prostu go tam nie było.

Gdy przechadzałam się po tych pokojach razem z dziekanem i patrzyłam na zatłoczone ściany, nagle dotarło do mnie, że fizyczna obecność lub nieobecność Duncana nie ma żadnego znaczenia. Wszystko, co składa się na jego osobowość, zostało przypięte, przyklejone lub przybite do tych ścian, tworząc złożoną mozaikę obsesji.

Uczelnia najwyraźniej to rozumiała, gdyż urządziła w tych pomieszczeniach muzeum, w którym z czasem zaczęto prowadzić dyskusje o pracy Duncana. Dużo później „muzeum” zmieniło się w magazyn, ten przekształcił się w zabita deskami rupieciarnię, a w końcu w niebezpieczną rudere; oto jak trwała jest sława. (Szczерze mówiąc, nie oczekiwałem, że to potrwa tak długo).

Gdy tak razem wędrowaliśmy, dziekan pomrukiwał pocieszająco i wyrażał nadzieję, że Duncan „wkrótce wróci do domu”. Ale ja nie miałam złudzeń. Duncan wyłonił się ze swojego kokonu. Pozostawił po sobie tapetę z map, zdjęć i wykresów, niczym pustą skorupę, szczątki swojego innego ja. Rozpoczął przemianę w coś całkowicie odmiennego.

Oczywiście, zakładając, że nadal żył - nie mając jednak dowodu w postaci zwłok, wolałam wierzyć, że tak jest. (Żyłem. Dobrze o tym wiesz. Cóż za patos!).

Teraz powinnam zacząć od nowa. Powinnam opuścić sześć miesięcy zamartwiania się i opowiedzieć, jak ponownie spotkałam Duncana. Wyjątkowo ciężko jest mi pisać to posłowie. Chwilami nie potrafię ocenić, co w nim zamieścić, a co pominąć. Czasami nie wiem, co jest właściwe dla posłowania, a co nie powinno się w nim znaleźć. Czy to w ogóle jest posłowie? Czy mam naginać prawdę? Czy mam utrzymywać niezachwiany ton? Czy powinnam podzielić tekst na eleganckie, łatwo strawne rozdziały? Czy powinnam kłamać? (Oto, co napisał tata w swoich notatkach: „Historyk jest po części oszustem, a po części niestrudżonym dostarczycielem dat i dramatycznych rekonstrukcji”).

Duncan ponownie skontaktował się ze mną po upływie pół roku, gdy zapukał do moich drzwi późnym wiosennym wieczorem. Przezorny Ambergrianin niechętnie otwiera drzwi o tej porze.

Zawołałam:

- Kto tam?!

Usłyszałam odpowiedź, tak radosną, że początkowo nie rozpoznałam głosu.

- Twój brat, Duncan!

Czując szok, ulgę i zaskoczenie, otworzyłam drzwi i ujrzałam bladego, zmęczonego, ale dziwnie masywnego Duncana owiniętego starym szarym płaszczem, który przytrzymał przed sobą obiema rękami. Jego głowę zakrywała komiczna marynarska czapka. Miał zaczerwienioną twarz i nienaturalnie lśniące oczy, a gdy przetoczył się obok mnie, na podłogę salonu posypały się drobne śmieci.

Zamknęłam za nim drzwi i odwróciłam się, by go powitać, ale głos uwiązał mi w gardle. Duncan trzymał poły płaszcza rozłożone jak skrzydła jakiegoś olbrzymiego ptaka, a ja nie mogłam uwierzyć w to, co pod nimi ujrzałam. Jaskrawą kamizelkę i spodnie odstające od ciała niczym pąkle pokrywające kadłub statku. Mój brat nigdy nie ubrałby się w coś tak ekstrawaganckiego. Zbliżyłam się o krok...

- Właśnie tak - rzekł Duncan. - Podejź i zobacz...

Rzucił czapkę na krzesło. Miał ogoloną głowę, a jego czaszka była chropowata i pokryta setką odcieni błękitu, żółci, zieleni i oranżu.

- Grzyby. Setki grzybów. Musiałem włożyć płaszcz i czapkę, w przeciwnym razie gapiliby się na mnie wszyscy turyści na Bulwarze Albumuth. - Spojrzał na swoje ciało. - Popatrz jak świecą. Szkoda się ich pozbywać. - Zobaczył, że wpatruję się w niego niespeszona. - Możesz się napatrzeć do woli, Janice. Jestem olśniewającym motylem, a nie ćmą... cóż, przynajmniej przez kolejną godzinę lub dwie.

(Motyle nie mogły się ze mną równać. Byłem wspaniały. Odbierałem świat każdą częścią ciała. Mogłem w ten sposób „słyszeć”, czuć; nie zrozumiałby tego żaden człowiek poza Samuelem Tonsure'em).

Nie kłamał. Od kołnierzyka koszuli aż po czubki butów był pokryty różnymi grzybami, a ja zaniemówiłam, widząc to bogactwo i burzę kolorów. Podeszłam jeszcze bliżej, by dokładniej mu się przyjrzeć. Rzęsy i brwi miał lekko przyprószone fioletowymi sporami. Grzyby wbijały mu się w głowę, zanurzały pod skórę, tworzyły spiralne jaśniejące wzory, które wydzielaly woń obfitości. Ujęłam go za prawą rękę, zbadalam jego dłoń i palce. Dłonie miały lekko zielonkawą barwę. Półksiężycy paznokci lśniły fioletowo. Skóra była gumowata, jakby sztuczna. Spoglądając Duncanowi w oczy, zobaczyłam, że ich blask pochodzi od bladoczerwonych obwódek wokół źrenic. Nagle poczułam lęk. (Szczepnie mówiąc, aby trochę stępić ból, wypilem kilka drinków w tawernie, zanim dotoczyłem się do Twoich drzwi. To mogło przyczynić się do stanu, w jakim znajdowały się moje oczy).

- Ależ nie, nie bój się - rzekł, ale jeszcze bardziej mnie tym wystraszył. - To skutek mojego jadłospisu. Skutek maskowania. Ja się nie zmieniłem. Wciąż jestem twoim bratem. Wciąż jesteś moją siostrą. To wszystko da się zmyć. To tylko kolejne warstwy, które osiadały na mnie przez ostatnie trzy miesiące. Potrzebuję pomocy w zdrapaniu ich.

- Wyglądasz jak jakiś klaun... grzybowy klaun. - Roześmiałam się.

Zdjął płaszcz i upuścił go na podłogę.

- Zgadzam się, wyglądam absurdalnie.

- Ale gdzie ty byłeś? Jak to się stało? - spytałam.

Przyłożył palec do ust.

- Odpowiem na twoje pytania, jeśli pomożesz mi się pozbyć tej drugiej skóry. Ona swędzi. No i umiera.

Zatem pomogłam mu. Nie było to tak łatwe jak pozbawienie go ubrań, grzyby bowiem przeżarły materiał i przywarły do jego biednej bladej skóry, jako szalona masa paliąca ciało

- niejednolita pod względem kształtu, rodzaju i rozmiarów. Niektóre grzyby pulsowały różowo-niebieskim światłem. Inne promieniowały mętnym, ciemnobordowym blaskiem. Kilka wisiało Duncanowi u pasa jak odwrócone kieliszki do wina, przejrzyste i wydrążone, wypełnione skupiskami malutkich zielono-złoty guzikowatych baniek, które znikwały pod wpływem najłżejszego dotyku. Miały faktury od szorstkich po gładkie, pofałdowane, ziarniste, śliskie. Wszystkie zapachy splatały się w ziemistą i ostrą, ale nie nieprzyjemną woń z wyraźną nutą mięty. Grzyby nawet wydawały dźwięki i jeśli uważnie nadstawiono się ucha, było słychać ciche „puf” towarzyszące wypuszczaniu spór, sporadyczne jęki, gdy pozostawiło się je w spokoju, oraz „puk”, gdy stawały się duchami za sprawą moich brutalnych działań przesiedleńczych.

- Pamiętasz, jak ZUT musieliście we troje zmyć ze mnie tamto błoto i brud? - spytał, gdy w łazience robiliśmy użytek ze skrobaczek i ręczników.

- Oczywiście, że tak - odparłam.

Zanim Umarł Tata, ZUT, ponury akronim, który miał nam pomóc pamiętać czasy, gdy stanowiliśmy szczęśliwą rodzinę. Gdy przydarzały nam się kłótnie lub napady przygnębienia, nad którymi mogliśmy stracić kontrolę, jedno z nas przypominało pozostałym, że zachowywaliśmy się inaczej zanim umarł tata. Przechowywaliśmy czas ZUT w naszych głowach jako sanktuarium, z którego korzystaliśmy, gdy gniew i poczucie straty zbyt przybierały na sile.

Pewnego razu Duncan, w swoim typowym zwariowanym i ciekawskim nastroju ZUT, utknął w rurze kanalizacyjnej pod naszym budynkiem i musieliśmy go z niej wyciągnąć po rozpaczliwych półgodzinnych poszukiwaniach źródła żalonych, odbijających się echem nawoływań. Następnie mama, tata i ja spędziliśmy kolejne trzy godziny na czyszczeniu go z czarno-szarego szlamu, by w końcu cofnąć się i napawać cudem, który sprawiliśmy: idealnie białym Duncanem. „Zapewne czystszy niż kiedykolwiek w życiu”, zauważył tata.

Zastanawiam się, Mary, czy Duncan kiedykolwiek dzielił się z tobą takimi wspomnieniami, gdy światła migotały za oknami jego mieszkania?

„Pamiętasz, jak ZUT...”.

Ta uwaga mnie rozbawiła i czekające nas zadanie już nie wydawało mi się aż tak dziwaczne. Po prostu pomagałam wyczyścić brata po kolejnej z jego niefortunnych badawczych przygód ZUT, a Duncan patrzył z mieszaniną ulgi i rozpacz, jak atrybuty jego nowo zdobytych doświadczeń odpadają, okazując się tymczasowymi zdobyczami. (Traciłem czucie z każdą usuniętą warstwą - traciłem wszystkie nowe zmysły i znów musiałem polegać na starych. Wiedziałem, że tak trzeba, ale miałem wrażenie, że staję się ślepy i głuchy).

Sama czułam się tak, jakbym niszczyła rozległe miasto, wspólnotę dusz. W pewnym sensie zmagalam się z podskórnym poczuciem winy, jakie dotyka każdego mieszkańca Ambergris, którego rodowód sięga czasów założenia miasta. Nawet dla mnie, niedawno przybyłej do Ambergris, grzyby stanowią symbol masowego mordy, którego nasi przodkowie dokonali na szarych kapeluszach, a także Ciszy i naszej własnej straty. Czy ktokolwiek spoza miasta, kto tutaj nie mieszka, może zrozumieć strach oraz poczucie straty i winy, jakie każdy z nas czuje, gdy usuwamy grzyby ze ścian naszych mieszkań, domów i budynków użyteczności publicznej? *Równe natężenie każdej z tych emocji w nacisku palca i kciuka, gdy odrywałam ich przyssawki od skóry Duncana.*

Te męczarnie trwały pięć godzin i skończyły się dla mnie zaczerwienionymi opuszkami palców oraz bolącymi plecami. Duncan sprawiał wrażenie nie tylko wyczerpanego, ale także pogiębionego. Wróciliśmy do salonu i usiedliśmy, otoczeni resztkami tysiąca grzybów. Mogłaby to być typowa rodzinna scenka - po postrzyżynach - Duncan jednak stracił coś więcej niż włosy. Czerwony blask ulatniał się z jego oczu, dłonie stały się mniej gumowate, a fioletowe półksiężycy paznokci pojaśniały.

Otworzyłam okno, by pozbyć się zapachu grzybów, i w wilgotnym blasku latarni dostrzegłam początek masowej, niemal niewidzialnej migracji spór z rozkawałkowanych szczątków spoczywających u naszych stóp, z bordowych grzybów o dzwonkowatym kształcie, z odwróconych kieliszków do wina, z żółto-zielonych baniek. Jak duchy, jak dusze, milion malutkich zarodni o tysiącu misternych kształtów, jak ziemskie meduzy - och, w ten nieumiejętny sposób staram się przekazać, że wyglądały przepięknie, gdy umykały przez okno i ulatywały z wiatrem. W słabym blasku. Bezdźwięcznie. Jak dusze.

W tamtej chwili, bliska płaczu pod wpływem zachwyty, wyczerpania i lęku przed nieznanym, chyba dojrzałam to, co widział Duncan - to, co wywołało ekstazę, która go przepełniała, gdy wtoczył się do mojego mieszkania pięć godzin wcześniej. Sto, tysiąc lat wcześniej. (Bardzo się starałem ukazać to Mary, ale nigdy mi się nie udało. Niewykluczone, że właśnie to zadecydowało o porażce, i może była to moja porażka. Nie wszystkie doświadczenia są uniwersalne, nawet jeśli znajdujemy się w tym samym pomieszczeniu, gdy dzieje się coś cudownego. Zapewne oczekiwałem zbyt wiele, mając nadzieję, że przyjmie to na wiarę?).

- Popatrz - powiedziałam, wskazując spory.

- Wiem - odrzekł mój brat. - Wiem, Janice.

W jego głosie pobrzmiwał żal pomieszany z nieustającą radością.

- Nie jestem już tym, kim byłem wcześniej, ale wszystko zachowałem tutaj. - Postukał się palcem w wyszorowaną, zaczerwienioną głowę, na której wciąż widniały ślady po najeźdźcach, niewyraźne echa kolorów. - Spory są częścią zapisu. Polecą z powrotem do miejsc, w których byłem, nawigując za pomocą wiatru, deszczu oraz metod, jakich nawet nie potrafimy sobie wyobrazić, i złożą fragmentaryczny raport szarym kapelusom. Kim byłem. Gdzie byłem. Co zrobiłem. Dlatego następnym razem będzie jeszcze niebezpieczniej.

Wyprostowałam się na krześle. Następnym razem? Stał naprzeciwko mnie, w poszarpanym ubraniu, otoczony grzybową ruiną, ale równie dobrze mógłby się znajdować po drugiej stronie miasta. Nie rozumiałam go i czułam, że zapewne nigdy tak się nie stanie. (Nie musiałaś dokładnie rozumieć tego, co widziałem. Chciałem, abyś sama zobaczyła - a już wtedy dostrzegałaś więcej od większości ludzi. Mary ujrzała wszystko, ale ostatecznie zaszyła sobie oczy, zatkała uszy i zakleiła usta).

- Tak, no cóż, Duncanie, to była długa noc - zaczęłam, ale wtedy jego źrenice uciekły do góry i Duncan upadł na miękką podłogę, pogrążony we śnie. Musiałam go przeciągnąć na kanapę.

Tam pozostawał przez dwa dni. Wzięłam wolne w galerii sztuki, gdzie pracowałam, aby go doglądać. Wychodziłam tylko po jedzenie i nowe ubranie dla niego. Spał spokojnie, choć pięć lub sześć razy śnił mu się jakiś koszmar, od którego zaczynał drgać, dygotać i wołać w dziwnym języku przypominającym śpiew ptaka. Pamiętam, jak wpatrywałam się w jego bladą twarz, myśląc o tym, że faktura i kolor upodabniają ją do grzyba.

Duncan nie potrafił w przekonujący sposób wyjaśnić swojego osłabienia, gdy wreszcie się obudził rankiem trzeciego dnia. Karmiąc go tostami z marmoladą przy kuchennym stole, próbowałam ustalić, co go spotkało podczas sześciu miesięcy, które upłynęły od naszego ostatniego spotkania. Chociaż zmiotłam pozostałości grzybów, ich obecność nie dawała nam spokoju.

Zwodniczość i ogólnikowość, które stanowiły kontrapunkt dla straszliwej precyzji pisarstwa Duncana, teraz najwyraźniej stały się jego dewizą. Nigdy nie był gadatliwy, ale tego poranka jego lapidarność urosła do rangi sztuki. Musiałam siłą wyciągać z niego informacje. (Chciałem cię chronić. Najwyraźniej nadal w to nie wierzysz, ale rzeczywiście przyznaję, że powinienem był znaleźć jakiś sposób, by ci o tym powiedzieć).

- Gdzie byłeś? - spytałam.

Wzruszył ramionami i szczelniej owinął się kocem.

- Tu i tam. Głównie tam. - Zaczął chichotać i przerwał dopiero, gdy zauważył, że jego śmiech brzmi histerycznie.

- Czy to z powodu truffidiańskiego zakazu? - spytałam.

Pokręcił głową.

- Nie, nie, nie. Z powodu tej bzdury? - Uniósł głowę i wbił we mnie wzrok. Jego oczy były ciemne i pozbawione wesołości. - Nie. Nie z powodu zakazu. Nigdy nie zamieścili mojej podobizny w gazetach. Żaden truffidianin poza granicami Morrow nie wie, jak wyglądam. Nie, nie chodziło o zakaz. Zbierałem materiały do moich kolejnych książek. - Przewrócił oczami. - To wszystko pewnie się zmarnuje.

- Wychodziłeś tylko w nocy? - spytałam. - Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek był taki blady.

Nie odwzajemnił mojego spojrzenia. Gwałtownie wstał z krzesła i podszedł do okna, chowając ręce w kieszeniach.

- To było coś w rodzaju nocy - zgodził się.

- Dlaczego nie możesz po prostu mi powiedzieć?

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, byłem z Redem Martiganem i Aquelusem, Manzikertem i Samuelem Tonsure'em. - Uśmiechał się słabo, wyglądając przez okno.

Seria nazwisk niemal równie nieprzeniknionych jak ludzki naszyjnik Sabon, ale rozpoznałam nazwiska Manzikerta I i Tonsure'a. Wiedziałam, że Duncan nadal studiował dziennik Tonsure'a.

- Znalazłem w dzienniku Tonsure'a - rzekł Duncan monotonnym głosem, jakby w transie - coś, co inni przegapili, bo tego nie szukali...

W tym miejscu uzupełnię swoje wspomnienia dotyczące tamtej rozmowy relacją znalezioną w dzienniku mojego brata, który szczęśliwie mam tuż obok siebie w kufrze razem z kilkoma innymi rzeczami Duncana. (To dość szokujące, że przeglądałaś moje papiery i notatniki. Zazwyczaj ludzie potrzebują kilku lat, by zdobyć się na tak jawną kradzież. Przez chwilę byłem niezadowolony, nawet wściekły. Ale prawdę mówiąc, Janice, wolę, abyś mnie cytowała niż parafrazowała, gdyż w tym drugim przypadku zniekształcasz znaczenie moich słów).

„Znalazłem w dzienniku Tonsure'a coś, co inni przegapili, bo tego nie szukali. Wszyscy - historycy, uczeni, amatorzy - odczytywali go jako historyczną relację, podstawowe źródło wiedzy o dawno minionych czasach

bądź dziennik człowieka pogrążającego się w szaleństwie. Pragnęli lepiej poznać życie Manzikerta I, który wtrącił Tonsure'a do niewoli. Chcieli przeczytać o podziemnej krainie szarych kapeluszy. Lecz chociaż dziennik może dostarczyć tej wiedzy, jest także czymś zupełnie innym. Dostrzegłem, co się w nim kryje, tylko dlatego, że przywykłem do wpatrywania się godzinami w mapy i wykresy na ścianach swoich pokoi w Instytucie. Zasypiałem przy tych wzorach. Śniłem o nich. Widziałem je zaraz po obudzeniu.

Kiedy wreszcie zacząłem czytać dziennik Tonsure'a, mój umysł ożywiały schematy i wizje dalekich miejsc. Podczas lektury czułem niepokój i irytację. Nie opuszczała mnie myśl, że książka zawiera jakiś głębszy poziom, inne znaczenie. Coś, co tylko częściowo ujawnia się w kopii, lecz może stać się jasne jak szkło lustra w oryginale.

Gdy dotarłem do końca dziennika - do wielostronicowych opisów truffidiańskich rytuałów religijnych, które zapewne miały zagłuszyć wzbierającą rozpacz wywołaną uwięzieniem pod ziemią - byłem już pewien, że dziennik stanowi zagadkę, zapisaną jakimś szyfrem, osłabionym i rozcieńczonym, który leciwie daje się wyczuć w jednolitym kolorze tuszu kopii, monotonnej sterylności czcionki.

Ta tajemnica nie dawała mi spokoju, nawet podczas pracy nad „*O odbiciu światła w więzieniu*”, zwłaszcza że jeden z przypisów dodanych przez redakcję do mojego wydania »Odbicia światła w więzieniu« zawiera zdania, które już dawno temu zapadły mi w pamięć: »Tam, gdzie wschodnie rubieże Imperium Kalifa rozplywają się w niezdojrzanych górach, zrujnowana forteca Zamilonu stoi na straży czasu i gwiazd. Wewnątrz fortecy, poniżonej przez dziury w pradawnych ścianach, truffidiańscy mnisi strzegą ostatniej prawdziwej strony słynnego dziennika Tonsure'a«,.

To, że miłość do kobiety pewnego dnia stanie się dla Duncana równie tajemnicza jak zrujnowana forteca, a ciało bardziej niedostępne niż kamień, z pewnością musiało się okazać szokiem.

„Odkąd to odkryłem, ciekawość nie dawała mi spokoju. Nie potrafiłem z nią walczyć. Zaraz po skończeniu studiów zacząłem planować wizytę w Zamilonie. Z perspektywy czasu te plany wydają się żałośnie niekompletne i

dziecinne, ale, co gorsza, nawet ich nie udało mi się zrealizować, gdy w końcu odbyłem podróż.

Pewnej nocy, gdy wpatrywałem się w mapy na ścianach, ciśnienie stało się nie do zniesienia - wyskoczyłem z łóżka, ubrałem się, zabrałem z kredensu zaliczkę otrzymaną od Frankwrithe'a i Lewdena, zdarłem ze ściany mapę wschodnich krańców Imperium Kalifa i wybiegłem w noc”.

Nie myśląc o spokoju moim i naszej matki. Typowe. Ileż razy mamy wybaczać Duncanowi tylko dlatego, że jest ekscentrycznym geniuszem? (Z pewnością te słowa nie odzwierciedlają Twoich obecnych uczuć, a jedynie ówczesne emocje? Nie po tym wszystkim, co zobaczyłaś. Nie mam zamiaru się bronić w tym przypadku, zwłaszcza że w kolejnych latach to my musieliśmy wielokrotnie przebaczać Tobie).

„Wędrówki i niefortunne przygody, które wypełniły kolejne dwa miesiące, są zbyt dziwacznie humorystyczne, bym je opisywał; wspomnę tylko, że moja mapa okazała się niedokładna, a fundusze niewystarczające. Tyle samo dni co w podróży spędziłem na zarabianiu pieniędzy. Miałem okazję zapoznać się z kilkunastoma różnymi środkami transportu, z których każdy miał swoje wady: mułem, wozem zaprzężonym w muła, barką ciągniętą przez muła, przeciekającym kanoe, rzadkim pojazdem mechanicznym, który pluł dymem i pierdział z rury wydechowej, a także własnymi zmęczonymi nogami. Głodowałem. Omal nie umarłem z braku wody. Gdy szczęśliwie udało mi się zarobić trochę pieniędzy jako skryba u miejscowego sędziego analfabety, obrabowano mnie w kilka minut po opuszczeniu tamtego przekłętą miasteczka. Przetrwałem lawinę błotną i gradobicie. Moje stopy zmieniły się w grube, nieczułe płyty. Moje zmysły tak się wyostrzyły, że byłem w stanie wychwycić ruch muchy na gałęzi oddalonej o sto stóp. Ujmując rzecz w skrócie, stałem się na każdy możliwy sposób lepiej przystosowany do przetrwania.

Mnisi w Zamilonie wcale nie okazali się przyjaźniejsi niż kaprysy natury i dziwactwa mieszkańców wioski. Zajęło mi tydzień przekonanie ich, że odziany w szmaty, nieogolony i śmierdzący nieznajomy, który przed nimi stoi, jest poważnym uczonym. Stałem przed wysokimi na sto stóp bramami Zamilonu, na szerokim szlaku wyciętym w zboczu góry, a z obu stron wpatrywały się we mnie złym wzrokiem potężne kamienne rzeźby, relikty

jakiejś zapomnianej demonologii. Uważnie nasłuchiwałem, podczas gdy mnisi wylewali na mnie niczym gorący olej najbardziej niejasne religijne pytania, jakie kiedykolwiek wykrzykiwano ze szczytu murów obronnych.

W końcu ustąpili - nie wiem, czy stało się to na skutek mojej powagi, czy może powagi smrodu, który wydzielałem i który odstraszał innych pielgrzymów. W każdym razie, gdy nareszcie pozwolono mi zobaczyć stronę z dziennika Tonsure'a, całe cierpienie wydało mi się odległe i nieważne. Było tak, jak przypuszczałem: charakterystyczne cechy stron oryginału tworzyły wzór, który mógł posłużyć jako mapa dla każdego, kto miał na tyle szczęścia, by ją odczytać. Miałem dostęp tylko do jednej strony - i nigdy nie miałem ujrzeć reszty, którą Kalif trzymał w ukryciu wraz z autorami »Odbicia światła w więzieniu» - ale ona wystarczyła, by móc nadać znaczenie całości.

Spisałem swoje odkrycia - jak również pierwszą relację z podróży - na tuzinie kartek, a zanim opuściłem Zamilon, zmusiłem się do zapamiętania wszystkich faktów, po czym spaliłem oryginalne zapiski. Ta wiedza wydawała mi się zbyt cenna i osobista, by pozostawiać ją na papierze. Przerazała mnie. Dzięki temu, czego się dowiedziałem, mogłem, gdybym się odważył i miał takie pragnienie, wkroczyć do podziemnego królestwa szarych kapeluszy... i przeżyć.

Podczas długiej podróży powrotnej z Zamilonu do Ambergris (nie miałem zamiaru wracać do Morrow) rozważałem co najmniej dwie kwestie. Po pierwsze, do jakiego stopnia Tonsure zmanipulował treść własnego dziennika, by przekazać tajny szyfr - i czy w ogóle ją zmanipulował? Innymi słowy, czy spójne elementy dziennika dokładnie odzwierciedlają przebieg wydarzeń i dotyczące ich opinie Tonsure'a, czy też w celu stworzenia książki, która jednocześnie byłaby mapą, Tonsure musiał poświęcić prawdę na ołtarzu symbolizmu?

Poza tym byłem przekonany, że Tonsure napisał cały dziennik już po zejściu pod ziemię w ślad za Manzikertem I. Zaszyfrował go w nadziei, że nawet jeśli nigdy nie wróci na powierzchnię, szare kapelusze zachowają dziennik, nie zdając sobie sprawy, że zagraża ich sekretom. Ujawnienie tej prawdy, gdyby udało się ją poprzeć dowodami, całkowicie zmieniłoby naturę dyskusji o dzienniku oraz unieważniłoby setkę naukowych tekstów i niejedną książkę. Podniszczony dziennik, który szare kapelusze zwróciły na

powierzchnię, nie był na wpół niezrozumiałym bełkotem umysłu powoli popadającego w szaleństwo, lecz skalkulowanym ryzykiem, które podjął człowiek doskonale świadom swojego trudnego położenia.

Z tego wniosku wynikała prosta prawda: w pewnym momencie musiała istnieć inna, wcześniejsza wersja dziennika, jako dopracowany twór bądź luźny zbiór notatek. Na podstawie tej wcześniejszej wersji Tonsure stworzył kopię, która zawierała mapę, schemat pozwalający na orientację w podziemnych twierdzach szarych kapeluszy. Coś, czego nawet szare kapelusze nie były w stanie rozszyfrować. Coś, co miało pozostać tajemnicą Tonsure'a.

Po drugie i najważniejsze, w moim umyśle królował majestatyczny projekt Tonsure'a, jego geniusz, który ujrzałem tylko fragmentarycznie, a który nasz ojciec dostrzegł jedynie w badawczych możliwościach, jakie otworzył przed nim list, który go zabił.

Gdy wreszcie wróciłem do Ambergris i wkroczyłem na Bulwar Albumuth, w głowie miałem tylko jedną myśl. Krążyła tam i z powrotem jak wyzwanie, jak klątwa: Czy odważę się skorzystać z tego, co dał mi Tonsure? I czy mógłbym sobie darować nieskorzystanie z tej wiedzy?

Okazało się, że odwaga przeważyła nad lękiem, być może dlatego, że nie mogłem pozwolić, by ten niezwykły akt komunikacji poszedł na marne. Myśl o tym, że Tonsure sięga do mnie spoza grobu, a ja odrzucam go przez tchórzostwo... nie mógłbym tego znieść. Tym większa szkoda.

Zatem znalazłem drogę na dół, do ich świata, a potem wróciłem na górę i nie zostałem okaleczony ani zamordowany. W pewnym sensie było to łatwe. Miałem Tonsure'a za przewodnika, więc nie mogłem przegapić żadnego znaku ani symbolu, a nawet najmniej wyraźne zadrapania na ubłoconych skałach, najłżejsze wahania temperatury i zmiany w wyglądzie zarodni uprzedzały mnie o kolejnych odcinkach szlaku. To było dziwne, mroczne miejsce, które mnie przerażało, ale nie byłem sam. Był ze mną Tonsure.

Czy rozumiałem choćby połowę z tego, co widziałem na dole? Nie. Czy wspomnianie tych rzeczy, których nie rozumiem, w jakikolwiek sposób mi pomaga i służy? Nie. Po pierwsze, któż by mi uwierzył? Powiedzieliby, że mam zwidy. Nie jestem pewien, czy sam w to wszystko wierzę. W ten sposób znalazłem się w sytuacji nie lepszej niż Samuel Tonsure, z tą różnicą, że mogę swobodnie przemieszczać się pomiędzy powierzchnią a podziemiami”.

Kiedy Duncan osobiście przekazał mi fragmenty tej relacji, zakończył słowami:

- A teraz będziesz musiała mi uwierzyć, gdy powiem, że nie mogę zdradzić nic więcej, a próby wydobycia ze mnie dalszych informacji i kolejne pytania nic ci nie dadzą. To wszystko także dla twojego bezpieczeństwa. Proszę, Janice, zaufaj mi.

W jego słowach pobrzmiewało takie zdecydowanie, że nigdy nie przyszło mi do głowy, by go naciskać. Po prostu pokiwałam głową, myśląc o sporach, które wyleciały przez moje okno trzy noce wcześniej, z pokoju, który teraz wydawał się taki szary i pusty. Wciąż próbowałam przyswoić tamten widok. Niestety, wpisy w dzienniku Duncana okazały się równie oszczędne jak nasze rozmowy. (Chyba nie myślałaś, że pozostawię oba moje dzienniki na powierzchni, prawda?), ale wtedy potajemnie cieszyłam się z tego, że nie mówi mi więcej - jego doświadczenia były tak odmienne od moich, że nawet najprostsze słowo brzmiało tak, jakby pochodziło z obcego języka.

- Po prostu cieszę się, że znów jesteś bezpieczny i wróciłeś do domu - powiedziałam.

- Bezpieczny? - Zaśmiał się gorzko. - Bezpieczny? Spójrz na moje dłonie. - Wyciągnął je w moją stronę. Półksiężycy jego paznokci lśniły bladozielono. Wzdłuż zewnętrznych krawędzi obu dłoni aż do nadgarstków biegły cienkie poszarpane ślady grzybów przypominających paprocie. Być może w pewnym świetle można było je pomylić z włosami.

- To zniknie z czasem - powiedziałam mu.

- Nie - odparł. - Nie sądzę. Myślę, że zostałem naznaczony. Już zawsze będę nosił te ślady, niezależnie od tego, w jaki sposób będą się objawiały.

Duncan miał rację, choć ślady nie zawsze miały postać grzybów: przez dziesięciolecia bezustannie nosił przy sobie kopię dziennika Tonsure'a, a z każdym rokiem kartki książki były coraz bardziej zniszczone, aż w końcu poczułam że zapiski szaleńca stały się dziennikiem Duncana. Zostawiał w książce coraz więcej nowych śladów, bezgłośnych blizn, które tworzyły własny dziwaczny język na jego skórze. Niewypowiedziany. Niezapisany. Ale obecny.

Aż wreszcie jedynym miejscem na powierzchni, w którym czuł się prawdziwie komfortowo, pozostały ciemne, oświetlone na zielono wnętrza Spory.

2

Czy mogę zacząć jeszcze raz? Pozwolicie mi na to? Zaufacie mi? Zapewne nie. Zapewne powinnam czym prędzej przejść dalej. Może polecimy niczym wrony na skrzydłach nocy, wiatr będzie grzechotał naszymi delikatnymi żebrami, a zimno przypali nam pióra, gdy będziemy omiatać wzrokiem ziemię. Krajobraz wyda nam się wyraźny, lecz odległy, oddalony, lecz zrozumiały. Będziemy lecieli przez dziesięć lat bez przerwy, napotykając zimno, deszcz i nerwowe wróble przekonane, że chcemy napaść na ich gniazda. Przemierzmy dziesięć lat, po czym zaczniemy powoli zniżać się po łuku ku przyczynie katastrofy Duncana. Te dziesięć lat przyniosło pięć czarnych książek łopoczących kartkami. Pięć niechętnych nagrobków. Pięć kamieni młyńskich uwiązanych u szyi mego brata. Pięć błyskotliwych językowych eksplozji. Pięciu odzianych w skórę towarzyszy, których nikt nigdy Duncanowi nie odbierze. (Pięć coraz bardziej górnolotnych porównań, które stają mi ością w gardle).

Lecimy w ten sposób, ponieważ musimy. Przez te dziesięć lat prawie nie widywałam Duncana. Rankiem po naszej rozmowie pożyczył ode mnie pieniądze akonto oczekiwanych tantiem za książkę, po czym opuścił mój dom. Wynajął jednopokojowe mieszkanie na wschodnim krańcu Bulwaru Albumuth w jednym z licznych budynków należących do legendarnej Madame Truff. Czy cieszył go fakt, że mieszka tak blisko Dzielnicy Religijnej, że on, bluźnierca, sypia o kilka przecznic od kwater PrzedSIONA w Katedrze Truffidiańskiej? (Cieszyłem się jednoczesnym poczuciem normalności i zagrożenia, czyli czymś, czego Ty, Janice, zawsze pragnęłaś, ale co dla mnie było nowością. Budziłem się każdego ranka i przyrządzałem jajka na bekonie z pełną świadomością, że ta nudna rutyna w każdej chwili może zostać zburzona za sprawą pojawienia się zbirów PrzedSIONA).

Podczas gdy Duncan publikował, ja kilkakrotnie umierałam. Zmieniałam pracę jak wąż skórę, z każdym linieniem przybliżając się do przyszłości, którą zawsze uważałam za swój wymarzony, a nie tylko nieunikniony cel. Malarka, rzeźbiarka, nauczycielka, asystentka w galerii, właścicielka galerii, dziennikarka, przewodniczka, cały czas poszukując naszyjnika równie błyszczącego i sztucznego jak ten otaczający Mary Sabon. Nigdy niczego nie doprowadzałam do końca, ani olbrzymich płócien, które pokrywałam obrazami miasta, którego nie rozumiałam, ani ekspozycji wystawianych w obszernych wnętrzach mojej galerii.

Nigdy nie brakowało mi energii ani motywacji, a jedynie tego, co stanowi podstawowy sekret dobrej sztuki: zdrowej wyobraźni. Co z perspektywy czasu stanowi niezwykłą ironię, biorąc pod uwagę, jak wiele wyobraźni wymagało ode mnie dotrwanie do tej chwili i zachowanie zdrowia psychicznego oraz rozpoczęcie pisania posłowania, któremu niezależnie od szczerości bez wątpienia zostaną zarzucone pretensjonalność i bombastyczność, tak jak moim poprzednim dziełom.

Staralam się utrzymać kontakt z Duncanem, choć robiłam to bez entuzjazmu i werwy. Długie wędrówki do jego mieszkania na poddaszu często kończyły się rozczarowaniem; rzadko bywał w domu. Czasami kierowana ciekawością podkradałam się do drzwi i uważnie nasłuchiwałam przed zapukaniem; zerkałam przez dziurkę od klucza, ale widziałam tylko ciemność.

Nagrodą za szpiegowanie zazwyczaj była rozbrzmiewająca echem cisza. Jednakże kilkakrotnie wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś lub coś przemyka po podłodze przy wtórze głuchego syku i jęku, które sprawiały, że gwałtownie się prostowałam, a włoski na moich rękach stawały dęba. W takich sytuacjach moje trwożliwe pukanie do drzwi - nie chciałam mieć nic wspólnego z tymi odgłosami, niezależnie, czy pochodziły od Duncana Przeobrażonego, czy Duncana Znajomego - zazwyczaj wystarczało, by po drugiej stronie ponownie zapadła cisza. A jeśli tak się nie działo, przeważnie biegiem wycofywałam się na ulicę. (Czasem Cię słyszałam, choć zazwyczaj byłem pogrążony w pracy i wołałem, abys nie wchodziła. O ironio, kilkakrotnie wziąłem Cię za nich, siostrę w szarym kapeluszu).

Podaję, że wyglądałam dosyć żałośnie przed jego mieszkaniem - szczupła, drobna kobieta kucająca przed popękkanymi drzwiami, z zapalem nasłuchująca odgłosów dobiegających z wewnątrz. Doskonale pamiętam tę przeklętą klamkę - uderzyłam się o nią w głowę co najmniej tuzin razy.

Zawiedziona, musiałam szukać informacji o Duncanie w rzadkich wywiadach w prasie, które przeważnie skupiały się na jego technice pisarskiej lub opiniach dotyczących bieżących wydarzeń. Z jakiegoś powodu ludzie żywią błędne przekonanie, że historyk - dzięki błogosławieństwu perspektywy czasu - może rzucić więcej światła na teraźniejszość i przyszłość. Duncan nie wiedział niczego o teraźniejszości i przyszłości. (Nie wiedziałem niczego o teraźniejszości i bezpośredniej przeszłości. Śmiem jednak twierdzić, że zacząłem mieć pewne podejrzenia co do przyszłości).

Notki biograficzne na obwolutach jego książek w niczym mi nie pomagały - ich lakoniczność graniczyła z lękiem: „Duncan Shriek mieszka w Ambergris. Pracuje nad kolejną

książką”. Czy komukolwiek udałoby się „poznać” autora na podstawie tak okrojonego akapitu, nawet badając przerwy między słowami, miejsca, w których cisza czasem wyjawia dodatkowe wskazówki? Co zaś ważniejsze, czy po przeczytaniu podobnego akapitu ktokolwiek czułby taką potrzebę?

Dopiero w piątej książce na światło dnia wyciekło więcej informacji, niemal przypadkiem, jak mokra plama pojawiająca się na suficie: „Shriek zamierza napisać kontynuację swojego bestsellera »Cinsorium«,,.

Do tego czasu Duncana opuściło szczęście, a my z powodu jednej książki musimy wrócić do zachwyconej Sabon, która krążyła jak drapieżny ptak, oglądając się przez pierzaste ramię - obecność Mary podwajała, potrajała skalę katastrofy, ponieważ to ona zmieniła Duncana w mięso armatnie dla swojego... jak mam to nazwać? Słowa zawodzą / nie mogą wyrazić / nie wystarczają. (Triumfu. Zdecydowanie. Musisz jej to oddać. Urzekające oczy i pióro poetki).

Szybując i krążąc, wracamy poprzez strumień powietrza, pozwalając, by tytuły pojawiały się w odwróconej kolejności, zbliżając się do źródła, pokonując echa i zmarszczki rozchodzące się po powierzchni: „Kaprysy okoliczności i losu wśród klanów Aan”; „Mapa Bestii: Dociekliwe rozmowy między Moth a tymi, którzy przemierzają jej wody”; „Stretcher Jones: Ostatnia nadzieja Zachodu”; „Bariery językowe pomiędzy Aan a Imperium Saphanckim”. A także pierwsza książka, która rozciąga się pod nami z barokowym rozmachem: „Cinsorium: Obalanie mitu szarych kapeluszy”. Ten przyprawiający o szaleństwo tom, złożony z kłamstw i półprawd, lśni w dole odpryskami i strzaskanymi kawałkami, świecidelko przygotowane dla naszej prawdziwej ptasiej natury.

Co takiego sprawia, że półprawda może rozedrzeć materię świata? Może strach? Poczucie winy? Ta sama kombinacja emocji, która migotała w moim umyśle, gdy usuwałam grzybową masę z biednego bladego ciała Duncana?

Nie mam zamiaru mówić zagadkami. Nie mam zamiaru unosić się zbyt wysoko nad tematem, ale czasami nie ma innego wyboru. Teraz jednak pozwolę naszej zmęczonej wronie wylądować i po prostu opowiem historię...

Być może Duncan powinien był zdać sobie sprawę z tego, co zrobił, gdy poznał reakcję Frankwrithe'a i Lewdena na maszynopis. (Zrozumiałem to, gdy przeczytałem zredagowaną pierwszą wersję tekstu i zobaczyłem tysiąc czerwonych ran, poprawek naniesionych przez drugiego redaktora, wyjaśniających okrutnym językiem, że moja książka ma się dobrze zachowywać, w przeciwnym razie w ogóle nie stanie się książką).

Miesiąc po oddaniu tekstu redaktor Duncana, John Lewden, wezwał go do biura F&L w centrum Morrow. Podróż z Ambergris zajęła Duncanowi dwa wyczerpujące dni, które spędził na barce płynącej w górę rzeki, zmierzając w sam środek srogiej zimy. Gdy dotarł na miejsce, okazało się, że redaktor jest „na wakacjach”, a zamiast niego z Duncanem porozmawia prezes wydawnictwa, pan L. Gaudy.

Sekretarka pośpiesznie odprowadziła Duncana do gabinetu Gaudy'ego i natychmiast się oddaliła. (Dość dobrze pamiętam ten gabinet. Był „olśniewający” - stało w nim biurko z palisandru, na ścianach wisiały dziesiątki portretów słynnych pisarzy wydawanych przez F&L, a w rogu pomieszczenia naprzeciwko biurka znajdował się wściekle strzelający kominek).

Gaudy, według dziennika Duncana, był brodatym mężczyzną o nieokreślonym wieku, mizernej twarzy i ostrych kościach policzkowych. Siedział za biurkiem, wpatrując się w kominek. (Miał oczy jak błękitne płomienie, a w jego obecności czułem w powietrzu słodki zapach stęchlizny, jakby spędzał większość życia pod ziemią lub otaczał się stuletnimi książkami).

Duncan chciał usiąść, ale wtedy Gaudy powstrzymał go, unosząc rękę z dłonią skierowaną do zewnątrz. Spokój, z jakim wykonał ten gest, jakby działał w transie, sprawił, że Duncan nie potrafił mu się przeciwstawić, a jednocześnie „bardzo mnie zirytował; miałem poczucie, że Gaudy wie coś, czego nie wiem, a czego chcę się dowiedzieć”.

Pozostawali na swoich pozycjach, odpowiednio siedząc i stojąc, przez ponad pięć minut. Duncan wyczuwał, że nie powinien nie tylko siadać, ale także się odzywać. „Zacząłem myśleć, że ten człowiek ma nade mną jakąś władzę, i dopiero później zrozumiałem, że coś w jego oczach przypominało mi tatę”.

Kiedy Gaudy wreszcie uniósł ozdobioną okularami głowę, by popatrzeć na Duncana, a płomienie odbiły się w szklach, Duncan ujrzał na obliczu mężczyzny całkowity spokój. Z ulgą ponownie spróbował usiąść, ale znów został powstrzymany gestem.

Zaczął się zastanawiać, czy wydawca przypadkiem nie zwariował. „A przynajmniej, czy nie pomylił mnie z kimś innym”.

Gdy ogień za nimi zaczął wygasać, Gaudy uśmiechnął się i przerwał ciszę. Odezwał się „idealnie spokojnym głosem, stabilnym i gładkim. Kiedy mówił, wpatrywał się w kominek, składał razem palce i opierał łokcie o blat. Wydawało się, że ani razu nie wciąga niepotrzebnie powietrza”.

- Nie musi pan siadać i profanować fotela, ponieważ powiedzenie tego, co mam panu do oznajmienia, nie zajmie mi dużo czasu. Kiedy skończę, chciałbym, aby pan natychmiast

wyszedł i już nigdy nie wrócił. Nie jest pan tutaj mile widziany i nie będzie w przyszłości. Pana maszynopis przydał się do tego, by nas ogrzać, czym spełnił tysiącrotnie bardziej użyteczną funkcję niż gdybyśmy pozostawili go w formie liter złączonych w słowa, frazy, zdania, akapity i rozdziały. Ogień go oczyścił, podobnie jak ja teraz chciałbym - i będę stale tego pragnął w przyszłości - oczyścić pana, gdyby tylko nie zabraniały tego prawne, jak również moralne ograniczenia nakładane na nas przez kodeksy i społeczeństwo. Powinno już być dla pana jasne, panie Shriek, że nie zamierzamy kupić praw do pana „książki” - używam tutaj słowa „książka” w najbardziej luźnym znaczeniu - ani do jej popiołów, choć prędzej nabyłbym prawa do nich niż do nienaruszonych stron. Jednakże na wypadek, gdyby pan nadal nie rozumiał, co do pana mówię, oraz biorąc pod uwagę, że może pan być w stanie szoku, będę kontynuował swoją przemowę, dopóki nie opuści pan tego pomieszczenia, czym, jak liczę, niedługo mnie pan uraduje, gdyż na sam pana widok robi mi się niedobrze. Panie Shriek, jak z pewnością zdaje pan sobie sprawę, wydawnictwo Frankwrithe i Lewden istnieje od pięciuset lat i przez ten czas opublikowaliśmy niejedną kontrowersyjną pozycję. Pana pierwsza książka - która, co może pana zaciekać, została już wycofana z druku - była czterdziestym pierwszym wydawnictwem zakazanym przez kogoś z PrzedSIONów Ambergris. Z pewnością nie mamy więc w tym względzie skrupułów. Nie wzbraniamy się także przed wydawaniem książek dotyczących najbardziej tajemniczych i niejasnych tematów, jakie wyśnił ludzki umysł. Jak pan niewątpliwie wie, pomimo faktu, że wiele z tych tytułów nie ma dziś już nawet sentymentalnej wartości, obszerna lista naszych publikacji nadal jest w całości dostępna - jako przykład można tu podać chociażby „Rytuały pelagicznych ślimaków z Dolnego Archipelagu”; mimo że nie istnieją już ani takie ślimaki, ani archipelag, nie wycofaliśmy książki z druku - lecz dla pana pierwszej książki uczynimy wyjątek i usuniemy ją także ze wszystkich naszych katalogów. Jak się pan zapewne domyśla, choć nadal nie opuścił pan tego gabinetu, bardzo nam się nie spodobała pana nowa książka. Prawdę mówiąc, powiedzieć, że mi się ona nie podoba, to jak nazwać potężne drzewo sadzonką. Nienawidzę pana książki, panie Shriek, a słowo „nienawidzę” nie oddaje nawet tysięcznej części obrzydzenia, jakie czuję wobec tego tekstu, a w konsekwencji wobec pana. Może jednak powinienem podać jakieś konkrety. Może one pozwolą panu przewyciężyć ten potencjalnie śmiertelny bezwład - bez wątpienia związany ze wspomnianym szokiem - który powstrzymuje pana przed wyjściem. Proszę popatrzeć, ostatni skrawek pana maszynopisu właśnie zmienił się w płatek popiołu unoszący się nad kominkiem. Cóż za strata. Może chciałby pan dostać urnę na prochy swego martwego nowo narodzonego dziecka? No cóż, nic z tego; nie posiadamy urny, a nawet gdybyśmy ją mieli, to nie pozwolilibyśmy jej panu

wykorzystać do transportu popiołów, obawiając się, że znajdzie pan jakiś sposób na zrekonstruowanie książki - owszem, wiemy, że prawdopodobnie ma pan kopię maszynopisu, ale pocujemy radość w sercu, jeśli poprzez spalenie tego egzemplarza uda nam się przynajmniej na jakiś czas powstrzymać pana lekkomyślne i uparte próby opublikowania tego kretyńskiego łajna. Wracając do konkretnych zarzutów pod adresem tekstu: pana mdła głupota jest widoczna już w pierwszym słowie pierwszego zdania pierwszego akapitu podziękowań: „Ta”, i stamtąd wrażenie prostackiej i żalostnej bezmyślności rozciąga się na cały pierwszy akapit, przy wtórze narastającego ryku debilizmu prowadząc do ostatniego słowa: „ponownie”, a wszelki szacunek, jaki czytelnik mógłby żywić wobec autora, zostaje całkowicie zniweczony za sprawą pana nieumiejętności sprawnego przekazania nawet nieoryginalnej myśli. A jednak w porównaniu z otepiającą pedanterią drugiego akapitu, pierwszy lśni geniuszem i zwyrodniałą błyskotliwością. Być może na tym etapie naszej pogawędki powinienem powtórzyć, że niezbyt podoba mi się ta książka.

Potem Gaudy wstał i krzyknął:

- MIESZA SIĘ PAN W SPRAWY, O KTÓRYCH NIE MA PAN POJĘCIA! WYDAJE SIĘ PANU, ŻE MOŻE PAN DO WOLI KRĘCIĆ SIĘ TAM NA DOLE I NIE PONOSIĆ ŻADNYCH KONSEKWENCJI?! CZY JEST PAN KOMPLETNYM KRETYNEM? JEŚLI KIEDYKOLWIEK WRÓCI PAN DO MORROW, WYPATROSZĘ PANA I RZUCĘ FLAKI PSOM! CZY. WYRAŻAM. SIĘ. JASNO??!

Nigdy nie dowiemy się, jakie jeszcze klejnoty retoryki mogłyby wydobyć się z ust Gaudy'ego, gdyż Duncan wybrał ten moment, by przewyciężyć bezwład i opuścić biuro Frankwrithe'a i Lewdena - na zawsze.

- Nie chodziło o to, że się go bałem - wyjaśnił mi później. - Po zejściu pod ziemię cóż jeszcze mogłoby mnie wystraszyć? Ale przez cały czas mówił tak monotennie, a na końcu wystąpiła mu na usta piana. (Byłem przerażony, Janice. Ten człowiek był głową instytucji, która istniała od ponad pięciuset lat. A teraz mówił mi, że moja praca jest bezwartościowa! Minał miesiąc, zanim odważyłem się choćby wyjść ze swojego mieszkania w Ambergris. Rzadko odwiedzałem Morrow i zawsze robiłem to dyskretnie).

Później, podczas Wojny Domów (jak ją nazwano) zrozumieliśmy, że Gaudy z przyczyn politycznych nie mógł inaczej zareagować na rękopis Duncana. Ale skąd Duncan miał wtedy o tym wiedzieć? Na pewno przeżył szok, przynajmniej niewielki. (Tak. Niewielki).

Niezrażony, znalazł nowego wydawcę w ciągu pół roku od dziwacznej odmowy Gaudy'ego. Wydawnictwo Hoegbottona, nowo utworzony i nadmiernie entuzjastyczny

oddział imperium handlowego Hoegbotton i Synowie, podpisało z moim bratem umowę. Książka wydała się nowemu redaktorowi Duncana, Samuelowi Hoegbottonowi - apodyktycznemu i niekonsekwentnemu młodzieńcowi o potężnych barkach, głosie jak kakofonia małp i paskudnym oddechu (wiecznie sprawiającemu zawód swojemu ojcu tyranowi, Henry'emu Hoegbottonowi) - pod każdym względem „DZIEŁEM GENIUSZU!”. Duncan chętnie zgodził się z tą opinią; był oszołomiony i nie zdawał sobie sprawy, że Samuel przeniósł się na to stanowisko prosto z działu handlowego i nie przekroczył progu księgarni od swoich dwunastych urodzin, gdy matka podarowała mu w prezencie bon towarowy do Księgarni Borgesa. („Który szybko spieniężył”, poinformował mnie kilka lat później rozbawiony Sirin, nasz kolejny wydawca). To, że Samuel zmarł na atak serca wkrótce po wydaniu piątej książki Duncana, nikogo nie zaskoczyło. (Poza mną!).

Książka, opublikowana z całym (być może miażdżącym) impetem imperium Hoegbottonów, nosiła tytuł „Cinsorium: Obalenie mitu szarych kapeluszy”. Od razu stała się bestsellerem.

Pomimo tego sukcesu, „Cinsorium” sygnalizowało początek drogi Duncana ku zapomnieniu, którego wcześniej szczerze mu życzyłam. Gdyby marzył o karierze poważnego historyka - takiej, za jaką oddałby życie nasz ojciec - powinien był powstrzymać wydanie książki i zabrać się za nowy projekt. Samuel Hoegbotton przyczynił się do katastrofy, zlecając wydrukowanie na górze okładki (prawie, ale nie do końca zasłaniając moje nazwisko) hasła: „Nareszcie! Prawda! O szarych kapeluszach! Wszystkie sekrety! Wyjawione!”.

Kupiłam książkę, gdy tylko się ukazała, nie mając pewności, że Duncan prześle mi egzemplarz. (Zrobiłbym to, gdybyś poprosiła). Zawiodła mnie z dwóch sprzecznych powodów: ponieważ brakowało w niej naukowej skrupulatności, która pojawiła się w „*O odbiciu światła w więzieniu*”, oraz ponieważ Duncan ani razu nie wspomniał w niej o swojej podziemnej podróży. Zdążyłam pogodzić się z irytacją wypływającą z faktu, że tak jak wszyscy będę musiała poczekać na relację z wędrownicy. Mogłabym to znieść, choć był to przejaw braku zaufania. Ale w ogóle o tym nie wspomnieć? Tego było za wiele. (Za to wspomniałem o Zamilonie. Czy to nie wystarczy? Na początek?).

Książka nie „wyjawiała” wszystkich sekretów. Zaciemniała je. Duncan mamił czytelników niesamowitymi obrazami pochodzącymi, jak twierdził, z pradawnych ksiąg, których istnienia nie uznaje większość uczonych. Jaskinie wysokie na milę. Zasłony z grzybów, które „falują w rytm muzyki granej w tonacji zbyt wysokiej dla ludzkiego ucha”. Grzyby, które beczą, skowyczą i „mówią w języku spór”. (Owszem, może rzeczywiście ukryłem niektóre głębsze prawdy, ale niczego nie zmyśliłem).

Za pomocą typowo Duncanowskiej prozy książka niemal nadludzkim wysiłkiem starała się ukryć niedostatki treści:

„Chociaż dociekliwy czytelnik może życzyć sobie dalszych ekstrapolacji dotyczących tego aspektu dziennika Tonsure'a, ekstrapolacje takie byłyby zbyt spekulatywne, by zapewnić choćby skromną strawę nawet dla laika. Niektórych tajemnic nie da się rozwiązać”.

(Sądzę, że to po części kwestia lęku, a po części prawda. Niektórych tajemnic nie da się rozwiązać. Kiedy dokopujemy się do odpowiedzi, odkrywamy kolejne pytania).

Książka była jak piękny, ale tępy miecz. Tam, gdzie traktowała o bardziej egzotycznych odkryciach, opierała się na cytatach z „nieznanych źródeł”. Chociaż Duncan twierdził, że zna prawdę o szarych kapeluszach, większą część książki poświęcił historii grzybów, wysuwając historyczne teorie, które mnie rozśmieszyły:

„Czy to możliwe, że plaga samobójstw i morderstw na dworze Kalifa pięćdziesiąt lat przed Ciszą była spowodowana emanacjami z olbrzymiego grzyba, który spoczywał pod ziemią w tamtej okolicy? Czy znaczna część domniemanych „dworskich intryg» mogła mieć coś wspólnego z zarodnikami? Czy tłumaczy to także agresję podczas tak zwanych »nieudanych Festiwali« w Ambergris?”.

Ujmując rzecz w skrócie, książka lekceważyła większość zasad historycznej sumiennosci i obiektywnego przedstawiania faktów. Duncan wspominał, że odbył podróż w celu zbadania ostatniej strony z dziennika Tonsure'a, ale nie podawał żadnych konkretnych odnośnie do jej lokalizacji i zawartości. Z pewnością w książce zabrakło szczegółów i „lokalnego kolorytu”, które znalazły się w jego własnym dzienniku. (Przyznaję, że „Cinsorium” nie była moim szczytowym osiągnięciem, chociaż wtedy miałem swoje powody, by ją napisać. Myślałem o Tonsurze i jego szyfrze. Sam nie miałem tak pilnej potrzeby zaszyfrowania swojego dzieła, ale czułem się zagrożony. Nie tylko ze strony szarych kapeluszy, ale także ludzi, którzy mogli przeczytać nieocenzurowaną prawdę i... ją odrzucić. Brutalnie odrzucić. Czy nie mógłbym, rozumowałem błędnie, dyskretnie odwołać się do tej prawdy, by moje podejrzenia w tysiącu umysłach skryształizowały się w pewność? Z tym

pytaniem zmagalem się także później, pracując z Jamesem Lacondem, chociaż wtedy już rozumiałem, że mogę liczyć na taką niezachwianą pewność najwyżej u garstki dusz).

Najbardziej śmiałym pomysłem zawartym na kartach „Cinsorium” była teoria, że Tonsure przepisał dziennik po jego ukończeniu. Zniechęciła ona dziesiątki wpływowych uczonych (a także ich naśladowców), którzy oparli setki książek i artykułów na konwencjonalnej chronologii. (Nie wydaje mi się, by to ich zniechęciło - większość z nich nie dysponowała źródłami ani wiedzą, które pozwoliłyby im potwierdzić bądź obalić to odkrycie. Początkowo nie czułem się jak wyrzutek. Poza tym, czy to uczciwe, by krytykować mnie zarówno za zaniedbania badawcze, jak i za unikatowe pomysły?).

Podczas lektury uderzyło mnie, że półprawdy szkodziły argumentacji Duncana bardziej niż oczywiste kłamstwa. Potykał się, słabł, ale brnął naprzód - pokonując granicę, za którą każdy rozsądny człowiek zrezygnowałby z tak beznadziejnej wędrówki.

Co ciekawe, jednocześnie kochałam go za odwagę i byłam wzruszona niemal do łez. Wiedziałam, że cały czas miał przed oczami naszego ojca, który biegł ku niemu po letniej trawie. Potrafiłam to uszanować. Jednakże nie wyjawiając wszystkiego, Duncan zagubił się w wewnętrznej krainie, gdzie kłamstwa zawsze brzmią jak kłamstwa, a to samo dotyczy prawdy. Nie mógł chronić szarych kapeluszy i jednocześnie usatysfakcjonować poważnych czytelników, nie zdradzając przy tym obu grup. (Szare kapelusze nie potrzebowały ochrony, tylko czytelnicy. Janice, być może ciebie już nie da się obronić, ale wciąż można coś zrobić dla ludzi na powierzchni).

Po części ze względu na te defekty „Cinsorium” miało nietypową historię publikacji. Błyskawicznie stało się bestsellerem, gdy Minister Literatury, zamiast zakazywać drukowania książki, polecił swoim pracownikom wykupienie całego nakładu i przesłanie go na dwór Kalifa. Czytelnicy na południu kupili większość drugiego wydania, gdyż Kalif był wtedy zajęty wojną z ludem Skamoo na północnej granicy. Jednakże, pomimo sprzedania ponad pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy, Hoegbotton nie zdecydował się na trzeci nakład.

Z pewnością dziwna i zastanawiająca cisza, z którą spotkała się książka, była powodem niechęci Hoegbottona do wznowienia „Cinsorium”. Cisza zapadła wśród najbardziej wrzaskliwych sępów, krytyków. W tak gorącej atmosferze, jaką stanowi południowa kultura literacka, takie przypadki się nie zdarzają. Nawet najskromniejszy pisarz, który własnym sumptem publikuje szmiry, może liczyć na miejsce w dziale recenzji lokalnej gazety. (Strach. To był strach). Ten brak zainteresowania okazał się zgubny; chociaż wiele dzienników pobieżnie wspomniało o ukazaniu się książki, pojawiły się tylko dwie recenzje, obie w niszowym piśmie redagowanym przez Jamesa Laconda. Lacond, znajomy Duncana

jeszcze w czasach przed wojną, napisał, że „Delikatne tematy wymagają delikatnego traktowania. Na każde dwa kroki Shrieka wstecz przypadają trzy kroki do przodu, aż w końcu w tej zataczającej koła ale stale posuwającej się naprzód argumentacji czytelnik zaczyna dostrzegać wzór, a także wyłaniającą się prawdę”. Być może tak. Być może nie. (Przynajmniej jedna osoba była gotowa to uznać!).

Żadne z tych wydarzeń nie miało dla mnie znaczenia, nie w świetle tego, co książka mówiła mi o moim bracie. Czułam, że stanowi ona dyskusję między Duncanem a Duncanem, i to bynajmniej nie na powierzchowne tematy, które poruszała. Duncan nie wiedział, co dokładnie widział pod ziemią. Tylko częściowo rozumiał szare kapelusze. (To prawda - nie byłem pewien, co widziałem. Ale nie mogłem zachować tego, czego nie wiem, tylko dla siebie. Jak mógłbym to zrobić? Widziałem zbyt wiele rzeczy, które mogłyby wstrząsnąć czyjaś wizją świata). To podtrzymywało przy życiu jego potrzebę, by robić coś, czego najbardziej się obawiałam: powracać pod ziemię, dopóki nie poczuje, że zrozumiał... wszystko.

Być może nie powinno mnie zaskoczyć, że cztery kolejne książki Duncana stanowiły powrót do akceptowalnego naukowego tonu. Duncan ponownie zajął się tematyką, w której czuł się najpewniej. Oczywiście było za późno. Nie miało to - i nie mogło mieć - większego znaczenia, ponieważ tchórzliwi krytycy, którzy odmówili recenzowania „Cinsorium”, przeczytali tę książkę. Naukowy styl zniechęcał czytelników szukających taniej sensacji, natomiast krytycy wściekle atakowali kolejne książki, najczęściej nie odwołując się w żaden sposób do „Cinsorium”. Jednakże echa debiutu unosiły się nad pracą Duncana jak duch. W recenzjach, które się ukazywały, lekceważono dokonania Duncana w sposób, który sprawiał, że mój brat wyglądał na fanatyka, wyrzutka, nawet heretyka. (Zawsze obwinałem za to Gaudy'ego, choć długo nie miałem żadnych dowodów, ani nawet spójnej teorii. Ale teraz jestem przekonany, że Gaudy użył swoich wpływów, by umieścić mnie na czarnej liście w typowym stylu F&L - za pomocą podstępnych komplementów, pomówień, insynuacji. Czy zrobił coś poza spotkaniem się z kilkoma wpływowymi redaktorami dzienników? Być może nie, ale to mogło wystarczyć. Chociaż oczywiście każdy pisarz wietrzy spisek, gdy jego książka otrzymuje gorsze recenzje i sprzedaje się gorzej niż oczekiwał). W recenzjach wspomniano także w krzywdzący sposób o zakazie Bonmota: „Najnowsze dzieło autora, który bluźnił przeciwko Kościołowi Truffidiańskiemu, traktuje o...”. Nie miało znaczenia, o czym traktowało.

Wkrótce po wydaniu „Kaprysów okoliczności i losu wśród klanów Aan” Hoegbotton oznajmił, że Duncan został usunięty z ich stajni pisarzy. Gaudy musiał zanosić się śmiechem za swoim palisandrowym biurkiem w Morrow. Żaden poważny wydawca nie zainteresowałby się szóstą książką Duncana. Wszystkie jego dzieła wkrótce miały zostać wycofane z druku. Z czysto praktycznych względów kariera Duncana jako autora książek historycznych dobiegła końca, a wraz z nią zostały pogrzebane nadzieje na zdobycie reputacji poważnego historyka. W wieku trzydziestu trzech lat.

Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, gdy mój brat poznał Sabon, która poświęcała wiele czasu podkopywaniu jego pozycji, aż w końcu książki Duncana metaforycznie stały się tylko zbiorami podartych kartek.

Dziwne. Po raz pierwszy uderza mnie myśl, że Duncan przez całe moje życie przygotowywał mnie do tej chwili. Klawisze maszyny do pisania oświetla zielony blask i może właśnie on pozwala mi widzieć to tak wyraźnie. Czy zawsze musimy być ślepi na tych, którzy są blisko nas? Czy porozumienie zawsze musi nam przychodzić z takim trudem? Duncan nigdy nie stracił do mnie zaufania. Po prostu nie chciał, aby przytłoczyły mnie informacje, które posiadał - chciał je dawkować, by oszczędzić mi szoku. A jednak przeżyłam szok, niezależnie od tych stopniowych przygotowań. Nie mogło być inaczej.

Jeśli Duncan bał się, że mnie straci, musiał także bać się utraty odbiorców.

Co mi przypomina, że również powinnam spytać: Czy cię tracę? Czy już cię straciłam? Mam nadzieję, że nie. Wciąż czeka nas wojna, na miłość Truffa.

Może jedyne wyjście to zacząć od nowa.

Czy powinnam to zrobić? Niewykluczone.

3

Niewiele rzeczy dostrzegamy z wyprzedzeniem. Zazwyczaj unikamy katastrofy w ostatniej sekundzie, cofamy się znad otchłani dzięki szczęściu, przeznaczeniu lub ślepemu przypadkowi. Dokładnie dziewięć lat przed tym, jak Mary Sabon zaczęła niszczyć mojego brata, tak jak niszczy się stary dom, wyrywając z niego kolejne cegły, Duncan odszukał mnie w mojej nowej Galerii Ukrytych Fascynacji. Nadal nie wiem, jak to zrobił (to przyziemna historia, w której rolę odegrały reklamy w gazetach oraz szczęście). Właśnie kupiłam galerię - wąski budynek przy Bulwarze Albumuth (pamiętam, że kiedyś był tam sklepik ze słodyczami, w którym sprzedawano także zmieniające nastrój grzyby - znacznie bardziej uczciwy towar) - dzięki kupieckiemu kredytowi pod zastaw posiadłości naszej matki nad rzeką Moth. (To wymagało nielicznego daru przekonywania!).

Błękitne niebo przecinały złote smugi, drzewa ponownie groziły uwolnieniem liści, które stawały się coraz bardziej żółte. Zapach płonących liści drażnił nozdrza, ale ulga wywołana trochę niższymi temperaturami dodawała energii przechodniom.

Połowa zawartości planowanej galerii leżała w pudłach wokół moich stóp. W rogach stały obrazy, plamy koloru wyzierały z krawędzi ram. Sterty papierów pochłonęły moje biurko. Zapach terpentyny, drewna i kleju był cudowny.

Byłam szczęśliwa. Po latach smutku. (Łatwo uznać, że przez lata byłaś nieszczęśliwa, ale pamiętam wiele sytuacji, gdy byłaś pełna energii i podekscytowana, swoją sztuką, swoimi badaniami. Przeszłość nie jest kamienną płytą; jest rozkawałkowana i porowata). Zdażyłam już zrezygnować z marzeń o karierze malarki. Odrzucenie, odrzucenie, odrzucenie.

Ono sprawiło, że częśćka mnie, która pragnęła malować, przygasła, pozostawiając lepiej przystosowaną Janice, gładszą Janice, mniej kreatywną Janice. Uznałam, że lepiej sobie poradzę jako właścicielka galerii, i jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że nadal zmierzam w stronę odległych rejonów, które na mapie oznaczono słowami „Krytyk sztuki” oraz „Historyk”. (Zmierzałaś w moją stronę, Janice. To nie takie złe). Dopiero później zaczęłam postrzegać swoją inwestycję w galerię jako formę samoudręki: promując dzieła innych, mogłam pomniejszać własne próby.

Tym razem Duncan wyglądał na zaszczutego; radość, którą dały mu poprzednie podziemne przygody, zniknęła, a pozostało tylko wyniszczenie przypominające śmierć. Bładość, która opanowała jego oblicze, usunęła wszelką wyrazistość i życie z jego kończyn, z jego ruchów.

Broda jak cienkie nici spór.

Chwiał się w drzwiach jak wysoki, pozbawiony krwi duch, przytrzymując otwarte drzwi gorączkowo drżącą ręką.

Buty zszargane i podarte, jakby pogryzione przez psa.

Wymamrotał moje imię, jak przez sen.

Ubranie obficie poplamione sporami, które przybrały postać drobnego, metalicznego pyłu lśniącego czarno wszędzie wokół niego.

Zostawiał za sobą ślad malutkich obsydianowych grzybów, które opadały z niego przy każdym skręceniu ciała.

Oczy przesłonięte czarnymi płatkami, wpatrujące się w jakąś nienazwaną wizję tuż za mną.

Ścisnął coś mocno w lewej dłoni, a blade knykcie odznaczały się na ciemnym tle pyłu zarodników.

Zatoczył się do wnętrza mieszkania, upadł na podłogę pomiędzy obrazami, zwiniętymi płótnami, nagimi ramami, które z próżnością ukazywały znajdującą się za nimi ścianę. W galerii unosiła się woń terpentyny, świeżo pociętego drewna, schnącej farby. Ale kiedy Duncan wyszedł na spotkanie podłódze, lub też ona wyszła jemu na spotkanie, wszystkie zapachy zmieniły się w jeden: zapach Duncana. Mroczną zieloną woń wydobywającą się z głębi ziemi. Subtelną mieszaną aromatów minerałów, ciała i grzyba. Zapach starej wody przeciekającej przez skały i ziemię. Zapach porostów i mchu. (Masz na myśli ciało przeniknięte grzybem - każdy por krzyżowo zapyłony, przesycony. Nie było w tym niczego subtelnego. Żywe i swędzące ciało). Zapach, który teraz wydzielał mój brat.

Zamknęłam za nim drzwi. Kilka razy klepnęłam go po twarzy, aż się ocknął i mnie zobaczył. Pomogłam mu wstać i zaprowadziłam do pomieszczenia na tyłach budynku. Był lekki jak szkielet owinięty w płótno. Zaczęłam płakać. Jego żebra uginały się pod naciskiem obejmującej go ręki, gdy delikatnie kładłam go pod ścianą. Miał tak brudne ubranie, że zmusiałam go, by je zdjął i włożył malarski fartuch.

Wmusiałam w niego trochę chleba i sera. Początkowo nie chciał jeść. Musiałam rwać chleb na małe kawałki i siłą rozwierać mu usta, a następnie je zamykać. „Połykaj”. Nie miał wyboru. Nie mógł ze mną walczyć - był za słaby. Albo to ja byłam, nareszcie, zbyt silna.

W końcu wziął ode mnie chleb i zaczął jeść samodzielnie. Nadal się nie odzywał, tylko wpatrywał we mnie białymi oczami wyraźnie odznaczającymi się na tle czoła i wystających policzków pokrytych ciemnym pyłem.

- Kiedy będziesz gotowy, mów - powiedziałam. - Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie opowiesz mi dokładnie, co się stało. Nie wyjdiesz, dopóki nie dowiem się dlaczego. Dlaczego, Duncanie? Co się z tobą stało? - Nie potrafiłam pozbyć się cierpienia z mojego głosu.

Duncan podniósł na mnie wzrok i się uśmiechnął. To był uśmiech pijaka. Uśmiech szkieletu. Uśmiech mojego brata, lakoniczny jak zawsze.

- Nic się nie zmieniłaś, sostro - rzekł. - Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Wiedziałem, że prawie mnie zabijesz, próbując mnie nakarmić. (Że mi pomożesz. Któż inny zechciałby mi wtedy pomóc?).

- Mówię poważnie. Nie pozwolę ci wyjść, jeśli nie powiesz mi, co się stało.

Znow się uśmiechnął, ale już na mnie nie patrzył. Dość długo milczał, a ja go obserwowałam.

Potem nastąpiła powódź. Mówił i mówił i mówił - w sposób bełkotliwy, spójny, urywany, inteligentny. Zaczęłam się go bać. Tyle słów. Był już całkowicie pusty w środku. Widziałam to. Czy kiedy ostatnie słowa wydobędą się z jego ust, płótno jego skóry opadnie, a filigranowe kości obrócą się w proch? Powoli zaczęłam wsłuchiwać się w słowa i zapomniałam, w jakim stanie znajduje się ten, kto je wypowiada. Zapomniałam, że jest moim bratem.

Tym razem zszedł głębiej pod ziemię, ale badania nie potoczyły się po jego myśli. Wplatał w swoją relację niewyraźne zapewnienia, że „już nigdy tego nie zrobi” oraz: „Jeśli zostanę na powierzchni, będę bezpieczny. Powiniennem być bezpieczny”. Wtedy myślałam, że ma na myśli fizyczne pozostawanie na powierzchni, ale teraz nie jestem tego pewna. (Możesz być pewna). Zastanawiam się, czy nie chodziło mu o powierzchnię umysłu. O to, że gdyby udało mu się powstrzymać przed myśleniem rozbieżnym, niewłaściwymi analizami, które skaziły niektóre z jego książek, mógłby ponownie zostać publikowanym pisarzem. (Kto wie? Mógłbym zrezygnować z bycia sobą, gdyby zmuszono mnie do wysłuchania własnych majaczeń. Mógłbym nawet zostać szanowanym obywatelem).

Gdy mówił, zrozumiałam, że nie jestem gotowa na jego objawienia. Popelniłam błąd - nie chciałam usłyszeć tego, co miał mi do powiedzenia. Pragnęłam się zdystansować od tego drżącego, dygoczącego wraku człowieka. Kurczowo trzymał krawędzie fartucha, który mu dałam, jak trup zaciskający palce na okładzinie trumny. Wyraz jego twarzy przypominał mi

ojca umierającego na letniej trawie. Przerzątał mnie. Usiłowałam umieścić naszą rozmowę w jakichś ramach.

- Co się stało z książką, nad którą pracowałeś? - spytałam.

Skrzywił się, ale ten wyraz twarzy nadał mu bardziej ludzki wygląd, jego wzrok zwrócił się do wewnątrz, a odbijające się w nim potworności już nie próbowały się wydostać.

- To poroniony pomysł. - Westchnął, jakby wypływając na powierzchnię po przymusowym zanurzeniu w czarnej wodzie. Zerwał się na równe nogi, po czym ponownie opadł do tyłu. Każda powierzchnia, której dotknął, pokrywała się czarnym proszkiem. - Poroniony - powtórzył. - Albo to ja go zabiłem. Sam już nie wiem. Może jestem mordercą. Byłem... byłem w połowie pracy. Zafascynowany dawnymi tekstami. Rozdęty od zawartej w nich wiedzy. Nie myślałem, że będę potrzebował bezpośrednich doświadczeń, by napisać książkę. Cóż za sieć słów, Janice. Jeszcze nigdy ich tylu nie użyłem. Tak wiele słów, że nie pozostały żadne, które jeszcze mógłbym wykorzystać. A jednak głęboko w mojej głowie wciąż czał się lęk. Nie mogłem się go pozbyć. (Nadal mieszam z tym problem. Pisanie książki i zejście do podziemi mają ze sobą wiele wspólnego. Lęk przed nieznanym nigdy tak naprawdę nie znika. Ale po pewnym czasie zmienia się w perwersyjną pewność).

Wypuścił z dłoni trzymany przedmiot, o którym prawie zapomniałam.

Przedmiot potoczył się po podłodze. Oboje wbiliśmy w niego wzrok, Duncan równie oszołomiony jak ja. Kula w kolorze miodu i pergaminu. Mięso? Tkanka? Kamień?

Duncan podniósł na mnie wzrok.

- Przypomniało mi się. Ona potrzebuje wilgoci. Jeśli wyschnie, zdechnie. Jej skóra popęka. Zwinęła się w kulkę, by chronić perłę wilgoci między rzęskami.

- Co to jest? - spytałam, nie potrafiąc pozbyć się wystraszonego tonu głosu.

Uśmiechnął się, rozpoznając ten ton.

- Zanim Umarł Tata - odrzekł - uznałabyś tę istotę za cudowną zagadkę. Wtedy chodziłaś ze mną do lasu, gdzie wykopywaliśmy ognistoczerwone salamandry, tylko po to, by patrzeć, jak ich oczy świecą w ciemności.

- Nie - odparłam. - Nie. Nigdy nie uznałabym tej rzeczy za cudowną zagadkę. Gdzie ją znalazłeś?

Sposób, w jaki pobłażliwy uśmieszek stopniowo wypłynął mu na twarz i uwypuklił kości na napiętej szyi oraz uczynił ciało wokół jego ust nośnikiem radości, sprawił, że zrobiło mi się niedobrze.

- A jak myślisz, skąd ona pochodzi?

Zignorowałam to pytanie i się odwróciłam.

- Obok swojego biurka z przodu galerii mam manierkę z wodą. Ale mów dalej. Opowiedz mi o swojej książce.

Zmarszczył brwi, gdy go ominęłam i przeszłam do głównej sali. Za moimi plecami jego odcieleśniony głos przybrał na sile, potem zadrżał, ale Duncan kontynuował. Jak drożdż złapany w sidła, rzucający się na wszystkie strony, coraz bardziej się zaplątujący i bliski śmierci. Jego zapach wypełniał całą galerię. W pewnym sensie byłam równie blisko niego, gdy szukałam manierki, jak wtedy, gdy przy nim stałam. Za oknami znajdował się prawdziwy świat, skomponowany z nienaturalnie jaskrawych kolorów i szybko przemykających klientów sklepów.

- Nigdy jej nie skończyłem, Janice. Co ty na to? Nie potrafiłem. Nie chciałem. Pisałem i pisałem. Każdego wieczoru pracowałem z energią dziesięciu ludzi. Teksty źródłowe, z których korzystałem, dopasowywały się do siebie pod wpływem mojej zręcznej manipulacji. Wszystko było tak idealnie sensowne... a potem zacząłem panikować. Zrozumiałem, że każde słowo coraz bardziej oddala mnie od głównej tajemnicy. Każde zdanie pozostawia fałszywy trop. Każdy akapit buduje nową ścianę pomiędzy mną a moją tezą. Wkrótce przestałem pisać. Wszystko szło dobrze. Jak to możliwe, że tak szybko całkiem się popsulo? Niedługo się dowiedziałem. Cofałem się przez otchłań słów, szukając błędu, szczeliny, pęknięcia w fundamentach. Być może któryś z akapitów okazał się zdrajcą i teraz się ujawni. Tylko że nie chodziło o akapit. Było to pojedyncze słowo, które znajdowało się pięć stron przed końcem moich śmiesznych bazgrołów, wewnątrz mało ważnego zdania. Tylko jedno słowo. Znam to zdanie na pamięć, ponieważ często je sobie powtarzam. Tylko ono pozostało z mojej książki. Chcesz je usłyszeć?

- Tak - odpowiedziałam, choć nie byłam pewna. Wciąż szukałam manierki pod stertami płócien.

- Oto ono: „Jednakże nawet jeśli wtedy prawda była jeszcze zakryta przed Tonsure'em, to z pewnością poznał ją, gdy wyruszył pod ziemię”. Tym słowem była „prawda”, a ja nie mogłem sobie z nim poradzić. Prawda śmierdziała podziemiami, była zakopana pod martwymi liśćmi i ukryta w zimnych, suchych, mrocznych jaskiniach. Prawda miała niewiele wspólnego z powierzchnią rzeczy. Z tego słowa, w tym kontekście, na tej stronie, zapisanej moim niemal nieczytelnym pismem, wyrastało, rozwijając się sylaba po sylabie, moje arcydzieło, moja piękna, cudowna książka. Zacząłem od wykreślenia słów, które nie pasowały do zdania. Potem zacząłem usuwać słowa w oparciu o zasady równie bezpodstawne i nielogiczne jak same szare kapelusze. Aż pewnego ranka tydzień później, gdy obudziłem się zdecydowany dalej w chirurgiczny sposób redagować swój rękopis, odkryłem, że nie

zachowało się w nim nawet pierwotne zdanie: z mojego niegdyś dumnego tekstu pozostało tylko jedno słowo: „prawda”. A prawda, droga siostrze, to zbyt małe słowo, by mogło wypełnić książkę, przynajmniej dla mnie. (Oraz moich wydawców, jeśli mam być szczery. Oczywiście gdyby byli jacyś wydawcy).

Znalazłam manierkę. Wróciłam do pokoju i podałam ją Duncanowi.

- Powinieneś się napić. Spłukać kłamstwo, które właśnie powiedziałaś.

Prychnął, wziął manierkę, podniósł do ust i pijąc z niej, pocałował ją jak kochankę.

- Być może to po części metafora - rzekł - ale paradoksalnie i tak prawda.

- A więc nie mów za pomocą metafor. Jak wtedy odróżnisz prawdę od kłamstwa?

- Chcę, by moje teksty odczytywano literalnie.

- Chyba literacko, Duncanie. Tylko że oni już kiedyś tak zrobili; zauroczyli cię, po czym porzucili dla kolejnej ofiary.

- Dosłownie.

- To dlatego przyniosłeś ze sobą to okropne zwinięte zwierzę? Metafora stała się ciałem?

- Nie. Zapomniałem, że je mam. Ale skoro już je przyniosłem, nie mogę pozwolić, by zdechło. (Tak naprawdę, Janice, specjalnie je zabrałem. Po prostu zapomniałem, w jakim celu).

Szybko podszedł do złocistej żywej kuli, nabierając wody na dłoń. Podniósł na mnie wzrok, a wyraz jego twarzy przypomniał mi jego wszystkie głupie dziecięce wyprawy.

- Popatrz teraz! Patrz uważnie!

Powoli polał wodą złocistą kulę. Po chwili złoty kolor zmienił się w fioletowo-żółto-niebiesko-zieloną mieszankę barw, która następnie znów stała się złota, lecz przybrała bardziej intensywny odcień, który zaśnił w słabym świetle. Duncan wylał na stworzenie więcej wody. Wydawało się, że zwierzę się rozpada, jego skórę nagle pokryła regularna siatka pęknięć. Ale nie - po prostu się otwierało, rozprostowując wszystkie cztery kończyny na szczycie kuli. Znalazło się w pozycji do góry nogami, a wtedy natychmiast podskoczyło, obróciło się i wylądowało rękami do dołu; przypominało fosforyzującą rozgwiazdę.

Duncan jeszcze pokropił zwierzę wodą. Każde z czterech ramion lśniło innym połyskującym odcieniem - zielono, niebiesko, żółto i fioletowo - krawędzie niebieskiego ramienia z jednej strony były zabarwione na zielono, a z drugiej na żółto.

- Rozgwiazda - powiedziałam.

- Kompas - odparł. - Jeden z wielu cudów, które można znaleźć pod ziemią. Żywy kompas. Niebieski kolor wskazuje północ, więc jeśli ją odwrócisz - wziął rozgwiazdę do ręki i delikatnie ją obrócił - ramię skierowane dokładnie na północ zabarwi się na czysty błękit.

Rzeczywiście, błękit pozbył się wszelkich domieszek zieleni i żółci.

- Ten kompas nie raz mnie uratował, gdy gubiłem drogę.

Popatrzyłam na stertę niezgrabnych ram do obrazów.

- Mam już dosyć cudów, Duncanie. Dla mnie to tylko kolor, zwykła sztuczka. Prawdziwym cudem jest to, że żyjesz. Nikt nie mógł się tego spodziewać. Cierpisz na załamanie psychiczne, schodzisz pod ziemię, wracasz z żywym kompasem i oczekujesz, że powiem... co? Jakie to wszystko wspaniałe? Jaka jestem zachwycona? Nie. Czuję obrzydzenie. Przerażenie. Gniew. Nie powiodło mi się w kilku zawodach. Właśnie otwieram swoją galerię. Nie widziałam cię od prawie dziesięciu lat, a teraz wtaczasz się tutaj, gadający szkielet, i oczekujesz, że będę pod wrażeniem magicznego pokazu? Czy ty w ogóle wiesz, jak wyglądasz?

Nie pamiętam, abym kiedykolwiek wpadła w taką wściekłość - i to tak niespodziewanie, z tak błahego powodu. Trzęsły mi się ręce. Moje ramiona zamieniły się w sztywne kamienne kloce. Bolało mnie gardło. I nawet nie jestem pewna dlaczego. (Ponieważ się bałaś, ponieważ jesteś moją siostrą i mnie kochasz. Nawet w chwilach, gdy byłaś na mnie wściekła, byliśmy rodziną). Kiedy teraz to piszę, niemal chce mi się śmiać. Od tamtej pory widziałam tyle dziwnych rzeczy, leżałam nieruchomo na podłodze pełnej trupów, zaakceptowałam tak wiele dziwactw Duncana, że z perspektywy czasu tamta rozgwiazda wydaje mi się niemal pospolita, a złość egoistyczna.

Podniósł rozgwiazdę i położył ją sobie na dłoniach. Spoczywała tam zadowolona, jak w basenie pływowym.

- Niczego nie oczekuję, Janice - powiedział, starannie ważąc, pakując i obwiązując wstążką każde słowo, zanim pozwolił im opuścić usta. - Nie mam nikogo innego, komu mógłbym o tym opowiedzieć. Nikogo, kto widział się ze mną poprzednim razem. Nikogo, kto mógłby uwierzyć w to, co widziałem. Niezależnie od rozgwiazdy.

- W takim razie opowiedz mamie. Ona cię wysłucha. Jeśli będziesz mówił wystarczająco cicho, nawet tata może wyłowić jakiś szept. Spotkałeś go tam na dole?

Skrzywił się i usiadł pod ścianą obok patrzącego złym wzrokiem portretu pędzla Sontera. Cienie i połyskujący czarny pył na jego skórze czyniły go niemal niewidzialnym.

Spowity ciemnością, powiedział:

- Przepraszam. Nie chciałem... nie zdawałem sobie sprawy... Ale wiedz, Janice, że jesteś jedyną osobą, która nie uważa mnie za szaleńca.

Rozgwiadza zaczęła badać zgięcie ręki Duncana. Jej ożywione rzęski lśniły wilgocią, tysiąc drobnych ruchomych klejnotów wśród nieruchomych trzcin włosów na przedramieniu.

- Tam jest tak trudno - rzekł. - Połowa z tego, co widzisz, wydaje ci się halucynacją albo snem, mimo że tego doświadczasz. Nie wiesz, co jest prawdziwe, więc co chwila głupio ryzykujesz. Zupełnie jakby nie mogła ci się stać krzywda. Dajesz się nieść z prądem jak spora. Całymi dniami przesiadujesz w jaskiniach wielkich jak miasta, pozwalając, by grzyby wpełzały na ciebie i cię pożerały. Gwiazdy, które nie mogą nimi być, opadają na ciebie falami. A ty tylko siedzisz. Popołudnie w parku. Jednoosobowy piknik. Przechodzą obok ciebie różne rzeczy. Niektóre zatrzymują się i patrzą. Niektóre trącają cię lub uderzają, a wtedy musisz udawać, że to sen, w przeciwnym razie ogarnęłyby cię takie przerażenie, że nie powstrzymałoby cię przed krzykiem, który dopiero oni by przerwali.

Zadrżał i przetoczył się na bok.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam - jęknął. Rozgwiadza na jego ramieniu migotała złością.

- Czy było warto? - spytałam. - Było?

- Zapytaj mnie za pięćdziesiąt lat, Janice. Za sto lat. Za tysiąc. (Nie potrzebowałem aż tyle czasu. Już pięć lat później zacząłem rozumieć, że każdy pobyt pod ziemią jest dla mnie tym, czym kolejna dawka uzależniających grzybów dla narkomana. Dopiero po dziesięciu latach takich przygód uświadomiłem sobie, że mogę jedynie reagować na te podróże, ale nie potrafię ich przewidywać. Przyswajam, lecz głównie na płaszczyźnie fizycznej).

Przewrócił się na drugi bok, trzymając się za brzuch.

- Myślałem, że uda mi się to z siebie wyrzucić, jeśli o tym porozmawiam. Wypłukać to z mózgu, z ciała. Ale wciąż tam jest. Cały czas jest we mnie.

Znów mówił o dwóch rzeczach jednocześnie, ale wtedy byłam w stanie rozmawiać z nim tylko o tym, w czym mogłam mu pomóc.

- Duncanie - powiedziałam - tym razem nie uda nam się tego z ciebie zmyć. Obawiam się, że to jest w tobie, jak jakaś trucizna. Pory twojej skóry są zatkane czarnymi sporami. Twoja skóra jest... inna.

Głośno wciągnął powietrze. Czyżby płakał?

- Wiem. Czuję to w sobie. Usiłuje mnie zmienić.

- Więc mi o tym opowiedz. Opowiadaj, dopóki się nie wygadasz.

Roześmiał się bez cienia wesołości.

- Zwariowałaś? Nie mogę gadaniem usunąć tego ze swojej skóry. Nic z tego.

Dołączyłam do niego pod ścianą, odsuwając portret Sontera. Rozgwiżdza rozczapierzyła się z boku szyi Duncana jak egzotyczna blizna.

- Siedzisz na północy - powiedziałam. - Jej ramię stało się niebieskie. I masz rację, Duncanie. Jest piękna. To jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie widziałam.

Chciał ją zdjąć, ale chwyciłam go za rękę.

- Nie. Nie rób tego. Wydaje mi się, że ona żywi się sporami, które tkwią w twojej skórze. - Rozgwiżdza pozostawiała za sobą niemal biały ślad.

- Tak myślisz? - Patrzył mi w oczy, szukając czegoś, czego być może nigdy nie byłam w stanie mu dać.

W tamtej chwili, nim zaczął opowiadać mi swoją prawdziwą historię, do której to wszystko stanowiło głupi, bełkotliwy wstęp - w tamtej chwili kochałam swojego brata bardziej niż kiedykolwiek od czasu jego przyjścia na świat. Jego twarz lśniła ciemno w mojej skazanej na klęskę galerii, cenniejsza od któregośkolwiek z obrazów.

Leżeliśmy obok siebie w ciszy, w pogrążonym w półmroku pomieszczeniu na tyłach galerii, otoczeni martwą farbą. Nikły blask dobiegający z głównej sali świadczył o tym, że słońce zaczęło wycofywać się z nieba. Rozgwiżdza wzdrygnęła się, jakby dotknięta wspomnieniem światła, kontynuując powolną wędrówkę ku czubkowi głowy Duncana.

Pamiętałam popołudnia, gdy razem z Duncanem przesiadywaliśmy pod ścianą domu w Stockton, schowani przed słońcem, jedząc ciastka, które ukradliśmy z kuchni, i rozmawiając o szkole lub wrednym sąsiedzie. Światło wyglądało wtedy tak samo, niemal skręcało za róg budynku, wnikając w drobinki kurzu. Jakby chciało nam powiedzieć, że nigdy nie jesteśmy sami - że nawet w tej bezwietrznej ciszy, z palcami poplamionymi trawą, ani przez chwilę nie znajdujemy się poza czasem.

Duncan zaczął mówić, a ja słuchałam o nic nie pytając i nie komentując. Wpatrywałam się w pustkę, opanował mnie wielki spokój. W pomieszczeniu było chłodno i ciemno. Cienie nas kochały.

Jednakże pamięć jest niedoskonała, niekompletna, kapryśna. Podpowiada odcień bluzki, którą miała na sobie matka w dniu śmierci ojca, ale nie pozwala przywołać dokładnego przebiegu rozmowy między rodzeństwem kilkadziesiąt lat później. Dlatego muszę się odwołać, tak jak robiłam przez większość tego posłowania, do znacznie późniejszego wpisu pochodzącego z dziennika Duncana - bez wątpienia późniejszego, gdyż jest skazony

obecnością Mary Sabon; tak skażony, że nie da się jej łatwo usunąć z tekstu. (Nie możesz wymazać przeszłości tylko dlatego, że chciałabyś, żeby się nie wydarzyła).

Czy ma to jakiegokolwiek znaczenie dla Duncana, gdy teraz na to patrzy? Żadnego. Dlaczego więc nie miałabym ukraść jego zapisków i sprawić, by jego najskrytsze myśli rozlały się po stronie jak krew, chlapanąc nimi w twarze członków naszyjnika ciał Sabon niczym rzadką szpachlówką wycofującego się życia. Pozwolę, by Duncan sam opowiedział nam o swoich podziemnych podróżach. (Czy mam jakiś wybór? Ale masz rację - to już nie ma znaczenia. Nie zrezaguję Twojego tekstu, choć od czasu do czasu mogę protestować. Jeszcze nie zdecydowałem, czy jesteś prawdziwą historyczką, czy też niewiele różnisz się od dziennikarek pisujących do działu plotek).

„Tonsure częściowo miał rację - przestrzenie kurczą się i rozkurczają, od niewielkich do olbrzymich, a długi pobyt pod ziemią w zagadkowy sposób zmienia perspektywę. Czerń przybiera różne odcienie i faktury, zmienia się w antykolor, antyspektrum. Cuchnący zaduch i ogrom, mnogość zapachów, od uspokajającego aromatu czegoś, co przypomina miętę, po ostry smród gnijących grzybów, który kojarzy się z wonią padliny... A jednak wszystkie moje słowa czynią mnie kłamcą. Mozolnie próbuję wyrazić siebie, ale czuję, że coraz bardziej oddalam się od prawdy. Nic dziwnego, że Mary ma mnie za głupca. Nic dziwnego, że patrzy na mnie jak na najdziwaczniejszą rzecz, jaką widziała w życiu. Przez chwilę dostrzegłem jej miękką białą pierś, gdy schyliła się po książkę. Jestem zbyt szorstki, by móc dotknąć jej skóry. Myśl o znalezieniu się blisko niej kusi mnie, a jednocześnie sprawia, że brzydzę się własną niezdarnością.

To jedno podoba mi się pod ziemią: utrata własnego ja w zetknięciu z otoczeniem jest intensywna jak orgazm lub epifania, rozbija zmysły, napręża je, rozczłonkowuje i rozszerza do rozmiarów nieba. Czas wyzwala się z utartych znaczeń. Przestrzeń jest tylko jego podzbiorem. Tracisz śmiertelność. Bicie twojego serca przestaje być ruchem lub chwilą, staje się możliwością, która pewnego dnia ma szansę zaistnieć, by następnie przeminąć i znów powrócić. To najbardziej przerażająca utrata kontroli, jaką można sobie wyobrazić.

W moim przypadku przebiegało to inaczej niż u Tonsure'a. On nie miał żadnej prawdziwej ochrony, nic go nie broniło, dopóki się nie przystosował. Ja przynajmniej dysponowałem wskazówkami, które pozostawił. Wiedziałem, jak

stać się dla nich niewidzialnym, zagubić się, lecz nie zgubić. Znieruchomieć jak śmierć, ale nie umrzeć. Czasami oznaczało to wystawanie całymi dniami w jednym miejscu, a czasem bezustanne gorączkowe ruchy naśladujące rozpaczliwe wicie się cheratikatikali [brak znanego tłumaczenia].

Stanie było gorsze od chodzenia i biegania. Potrafiłem zamaskować się przed szarymi kapeluszami, ale nie przed ich sługami - sporami, pasożytami, malutkimi kapeluszami, grzybami i porostami. Odnajdywały mnie i przenikały do mojego wnętrza - czułem ich macki, mięsiste-suche-zimne-ciepłe nibynóżki, rzęski i nitki, które powoli wsuwały się pod moją skórę niczym setka małych dłoni. Usiłowały przekształcić mnie na własne podobieństwo, ale paradoksalnie dzięki ich wysiłkom byłem jeszcze lepiej zakamuflowany przed szarymi kapeluszami, więc spędzałem tam więcej czasu, uważając, że nic mi nie grozi. Gdybyś to była ty, Mary, nie miałbym nic przeciwko. Gdybyś mnie odnalazła, zrezygnowałbym ze swojej tożsamości, pozwalając, by rozwiała się jak obłok.

Dryfowałem bez końca, często pogrążony w tak głębokim transie, że przez wiele godzin w mojej głowie nie pojawiała się ani jedna świadoma myśl. Byłem parą oczu przekazujących informacje do mózgu, który przestał nadzorować i analizować odbierane obrazy. Wszystko przechodziło przeze mnie do jakiegoś innego miejsca. W pewnym sensie czułem ulgę. Teraz zastanawiam się, czy nauczyłem się, jak to jest być drzewem, a nawet, zabijcie mnie, szarym kapeluszem. Ale to niemożliwe - szare kapelusze ciągle są w ruchu, bezustannie myślą. Widać to w ich oczach.

Pewnego razu, gdy stałem w nieruchomym transie, podszedł do mnie jeden z szarych kapeluszy. Co zrobił? Nic. Usiadł przede mną, po czym wpatrywał się we mnie całymi godzinami, całymi dniami. W jego oczach odbijała się ciemność. Było w nich coś, co mnie przytrzymywało, całkowicie i wbrew mojej woli. Mary także mnie przytrzymuje, lecz za moim przyzwoleniem. Jej oczy: zielone, zielone, zielone. Zieleńsze niż Ambergris. Zieleńsze niż najzieleńszy mech nad spokojnym strumieniem.

Po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że szary kapelusz odszedł, ale minęło kilka tygodni, nim powróciłem na powierzchnię swych myśli, i kilka miesięcy, nim odnalazłem prawdziwą powierzchnię, a wraz z nią światło. Światło! Słaba strużka późnopołudniowego półmroku, zapowiedź zachodu słońca, a jednak poraziła mi wzrok. Zdołałem otworzyć oczy dopiero po

zmroku, po omacku szukając drogi wzdłuż brzegu rzeki Moth jak jakiś żalony kret. Światło paliło moje zamknięte powieki. Miałem wrażenie, że pod jego wpływem pęka mi skóra. Usiłowało jednocześnie zabić mnie i wydać na świat. Leżałem w błocie, ciężko dysząc, rzucając się, przestraszony, że się spalę”.

Pociągnęłam długi łyk z manierki, chociażby po to, by złagodzić skutki gorąca, o których wspominał Duncan. Rozgwiazda pełniła teraz rolę egzotycznego świecącego ucha zasłaniającego ciało i krew. Lekko brzęczała, wykonując swoje zadanie. Otaczał ją zapach świeżo pokrojonych pomarańczy.

Podalam Duncanowi manierkę. Wykorzystał tę okazję, by wylać jeszcze trochę wody na swoje zwierzątko. Już miałam go trącić, zachęcając do kontynuowania opowieści, gdy zdjął rozgwiazdę z ucha, wyprostował się i spojrzał w dół na kompas, który przyszał się do jego palców.

- Czy znasz pierwsze zdania Biblii Truffidiańskiej? - spytał.

- Nie - odparłam. - A ty? - Nasi rodzice traktowali religię jak drzwi, za którymi rozciąga się bezkresna otchłań: lepiej wcale nie wierzyć, uczyła otchłań, niż karmić się czymś ograniczonym, zafałszowanym, upiększonym. (A jednak po tych wszystkich latach w mojej skórze tkwi coś, co brzęczeniem opowiada mi o świecie w sposób, który sugeruje nieskończoność).

- Owszem, znam. Chciałabyś je usłyszeć?

- Czy mam jakiś wybór?

- Nie. Te słowa brzmią: „Świat jest popsuty. Bóg jest na wygnaniu”. A wkrótce potem: „Podczas pierwszej części stworzenia Bóg uczynił światło oraz naczynia na światło. Te jednak okazały się zbyt kruche: popękały, a ze strzaskanych naczyń wypełnionych niebiańskimi światłami został stworzony materialny świat”.

W moim wnętrzu otworzyła się otchłań. Poczułam dreszcz i dostałam gęsiej skórki. Każde słowo wydobywające się z moich ust brzmiało ciężiej niż powinno.

- A co stworzenie świata ma wspólnego z szarymi kapeluszami?

Przyłożył palec do ust. W słabym świetle jego twarz lekko lśniła, blado wtórując blaskowi rozgwiazdy. Jego skóra przebijała spod grzybowego pyłu. Wyglądał tak staro. Dlaczego wygląda staro? Co on wie?

- Maszyna - odpowiedział. - Szkło. Lustro. Popsuta maszyna. Pęknięte szkło. Stłuczone lustro.

Pamiętam, w jaki sposób używał tych zwrotów. Czyste, delikatne cięcia. Potężne cięcia z zamachu. Pęknięcia w słowach i w świecie.

„Niekórych rzeczy lepiej nie wypowiadać. Niekórych słów nie należy używać w kombinacjach z innymi”. Tak kiedyś rzekł mój ojciec, gdy czytał zjadliwie negatywną recenzję jednego ze swoich esejów. Powiedział to ze zmęczeniem w głosie i z westchnieniem, żartując sam z siebie. Całe jego ciało ugięło się pod naporem tych słów, które ciążyły mu jak kamienie w kieszeni.

Maszyna. Szkło. Lustro. Dziennik Duncana, korzystając z przewagi odległości, opisuje jego odkrycie ze znacznie większą elegancją...

„Ona jednak nie działa poprawnie. Nie działa od samego początku, odkąd ją zbudowano. Zawodzi jakaś część, mechanizm, równowaga - coś, czego nie rozumieją. Jak mogę nazywać to maszyną? Jest w równej mierze organiczna i metaliczna, mieści się w jaskini większej niż trzy Katedry Truffidiańskie. Zanim ukazuje się twoim oczom, wyczuwasz ją i słyszysz: dudniące buczenie, zgrzytające pulsowanie, żalosne ryki z mocą przetaczające się przez trzeszczące korytarze. Poprzedza je gorący wiatr. Jedyne wejście prowadzi, po ciężkiej wędrówce, na tyły Maszyny, gdzie widzisz jej wnętrzności. Uderza cię jej straszliwa cielesność, gdyż karmi się ją żywymi istotami, nie tylko paliwem. Mięso i metal zespala się, zaślubione przez spory, a do nich dołącza splot polipów, włókien i leniwie powiewających nitek. Smugi i przetworzone światło księżyca. Iskry i koła zębate. Początkowo nie widzimy całości, gdyż przesłania nam ją natłok szczegółów, elementy, które znajdują się na wysokości oczu: rząd białych ciał przypominających robaki, zwiniętych między trybami i kołami zębatymi, z zamkniętymi oczami, najwyraźniej pogrążonych we śnie. Pomarszczonych i lśniących. Ze szczątkowymi kikutami kończyn. O twarzach identycznych z obliczami szarych kapeluszy.

Nie sposób nie przyjrzeć się dokładniej. Nie sposób nie zauważyć dwóch rzeczy: tego, że oni śnią, drgają odruchowo przez sen, a ich powieki trzepoczą pod wpływem podświadomych myśli, oraz że tak naprawdę wcale nie tkwią wewnątrz Maszyny - są zwinięci razem z jej trybami, połączeni z nią w stu punktach stycznych. Niebiesko-czerwone żyły w ich rękach płyną do mlecznobiałych palców, na granicy między skórą a powietrzem zmieniając się w srebrzyste druty. Druczane kosmyki splatają się z kosmykami ciała, które

przeplatają ostre kółka zapchane skrawkami mięsa, wirujące w ciemności przy wtórze ledwo słyszalnego jęku.

Gdy przypatrujesz się najbliższemu białemu pomarszczonemu ciału, zaczynasz wyczuwać woń gęstej mieszanki oleju i krwi. Kiedy smak wdziera ci się do ust, cofasz się o krok i nagle masz wrażenie, że spadasz, ogarniają cię tak intensywne zawroty głowy, że rozpaczliwie wymachujesz rękami, choć stoisz na twardym gruncie. Ponieważ zdajesz sobie sprawę, że to nie jest jedna blada śniąca postać ani nawet rząd postaci, pięć rzędów czy pięćset, ale ponad pięć tysięcy mlecznobiałych snów niknących w oddali - tak daleko, jak sięgasz wzrokiem - miliony, pochwycone i sparaliżowane z tyłu Maszyny. Wszystkie śnią, ich powieki trzepoczą w jednym rytmie, a ich krew płynie do wnętrza drutów, podczas gdy sto tysięcy zaostrzonych kółek obraca się bezdźwięcznie.

Niskie buczenie, które słyszysz, nie dobiega z maszynierii. Nie wywołują go kółka, tryby ani druty. Emanuje z białych ciał. To one buczą przez sen, powoli i równo, ze spokojem, którego nie doświadczają - jak mogą to pisać, dlaczego to robię? chyba tylko po to, by po skończeniu już nigdy nie spojrzeć na te słowa - podczas gdy sama Maszyna trwa w ciszy.

Rzędy postaci rozmazują się, gdy przekrzywiasz głowę i podnosisz wzrok, nie dlatego, że są od ciebie nadmiernie oddalone, ale dlatego, że twoje oczy i mózg postanawiają, że to dla nich zbyt wiele, że jeśli to przyswoisz, to oszalejesz, że będzie dla ciebie lepiej, jeśli nie zrozumiesz ogromu tej przytłaczającej wizji, że gdybyś ją pojął w pełni, nawiedzałyby do końca życia nie tylko twoje koszmary, lecz trwale nałożyłyby się na to, co widzisz na jawie, a ty brnąłbyś przez dalsze życie jak ślepiec, gdyż widmowa wizja w twojej głowie byłaby silniejsza od rzeczywistości.

Dlatego powracasz do szczegółów - szczegółów, które znajdują się bezpośrednio przed tobą. Splot drutów i rurek, wśród których umieszczono drozda, zespolonego z mechanizmem, boleśnie trzepoczącego połamanymi skrzydłami. Wążka: martwa, krucha i szklista. Kawalki mięsa wciąż wijące się na wspomnienie wzajemnego połączenia. Czaszki. Żółknące kości. Byszczące czarne pnącza. Kawalki ziemi. I trzymający to wszystko razem jak klej matowoczerwony grzyb.

Ale teraz szczegóły stają się zbyt szczegółowe, obraz ponownie rozmazuje ci się przed oczami i dochodzisz do wniosku, że być może ocali cię

ruch - że jeśli przemieścisz się na drugą stronę Maszyny, to odnajdziesz coś odmiennego, coś, co nie nawołuje cię bezlitośnie do uległości. Ponieważ, jeśli będziesz tam stał przez kolejną minutę, sam zapłaczesz się w tryby Maszyny. Wpełniesz między mięso i metal. Zwiniesz się w kłębek, obejmując coś bladego i lepkiego. Rozluźnisz się i zajmiesz udostępnioną ci przestrzeń, twoje nogi zostaną od ciebie oddzielone w fontannie krwi i drutów, na co zareagujesz uśmiechem, twoje oczy będą już wtedy mętne, śniąc jakiś wspólny sen, twój język stanie się językiem Maszyny, usta zaczną buczeć w obcym języku, metalowe macki obciążą ręce, tułów rozdzieli się na pół, by wypuścić to, co musi zostać wypuszczone.

Długo stoisz nad szczeliną, która dzieli beztroską akceptację rozpadu i odpowiedzialność ruchu, a ku tobie wyciąga macki kuszący zapach rozkładu, ostatecznej beczynności... jednak w końcu znów się poruszasz, przy wtórze słyszalnego drzenia, które wstrząsa twoimi kośćmi i niemal rozrywa cię na kawałki.

Gdy kuśtykasz ku bocznej części Maszyny, czujesz, jak nagle otwiera się milion par oczu pomarszczonych, skulonych białych postaci, które na sekundę zostają wyrwane ze swojego snu o tobie.

Nie ma historii ani terażniejszości. Są tylko boki Maszyny. Gładkie wspomnienie metalu, oszalałego od własnej jasności, oszalałego od pamięci o tym, co zawiera. Kurczowo przytrzymujesz się tych boków, ale mijasz je najszybciej jak to możliwe. Są jak środek książki - niezbędny, lecz szybko kartkowany w oczekiwaniu na zakończenie. Na próżno próbujesz zapomnieć początek.

Przód Maszyny ma uspokajający charakter, przejrzysty bądź odbijający światło. Nigdy nie zdecydujesz, który z nich, mimo że stoisz tam z wbitym w nią wzrokiem przez całe dni, schwytyany w sidła głupiej nadziei, że oto pojawi się coś negującego przerażające zaprzeczenie wnętrza Maszyny. Jej powierzchnię mącą widma obrazów, jakby raz za razem bezmyślnie ścieranych nieostrożną dłonią drobiazgowego i niecierpliwego artysty. Olbrzymia smagana wiatrem pustynia, ospała ciężarem swych wydm. Niezmacony ocean, którego powierzchnię zakłócają jedynie cienie wiszących nad nim chmur, a woda ma

tak doskonały turkusowy odcień, że aż rani oczy. Górskie pasmo o zachodzie słońca, którego masywy podpierają odległe, leżące w ruinie wieże. Obrazy te za każdym razem migotliwie dochodzą do doskonałości, by po chwili wycofać się w niepamięć. Miejsca, których - o ile tylko istnieją na świecie - nigdy nie widziałeś, nigdy też nie słyszałeś o ich istnieniu. Nigdy.

Osuwasz się w spokój tych scen, chociaż nie potrafisz zapomnieć białych kształtów za Maszyną, trzepoczących powiek, pod którymi migoczą obrazy. Tylko Maszyna wie, ona zaś jest uszkodzona. Jej myśli są skażone. Twoje myśli są skażone: przepływają przez mózg wolno jak płyn, chociaż chciałbyś, żeby się zatrzymały

Po kilku dniach twoje spojrzenie zaczyna błędzić i tracić ostrość, a ty powoli mrugasz i na samym dole lustra zauważasz drzwi. Są niemal równie wielkie jak cała Maszyna. Są małe jak twój paznokieć. Odległość dzieląca cię od nich jest nieskończona. Odległość ta jest tak niewielka, że mógłbyś sięgnąć i ich dotknąć. Są przejrzyste - obrazy przepływające przez ekran przemykają także przez nie. To, że w ogóle je dostrzegasz pod przesuwającymi się po ich powierzchni obrazami pustyni, oceanu czy gór, zawdzięczasz ledwie dostrzegalnej rysie grubości włosa, która nakreśla ich kształt. Uświadamiasz sobie, że te drzwi również są lustrem, i po długotrwałym braku skupienia na czymkolwiek, pozwalaniu, by obrazy przez ciebie przepływały, odkrywasz, że koncentrujesz się na drzwiach i tylko na nich. Pod wieloma względami to zwykłe drzwi, niemal nieistniejące. A jednak, kiedy się w nie wpatrujesz, twoje ciało przenika fala strachu. Strachu tak oślepiającego, że cię paraliżuje i nie jesteś w stanie się poruszyć. Czujesz napór całego mięsa, ciała, metalu, skrywających się wewnątrz Maszyny, zgromadzonych za drzwiami. To staje się nieznośnym ciężarem u szyi. Jesteś w tym zagrzebany, w pudełku, pod wiecznością skał i ziemi. Robaki nucą ci przez gruz swą pieśń. Znają twoje imię. Nie jesteś w stanie myśleć. Głowę wypełnia ci krew. Nie masz odwagi oddychać.

Za tymi drzwiami coś się czai.

Za tymi drzwiami coś się czai.

Za tymi drzwiami coś się czai.

Drzwi zaczynają się otwierać do wewnątrz i coś płynnego i powolnego, lecz już nie śniącego zaczyna wychodzić, zataczając się przy ich krawędzi. Rzucasz się do ucieczki - uciekasz od tego miejsca tak szybko jak tylko potrafisz, wrzeszcząc, póki krew z głowy nie wypełni ci gardła, a głowa nie stanie się kulą pustą w środku, gdy ty toniesz we krwi. I wciąż nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ znów jesteś w tym samym miejscu z robakami, czaszkami, bladymi śniącymi i Maszyną, która nie działa jak trzeba, wiesz, że niedziałajaktrzeba wiesz żeniedziałajaktrzebawiesz niedziałatrzewiesz niedzitrzewie nidrzewi drzwi...»*.

Wpis dotyczący popsutej „maszyny” zbudowanej przez szare kapelusze stanowi najdziwniejszą część dziennika mojego brata. Zdecydowanie. W czystej fizyczności opisu wyczuwam niepokój rzadko spotykany u Duncana. Zupełnie jakby zbudził się wystraszony z niespokojnego snu, wziął pióro i notatnik z nocnego stolika i spisał swoje pierwsze wrażenia z blaknącego koszmaru. Wydaje się, że początkowo koniecznie chce zrelacjonować swoje doświadczenie, potem zmienia zdanie, a pisząc w drugiej osobie, składa ciężar pamięci na czytelniku, by pozbyć się tych obrazów z głowy. (Chodzi raczej o to, że nie potrafiłem znaleźć właściwych słów, by przekazać to, co widziałem, zamiast tego więc próbowałem opisać to, co czułem - w pewnym sensie przewidując reakcję mieszkańców Ambergris na niedawną Zmianę).

Gdyby tamtego popołudnia w galerii Duncan opowiedział mi o Maszynie w równie spokojny i szalony sposób, w jaki opisał ją w dzienniku, zapadłaby między nami cisza. Nasza rozmowa rozplątałaby się w nicość, ożywioną i obudzoną za sprawą jego słów. Lecz na szczęście Duncan nie przedstawił swojej historii z taką brutalną klarownością. Używał wzniosłych słów ułożonych w okaleczone, rwane zdania - był jak wędrowny, słabo przygotowany cyrk słów, którego nie sposób brać na poważnie. Skupił się na przedniej części maszyny, gdzie ukazywały się cudowne wizje odległych miejsc. Zbył jej tylną część pojedynczym zdaniem. Jakoś nie potrafiłam pogodzić jego wizji ze wspomnieniem spór wylatujących przez okno mojego mieszkania.

Mimo to, gdy skończył, w galerii zapanowała nierzeczywista atmosfera. Pamiętam, że wpatrywałam się w niego i myślałam, że jego twarz nie może się składać z ciała i krwi, nie w

* Na podstawie przekładu Konrada Kozłowskiego (przyp. tłum).

obliczu słów, które wychodzą z jego ust. Światło skrywało jego rysy, ale dłonie, oświetlone przez rozgwieżdżoną, lśniły na białą.

- Drzwi w Maszynie nigdy nie otwierają się do końca - odezwał się nieobecny głosem Duncan.

- Co by się stało, gdyby się otworzyły?

- Uwolniłyby się...

- Kto? - spytałam, chociaż znałam odpowiedź.

- Szare kapelusze.

- Od czego by się uwolniły?

Błede dłonie, zaciemniona twarz, szara mowa.

- Sądzę, że my ich nie obchodzimy, Janice. Mają teraz tylko jeden cel. Ten sam od wieków.

- To twoja niepotwierdzona opinia, bracie - odparłam i zadrżałam, widząc, jak grzybowy pył ciemno połyskuje na jego twarzy.

- Czego cię nauczono o Ciszy na uniwersytecie?

- Szare kapelusze zabiły wszystkich w mieście - odpowiedziałam.

Pokręcił głową, po czym gwałtownie wstał, zapominając o rozgwieżdżonej trzymanej w rękach. Spadła na podłogę, gdzie zaczęła się kurczyć i rozkurczać w odruchowej imitacji bólu. Duncan pochylił się nade mną. Potem kucnął obok mnie. Jeśli kiedykolwiek chciał się ze mną podzielić jakąś tajemnicą, to właśnie nadeszła ta chwila. Oto przyczyna tego wszystkiego. Powróciliśmy do jedynej ocalałego elementu jego szóstej książki, jedynej żywej pośród samobójców: prawdy. W wersji mojego brata.

- Źle cię uczono - oznajmił. - To się nie wydarzyło. Było inaczej. Wiele widziałem i dużo myślałem o tym, co zobaczyłem. Oni zniknęli nie pozostawiając po sobie nawet kropli rozlanej krwi. Nawet kawałka kości. Nie. Nie zostali zabici. Przynajmniej nie bezpośrednio. Spróbuj sobie wyobrazić inną odpowiedź: nagły błąd w obliczeniach, nieudany eksperyment, usterka Maszyny. Wszyscy ci ludzie. Całe dwadzieścia pięć tysięcy. Mężczyźni, kobiety, dzieci - oni nie umarli. Zostali przeniesieni. Drzwi otworzyły się na sposób, którego szare kapelusze nie oczekiwały, nie mogły oczekiwać, i wszyscy ci ludzie zostali omyłkowo przeniesieni. Maszyna zabrała ich w jakieś inne miejsce. Owszem, być może umarli, może nawet straszliwą śmiercią, ale dążę do tego, że to był wypadek. Pomyłka. Potworny, bezcelowy błąd.

Ciężko dyszał. Pot lśnił na jego rękach, gdzie wcześniej powstrzymywał go czarny pył.

- To szaleństwo - odpowiedziałam. - To najbardziej szalona rzecz, jaką słyszałam w życiu. Oni zabili tysiące ludzi. Zrobili coś strasznego. A ty śmiesz ich usprawiedliwiać?

- Czy byłoby łatwiej zaakceptować fakt, że oni mają nas gdzieś, gdybyśmy ich nie zmasakrowali, by wybudować to miasto? Myślę, że szaleństwem jest, że próbujemy udawać, iż oni są tacy jak my. Gdybyśmy wymordowali większość mieszkańców Morrow, oczekivalibyśmy odwetu. To byłoby naturalne, zrozumiałe, nawet do zaakceptowania. Ale co z ludem, który nawet nie zauważa, że wyrżnięto w pień kilkuset jego przedstawicieli? Który nie zwraca uwagi na to wydarzenie? Nie potrafimy uznać takiej reakcji. To niepojęte. Dlatego traktujemy Ciszę jako „zemstę”, by lepiej spać w nocy - ponieważ uważamy, mamy chęć uważać, że rozumiemy te istoty, które żyją pod nami. A skoro wydaje nam się, że je rozumiemy, i wierzymy, że kierują nimi motywy podobne do naszych, to już tak bardzo się ich nie boimy. Gdy spotkamy jednego z nich w bocznej uliczce, sądzimy, że możemy z nim porozmawiać, przemówić mu do rozsądku, nawiązać komunikację. A gdy zauważymy jednego z nich drzemącego w środku dnia na ulicy pod czerwoną flagą, ignorujemy go, uznajemy za część scenerii, nie mniej jaskrawą ani stonowaną niż nowo wyświęcony truffidiański kapłan w uroczystym stroju wesoło przemierzający Bulwar Albumuth.

- Oszalałeś, Duncanie. Źle z tobą. - Ponownie zapłonął we mnie gniew. Zredukowanie Ciszy do żalostnego błędu wprowadziło mnie we wściekłość. A to, że mój własny brat mógł coś takiego powiedzieć, wydawało się zdradą niewypowiedzianego porozumienia, które nas łączyło. Do tej chwili niezależnie od wszystkiego zawsze prezentowaliśmy taką samą wizję świata, mimo że coraz rzadziej się widywaliśmy.

- To bardziej złożone, niż ci się wydaje - powiedział. - Oni są w podróży, tak samo jak my. Usiłują przedostać się gdzie indziej, ale nie potrafią. Maszyna nie działa. Mimo swoich możliwości i tego, kim są, nie umieją sprawić, by ich lustro, ich szkło zadziało prawidłowo. Czyż to nie smutne? Czy nie wydaje ci się to smutne?

Spoliczkowałam go. Na mojej dłoni osiadły czarne spory. Duncan nawet nie drgnął.

- Smutne? - spytałam. - Smutne? Smutne jest dwadzieścia pięć tysięcy wymazanych istnień, a nie popsuta maszyna. Nie popsuta maszyna! Co się z tobą dzieje, że tego nie rozumiesz? Niezależnie od tego, co się stało.

Oczywiście to nie znaczy, że ci uwierzyłam. Szczerze mówiąc, w ogóle ci nie wierzę. Niby dlaczego powinnam? Z tego co wiem, mogłeś spędzić ostatnie kilka tygodni w kanałach, żywiąc się szczurami i śmieciami, które wpadły ci w ręce. A widziałeś jedynie odbicie swojej brudnej twarzy w kałuży zatechłej wody!

Duncan uśmiechnął się i wskazał rozwiązanie.

- A jak wyjaśnisz to?

- Ha! - zakrzyknęłam. - Pewnie szukała śmieci razem z tobą. To żaden dowód, jeśli o to ci chodzi. Dlaczego nie masz czegoś konkretniejszego, na przykład nie przyprowadziłeś szarego kapelusza skłonnego do potwierdzenia twojej wersji?

- Ależ przyprowadziłem - odpowiedział. - Nawet kilka. Chociaż nie z wyboru. Wyrzyj za drzwi, a potem przez lewe frontowe okno. Ale wątpię, żeby one chciały cokolwiek potwierdzać. Chyba wolą mnie zabić.

- Nie żartuj.

- Wcale nie żartuję. Sprawdź.

Niechętnie wstałam, rozprostowując zdętwiałą lewą nogę, która najwyraźniej jeszcze mniej entuzjastycznie niż ja potraktowała opowieść Duncana. Wyrzałam za drzwi. Trzy szare kapelusze zaglądały przez okno do wnętrza budynku. Schowane w słabnym świetle jak miecze w pochwach, bardziej przypominały ostre cienie niż sen. W porównaniu z ich nieruchomymi ciałami nawet bruk wydawał się żywy. Białka ich oczu lśniły jak mokra farba. Patrzyły na mnie i przeze mnie, jakbym nic dla nich nie znaczyła. Cofnęłam się i przycupnęłam obok Duncana.

- Może powinniśmy wyjść tylnymi drzwiami - zaproponowałam.

Roześmiał się cicho i niewesoło.

- Może przyszedł na otwarcie twojej galerii.

- Bardzo zabawne. Chodź za mną...

W razie konieczności nadal ufałam bratu bardziej niż komukolwiek innemu na świecie.

Każda istota ludzka jest marionetką na sznurkach, które w połowie kontroluje, ponieważ nie sięgają one ku jakiemuś anonimowemu Stwórcy, lecz są lśniącymi złotymi nitkami łączącymi poszczególne marionetki ze sobą. Każda nitka odbiera wibracje pozostałych nitek.

Każda wibracja odzywa się śpiewem nie tylko w sercu jednej marionetki, ale także w wielu innych sercach, więc jeśli uważnie nadstawisz ucha, usłyszysz ciche buczenie, jakby wspólny śpiew licznych serc... Kiedy nitka pęka, gdy zrywa się pod wpływem miłości, braku miłości, nienawiści lub bólu... odczuwają to wszystkie nitki - a skoro teoretycznie wszystkie nitki i serca są ze sobą połączone, nawet te, które znajdują się daleko, efekt jest powszechny. W całej ciemności, którą rozświetlają tylko lśniące sznurki, pojawia się zranienie.

Na swój sposób wpływa na każdą nitkę i marionetkę, ponieważ wszyscy jesteśmy marionetkami na sznurkach i wszyscy odczuwamy ból. Lecz mimo to wszystkie sznurki nadal świecą, a każde nasze działanie, nieważne jak drobne, ma wpływ na inne marionetki... Kiedy umieramy, odchodzimy w ciemność za świetlistymi liniami, a nitki, które pozostawiliśmy, wciąż drgają, wysyłając zagubione wiadomości do serc marionetek, które spotkaliśmy na swojej drodze, podczas podróży ze światła w nie-swiatło. Te zagubione nitki to wspomnienia, które po nas zostają... Powiększ ten efekt dwadzieścia pięć tysięcy razy, a być może zrozumiesz, dlaczego nie potrafię przejść do porządku dziennego nad tym, co ty nazywasz błędem. Każde zgaszone życie pozostawia dziurę w innych życiach - serię drobnych zgonów, których nie da się do końca zapomnieć ani przetrwać. Każdy ocalały nosi w sobie odrobinę tej otchłani.

To fragment listu, który napisałam do Duncana - jedyna próba, którą podjęłam od czasu naszej rozmowy, by wyrazić swoje uczucia dotyczące Ciszy. Pewnego dnia wróciłam wcześniej do swojego mieszkania i odkryłam, że wyszedł załatwić jakąś sprawę. Tego dnia myślałam o Ciszy, być może dlatego, że na dwóch albo trzech nowych nabytkach do galerii w tle pojawiała się mroczna postać szarego kapelusza. Usiadłam przy biurku i napisałam list do Duncana, który następnie włożyłam do jego teczki pełnej papierów, spodziewając się, że znajdzie go po tygodniu albo miesiącu. Ale nigdy o nim nie wspomniał. Nie wiedziałam, czy go przeczytał, dopóki nie natrafiłam na niego, przeglądając rzeczy Duncana, po tym jak zniknął po raz ostatni. List znajdował się w teczce podpisanej po prostu „Janice”. (Owszem, przeczytałam go i się popłakałam. Poczuję się wtedy bardziej samotny niż kiedykolwiek w życiu. Dopiero później uznałam go za pocieszający).

Duncan pozostawał w moim mieszkaniu przez prawie pół roku. Z początkiem piątego miesiąca w pełni wrócił do sił. Rzadko rozmawialiśmy o tamtym popołudniu, gdy przedstawił mi swoją teorię dotyczącą Ciszy. Postanowiliśmy o tym nie myśleć, pozwalając, by nasze wspomnienia się zatartyły. Wtedy mogliśmy sobie pozwolić na taki luksus. Nie było lśniącego naszyjnika ciał Sabon, który mógłby ustawić nas do pionu.

Rozgwiazda wytrzymała cztery miesiące, po czym zdechła w błysku ostrego światła, być może pozbawiona jakiegoś cennego składnika odżywczego, a może po prostu osiągnąwszy koniec naturalnego cyklu życia. Jej wybielony szkielet na kominku nie robił większego wrażenia niż muszla ślimaka znaleziona nad brzegiem rzeki.

4

Czas zacząć od nowa. Przede mną kolejna martwa biała strona, którą trzeba wypełnić martwą czarną czcionką, więc to zrobię. Dlaczego nie? Nie mam nic lepszego do roboty, przynajmniej na razie. Mary nadal bryluje na dole marmurowych schodów na przyjęciu Lake'a, ale chyba każe jej jeszcze trochę poczekać.

Zwłaszcza że dociera do mnie, że mniej więcej na tym etapie narracji Duncan przerwałby dla złapania oddechu, zebrania sił i ułożenia wydarzeń w historycznym kontekście. (Gdyby to ode mnie zależało, pominąłbym „kontekst historyczny” i powrócił do tych marmurowych schodów, gdyż to tak naprawdę jedyna część historii, której jeszcze nie znam). *Minęły lata, które teraz przypominają blade liście wciśnięte między strony mało znanej książki.*

Co ciekawe, w tej chwili nic mnie nie obchodzi kontekst historyczny. Promyk zielonego światła staje się mętny, blade - co oznacza, że na zewnątrz zachodzi słońce. A wszyscy wiemy, co się dzieje, lub może stać, po zmroku, prawda? Nie odpowiadajcie na to pytanie - lepiej czytajcie dalej.

Śmierć kompozytora/polityka Vossa Bendera i zawiązanie się grup Zielonych i Czerwonych, którzy prowadzą debatę na temat jego dziedzictwa za pomocą noży; wojna domowa na ulicach, którą handlarz Hoegbotton wykorzystuje do umocnienia swej kontroli nad miastem. Jakiś człowiek umiera na moich oczach tuż przed galerią, trafiony w głowę kamieniem, tak że jego czaszka przypomina strzaskaną skorupkę jajka, z której wycieka czerwono-szara papka. Nie dostrzegam w tym sztuki. Ani żadnego sensu. A potem: przegrana Czerwonych, rozwiązanie się Zielonych, wrzucenie prochów Bendera do rzeki Moth - tylko że, jak głosi legenda, stara mądra rzeka ich nie chce i ciska je z powrotem w twarze zgromadzonych żałobników; w ten sposób rozrzucając Bendera po całym mieście, gdy żałobnicy wracają do domów. Skandal w Kościele Truffidiańskim - nudny jak przystało na truffidiański skandal: a niech mnie, Prędzion Henry Bonmot, za którym wciąż bardzo tęsknię, został złapany na podbieraniu pieniędzy z tac! Jednocześnie rzeka Moth występuje z brzegów i zabiera ze sobą znaczną część posiadłości naszej matki, czyniąc nas dziedzicami starej przegniłej rezydencji i niczego więcej. Kalif Zachodniego Imperium dławi się pestką śliwki i zastępuje go kolejny anonimowy biurokrata. Tymczasem śmiertelność wśród dzieci

wciąż spada, podobnie jak wskaźnik urodzin, a starzy ludzie tłumnie umierają od udarów cieplnych, które powalają nawet najtwardsze południowe drzewa. Lekka poprawa sytuacji zmotoryzowanych obywateli spowodowana napływem ropy z Południowych Wysp zostaje zrównoważona przez spadek dostępności zapasowych części. Pośmiertnie wyreżyserowana opera Vossa Bendera „Trillian” już dwa lata utrzymuje się na afiszu, wypełniając sale pomimo kulejącego przemysłu turystycznego (nikt nie chce umrzeć na wakacjach, ani z powodu udaru cieplnego, ani z ręki szarych kapeluszy). Innym kompozytorom i dramatopisarzom, którzy chętnie wykorzystaliby Teatr im. Bendera do wystawiania własnych bzdur, pozostało zgrzytanie zębami i żalenie się na tyłach barów i tawern: Bender wciąż żyje, nawet po śmierci! Mijają trzy kolejne Festiwale Słodkowodnych Kałamarnic, ale towarzyszy im jedynie pantomima przemocy - co się z nami stało, pytam, że jesteśmy tak bierni? Czyż nie jesteśmy zwierzętami? Może ten podejrzany, zenujący spokój ma coś wspólnego z pojawieniem się telefonu, który pozwala mieszkańcom Ambergris, przynajmniej tym zamożniejszym, dzwonić do nieznajomych i dyszeć do słuchawki, wydawać dziwne odgłosy oraz dawać upust wściekłości wywołanej serią bezbarwnych, bezkrwawych festiwali. Telefon: przybyły do nas od Kalifa, z jego Imperium, udomowione zwierzę, które skolonizowało nas poprzez handel, a nie wojnę; Duncan mógłby powiedzieć, że duch buntownika Stretchera Jonesa nie rozpoznałby tego chwilowo bezzębnego Imperium, które leniwie przysiadło na tyłku. Z niewiadomych przyczyn razem z telefonem przybywa broń palna. Mnóstwo broni. Wszelkich rodzajów i rozmiarów, głównie importowana za pośrednictwem spółki Hoegbotton i Synowie. Uzbrojonych importerów-eksporterów Hoegbottona, którzy dziś sprawnie handlują bandażami, opaskami uciskowymi i ryglami, traktują z szacunkiem i lękiem wszyscy wzdłuż i wszerz rzeki Moth - za wyjątkiem agentów Frankwrithe'a i Lewdena, którzy kontynuują dyskretną infiltrację terytorium Hoegbottona. Kolejne Festiwale, wypełnione odgłosami wystrzałów. Kolejne lata z „Trillianem” i jego próżnym gładzeniem; czy Voss Bender nigdy nie umrze? Tak, to z pewnością historyczne podsumowanie, z którego mój brat byłby dumny. (Niezupełnie, ale myśl sobie, co chcesz).

Tymczasem wszystko, co Duncan opowiadał mi o swoich podziemnych przygodach, zaczęło schodzić na dalszy plan, gdy oboje ponownie musieliśmy się zmierzyć z „prawdziwym życiem”. W pewnym sensie można to nazwać ucieczką - moją przed tym, co powiedział Duncan, a jego przed tym, co zrobił. Być może potrzebował czasu, by przyswoić to, co się mu przydarzyło. Być może wyczerpało go to, co zobaczył, i nie potrafił tak szybko przedsięwziąć kolejnej wyprawy. Niezależnie od przyczyn, na swój sposób stał się człowiekiem religijnym, podczas gdy ja obrałam całkowicie odmienny kurs. (Czy to żart z

Twojej strony? Nie stałem się ani bardziej, ani mniej religijny niż wcześniej. Po prostu zyskałem większą świadomość świata, jego faktury i atmosfery, zmian, które następują w nim z dnia na dzień, z minuty na minutę, przemieniając również mnie. Kontynuowałem także swoją pracę, ale nie mam do Ciebie pretensji, że tego nie zauważyłaś).

Jeśli w latach po rozgwieździe poświęcałam Duncanowi mniej uwagi, to działo się tak za sprawą niespodziewanego uśmiechu szczęścia. Martin Lake - arogancki, zdystansowany fiut - zyskał sławę dzięki mojej galerii, a jego nawiedzone i niepokojące obrazy wkrótce, podobnie jak telefony, stały się nieodłącznym elementem wystroju salonów najbogatszych mecenasów sztuki. (Kto wie, co z perspektywy czasu było dziełem bardziej godnym uwagi - dziwaczna melancholia Lake'a czy gorączkowy dzwonek telefonu).

Moja galeria zapoczątkowała bezimienną, bezkształtną i unikatową artystyczną rewolucję, która wkrótce otrzymała etykietkę (niczym jeden z motyli Sirina) „Nowej Sztuki”. Nowa Sztuka kładła nacisk na mistycyzm i zmianę, które osiągnęto za pomocą niekonwencjonalnej perspektywy, ukrytych postaci, dziwnych zestawień kolorów. (Najtrafniej byłoby stwierdzić, że Nowa Sztuka otworzyła się, by przyjąć Martina w swoje szeregi, a on pożarł ją w całości).

Gdy tylko dostrzegłam zmianę w twórczości Lake'a - wcześniej był najwyżej sztampowy, dopóki jakiś impuls nie wywołał u niego metamorfozy - zaczęłam wyszukiwać wszystkie podobne dzieła, wliczając prace jego znajomych. W ciągu kilku miesięcy zdobyłam monopol na Nową Sztukę. Raffé, Mandible, Smart, Davidson - wszyscy oni wystawiali u mnie swoje obrazy. W końcu musiałam kupić sklep przylegający do mojej galerii, by mieć wystarczająco dużo miejsca dla ludzi, którzy przychodzili na otwarcia wystaw.

Zaczęłam doświadczać tego, czego Duncan przez chwilę zaznał po wydaniu pierwszej książki: sławy. Nawet nie musiałam niczego tworzyć - wystarczyło korzystać z sukcesu Lake'a i na nim budować. (Jesteś zbyt skromna. Podjęłaś w tamtym czasie kilka błyskotliwych decyzji. Byłaś jak jeden z generałów Kalifa, tyle że na polu sztuki. Długo nie umykało Twojej uwagi. Podziwiałem to).

Nagle lokalne gazety zaczęły pytać mnie o opinię w licznych kwestiach, z których zaledwie o kilku cokolwiek wiedziałam, choć to nie powstrzymywało mnie przed udzielaniem komentarzy.

Mam tutaj kilka wycinków prasowych. W *Tygodniku Ambergris* napisano: „Galeria Ukrytych Fascynacji nie nosi swojej nazwy na wyrost. Janice Shriek zgromadziła grupę najlepszych nowych artystów, z których każdy może zostać nowym Lakiem”. W *Dzienniku Ambergris*, dla którego Duncan i ja mieliśmy pewnego dnia pracować, zauważano: „Janice

Shriek nieustannie buduje dynastię artystów, którzy narzucają kierunek, w jakim podąża Nowa Sztuka w Ambergris”. Wycinki są odrobinę wyblakłe, ale wciąż czytelne i nadal dają mi dużo radości. (I powinny - ciężko zapracowałam na swój sukces). Pamiętam, że kiedyś nosiłam je w kieszeni żakietu i wyjmowałam, by się upewnić, że wciąż jest w nich napisane to samo, że sobie tego nie wymyśliłam.

Jednakże w Nowej Sztuce wkrótce zaczęło chodzić o coś innego niż o ekspresję artystyczną. Pojawiły się zawężone kryteria, według których każde dzieło sztuki klasyfikowano albo jako Nową Sztukę, albo jako Nie-Nową Sztukę. Te drugie prace lekceważono, uważając za mało ważne bądź mniej ambitne. Przyznaję, że sama również prezentowałam takie nastawienie, choć kierowały mną etycznie nieskazitelne powody - chciałam, by moja galeria zarabiała. Dlatego starałam się przyklejać wszystkim wystawianym u mnie dziełom etykietkę „Nowej Sztuki”, niezależnie, czy chodziło o eksperymentalne kombinacje technik malarskich, czy o oklepane pejzaże z barkami mieszkalnymi beztrząsłonie unoszącymi się na rzece Moth.

„Oto ironiczny manifest Nowej Sztuki”, mawiałam o tychże pejzażach, mentalnie przyklekając przed najnowszym potencjalnym klientem.

„W kontekście Nowej Sztuki ten obraz stanowi potępienie samego siebie w najsilniejszy możliwy sposób”.

Muszę przyznać, że uwielbiałam tę nieprzewidywalność - nie ma niczego bardziej wyzwalającego niż granie w nielogiczną grę, której zasady tylko ty rozumiesz.

Moja galeria dorobiła się na resztkach pozostawianych przez Lake'a, nawet po tym, jak mnie opuścił, Ambergris zaś nadal prosperowało, mimo coraz głębszego brnięcia w moralny i fizyczny upadek i wyczerpanie. Czekał mnie taki sam los jak miasto - i wcale nie musiałam na to długo czekać. Właśnie to mnie dziś zastanawia - że w tak krótkim czasie potrafiłam odkryć w sobie tak wiele nowych apetytów, słabości i namiętności. Cztery lata? Może pięć? Potem rozpoczął się nieuchronny spadek. To nigdy nie trwa długo - płyniesz na fali, żyjesz swoim sukcesem, a potem, niemal bez ostrzeżenia, zostajesz odrzucony na bok, wycieńczony i zużyty. (Musisz jednak przyznać, że w tym przypadku sama zgotowałaś sobie taki los).

Większość nocy spędzałam na przyjęciach trwających do rana. Jeśli akurat nie byłam na przyjęciu, to przesiadywałam i piłam w kawiarni „Pod Czerwonogardłym Cielaczkim”. Chodziłam w tym samym ubraniu przez trzy lub cztery dni, nie odróżniając świtu od zmierzchu. To była jedna nieustająca karuzela ludzi i miejsc, dzięki której mogłam z jeszcze większym zaangażowaniem rozkoszować się sławą.

Poznałam wtedy wielu wpływowych lub wkrótce-wpływowych ludzi (nic dziwnego, skoro zaliczałaś się do ich grona, Janice), a przede wszystkim Sirina.

Moje pierwsze spotkanie z Sirinem, naszym zagadkowym przyszłym redaktorem nastąpiło w kawiarni; siedziałam zgarbiona i nagle poczułam, że ktoś siada na sąsiednim krześle. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam smukłego, ciemnowłosego mężczyznę. Miał lekko przekrzywioną głowę. Skropił się wodą kolońską o zapachu piżma. Jego usta trwały w półuśmiechu, miał błyszczące, przeszywające i bezrefleksyjne spojrzenie. Mężczyzna, którego zobaczyłam, przypominał mi dawne opowieści o ludziach, którzy potrafili się zmieniać w koty. Przypominał chytrego, być może podstępного kota. (Był najbardziej irytującym, utalentowanym i doprowadzającym do pasji geniuszem, jakiego spotkałem. Gdy go poznałem, chciałem jednocześnie uderzyć go, uściskać, podać mu rękę i wrzucić go do mrocznej studni. Zamiast tego zazwyczaj trzymałem się od niego z daleka i pozwalałem, by Janice służyła mi za pośredniczkę, gdyż widywała głównie jego czarującą stronę).

- Janice Shriek - odezwał się. To nie było pytanie.

- Tak?

- Sirin - powiedział i podał mi wizytówkę.

Wciąż zmagając się z kontekstem (chyba raczej z alkoholem), opuściłam wzrok. Na wizytówce znajdował się jego adres w siedzibie wydawnictwa Hoegbotton i Synowie, przy Bulwarze Albumuth.

- Podoba mi się to, co robisz - rzekł. - Przyjdź do mnie. Może jakoś cię wykorzystam.

Potem zniknął. W tamtych czasach Sirin był słynnym kobieciarzem, który pojawiał się na przyjęciach i w kawiarniach tylko po to, by wypatrywać nowych ofiar. Nie byłam pewna, jak chce mnie „wykorzystać”, i traktowałam go dość sceptycznie.

Był to początek sławy Sirina jako wydawcy i pisarza. Podobnie jak mityczna postać, od której zaczerpnął imię, posiadał pospolite lecz uniwersalne cechy. Wniósł do pracy wydawniczej tę samą wrażliwość, jaką dostrzegało się w jego pisarstwie. Potrafił naśladować dowolny styl, wysoki lub niski, poważny bądź komediowy, realistyczny albo tabularny. Czasami wydawało się, że stworzył to miasto za pomocą pióra. A przynajmniej sprawił, że mieszkańcy postrzegają Ambergris w innym świetle. To, że zbytnio myślał o sobie, usprawiedliwiała głębia i rozpiętość jego talentu. Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że chciałby, żebym dla niego pisała.

Ludzie tacy jak Sirin wynurzali się z chmury nocnych świateł, a ja przyjmowałam ich z wdzięcznym uśmiechem, wyciągając ku nim rękę i mówiąc: „Siadajcie. Siadajcie i porozmawiajmy chwilę!”. Byłam wtedy bardzo ufna i otwarta. (Ufna? Być może. Ale czy

można być ufnym lub podejrzliwym, gdy nie jest się sobą? Przyszedłem na kilka z tych całonocnych spotkań w kawiarni, Janice, ale przeważnie byłaś tak odurzona, że nawet mnie nie poznawałaś. A teraz tak miło wspominasz tamtą rozmowę? Mówię to z przykrością, ale z Twojej strony często można było liczyć jedynie na niewyraźne szczebiotliwe mamrotanie i bełkotliwe insynuacje. Chociaż to zapewne nie miało większego znaczenia, gdyż ludzie, z którymi rozmawiałaś, rzadko znajdowali się w lepszym stanie. Nie chcę Cię krytykować, ale muszę z większą dozą realizmu opisać ten cudowny, dekadenski okres, o którym wspominasz z tęskną sympatią. Tak mnie to znudziło, że przestałem przychodzić do kawiarni. Szkoda było mojego czasu. Wolałem być pod ziemią, na tropie jakiejś nowej tajemnicy).

Sybel - świetlisty, niewysoki, słodki Sybel - był jedną z osób, które wtedy poznałam. Z czubka jego głowy wyrastała gęsta czupryna brudnych blond włosów przypominająca fale bladego płomienia, miał wyraziste niebieskie oczy, uśmiech, który czasami przypominał półgrymas, i nosił ekstrawaganckie ubrania w nieprawdopodobnych odcieniach fioleto, czerwieni, zieleni i błękitu. Rzadko dłużej przesiadywał w jednym miejscu, gdyż w tamtych wczesnych latach miał metabolizm kolibra. Był jak napięta sprężyna. Koliber. Prawdziwy cud.

Pierwsze słowa, które do mnie skierował, brzmiały:

- Potrzebujesz mnie. Nowa Sztuka wkrótce umrze. Najnowszą sztuką stanie się to, co wskaże Janice Shriek. Ale i tak mnie potrzebujesz.

Wtedy się roześmiałam.

Ale rzeczywiście był mi potrzebny. Sybel spenetrował każdą podejrzaną spelunkę w Ambergris. Jako kurier Hoegbottona znał wszystkich. Jako członek szczepu Nimblytodów potrafił z niedościgłą sprawnością wspinać się na drzewa; poza tym stale towarzyszył mu zapach ciętej kory, niczym prawo przysługujące z urodzenia. Chlubił się jedynie znajomością ulic oraz lekkimi butami, o które bardzo dbał, a które otrzymał od swojego plemienia, gdy wyruszył do miasta. Nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat, kiedy spotkałam go po raz pierwszy.

- Jestem szybki i dobry - oznajmił, ale nie uściślił w czym. - Mogę być twoimi oczami, uszami i stopami, ale nie jestem tani - powiedział, po czym podał wysoką miesięczną cenę.

Zaproponowałam mniejszą sumę, ale dodałam:

- I kiedy tylko zechcesz, będziesz mógł u mnie pomieszkiwać. - W końcu rzadko przebywałam w domu; jeśli już tam wpadałam, to tylko po to, by złapać trzy lub cztery godziny snu.

W ten sposób zyskałam współlokatora, którego rzadko widywałam. Wiem jednak, że cenił to schronienie: jego burzliwe życie miłosne sprawiało, że co chwila był wyrzucany z łóżka jakiejś kobiety.

Wkrótce przekonałam się, że dokonałam właściwego wyboru. Dzięki uważnej obserwacji prowadzonej u Hoegbottona - kiedy nie spędzał całych nocy na hasaniu z malarzami, powieściopisarzami, rzeźbiarzami i krytykami sztuki - Sybel nauczył się, jak prowadzić firmę, czego ja nigdy nie potrafiłam robić dobrze. Z czasem został moim asystentem w galerii tylko dorywczo, ponieważ miał w zwyczaju znikać na kilka dni. Ale ja również rzadko bywałam punktualna, a uwielbiałam jego energię, więc go nie zwalniałam, niezależnie od tego, czym zawinił. Wyobrażałam sobie, że od czasu do czasu Sybel czuje potrzebę powrotu do rodzinnych lasów, więc zrzuca ubrania i wspina się na korony drzew nad rzeką Moth, po czym, radośnie śpiewając, przeskakuje z drzewa na drzewo. Jestem jednak pewna, że jego nieobecności miały więcej wspólnego z kobietami. (Tak naprawdę nieobecności Sybela miały wiele różnych powodów, ponieważ prowadził on wiele różnych żyć, którymi nie zawsze się z Tobą dzielił. Nie pamiętam dokładnie, kiedy stałem się częścią jednego z nich, ale pamiętam liczne poranki, gdy po wyjściu z kolejnej wilgotnej dziury w ziemi, lepki od brudu i potu, stawałem wyczerpany nad brzegiem rzeki Moth obok wybranego wcześniej drzewa, które zamieszkiwał pewien członek szczepu Nimblytodów.

Sybel zawsze uśmiechał się do mnie z tego drzewa. Nie wiem, czy lubił wschody słońca, drzewo czy mnie, ale potrafił sprawić, że odpowiadałem uśmiechem, niezależnie od tego, w jak ponurym nastroju wyłoniłem się spod ziemi.

Jednakże nasze spotkania miały pewien praktyczny cel. Plemię Nimblytodów słynęło ze swoich naturalnych leków sporządzanych z korzeni, kory i jagód. Sybel sporo zarabiał na boku, handlując różnymi lekarstwami. Jednakże w celu dokonania zakupu trzeba było udać się do niego osobiście, a to oznaczało stawienie się pod konkretnym drzewem nad brzegiem rzeki o określonej porze.

Robił dla mnie dwie rzeczy - sprzedawał mi nalewkę z mielonej kory i liści na zmęczenie oraz, gdy uważałem to za konieczne, dosypywał Ci do herbaty odżywczy proszek, by zrównoważyć skutki Twojego rozpasania.

- Gdyby się dowiedziała, wpadłaby we wściekłość - powiedział mi kiedyś Sybel.
- Lepiej niech się wścieka, niż żeby miała umrzeć - odparłem.
- Jest znacznie silniejsza niż ci się wydaje. Może długo tak wytrwać. Ja także. - Wpatrywał się we mnie z pewną dozą rozbawienia; byłem odziany w grzybowy całun i

wydawało się, że ciągnę ostatkiem sił. Jakie miałem prawo kogokolwiek pouczać w tych kwestiach?

Odwzajemniłem jego spojrzenie i powiedziałem:

- Daj mi nalewkę. Gdzie moja nalewka, człowieku z drzewa?

Podczas naszych spotkań nigdy nie zszedł z tego przeklętego drzewa. Ani razu. Po prostu zrzucał mi lekarstwo).

Sirin i Sybel byli jedynymi mężczyznami, z którymi wtedy nie sypiałam - ponieważ, niespodziewanie, zyskałam dziesiątki kochanków. Miałam więcej mężczyzn niż obrazów na ścianach galerii, a moje noce wypełniły się niewyraźnymi fantazjami pełnymi wścibskich języków, głaszczących dłoni i twardych fiutów. Sypiałam, w tym wiele razy pod gwiazdami, z Lawrence'em, Johnem, Jamesem, Robertem, Lukiem, Michaeliem, George'em... lista wydłużyła się bez mojego udziału, splatając się z odgłosem bębnow i rzędem tancerzy. Z perspektywy czasu równie interesującym jak naszyjnik Sabon. Jestem pewna, że Duncan przewracał oczami za moimi plecami, gdy tylko wspominałam o nowym „chłopaku”, ponieważ moje związki żywotnością dorównywały jętce. Ledwie pamiętam imiona. (Ja je pamiętam, gdyż w tamtym okresie byłam wyjątkowo czujny. Był więc malarz James Mallock, którego nazywałaś „włochatymi plecami”, rzeźbiarz Peter Greelin, zbyt przyklepny, jak twierdziłaś, właściciel teatru Thomas Strangell, który nie umiał go postawić w dniu premiery, oraz wielu innych - „nieskończona parada erotycznych szaleństw”, jak zwykłaś to nazywać. Z jakiegoś powodu nie miałem z tym problemu, Janice. Przynajmniej dobrze się bawiłaś. Nie wiem, czy zdawałaś sobie z tego sprawę, ale wcześniej rzadko Ci się to przytrafiało).

Uzależniłam się od anonimowego seksu, seksu bez miłości, seksu jako poży. Uwielbiałam dotyk męskiej klatki piersiowej na moich piersiach, przyspieszony oddech kochanka, który był we mnie, niezrównane uczucie, gdy skóra ocierała się o skórę. Każde spotkanie zniknęło z mojej pamięci szybciej niż poprzednie, a ja stawałam się coraz bardziej żarłoczna. Wcześniej byłam głodna; teraz czułam, że nie sposób mnie zaspokoić.

Innymi słowy, zaczęłam, pod stałą ekstatyczną presją sławy, stawać się kimś zupełnie nowym. Czy mogę mieć do siebie pretensje? Czułam się cudownie. Czułam się tak dobrze, że myślałam, iż umrę z rozkoszy. Po raz pierwszy w życiu odnosiłam sukcesy. Po raz pierwszy to ja, a nie Duncan, wzbudzałam szacunek. Gdyby żył nasz ojciec, nie ignorowałby mnie - nie mógłby. (On Cię nigdy nie ignorował, Janice. Nikt tego nie robił. Po prostu z jakiegoś powodu nie dostrzegałaś, że na Ciebie patrzają).

Cały czas konsumowałam, konsumowałam i konsumowałam. Nie potrafiłam przestać. Nawet w samym środku cielesnych orgii część mnie pozostawała zdystansowana, jakbym

pociągała za sznurki własnej marionetki. Zanurzałam się w tłumie ludzi, z którymi najczęściej łączyły mnie intymne relacje, i czułam się całkowicie sama. Napisałam do Duncana tamten list o złotych nitkach, ale zapomniałam, co oznaczał.

Nawet Sybel miał wątpliwości co do mojej filozofii życiowej, chociaż idealnie pasowała do ideału Nowej Sztuki. Zwykliśmy przesiadywać na schodach prowadzących na dziedziniec Placu Vossa Bendera, jedząc owoce, które Sybel zrywał z drzew rosnących nad rzeką Moth.

- Jak myślisz, jak ci idzie? - pytał Sybel, co stanowiło typowy początek rozmowy, gdy się o mnie niepokoił.

- Świetnie! - odpowiadałam. - Cudownie! Niesamowicie! Widziałeś ten nowy obraz? Ten, który namalowała Sarah Sharp? Kupiliśmy go za połowę wartości. Jeśli uda mi się go sprzedać, to możemy liczyć na dwadzieścia kolejnych z tego samego źródła. Potem następne dwadzieścia od innych malarzy i zanim się zorientujemy, otworzymy drugą galerię, a później, kto wie? To mi przypomina - widziałeś wzmiankę w gazetach? Postaraj się, żeby właściciele teatrów ją zobaczyli. To darmowa reklama dla nas obojga. Musimy maksymalnie wykorzystywać każdą okazję.

Nie potrafiłam. Przestać. Mówić. A Sybel zjadał owoce i czasami kładł mi dłoń na ramieniu, a gdy czuł, że drzę i nad sobą nie panuję, zaciskał ją mocniej, jakby mnie uspokajał. Naprostowywał.

Mimo to nie przestawałam. Nie chciałam przestać - pragnęłam zjeść, wypić i wypieprzyć cały świat. Każde nowe przyjęcie, każdy nowy artysta, każdy nowy dzień na nowo zapoczątkowywali ten proces. Jakim migotliwym światłem otulimy kolejny poranek? Tak długo byłam wygłodniała, a teraz stałam się Księżniczką Tak. Po. Prostu. Nie. Potrafiłam. Odmawiać.

Paradoksalnie właśnie dlatego, że nie potrafiłam odmawiać, angażowałam się w tak wiele projektów Sirina dla Wydawnictwa Hoegbottona i w ten sposób nieświadomie umożliwiłam Duncanowi, mojemu wówczas trzydziestosześcioletniemu bratu, rozpoczęcie potajemnej (i nieobliczalnej) powtórnej kariery.

Jego nowa tajemna historia była tylko jedną z wielu. Przyniósł ze sobą labirynt pod miastem. Przyniósł zrozumienie sekretów własnych ksiązek - oraz osobistą historię jeszcze bardziej splecioną z losami Ambergris. Duncan odrzucił swój publiczny wizerunek i powrócił do anonimowości, z której kiedyś się wydobył. (To może dawać niesamowitą wolność! Wolny od wszystkiego, co mnie rozpraszało, nareszcie i na zawsze. Owszem, wielokrotnie

marzyłem, by być wydawanym pod własnym nazwiskiem, wręcz usychałem z tęsknoty za tym, ale gdy moja ostatnia książka została wycofana z druku, poczułem emocje towarzyszące anonimowości i opuściło mnie poczucie obowiązku zrobienia czegokolwiek poza badaniem tajemnicy szarych kapeluszy).

Stać się... kimś innym. Odbierałam tę lekcję każdego dnia, gdy Janice Shriek przemieniała się w sto różnych postaci, które odbijały się w oknach wystawowych, lustrach i pełnych uznania bądź dezaprobaty obliczach ludzi. Od tej pory koniec z więzieniem oczekiwań - wobec siebie i innych osób. Od tej pory mógł być tylko sobą.

A jednak już wtedy rozpoczął mozolny powrót do pisania, tym razem postrzegając je z innej perspektywy - jako wymuszony marsz bez prawdziwego celu, jedynie z kilkoma przystankami. Początkowo musiało to wyglądać na pułapkę, a nie na szansę...

Duncan nie mógł niczego wydać u Hoegbottona, przynajmniej nie w sposób bezpośredni. Ostatnie spotkanie z redaktorem zakończyło się ostrą kłótnią i wyrwaniem biurka. (Dla jasności, nie miałem żadnych pretensji do swojego redaktora ani jego biurka - zwłaszcza do niego. Moja reakcja na odrzucenie tekstu, który miał się stać moją szóstą książką wydaną przez Hoegbottona, stanowiła opóźnioną reakcję na spokojną diatribę L. Gaudy'ego, której wysłuchałem kilka lat wcześniej w siedzibie Frankwithe'a i Lewdena. Mój wydawca u Hoegbottona powiedział tylko: „Bardzo mi przykro, Duncanie, ale nie możemy przyjąć twojej najnowszej książki”. A ja zachowałem się wtedy tak, jak powinienem był postąpić wobec Gaudy'ego - usiłowałem uderzyć biedną pustą głową redaktora o blat. Miałem szczęście, że nie kazał zbirom Hoegbottona mnie zatrzymać).

Jednakże, jak już wspomniałam, Hoegbotton dał mi więcej szans niż mogłam przyjąć, a ja ich nie odrzuciłam. Dlatego musiałam skorzystać z pomocy Duncana. Zaakceptował to bez problemu (jaki miałem wybór?), a nawet okazywał entuzjazm. Myślę, że teraz już mogę wyjawiać, że cała seria siedemdziesięciu pięciu broszur turystycznych, które wydał Hoegbotton - każda poświęcona jednej z Wysp Południowych - wyszła spod pióra Duncana, a nie mojego. Duncan brał wyniki moich gorączkowych i mało wyrafinowanych badań, wspierał je swoimi mniej rozpaczliwymi analizami i próbował naśladować mój styl pisania, skodyfikowany w licznych katalogach dzieł sztuki.

Archibald ze skorkiem Ludwiga Poncera, Era Trilliańska, farba olejna na płótnie. Ta mieszanka wysokiego i niskiego stylu dzięki bezbłędnemu oddaniu dziwności ludzkiego kciuka i nieludzkiego skorka zachwyca kolejne pokolenia

miłośników sztuki, którzy pragną poczuć na plecach dreszcz przerażenia, mimo że na ich rozchylnych ustach tańczy złowieszczy biały uśmiech”.

Bla bla bla i tak dalej i tak dalej ziew ziew. Duncan napisał także, pod pseudonimem „Darren Nysland”, trzystustronicowy „Hoegbottoński przegląd miejscowych ptaków” (w którym znalazł się mój cudowny, poetycki wpis o drozdokurce ozdobnopiórej), nadal drukowany i często przytaczany przez poważnych ornitologów. (I słusznie. Powstawał przez wiele mozolnych miesięcy. W pewnym momencie życzyłem całemu ptasiemu rodowi, by dotknęła go jakaś zaraza. Już nigdy nie chcę oglądać ptaków, chyba że w postaci jajek leżących żółtkiem do góry na moim talerzu podczas śniadania bądź mięsa duszącego się w sosie miętowym).

Kiedy dużo później nie mogłam sobie poradzić z dokończeniem eseju o Martinie Lake'u do „Hoegbottońskiego przewodnika po Ambergris”, Duncan wykonał godną podziwu pracę, by przedstawić moje (zwariowane, a przynajmniej niepoparte dowodami) pomysły za pośrednictwem solidnej prozy. (A także zrobiłem coś, co Ty najwyraźniej zlekceważyłaś - ukryłem tożsamość prawdziwej kochanki Lake'a. Ciekawe, czy w ogóle zwróciłaś na to uwagę. Jak również na osobliwe „komunikaty”, które wplotłem w tekst). Jakby to wszystko nie było dostatecznie skomplikowane, moje dzieła czasami ukazywały się pod pseudonimem, więc gdy pisał je Duncan, jego nazwisko było podwójnie zamaskowane.

Uwielbiałam pomagać Duncanowi w ten sposób. Uwielbiałam, gdy jego i mój styl splatały się tak, że sami nie potrafiliśmy rozpoznać, gdzie zaczyna się zdanie Janice, a gdzie kończy zdanie Duncana. Oznaczało to bowiem, że niemal mu dorównuję. (Bez komentarza).

To w tamtym okresie Spora Szarego Kapelusza stała się jego ulubionym miejscem. Lekko przybrał na wadze oraz zapuścił wasy i brodę, które mu pasowały. Zaczął nawet palić fajkę. Tak wyposażony spędzał po kilka godzin dziennie w Sporze, przesiadując w (właśnie tym) pomieszczeniu na tyłach, skąd mógł z życzliwością obserwować stałych klientów baru, jednocześnie nie musząc z nimi rozmawiać, jeśli nie miał na to ochoty. Barmani go kochali. Nigdy nie narzekał, dawał sute napiwki, gdy tylko mógł, i wnosił do Spory bardzo potrzebną autentyczną ekscentryczność. (To nie były jedyne ani nawet główne powody, dla których spędzałem tam tak dużo czasu. W pewnym momencie, Janice, będziesz musiała zrezygnować z napięcia na rzecz dokładnej chronologii, czyż nie? A może sam ci pomogę? Tak się składa, że pod pomieszczeniem na tyłach Spory znajduje się najłatwiej dostępny portal prowadzący do podziemnego królestwa szarych kapeluszy).

To oszustwo trwało przez ponad trzy lata, nieustannie przysparzając chwały Janice Shriek, a Duncana rzadko ogrzewając choćby odbitym blaskiem. Hoegbotton płacił bardzo dobrze, a ja sumiennie oddawałam bratu do trzech czwartych naszych zarobków. (H&S mogli sobie pozwolić na wysokie stawki - nie tylko odnosili sukcesy w handlu, ale także zdołali wkroczyć do dżungli na południu i umocnić kontrolę nad niemal całym importem do Ambergris. To nie była organizacja dobroczynna, ale rola anonimowego wyrobnika wydawała mi się lepsza od drugiej możliwości).

Choćby z tego powodu Duncan mógłby dalej dostarczać mi teksty. Ale w końcu z tym skończyliśmy. Myślę, że stało się tak dlatego, że moja niestabilność obudziła w nim pragnienie stabilizacji. Gdy twoja siostra ciągle jest blada jak śmierć, regularnie wymiotuje, co dwa tygodnie przedstawia ci nowego chłopaka i miewa napady niekontrolowanych drgawek, zaczynasz się zastanawiać, ile czasu upłynie, zanim przestanie dostawać zlecenia. (Nieprawda - pochlebiasz sobie. Były dwa powody. Po pierwsze, miałem dosyć pisania głupot. Spróbuj napisać siedemdziesiąt pięć artykułów o sposobach spędzania wakacji na Wyspach Południowych, a stworzysz nową definicję nudy. Wymioty będą najmniejszym z twoich zmartwień. Po drugie, bycie wolnym strzelcem mnie nie zachwycało, ponieważ nie miałem żadnego rozkładu pracy i nigdy nie wiedziałem, kiedy pojawisz się z nowym zleceniem. Po trzecie, zacząłem dostrzegać, że ta płytka pisanina na zamówienie odbiera mi energię, którą mógłbym poświęcić na podziemne badania, które stawały się coraz pilniejszą kwestią, gdy okazało się, że objawy, które zauważyłem u siebie po wyjściu na powierzchnię, nie ustępują).

Poza tym Sirin, teraz mój redaktor u Hoegbottona, na początku swojej kariery opublikował mnóstwo różnych broszur, sprzedając fikcję jako fakt i fakt jako fikcję. Gdy czytelnicy nie potrafili ich rozróżnić, napęłniało go to absurdalną radością. Kilka razy zdarzyło mu się napisać artykuł do jakiegoś czasopisma, następnie jego zjadliwą recenzję pod pseudonimem, a potem pod innym pseudonimem list do wydawcy broniący pierwotnej tezy. Ujmując rzecz w skrócie, Sirin z równą łatwością małpował powieściowy styl w swoich esejach i naśladował prawniczy żargon w opowieściach fantastycznych. Potrafił także skrupulatnie poprawiać dzieła innych autorów, zawsze zwracając baczną uwagę na zmiany tonu lub stylu, i doprowadzał Duncana do szaleństwa redaktorską nieustępliwością. Taki redaktor wkrótce wyczułby fałsz. (Jestem pewien, że wyczuł go niemal od razu, ale postanowił nic nie mówić. Jakie miało dla niego znaczenie, kto pisze, dopóki dostawał teksty?).

Z tych powodów (i innych, które długo by wymieniać) nasz układ nie przetrwał. Pewnego dnia przyszedł do Duncana ze zleceniem (potwornym zadaniem stworzenia „optymistycznego” spisu oraz charakterystyki domów pogrzebowych i cmentarzy w Morrow; to wzbudziło moje podejrzenia - czy Sirin wymyślił taki temat specjalnie po to, by mnie dręczyć?), a on odpowiedział, że nie może się go podjąć. Nie, Duncan znalazł „normalną” pracę, częściowo dzięki sprawności w pisaniu pod pseudonimem dla Hoegbottona i Synów.

Mój brat, Duncan Shriek, nieustraszony badacz, w końcu zaakceptował szarą codzienność - w chwili, gdy ja zaczęłam ją odrzucać. Poddał się monotonii życia w rytmie umyj-naczynia, wynieś-śmieci, połów-się-wcześniej, wstań-i-idź-do-pracy, który był udziałem milionów osób, od Stockton po Morrow, od Nicei po Ambergris. Mój szok tylko go rozbawił, (Tak naprawdę, droga siostrze, rozbawiła mnie Twoja ziemista twarz o przymrużonych oczach, sposób, w jaki Twoje źrenice zdawały się gotowe do ucieczki w głąb czaszki, by zrównoważyć opadającą szczękę. Mówiąc w skrócie, wyglądałaś tak, jakbyśmy zamienili się miejscami, światłem słońca za podziemie. Przynajmniej jedno z nas wynosiło śmieci).

Jaką pracę przyjął Duncan? Został wykładowcą w Akademii Blythe'a, ostatniej truffidiańskiej szkole religijnej. Akademia słynęła przede wszystkim z długowieczności - została założona kilka lat przed Ciszą i chociaż początkowo wędrowała z miejsca na miejsce, w końcu osiadła kilka ulic od Katedry Truffidiańskiej. Budowniczości obecnej siedziby Akademii wykazali się poczuciem ironii, w ich oczach zapewne całkowicie uzasadnionym, wzniesli bowiem uczelnianą bibliotekę na ruinach dawnej biblioteki szarych kapeluszy. (To nawet nie była biblioteka. Raczej znacznik Maszyny). Na środku głównej czytelni wznosiły się okrągłe pozostałości poprzedniej budowli, które sprawiały zimne, obce i groźne wrażenie.

Akademia tradycyjnie przyjmowała jak największą liczbę studentów pochodzących z „artystycznych” lub „twórczych” rodzin, zwłaszcza tych o wysokim statusie społecznym - niezależnie od ich wiary w truffidianizm.

Przypuszczam, że założyciele wierzyli, iż cotygodniowe obowiązkowe nabożeństwa odprawiane w niewielkiej kaplicy za szkołą z czasem przenikną umysły uczniów, a przynajmniej zaszczepią w nich poczucie winy, które w późniejszych latach zaowocuje znacznymi sumami przekazywanymi jako wsparcie dla nowo powstających budynków, filozofii i stylów nauczania.

Od czasu do czasu w Akademii Blythe'a uczyli słynni wykładowcy - na kilka lat zatrzymał się tam Cadimon Signal, a nawet Gortowie, którzy zdobyli sławę dzięki kontrowersyjnym odkryciom statystyka Marmy'ego Gorta. Z pewnością nie było wstydem

studiowanie ani nauczanie w Akademii. Jednakże, jak Duncan miał się wkrótce przekonać, wstyd dotykał osób na stanowiskach dziekana lub royala.

Wyobraźcie sobie szok Duncana, gdy pierwszego dnia stawiał się do pracy w wykrochmalonym kołnierzyku oraz duszącym krawacie i odkrył, że osoba, która będzie z nim rozmawiać, wiceroyal Akademii Blythe'a, do którego dołączył sam royal, to nikt inny jak były Przesion, Bonmot. Jego oblicze, na którym widniał wyraz nieustannego zdeprymowania, wywołany okolicznościami jego upadku, wykrzywiła wysublimowana parodia zaskoczenia (czy cokolwiek jeszcze było w stanie go zadziwić?), gdy podniósł wzrok na Duncana i powoli zdał sobie sprawę, z kim ma do czynienia.

- Cóż za ironia, nieprawdaż? - odezwał się Duncan, szczerząc zęby w uśmiechu, a Bonmot pokiwał głową jakby śnił.

Duncan ponownie na krótko zniknął z mojego życia, chociaż tym razem uczynił to w znacznie łagodniejszy sposób: pozostał po nim jego duch. Pocztówki wpadały do mojej skrzynki pocztowej z niepokojącą regularnością - przynajmniej raz na dwa tygodnie. Duncan pisał małutkimi literami, tworząc rozwlekłe filozoficzne diatryby. (Wcale nie rozwlekłe. Najwyżej niepraktyczne w tak niewielkim formacie). Drażniłam się z nim, śląc w odpowiedzi pocztówki pełne plotek i wieści dotyczących mody - chociaż, prawdę mówiąc, czasami, gdy byłam zajęta, wyręczał mnie Sybel. (To żadna tajemnica. Sybel mi o tym powiedział, zresztą jego charakter pisma wyraźnie różnił się od Twojego. Przepraszał za Ciebie, gdy odbierałem od niego swoje lekarstwa. To żadna tajemnica, ale również żaden grzech. Choć muszę przyznać, że kilka razy się zirytowałem, gdy Sybel pytał, o czym powinien do mnie napisać!). Sądząc po samych pocztówkach mogliśmy uchodzić za dwoje najbardziej różnych ludzi na świecie.

Jednak pocztówki były sposobem na przypominanie sobie nawzajem o naszym istnieniu i sprawach, które wtedy były dla nas najważniejsze. Czy mogłam cokolwiek poradzić na to, że mój umysł pochłaniało to co efemeryczne, ulotne i powierzchowne, Duncan zaś wciąż nurkował w głębinach?

Na poziomie materialnym pocztówki nic nie znaczyły. Czymże są nagryzmołone litery w porównaniu z nieskończonością szczegółów składających się na ludzką twarz? Dlatego, gdy tylko mogłam, wpadałam do Akademii Blythe'a na lunch - przynajmniej raz w miesiącu, w zależności od tego, jak duże miałam zobowiązania wobec Sybela i coraz bardziej żarłocznej galerii.

Musiałam dzielić się duchem Duncana, Poważnego Człowieka, którego najwyraźniej bardziej interesowali studenci niż dzieło życia (przyznaję, że tak to mogło wyglądać), z Bonmotem, ponieważ Przedson i mój brat zostali przyjaciółmi. (Dobrymi przyjaciółmi? Najlepszymi? Nie mam pojęcia. Nasza relacja zmieniała się każdego dnia. Wydaje mi się, że na pewnym poziomie, pomimo naszej wzajemnej sympatii, obecna była między nami ostrożność, nieufność. Możliwe, że on czuł, iż moja obsesja na punkcie szarych kapeluszy doprowadzi mnie do odkryć, które zniesławiają jego wiarę w Boga. Wiem, że sam obawiałem się, iż jego religia może jakoś zainfekować moje badania, zmienić mnie w niepożądany sposób).

Bez wątplenia te spotkania stanowiły punkt kulminacyjny każdego z moich dni, niezależnie od tego, czy odbywały się w sennym i łagodnym wiosennym cieple, w gorącym blasku letniego słońca czy w suchym piekącym chłodzie jesieni i zimy. Przy fontannie z karpami. Tak dużo się śmiali!

Od śmierci taty nie widziałam, by Duncan śmiał się bez goryczy lub sarkazmu. Czułam się prawie tak, jakbyśmy ponownie zgromadzili się przy kolacji wokół stołu w starym domu w Stockton, a tata opowiadał nam o jakimś mało znanym fakcie, który odkrył podczas badań. Zazwyczaj wplątywał w swoją opowieść jakieś kłamstwo, a my według niepisanych zasad mieliśmy je wyłowić za pomocą zadawanych pytań. Czasami prawda była tak niezwykła, że wskazanie kłamstwa trwało bardzo długo. Tata rozsiadał się w fotelu, unosił brwi, robiąc niewinną minę - co zawsze rozśmieszało mamę - i z powagą udzielał nam odpowiedzi. (Zawsze wiedziałem, kiedy tata nie mówi prawdy, ponieważ jego głos stawał się wtedy lekko melodyjny - jakby nie potrafił ukryć radości płynącej ze snucia opowieści).

Te wspólne posiłki z Bonmotem stanowiły azyl w czasie i przestrzeni, który odcinał mnie od stresu i obowiązków (lub też ich braku). Reszta świata zlewała się w rozmazany ciąg twarzy, kawiarni i alkoholu, lecz tamten nasłoneczniony dziedziniec, gdzie rosły szumiące wierzby i stały skąpane w świetle ciemne drewniane ławki oraz wiekowe szare kamienne stoły pokryte pęknięciami, nadal ze mną pozostaje, nawet w tym miejscu. Bonmot był taki sam jak ławki i stoły: nadszarpnięty zębem czasu, ale otoczony atmosferą wygody, solidności i stateczności. Jego ręce były jak z kamienia; gdy obejmował nimi twoją dłoń na powitanie, miałeś wrażenie, że została oprawiona w granit. Zanim poczuł powołanie, był synem rolnika i wciąż zachowywał potężną posturę oraz otwarte i szczere spojrzenie jasnobrazowych oczu. Nic w nim nie wskazywało na skłonność do kościelnych przestępstw. (Ta szczerść nie przychodziła mu łatwo. Ciężko zapracował na swoją przemianę). Jego słowa rozchodziły się

wokół jak zmarszczki na płynnym marmurze, silnym i gładkim. Pod każdym względem był ostoją.

Bonmot i Duncan na tyle daleko odsunęli się od dzielącej ich kwestii zakazanej książki Duncana, że odkryli wiele wspólnych zainteresowań, poczynając od historii i religii, a kończąc na zbliżonym guście dotyczącym muzyki i sztuki. Gdy pojawiałam się w tym idyllicznym miejscu, przynosząc kanapki kupione na ulicznym straganie, nie raz zastawałam ich pograżonych w rozmowie. Pomarszczoną twarz Bonmota jeszcze głębiej złożyły zmarszczki wywołane śmiechem, a jego łysa jak melon głowa kiwała się potakująco, gdy Duncan dobitnie przedstawiał jakiś argument, wymachując rękami brzemieniami od przekazywanej za ich pomocą wiedzy. Dwaj weterani wygnania, odrodzeni w przyjemności płynącej ze swojego towarzystwa. (Co nie oznacza, że się nie sprzeczailiśmy - czasami zajadle. Wiedzieliśmy, na czym stoimy w naszej wzajemnej relacji).

Już na początku Duncan zrezygnował z dobrych manier i mocno przycisnął Bonmota w kwestii jego wiary. Oto, jak zrelacjonował w swoim dzienniku jedną z tych dyskusji, przeprowadzoną podczas wczesnego lunchu:

„Czasami Bonmot irytuje mnie swoją wiarą, ponieważ mam wrażenie, że nie opiera się ona na niczym, co nie byłoby efemeryczne. A jednak moja własna wiara, błędnie uznana za »obsesję«, nie jest w stanie wzbudzić takiego ślepego posłuszeństwa ani zaufania.

- Nie rozumiem - rzekłem dziś do Bonmota - w jaki sposób ze skorumpowanego Przewodniczącego Truffidiańskiego stałeś się szacownym royalem Akademii Blythe'a.

Myślę, że interesowało mnie to ze względu na mój własny »skandal«, nawet jeśli ten zakończył się jedynie upokarzającym wycofaniem mojej książki z druku. Być może udałoby mi się powtórzyć drogę Bonmota.

Jednakże Bonmot tylko się roześmiał i rozwiął moje nadzieje na poważne wyjaśnienie, mówiąc:

- Lepiej mnie spytaj, w jaki sposób uległem korupcji. A odpowiadając na twoje pytanie: nie miałem wyboru. Tak się po prostu stało. Kiedy tkwisz w takiej sytuacji, postrzegasz świat w sposób, który umożliwia ci usprawiedliwianie swoich działań. Gdy tracisz tę perspektywę, budzisz się.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie doprowadził cię do tego wniosku żaden konkretny impuls, wydarzenie?

- Nie - odparł Bonmot. - Dosłownie obudziłem się pewnego dnia i znalazłem w sobie wystarczająco dużo dystansu, by zrozumieć, że wszedłem na niewłaściwą ścieżkę i muszę się zmienić.

- To bardzo wygodne - odrzekłem, a Bonmot wybuchnął charakterystycznym dla siebie gromkim śmiechem, na chwilę zginając się wpół”.

(Czy zawiedziony wyraz mojej twarzy go rozbawił? Nie, był na to zbyt dobroduszny. Czyżby więc śmiał się z czegoś zupełnie innego - jakiegoś kosmicznego żartu, osobistego bądź religijnego? Wtedy nie byłem w stanie tego stwierdzić, ale często o tym rozmyślałem, gdyż wprawiało mnie to w zakłopotanie. Gdybym dziś miał pokusić się o odpowiedź, zgadywałbym, że Bonmot śmiał się na wspomnienie własnej głupoty, a także z niezwykłego szczęścia, które pozwoliło mu się z niej wyplątać).

„- Ach, Duncanie - powiedział, ocierając łzę z policzka - przyznaję, że to rzeczywiście wygodne, że tak łatwo udało mi się odpokutować winy. Zrozumienie przyszło do mnie bezboleśnie. Ale może ucieszy cię fakt, że pewnego dnia to samo może się przytrafić tobie, jeśli będziesz tego potrzebował.

- Owszem, potrzebuję lepszego zrozumienia kilku spraw - odrzekłem.

- Może potrzebujesz Boga - odpowiedział Bonmot, nadając swojemu głosowi melodyjne brzmienie, za pomocą którego dał mi do zrozumienia, że tylko się ze mną drażni. - Myślisz, że właśnie dlatego do mnie przyszedłeś? - Wcale nie po to do niego przyszedłem, ale ton jego głosu sprawił, że teraz z jakiegoś dziwnego powodu niemal byłem na to gotowy.

- Wierzysz w coś, czego nie widzisz - odparłem. - Jestem w stanie to zrozumieć, ale nie potrafię podzielić tej wiary.

Wzruszył ramionami.

- »Nie ma takiej mowy, nie ma takich słów; pieśni niebios nie sposób wyrazić«. Nie w coś, ale w kogoś.

- A więc w kogoś. Powiedz mi więc, dlaczego tak bardzo się różnimy? Ja również wierzę w coś lub kogoś, kogo nie mogę zobaczyć. Tylko że to coś mieszka pod ziemią. - Rzuciłem to pytanie niemal mimochodem, ale choć zabrzmiało jak żart, mój oddech przyspieszył i sędzę, że w głębi duszy naprawdę czekałem na poważną odpowiedź. Pragnąłem wyjaśnienia, które

pomogłoby mi zrozumieć, dlaczego nie potrafię zrezygnować ze swojej pogoni za tajemnicą.

- Istnieje zasadnicza różnica - odrzekł Bonmot, chociaż nadał zastanawiam się, skąd mógł to wiedzieć, skoro nie był na dole i nie widział tego, co ja widziałem.

- Co to za różnica?

- Twój niewidzialny świat istnieje tylko w twojej głowie - odpowiedział najgrzeczniej jak potrafił, na chwilę wyciągając olbrzymie dłonie ponad stołem, jakby chciał mnie pocieszyć. - Z kolei mój niewidzialny świat jest prawdziwy. Prawda przekonuje, a boskość zapewnia dar szczerzej wiary.

Zawsze miałem problem z Prawdą i tymi, którzy wiążą z nią swoje życie, choćbym ich bardzo kochał i szanował. Z kolei Wiara nigdy mi nie przeszkadzała.

Mimo to skorzystałem z okazji i powiedziałem:

- Może to kwestia skali. Liczby dusz zarażonych ułudą.

Bonmot przestał się uśmiechać.

- Nie, to nie jest kwestia skali”.

(Ale to w oczywisty sposób była kwestia skali. Właśnie dlatego mi się nie udało. Trzeba zarazić umysły setek tysięcy, by cokolwiek osiągnąć, by wyrzeć jakikolwiek wpływ. Nie można do końca życia przedstawiać swoich teorii stu osobom podczas spotkań zdyskredytowanego towarzystwa historycznego. To nic nie da).

„- A więc co?

- Już ci mówiłem - odrzekł Bonmot. - Ale ty nie jesteś gotów, by mnie wysłuchać. Musisz poznać prawdę, znaleźć coś, w co warto wierzyć. Stale. Przez wieki. Coś na tyle ważnego, że ludzie są skłonni budować na tym całe swoje życie. Żyć dla tego, a nawet, tak, umrzeć. A to oznacza, że musi to być coś przekraczającego wszelkie wyobrażenie. »Milcząc ze względu na Ciebie, wychwalam Cię« - zacytował. - »Wszystko, co o Tobie wiemy, to że Cię nie znamy«.

Nachyliłem się bliżej ponad stołem.

- A gdybyś mógł to poznać? Czy stałoby się wtedy mniejsze? Myślę, że gdybyś zobaczył to, co ja widziałem, zmieniłbyś zdanie”.

(I czyż pod koniec go nie zmienił? A ja pożałowałem, że kiedykolwiek próbowałem zachwiać jego pewnością).

„- »Anioły ciemności, których imion nie znam« - rzekł Bonmot. - Musisz się strzec fałszywego światła.

»Fałszywego światła«. Zadrzałem. Samuel Tonsure napisał tak kiedyś w swoim dzienniku. Ale on nie wiedział o Maszynie, o drzwiach. Uznałem, że drzwi są realne, nie stanowią tylko złudzenia, mirażu w lustrze. Drzwi. A oto Bonmot mówi o niedopuszczaniu fałszywego światła. Przez chwilę, tylko przez chwilę, zastanawiałem się, czy on przypadkiem nie wie czegoś o prawdzie, której ja szukam”.

(W końcu Bonmot często przedstawiał się jako specjalista od Zamilonu, czyli miejsca, w którym, jak byłem przekonany, kiedyś znajdowało się rozwiązanie zagadki Maszyny. Ale ten twardy stary drań nigdy nie zdradził, co wiedział, niezależnie od tego, jak bardzo próbowałem wydobyć z niego te informacje. A potem było już za późno).

„Cofnąłem się, wyprostowałem na ławce, poczułem pod dłońmi jej lakierowaną szorstkość-gładkość. Poczułem dotyk słońca na twarzy. Poczułem słaby podmuch wiatru. Zdziwiłem się, jak mogłem tak się zatracić w rozmowie, że zapomniałem o otaczającym mnie świecie.

Zacząłem od nowa. Nie wiem, dlaczego w ogóle próbowałem. Bonmot nie był w stanie mnie przekonać, ani ja jego.

- To dla mnie właśnie tak ważne. To moja religia.

- Nie wątpię w szczerą twoich intencji - odrzekł. - Po prostu nie jestem pewien, czego ode mnie oczekujesz.

- Abyś przyznał, że moje teorie nie wykluczają się z twoimi wierzeniami - wyjaśniłem.

- Ależ twoje teorie są nieprawdopodobne. Nie są także istotne w szerszym kontekście.

To sprawiło, że na chwilę ogarnęła mnie wściekłość.

- Istotne? Istotne. A co powiesz na nasze przetrwanie w Ambergris? Na drugą Ciszę? To dla ciebie wystarczająco istotne?

Bonmot westchnął. Brzmiało to tak, jakby westchnęła skała lub ziemia.

- Na tym polega truffidianizm, mój przyjacielu. Właśnie na tym; w przyszłości powinieneś częściej czytywać nasze teksty. „Ten sam los czeka wszystkich, czystych i nieczystych, prawych i niegodziwych, dobrych i grzeszników”.

- »Nikt się nie wywinie«, jak kiedyś napisał Tonsure - odrzekłem. - Ale co, jeśli ten los spotka nas szybciej niż powinien?

Bonmot wzruszył ramionami.

- Nie wierzę w to, co ty.

Wiedziałem jednakże, że w obliczu rzeczywistych wydarzeń nie będzie taki spokojny i pogodzony z losem. Wiedziałem, że to, co pewnego dnia może się ziścić, przekroczy wyobrażenia nawet ludzi, którzy potrafią uwierzyć we wszechmocną istotę, która nigdy nie ukazała się im w ciele; zarówno Bonmota, jak i wszystkich pozostałych”.

(Kiedyś odbyłem rozmowę o Wierze i Prawdzie z Sybelem, gdy czekałem, aż wyda mi nalewkę. „Co jest tak pociągającego w truffidianizmie, Sybelu? W jedynej Prawdzie?” - spytałem. „To proste” - odpowiedział. „Nie trzeba już dalej szukać. Można po prostu być”. „Tym samym może się poszczycić drzewo” - odrzekłem, co zapewne nie było najmądrzejszą odpowiedzią).

Takie rozmowy zazwyczaj kończyły się pokojowo - ponieważ Duncanowi niejedno podobało się w truffidianizmie (to chyba myślenie życzeniowe z twojej strony, Janice), Bonmot zaś w przeszłości popełnił zbyt poważne błędy, by pochopnie osądzać innych za brak wiary. A jednak wciąż się przekomarzali, czasami z komicznym efektem.

Duncan: Widziałem coś w rodzaju boga. Mieszka pod ziemią.

Bonmot: Cisza to bardziej kwestia grzechów niż grzybów.

Duncan: Ale szczury, Bonmocie? Dlaczego musicie czcić szczury?

Bonmot: Niezbadane są drogi Boga, Duncanie. A poza tym niebezpiecznie zbliżasz się do bluźnierstwa... tylko niektórzy z nas czczą szczury. Ja ich nie czczę.

Duncan: Szczury, Bonmocie? Szczury?

Owszem, rozmawialiśmy także na poważne tematy, ale nie stroniliśmy od świńskich dowcipów i bezlitośnie się ze sobą drażniliśmy. Dzieliliśmy się awanturycznymi opowieściami o szokujących zachowaniach moich artystów, a Bonmot anegdotami z czasów pobytu w

akademii religijnej w Morrow. (Moje ulubione dotyczyły wyczynów głównego wykładowcy, Cadimona Signala). Nasze rozmowy rzadko bywały odkrywczymi. Nie taki był ich cel. To byli ludzie, których kochałam lub z czasem pokochałam. Bywały miesiące, gdy ich towarzystwo mnie ratowało, wyciągało ze spirali samozniszczenia skuteczniej niż Sybel. Co do Bonmota, to wydaje mi się, że nasze spotkania pozwalały mu się odprężyć lepiej niż kiedykolwiek, odkąd został kapłanem. (Ja również dobrze się bawiłem, Janice, ale przedstawiasz to wszystko w zbyt wyidealizowany sposób. Było przyjemnie, ale nie idealnie).

Powinłam być zazdrosna o rozmowy Duncana i Bonmota, ale cieszyłam się z przyjaźni tego olbrzyma z moim stosunkowo „drobnym” bratem. Kiedy dołączałam do nich ze swoimi kanapkami, często czułam się winna, że wrywam ich ze wspólnego świata słów i idei. Dwie głowy obracały się w moją stronę, oszołomione - kim jest ten intruz? - po czym rozpoznawały mnie i łaskawie przyjmowały do swojego grona. (To subtelne zmylenie czytelnika pozwala Ci utrzymać w tajemnicy swoją emocjonalną zażyłość z Bonmotem. Łączyła Cię z nim więź, na jaką ja nie mogłem liczyć, podobnie jak później mnie z Lacondem. To ja często bywałem intruzem, Janice. To zaskakujące, jak łatwo znaleźliście wspólny język. Ale skoro nie chcesz się tutaj dzielić szczegółami, nie będę Cię zmuszał).

Nadal pamiętam donośny śmiech Bonmota, głęboki i wyraźny, który często ściągał na niego nieprzychylnie spojrzenia studentów stojących w pobliżu. A jednak nawet wtedy, podczas spotkań, które uważałam za ucieczkę od wyczerpującej cielesności mojego „normalnego” życia, towarzyszyła nam Mary Sabon, schowana między stronami dziennika, który Duncan nosił przy sobie. Nigdy nie da się wskazać konkretnego początku, prawda? Chwili, w której wszystko się zaczęło. Początki wciąż się rozpoczynają. Czas jest tylko obliczonym na zysk żartem twórców zegarów. Za sprawą pamięci przeszłe wydarzenia się łączą, tak że uważam Mary za uczestniczkę naszych spotkań i widzę, jak opiera się o Duncana, próbując odwrócić jego uwagę.

Teraz ona jest wszędzie, a ja, niemal dosłownie - nigdzie.

5

Czy wspomnienia z dzieciństwa można pomyłkowo uznać za nowy początek? Raczej nie. Nie, jeśli opowiem o nich w następujący sposób: lasy poza granicami Stockton pozostają dla mnie równie prawdziwe jak wilgotne, spowite grzybami ulice Ambergris, może nawet bardziej. Ciemne liście, pstrokate pnie, zielone cienie odbijające się w oknach naszego domu niczym jakieś nadnaturalne postacie. W Stockton rośnie wiele gatunków drzew, jednak jest wyraźna różnica pomiędzy statecznymi dębami stojącymi wzdłuż naszej ulicy a niekształtną, powykręcaną, wijącą się plataniną konarów drzew rosnących w lesie. Gdy byliśmy mali, las zarazem dodawał nam otuchy i nam zagrażał: zapowiadał nieograniczone możliwości przygód i wzbudzał lęk przed nieznanym.

Nasz dom stał na skraju lasu. Drzewa ciągnęły się przez setki mil, wspinając się na wzgórza i schodząc w głąb dolin. Nosił wiele nazw: Las Zachodni, Sowi Las bądź Las Farely'ego, nazywany tak od nazwiska człowieka, który jako pierwszy zbadał ten obszar. Stockton od wieków trwało wygodnie przytulone do wschodniej ściany puszczy, karmiąc się drewnem, sokami oraz zwierzętami, które się w niej skrywały. Chociaż było położone trochę dalej na południe niż Ambergris - po drugiej stronie rzeki Moth - dzięki bliskości lasu cieszyło się znacznie bardziej umiarkowanym klimatem. Nie zdarzały się tam takie upały jak w Ambergris.

Kiedy skończyłam trzynaście lat, a Duncan dziewięć, las był już naszą własnością. Skolonizowaliśmy jego małą narożnik - oczyściliśmy ścieżki, zbudowaliśmy kryjówki z opadłych gałęzi, nawet zaczęliśmy wznosić domek na drzewie. Tata nie lubił spędzać czasu na świeżym powietrzu, ale czasem udawało nam się go namówić na wejście do lasu, by pokazać mu nasz najnowszy projekt. Mama szczerze bała się lasu - bała się każdego mrocznego miejsca, co mogło być spowodowane dorastaniem w Ambergris. (Nigdy nie odniosłem wrażenia, że dorastanie w Ambergris było dla niej traumatycznym przeżyciem - mieszkała tam w bardzo spokojnych czasach - ale to prawda, że nigdy o tym nie wspominała).

Pewnego dnia Duncan postanowił, że powinniśmy być bardziej ambitni. Wcześniej sporządziliśmy prostą mapę znanej części lasu i mojego brata drażnił olbrzymi obszar oznaczony jako „Nieznany”. Las był jedyną rzeczą, którą naprawdę mógł uznać za swoją, jedynym miejscem, gdzie mnie nie naśladował, a ja uznawałam jego przywództwo.

Staliśmy na końcu naszej najambitniejszej ścieżki. Znikała wśród krzaków, sosnowych igieł i grubych pni drzew o ciemnej łuskowatej korze. Wciągnęłam do płuc świeże-zatechłe powietrze, nasłuchując odległego krzyku sokoła i usiłując wychwycić szelest myszy i królików w zaroślach. Oddaliliśmy się już na ponad milę od domu.

Duncan wpatrywał się w leśną gęstwinię.

- Musimy pójść dalej - stwierdził.

Był wtedy psotnym szkrabem, drobnym jak na swój wiek, a jednak potrafił bez wysiłku zmienić się w małego oprycha, krzyżując ręce na piersi i rzucając zirytowane spojrzenie. Czasami nawet melodramatycznie wzdychał, jakby miał dosyć niesprawiedliwości świata. Jego szokująco jasne włosy zaczęły ciemnieć. Jasnozielone oczy czasami wydawały się zbyt duże. Lubił się ubierać w długie zielone koszule, brązowe szorty i sandały. Twierdził, że to dla potrzeb kamuflażu. (Kamuflażu albo wygody - nie pamiętam). Nosił takie same stroje, chociaż, co dziwne, mama tego nie akceptowała. Tacie było wszystko jedno.

- Jak daleko? - spytałam.

Coraz lepiej zdawałam sobie sprawę z tego, że rodzice liczą, iż będę pilnowała Duncana. Od czasu jego utknięcia w tunelu rok wcześniej wszyscy bardziej martwiliśmy się jego lekkomyślną ciekawością.

- Nie wiem - odpowiedział. - Gdybym wiedział, to nie byłaby przygoda. Ale tam coś jest, coś, co musimy odnaleźć.

Minę miał psotną, owszem, ale jednocześnie dziwnie rozmarzoną. (Rozmarzoną? Miałem dziewięć lat. Nie było we mnie niczego „rozmarzonego”. Lubiłem bekać przy kolacji. Lubiłem robić balony z gumy, bawić się metalowymi żołnierzykami oraz czytać książki o piratach i gadających niedźwiedziach).

- Ale tam jest tyle jeżyn - zauważyłam. - Całe wieki zajmie nam ich usunięcie.

- Nie - odparł z nagłą surowością, która wydała mi się urocza i lekko absurdalna w zestawieniu z jego tyczkowatą posturą. - Nie. Musimy zbadać dalsze obszary. Koniec ze ścieżkami. Nie potrzebujemy ich.

- No cóż... - zaczęłam, mając zamiar podzielić się z Duncanem swoimi kolejnymi zastrzeżeniami.

Ale on już ruszył, brnąc przez jeżyny jak miniaturowa wersja Kalifa, zdeterminowany, by zagarnąć wszystko, co widzi, dla Imperium. Zawsze był szybki, z uporem dążył do każdego nowego celu, do każdej błyskotki, która przyciągnęła jego wzrok. Zazwyczaj potrafiłam nad nim zapanować. Zazwyczaj starał się nie zachodzić mi za skórę. Ale kiedy wchodziliśmy do lasu, nasza relacja zawsze się zmieniała, a on dowodził.

Błyskawicznie zanurzył się w lesie, a ja oczywiście poszłam za nim. Jaki miałam wybór? Zresztą i tak się przed tym wzbraniałam. Czasami dzięki Duncanowi mogłam spróbować rzeczy, których inaczej nigdy bym nie zrobiła. A gdy za nim podążałam, ku mojej wielkiej uldze opadał ze mnie ciężar bycia najstarszą - to była rzadkość, nawet ZUT.

W tej części lasu było bardzo ciemno ze względu na gęste zarośla oraz liście i igły, które rozrzedzały światło słońca. Odnalezienie plamy złocistego blasku w tym mroku było jak znalezienie złota, lecz te plamy tylko podkreślały otaczającą nas ciemność. Zapach zgnilizny będącej skutkiem braku słońca sprawiał zdrowe wrażenie - nie przeszkadzał mi; oznaczał, że cały las wciąż funkcjonuje, wypełniając swój cykl, aż po najmniejszego owada drążącego tunel w martwym drewnie. Nie oznaczał tego, co później w Ambergris.

Duncan i ja przedzieraliśmy się przez plątaninę chwytnych pnączy i gęstych krzewów. Macając przed sobą drogę, przechodziliśmy ponad powalonymi drzewami, zatrzymując się, by badać gniazda ognistobarwnych salamander i skupiska rdzawoczerwonych grzybów. Las otaczał nas przytulnym kokonem; nie przyprawiał nas o klaustrofobię, ale też nie pozostawiał obojętnymi. Nawoływania ptaków stawały się coraz dziwniejsze, coraz bardziej przenikliwe, aż w końcu całkowicie umilkły. (Zupełnie jakbyśmy przeszli przez drzwi prowadzące do innego miejsca, innego czasu. Czasami podczas pobytu w lesie nie wierzyłem, że istnieje on w tym samym świecie co nasz dom).

Miejscami grunt się wnosił, a my z trudem brnęliśmy w górę pochyłości, z morderczym wysiłkiem stawiając kolejne kroki. Polany pojawiały się coraz rzadziej, potem długo wędrowaliśmy wśród ciemnozielonych roślin w cieniu baldachimu drzew przypominających czarne marmurowe kolumny, które oświetlało tylko nieregularne migotanie świetlików, otoczeni monotonnym szcękaniem jakichś owadów oraz zapachem przypominającym woń popiołu i słomy. Pomimo chłodnej pory roku oboje zaczęliśmy się pocić i nawet niezrażony Duncan ciężko dyszał. Pokonaliśmy długą drogę i nie byłam pewna, czy potrafię wrócić na znajome ścieżki. A jednak w tej wyprawie, w tym lekkomyślnym parciu naprzód było coś hipnotyzującego. Część mnie mogłaby tak wędrować całymi godzinami, nie widząc końca, usatysfakcjonowana tą niepewnością. (Zatem już wiesz, jak się czuję przez całe moje dorosłe życie - z tą różnicą, że mówi się nam, iż nie ma niczego niepewnego. Nikt się nie wywinie, powtarzają nam od urodzenia aż do śmierci, na tysiąc mniej lub bardziej dosłownych sposobów. To tylko kwestia tego kiedy i gdzie - oraz tego, czy wcześniej uda mi się odkryć prawdę).

Kłujący i piekący ból wywołany wysiłkiem oraz mieszanka podniecenia i lęku przed nieznanym długo dodawały mi sił. W końcu jednak strach przewyciężył podekscytowanie. (Chyba raczej zdrowy rozsądek przewyciężył podekscytowanie).

- Duncanie! - odezwałam się do jego pleców. - Musimy się zatrzymać. Znaleźć drogę do domu.

Odwrócił się, wsparty o pień drzewa - cień obramowany głębszym mrokiem - i powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę.

- Nie ma innej drogi niż naprzód, Janice. Jeśli pójdziemy przed siebie, znajdziemy drogę powrotną.

Coś takiego mógłby powiedzieć tata, a nie dziewięciolatek.

- Zabłądziliśmy, Duncanie. Musimy wracać.

Pokręcił głową.

- Ja nie zabłądziłem, Wiem, gdzie jesteśmy. Jeszcze nie dotarliśmy do celu. Przed nami znajduje się coś ważnego. Wiem to.

- Duncanie - przerwałam mu - masz na nogach sandały. Twoje stopy są już pewnie poważnie pokaleczone.

- Nie - odparł. - Nic mi nie jest. (To nie była prawda. Kolce jeżyn poraniły mi stopy, ale postanowiłem nie myśleć o niewygodach, ponieważ były nieważne).

- Coś jest przed nami - powtórzył.

- Owszem, las - odrzekłam. - Ciągnie się przez setki mil. - Myślałam o tym, czy znajdę w sobie siłę, by zanieść wierzgającego i walczącego Duncana do domu. Pewnie nie.

Spojrzałam w górę wzdłuż długich pni ku zmieniającym się jak w kalejdoskopie wzorom tworzonym przez zataczające koła gałęzie upstrzone niewyraźnymi plamami światła i porośnięte gąszczem liści. W kilku lepiej oświetlonych miejscach dostrzegłam unoszące się w powietrzu spory i pył oraz nitki pajęczyn. Nawet powietrze pomiędzy drzewami było gęste od rozkładającego się życia.

- Zaufaj mi - rzucił Duncan i wyszczerzył w uśmiechu zęby. Ponownie ruszył z miejsca, z taką prędkością, że nie miałam innego wyboru, jak tylko za nim podążyć. Pośród cieni jego chuda, żylasta sylwetka bardziej przypominała masywne, muskularne ciało mężczyzny. Czy uda mi się przekonać go, by w końcu się zatrzymał, czy też musi to zrobić sam?

Minęło kolejne pół godziny lub coś koło tego - nie potrafiłam już rozpoznać, w jakim kierunku idziemy, więc zaczęłam także tracić poczucie czasu - i poczułam, że powoli

opanowuje mnie obezwładniająca panika. Zgubiliśmy się. Nigdy nie wrócimy do domu. (Trzeba mi było zaufać. Będziesz musiała mi zaufać).

Lecz Duncan cały czas szedł naprzód, w nieznaną, po gęstym leśnym poszyciu, które miejscami sięgało mu do kostek.

W końcu odetchnęłam z ulgą, gdyż zarośla stały się rzadsze, a drzewa większe i bardziej oddalone od siebie. Wkrótce mogliśmy iść bez przeszkód po warstwie aksamitnego kompostu, którą tworzyła ziemia pokryta wilgotnymi liśćmi i sosnowymi igłami. Unosił się ku nam bogaty aromat przypominający zapach kawy lub łagodnej mięty. Ponownie usłyszałam sokoła, który wcześniej krążył nam nad głowami, oraz sowę kryjącą się w mroku ponad nami.

Wtedy Duncan się zatrzymał. Z pewnością wiedział, jaka byłam zmęczona i spragniona, ponieważ wziął mnie za rękę, uśmiechnął się i powiedział:

- Chyba jesteśmy niedaleko. Już prawie doszliśmy.

Dotarliśmy do serca - bądź jednego z serc - lasu. Dotarliśmy do miejsca, które w przypadku cyklonu nazwalibyśmy okiem. Z góry przeświecały ku nam snopy światła, równie cienkie jak zielone promienie, które dostrzegam kątem oka, gdy spisuję tę relację. W tych snopach światła unosiły się nieruchome drobinki pyłu. Nie słyszałam żadnego dźwięku poza odgłosem naszych stóp.

Duncan przystanął. Tak przywykłam do tego, że muszę pędzić, by za nim nadążyć, że prawie na niego wpadłam.

- Tam - powiedział i wskazał gestem ręki, po czym zmarszczył twarz w uśmiechu.

A ja głośno wciągnęłam powietrze, ponieważ przed nami stał posąg.

Był wykonany z twardego szarego kamienia, popękany, obmyty światłem, pokryty szmaragdowo-karmazynowymi porostami, miał duże oczy, małe nos i poważną minę. Nie mógł mieć więcej niż trzy lub cztery stopy wysokości.

Podeszliśmy bliżej, sunąc bez wysiłku, tak pochłonięci niezwykłym widokiem, że zapomnieliśmy o bólu nóg.

Opalizujące żuki wplotły się w korale porostów znaczące usta posążka; niektóre latały wokół niego, a ich ciała zwiślały ciężko pod drobnymi skrzydełkami. Inne owady skryły się w pęknięciach na powierzchni kamienia. Część czubka głowy posągu zdobiło coś, co wyglądało na gniazdo strzyżyka. Wokół rzeźby wyrósł miniaturowy świat. Bez wątplenia była ona dziełem jednego z tubylczych plemion, które wycofało się w głąb kraju, gdy nasi przodkowie zbudowali Stockton i wzięli w posiadanie okoliczne ziemie. Tyle wiedziałam ze szkoły.

- Skąd? - spytałam zachwycona. - Skąd wiedziałeś, że on tutaj jest, Duncanie?

Odwrócił się ku mnie z uśmiechem.

- Nie wiedziałem. Po prostu czułem, że coś musi tutaj być, i jeśli będziemy wystarczająco długo szukać, to to znajdziemy.

Tamtego dnia, gdy staliśmy przed posązką i upajaliśmy się jego dziwacznym pięknem, a potem gdy Duncan bezbłędnie odnalazł drogę do domu, a nawet gdy mama i tata, którzy czekali na nas na podwórku w świetle słońca chowającego się za linią drzew, wyrazili złość i zawód spowodowane naszą „nieodpowiedzialnością” - zwłaszcza moją - ani razu nie przyszło mi do głowy, że Duncan może być bardziej szaleńcem niż szczęściarzem, osobą dotkniętą przez los, a nie jego panem. Po prostu za nim podążałam. (Janice, troszeczkę Cię okłamałem. To prawda, że nie wiedziałem, gdzie dokładnie znajduje się posązek, ale usłyszałem o nim od jednego ze starszych uczniów w naszej szkole. On przekazał mi wystarczająco dużo informacji, bym wiedział, dokąd pójść. Tak więc nie dokonałem niczego nadnaturalnego - opierałem się na strzępach, skrawkach informacji, tak jak podczas swoich wszystkich wędrówek).

Tamtego dnia Duncan nakłonił mnie do przekroczenia granic rozsądku, później zaś w ten sam sposób próbował postąpić z Akademią Blythe'a. Nie chodziło jedynie o nieuchronnie nadciągającą sprawę Mary Sabon, lecz o potajemne wykorzystywanie Akademii do celów zgłębiania głównej pasji Duncana: szarych kapeluszy i ich planów.

Nie mam pojęcia, czy Duncan potrafi nauczać (bardzo Ci dziękuję). Nigdy nie brałam udziału w jego zajęciach. Nigdy nie wypytywałam go o nauczanie. Byłam zbyt zajęta. Ale wiem, że odkrył, iż lubi „odsuwać zasłonę niezrozumienia”, jak to kiedyś ujął (w żartach). Wykłady pozwalały mu ćwiczyć od dawna uśpiony intelekt, a także egzorcyzmować demony autocenzury, gdyż słowa Duncana nie musiały przechodzić przez filtr lęku przed czytelnikami. (Nie przejmuj się - nigdy nie miałem stałego grona czytelników, w przeciwnym razie przeniósłbym się ze swoimi książkami do innego wydawnictwa. Ale masz rację, że bałam się, iż pewnego dnia takie grono się pojawi. Tylko pomyśl - ktoś miałby rzeczywiście czytać te grube kłocę papieru, które tworzyłem całymi latami). Potrafił bawić i uczyć, jednocześnie podsycając elementy tajemnicy w nadziei, że pewnego dnia rozkwitną w postaci dociekliwości i głodu wiedzy.

Ale czy chodziło tylko o niewinną edukację? A może kryło się za tym coś jeszcze?

Analiza jego planu zajęć pozwala nam dostrzec schemat przypominający wzór stworzony przez zalew dokumentów, map, ilustracji i portretów, które niegdyś pokrywały ściany pokoju Duncana w Religijnym Instytucie. (Nigdy Ci o tym nie mówiłem, ale zaledwie

rok temu dowiedziałem się, że na życzenie Cadimona Signala cały ten zbiór został z troską umieszczony pod szkłem, oprawiony i odesłany do jakiejś mrocznej, ohydnej piwnicy w Zamilonie, gdzie ma zostać poddany długotrwałej, fanatycznej analizie. Nie wiem, co mnisi pragną znaleźć wśród tych odpadków, ale czuję się nieswojo na myśl o ich oślizłych dłoniach i szczurzych oczach badających ozdoby zdjęte z moich ścian).

Chociaż Duncan nie mógł i nie chciał zdradzać szczegółów dotyczących swoich podziemnych podróży, podczas zajęć wykorzystywał oszłamiająco różnorodny zbiór tekstów z dziedzin nauk społecznych, ekonomii, religii, kulturoznawstwa, psychologii, geografii i nabożeństwa, pragnąc zapewnić pełen kontekst dla nauki o powstaniu Kościoła Truffidiańskiego. Kurs skupiał się wokół „Dziennika Samuela Tonsure'a” - pozornie po to, by owoić studentów z truffidiańskim bełkotem i wielosłowiem - oraz podejmował liczne dodatkowe kwestie, takie jak truffidiański folklor, natura grzybów czy analiza zapisów rozmów truffidiańskich kapłanów w czasach przygód Tonsure'a.

W skrzyni z papierami Duncana, którą wtaszczyłam tu częściowo sama, a częściowo z pomocą tragarzy, mam kilka jego planów zajęć. Oto przykład:

SEMESTR WIOSENNY

Podstawowe teksty

- Cinsorium: egzemplarz wykładowcy; możliwość wypożyczenia każdemu ze studentów na trzy dni.
- Dziennik Samuela Tonsure'a, Samuel Tonsure.
- Red Martigan: Życie, Sarah Carsine.
- Związki pomiędzy tubylczymi szczepami ze Stockton a szarymi kapelusznymi, Jonathan Shriek: rozprawa naukowa; studenci otrzymają egzemplarze.
- Odbicie światła w więzieniu autorstwa uwięzionych mnichów truffidiańskich.
- Zamilon dla początkujących, Cadimon Signal: w ramach przygotowań do kolejnego semestru.

Obszary badań

- Dziennik Samuela Tonsure'a: Niemożliwa perspektywa przestrzenna w częściach dotyczących podziemia. (Później zrozumiałem, że problem tkwi w ograniczeniach ludzkich zmysłów, a nie w relacji Tonsure'a).

- Dowody obecności szarych kapeluszy w Morrow: Wybór tekstów, wliczając dziennik pewnego kawalerzysty z czasów Ciszy. (Dziś jednak wydaje się, że było to w najgorszym wypadku fałszerstwo, a w najlepszym owoc niestarannych badań).

- Badanie grzybów znajdujących na budowach religijnych: zajęcia w terenie.

- Gościnny wykład Jamesa Laconda.

(Co ciekawe, Lacond nie rozmawiał ze mną zbyt długo podczas naszego pierwszego spotkania twarzą w twarz. Był grzeczny, lecz nie dociekliwy; wygłosił wykład o własnych teoriach dotyczących szarych kapeluszy, po czym wyszedł. To było pierwsze i ostatnie spotkanie Bonmota z Lacondem. Ostrożnie krążyli wokół siebie, mierząc się wzrokiem, jak dwie istoty z bardzo odmiennych światów. Wymamrotali kilka grzecznościowych zwrotów, a następnie oddalili się w przeciwnych kierunkach, dosłownie i w przenośni, gdyż Bonmot nie został na wykładzie. A jednak pod wieloma względami bardzo siebie przypominali).

Niestety, Duncan albo nie zachował swoich osobistych notatek, albo nie dołączył ich do tych planów. Jednakże po wnikliwej analizie wszystkich rozkładów zajęć - których cytowanie tutaj byłoby zbyt uciążliwe - dochodzę do wniosku, że umysł Duncana zaprzętało nie tylko uczenie studentów. Sądzę, że szukał niezależnego potwierdzenia swoich odkryć. Uważał, że poddani takim samym bodźcom, jego studenci - może tylko jedno lub dwoje z nich, ale to by wystarczyło - pewnego dnia uwolnią go od piętna historycznej herezji. Cóż za ironia, że zamiast tego jego starania doprowadziły jedną ze studentek do oskarżenia go o historyczną herezję.

(Janice, dosyć tego! Wielokrotnie miałaś okazję zapytać mnie o te sprawy, a wtedy otrzymałabyś odpowiedź bardziej zgodną z prawdą niż Twoje przypuszczenia. Chociaż jesteśmy rodzeństwem, nie potrafisz czytać mi w myślach. Masz rację tylko w połowie - co oznacza, że się mylisz. Najbardziej zależało mi na uczeniu moich studentów. To wymagało stosowania zróżnicowanych i otwartych metod, przede wszystkim ze względu na to, jak niewiele spośród dostępnych tekstów łączy złożoną analizę historyczną z dogłębnym interdyscyplinarnym podejściem. Jak myślisz, dlaczego stworzyłem tamten „dokument” na swojej ścianie w Instytucie? Uczyłem ich i robiłem to dobrze. Temat przewodni moich zajęć - tak, przyznaję, że go miały - nie miał nic wspólnego z nadzieją na to, że studenci będą naśladowali moją pracę. Aby to uczynić, musieliby tak jak ja zejść pod ziemię, a jak dobrze wiesz, popełniłem ten błąd tylko raz.

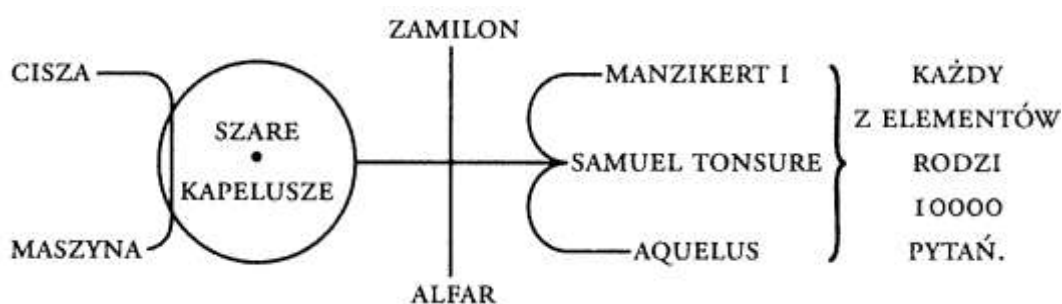
Nie. Nie dostrzegasz prawdziwie diabolicznych intencji, które stały za moim podejściem. Nie doceniasz mnie. Czy szukałem poparcia? Nic z tych rzeczy. Trzystu studentów mogłoby potwierdzić moje odkrycia, a i tak nikt by im nie uwierzył, podobnie jak mnie. Mój plan polegał na prowadzeniu dodatkowych badań. Na zbieraniu na wpół sformowanych myśli jak śliwek. Na hodowaniu podczas każdego semestru kolejnych trzydziestu lub czterdziestu mózgów, by stworzyć wielogłową istotę, która mogłaby na swój chaotyczny i niepewny sposób osiągnąć więcej niż pojedynczy uczonec. Każdy tekst, który kazałem im czytać, każde pytanie, na które odpowiadali, każda praca, którą pisali, dotyczyły jakiejś części niekompletnej mapy mojej wiedzy. W wielu przypadkach to oni mnie uczyli. Nie mieli moich bliźni ani wiedzy o przyszłości; nie mieli kłapek na oczach, byli wolni od mojej swoistej ortodoksji. Obserwowałem ich, gdy z pochylonymi głowami ciężkimi od wiedzy pracowali nad kolejnymi testami, a każdy zawijas, który ich pióra zostawiały na papierze, stanowił oznakę postępów - ta permutacja, tamta permutacja, wypróbowywane bez końca, nieprzynoszące żadnych skutków, a jednak cenne dla potrzeb tego konkretnego faktu. Pomiń to, a wtedy będziesz mógł zacząć sprawdzać tamto. Sabon z pewnością początkowo się w to angażowała - akceptowała to, a może nawet rozumiała, co robię.

Kiedy jeden element układanki trafiał na swoje miejsce - a podczas całego semestru pracy z trzydziściorciem studentów mogłem liczyć na dopasowanie najwyżej jednego elementu - przechodziliśmy do kolejnego. Uważny obserwator mógłby zauważyć, że mój plan zajęć zaczął przypominać płótno o rzadkim splocie. Jego większa część była bezużyteczna, zbędna, szalenie nudna albo komplikowana przez leniwych i mało utalentowanych studentów. Jednakże zapewniałem swoim podopiecznym względnie pełną edukację. Pamiętaj także, że nie byłem ich jedynym nauczycielem.

Z czasem ta gra wykroczyła poza pierwotne zasady. Przy każdej okazji szeptem przekazywałem innym wykładowcom - niczym echo ich własnych pragnień - wskazówki prowadzące do naukowego sukcesu i chwały; wystarczyło, by zwrócili uwagę na ten lub ów ignorowany zakątek historii. „Zastanawiam się, czy ktoś już kiedyś porównywał przechowywaną w Nicei wersję raportu Nymana o Ciszy z wersją, która znajduje się w Zamilonie. Słyszałem, że różnią się one w sposób, który może nam coś powiedzieć o autentyczności dziennika Samuela Tonsure'a”. Wspominałem o tych zagadnieniach mimochodem, niby przypadkiem, jakby dotyczyły tematów wykraczających poza moją specjalizację, lecz powinny zostać przez kogoś zbadane, obiecując wiele korzyści przedsiębiorczemu uczonemu. Bonmot odgrywał w tym wszystkim ciekawą rolę. Myślę, że

dość wcześnie odgadł, co zamierzam, ale nigdy nie próbował mnie powstrzymać. Unosił brew, patrzył na mnie przeszywającym wzrokiem, ale nie robił niczego więcej.

W ten sposób podczas czwartego roku pracy w Akademii Blythe'a zbudowałem własną maszynę, równie straszliwą i dalekosiędną jak Maszyna, na którą natrafiłem pod ziemią. Mam nadzieję, że już rozumiesz? Udało mi się wykorzystać i przekierować całość zasobów wyższej uczelni w celu rozważania pojedynczego, wieloaspektowego zagadnienia. Wykres, który narysowałem, by zobrazować to zagadnienie, opierał się na relacji Tonsure'a i świadomie przypominał najczęściej pojawiający się symbol szarych kapeluszy, który znajdowaliśmy wyrysowany na ścianach i bruku, ale którego znaczenia nigdy nie poznaliśmy.



Rozmyślnie nieczytelny dla osób z zewnątrz, wykres pomógł mi w nowym świetle spojrzeć na zależności pomiędzy różnymi osobami i pojęciami. Byłem pewien, że Manzikert I spowodował Ciszę swoimi działaniami poprzedzającymi założenie Ambergris. Samuel Tonsure w jakiś sposób skatalogował i wyjaśnił naturę szarych kapeluszy podczas swojego uwięzienia pod ziemią. Aquelus, późniejszy władca Ambergris, podzielił los Manzikerta, ale przeżył i wrócił na powierzchnię. W Zamilonie kryła się część odpowiedzi, podobnie jak w Alfarze, zrujnowanej wieży, do której jeszcze przed Ciszą wycofała się żona Aquelusa, co pozwoliło jej przetrwać. No i były jeszcze Cisza oraz Maszyna. Co je łączyło? I w jaki sposób były powiązane z szarymi kapeluszymi? Oto pytania, być może bez odpowiedzi, z którymi się zmagalem, oraz struktura, za pomocą której je badałem.

Chociaż było to zapewne najmniejsze z moich odkryć w tamtym okresie, i tak stanowi imponujący eksperyment dotyczący zbiorowej nieświadomości, umysłowości ula. Czy więcej niż kilka spośród umysłów gorliwie wypełniających mój plan kiedykolwiek poczuło choćby najlżejszy dreszcz podpowiadający im, że są przeze mnie manipulowane? Wątpię. Być może jestem zbyt dumny ze swojej pracy, ale uczyniłem niewiele złego i dużo dobrego. Kilku wykładowców opublikowało swoje artykuły w liczących się czasopismach, nie zdając sobie sprawy, że klasyfikuję ich niewinne odkrycia, tworząc rozległy schemat spisku i nadużyć. Stali w rozświetlonych słońcem salach wykładowych, obracając w dłoniach swoje pomysły -

jaskrawokolorowe błyskotki oklaskiwane przez studentów - pewni, że poradzili sobie z całą układanką, gdy w istocie dopasowali tylko jeden element. Tymczasem studenci stawali się specjalistami wyczulonymi na rytmy synergii, analizy i syntezy. Ślicznie wibrowali niczym kamertony dostrojone do wiedzy, a światło odbijało się w ich błyszczących powierzchniach. Przyznaję, że czerpałem z tego olbrzymią satysfakcję. Byłem głupcem, więc posiadanie tak dużej kontroli momentami nieomal doprowadzało mnie do ekstazy. A jednak wciąż czułem, że gromadzę zbyt mało wiedzy w zbyt wolnym tempie. Byłem sfrustrowany, podwójnie oddalony od miejsca, w którym powinienem się znajdować: od podziemi. Paradoksalnie na powierzchni czułem się tak jak Tonsure pod ziemią według relacji Jamesa Laconda:

„Większość czasu [Tonsure] spędza, wędrując w ciemnościach nocy. Od czasu do czasu migoczący świetlny palec porusza się w mroku, drażniąc zarysem ścieżki. Biegnie ku niemu z nadzieją, tylko po to, by znaleźć się w kolejnym labiryncie. Wiara w to, że noc ustąpi miejsca dniowi, pozwala mu iść dalej i Tonsure usiłuje odgadnąć, którędy przebije się bardziej trwałe światło - przez jakieś pęknięcie, szczelinę, otwór - ale ta noc nie ma końca”).

Dość wcześnie poznałam tych studentów, nieświadomych współników Duncana w ezoterycznych, być może bezsensownych badaniach. Nie zrobili na mnie większego wrażenia: bezkształtny rząd świeżo wyszorowanych twarzy przyczepionych do identycznych granatowych mundurków. Oczy, które tkwiły w tych rumianych obliczach, iskrzyły, płonęły bądź odbijały światło, w zależności od natężenia ambicji. Niektórzy patrzyli na mnie buntowniczo. Inni pozwalali, bym przenikała ich wzrokiem. Jeszcze inni odwracali głowy bądź wpatrywali się w swoje stopy - zakryte eleganckimi białymi skarpetkami i czarnymi butami wypolerowanymi na wysoki połysk. Pachnieli mydłem i potem. Ich głosy łamały się, brzęczały i rozbrzmiewały zarazem niewinnie i arogancko. W tych umundurowanych zastępach nie potrafiłam odróżnić biednych od bogatych, mądrych od głupich. W ten sposób Akademia Blythe'a zrównywała wszystkie dusze.

Ani razu nie przyszło mi do głowy, by zakwestionować ten pozór równości, by poszukać jedyne odmienca, jedyne naśladowcy, który sprytnie upodabniał się do pozostałych, choć tak naprawdę należał do zupełnie innego gatunku. (Pod wieloma względami ona była zwyczajną studentką. Nie powinnaś myśleć, że była inna. Tylko ja byłam tam naśladowcą. Zaburzałem równowagę tego miejsca).

Przypominam sobie, że obecność Mary początkowo rezonowała jak delikatna muzyka wibrująca na strunach mojej złotej metafory: nie była ani złowieszcza, ani anielska. Pod tym względem Mary przypomina mi jedną z postaci z powieści Sirina. Istnieje na brzegach stron, w przestrzeniach pomiędzy słowami, jej imię pojawia się tylko w formie zagadek: zielono-złotej apaszki na biurku w mieszkaniu Duncana, niespodziewanego kwiatu wiciokrzewu w szklance w jego uczelnianym gabinecie, zastanawiającej woni wody kolońskiej podczas lunchu. Pół tuzina biernych, ale zmysłowych szczegółów, na które mogłaby zwrócić uwagę zazdrosna żona - albo które mogłaby pobieżnie zapamiętać rozbawiona siostra, by potem brutalnie do nich powrócić.

W tamtym okresie Duncan nie wspominał o Mary. (Była moją studentką, na litość Truffa! Dlaczego miałbym o niej wspominać? Sprawiasz, że to wszystko brzmi żałośnie, a zarazem eterycznie. A może ona po prostu umknęła Twoim krótkowzrocznym zdolnościom obserwacji? A może wciąż byłaś tak naćpana i pijana, że nikogo nie zauważałaś? Powinnaś o tym wszystkim zapomnieć. To nie ma żadnego sensu i nikogo nie obchodzi. Mnie również przestało na tym zależeć, nie licząc przytłumionego żalu, że starałaś się podkopywać moje związki, zamiast je wspierać). A jednak, co ciekawe, na wysyłanych przez niego pocztówkach zaczęło się pojawiać więcej osobistych informacji niż w naszych rozmowach podczas lunchu, niewykluczone, że działo się tak ze względu na obecność Bonmota.

Czasami treść pocztówek składała się z osobliwych relacji dotyczących powtórnego rozpoczęcia badań daleko poza Akademią Blythe'a:

Nawet muchy mają oczy. Oczy na ich usługach. Nie ma w tym mieście miejsca, którego nie mogą w jakiś sposób dojrzeć. Ale tych informacji jest zbyt wiele. Nie potrafią ich na bieżąco przetwarzać. Wyobrażam sobie, jak siedzą tam na dole w blasku grzybów, analizując dane zgromadzone dziesięć lat wcześniej - zalani informacjami, które są dla nich bezużyteczne, gdyż ich przytłaczają. A więc dlaczego? Dlaczego je zbierają?

Zastanawiam się, czy gdyby tata rzeczywiście przestudiował dziennik Tonsure'a, to doszedłby do takich samych wniosków jak ja. A co ważniejsze - co zrobiłby z tą wiedzą? Czasami podchodzą pod moje drzwi. Czasami podkopują się od spodu. Kiedy przedostają się do środka - co nie zdarza się często; poznałem kilka z ich sztuczek - zaczynają mnie obserwować. To bardziej niepokojące niż gdyby próbowali mnie skrzywdzić.

Albo miał nadzieję w pewnym sensie zdystansować się od tej wiedzy, odsyłając ją na pocztówkach, albo trawiony gorączką badań wyrzucał ją z siebie niczym bezgłośnie błyskawice. Każdy poza jego siostrą uznałby te notatki za bełkot szaleńca. (Tak się składa, że Bonmot i ja dość często rozmawialiśmy o tych „osobistych informacjach”, jak je nazywasz, i on nigdy nie uważał, że oszalałem. Przyznaję, że większość pocztówek napisałem dręczony bólem wywołanym chorobą. Czasami ich treść odzwierciedlała moje badania. Czasami odzwierciedlała tylko cierpienie. Nawet rozgwiżdża nie mogła usunąć źródła infekcji. Zmieniałem się fizycznie i musiałem zmienić także umysł, by pogodzić się z tym faktem).

Bardziej niepokojące było to, że Duncan szalenie często się przeprowadzał, śląc dziesiątki kartek z informacjami o zmianie adresu do (świeżo przemianowanego, lecz wciąż uspokajająco nieudolnego) Urzędu Pocztowego im. Vossa Bendera, aż w końcu dał za wygraną i poprosił o przesyłanie korespondencji na adres Akademii. Nie chciał jednak tam zamieszkać, chociaż czasami nocował w pokoju gościnnym, gdy pracował do późna. Nawet po tym jak poznał Sabon, nadal przenosił się z mieszkania do mieszkania. Nigdy nie podpisywał umowy najmu na dłużej niż pół roku. Nigdy nie wybierał mieszkania na parterze. Przenosił się coraz wyżej - z pierwszego piętra na drugie, potem na trzecie, jakby uciekał przed jakąś nieustępliwą siłą, która wyłaniała się z ziemi. (Tak - przed kiepską hydrauliką. Nie wspominając o szarych kapeluszach).

Wyraźnie przed czymś się ukrywał, ale dlaczego jego ucieczka miałaby mieć na mnie jakikolwiek wpływ? W końcu nie raz pakował się w kłopoty jeszcze ZUT. Owszem, napisałam do niego tamten liścik o złotych nitkach, o tym, w jaki sposób wszyscy jesteśmy połączeni, ale czy wiecie, jak trudno o tym pamiętać na co dzień? Udaje się to chyba tylko kapłanom lub męczennikom. Dlatego pozwoliłam mu odejść w swoją stronę, przekonana, że tak samo jak tamtego dnia, gdy zabłądziliśmy w lesie, odnajdzie drogę powrotną.

Poza tym byłam rozproszona. Osiągnęłam szczyt swoich możliwości. Przewodniczyłam radzie właścicieli galerii. Pisywałam miażdżące i zrozumiiałe recenzje dla „Sztuki Południowych Miast”. Jadałam lunch z Ważnymi Osobistościami, jak Sirin i Henry Hoegbotton, w tak ekskluzywnych restauracjach, jak Pijana Łódź.

Przez kolejne dwa lata moja stajnia artystów wzbudzała większe zainteresowanie krytyków i sprzedawała więcej dzieł niż wszystkie pozostałe galerie razem wzięte. Moje jedno słowo mogło zniszczyć malarza bądź przywrócić mu chwałę. Wypowiadanie takich słów dawało mi niemal seksualną rozkosz, każda sylaba była jak wygięcie pleców, dreszcz przyjemności. Nawet kiedy Martin Lake przeniósł swoje najlepsze obrazy do własnej galerii,

pozostawiając mi tylko żalosne resztki, powiedziałam Sybelowi, by się nie martwił, gdyż z pewnością tysiąc nowych Lake'ów czeka, by zająć zwolnione miejsce.

- Jesteś pewna? - spytał. - Spodziewałem się, że świat zapomni o Lake'u, lecz tak się nie stało. Z tym mógłbym sobie poradzić. Ale jego odejście może ci pokrzyżować szyki.

Zbyłam jego obawy machnięciem dłoni.

- Jest więcej takich jak on.

Jego oszołomiony wyraz twarzy powinien był mnie ostrzec. Jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że moja władza ma ograniczenia - że może osłabnąć jak rzeka Moth podczas suszy.

Bogactwo życia zakrywało przede mną prawdę. Nie wystarczało mi bywanie na przyjęciach, więc zaczęłam je wyprawiać. Zabawiałam gości jak jeden z dawnych bankierów-weteranów Trilliana, a moje przyjęcia wkrótce stały się tak legendarne, że niektórzy bali się w nich uczestniczyć. Legendarne nie ze względu na samo jedzenie, muzykę czy orgie, ale dzięki artystycznemu i innowacyjnemu połączeniu wszystkich trzech. Poza bezustannie pojawiającymi się plotkami, że prowadzę „kluby kałamarnicze” (jak eufemistycznie określano przybytki sadomasochistycznych uciech; nazwa pochodziła od kulturowanego przez łowców kałamarnic zwyczaju związywania złowionych okazów i dostarczania ich klientowi żywcem), nic nie mogło zakłócić magii moich przyjęć.

Sybel bardzo mi pomagał - zabrał się za planowanie imprez z takim entuzjazmem, jakby wreszcie znalazł swoje prawdziwe powołanie. Pod jego zręczną kontrolą urządziliśmy wiele rozkosznych seansów alkoholowo-narkotycznych. Co weekend przenosiliśmy się w jakieś nowe, bardziej egzotyczne miejsce - kąpłani z Dzielnicy Religijnej, powodowani chciwością, wynajmowali mi nawet katedry. Czasami Sybel zatrudniał „konsultantów do spraw organizacji przyjęć”, którzy przeczesywali spaloną Dzielnicę Biurokratyczną w poszukiwaniu odpowiednich pomieszczeń. Potem, sporo po północy, ku zaskoczeniu bezdomnych i przestępców, jakiś ohydny osmalony budynek - na przykład była siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych - eksplodował światłem, wesołością i głośnymi nieskładnymi rozmowami podsycanymi alkoholem. Artyści byli tak oderwani od rzeczywistości, że stali po kątach i rozmawiali z posągami, wieszakami na płaszcze i biurkami. W ziarnistym świetle poranka ukazywały się blade ciała, które od niechcenia dotykały się nawzajem na chaotycznie rozrzuconych dywanach, kanapach i prowizorycznych posłaniach zaskorupionych od ciasta i spermy.

Pamiętam, jak pewnego razu obudziłam się w środku nocy w pościeli mokrej od zimnego potu, czując na skórze dreszcz nieokreślonego przerażenia. Sybel chrapał na fotelu obok mojego łóżka.

Obudziłam go ogarnięta paniką, czując ucisk w piersi i ciężar w płucach. Nie mogłam zostać sama ze swoimi myślami.

- Jak długo tak wytrzymamy? Jak długo uda nam się tak żyć?

Biedny, piękny, przebiegły Sybel potarł oczy, podniósł na mnie wzrok, uśmiechnął się sennie i odpowiedział:

- Dopóki będziesz mi kazała.

Uderzyłam go w ramię. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- Co to znaczy? - spytałam.

Wyprostował się na fotelu, a jego spojrzenie stało się ostrzejsze.

- Zawsze, Janice. Albo prawie zawsze. To dopiero początek.

Biedna kretynka. Uwierzyłam mu.

To dopiero początek. I tak było w istocie. Ale początek czego? Tak naprawdę początek końca. Wtedy po raz pierwszy i jedyny życie Janice Shriek wywarło istotny wpływ na życie Duncana Shrieka. Uzależniłam się od halucynogennych grzybów. Fioletowych grzybków o czerwonych blaszkach. Tak małych. Tak uroczych. Powiększały to co niewielkie i poniżały to co wspaniałe, a ja nie mogłam się im oprzeć. Po zjedzeniu ich spotykałam się z Sirinem i patrzyłam, jak jego głowa staje się coraz większa, przysłaniając ciało. Zjadałam jednego grzybka podczas kolejnej całonocnej pijackiej eskapady i nagle hałas i zamieszanie wokół mnie zniknęły. Dostrzegałam połyskujące światło latarni odbijające się w wodzie rynsztoka i ta pojedyncza chwila wypełniała mój cały świat. Naprawdę dodawały mi otuchy. Stanowiły pociechę. (Zarazę. Sposób na ucieczkę ze świata).

Sybel nazywał je Szaleństwem Tonsure'a, a ja nie mogę mieć do niego pretensji, gdyż sama go o nie prosiłam. Nie mogę nawet obwinać grzybków za wszystko, co nastąpiło później. Coraz bardziej oddalałam się od złotych nici z mojego liściku do Duncana. Stawałam się coraz bardziej nieszczęśliwa, chociaż faszero wałam się taką ilością substancji i zerowałam na tylu nowych osobach i doświadczeniach, że moje cierpienie przeważnie stanowiło jedynie marne echo bólu brzucha. (Nie, nie możesz obwinać grzybków. Ale one z czasem wpędzają zażywającą je osobę w coraz głębsze przygnębienie. A Twoja psychika i tak była krucha. Obawiam się, że zgubiłem nić Twojego życia, zaplątany we własne problemy, w przeciwnym razie nakłaniałbym Sybela, by coś zrobił).

Przyjęcia nadal wspominam z sympatią, chociaż jedyne, które udało mi się w miarę dokładnie opisać, odbyło się dużo później - bankiet dla Martina Lake'a, o którego zorganizowanie niedawno mnie poproszono. Moje pierwsze przyjęcie od lat, nawiedzone przez duchy innych, wspanialszych przyjęć. Duchy krążyły na tyle długo, by wyśmiać stateczną porządność, w której podeszły wiek zamknął Janice Shriek. Żadnych nagich gości tarzających się po dywanie. Żadnych owoców spożywanych ze smakowitych zagłębień w sprężystych ciałach młodych mężczyzn i kobiet. Nie było nawet prostych przyjemności w postaci salaterek z narkotycznymi grzybami. Tylko goście, muzyka, spokojny taniec i poncz bez alkoholu. Och, cóż za upokorzenie!

- Myślisz, że ona nas stamtąd widzi?
- E tam... jest zajęta.
- Zamyślona, ot co... ale o czym może myśleć, jak sądzisz?
- O następnym słowie, na którym położy swój twardy palec.

Tak wiele rzeczy rozprasza moją uwagę. Czasami stają się częścią opowieści. No dobrze:

Uważny czytelnik z pewnością pamięta, że gdy porzucałam historię mojej ostatecznej konfrontacji z Mary Sabon i jej naszyjnikiem ciał - który, jak może zauważyliście, zanim metafora ożyła i wyskoczyła z ukrycia, składał się z dwóch tuzinów karierowiczów, którzy wierzyli, że mają do czynienia z najwybitniejszą znawczynią historii od czasu mojego brata - właśnie zmierzałam ku niej, schodząc po marmurowych schodach.

Zeszłam na sam dół. Marmur lśnił jak szkło; widziałam w nim odbicia swojej twarzy i twarzy innych gości. Tłum powoli rozdzielił się na osobne koraliki naszyjnika. Mrugali do mnie pustymi oczami, tworząc korytarz prowadzący do Sabon. Wszyscy byli zbyt słabo lub zbyt mocno uperfumowani. Zrzucali z siebie światło, przyjmując cień. Grupa prymitywnych marionetek występujących w komediowym przedstawieniu.

- Co ona może pisać z taką wściekłością?
- Jak długo już tam siedzi?
- Co najmniej pięć dni. Noszę jej jedzenie i picie. Potem zabieram naczynia. Ma tam papieru na tydzień.
- Przeszkadza im to?
- Co? Im? Nie widziałem ich tutaj od tygodni. Już się nie pojawiają.

Mary Sabon. Zbliżamy się do Sabon. A przynajmniej ja to robię, skoro już zeszłam po marmurowych schodach. Chyba powinnam powołać ją do istnienia, zanim ją wypędzę... Rude

włosy. Ciężkie długie rude loki, gęste jak las i nieuczesane. Szmaragdowe oczy - a może stras udający klejnot. Postać, która. Głos, który. Uśmiech pełen.

Obawiam się, że nie uda mi się opisać jej tak dobrze, jak zrobił to Duncan w swoim dzienniku, stanę więc z boku i oddam mu głos, nawet jeśli mój brat się płacze, oszołomiony fantazjami o zapachu uczennicy i białych skarpetkach, równie prawdziwymi jak papierowy żyrandol.

„Mary Sabon. Sabon, Mary. Sabon. Mary. Mary. Mary Sabon. Sabon. Sabon. Sabon. To imię płonie w mojej głowie jak ogień jak jej włosy płoną jak jej imię płonie jak ogień w mojej głowie. Ona płonie w mojej głowie. Płonie w mojej głowie. Doprowadza mnie do szaleństwa. Do obrzydzenia. Błogosławiona zaraza. O niczym innym nie myślę. Dziś wracając do domu czułem, że ona znajduje się w drzewach rosnących wzdłuż bulwaru. Widzę rysy jej twarzy, gdy spoglądam na chodnik, po którym stąpam. W powietrzu pojawia się jej na wpół uformowana postać. Słaby zapach sosnowych igieł ze Stockton i kadzidła. Jak jej zapach. Jak jej echo. Jej sylwetka jest płomieniem, który spala wszystko na świecie, aż nie pozostaje nic poza nią - okazuje się, że świat jest zbudowany z papieru, który płonie przy pierwszym kontakcie. W górze i na dole, ogień w mojej głowie. Nie mogę się jej pozbyć. Nie jestem pewien, czy tego chcę. Wolalbym wypędzić siebie z siebie niż ją ze mnie”.

- Czy daje wysokie napiwki?

- Wystarczająco wysokie. Nie mam nic przeciwko niej. Nie sprawia kłopotów. W odróżnieniu od was.

- To nie było miłe.

Zaczynają działać mi na nerwy. Nie potrafię o nich nie pisać. Wszystko, co mnie otacza, staje się częścią tekstu - każda drobinka kurzu, rysa na podłodze, nierówność blatu, mętne szyby w oknach. Nie umiem ich zignorować.

Nawet jeśli Mary Sabon płonęła jak ogień, podczas mojego przyjęcia miała na sobie ciemnozieloną kreację. Niemal zawsze ubierała się w tym kolorze. Mogłaby udawać krzak, drzewo albo pniak.

Ignorując moją obecność - jak na swoją zgubę zwykła robić w dawnych latach - powiedziała:

- Duncan Shriek? Ależ on nie jest istotą ludzką, lecz ciągle tylko zbacza i wykracza. Oczywiście, zakładając, że wciąż żyje.

Gdy to powiedziała, odwróciła się i spojrzała wprost na mnie.

Przez chwilę się w nią wpatrywałam. Pozwoliłam jej dostrzec jad w moim spojrzeniu. Potem podeszłam do niej i ją spoliczkowałam. Ślad po uderzeniu zapłonął czerwienią jak jej włosy, a od strony naszyjnika ciało dobiegło gwałtowne westchnienie. Czerwień rozświetliła jej twarz, sprawiając, że ponownie pojawił się na niej wyraz szczerości. Rozprzestrzeniła się po policzku, spłynęła po szyi, zawirowała między piersiami i znikła pod suknią.

Jeśli jest na świecie sprawiedliwość, ten ślad już nigdy nie zniknie z jej skóry, lecz pozostanie jako pulsująca pamiątka tego, że kiedyś skrzywdziła kogoś tak bardzo, że tym samym sprawiła cierpienie samej sobie.

Ale ja jeszcze nie skończyłam. W żadnym wypadku.

Dopiero zaczęłam.

Co zrobiłam? Wkrótce się dowiecie. Możecie przeskoczyć kolejne strony. Przenieść się w czasie. Przemierzyć dalszy ciąg opowieści jak parkową ścieżkę, którą w niedzielne popołudnie spieszycie nakarmić kaczki na Placu Trilliana. Jednakże jeszcze nie napisałam tej ścieżki, a bez niej zabłądzicie - a ja znajdę sposób, nie licząc skaleczeń krawędziami stron, by skłonić was do zaczekania. Warto czekać. Robię to już od ponad pięciu dni. Znam się na czekaniu. I na posłowiach.

- Pytam jeszcze raz: co ona tam pisze? To stuk-stuk-stuk burzy mój spokój.
- Czy jej brat nie był pisarzem?
- Najwyraźniej nie jedynym w rodzinie.
- Co ona pisze, jak myślisz?
- Historię swojego życia, Steen. Historię kappanów. Skąd mam wiedzieć?
- Cokolwiek to jest, musi być ważne. Dla niej.

Mętne oczy w mętym świetle. Mignięcie nosa przypominającego trójkątny kawałek cheddara.

- Dziwne. To jest jak echo. Milknie, kiedy przestajemy rozmawiać.
- ...
- Widzicie. Przestała. Myślicie, że ona...?

Że ona co? Może zapisuje wasze puste pogaduszki? Dlaczego nie? W pewnym sensie staliście się moimi towarzyszami. Chociaż nigdy z nimi nie rozmawiałam, od wielu dni dziele z nimi to miejsce. Powinnam być wdzięczna za ich zainteresowanie. Powinnam wyjść z tego zawilgoconego pokoju, podejść do nich i zaproponować partyjkę rzutek.

- E tam, ona wcale nie zapisuje tego, co mówimy. To nie ma z nami nic wspólnego.

Chyba się przejdę. Pójdę na spacer. Łapią mnie skurcze w rękach. Burczy mi w brzuchu. Zegar na ścianie mówi mi, że jestem tutaj dłużej niż sądziłam.

Nawet duchy mogą iść na spacer, więc dlaczego nie ja?

6

Zaczynałam mówić jak postać z książki. Musiałam uciec przed nieustępliwym naporem słów. Oderwać się. Od maszyny do pisania. Od swoich pomarszczonych dłoni, które stanowią dowód, że mózg okłamuje mnie co do mojego wieku. Od twarzy zagląających przez zieloną szczelinę na styku zsynchronizowanych korytarzy. Od uczucia, że zaczęłam się powtarzać, beznamiętnie wskrzeszając fakty. (Janice, kiedy zabierasz się za taki projekt, nie sposób stwierdzić, co jest naprawdę ważne albo co kogo najbardziej zainteresuje, więc nie powinnaś wątpić w słuszność swoich decyzji, niezależnie od tego, jak bardzo protestowałam przeciwko niektórym z nich).

Pokuśtykałam na spacer, z każdym krokiem ciężko wspierając się na lasce. Kiedy jednak od tak dawna mieszka się w jakimś miejscu, żaden spacer nie odbywa się tylko w teraźniejszości. Wydaje się, że każda ulica i każdy budynek są pokryte wspomnieniami, perspektywami, które zdradzają wasz wiek, cynizm, sentymentalizm lub nieczułość, gdy powinniście coś czuć. Tutaj szybkie rżnięcie, gwałtowna chwila ekstazy. (Wydaje mi się, Janice, że lepiej brzmi określenie „szadзка kochanków”; ponownie przestajesz naśladować styl Duncana i niżasz się do rynsztoka). Tam pożegnanie z wyjeżdżającym przyjacielem. Legendarny lunch z ważnym artystą. Zakurzona witryna konkurencyjnej galerii, która wciąż wiąże koniec z końcem, gdy wy na dobre wypadliście z rynku. Publiczny plac, na którym kiedyś urządziliście przyjęcie pod gołym niebem wśród papierowych lampionów. A jakby tego było mało - jakbyście byli niedostatecznie stłamszeni i upokorzeni - niewysłowiona wizja, która przesłoniłaby to wszystko, gdybyście tylko mieli okulary, przez które moglibyście ją zobaczyć: piętno szarych kapeluszy pokrywające miasto tysiącem znaków i symboli, które dostrzegamy tylko Duncan i ja.

Nie jest mi dziś łatwo wędrować po Ambergris, ale istnieje pewna pociecha: cóż, powiedziała, czując, że pęka jej serce, mam wielu przyjaciół, których mogę odwiedzić, nawet jeśli wszyscy znajdują się pod ziemią.

Jednak początkowo po prostu kuśtykałam Bulwarem Albumuth w świetle późnego popołudnia, pozwalając, by moją trasę wyznaczały luki pomiędzy pielgrzymami i ludźmi wznoszącymi modły. Szczęśliwa, że wszystko sprawia normalne wrażenie, że oznaki Zmiany

są ukryte bądź tak drobne, że ich nie zauważam. (A może ich nie zauważałaś, gdyż do nich przywykłaś).

Głęboko wciągałam powietrze do płuc, łapiąc wszystkie zapachy w tym najpiękniejszym i najbardziej okrutnym z miast: woń passiflory i kadzidła, drzew cytrynowych i końskiego nawozu, gnijącego mięsa i mielonej kawy. Przez kilka minut usiłowałam udawać, że jestem turystką, przechodniem, który tylko przypadkowo stał się częścią miasta. Nie udało się. Nic dziwnego. Jestem Janice Shriek.

Zaczynała mnie już boleć noga, ale pomyślałam, że poczuję się pewniej, jeśli odwiedzę miejsce swoich największych triumfów. Nie byłam tam od wieków, więc poszłam pomimo niewygody. Po półgodzinie stanęłam przed tym, co kiedyś było Galerią Ukrytych Fascynacji. Po obu stronach znajdowały się odpowiednio kwaciarnia i piekarnia, ale część budynku, w której mieściła się galeria, stała pusta, niczym przeklęta. W miejscu, gdzie kiedyś wisiał ręcznie malowany szyld, widniał ciemny ślad, który pojawił się na ścianie pod wpływem wieloletniego działania nieprzyjaznej pogody. Za popękkanymi szybami było widać zakurzone i zapleśniałe ramy oraz ciemność. Żadnych obrazów. Żadnej farby poza tą oblażącą ze ścian. Tylko skutki wielu lat zaniedbania. Wokół unosił się zapach czerstwego chleba i gnijącego drewna. Warstwy fioletowych grzybów zakorzeniły się na najbliższej ścianie. Przechodnie rzadko zaszczycali to miejsce powtórny spojrzeniem. Powinno się stać pomnikiem lub miejscem pamięci. Było domem dla dziesiątek słynnych obrazów i malarzy. Odbływały się tu rozmowy, które kształtowały wszystkie aspekty artystycznego świata. Duża część opisów dzieł sztuki w przewodnikach turystycznych Hoegbottona, zwłaszcza tych związanych z ruchem Nowej Sztuki, miała źródło w mojej galerii. Tam zaczęłam. Wszystko, czym stałam się później, wzięło początek w mojej galerii. W tym śmietniku. W tej skorupie strzaskanego drewna. Nawet moje wspomnienia - nasycone marynatą wszystkich pięciu zmysłów i wyraźne jakby dotyczyły wczorajszego dnia - nie mogły przywrócić jej do życia. Równie dobrze mogłam nie wstawać od maszyny do pisania. Wciąż tkwiłam uwięziona w posłowi.

Wkroczyłam do Dzielnicy Religijnej, gdzie od razu uspokoił mnie dźwięk dzwonów - dobiegający z iglic i katedr, alków i ołtarzy, utrzymujący się na granicy słuchu, tak że nie mogłam wskazać jego źródła.

Przeszkodziłam chłopcu, który akurat zapalał świecę w niszy znaczącej północny narożnik Kościoła Siedmioramiennej Gwiazdy. Podniósł na mnie wzrok, ukazując twarz bielszą niż jego białe szaty, odznaczającą się na tle zmierzwionej czarnej czupryny. Miał

lśniące zielone oczy i usta, które na wpół świadomie ułożyły się w kształt litery „O”. Z boskim wdziękiem trzymał długą zapałkę w lekko przekrzywionej prawej dłoni. Biel jego odsłoniętego nadgarstka wywołała na moich plecach dreszcz, chłopiec jednak uśmiechnął się i wrażenie wdzięku powróciło.

Dobrze, że zapalał świecę, gdyż o tej porze w Dzielnicy słabł nie tylko dźwięk dzwonów, ale także światło. Zmierzch stawał się tak silny, że mógłby być zapachem, przypominającym woń piżma, ślizgającym się po niechronionej powierzchni bruku, okien i ścian, pozostawiającym za sobą chaotyczne zmarszczki iluminacji, która utrzymuje się w Dzielnicy po zmroku. Mijali nas kapłani, powłócząc bosymi nogami i mrucząc pod nosem. Truffidianie, manziiści, menici, kultyści? Z pewnością Duncan jako historyk by to wiedział. Niezależnie od tego, jaka Zmiana dotknie Ambergris, możemy liczyć na to, że rytuały Dzielnicy pozostaną takie same.

Dotarłam do końca Dzielnicy Religijnej - wymagało to ode mnie sporo samozaparcia, gdyż noga coraz bardziej mi dokuczała - mijając surową Katedrę Truffidiańską, po czym pokonałam płataninę uliczek i wkrótce stanęłam przed Akademią Blythe'a. Ciemność wygodnie otulała budynek Akademii, zadowalając się czekaniem poza granicami blasku lamp i pochodni.

Z ulicy mogłam zajrzeć na dziedziniec, a nawet do mieszkań studentów, gdyż kilka okien rozświetlał złoty blask. Na pierwszym planie blade wierzby szeleściły na słabym wietrze. (Jak to blade wierzby mają w zwyczaju). Masywne, mroczne sylwetki kamiennych ławek i stołów sprawiały dziwnie uspokajające wrażenie. Przez dziedziniec przeszedł mnich. Potem kolejny, kryjąc twarz pod kapturem. Wokół mnie wił się słodki, gryzący zapach wiciokrzewu.

Nie wiem, jak długo tam stałam, wspominając dawne rozmowy, ale nagle opanował mnie nieznośny smutek. Nic, co napiszę na tych stronach, nie jest w stanie - prawdziwie - oddać tego, co czułam, patrząc na mroczny dziedziniec, na którym zwykłam przesiadywać i rozmawiać z Duncanem i Bonmotem. Szczerze mówiąc, to miejsce, przed którym stałam, a które tak wiele dla mnie znaczyło, nie miało już ze mną więcej wspólnego niż Księgarnia Borgesa. Tamte chwile i duch ulotniły się, pozostawiając zwykły budynek. Duncan już tu nie uczy. Bonmot już nie siedzi za biurkiem w swoim gabinecie, wysłuchując wydumanych skarg kolejnego studenta tęskniącego za domem. Duncan zniknął. Bonmot zmarł ponad dwadzieścia lat temu.

Ależ dziwne z nas stworzenia, pomyślałam. Żyjemy, kochamy, umieramy wśród chaosu radości i smutku, podniecenia i nudy. Każdy umysł niepowtarzalny jak odcisk palca i

równie zagadkowy. Wymyślamy historie, by zrozumieć siebie, i wmawiamy sobie, że są prawdziwe, choć tak naprawdę stanowią jedynie nasze osobiste odciski palców, niezależnie od tego, jak uniwersalne znaczenie staramy się im przypisywać.

Stałam pogrążona w żałobie z powodu śmierci tego miejsca, chociaż ono wcale nie umarło i od tamtej pory wypuściło na świat tysiąc opowieści, które dołączyły do milionów historii tworzących miasto. A potem wróciłam tutaj, przed maszynę do pisania, by ciągnąć swoją epopeję, swoje posłowie, pochłonięta czym? Emocjami. Tym, że trzęsą mi się ręce. Trzęsą się nawet w tej chwili. Co je powstrzyma? Może dawka martwej przeszłości.

Na pogrzebie Bonmota, jakieś dwadzieścia lat temu, mężczyźni i kobiety, którzy nie odważyli się go odwiedzić, gdy jeszcze żył, krążyli wokół wypolerowanej dębowej trumny jak niecierpliwie opalizujące muchy. Tego dnia szare chmury zapowiadały deszcz, a w powietrzu było czuć wilgoć i chłód. Wszędzie unosił się zapach pleśni.

Przed Katedrą Truffidiańską Martin Lake posepnie kuśtykał, wspierając się na polerowanej lasce, przystając, by mamrotać swoje ponure powiedzonka do przyjaciół takich jak Merrimount i Raffe, którzy bez wyjątku mnie unikali, jakbym stanowiła uosobienie choroby, która pewnego dnia może ich dotknąć. Oto jak nisko upadłam. Wtedy kulałam podobnie jak Lake. Miałam laskę tak jak on. Ale niedostatecznie go przypominałam, zwłaszcza odkąd przestałam odnosić sukcesy, a wkroczyłam w tę eteryczną krainę, gdzie sława zawsze żyje dłużej niż słabnące ciało.

Ambasador Domu Hoegbottona w Morrow - świeżo przemianowanego, by odzwierciedlić wynik wojny - prezentował się wytwornie w zgrabnym czarnym smokingu, przynajmniej dopóki nie poślizgnął się na błotnistej kałuży będącej dziełem nadgorliwych grabarzy i gospodarzy cmentarza. Generał armii Kalifa, podobno przyjaciel Bonmota z czasów młodości, zwracał na siebie uwagę turbanem i złoto-czerwonym lśniącym mundurem, a jego obecność była ledwie tolerowana przez miasto, które tak często bombardowali władcy Imperium.

Z Dzielnicy Religijnej przybyły dziesiątki kapłanów tak odmiennych wyznań jak Kult Siedmioramiennej Gwiazdy i manziizm. Wszyscy włożyli rozmaite czarno-białe stroje i mieli ponury wyraz twarzy. Wszyscy przyszli w obstawie strażników. Od czasu Wojny Domów nikt nikomu nie ufał. Ludzie Hoegbottona również stawili się silną grupą, uzbrojeni w pistolety i noże. Niektórzy zostali w pojazdach mechanicznych, skąd bacznie obserwowali ceremonię, zbici w gęste grupki.

Liderzy świata biznesu również przybyli, by okazać zmarłemu wymuszony szacunek. Nowy przywódca, Andrew Hoegbotton, patykowata gnida o dużych, wilgotnych oczach, niechętnie dzielił przestrzeń z Lionelem Frankwrithe'em, zadowolonym z siebie mężczyzną w średnim wieku, który co jakiś czas gwałtownym ruchem wyciągał z kieszeni zegarek, sprawiając, że nieszczęsny Andrew się wzdrygał. Rozejmy pomiędzy Domem F&L a Domem H&S rzadko bywały długotrwałe.

Na obrzeżach tłumu ciemnych luminarzy stali żebracy, prostytutki i ubodzy robotnicy, którym Bonmot pomógł w jakimś okresie swojego życia, jako Przedsion bądź royal Akademii Blythe'a. Jak zaznaczono na łamach *Dziennika Ambergris*:

„Wczoraj przedstawiciele wszystkich warstw społecznych zamieszkujących Ambergris pojawili się, by opłakiwać śmierć człowieka, którego większość opuściła na wygnaniu, a którego szczęśliwym zbiegiem okoliczności przypomniało sobie, gdy nadeszła pora wzruszających mów żałobnych na wysokim szczeblu”. (Janice, przecież wiesz, że to ja napisałem).

Kondukt pogrzebowy przeszedł w ciszy od katedry do miejsca ostatniego spoczynku Bonmota. Flagi Dzielnicy Religijnej zwisały nieruchomo na bezwietrznym niebie. Po drodze nasza procesja stawała się coraz liczniejsza i bardziej różnorodna. Kolejne osoby opuszczały swoje domy lub świątynie, by do nas dołączyć. Pamiętam, że pomyślałam wtedy, że to nie jest jedynie pogrzeb Bonmota, ale pogrzeb całego miasta. Czekwały nas niepewne czasy. Wojna i jej skutki zatrzęsły naszą wizją świata. Ocknęliśmy się ze ślepoty - a przynajmniej taką mieliśmy nadzieję.

Ostatnim etapem procesji była niekończąca się parada przez Cmentarz Trilliana. Podobno Trillian zapełnił go ofiarami swoich krwawych wojen kupieckich. Jednakże między jego murami zawsze czuję nastrój odnowy i pokoju, a nie śmierci. Potężne dęby, olbrzymie poskręcane zielone paprocie, eleganckie kamienne kwatery dla zmarłych - to wszystko sprawia, że odwiedzający myślą o leśnych spacerach i pierwotnych puszcach, a nie o rozkładzie. Tamtego dnia cmentarz wydawał się bardziej ożywiony niż otaczające go bezduszne, gangrenowate miasto.

Trio skrzypków nagle przestało grać. Trumnę opuszczono na miejsce ostatecznego spoczynku, w późniejszym czasie planując dodać nagrobek. Grabarze, którzy mieli zasypać dół, stali wsparci na łopatach obok sterty ziemi, patrząc spokojnym i beznamiętnym wzrokiem. Przed nimi obecny Przedsion zaczął wygłaszać ostatnią mowę tego popołudnia, kilka pustych słów o swoim poprzedniku, zbiór frazesów i otepiających powtórzeń.

- Zwracamy ziemi tego dobrego człowieka, o Panie - rzekł, wzbudzając pomruk niezadowolenia wśród kilku obecnych manziistów, którym brakowało tradycyjnej ceremonii pogrzebowej przystrojonej girlandami szczurów. - Zwracamy temu dobremu człowiekowi ziemię, o Panie - powtórzył, jak człowiek, który przegapił zapamiętany moment i musi zacząć od nowa we właściwej kolejności. - A ty, o Panie, bądź dla niego światłem, gdyż my jesteśmy niedoskonałymi naczyniami i frazes porównanie długa metafora prawie bez przerw oraz kolejne powtórzenia. Kropka. Przecinek. Przerwa. Od nowa. Znów opowiadam o Bogu i piachu, chwileczkę: następny frazes, cytat z Biblii Truffidiańskiej, który wszyscy słyszeli już tysiąc razy, i chociaż kiedyś poznałem Bonmota, gdy byłem młodym kapłanem, nie przytoczę żadnej anegdoty, ponieważ smród skandalu, który dawno temu towarzyszył jego pożegnaniu ze stanowiskiem Przediona, mógłby do mnie przylgnąć. Amen.

Kiedy chowali naszego przyjaciela, obserwowałam, jak połyskujący szmaragdowy żuk o pancerzu ze starości pokrytym plamami odpiera atak tuzina włochatych mrówek wypuszczających malutkie porcje spienionej białej trucizny z czerwonych gruczołów na tułowiu. Podczas gdy ten dramat rozgrywał się w liściastej wnęce, na tle gwałtownie ciemniejącego nieba przemykały bociany, a skrzydła ciem szemrały na pstrokatych pniach drzew. Świat trwał w bezustannym pędzie, buntując się przeciwko śmiertelnej ciszy wewnątrz trumny.

Oczywiście Duncan przyszedł. Ciężar tajemnej wiedzy pokrył jego twarz jeszcze głębszymi bruzdami (a może po prostu późno się położyłem poprzedniego wieczoru); przyglądał się zgromadzonemu motłochowi, wypatrując jednej idealnej, nieuchwytej twarzy... ale Mary nie było. Chodziła na przyjęcia, wykłady, koncerty, odczyty, nawet podczas wojny. Pogrzeby nigdy nie trafiały do jej planu dnia. Nie lubiła ich. Dla niej ludzie nie umierali, a miejsca nigdy nie oddzielały się od chwil, które uczyniły je ważnymi. Jedne i drugie składała do grobu w swoich książkach, a wcześniej zawsze traktowała jak karykatury bądź marionetki.

- Duncanie - odezwałam się. - Ona nie przyjdzie. Nigdy nie miała takiego zamiaru. Nie dla ciebie. Nie dla Bonmota. - Pewnie w tej chwili pisała lub robiła coś równie destrukcyjnego dla (nieistniejącej) kariery Duncana.

Nie odpowiedział. Nawet na mnie nie spojrział. Wpatrywał się w trumnę, na którą Przedion rzucił grudę ziemi, zbyt przygnębiony nieobecnością Sabon, by wykrztusić choć słowo.

Upływ czasu niczego nie zmienił. Zarówno kilka minut, jak i kilka lat po rozpadzie ich związku Duncan zachowywał się tak samo. Nawet w obliczu coraz bardziej zajadłych ataków

i nękających go słów ostrych jak noże, które pochodziły z jej różnych ksiązek, pozwalała, by rządziła jego sercem.

Gdy wyszliśmy z pogrzebu, Duncan nadal wypatrywał w tłumie jakiegokolwiek znaku Mary.

(Janice, zaakceptowałem twój niedbały strój, o którym dla własnej wygody postanowiłaś nie wspominać i zapomnieć, ponieważ wiedziałem, że śmierć Bonmota zabolala Cię równie mocno jak mnie. Ale proszę, nie traktuj mojego milczenia jak zgody z tym, co wyczytałaś w moich myślach. Jeśli wodziłem wzrokiem pośród tłumu, to z pewnością nie w poszukiwaniu Mary. Wiedziałem, że nie przyjdzie. Moje oczy były ślepe - niczego nie widziałem, lecz spoglądałem w głąb siebie na wspomnienia o Bonmocie. Gdy kondukt pogrzebowy zmierzał w stronę cmentarza, gdy Prędson wygłaszał swoją przygnębiającą mowę, nawet gdy Ty mnie zaatakowałaś, byłem daleko od tego miejsca. Byłem tam, gdzie i Ty powinnaś wtedy być - siedziałem na ławce na dziedzińcu i rozmawiałem z Bonmotem. Oprócz Ciebie, naszej matki i Laconda Bonmot był jednym z niewielu ludzi, którzy utrzymywali mnie na powierzchni ziemi. Nigdy nie przyjąłem jego religii, ale wierzyłem w Bonmota, a za pośrednictwem jego wiary ja również ją miałem. Byłem załamany przegapionymi szansami, ponieważ minęło tak wiele lat od czasu naszej ostatniej rozmowy.

Gratulujesz sobie wrażliwości na moje myśli, ale czasami wcale ich nie znałaś. Bolało mnie, że widzisz więcej niż ktokolwiek inny - grzyby stale kolonizujące moją skórę, tak że nawet gdy stałem na cmentarzu i patrzyłem, jak sypią ziemię na trumnę Bonmota, moje ciało toczyło tysiąc bitew bardziej zaciętych niż te pomiędzy żukiem i mrówkami, bym nie przemienił się całkowicie - a mimo to nie rozumiesz, dlaczego jestem nieobecny. Nie pojmowałaś, że mój umysł pochłania kolejną próbę stawienia czoła inwazji przypuszczanej na moje ciało na najbardziej podstawowych poziomach, co objawiało się sikaniem czarną krwią czy wypacaniem zielonych płynnych grzybów).

Duncan i Mary. Przez pewien czas, na długo przed tym okropnym dniem na cmentarzu, byli nierozłączni. A jednak: nigdy nie istniała para bardziej nietypowa, mniej sparowana, gorzej rokująca. Gdybym tylko mogła przedstawić pełną chronologię tego pokracznego wydarzenia. Niestety, nie mogę opowiedzieć tej części historii za pośrednictwem dziennika Duncana. Z zażenowaniem muszę stwierdzić, że jego wpisy dotyczące tej kwestii okazują się niemal niezrozumiałe, brną w powtarzalny i cikliwy cykl miłości, rozpaczy, pożądania oraz, tak, ponownie miłości. Oszczędzę czytelnikom pełnego

obrazu tego seksualnego otepienia i przedstawię tylko fragmenty. Proponuję, byście wypełnili luki odpowiednimi wpisami z własnych pamiętników...

Był, jak to mówią, piękny wiosenny dzień, gdy Duncan uległ po raz pierwszy. Na dworze wierzby kołysały się z boku na bok w blasku litościwego słońca, uliczni handlarze radośnie przestępowali z nogi na nogę, czując nadciągający entuzjazm Duncana, ptaki zatrzymywały się w locie, by doświadczyć jego niewinnego pożądania, szare kapelusze wychodziły na powierzchnię, obdarowując wszystkich mieszkańców girlandami słodko pachnących grzybów, a ja muszę przerwać, zanim zwymiotuję.

(Mnie już jest niedobrze. Spodziewam się, że ten cały fragment tak na mnie podziała).

W budynku Akademii Duncan delikatnym oddechem muskał szyję dziewczęcia (miała już dwadzieścia jeden lat!), które zatrzymał po zajęciach w celu „dalszej nauki”:

„Dzisiaj Mary włożyła białą bluzkę i gdy wskazywałem jej istotny fragment dziennika Tonsure'a, stanęła obok mnie, tak że nasze ubrania się zetknęły. Czułem między nami napięcie, zupełnie jakby mnie podtrzymywała lub jakbym ja ją podtrzymywał. Wydawało się, że wystarczy zakłócić działanie tej siły, by jedno z nas upadło. Zwróciłem oczy ku tej oślepiającej bezkresnej bieli i każdym centymetrem ciała czułem pewność jej obfitych bioder w miejscu, gdzie bluzka znikła pod spódniczką, a także zuchwałą wiedzę o miękkiej szyi ponad bluzką i twarzy lśniącej ponad szyją. Te wszystkie elementy zdruzgotały mnie bardziej niż to, co widziałem, czyli sama bluzka, którą sobą wypełniała. Szwy na bluzce. Faktura tkaniny. Pod spodem miękka zaokrąglona pieszczota piersi. Tak blisko. Jej bliskość przyprawiała mnie o drżenie. Jej zapach, zapach czystej, sprężystej skóry. Wystarczyło, abym pochylił głowę o ułamek centymetra, a pocałowałbym ją przez materiał. Czas przestał istnieć w nerwowym zawieszeniu pomiędzy poddaniem się impulsowi i poczuciem jej piersi pod ustami, zaledwie przez sekundę, zanim spotkałbym się ze sprzeciwem, a pozostaniem na miejscu w wiecznym cierpieniu pokusy. Chwiejąc się na skraju przepaści, gdzie upaść znaczyło upaść znaczyło upaść w rozkosz, rozkosz, rozkosz; ale także w cierpienie... A gdyby mój czyn spotkał się nie z oburzeniem lub odrzuceniem, ale z westchnieniem akceptacji? Czy to nie byłoby warte ryzyka? Czy nie byłoby warto zapłacić takiej ceny za pozbycie się cierpienia poprzez próbę skonsumowania go? Za wygaszenie ognia poprzez rzucenie się w płomień?”

Tak żałośnie poszukuje właściwych słów - mam nadzieję, że sprawniej radził sobie z zapięciem jej stanika! - podczas gdy sama mogłabym scharakteryzować jego stan jednym słowem: pożądanie. Stałam się już wtedy światowej sławy specjalistką od pożądania, gdyż zbadalam to zagadnienie osobiście z kilkudziesięciu różnych pozycji. Mogłabym pomóc Duncanowi, tylko że on nie prosił mnie o radę; zamiast tego wszystko zapisał w swoim dzienniku. (Jesteś niesprawiedliwa. Dobrze wiem, że byś mi to odradzała, a tego bym nie zniósł. Muszę przyznać, że doceniam fakt, iż obnażasz moją duszę w swoim posłowniu).

„To mnie niszczyło. Niszczyło. Jak mogę opisać ciężar jej ciała obok mnie? Jej bogatą fizyczność, zapach skóry, sposób, w jaki jej ciało przesłaniało moje zmysły. Unicestwiała moje marzenia o niej - nawet płomień stanowił zbyt słabą metaforę. Jej realna obecność stawiała mnie w obliczu pilnego wyboru, a ja cierpiałem, gdyż nie potrafiłem go dokonać. Wzdrygnąłem się i wycofałem, tak ogarnięty pragnieniem, że tylko drżałem w milczeniu, nie bacząc na to, że niezręczna cisza zstąpiła na naszą rozmowę, a jej wzrok na mnie spoczął”.

Czy Duncan miał kochanki przed Sabon? Rzadko. Nie miał czasu na miłość, gdyż czekało na niego mnóstwo babrania się w podziemnych korytarzach. Zdradzę wam obrzydliwą prawdę: stracił dziewictwo z prostytutką w dniu, w którym ukończył studia w Religijnym Instytucie w Morrow. (Zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście masz na uwadze moje dobro).

Pamiętam to dosyć dokładnie. Pojawiła się w Instytucie znacznie wcześniej niż Duncan zaplanował, jeszcze zanim udałam się do swojego mieszkania. Kazał jej poczekać w szatni, dopóki nie skończy się ubierać; miałam ochotę spytać go, po co zadaje sobie tyle trudu.

Nie miałyśmy o czym rozmawiać, chociaż przyjrzałam się jej tak dokładnie, jakbym sama ją zamówiła. Wyglądała równie przyzwoicie jak każda z osób wchodzących w skład naszyjnika ciała Sabon, czyli: nieprzyzwoicie. W jej blond włosach było widać kasztanowe pasemka, twarz była zbyt blada. Pospiesznie nałożony makijaż otaczał jej oczy zbyt dużą porcją błękitu. Przypominała ducha, zabiedzone dziecko ubrane w o dwa numery za dużą sukienkę. A jednak nosiła ją z dumą, starając się nie utonąć w jej zieleniach.

Wtedy pojawił się Duncan, a gdy wyszedł, jego twarz wyrażała tak żałosne podniecenie, że mu przebaczyłam i niemal pozazdrościłam. Jak mogłam go osądzać, wiedząc, jaki był samotny?... Ale to nie było wszystko: zamykając drzwi, zobaczyłam, że stanęli przed jego ścianą pełną dziwactw, a w znaczącym spojrzeniu, które wymienili, spojrzeniu dwóch

samotnych osób, było więcej zrozumienia niż kiedykolwiek pojawiło się pomiędzy Duncanem a Mary; zupełnie jakby byli kochankami od dwudziestu lat. (Prawda jest taka, że spędziłaś z tamtą prostytutką tyle samo czasu co z Mary na przestrzeni lat, więc skąd możesz to wiedzieć?).

„Smakowitość tamtej chwili, w której moje zamiary niemal zostały ujawnione przed Mary za sprawą mojego milczenia, wciąż mi towarzyszy i zastanawiam się, czy skonsumowanie tego uczucia mogłoby się równać z bolesną słodkością napięcia, które połączyło nas w zamkniętej przestrzeni wspomnienia - moje usta tak blisko jej bluzki; muszę ją pocałować lub powiedzieć jej o ogniu, który we mnie płonie, nie potrafię jednak zrobić ani jednego, ani drugiego. W takim miejscu czas nie istnieje, tylko poprzestawiane myśli i ciała. Biel jej bluzki. Biel jej ciała pod tamtą bielą. W myślach, gdzie mogę uwięzić wszystko i każdego, przekraczam dzielącą nas przestrzeń. Przykładam usta do jej piersi. Ona nie okazuje zaskoczenia ani szoku, tylko głośno wstrzymuje oddech, jęczy i powoli kładzie miękkie dłonie z tyłu mojej głowy, przyciągając mnie bliżej. Dotyk jej dłoni na moich włosach jest taki chłodny, a jej ciało miękkie miękkie miękkie.

Chyba oszaleję”.

Oszalejesz? Cóż mój biedny, naiwny brat mógł wiedzieć o szaleństwie? Myślę, że to poniekąd żalosne, iż ten wielki historyk nie potrafił odróżnić szaleństwa od zakochania. Różnica, co wiem na podstawie gorzkich doświadczeń, polega na tym, że gdy popadasz w szaleństwo, dotyka ono tylko ciebie. Wyłącznie ciebie. Innych różnic nie ma.

Skąd to wiem? Wiem, ponieważ pewnego popołudnia, podczas gdy Duncan zmagił się z zupełnie inną odmianą szaleństwa, weszłam do swojego mieszkania, zapaliłam światło i udałam się do łazienki, zamierzając już nigdy z niej nie wyjść...

7

Zacząć raz jeszcze. Zacząć od nowa. Jak mam przebrnąć przez tę część? Pewnie mogłabym ją zignorować, ale to by nie rozwiązało problemu - w posłowniu ziałaby olbrzymia dziura. Kilka zerwanych złotych nici. Niewykorzystana okazja. Czy tamtego dnia wyraźniej stałam się częścią życia Duncana, czy może jego cieniem?

Wypuścić powietrze. Znów zaczerpnąć tchu. Wyobrazić sobie dziedziniec z kamiennymi ławkami, wierzbami, zapachem wiciokrzewu i słodkimi, dobrymi rozmowami.

Pamiętam, że pewnego razu, gdy Duncan był zajęty sprawdzaniem prac, Bonmot spytał mnie o śmierć. Nie przypominam sobie kontekstu ani tego, kto jako pierwszy poruszył ten temat.

- Boisz się śmierci? - zapytał.

- Boję się niewiedzy - odrzekłam. - Chciałabym wiedzieć. Wiedzieć, kiedy umrę.

Roześmiał się.

- Gdybyś wiedziała, mogłabyś zbyttno się odprężyć. Mogłabyś pomyśleć: „Mam jeszcze dwadzieścia lat. Dzisiaj nie muszę niczego robić”. Albo i nie. Nie wiem. - Odgryzł kęs kanapki.

- Duncan nie boi się śmierci - powiedziałam.

Bonmot spojrzał na mnie ostro.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Widzę, jak z nią igrza. Jak staje jej na drodze.

Nagle poczułam, że Bonmot jest na mnie zły.

- Duncan boi się śmierci, możesz mi wierzyć. Czasami mam wrażenie, że nie znam nikogo, kto bałby się jej bardziej. Rozumiesz, dlaczego ci o tym mówię? (Nie boję się śmierci - boję się umrzeć przedwcześnie).

Wtedy nie rozumiałam. Ani trochę. Teraz już rozumiem. Wszystko stało się aż nazbyt wyraźne.

Dziedziniec. Kamienne ławki. Wierzyby. Wiciokrzew.

Bonmot: „Nie musisz bać się śmierci. Jeśli uwierzysz, powrócisz”.

Ja: „W co uwierzę?”.

Ale tam mnie już nie ma. Jestem tutaj i wiem, że umieramy. Umieramy i nie powracamy. Nigdy. Dlaczego miałyby mieć jakiegokolwiek znaczenie to, że próbowałam przyspieszyć ten proces - dotrzeć dalej niż Duncan, pokonać go w wyścigu do linii startu, runąć pomiędzy lśniąca nitki i spaść poprzez ciemność? (Moi obserwatorzy mieli Cię już wtedy na oku. Nigdy nie pozwoliłbym Ci runąć między nitki - sobie, owszem, ale nie Tobie).

Przepraszam. Ze wszystkich sił próbowałam trzymać się *wysublimowanego* stylu, licząc, że Duncan to zauważy i doceni, nawet jeśli odszedł na zawsze. Jednakże, prawdę mówiąc, nie potrafię tego dalej ciągnąć. Nie przez cały czas. Zielone szkło patrzy na mnie złowrogo. Otwór w podłodze się otwiera. Niech ktoś spróbuje w takich okolicznościach uśmiechać się, tańczyć i szczebiotać, jakby nic złego się nie stało.

Umieramy. Umieramy. Te słowa skrzeczą na mnie z wnętrza pustej klatki. Niech mój przysły redaktor, w końcu nie lada dziwak, zarobi na swoje wynagrodzenie i poprawi tekst. Choćby cały. Jeśli to konieczne, może mnie z niego usunąć. Wtedy już będzie mi wszystko jedno. Naszyjnik ciał będzie mógł zalsnić pogardliwym śmiechem i drząc ze śmiechu, rozpaść się na kawałki.

O czym to ja pisałam? To dziwne uczucie pisać słowa „O czym to ja pisałam?”, ale one pomagają mi się odnaleźć, gdy naprawdę się gubię. Na zewnątrz hałasuje banda muzyków - niektórzy mogliby ich nazwać zespołem, ale ja nie mam takiego zamiaru - i chociaż dostrzegam tylko fragmenty ich szaleńczych piasów, dźwięki mnie rozpraszają. Czasami zastanawiam się, czy treść ich piosenek nie przenika do mojego tekstu, zmieniając słowa lub wypaczając ich znaczenie. Czasami zastanawiam się, czy moje słowa nie odlatują ze stron i nie wpadają w usta muzyków, przenikając ich teksty, zmieniając je tak, jak one zmieniają mnie. Z pewnością właśnie w taki sposób przekręcano znaczenie książek Duncana. (Nie, droga siostró - działa się tak dlatego, że wszyscy panicznie bali się mnie zrozumieć).

Jeśli więc słyszycie mnie poprzez cały ten zgiełk, nachylcie się, a zdradzę wam prawdę, która kiedyś miała dla mnie sens, a z czasem może ponownie ulec zdumiewającej przemianie z szaleństwa w najczystsza formę normalności. Jeśli czujecie się przygnębieni. Jeśli przepelnia was trucizna, tak że nie możecie w sobie odnaleźć nawet odrobiny światła. Jeśli wszędzie, gdzie patrzycie, widzicie tylko gorycz lub rozpacz. Jeśli spełniacie wszystkie te warunki, polecam odświeżającą próbę samobójczą. Niezależnie od tego, co twierdzą tak zwani specjaliści, próba samobójcza skutecznie was oczyści. Choć to prawda, że jednocześnie wyciśnie z waszego ciała resztki ostatniego uśmiechu, ostatniego śmiechu, ostatniego skrawka nadziei oraz tę niewielką, nieśmiałą, ale wciąż jaśniejącą cząstkę, która kiedykolwiek o cokolwiek dbała. Nie pozostanie nic. Żadnej religii. Żadnych przyjaciół. Żadnej rodziny.

Nawet miłości. Padlina oczyszczona do kości i porzucona na poboczu Bulwaru Albumuth. Wydrążony posąg. Obłoczek mgły znad rzeki Moth.

Ale to minie - jak mogłoby być inaczej? - i wreszcie trucizna wyschnie, tak że nawet odizolowani od samych siebie poczujecie... wdzięczność. Która wkrótce was opuści, ponieważ na końcu nie poczujecie nawet otępienia - gdyż bycie otępiałym zakłada, że kiedyś coś czuliście - tylko będziecie mieli wrażenie, że już nie istniejecie, co stanowi najprawdziwszą formę prawdy: po próbie samobójczej już się nie istnieje, chyba że w postaci obrazów w oczach innych ludzi.

Później, gdy wpatrywałam się w krew wypływającą z przypadkowego skaleczenia piórem (jak mogli Ci dać do ręki pióro, przy tych wszystkich pieniądzach, które im płaciłem?!), nieobecna i oderwana od bólu, bawiło mnie, jak bardzo takie rzeczy martwią lekarzy; można by pomyśleć, że wokół żywej rabatki mojego ciała wyrosli uczestnicy zlotu ogrodników, tak wielką troskę okazywano mi z powodu tego ukłucia.

Które należało do innego świata niż mój biedny nadgarstek, przecięty aż do kości. Tamtego wieczoru gdy to zrobiłam, spod ciała wyjrzała na mnie kość, zupełnie jakby mrugała do mnie, przyłączając się do zabawy w sposób niedostępny dla krwi. Krew pragnęła tylko uciec, ale dobra twarda kość - która chrzęściła pod nożem - sprawiła, że zastanowiłam się, co prawda tylko pobieżnie, nad odwagą i szczerością bólu. Tchórzliwe, drżące ciało. Głupia krew. I wyzierająca spod nich kość. Żałuję, że nie pamiętam, co do mnie mówiła. Przypominam sobie tylko fragmenty: ryk uciekającej krwi zagłuszał szept kości. Poza tym byłam zajęta: śmiałam się, ponieważ moja ręka sflaczała na wysokości nadgarstka w sposób, który wydał mi się przezabawny. Tak bardzo się trzęsłam, że nie mogłam utrzymać noża, by przeciąć drugi nadgarstek. To był najbardziej oszałamiający błąd w ocenie, jaki popełniłam! Rzucalam się jak na wpół martwa ryba, nie potrafiąc dokończyć tego, co zaczęłam, i nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. Co jeszcze zabawniejsze - naprawdę niemal zrywałam wtedy boki ze śmiechu - wcale nie otaczał mnie ciepły szum otępienia. Nie miałam tyle szczęścia. Ból płonął we mnie tak intensywnie, jakby wypływająca ze mnie krew wrzała. Mój śmiech zmienił się w krzyk, a krzyk w odgłos, który przekraczał nawet możliwości strun głosowych zwierząt. Wyglądało na to, że śmierć jednak nie jest taka przyjemna, zwłaszcza gdy zdałam sobie sprawę, że ktoś wyważył drzwi i wyniósł mnie z mieszkania, zawodząc przy tym głośniejsz niż ja... (To byłem ja, Janice. Kiedy zobaczyłem Cię w takim stanie, z niewidzącymi oczami, otoczoną krwią, nie mogłem tego znieść. Nic nigdy nie wywarło na mnie takiego wrażenia. Ani podziemia. Ani choroba opanowująca moje ciało. Dopiero Ty, zwinięta w

kłębek w wannie, na wpół martwa. Wyglądałaś tak, jakbyś, nawet nie schodząc pod ziemię, doświadczyła wszystkich przerażających rzeczy, które można tam znaleźć).

Dlatego możecie sobie wyobrazić moje rozbawienie troską lekarzy wywołaną drobnym ukłuciem w kciuk. Te kutasy powinny bardziej się zmartwić tym, skąd wzięłam pióro oraz gdzie mnie umieścili i w czyim towarzystwie.

Ponieważ tak się składa, że Szpital Psychiatryczny im. Vossa Bendera nie jest najbardziej gościnnym miejscem. Nie będę go polecała znajomym i rodzinie. Nie zostawię wysokich napiwków. Szczerze mówiąc, nawet nie ukradnę ręczników ani mydełek z łazienki. (Rozważałem oddanie Cię pod opiekę Sybela, abyś mogła zamieszkać razem ze szczepem Nimblytodów w gęstych koronach wysokich drzew. Piłabyś deszczówkę z kielichów lilii i ucztowała na pieczonych padlinach śpiewających ptaków. Ale wtedy przypomniałem sobie nonszalancję, z jaką Sybel zaopatrywał każdego, kto o to poprosił, w wybrane nalewki/proszki/substancje, a wiedząc o Twoich uzależnieniach, nie mogłem podjąć takiego ryzyka. Dlatego trafiłaś do Szpitala Psychiatrycznego im. Vossa Bendera).

Dziwne światło, dziwne życie, które doprowadziło mnie do takiego miejsca: spowitej bluszczem fortecy z okrutnego kamienia o ostrych kątach, szarej jak wnętrze martwej kałamarnicy, szarej jak szare kapelusze, szarej jak burza, ale nie tak ciekawej. Małe okna jak oczy wydziobane przez wrony, niektóre nawet nie okrągłe ani kwadratowe, ale bezkształtne. Czy rozkuli je byli więźniowie, próbując uciec? Z bliska było widać, że szary kamień tak naprawdę nie jest tylko kamieniem - ściany pokrywał jakiś rodzaj szarego grzyba. Przylegał do kamienia jak skóra; niemal było widać, jak ściany oddychają przez grzybowe pory.

Zapachy? Czy już wspomniałam o zapachach? Zapach nieświeżej owsianki. Zapach gnijącego sera. Zapach niemytych ciał *innych*. Smród śmieci, który czasem unosił się z niższych poziomów. Oleju, szczyń, gówna. A to wszystko przytłumione czystą wonią mydła i wosku, choć nie dość dokładnie.

Z echem zapachów splatało się echo odgłosów - krzyki dobiegające zza wyściełanych ścian, tak odległe, że czasami wydawało mi się, że pochodzą z wnętrza mojej głowy. Dyszenie więźniów przywodzące na myśl zdenerwowane zwierzęta. Ciche piszczące zawodzenie, którego źródła nie udało mi się ustalić.

Korytarze były jak tunele wiodące do koszmarów. Biegły we wszystkie strony bez ładu i składu. Czasami pozwalały trafić do celu, czasami nie. Wszystko zależało od szczęścia. Pamiętam, że kiedyś skręciłam za róg i natrafiłam na dmuchawca, który wyrastał z kupki brudu na podłodze. Od tamtej pory czułam, że nie zaskoczyłoby mnie, gdyby na niższych poziomach znajdowały się rozległe bagna lub gęstwina jeżyn, przez którą więźniowie

przedzierają się ku wolności. Mogłabym także przysiąc, że raz w oddali zamajaczył mi szary kapelusz uciekający w stronę drzwi. Ale nie byłam wtedy zbyt zrównowazona; kto wie, co naprawdę widziałam? (Przesadzasz. Nie było aż tak źle. Przecież nie posłałbym Cię do sali tortur).

Całością - tym wielkim projektem, pałacem - dowodził człowiek, którego nazywano doktorem V, gdyż jego nazwisko było tak ohydne i zakazane, że nawet za wypowiedzenie na głos słów „doktor V” groziły jakieś tajemnicze kary. Miałam wrażenie, że jego nazwisko jest po prostu bardzo długie. Wiem tylko, że ani razu go nie spotkałam podczas pobytu w tych wspaniałych apartamentach, pokojach godnych króla, a przynajmniej króla szczurów.

Choć sama placówka okazała się tak okropna, inni więźniowie byli jeszcze bardziej niepokojący. Moimi nowymi przyjaciółmi zostali, zgodnie z przewidywaniami, wyłącznie ludzie dotknięci depresją i samobójczymi skłonnościami. Zawsze powtarzam, że jeśli chcesz jeszcze bardziej przygnębić kogoś, kto ma myśli samobójcze, zamknijcie go razem z kilkorgiem innych potencjalnych samobójców.

Wśród moich przyjaciół znalazła się Marta z Zakonu Zaburzeń Odżywiania, która wyglądała jak kilka mokrych zapalek połączonych zszytą skórą; pisarz, który nie chciał się przedstawić i twierdził, że stworzył nas wszystkich; Sandra, która przetrwała eksperymentalne metody leczenia, w których wykorzystywano uliczne latarnie oraz silnik pojazdu mechanicznego, i które pozwoliłyby ugotować kilkaset obiadów; Daniel, który miał wszelkie powody, by stracić nadzieję - kalectwo zespoliło jego obie nogi w pojedynczy kikut łączący się z głową, która w nieprzyjemny sposób przywarła do ramienia - oraz, oczywiście, Edward.

Edward różnił się od pozostałych i początkowo trzymał się z daleka. Widywałam go rano, gdy siedział skulony w rogu. Niski, cały ubrany na szaro, w dużym filcowym kapeluszu. Miał lśniące ciemne oczy, wzierające z bladej obwisłej twarzy, i długie brudne paznokcie, które wyglądały tak, jakby mógł je połamać najłżejszy podmuch. Biła od niego zatęchła i mdła woń zgnilizny; jak później odkryłam, odpowiadały za nią grzyby, które miał przy sobie. Od czasu do czasu wydawał ciche świergoczące odgłosy, podobne do śpiewu świerszcza, który słyszałam za oknem swojej celi podczas pełni księżyca.

Według opinii specjalistów Edward sądził, że jest szarym kapeluszem. Dotknęły go rozmaite nieszczęścia: utrata posady intrologatora u Frankwrithe'a i Lewdena; miłość do kobiety, która nie mogła odwzajemnić tego uczucia; niedawna śmierć dziadka, ostatniego żyjącego krewnego; oraz lekceważenie ze strony otoczenia. (To ostatnie dotyka wielu z nas). Połknął kilka garści trujących grzybów. Właścicielka domu w porę go znalazła, ale tylko

dlatego, że właśnie przyszła dopomnieć się o spóźniony czynsz. Edward powinien być jej wdzięczny, ale nie był.

Wydawało mi się, że w Edwardzie znalazłam kogoś pokrewnego Duncanowi. (Bardzo przypominałbym Edwarda, gdybym pozwolił, by moja obsesja mnie pochłonęła. Ale nie chciałem zostać szarym kapeluszem, Janice - chciałem tylko lepiej ich poznać). Powiedziałam Edwardowi - gdy nieciekawe światło słońca przesączało się przez zakurzony filigran nieciekawych szyb do nieciekawej świetlicy, gdzie leżały nieciekawe dywany, porosty pokrywały nieciekawą i wyblakłą farbę, a my razem z innymi nieciekawymi więźniami siedzieliśmy na idiotycznych leżakach - ściągnięci ze statku wycieczkowego odwiedzającego Południowe Wyspy? a może z promu płynącego rzeką Moth? - czekając na rozpoczęcie kolejnej nieciekawej i beznadziejnej sesji resocjalizacyjnej prowadzonej przez kobietę tak ponurą i nudną, że nie potrafię sobie przypomnieć nawet cienia jej nazwiska - powiedziałam mu o śpiewie krwi i szepcie kości, a on zgodził się, że taki sposób popełnienia samobójstwa wydaje się znacznie lepszy.

Grzyby, które zażył, uśpiły jego ciało. Natomiast cięcie nożem przemawia do ciebie miriadami głosów. Mówi ci, jak naprawdę się czujesz. Pokiwał głową, jakby rozumiał. Odwzajemniłam gest, udając, że wiem, o co mu chodzi.

Edward przemawiał do mnie wyłącznie za pomocą świergotów i gwizdów, a od czasu do czasu także za pośrednictwem rysunków. Zawsze rysował tunele - krzyżujące się tunele, tunele jak otwory w plastrze miodu, tunele bez końca. Używał czarnej kredy lub węgla oraz grubego białego papieru. To jedyne, co mieliśmy do dyspozycji, by dawać upust kreatywności.

- Wiem - mówiłam mu. - Wiem. Chcesz zejść pod ziemię. Tak jak mój brat. Mój brat był pod ziemią. Zaufaj mi. Lepiej tam nie schodzić.

Świergot, świergot, gwizd. Olbrzymie lśniące oczy wzierające spod kapelusza i kaptura.

- Nie, nie... zaufaj mi, Edwardzie. Świat na powierzchni jest aż nadto bogaty, jeśli tylko dasz mu szansę - odpowiedziałam, chociaż nie wierzyłam w ani jedno swoje słowo.

Czasami żartowałam sobie z Edwarda. Czasami wydawało mi się, że jest bardziej zakochany w idei szarych kapeluszy niż mój brat. Czasami myślałam, że jest moim bratem. (Nigdy nie byłam szalony, tylko oddany sprawie).

Pewnego dnia, pod wpływem impulsu, uciszyłam jego świergotanie, mocno go obejmując. Trzymałam go i czułam, jak jego ciało drży, po czym uspokaja się i tonie w moich objęciach. Usłyszałam, że wyszeptał jedno lub dwa słowa. Nie zrozumiałam ich, ale zostały

wypowiedziane w ludzkim języku. Nie chciał mnie puścić. Coś w jego wnętrzu nie wierzyło, że oszalał. Niespodziewanie odkryłam, że przytulam go jeszcze mocniej, płacząc i również nie wierzę w swoje szaleństwo.

Jednakże wkrótce strażnicy nas rozdzielili i każde z nas wróciło do swojego własnego oblędu.

Z czasem dni w tym miejscu stały się identyczne. Przytłaczająco szare. Jediną ulgę stanowiły dwie lub trzy wizyty Sybela, który poinformował mnie, jaka opinia o mnie panuje na zewnątrz - nie najlepsza - oraz przyniósł kartki z życzeniami powrotu do zdrowia od Sirina, Lake'a i kilku innych osób. Sirin napisał swoją kartkę za pomocą liter wyciętych ze skrzydeł martwych motyli, a Lake nabazgrał jakiś szkic i nieczytelną wiadomość, która wyglądała na tragicznie nieudaną próbę żartu.

Był to zdumiewający efekt prowadzenia w poprzednim życiu galerii dla nieznanych artystycznych osobowości, a jednak tamto życie wydawało mi się nierzeczywiste, jakby nigdy nie było moim udziałem. Czułam się tak, jakbym otrzymywała komunikaty od obcych szaleńców.

- Kiedy wracasz? - spytał Sybel, trzymając mnie za rękę. Dostrzegłam w jego oczach prawdziwe wsparcie, nie tylko współczucie.

Wzruszyłam ramionami.

- To zależy.

- Od czego? - spytał.

- Od tego, kiedy Duncanowi skończą się pieniądze. A swoją drogą, gdzie on jest?

- Nie wiem. Pewnie zszedł pod ziemię.

Duncan nie odwiedził mnie ani razu. Nigdy go nie spytałam dlaczego. Nie chciałam wiedzieć. (Byłam zbyt wściekły na Ciebie. Poza tym miałem pilne sprawy do załatwienia pod ziemią).

- Jak tam galeria? - spytałam Sybela.

- Tak jak można się było spodziewać po odejściu Lake'a i w obliczu twojej... rekonwalescencji.

- Rekonwalescencja. Ładne określenie.

- A według ciebie jakiego mam użyć? - spytał Sybel. Na jego obliczu pojawił się błysk gniewu. To była jedyna sytuacja, gdy go rozzłościłam, a przynajmniej jedyna, gdy widziałam jego gniew.

- Jakiegokolwiek innego, Sybelu - odparłam. - Jakiegokolwiek, które odda to, jak bardzo wszystko się popieprzyło.

Sybel się roześmiał.

- Tylko popatrz na kartki z życzeniami. Nie jesteś pierwsza i nie będziesz ostatnia.

Spędziłam w tym miejscu pięć miesięcy, dopóki nie stało się jasne, że potrzebuję dodatkowej pomocy, jakiej nie może mi udzielić szpital. Przynajmniej zrozumieli, że nie ponowię swojej próby. Szaleństwo dobiegło końca, choć pozostały koszmary: *czuli dziki głód. Jedli jak dzikie zwierzęta, jedli grzyby i jeszcze gorsze rzeczy, pili i pili, cudzołożyli na moich oczach, a wszystko na tle miasta oszalonego od ognia.*

Dwa dni przed tym jak opuściłam to miejsce, by udać się do kilku kolejnych, Edward powiedział mi, że mnie kocha. Właśnie rozgrywaliśmy jedną z groteskowych partyjek kręgli na trawie na malutkim wewnętrznym dziedzińcu, otoczonym budynkiem niczym na wpół otwartą dłońią - ja nie mogłam utrzymać kuli ze względu na mój zdradziecki nadgarstek, a Edward miał krótkowzroczność i fatalną koordynację. Nasze legendarne pojedynki każdorazowo trwały przez wiele okrutnych i nieudolnych godzin, a Marta, Daniel, Bezimienny Pisarz i Sandra obserwowali je ze znudzonym zainteresowaniem. Wtedy Edward po raz pierwszy odezwał się w rozpoznawalnej ludzkiej mowie.

Stosując się do rady lekarza, która miała stanowić lekarstwo na każdą chorobę, powiedziałam Edwardowi prawdę: na razie nie potrafię zdobyć się na jakikolwiek rodzaj miłości. Nie odwzajemniam jego uczucia. Nikogo nie kocham. Nie pokochałabym nawet samej siebie, gdybym minęła się na opustoszałej ulicy...

Dzień przed moim odejściem Edward próbował się zabić, naśladując Metodę Janice Shriek. Jak zwykle stanął w swoim kąciku, ukrywając dłonie, i rozciął nadgarstki kawałkiem metalu, który poluzował ze spodu jednego z leżaków. Powoli stał skórę i mięso, aż pojawiła się krew, a jego ciało zadrżało w oczekiwaniu na spokój.

Stał tam przez co najmniej pół godziny, oparty o ścianę, a jego szary szlafrok ukrywał krew. Musiał być niezwykle zdeterminowany. Wyobrażam sobie, że płynąca krew cicho do niego śpiewała, pocieszając go. Tak mi podpowiada wyobraźnia. Prawda z pewnością była twardsza i ostrzejsza. Na pewno dla tych z nas, którzy nie zauważyli, że zabija się w swoim kąciku.

Na jego szczęście, albo nieszczęście, strażnik odkrył grzech Edwarda, zanim kosztował go on życie.

Przysięgam, że nie czułam żadnych wyrzutów sumienia z powodu tego incydentu. Straszliwie bolało. Nie, wcale nie bolało. Płakałam całymi godzinami. Nie, nie umiałam. On miał lśniące, szeroko otwarte oczy, a wewnątrz ciała umysł zdolny do uczuć. Ja byłam pusta w środku. W porównaniu z jego kłopotami moje sprawiały wrażenie trywialnych. Czy tak trudno byłoby skłamać, że go kocham? Nie potrafiłam nawet czuć gniewu. Ani rozpaczy. Dzisiaj nie chcę żadnej rozpaczy, dziękuję bardzo. Tylko bezkresna chłodna pustynia w moim wnętrzu, wiejący wiatr, zachodzące słońce i poczucie spokoju, który mnie pożera. Znałam go zaledwie od kilku miesięcy, a jednak potwornie mnie bolało, że będzie sobie mnie przypominał za każdym razem, gdy zobaczy blizny na swoich nadgarstkach. (Tak łatwo się z tego wywiniesz, Janice? A czy ja nie muszę Ci przebaczyć? Po tym wydarzeniu długo byłam na Ciebie wściekły. Znikałam w tunelach pod miastem na wiele dni, ryzykując życie, a jednak nigdy nie straciłam nadziei, którą Ty tak łatwo porzuciłaś).

Tak się złożyło, że już nigdy nie spotkałam Edwarda i nie wiem, co się stało z nim ani z innymi pacjentami. Po prostu byłam tam przechodniem.

Tak więc opuściłam szpital, ale nie wróciłam do domu - o nie. Duncan najwyraźniej uważał, że chorobę psychiczną można wyleczyć tylko za pomocą licznych podróży, po których rozmaici „specjaliści” każdorazowo szturchają i dźgają różne części mózgu, tylko po to, by jako lekarstwo zalecić kolejną dawkę podróżowania. Z jednego końca Ambergis na drugi, z Sybelem w roli niechętnego stewarda (nie masz pojęcia, jak dużo mu płaciłem - nie powinien być niechętny), fruwałam jak jakaś biedna lotka z chrząstki i włóczki podczas tenisowego meczu.

Spróbuję sobie ich wszystkich przypomnieć. Doktor Grimshaw stosował delikatną wodną terapię szokową, po której w lewej powiece został mi nerwowy tik. Doktor Priott próbował hipnozy, co wywoływało u mnie tylko suchość języka. Doktor Taniger wcielał w życie nocną terapię awersyjną, ale to mnie tylko usypiało. Doktor Strandelson usiłował sprawić, bym uwierzyła, że rozwiązaniem moich problemów jest życie w całkowitej i bezwarunkowej nagości. Niektórzy odwoływali się do religii, inni do nauki. Żaden nie przekonał mnie nawet na chwilę. Rzadko się odzywałam. Kiedy już to robiłam, to tylko po to, by porozmawiać o Edwardzie, udawanym szarym kapeluszu.

Gdy mój brat wyczerpał lecznicze talenty ponad dwóch tuzinów ambergiańskich konowałów, on i Sybel postanowili przetransportować moją śmiertelnie znudzoną padlinę do Morrow za pomocą jednego z odrodzonych parowozów należących do Kolei Hoegbottona.

Hoegbotton i Synowie, dzięki zwyczajowemu połączeniu chciwości z pracowitością, odkryli rozległe złoża węgla w górzystych zachodnich rejonach imperium Kalifa. Rozpętali prywatną wojnę, by wydrzeć sporny obszar spod kontroli generałów Kalifa, a następnie, morderczym wysiłkiem woli, wyrwali stare parowozy z przypominającego śmierć snu na złomowiskach Ambergris, odnowili je, doprowadzili do porządku i odrzewili za pomocą różnych prostych metod, po czym ponownie wypuścili na tory. Tak samo jak ja, parowozy zostały wskrzeszone. Tak samo jak mnie, wcale im się to nie spodobało.

Widok z ładnych, otoczonych boazerią okien przypominał tysiąc okazałych pejzaży ułożonych obok siebie i ożywionych. Zabawiałam się porównywaniem kolejnych krajobrazów, dopóki obrazy nie rozmyły mi się przed oczami - łkając spazmatycznie i wpatrując się w na nowo zespawane drzwi przedziału, myśląc o szczurach i włóczęgach, którzy mogli tam mieszkać przed ekshumacją, o miriadach bitew o chleb, skrawki ubrania lub drobnaki, zastanawiając się, jak wiele zaschniętej krwi musiano zamalować, czy ten ślad, którego robotnikom nie udało się usunąć, ma kształt ulubionego symbolu szarych kapeluszy, oraz czym jest tamta zielona plama/żyła biegnąca wzdłuż prawej dolnej krawędzi przeciwległych siedzeń - jakimś grzybem, pleśnią, zgnilizną - i układając w głowie długie zdanie, by obronić się przed pustką, smutkiem i zwykłym ludzkim zażenowaniem z powodu tego, co się stało: przebudziłam się po mojej próbie i ujrzałam nad sobą Duncana i Sybela, którzy wpatrywali się we mnie z mieszaniną współczucia i smutku. (W moim spojrzeniu nie było współczucia - byłam na Ciebie wściekły. Zapewne dlatego wysyłałem Cię do tyłu specjalistów. Pomogliśmy Cię uratować, a Ty potrafiłaś tylko się na nas gniewać i krzyżeć. Dziwisz się, że tak rzadko Cię odwiedzaliśmy?).

W Morrow omal nie umarłam z nudów i zimna. To takie nieciekawe, wymarłe miasteczko, miasto drewnianych trupów, które mówią i się przemieszczają, ale robią to po cichu, po cichu. Morrow nie potrafi zabić duszy z taką swobodą jak Ambergris - błyskawicznie, z niemal boskim okrucieństwem. Nie, Morrow zgniata cię między swoimi nieustępliwymi drewnianymi trzonowcami i z powstałej w ten sposób papki w ludzkim kolorze stwarza grzecznego, łagodnego obywatela, który bierze ślub, statkuje się, ma dzieci, przechodzi na emeryturę i umiera, nie doświadczywszy ani jednej iskiej pasji, która mogłaby go ogrzać/ostrzec w lodowatą zimową noc. W Morrow hałasy w kanalizacji nigdy nie wywołują strachu, tylko skłaniają do wezwania hydraulika. W Morrow Duncan musiałby budować tunele, by nie oszaleć, a posłany do Ambergris w celu odzyskania zdrowia, zakochał

się w Niej. Nic dziwnego, że Morrow było jednym z ulubionych miast Mary; jesteś w nim mile widziana, Mary - ono na ciebie zasługuje.

W Morrow od zawsze dominowali menici - wieczni heretycy w oczach truffidian - a ja wkrótce odkryłam, że celem wybitnej, zimnej menickiej duszy jest mozolny marsz ku niezdefiniowanemu przejściu od nudy nieuzasadnionej do odpowiedzialnej nudy transcendentalnej błogości, która czeka w przyszłym życiu. Wszyscy tamtejsi lekarze byli niekompetentni i żaden nie mógł mi pomóc, ponieważ żaden nie był tam, gdzie ja. Ulga przychodziła w małych dawkach; poczułam wzmacniające zażenowanie, gdy odwiedził mnie Cadimon Signal, jeden ze starszych byłych nauczycieli Duncana: twarz zalała mi fala gorąca.

- To dobrze - rzekł Cadimon. - Wstyd jest dobry. Oznacza, że żyjesz i obchodzi cię, co myślą inni.

Dziwne, myślałam, że to nieświadoma reakcja.

Wkrótce po przyplywie zażenowania pojawiło się kolejne ocieplenie: powróciła moja ciekawość, głównie dzięki temu, że ze swojego okna w strzeżonym pokoju w przypominającym blok lodu hotelu często widywałam pracowników Frankwrithe'a i Lewdena. W swoich złowieszczych czerwono-czarnych strojach, z agresywnymi taktykami sprzedaży, plakatami, które przybijali prostymi gwoździami do słupów, reklamując zakazane książki - oraz ćwiczonymi ulicznymi walkami, podczas których maszerowali zwartym szeregiem - bardziej pasowali do Ambergris. Gdzie w końcu i tak mieli trafić. Przygotowywali się do wojny - najpierw z władcą Morrow, a potem z każdym, kto mógłby stanąć im na drodze dalej na południu.

Pewnego razu wydało mi się nawet, że w cieniu pod markizą widzę L. Gaudy'ego, który obserwuje swoich podwładnych, paląc fajkę i z mądrą miną kiwając głową. Patrząc na nich przy pracy, zastanawiałam się, czy to miasteczko irytuje ich tak bardzo jak mnie. Wydawało się logiczne, że muszą zdobyć Ambergris, chociażby po to, by uciec z Morrow. (Jestem pewien, że już wtedy wysłannicy Hoegbottona i Synów nawiedzali ulice Ambergris, zachowując anonimowość, zwracając baczna uwagę na wszystkie szczegóły, plotki i kulisy handlu).

Po dwóch tygodniach tej głupoty uwaga Duncana uległa rozproszeniu, niewątpliwie za sprawą miękkich wdzięków Sabon. Jego tworzone w dobrej wierze plany dotyczące mojego uwiezienia i przywrócenia do życia stały się niewyraźne i mało konkretne - równie zamazane jak okna zasypane deszczem i śniegiem. Uciekłam z więzienia logiki, która nagle się zagubiła lub przestała istnieć: niezapłacone rachunki lekarza, pielęgniarka pozbawiona dalszych instrukcji, zapomniany klucz pozostawiony w zamku...

...i wyszłam na dojmujący upał poranka w Morrow, rozkoszując się wolnością. Ostry ból w prawym nadgarstku przypominał mi o mojej niegodziwości, a ze strony mojego kochanego brata nie pojawił się nawet ślad biletu do domu. (Pielęgniarka go ukradła, tłumaczyłem Ci to już kilkadziesiąt razy).

Zagubiłam się, podobnie jak światło w odcieniach cętkowanego złota ostrożnie pełzące po śniegu. Wspinało mi się po nogach, z mruczeniem rozlewało ciepłem po mojej twarzy. Ukazywało jodły, dwupiętrowe drewniane domy, buchające dymem fabryki, miejskie arterie pełne zapracowanych i przytłoczonych życiem psychologów-szarlatanów. Morrow. Staralam się je pokochać tym ostatnim spojrzeniem, zanim ruszyłam w stronę nabrzeża, niosąc żalospną walizkę. Ale nie dałam rady. Światło ukazało dwie prawdy: byłam wolna i, zamiast od razu wracać do swojego poprzedniego życia, postanowiłam odwiedzić matkę...

Coś wam opowiem...

Dawno, dawno temu pewna kobieta postanowiła opowiedzieć historię tego, jak próbowała się zabić. Jej brat ocalił ją w ostatniej chwili - a następnie wysłał na północ, gdzie miała zostać wnikliwie przebadana przez wyznawców empirycznych religii. Aż wreszcie pewnego dnia, gdy jej brat pozwolił sobie na chwilę nieuwagi, kobieta uciekła i ruszyła na południe, z powrotem do domu swojej matki w legendarnym mieście Ambergris. Czuli się tak pusta w środku, że nie mogła już dłużej myśleć o sobie „ja”.

Dokuczliwe zimno północy podążyło za nią na południe do Ambergris. Widziała swój oddech. Monotonne brzęczenie owadów osłabło i zastąpiły je sporadyczne zaskoczone stuknięcia, zaspane sygnały wzywające pomocy.

Najpierw dostrzegła dom matki poprzez tumany śniegu i płatki przylepiające się do przedniej szyby wynajętego pojazdu mechanicznego. Pędzili nierówną drogą, która prowadziła do rzeki Moth i do jej matki, a kierowca kłął z wyraźnym południowym akcentem naznaczonym północnym zimnem, aż w końcu ich oczom ukazały się granatowe mięśnie rzeki, a następnie trzy kruche rezydencje przycupnięte nad brzegiem pośród wysokich drzew. Zimno i śnieg uciszyły rzekę.

Rezydencje również były pogrążone w ciszy: trzy zmęczone debiutantki na trwającym od wieków balu.

Trzy uciekinierki z minionej epoki. Trzy wspomnienia.

Pociągająca siła przeszłości lśniła na balkonach z kutego żelaza i w ogrodach przyprószonej śniegiem. Wyblakła uroda zniszczonych białych dachów, które zniknęły, gdy pojazd podjechał bliżej, a nawet smukłe, niezdecydowane okna kojarzyły się jej z

umęczonymi miejscami, które dopiero co opuściła, nieuleczalnie chorymi pacjentami i nieuleczalną nudą... ta sama przytulna uroda cechowała niewykrochmalone koszule noszone przez ojca, uszyte z szorstkiego białego materiału i pożółkłe ze starości.

Jechali przez pozostałości krainy czarów - zamrożone fontanny na kruchych dziedzińcach, blade rzeźby popularne przed kilkudziesięcioma laty, kunsztownie rzeźbione drzwi ze zmatowiałymi kołatkami z brązu - aż wreszcie pojazd zatrzymał się na wpół zakopany w śniegu i przez jedno uderzenie serca razem z kierowcą obserwowali cicho padający śnieg, z zadowoleniem podziwiając tego intruza: dziwne ucieleśnienie inwazji, którą menenci już dawno obiecali lubieżnym wyznawcom Truffa.

Potem, gdy ta chwila przeminęła, kobieta, która doznała niechcianego zmartwychwstania, ekshumacji za życia, zapłaciła kierowcy, wzięła walizkę, otworzyła drzwi, wyszła na gwałtowny mróz i mozolnie podeszła do schodów prowadzących do domu jej matki. Kierowca odjechał, ale ona się nie obejrzała; nie miała zamiaru zmuszać go, by na nią czekał. Postanowiła tu zostać, zresztą, w obecnym stanie umysłu rozważanie innych rozwiązań groziło tym, że jej czaszka oderwie się i uniesie jak kościsty balon bez sznurka prosto w szczeliny w popękany od zimna niebie. „Co by było, gdyby?” zamrzło razem z krzakami róży.

Dom jej matki. Co odróżniało środkową rezydencję od pozostałych dwóch, poza faktem, że mieszkała w niej jej matka? Była to jedyna zamieszкана rezydencja. Jedyna, której drzwi wejściowe stały otworem. Oblodzone liście z pobliskich drzew wpadły do środka, zupełnie jakby szukały ciepła, wypisując w przedpokoju mroźną wiadomość nie do odcyfrowania.

Stanąwszy tam, kobieta pomyślała, że otwarte drzwi pasują do jej matki równie dobrze jak lustro.

Gdy weszła, natrafiła na płataninę schodów. Czyżby przyłapała dom na próbie wielkiej ucieczki? Schody były wszędzie i niczym potężne, na wpół zanurzone jaszczury wiły się i wykrcęły swe kręgosłupy w górę i w dół, zacieniane i oświetlane przez satyryczny żyrandol, który zwieszał się z kopulastego sufitu, imitując kryształki lodu na dworze i rzucając światło, które stanowiło delikatną przeciwwagę dla zamrożonych liści.

Już tam, w przedsionku, kobieta widziała, że fundamenty rezydencji gniją - wody rzeki Moth bulgotały i chrzęściły w piwnicy, rzeka bezustannie usiłowała wkraść się po piwnicznych schodach, przesączając się pod klapą, by zaskoczyć jej matkę lodowatym koktajlem ze szlamu, dyszących ryb i splątanej roślinności.

Odcyfrowawszy pusty, słojujaty język schodów, kobieta ruszyła głównym korytarzem z walizką w dłoni. Doskonale знаła ten korytarz - widywała jego sobowtóra w każdym miejscu, w którym mieszkała jej matka. Matka obwiesiła ściany po obu stronach zdjęciami jej ojca, ojca i matki razem, dziadków, wujków, ciotek, siostrzenic, siostrzeńców, kuzynów, przyjaciół rodziny, a także oprawionymi w jarmarczne ramy obrazami przedstawiającymi przodków, którzy nie mogli skorzystać z błogosławieństwa - lub przekleństwa - nowszych wynalazków. Większość krewnych już nie żyła, a pozostałych kobieta nie widziała od lat.

Czuła, że zagłębia się w przeszłość, w której każde możliwe uczucie zostało uchwycone na tych ścianach, zamrożone w fałszu. (Jej brat później zauważył, że na twarzach sfotografowanych ludzi, niezależnie od odczuwanych emocji, przeważały teatralne uśmiechy, wśród których jedynymi odmianami były „z zębami” lub „bez zębów”. Być może, powiedział jej jeszcze później, mimochodem, wykraczając poza granice zamrożonego bajkowego języka, właśnie dlatego nie lubił odwiedzać ich matki: nie miał ochoty zdejmować całunu, ekshumować i ożywiać zwłok ojca; czy nie wystarczyło, że ten już raz umarł?). Wkrótce trudno jej było nie myśleć o sobie jako o zdjęciu na ścianie.

Kobieta znalazła matkę na oszklonej werandzie z widokiem na rzekę, siedzącą tyłem do kominka na jednym z trzech aksamitnych foteli, które matka uratowała ze starego domu w Stockton. Widok z okna: niepokojący obraz rzeki Moth, niebieskiej i spuchniętej od lodu, skłębione płatki śniegu atakują grubą falującą powierzchnię wody, każda drobinka burzy napięcie pomiędzy powietrzem a płynem na wystarczająco długo, by przez chwilę dryfować, po czym rozpuścić się pod wpływem nacisku większej siły. Rozpuścić w błękitnych cieniach zwieszających się nad wodą drzew o liściach tak zmarzniętych, że wiatr nie może nimi poruszać.

Matka patrzyła na rzekę pędzącą i przetaczającą się obok jej okna, a z progu otwartych drzwi córka podglądała ją przy wtórze trzasków płomieni, które rzucały cienie na oparcie fotela.

Córka przypomniała sobie rozmowę na pewnym dziedzińcu dawno temu i pytanie postawione przez obdarzonego ponurym głosem przyjaciela jej brata: „A jak się czuje wasza matka? Wiem już wszystko o waszym ojcu. Ale co z matką?”. Błysk w jego oku - zapach utartej mięty, który w blasku letniego słońca dolatywał z ogrodu za nimi, i ona, z na wpół zamkniętymi oczami, słuchająca jego głosu, lecz nie słyszająca pytania.

Jej matka. Kobieta, która zapadła się w siebie po śmierci męża i już nigdy nie była tą samą wesołą, pewną siebie osobą. Chociaż. Chociaż nadal ich utrzymywała. Po prostu już się o nich nie troszczyła.

Nie widziała matki od pięciu lat i początkowo wydało jej się, że widzi ducha, postać, która rozmazywała się tym bardziej, im silniej skupiało się na niej wzrok. Była ubrana w białą sukienkę i szarą apaszkę, siedziała zwrócona półprofilem z chudymi białymi rękami splecionymi na kolanach jak bliźniacze pęki gałązek. Z jej czaszki unosił się dym: białe smugi włosów otaczające głowę. Kości jej twarzy sprawiały wrażenie delikatnych jak dmuchane szkło.

Córka dostrzegła to wszystko, ponieważ teraz nie była w tamtym pokoju, lecz w zupełnie innym, gdzie, pisząc, widziała własne odbicie w zielonej okiennej szybie po lewej stronie, a skoro zawsze bardzo przypominała matkę, to obecnie wyglądała tak samo jak ona wtedy, siedząc na fotelu i obserwując rzekę przetaczającą się za oknem.

Córka stała w drzwiach, wpatrując się w matkę, wyraźnie widoczna, *ale matka jej nie zauważała...*

Przerażenie spływało po plecach kobiety jak pot. Czyżby więc naprawdę umarła? Czyżby jej się udało, a wszystko to, co było później, stanowiło tylko wyraźny-mętny sen w zaświatach? Być może wciąż leży na podłodze w łazience z twarzą ukrytą za głupią wyszczerzoną maską i jaskrawoczerwoną kokardą przywiązaną do prawego nadgarstka.

Zadrzała, zrobiła krok do przodu i uratowało ją zwykle dotknięcie dłonią drewnianej futryny. Żyła, a jej matka siedziała przed nią, z delikatnymi kurzymi łapkami w kącikach mądrych bladoniebieskich oczu - matka, którą znała przez całe życie, która opiekowała się nią w chorobie, przygotowywała dla niej posiłki, wytrzymywała młodzieńcze błędy, pomagała w odrabianiu lekcji, udzielała rad w temacie chłopców i mężczyzn. Z jakiegoś powodu gwałtowna normalność tego odkrycia wydała się nierealna, jakby pochodziła z krainy bardziej odległej niż Morrow czy podziemia Ambergris.

Kobieta upadła na kolana przed matką, a wtedy nieobecny wzrok staruszki na krótką chwilę przeniósł się na nią.

- Matko? - odezwała się. - Matko? - Położyła dłonie na jej ramionach i wbiła w nią wzrok.

Jak przyroda podczas wiosennej odwilży, jak umysł wyrwany z zamyślenia nad czasem i przestrzenią, matka zamrugała, odzyskując ostrość spojrzenia, a na jej ustach zagościł delikatny uśmiech; jej dłonie poruszyły się i mocno objęła córkę. Lekkim oddechem zaparowała moje zmarznięte ucho.

- Janice. Moja córko. Moja jedyna córeczko.

(Jak to się dzieje, że odległość - fizyczna odległość - pozwala nam tworzyć zafałszowane portrety i przebrania dla tych, których kochamy, tak że możemy bez trudu porzucić ich w pamięci, sporządzić dla nich maskę, która umożliwi nam trzymanie ich na dystans, nawet gdy są tak blisko?).

Gdy usłyszałam słowa matki, z moich barków spadł wielki ciężar. Szaleństwo roztopiło się we mnie. Znow byłam sobą, tak bardzo jak to tylko możliwe. Przytuliłam ją i zaczęłam łkać, a moje ciało dygotało tak samo jak rzeka Moth, która za oknem zmagala się z lodem.

Byłoby miło donieść, że po pierwszej chwili przepełnionej uczuciem matka i ja osiągnęłyśmy idealne porozumienie, tak się jednak nie stało. Ta pierwsza chwila okazała się najlepsza i najbardziej serdeczna.

W ciągu kolejnych dwóch tygodni wielokrotnie rozmawiałyśmy, podczas gdy matka prowadziła mnie w górę i w dół gnijących schodów w poszukiwaniu tego bądź owego dawnego wspomnienia, uchwyconego w postaci wyblakłej fotografii, zmatowiałej szkatułki na biżuterię czy broszki wykonanej z ciosu olifanta. Ale chociaż niektóre słowa nas zbliżały, inne okazywały się zdradzieckie i zwiększały dzielący nas dystans. Niektóre zdania jednocześnie rozciągały i kurczyły naszą samotność, tak że na końcu rozmowy mierzyłyśmy się wzrokiem, niepewne, czy w ogóle się do siebie odezwałyśmy.

Wpadłam w rutynę, którą, jak mi się wydawało, porzuciłam wiele lat temu, w schematy rozmowy, w których besztalam ją za to, że nie zrobiła kariery - miała całe pokoje pełne maszynopisów i obrazów, ale nigdy nie próbowała ich sprzedać. Tworzenie przychodziło mi z wielkim trudem - każdy obraz, każda rzeźba, każdy esej wiązały się z wysiłkiem, mozolną wędrówką - więc łatwość, z jaką nasza matka tworzyła, a następnie odrzucała swoje dzieła, wydawała mi się marnotrawstwem. (Co przywodzi na myśl pytanie: dlaczego nie sprzedawałaś jej obrazów w swojej galerii, Janice? Nie tylko dlatego, że nie chciała Ci ich udostępnić - po prostu nie były zbyt dobre). Tymczasem ona - któż mógłby ją za to winić? - krytykowała mój styl życia i maltretowanie własnego ciała. Nie uszły jej uwagi błękitne plamy na mojej szyi i dłoniach, wskazujące na uzależnienie od grzybów, chociaż bezpowrotnie rzuciłam ten nałóg po podjętej próbie.

W ten sposób powoli brnęłam ku rozmowie o próbie samobójczej, poprzez gąszcz słów, których nie dało się kontrolować ani zdusić, które w większości nic nie znaczyły i niczemu nie służyły.

Pewnego dnia, patrząc, jak rzeka Moth zмага się z bryłami lodu, które groziły zamienieniem jej nurtu w powolny potok brudnego szlamu, rozmawiałyśmy o pogodzie. O śniegu. Matka już kiedyś widziała śnieg na dalekim południu, ale było to wiele lat temu. Śpiewała mu kołysankę w postaci monologu. W tamtej chwili równie dobrze mogłabym być oddalona o pięćset mil i pukać do drzwi Zamilonu. Skupiała wzrok na jakimś punkcie na śniegu, gdzie rzeka rozbijała się o kry. Lód ponownie zaczął otaczać moją szyję. Nie mogłam oddychać. Musiałam się uwolnić.

- Próbowалам się zabić - powiedziałam. - Wzięłam nóż i przecięłam sobie nadgarstek.
- Dygotałam.

- Wiem - odrzekła z równą swobodą, z jaką komentowała pogodę. Nie oderwała wzroku od zimowego pejzażu. - Widziałam ślady. Nie da się ich z niczym pomylić. Usiłujesz je ukryć, ale od razu je zauważyłam. Ponieważ kiedyś sama tego próbowałam.

- Co takiego?

Odwróciła się i spojrzała na mnie.

- Jakieś pół roku po śmierci twojego ojca. Ty i Duncan byliście w szkole. Stałam w kuchni, siekałam cebulę i płakałam. Nagle zrozumiałam, że nie płaczę z powodu cebuli. Przez kilka minut wpatrywałam się w nóż, po czym to zrobiłam. Zsunęłam się na podłogę i patrzyłam na krew. Znalazła mnie Susan, nasza sąsiadka - może ją pamiętasz? Spędziłam w szpitalu trzy dni. Oboje przez tydzień byliście u mojej przyjaciółki. Powiedziano wam, że muszę odpocząć. Po powrocie ubierałam się w koszule i bluzki z długim rękawem, dopóki rany nie zbladły i się nie zabiłiły. Wtedy zaczęłam zakrywać blizny bransoletkami.

Byłam zaszokowana. Moja matka była szalona - szalona jak ja. (Żadna z Was nie była szalona - obie byliście smutne, smutne, smutne, tak samo jak ja. Nie wiedziałem, że mama próbowała odebrać sobie życie, ale z perspektywy czasu wcale mnie to nie zaskakuje. Tylko dziwnie niepokoi).

- Zresztą - odezwała się - to nie takie ważne. Jednego dnia masz ochotę umrzeć. Następnego chcesz żyć. Ta osoba, która pragnęła śmierci, była kimś innym, kogo prawie nie znasz i nie chciałabyś więcej spotkać.

Wstała, poklepała mnie po ramieniu.

- Nie dzieje się z tobą nic złego. Dasz sobie radę. - Po czym wyszła z pokoju.

Nie wiedziałam, czy mam się roześmiać, czy rozplakać, więc zrobiłam jedno i drugie.

Czy jej uwierzyłam? Czy to prawda, że można tak łatwo pozostawić za sobą swoje dawne „ja”? Narastał we mnie niepokój, który dawał mi do zrozumienia, że to kłamstwo, że będę musiała być czujna, tak samo jak Duncan jest czujny w podziemiach. (Źle mnie

zrozumiałaś - chętnie zanurzałem się w podziemia. Fascynowały mnie. Nie było we mnie przerażenia, najwyżej *przerażenie sytuacyjne* - lęk, który mnie opanowywał, gdy dostrzegałem, że tam nie pasuję, i sądziłem, że szare kapelusze dłużej nie wytrzymają mojej obecności).

Potem unikałyśmy tego tematu. Już nigdy więcej nie poruszałam tematu swojej próby samobójczej. Ale nie przestałyśmy rozmawiać - głównie o Duncanie. Książkach Duncana. Przygodach Duncana. Jego pierwszych próbach pisania artykułów historycznych.

Dzieliłyśmy się wspomnieniami o Duncanie. Jeszcze w Stockton, po śniadaniu Duncan czasami siadywał obok taty i intensywnie bazgrał z zaciętym wyrazem twarzy, podczas gdy tata, równie skupiony, pracował nad pierwszą wersją jakiegoś artykułu przeznaczonego do *Kwartalnika historii mało znanej*. Razem z mamą śmiałyśmy się z nich, gdyż tata nie potrafił powstrzymać błysku w oczach, który świadczył o tym, że doskonale wie, że syn usiłuje go naśladować. Stać się nim.

Rozmawianie o Duncanie w taki sposób wydawało się bezpieczne. Przynajmniej dopóki nie odkryłam, że matka posiada jedno wspomnienie, którego z nią nie dzielę.

- Twój ojciec lepiej by to opowiedział - rzekła. Byłyśmy w kuchni i przygotowywałyśmy kolację: gotowałyśmy wodę na ryż i przyrządzałyśmy zieloną fasolkę wyjętą z zamrażarki w piwnicy. Na zewnątrz rzeka patrzyła bezgranicznym szklanym niebieskim wzrokiem.

- Duncan zobaczył jednego z nich, gdy był jeszcze dzieckiem, w Ambergris. - powiedziała. - Twój ojciec prowadził tam badania i wziął ze sobą Duncana, podczas gdy ja zabrałam cię na wakacje do domu ciotki Ellis. Nie mogłaś mieć więcej niż dziewięć lat, więc Duncan miał cztery lub pięć. (A jednak pamiętam tę wycieczkę, jakbyśmy byli na niej dziś rano).

- Co to znaczy „zobaczył jednego z nich”? - spytałam.

- Szarego kapelusza - odparła, przelamując fasolkę.

Włosy na moim karku stanęły dęba. Ogarnęła mnie fala ciepła-chłodu.

- Szarego kapelusza - powtórzyłam.

- Tak. Jonathan mi o tym powiedział, kiedy wrócili. Na pewno go widział. Ojciec uznał, że będzie miło wybrać się na wycieczkę do Podziemnego Ambergris. Wtedy jeszcze je organizowali. Zanim zaczęły się problemy.

„Problemy”. Moja matka miała talent do niedomówień. Wycieczki tunelami nagle się skończyły, gdy sprzedawca biletów na jedną z takich atrakcji na chwilę zszedł pod ziemię, po

czym z krzykiem wybiegł na powierzchnię. W pomieszczeniu poniżej nie było śladu przewodnika ani turystów - tylko sala skąpana we krwi, oświetlona dziwnym zielonym blaskiem, którego źródła nikt nie potrafił zidentyfikować. Bardzo podobnym do światła, przy którym teraz piszę. (To apokryficzna opowieść. Najprawdopodobniej zwinęli interes, ponieważ tracili pieniądze z powodu złej reputacji. Szare kapelusze nie służą pewnym rodzajom biznesowej działalności).

- Kupili bilety - kontynuowała matka - po czym zeszli po schodach razem z pozostałymi turystami. Twój ojciec przysięgał, że Duncan cały czas mocno trzymał go za rękę, gdy schodzili do pomieszczenia zagraconego starymi ambergriańskimi artefaktami. Przemierzali zatechłe sale, a przewodnik bez końca opowiadał o Ciszy i Truff jeden wie, o czym jeszcze... aż tu nagle Jonathan zdaje sobie sprawę, że już nie trzyma dłoni Duncana, tylko mięsisty biały grzyb.

Nasz tata wpatrywał się w niego, sparaliżowany strachem. W końcu go upuścił i rzucił się biegiem przez kolejne pomieszczenia. Był roztrzęsiony. Później powiedział mojej matce, że jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał. (Gdzie byłem? W jednej chwili trzymałem ojca za rękę, a w następnej...).

Zaczął wykrzykiwać imię syna, ale po chwili w kolejnej sali mignęło mu coś białego. Wbiegł tam i zobaczył Duncana stojącego w kącie. Chłopiec patrzył na szarego kapelusza, który stał przed nim i odwzajemniał jego spojrzenie. (Patrzyłem na szarego kapelusza. Tak jak powiedziała matka. Żałuję, że nie wiem, co się wydarzyło po drodze).

- Był mały - opowiadała matka. - Mały i szary, ubrany w połyskujący zielony strój. Jonathan mówił, że w powietrzu unosił się zapach, który kojarzył mu się z wodą z głębi rzeki przeciekającą przez porosty i wodorosty. (Dla mnie pachniał jak mięta. Otworzył usta i wyleciały z nich spory. Miał duże oczy. Wpatrując się w nie, czułem niewiarygodny spokój. Unieruchamiały mnie).

Ojciec krzyknął, gdy zobaczył szarego kapelusza - wie, że to zrobił, ponieważ po chwili do sali wbiegli pozostali turyści.

Jednakże wydawało się, że Duncan i szary kapelusz są głusi. Nadal wpatrywali się w siebie nawzajem. Duncan się uśmiechał. Wyrazu twarzy szarego kapelusza nie sposób było odczytać. (Dopiero później zdałem sobie sprawę, że bardzo długo tak się sobie przyglądaliśmy. W tamtej chwili wydawało mi się, że trwa to zaledwie kilka sekund. Czułem, że szary kapelusz chce mi coś powiedzieć, ale ja nie potrafię go zrozumieć. Nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy - nie wydał z siebie ani jednego dźwięku. A jednak właśnie takie odniosłem wrażenie. Wydawało mi się także, że część czasu spędziłem gdzie indziej,

choć nic nie pamiętałem. Gdzieś pod powierzchnią. Czułem w ustach smak ziemi i błota. Czułem piach pod paznokciami jakbym kopał, rozpaczliwie kopał całymi godzinami. Ale gdy potem sprawdziłem paznokcie, okazało się, że są czyste).

Kiedy pozostali turyści weszli do sali, wydarzyły się dwie rzeczy

- Najpierw szary kapelusz wyjął z kieszeni grzyb. Potem lekko na niego dmuchnął. - Tysiąc śnieżnobiałych zarodników uniosło się do twarzy Duncana. - A potem szary kapelusz zniknął.

Ojciec powiedział, że szary kapelusz wtopił się w ścianę, połączył z nią i *nagle po prostu go nie było*. Chociaż wiedział, że to niemożliwe, że musi być coś - tajemne przejście, kłapa w podłodze - co pozwala to wyjaśnić...

Duncan, otoczony mlecznobiałymi sporami, odwrócił się, gdy głos ojca wreszcie dotarł do jego uszu, po czym uśmiechnął się tak szeroko i z taką radością, że ojciec początkowo również odpowiedział mu uśmiechem. (To prawda. Kiedy szary kapelusz zniknął, ogarnęły mnie błogość i zachwyty. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Nie wiem. Byłem zbyt młody, by to zrozumieć. Od tamtego czasu szare kapelusze i podziemia rzadko wywołują we mnie uczucia choćby zbliżone do spokoju).

- Jonathan od razu zabrał Duncana do lekarza, ale ten nie znalazł niczego niepokojącego. Duncan był tym samym chłopcem co zawsze, za to Jonathan się zmienił. To, co się wydarzyło, wstrząsnęło nim, a nawet zmieniło naturę jego badań. Niespodziewanie twój ojciec zaczął się interesować „Odbiciem światła w więzieniu”, a nie rebelią Stretchera Jonesa przeciwko Kalifowi. „Odbicie światła” doprowadziło go do mnichów z Zamilonu, a od nich do Cisy. (Podobnie jak mnie. Klucz nadal może się znajdować w Zamilonie, ale nie w tej chwili).

- Nigdy ci o tym nie mówiłam, ponieważ nie wiedziałam, jak to wytłumaczyć. To się wydawało absurdalne. Niebezpieczne.

Nigdy nie wykryli niczego niepokojącego u Duncana, chociaż w ciągu kolejnego roku często zabierali go do lekarzy. Stopniowo zapomnieli, zakopali to wspomnienie wraz z innymi, ponieważ w głębi serca potwornie się go bali. (Kilka razy zastanawiałem się, czy Ci o tym nie opowiedzieć, Janice. Otwierałem usta, ale wtedy powracał do mnie obraz szarego kapelusza stojącego przede mną w ciszy i z jakiegoś powodu nie mogłem wykrztusić ani słowa. Wkrótce już nie było możliwe powiedzenie Ci o tym w taki sposób, by nie wydało się, że to przed tobą ukrywałem. Nadal nie wiem, dlaczego czułem tak silne opory, by się tym z Tobą podzielić. Czy Cię chroniłem? Czy chroniłem siebie? Byłem taki młody, może po prostu nie umiałem wyrazić tego, co widziałem).

- Jednak Jonathana najbardziej przeraził nie szary kapelusz czy spory, ale radosny uśmiech na twarzy twojego brata.

Fasolka była w garnku. Ryż się gotował.

- Więc to wydarzenie nie zmieniło Duncana? - spytałam. - Żadnych koszmarów? Bezsenności?

Matka pokręciła głową.

- Nic z tych rzeczy.

Przerwała i położyła dłoń na gardle, wpatrując się w dal.

- Pojawiła się pewna zmiana, chociaż jestem pewna, że wynikała z dorastania. Rok po powrocie Duncan zaczął penetrować tunele kanalizacyjne w pobliżu domu. Pamiętam, że wcześniej nienawidził takich miejsc. Ale nagle po prostu... pozbył się tego lęku. (Czy to możliwe, że moje spotkanie było zaproszeniem? Że jego celem było zachęcenie mnie do poszukiwań?).

Dawne tajemnice, które nową drogą trafiły do mojego domu. Wciąż sięgałam myślą wstecz, próbując przypomnieć sobie, jakie wrażenie robił na mnie Duncan w wieku czterech lub pięciu lat. Z mizernym skutkiem. Pamiętałam, jak się uśmiechał. Pamiętałam, jak zdmuchiwał świeczki na urodzinowym torcie, a także jak doprowadziłam go do łez, gdy go uszczypnęłam, po tym jak rozebrał na części jedną z moich lalek.

Opowieść matki nie dawała mi spokoju, chociaż nie dostrzegałam jej głębszego znaczenia. (A niby co miałaś dostrzec? Może to, że przez całe swoje życie byłem agentem szarych kapeluszy? Co dokładnie próbujesz powiedzieć, Janice?).

Nagle rozmowy o Duncanie przestały być bezpieczne. Po raz pierwszy poczułam pragnienie powrotu do Ambergris, do swojej galerii, swojego życia. Dlatego już następnego dnia wyjechałam, zaskakując samą siebie tak samo jak matkę. Jednak już wtedy zaczęłyśmy się od siebie oddalać, więc jestem przekonana, że w tamtej niezręcznej chwili przy frontowych drzwiach, gdy pojazd już na mnie czekał, matka, tak samo jak ja, czuła, że pięć lat, które dzieli nas od mojej kolejnej wizyty, wcale nie będzie udawką.

8

Nic nie było takie samo, gdy wróciłam.

Jest noc, gdy piszę te słowa, i panuje upał, a ja nie wiem, czy ta wysoka temperatura jest normalna, czy może wiąże się ze Zmianą. Coś wgryza się w drewno pomiędzy sufitem tego pomieszczenia a dachem. Ten odgłos żucia niemal mnie uspokaja - a przynajmniej wolę go od dźwięków, które czasami dobiegają z dołu. Wolę nie myśleć, co tam się może dziać. Nie żartuję, to posłowie jest jedyną rzeczą, która chroni mnie przed natłokiem myśli o terażniejszości. Zielone światło nigdy nie znika, ale klientela owszem. Jest późno. Rozeszli się do domów. Zostałyśmy tylko ja, lampka i maszyna do pisania... a także to, co przegryza się przez sufit i porusza na dole. Mam gorączkę. Czuję, że powinnam się położyć na łóżku polowym, które kazałam sobie tutaj przynieść. Czuję, że powinnam odpocząć. Ale nie mogę. Muszę pisać dalej. Mam trochę grzybów, które zostawił Duncan, ale nie jestem pewna, czy powinnam je zjeść, więc tego nie zrobię. Mogłyby mi pomóc ale także zaszkodzić. (Trafna decyzja! Stanowią broń. Równie dobrze mogłabyś najeść się prochu strzelniczego).

Dlatego, aby pozbyć się gorączki, będę pisała o śniegu. O wspaniałym, cudownym śniegu, który czekał na mnie w Ambergris. Może przy okazji ustaną odgłosy żucia. Chyba że rozbrzmiewają tylko w moim umyśle; w takim wypadku mogą nigdy nie umilknąć.

Wróciłam do Ambergris przemienionego przez śnieg, z na wpół tropikalnego miasta do ciała przykrytego białym całunem. Wszystkie ulice, alejki, dziedzińce, budynki, witryny sklepowe i pojazdy mechaniczne uległy tajemnicom śniegu. Biel nie pasuje do Ambergris. Jest kolorem poddaństwa, a Ambergris nie zwykło się poddawać. Nie mamy tego w naturze.

Początkowo miasto wydało mi się podobne do nudnego, statecznego Morrow, jednak pod anonimowym białym przykryciem leżało to samo stare Ambergris, sprytne i okrutne jak zawsze. Kupcy sprzedawali drewno na opał po dziesięciokrotnie zawyżonej cenie. Frankwithe i Lewden, przewidując nadchodzącą zmianę, splądrowali magazyn z książkami Hoegbottona i zaczęli rozprowadzać wyrwane kartki jako podpałkę. Żebracy starali się wyglądać najżałośniej jak to możliwe, kultywując tradycję, którą udoskonalano od czasów poprzedzających pojawienie się Trilliana Wielkiego Bankiera. Złodzieje korzystali z mroźnych warunków, śmiało wrywając torebki w świetle dnia i uciekając na domowej

roboty łyżwach. Kapłani w Dzielnicy Religijnej głosili historyczne nauki o końcu świata, by zwiększyć liczebność słabnących wspólnot. Teatry zaczęły wystawiać liczne „dżunglowe komedie” i inne produkcje, których akcja toczyła się w ciepłym klimacie, i które wreszcie zdetronizowały „Trilliana” Vossa Bendera, gdyż jego sześć aktów okazało się zbyt długie dla większości miłośników teatru, których zmarznięte tyłki przywierały do lodowatych siedzeń. Wrzeszczące łabędzie zdychały z nogami uwięzionymi w lodzie. Jaszczurki filozoficznie wrzeszczały ramionami i pokrywały się futrem. Odgłosy, które niegdyś tłumiał upał wystarczająco intensywny, by upośledzić nawet zmysł słuchu, teraz rozbrzmiewały wyraźnie i metalicznie.

Jednakże najlepiej pamiętam zapachy, a raczej ich brak. Nagle znikła wszechobecna zgniła-spleśniała-deszczowa woń, a zastąpił ją czysty, nudny zapach Morrow. Zupełnie jakby Morrow skolonizowało ważną część miasta, przepowiadając wojnę.

(Nie wspominając o grzybach, które przystosowały się tak sprawnie, jakby to szare kapelusze zaplanowały zmianę pogody. Było coś nierzeczywistego w widoku jaskrawych grzybowych kapeluszy, które wystawały spod śnieżnej pokrywy, niezrażone zimnem).

Sybel zmusił mnie, bym wróciła do galerii. Gdyby to ode mnie zależało, wołałabym zostać w swoim mieszkaniu przez kilka tygodni, dla spokoju ignorując kilka plam krwi, które mój brat przegapił podczas sprzątanía. Już nie czułam się pusta, ale wciąż byłam słaba, niemrawa, niezdecydowana. Nie miałam akcesoriów, które kiedyś nie pozwalały mi myśleć o... wszystkim.

Sybel wyglądał tak jak zawsze - na jego twarzy gościł niewyraźny półuśmiech, a wzrok cię przenikał, skupiając się na jakiejś innej rzeczy bądź miejscu, zapewne w przyszłości.

W drodze do galerii, gdy szliśmy zamarzniętymi ulicami, Sybel odwrócił się do mnie i rzekł:

- Nie znasz dobrze swoich przyjaciół, prawda?

Przez chwilę się w niego wpatrywałam.

- Co chcesz mi powiedzieć?

Byliśmy o kilka minut drogi od galerii.

- Rozdałaś ludziom klucze - powiedział.

- Klucze do galerii.

- Tak.

- A nie powinnam była tego zrobić.

- Nie. Jak mogłem ich powstrzymać, skoro mieli własne klucze?

Westchnęłam.

- Niech zgadnę.

W galerii jedynym elementem, jaki pozostał nienaruszony, było moje biurko, którego blat zasłaniały dwa tuziny rachunków, pięć lub sześć umów oraz sterta długopisów. Resztę ogołocono. Najmniej popularne obrazy, które spędziły na ścianie po kilka miesięcy, pozostawiły po sobie beżowe cienie, ale poza tym wewnątrz wyglądało tak, jakbym właśnie otwierała galerię, a nie traciła nad nią kontrolę. Wszyscy mnie opuścili, zupełnie jakbym tak szybko wirowała, spadając ku zapomnieniu, że w pewnym momencie po prostu odrzuciła ich siła mojego pędu.

- Kiedy to się stało?

- Stopniowo, na przestrzeni kilku miesięcy - odparł Sybel, rzucając klucze do galerii na biurko i siadając na fotelu. - Byli bardzo dokładni, nieprawdaż?

- Kto?

- Artysci. Jestem przekonany, że to zrobili artyści.

Rozejrzałam się. W swojej pustce galeria pod pewnymi względami zaczynała przypominać moje życie. Co miałam robić?

- Nie mogłem tu czuć dzień i noc - powiedział Sybel. *Nie powiedział: Musiałem organizować przyjęcia i martwić się szefową o samobójczych skłonnościach.*

Wezbrał we mnie nagły gniew, chociaż nie miałam powodu, by się złościć na Sybela. Cóż mógł zrobić?

- Po prostu pozwoliłeś im zabrać wszystkie swoje dzieła?

Pokręcił głową.

- David ich wpuścił. On to zapoczątkował...

David. Były chłopak. Miałam dość przyjemne wspomnienia o tym, jak razem uciekliśmy do pokoju na tyłach galerii, by się kochać.

- Och. - Złość mnie opuściła.

Sybel podniósł na mnie wzrok.

- Nie ma już czym kierować, Janice. Nie ma galerii. Chciałbym, żeby było inaczej, ale - wstał - nie mam już tutaj nic do roboty. Znajdę inną pracę. Nie zajmuję się odbudową. Jestem kierownikiem. Jeśli w przyszłości będziesz potrzebowała pomocy, daj mi znać.

Owszem, w przyszłości miałam potrzebować pomocy. Mnóstwa pomocy, ale teraz nie mogłam tego wiedzieć. Nie mogłam przewidzieć, jak szybko odwróci się los nas wszystkich.

- Co będziesz teraz robił, Sybelu?

Wzruszył ramionami.

- Zrobię sobie przerwę. Powspynam się na drzewa. Będę się cieszył dotykiem porannego słońca na twarzy. Będę pływał w rzece Moth. (Jasne. A po mniej więcej półgodzinie, gdy już skończył hasać w promieniach słońca, ponownie zabrał się za zaopatrywanie ludzi w to, czego najbardziej pragną. A konkretnie, za zaopatrywanie *mnie* w to, czego najbardziej pragnąłem - czyli we wszystko, co mogło mi pomóc przetrwać noc).

Uśmiechnęłam się i położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Zabierz mnie ze sobą.

- Nie spodobałoby ci się - odparł, a ja wyczułam smutek w jego głosie. - Zanudziłabyś się.

Pokiwałam głową.

- Pewnie masz rację.

Przy drzwiach Sybel odwrócił się do mnie po raz ostatni i rzekł:

- Cieszę się, że wróciłaś. Naprawdę. Ale przekonasz się, że wiele się tu pozmieniało.

To już nie jest to samo miejsce.

- Co masz na myśli, mówiąc, że wiele się pozmieniało?

- Nie ma już Nowej Sztuki.

Później krótkie śledztwo dowiodło, że Sybel miał rację. Podczas gdy wszyscy skupiali się na Nowej Sztuce, to, co prawdziwie innowacyjne, dokonywało się poza naszym małym endogamicznym kręgiem wzajemnej adoracji. Prawdziwa wyobraźnia idąca w parze z genialną techniką omijały i przewyższały Nową Sztukę, czasami kwitując ją stłumionym chichotem i pogardliwym ukłonem. To właśnie wtedy Hale Jargin po raz pierwszy wystawił swoje olbrzymie „żyjące płótna” razem z klatkami, z których nieśmiało wyglądały małe stworzenia, a Sarah Frayden zaczęła tworzyć swoje rzeźby z cienia. Ich dzieła jednak nie dały się zakwalifikować do Nowej Sztuki, po części dlatego, że galerie, w których je wystawiano, nie miały żadnych powiązań z tym nurtem.

Zanim ci spośród nas, którzy byli kojarzeni z Nową Sztuką, zrozumieli, że stała się ona Starą Sztuką - moim jedynym wytłumaczeniem była wymuszona nieobecność w branży - jedyną osobą, która miała możliwość ucieczki przed śmiercią tego terminu, pozostał ten, który nigdy nie określał nim swoich prac: Martin Lake.

Nawet gdyby nie uciekli z mojej galerii, pozostałabym z tłumem wyblakłych sław, które po zdjęciu kłapek z oczu zobaczyły, że nie tylko nie wyznaczały nowych granic, ale

stanowiły zaścianek, równie zbędny jak pierwsza generacja pojazdów mechanicznych Manzikerta, które wytoczyły się z fabryk ponad sto lat wcześniej.

„Nie ma już Nowej Sztuki”, powiedział Sybel, po czym zniknął, pozostawiając mnie w pustej galerii, zamyśloną nad tym, co mam robić.

Co mogłam zrobić? Musiałam odnaleźć brata - i go odnalazłam, wśród dźwięczącego szelestu zamrożonych wierzb przed Akademią Blythe'a. Zapewne wiedział, że do niego przyjdę. Wiedział, że go szukam. Miał na sobie długi płaszcz, siedział przy kamiennym stole i uśmiechał się do mnie. (Raczej się krzywiłem. W pierwszych dniach mojej przemiany doświadczyłem wiele bólu. Wciąż się zmieniałem). Odzyskał typową dla siebie szczupłą sylwetkę.

- Witaj, niemocny pomocny bracie - powiedziałam, odwzajemniając uśmiech i siadając po przeciwnej stronie stołu. Za plecami Duncana Akademia dopiero budziła się ze snu. Był błogi poranek - słońce rozświetlało śnieg i lód okruchami pomarańczowego blasku.

- Witaj, samobójcza siostrze - odrzekł, obdarzając mnie szczerym spojrzeniem skupionym na teraźniejszości, na mnie.

- Powinieneś ostrożniej się wysławiać - pouczyłam go. - Mogłabym to powtórzyć, a wtedy musiałbyś mnie wysłać w kolejną podróż dookoła świata.

Szeroko się uśmiechnął. Choć wydawał się zdrowy, jego zęby zdradzały kryjące się pod powierzchnią zepsucie: wzdłuż dziąseł widniały szaro-czarne plamy.

- Wątpię - odparł. - Posłałem cię już do wszystkich lekarzy od głowy w promieniu trzystu mil. Gdybyś miała ponownie spróbować, zrobiłabyś to, słuchając siódmego lub ósmego z nich, gładzącego o twoich zaburzeniach snu.

- Ale jestem słaba - upierałam się. - Od tygodni nie biorę prochów. Dużo śpiam. Zdrowo się odżywiam. W każdej chwili mogę się załamać psychicznie.

(Byłem szczęśliwy, widząc Cię w takim stanie, zmęczoną, ale całą. Kilka miesięcy wcześniej nie miałem pojęcia, czy przeżyjesz i pozostaniesz sobą. Nie miało znaczenia, że jesteś chuda i wymizerowana, najważniejsze, że odzyskałaś zdrowie psychiczne).

- To miasto się rozpada, a nie ty. Śnieg. Tylko spójrz, znów pada.

Rzeczywiście - cienkie, małe płatki zaczęły spadać z nieba.

- Tak naprawdę w ogóle nie przestało - przypomniałam mu.

- Myślę, że szare kapelusze...

Przewróciłam oczami, by mu przerwać.

- Uważasz, że są odpowiedzialne za wszystko. (Ponieważ to prawda, Janice!).

Wzruszył ramionami.

- A nie są?

- Tak się składa, że nie - odparłam. - To ja przyniosłam ze sobą śnieg z Morrow, najbardziej bezdusznego, nudnego i okropnego miejsca, w jakie mogłeś mnie wysłać.

Wzbierający gniew. Było mi z nim dobrze. Już dawno nie czułam niczego poza bólem i smutkiem.

- Uratowałam ci życie. W przeciwnym razie byś umarła.

- Może chciałam umrzeć - odrzekłam. - Nie przyszło ci to do głowy?

- Nie - odpowiedział. - Nie wydaje mi się, abyś chciała umrzeć. Myślę, że chciałaś nie czuć, a to nie to samo. Wiem wszystko o tym pragnieniu.

Ciężko westchnęłam. Tak naprawdę rozmowa o tych sprawach kosztowała mnie zbyt dużo energii.

Nagle coś mi przyszło do głowy.

- Skąd wiedziałeś, że tu przyjdę?

Duncan skrzywił się, jakby coś go zabolalo. (Jakby? Za każdym razem, gdy się poruszałem, czułem je na całym ciele, wżerające się w moją skórę). Odwrócił wzrok.

- Mam... znajomych... którzy mówią mi różne rzeczy. To wszystko. W ten sam sposób znalazłem cię nim było za późno. Roześmiałam się.

- Znajomych! Mogę tylko zgadywać, jakich znajomych. Mają nogi czy spory? Chodzą czy unoszą się w powietrzu?

Duncan wbił wzrok w śnieg. Teraz widziałam, w miejscu, gdzie światło padało na jego policzek i bok szyi, że do jego skóry przywarł delikatny czarny osad, niematerialny jak dym.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał.

Patrzyłam na niego, gotując się w środku. Co mogłam mu odpowiedzieć? Dlaczego miałabym mu cokolwiek mówić?

- Jaką odpowiedź chciałbyś usłyszeć? - spytałam. - Mam powiedzieć, że byłam pod zbyt silną presją? Że nie dałam sobie z nią rady? Mam powiedzieć, że byłam pod wpływem narkotyków? Mam powiedzieć, że moje wszystkie związki okazały się nieudane i czułam się samotna?

Z każdym pytaniem coraz bardziej podnosiłam głos, aż do krzyku. Wreszcie umilkłam. Gwałtownie. Duncan przypatrywał mi się z niepokojem. Zdałam sobie sprawę, że sama nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Nie znam prawdziwych przyczyn. Każdy powód, który przywoływałam, wydawał się absurdalny. To prawda, że napisałam o tym wiele notatek. Wszyscy lekarze chcieli, abym opisywała swoje doświadczenia, jakby mogli wydobyć je ode mnie za pośrednictwem tuszu i papieru. Więc pisałam bezsensowne, pompatyczne zdania:

„Wreszcie to zrozumiałam. Jeśli możemy zostać odkupieni, to tylko przez miłość i wyobraźnię. Dysponowałam wystarczającą wyobraźnią, by pojąć, że otrzymuję za mało miłości, więc pozwoliłam się uwieść tym, którzy mnie nie kochali i których ja nie kochałam. A potem przekonałam siebie, dzięki wyobraźni, że jednak ich kocham, a oni kochają mnie”.

Albo, na kolejnym skrawku papieru, który zachowałam jako świadectwo swojej głupoty:

„Spędziłam młodość w szponach strachu przed nagłym odejściem, które było udziałem mojego ojca. Ja również mogłam biec po słodkiej, dziwnej trawie, by nagle przedwcześnie znieruchomieć u czyichś stóp. («Nagle odejście»? „Przedwcześnie znieruchomieć»? Jak na kogoś, kto chciał umrzeć, masz zaskakująco silną awersję do słowa »śmierć«). A jednak, pomimo całej ostrożności, w dorosłym życiu zrobiłam wszystko, by spotkał mnie właśnie taki los. Doprowadziłam do ruiny swoją galerię. Doprowadziłam do ruiny swoje związki za sprawą ekscesów i seksualnej swobody. Nadużywałam narkotyków i seksu”.

I wreszcie, wywlekając odległą przeszłość:

„Mojego tatę trudno było kochać. Żył dla swojej pracy, a każdy, kto nie podzielał jego pasji, otrzymywał bardzo niewiele miłości. Nie był człowiekiem złym ani rozmyślnie okrutnym, ale potrafił cię ignorować z władczością, która wypalała sobie drogę do wnętrza twojej duszy. Duncan rzadko widywał to oblicze naszego ojca. Chroniło go zainteresowanie tajemnicami historii. Mnie historia w ogóle nie obchodziła. Ciekawiło mnie wiele rzeczy - malarstwo, czytanie, lekcje śpiewu, chłopcy, właśnie w takiej kolejności - ale nie historia. Nigdy nie potrafiłam mieć do niej osobistego stosunku, dopóki nie stała się częścią mojego życia. A wtedy było już za późno: tata nie żył, a ja niemal poszłam w jego ślady”.

Lekarze mnie do tego skłonili - sprawili, że czułam się jak polityczny więzień Kalifa, zmuszona do wyparcia się własnych przekonań i wygłaszania pseudo-osobistych parodii w celu odzyskania wolności. (A jednak, Janice, część z tych rzeczy wydaje się prawdziwa. Chciałbym móc powiedzieć, że jest inaczej).

- Nie muszę koniecznie poznać odpowiedzi - rzekł cicho Duncan. - Po prostu chciałem cię o to spytać.

Ale ja musiałam poznać odpowiedź, by móc zapobiec powtórzeniu się takiej sytuacji. Dlaczego to zrobiłam?

Nie pamiętam, co potem powiedziałam Duncanowi, gdy siedzieliśmy na mrozie przed Akademią Blythe'a, widząc, jak zaspani studenci przemierzają dziedziniec, wędrując do swoich sal. Nie pamiętam dalszego ciągu naszej rozmowy. (Rozmawialiśmy o przeszłości, Janice. O tym, co Bonmot planował zrobić w Akademii. Opowiedział mi o mamie i o tym, w jakim stanie znajduje się stara rezydencja. Ja opowiedziałem Ci o badaniach dotyczących Zamilonu, które prowadzili moi studenci. Nic, co musiałabyś pamiętać). Jestem pewna, że to go nie usatysfakcjonowało. Mnie na pewno nie.

Jednakże pamiętałam tamtą noc, gdy spróbowałam odebrać sobie życie - jak zwykle wypełnioną imprezami i narkotykami, bezcelową, typową dla mojej napiętej do granic możliwości i nierzeczywistej egzystencji. Późne wieczory łączące się z porankami, czerń nieba, poszukiwanie kolejnego baru.

Wydałam połowę pieniędzy, które mi zostały, na coś, co z perspektywy czasu mogę nazwać samobójczym bankietem - tak wiele jedzenia, tak wiele ciał, tak mało ograniczeń. Bładość ludzi leżących w kącie pomieszczenia, orgiastycznie wijących się nóg, rąk i tułowi. Lubieżne spojrzenia widzów. Zapach wina, zgnilizny, rozkładu, seksu. Ale nawet to mi nie wystarczało. Wciąż chodziliśmy *gdzie indziej*.

Byliśmy w kawiarni. Byliśmy w jakimś wypalonym budynku. Byliśmy na ulicy, gdzie chichotaliśmy pod latarnią. Wszystko zlewało się w jedno miejsce, jeden czas. Nie wiedziałam, gdzie się znajduję. Był przy mnie Sybel, potem zniknął, potem znów się pojawił.

W końcu dotarliśmy do schodów prowadzących do opuszczonego kościoła. Po ich jednej stronie stanął Sybel, a po drugiej David, zero, z którym wtedy sypiałam. Unosiłam się pomiędzy nimi, wpatrując się w olbrzymie podwójne drzwi kościoła, stare dębowe drewno obite żelazem i pokryte rzeźbionymi zdobieniami. Ze środka dobiegały donośne głosy.

- Zapłaciłam za to? - spytałam. W ciągu ostatnich kilku miesięcy często zadawałam to pytanie.

- Nie - odrzekł Sybel. - Nie zapłaciłaś. Nie podobało ci się na twoim własnym przyjęciu.

- Chciałaś, żebyśmy zabrali cię gdzie indziej - wyjaśnił David, obejmując mnie ramieniem.

- Z przyjęcia, za które zapłaciłam?

Sybel się roześmiał.

- Tak, na takie, za które nie zapłaciłaś. A za to z pewnością nie zapłaciłaś, to przyjęcie sponsorowane przez jedną z nowych galerii.

- A gdzieś indziej trwa takie, które ja zasponsorowałam?

- Pomyśleliśmy, że może być zabawnie ich poszpiewować - dodał David, ignorując moje pytanie.

- W kościele? - spytałam z niedowierzaniem, zapominając o wszystkich finansowanych przeze mnie błuźnierczych uroczystościach, które odbywały się w jeszcze bardziej świętych budynkach.

- Kiedyś to była świątynia Kościoła Pięcioramiennej Gwiazdy - odrzekł David - ale oni już nie istnieją.

Oczywiście. Okolica zarosła trawą, a stopnie popękały od pnączy. Drzwi wiszące na zawiasach zaczynały gnić.

- Prowadź - poleciłam, poddając się.

Sybel otworzył pchnięciem drzwi i weszliśmy, a właściwie oni mnie wnieśli - w kakofonię muzyki, wir świateł. Idealnie wtopiliśmy się w tłum. Takie same stroje. Takie samo podejście. Już po kilku minutach, pod baczny okiem Sybela i Davida, prowadziłam rozmowę z młodym artystą o zabiedzonym wyglądzie, któremu nie potrafiłam się oprzeć. Było ciasno. Musiałam krzyczeć. Nie wiedziałam, co krzyczę. Nie wiedziałam, o kogo się ocieram. Sybel i David usiłowali pełnić rolę moich ochroniarzy; ignorowałam ich. Bełkotałam bez sensu.

W pewnej chwili straciłam koncentrację i zamilkłam, bezskutecznie próbując przytakiwać, gdy młody artysta, który naprawdę nic mnie nie obchodził, rozwódził się nad „inspiracją dla swojej sztuki”. Stałam już wtedy na stołku. Nie wiem, kto mi go przyniósł, ale dzięki niemu mogłam przyglądać się tłumowi.

Z boku sali zauważyłam właściciela konkurencyjnej galerii, Johna Franghego, który gawędził z dwójką moich klientek, nie zauważając mojej obecności. Rozpoznałam gesty kochanego Franghego. Rozpoznałam jego mowę ciała. Dziwaczne połączenie przymilnych komplementów i absolutnej władzy. Trzymał kieliszek i był wyraźnie pijany. Co jakiś czas zaciskał dłoń na ramieniu ładniejszej z dwóch artystek i szukał jej spojrzenia. Nie było w tym żadnego artyzmu.

W pewnej chwili spadłam ze stołka. Miałam głowę pełną gwoździ. Moje myśli były zwinięte w kłębek i wystraszone. David i Sybel przyszli mi z pomocą, posadzili mnie na krześle przy stole, obok dwóch weteranów sztuk pięknych. Wokół mnie wirowały ciała.

Wydawało mi się, że nawet powierzchnia drewnianego stołu się kłębi, zmienia w wir słoii. Czułam zapach piwa, narkotyków, tych wszystkich spoconych ciał zamkniętych w ciasnym wnętrzu.

Zrozumiałam, że nic z tego się nie liczy, że nic z tego nie ma żadnego znaczenia. Nienawidziłam tego, co widziałam - upadku sławy, przyrostu fałszu, nadużycia seksu i pożądania. Opanowała mnie dziwna trwoga.

Byłam sama w tym kościele. Nie wiedziałam, kim jestem ani jak się w to wplątałam. Stałam się obserwatorką we własnym życiu.

Posłałam Davida i Sybela do gospodarzy po więcej moich ulubionych grzybków. Gdy tylko połknął ich tłum, wstałam i wymknęłam się z kościoła przez gnijące dębowe drzwi.

Potykając się, niewiarygodnie pijana, dotarłam do małego brudnego klubu przy nabrzeżnym krańcu Bulwaru Albumuth. Poprzez szmer płynącej tuż obok rzeki Moth docierał do mnie głos starego śpiewaka, który podobno kiedyś był sławny.

Jak to zwykle bywa, szybko zaprzyjaźniłam się ze wszystkimi w barze, ale nawet gdy siedziałam tam z nimi, żartując i pijąc w ciemności, czułam, że jestem całkowicie sama. Wiedziałam, że śpiewak także to rozumie. Wydawało się, że śpiewa wyłącznie dla mnie. Nikt inny nie zwracał na niego uwagi. To było okropne i cudowne zarazem. Już nigdy nie wespnie się na szczyt, na którym kiedyś się znajdował. Pewnego dnia ludzie w barze mogą przestać rozpoznawać nawet jego najbardziej znane piosenki. Ale i tak je śpiewał z jakąś straszliwą bezczelnością. Męczyło mnie patrzenie na niego. Męczył mnie pusty śmiech baru. Wszystko mnie męczyło.

Siedziałam tam, paląc grzybka, którego ktoś mi dał, i patrząc na śpiewaka, ale tak naprawdę przenikałam go wzrokiem, wpatrując się w dal. Pierwszy plan był rozmazany, a w mojej głowie nie było ani jednej myśli, tylko melodia piosenki i głos śpiewaka.

Stajesz się tym, kogo udajesz. Mogłam udawać, że udaję, gdy chodziło o Nową Sztukę, ale w końcu zaczęłam wierzyć w kłamstwa, które usprawiedliwiały moje ekscesy.

Powoli, stopniowo, poprzez muzykę i głos przekradła się pojedyncza myśl: że nigdy nie będę taka odważna jak ten śpiewak, że nigdy nie zaśpiewam starych piosenek ludziom, których one nie obchodzą. (Chociaż, paradoksalnie, niektórzy uważają, że właśnie to robisz za sprawą niniejszej relacji).

Czy to dobry powód? Czy usatysfakcjonowałby lekarzy? Ponieważ nic innego nie podziałało.

Jednakże wcześniej skłamałam. Pamiętam coś jeszcze z mojej rozmowy z Duncanem na mroźnym dziedzińcu. Pamiętam, że poczułam od niego woń perfum. To mnie osadziło w miejscu, na zawsze zmieniło temat.

- Jak ona ma na imię? - spytałam.

Uśmiechnął się znacząco i odpowiedział:

- Mary Sabon.

Mary Sabon. Sabon i jej naszyjnik kłamców. Od czego mam zacząć?

Sybel miał rację - Nowa Sztuka umarła. Ale nie tylko ona.

Przed swoim „wypadkiem” żyłam niemal wyłącznie tajemną historią miasta - historią chwil, a nie wydarzeń, która znika równie szybko jak się pojawia, trwając tylko w drzeniu zapamiętanej ekstazy. Ta tajemna historia ogarnia (przenika) sypialnie w stu tysiącach domów, w ciemności, gdy przez opuszki palców uczymy się, że nasze ciała mają tysiące oczu, którymi mogą odczuwać, i odkrywamy tysiące sposobów na poznanie prawdziwego znaczenia dotyku. Od gry wstępnej do orgazmu, od pierwszego dotyku do ostatniego, wszystko, co wiemy, znajduje się w naszej skórze - sekretna historia, której częścią może się stać tak niewielu ludzi. Nie rozmawiamy o niej, chociaż nas stworzyła, będzie nas nadał tworzyć i jest jedynym sposobem, by się do siebie prawdziwie zbliżyć: nagłym połączeniem, które zmniejsza odległość i pozwala doświadczyć rozkoszy, która - wybaczcie, że z entuzjazmem wkraczam do rynsztoka (czy możemy Cię powstrzymać?) - płynie z bycia wypełnianym i wypełniania, ale jest także czymś więcej. Właśnie tam byłam i tym żyłam przed wypadkiem. Później ze wszystkiego zrezygnowałam, chociaż nie to stanowiło problem.

Zamieniłam swoją tajemną historię na zupełnie inny rodzaj historii. Teraz często oglądałam plecy ludzi, śpiewałam pieśni, a mój tyłek nie raz został uśpiony przez twarde drewno, na którym siedziałam. Śpiewanie, czytanie starych ksiąg, przesuwanie w palcach koralików naszyjnika znacznie skromniejszego niż naszyjnik Sabon. Cały czas martwiłam się, że to nowe uzależnienie może minąć podobnie jak poprzednie, ale i tak byłam skłonna zaryzykować.

Jednakże, za sprawą niezwykle zbieżności przypadku i przeznaczenia, gdy moja erotyczna gwiazda spadła z nieba, gwiazda Duncana weszła i zabłysła jeszcze namiętniej, gdyż jego pożądanie - w odróżnieniu od mojego - było nakierowane na jedną osobę: Mary Sabon.

Już wcześniej dowiedziałam się o Mary, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy. Duncan opowiadał o niej kilka miesięcy przed tym jak wydało się, że go pociąga. Pewnego

dnia podczas lunchu, który jedliśmy w towarzystwie Bonmota, przypatrującego się nam spod krzaczastych brwi, Duncan zdradził, że w jego grupie jest potencjalnie genialna studentka. Studentka, która chłonie teorię jak gąbka i natychmiast potrafi ją stosować w interesujących ją dziedzinach. Studentka, która ponadto potrafi pisać, i to dobrze. Było oczywiste, że powinna się znaleźć w bardziej zaawansowanej grupie, i początkowo Duncan zastanawiał się, czy nie wysłać jej do innej szkoły, ale ostatecznie nie mógł się zdobyć na złożenie takiej propozycji.

- Brakuje jej niezbędnej społecznej dojrzałości - wyjaśnił. - Jest jeszcze bardzo młoda. Nie powinna iść do Akademii Religijnej w Morrow razem z dużo starszymi studentami - powiedział, kręcąc głową. - Potrzebuje więcej czasu. To niezwykła uczennica.

Bonmot zmarszczył brwi i obdarzył Duncana spojrzeniem, którego nie zrozumiałam.

- Czasami - dobitnie rzekł do Duncana - lepiej dać takiej osobie spokój. Lepiej dla studentki i dla wykładowcy.

Duncan ponownie pokręcił głową.

- Nie. Ona potrzebuje więcej czasu.

Już wtedy powinnam się była domyślić, gdyż nie wymienił jej nazwiska. Dzięki Bogu przegapiłam okres zalotów. Dzięki Bogu próbowałam umrzeć.

Ponieważ Duncan, w tym samym czasie, gdy ciągał mnie po szpitalach, oddziałach i lekarskich gabinetach, pożądaniem i chaotyczną głupotą przypominał królika. „Uległ pokusie”, jak zapisał w swoim dzienniku, gdy pewnego popołudnia podczas prywatnej lekcji z Mary jego ręka przekroczyła przestrzeń dzielącą to-co-jest od tego-co-mogłoby-być... i po drugiej stronie znalazła akceptację.

„Powiedz mi, że mnie nie kochasz, a chętnie ucieknę przed tą gorączką, tą wizją”, zapisał w swoim dzienniku, obok innych rzeczy, których nie potrafię odczytać z porwanych kartek. „Nigdy nie byłem bardziej obnażony”, pisał do niej, najwyraźniej zapominając tamtą noc, gdy zdrapywałam grzyby z jego ciała i gdy niewątpliwie był najbardziej nagi.

Nie pozostawiła go samego w tej nagości, ponieważ gdy on jej uległ, i wciąż ulegał, nie myśląc o tym, że rozkosz nierozzerwalnie łączy się z cierpieniem, ona odwzajemniła i stale odwzajemniała jego względy. (To z pewnością najbardziej oschły opis kochania się, jaki kiedykolwiek czytałem). Nie jestem wam w stanie powiedzieć, jakie obietnice sobie złożyli w tych pierwszych słodkich, niezręcznych godzinach. Duncan wyrwał te strony z dziennika z taką brutalnością, że nawet sąsiadujące z nimi kartki zostały podarte - zmięte słowa, zmasakrowane frazy, poćwiartowane zdania. Nie da się czytać między wierszami, które już nie istnieją.

Czy wyrwał je później powodowany złością, czy wcześniej - z miłości? (Nie powiem). Czy zaplanował tę rzeź, czy może była to zbrodnia w afekcie? A skoro już o tym mowa, to dlaczego wyrwał właśnie te kartki, a nie - na przykład - opisy piekielnej Maszyny szarych kapeluszy? Skoro kartki zaginęły, a Duncan wraz z nimi, możemy tylko zgadywać. (A jednak, droga siostrzyczko, oto jestem i redaguję Twoje dzieło, nawet po „śmierci”. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają).

Jedynym dowodem, jaki mi pozostał, jest kilka krótkich, niezamierzenie zabawnych listów Sabon do Duncana i Duncana do Sabon, które wypadły z dziennika Duncana jak martwe ćmy.

Sabon:

Mój ukochany, ostatnia noc była cudowna. Jeszcze nigdy z nikim w ten sposób nie rozmawiałam. Tak wiele mnie uczysz. Przy Tobie doskonale wszystko rozumiem. Sprawiasz, że czuję się, jakbym unosiła się na obłoku, na gwieździe, czynisz mnie tak lekką. Aż do naszego następnego spotkania będę smutna i chora. Nie podpisuję tego listu, na wypadek, gdyby ktoś go odkrył, ale wiesz, kim jestem.

Duncan:

Twoja skóra jest tak gładka, że chcę ją lizać przez cały dzień. Twoje ciało sprawia, że moje ciało szemrze z rozkoszy. Twoje włosy, piersi, drobne dłonie, uszy, delikatne jak najdelikatniejsze z grzybów, Twoje silne uda, łokcie, oczy, nawet kolana! Pragnę Cię całej, raz za razem.

Sabon:

Mój piękny ukochany - zeszłej nocy poczułam, że znam Cię jeszcze lepiej niż dotychczas, jeśli to w ogóle możliwe. W ciemności, gdzie nie mogliśmy się dojrzeć, wydawało mi się, że w jakiś sposób nadal Cię widzę. (To zabawne, ale przypominam sobie, że wtedy rzeczywiście trochę świeciłem za sprawą kolonizacji, której dokonały grzyby). Sposób, w jaki do mnie mówisz - nie wiem, czy zasługuję na miłość, którą słyszę w Twoim głosie. Ale będę się starała.

Duncan:

To naprawdę niesamowite, jak nasze ciała do siebie pasują, niczym jakaś idealna układanka. Twoje daje mojemu tak wiele przyjemności. Mam nadzieję, że moje odwzajemnia się chociaż w połowie. Każda noc, gdy nie mogę do Ciebie przyjść, jest torturą. Nie potrafię myśleć o niczym innym - nawet w klasie, gdy powinienem prowadzić zajęcia. A kiedy jesteś blisko mnie, cały drzę. Trzęsą mi się dłonie i nogi, nie słyszę nikogo poza Tobą i chcę Cię osiąść, tam i wtedy. Tego pragnienia nie mogę zaspokoić.

Dawka standardowej romantycznej paplaniny, jaka każdego roku wychodzi z ust i spod piór tysięcy kochanków, choć może nie w postaci takiego staccato puent i kontrapunktów miłości/pożądania. (Jesteś niesprawiedliwa! Tak było na początku, Janice! Kiedy wyraźnie zdawałem sobie sprawę, że jestem starszy, a ona młodsza, Mary zaś martwiła się, że jest zbyt młoda, a ja za dojrzały. Dlatego oboje próbowaliśmy pozbyć się piętna wieku, by odwrócić spodziewany bieg wydarzeń. Może było to głupie, ale odzwierciedlało nasz niepokój, uczucie, troskę o drugą osobę. Poza tym ukrywaliśmy nasze listy w dziesiątkach miejsc wewnątrz budynku Akademii i na otaczającym go terenie. Niektóre nigdy nie dotarły do adresata. Z tych, które Mary do mnie napisała, zatrzymałem tylko kilka, a nie wszystkie moje listy do mnie wróciły. Czasami przepelniało ją pożądanie, a mnie miłość. Czasami spoglądałem na Akademię z okna swojego gabinetu i widziałem tylko świat pełen ukrytych miłosnych listów, pozostawionych dla mnie lub przeze mnie).

Po tym pierwszym kontakcie i podboju Duncan zaczął odgrywać cudowny spektakl przed niczego niepodejrzewającą potencjalną widownią złożoną ze studentów, wykładowców, dyrektorów i przedstawicieli pięciu różnych mnisich zakonów, z których żaden nie uznałby świętości żądzы łączącej nauczyciela z uczennicą, gdyby był na tyle przytomny, by coś zauważyć. Przez ponad dwa lata Duncan przemykał chyłkiem, pełzał, skradał się, czołgał, wspinał i prześlizgiwał obok rozmaitych przeszkód, by znaleźć się obok swej ukochanej. Logistyka tych manewrów inspirowanych pożądaniem była zapewne równie złożona jak w przypadku jego ryzykownych podziemnych wędrówek. W przypadku przyłapania Duncan zostałby zwolniony i otrzymał zakaz nauczania w całym mieście.

Wydawało mi się, że zaprzepaściwszy kariery szanowanego historyka i tworzącego pod pseudonimem pisarza na zamówienie, Duncan będzie się obawiał zrujnowania trzeciej zawodowej ścieżki. I w pewnym sensie tak było - bardzo się starał być precyzyjny. Jego skrupulatność przybrała formę mapy, którą kierował się podczas strategicznych prób penetrowania pokoju Sabon. Każda metoda pod pewnymi względami była godna polecenia.

Niektóre wiązały się z emocjonującym pośpiechem, podczas gdy inne, wymagające powolnych badań, przynosiły odmiennego rodzaju przyjemności. Wszystkie jednak wymagały dokonywania nowych odkryć; nie istniał w pełni bezpieczny sposób przedostania się do pokoju Sabon. „Ani rankiem, ani nocą”, zapisał Duncan z niezamierzoną poetyckością, „ani w południe, ani o zmierzchu”. (Bonmot uważał, że okazuję nowy poziom oddania Akademii, skoro tak często porzucam wygody swojego mieszkania na rzecz ponurego i surowego pokoju na terenie uczelni).

Sprawy jeszcze bardziej komplikował fakt, że przepisy Akademii wymagały, by studenci co semestr zmieniali pokoje, zapewne po to, by utrudnić im schadzki, chociaż każdego roku dwie lub trzy dziewczyny i tak zachodziły w ciążę. Tak więc Duncan musiał mniej więcej co pół roku zmieniać trasy swoich wędrówek.

Podczas szóstego semestru studiów Sabon Duncan korzystał z trzech szlaków prowadzących do jej pokoju. Te szlaki stanowią „listy miłosne” w najczystszej postaci. W swoim szaleństwie mój brat nawet nadał im nazwy w swoich listach:

***Szlak A: Ścieżka Pamięci o Tobie.** Ta ścieżka, ta miłość nigdy nie prowadzi do Ciebie wystarczająco szybko, a jednak okrutnie przypomina mi o Tobie na każdym kroku - od szorstkich dachów, na których siadywaliśmy, patrząc, jak niebo zmienia się w bursztynowy pył, po ogrody, w których widziałem Twoją wędrującą sylwetkę, czując, że miesza mi się w głowie od Twojego zapachu i widoku bladych idealnych nóg okrytych czystymi białymi skarpetkami. Ta ścieżka wymaga przekradnięcia się obok wszystkich studentów płci męskiej, którzy nie mogą Cię osiąść tak, jak ja Cię posiadłem, przez sam środek ich wypełnionych chrapaniem pokoi, a potem po schodach na dach. Na dachu spoglądam na linię dzielącą akademik od sal lekcyjnych, gdzie uczę Cię rzeczy, które już nie wydają się ważne. Potem do ogrodów, czasami rozświetlonych blaskiem księżyca, pędząc przez zarośla, pulsując pragnieniem - kryjąc się przed nocnymi strażnikami za ślepa ścianą magazynu, by przybyć pod Twoje okno, gdzie zarys Twojej postaci płonie na tle zasłony.*

***Szlak B: Ścieżka Nagiej Konieczności.** Kiedy płonę pożądaniem i nie myślę o niczym poza Tobą, korzystam z tej ścieżki, ponieważ jest równie bezpośrednia jak moje pragnienie - wiedzie obok sypialni royala, kwater wykładowców, aż do granicy terenu, gdzie czołgam się po bezlitosnym żwirze pod oknami akademika, nie dbając o to, że pomimo ciszy nocnej ktoś może*

wychylić się spomiędzy zasłon i mnie rozpoznać - i tak, wiedziony pilną potrzebą, ponownie przybywam pod Twoje okno i do Ciebie.

***Szlak C: Ścieżka Lekkomysłnej Ekstazy.** Kiedy moja miłość do Ciebie miota się między ostrożnością i brawurą, gdy jestem zbyt przepelniony radością, by się spieszyć bądź ociągać, wtedy sunę alejką, która oddziela akademik od sal lekcyjnych, i bezczelnie wędruję ścieżką obok kawiarni, szykując się do tańca z nocnym strażnikiem przy głównej bramie - lawiruję pomiędzy wejściami, przechodzę przez ogrodzenie, czekam w cieniu, aż strażnik mnie ominie, niczego nie podejrzewając. A potem idę wzdłuż ściany, która oddziela ogrody od drugiego skrzydła budynku szkoły - aż wreszcie, zdyszany, ale szczęśliwy, jeszcze raz stoję pod Twoim oknem.*

Już wtedy czynił do nich aluzje, a nawet wydawało się, że jest z siebie dumny, ale nie odkryłam, jak silna jest jego smutna obsesja, dopóki nie przeczytałam powyższych opisów w jego dzienniku. Moim ulubionym zwrotem stało się „pędząc przez zarośla, pulsując pragnieniem” (pozwól zakochanemu głupcowi chociaż na odrobinę swobody). Odpowiadając na ten list, Sabon napisała: „Ja również pulsuję, moje serduszko, zwłaszcza pędząc przez zarośla”. Sarkazm? A może delikatna kpina? Kiedy dokładnie u Sabon pojawiły się zdradzieckie zamiary? (Tak naprawdę nigdy. To była przypadkowa zdrada).

Nawet jeśli na chwilę zapomnimy o pędzącym pulsowaniu, trzeba przyznać, że Duncan podejmował olbrzymie ryzyko. Wybierając ścieżki, nie kierował się kaprysem, lecz dziś już legendarnym rytualnym bełkotem Simona i Jonathana Balfourów, dwóch sześćdziesięcioletnich nocnych strażników o bliźniaczych zwyczajach. Brał także pod uwagę gości, którzy mogli zwiedzać Akademię po zmroku, jak również przypadkowe nocne spacery Bonmota. (Jednak zdecydowanie najbardziej niebezpieczną osobą w całej Akademii Blythe'a był Ralstaff Bittern, ogrodnik. Co za twardy zgred! Żyłasty jak martwy kocur i dwa razy brzydszy. Miałem z nim na pieńku od dnia, gdy przypadkowo podeptałem jego cenne różane krzewy. W nocy czekał na mnie, strategicznie ukryty za wierzbą, skąd widział cały dziedziniec. Wiele razy nie śmiałem pokazywać mu się na oczy).

Co kilka tygodni Duncan ocierał się o zdemaskowanie. Za pierwszym razem akurat korzystał ze Ścieżki Nagiej Konieczności w przebraniu kapłana, a gdy skręcił za róg, stanął twarzą w twarz z innym mężczyzną wiedzionym Nagą Koniecznością - studentem trzeciego roku, równie przerażonym. Obaj tak hałaśliwie skradali się po żwirze, że nie słyszeli się nawzajem.

Duncan później napisał:

„Gdyby on wydał z siebie choćby jeden dźwięk, wrzasnąłbym i rozpocząłbym bełkotliwą spowiedź. Ale na jego twarzy oświetlonej blaskiem księżyca dostrzegłem tak niezwykłą ilość strachu skupioną na tak niewielkiej przestrzeni, że jako pierwszy odzyskałem panowanie nad sobą i drżącym, ale stanowczym głosem poinformowałem go, że jego - cokolwiek to było - nie będą tolerowane w Akademii Blythe'a. Idąc za ciosem, po części pod wpływem własnego przerażenia, zacząłem wypędzać z chłopca demony z takim powodzeniem, że w końcu - wiedząc, że nigdy nie dorówna sile przekonań i zapałowi toczącej pianę z ust zjawy, którą spotkał tamtej nocy - porzucił stan duchowny i założył burdel na obrzeżach Dzielnicy Religijnej. A tymczasem, gdy, ciężko dysząc, biegł po żwirze, uciekając z Akademii, ja dygotałem tak mocno, że aż zgrzytałem zębami. Jakże blisko byłem zdemaskowania! Co miałem robić?”.

Duncan cynicznie postanowił jak najczęściej zgłaszać się na ochotnika do „patroli przeciwko schadzkom”, co oznaczało, że przyłączał się do nieustannych wędrówek starych nocnych strażników, którzy ciemnymi, lśniącymi wilczymi oczami wypatrywali smukłych i krępych chłopców naruszających ustaloną godzinę powrotu do akademika w nadziei na zaciągnięcie do łóżka jakiejś studentki. (Pełniłem cenną służbę, nawet jeśli była podszyta hipokryzją. Zresztą w większości przypadków łapaliśmy studentki, które wślizgiwały się chłopcom do pokojów). To mu pomogło, choć nadal od czasu do czasu, w najmniej odpowiednich momentach, zdarzały mu się niechciane i zaskakujące spotkania z wykładowcami lub kapłanami - „Ja tylko sprawdzałem to okno, żeby się upewnić, że jest szczelnie zamknięte” - a po nagłych skokach w rózę w celu uniknięcia Bonmota, którego nie potrafił okłamać, miał pokłute pośladki. (Zgniecione krzewy jeszcze bardziej rozsierdziły ogrodnika. Bittern kilkakrotnie szedł na skargę do Bonmota, ale ten nie był gotów mu uwierzyć). Podczas jednego z uczelnianych zebrań inny wykładowca historii Henry Abascond spytał Duncana z typową dla siebie pompatycznością: „Lubi pan nocne życie, nieprawdaż? Lubi pan mrok, jego całun?”. (Wcale nie żartował, choć pozostali myśleli, że odnosi się do tematu moich badań. Przez jedną paranoiczną chwilę sadziłem, że on i Bittern zawiązali spisek, by doprowadzić mnie do upadku, ale istniał tylko jeden prawdziwy spisek: mój własny, który miał na celu samozniszczenie).

Oczywiście nic nie trwa wiecznie, zwłaszcza rozpaczliwy i absurdalny seksualny melodramat, a Duncan nie był wyjątkiem od tej reguły. Ale tamten dzień był jeszcze daleko. Na razie Duncan upajał się miłością do Sabon - świadczył o tym jego nieobecny entuzjazm podczas wspólnych lunchów na dziedzińcu: błyszczące oczy, połyskująca skóra, odporna na deszczowe dni i naukowe rozczarowania (zgodnie z bardziej empatyczną interpretacją, był to skutek działalności grzybów).

A jednak zauważyłam, że Bonmot przygląda się nam obojgu podejrzliwie, niezależnie od tego, w jak przyjaznej atmosferze toczyły się nasze rozmowy. Myślę, że o mnie po prostu się martwił - szukał oznak rozpacz, która mogłaby mnie doprowadzić do ponownego podjęcia sobie żył - lecz w Duncanie wypatrywał czegoś ukrytego, czego, pomimo całej swojej mądrości, nie potrafił odkryć. (Jestem pewien, że gdyby nie moje sekretne badania, dowiedziałby się o Mary znacznie wcześniej. Ale plotki o tym, że wymykam się po zmroku, przywoływały mu na myśl raczej ukryte tunele i podziemne głębie niż potajemne spotkania ze studentkami. W jego oczach pochłaniająca mnie obsesyjna namiętność była nakierowana na naukowe badania).

Poznałam Sabon dopiero dziesięć miesięcy po powrocie do Ambergis. Odniosłam wrażenie, że Duncan nie podchodzi z entuzjazmem do naszego spotkania - być może obawiał się, że Mary dowie się, iż zwierzał mi się na temat ich związku, nawet jeśli czynił to przez nieuwagę; być może bał się, że nasza rozmowa może wydać go przed Bonmotem. W każdym razie jeszcze długo musiałam zadowalać się relacjami z drugiej ręki, oglądając Sabon tylko w lustrze miłości Duncana.

Nie potrafię obwiniać Sabon za ten pierwszy etap ich związku ani za obustronne uwiedzenie. Owszem, później doprowadziła mojego brata do ruiny na wiele różnych sposobów, lecz początkowo sprawiła, że dostrzegł inne życie - jakby przez te wszystkie lata istniał jakiś inny Duncan Shriek, prawdziwy bądź potencjalny, zupełnie odmienny od osoby, którą znałam jako swojego brata. Skoro nie mogli pokazywać się razem, obmyślali misterne plany pozwalające im się spotykać publicznie. Mary zapraszała Duncana na przyjęcia u swoich rodziców razem z pozostałymi wykładowcami, a potem prosiła go o „ojcowski” taniec lub rozmowę.

Z kolei Duncan zaczął w pełni korzystać z towarzyskich możliwości, jakie stwarzało Ambergriańskie Towarzystwo Historyczne, zapraszając swoich studentów na wieczorne spotkania „edukacyjne”. Większość uczniów się na nich nie pojawiała, co sprawiało, że Duncanowi przypadła w udziale miły obowiązek dotrzymywania towarzystwa Mary. (Możesz kpić, ile chcesz, Janice, ale taki był główny cel tych spotkań. Jeśli chcesz wiedzieć, to

widywałem się także z innymi osobami, które mogły mi pomóc w rozwoju kariery. Na przykład ponownie spotkałem się z Jamesem Lacondem, na długo przed jego odejściem z Towarzystwa. Sugerujesz, że nie tylko byłem niekompetentny, ale wręcz czynnie działałem na swoją szkodę, co nie jest zgodne z prawdą. To przypadek, że Mary czasami pojawiała się na tych imprezach, które były tak publiczne, że nie dawały nam najmniejszej szansy na prywatność). To dzięki obecności na tych spotkaniach odbył swoje pierwsze prawdziwe rozmowy z Jamesem Lacondem, aktywnym członkiem większości kultowych grup „badawczych” w Ambergris - był to początek przyjaźni, która pod wieloma względami wpłynęła na Duncana.

Duncan odkrył, że nie ma nic przeciwko tańcowi, a „po drinku lub dwóch”, jak to ujął w swoim dzienniku, potrafi „znieść pogaduszki i towarzyskie plotki”. Zaczął przybierać na wadze, ale dobrze z tym wyglądał, a jego nowo wyhodowana broda, przedwcześnie przyprószona siwizną, nadawała mu wygląd szacownego uczonego. Przekonał się, że ludzie lubią go słuchać i interesują ich jego opinie, co dotychczas działo się tylko na samym początku jego kariery. Nagle mocno stanął na nogach w nowym, innym życiu. To było proste. Ujrzał przeszłość, którą mógłby w spokoju dzielić z Sabon.

Dziennik Duncana nie wyraża poczucia winy z powodu podstępnego wykorzystywania ATS ani innych licznych oszustw, do których był „zmuszany” na przestrzeni kolejnych dwóch lat. (Mój dziennik nie może wyrażać poczucia winy - w końcu jest martwym przedmiotem, choć dobrze Ci idzie zmuszanie go, za sprawą pokretnych zniekształceń kontekstu, do wyznań, których w przeciwnym razie nigdy by nie uczynił). Nie zawiera także zbyt wielu informacji o prowadzonych przez następne dwa lata badaniach nad szarymi kapeluszymi. Sabon inspirowała Duncana, ale zarazem zajmowała mu dużo czasu. (To prawda, ale wtedy inni wykładowcy już nieświadomie kontynuowali moje badania). Sabon tak dalece zmieniła jego sposób postrzegania, że w jednym z wpisów z tamtego okresu czytamy:

„Wszystkie moje badania, nawet te dotyczące szarych kapeluszy, wydają się mało ważne, oderwane od rzeczywistości. Równie dobrze mogłoby nie być Ciszy, Maszyny, podziemi. Czuję się tak, jakbym obudził się z koszmaru i znalazł w prawdziwym świecie. Wydaje się niemożliwe, by jedna osoba mogła wieść aż tak dwoiste życie. (W pewnym sensie nawet troiste”. Nie mogłem zrezygnować z rozmów z Bonmotem. Nie potrafiłem całkowicie wykluczyć sfery duchowej - nie w chwili, gdy do tego stopnia stawałem się częścią świata,

że w tych jego cząsteczkach, które stawały się moimi cząsteczkami, czasami wyczuwałem czyjaś obecność. Doprowadzało mnie do szaleństwa, że nie mogę ponad wszelką wątpliwość określić jej znaczenia. Że nie mogę być pewien).

Jednakże to, że Duncan już nie wierzył, iż jego życie zależy od szarych kapeluszy, nie oznaczało, że szare kapelusze przestały wierzyć w Duncana, o czym miał się wkrótce przekonać.

9

Odgłosy, które dobiegały od strony sufitu, umilkły. Odgłosy wydobywające się z dziury prowadzącej pod ziemię nadal rozbrzmiewają. Co ciekawe, zachowuję spokój. W pewnym sensie jestem zadowolona, chociaż widzę naszyjnik wielbicieli Mary i marmurowe schody, widzę jej książki, które unoszą się jak wrony lub nietoperze w zielonych cieniach pod sufitem. Myślę, że to wiek tak na nas wpływa. Sprawia, że przyszłość ubarwia wszystkie nasze wspomnienia.

W tamtym okresie, wiele lat temu, romans Duncana i Mary właśnie namiętnie i żwawo wracał w swój drugi rok, choć nie obyło się bez kilku niezręcznych - ale nie fatalnych w skutkach - wydarzeń, takich jak pełne napięcia zebranie rodziców z wykładowcami, podczas którego Duncan omal nie zemdlął, gdy ojciec Mary żartobliwie spytał: „A więc jakie ma pan zamiary wobec naszej córki?”.

Po mojej nieobecności galerii już nigdy nie udało się odzyskać dawnego blasku. Ci malarze, którzy nie ukradli swoich dzieł ze ścian, opuszczali mnie w bardziej subtelny sposób: pamiętam całą paradę skruszonych bądź płaczliwych wymówek, zazwyczaj przekazywanych przez pełnomocników, gdyż sami artyści okazywali się zbyt tchórzliwi lub zażenowani, by powiedzieć mi prawdę prosto w twarz. Mój mały taniec ze śmiercią był tylko jednym z kilku ekstremalnych wydarzeń tamtego roku: w sumie zmarło pół tuzina pisarzy i artystów, którzy albo przeholowali z zabawą, albo zostali zamordowani przez swoich rywali w czasie Festiwalu. (Który miałaś szczęście przegapić dzięki swoim podróżom; żałuję, że mnie także nie ominął; tamtego roku musiałem piekielnie się napracować, by ochronić Akademię przed szarymi kapeluszami). Władze, czyli rodzina Hoegbottonów, uznały, że winą za te bolączki należy obarczyć (otępiałe, niewyżyte seksualnie, naćpane) środowisko artystyczne. Ekscesy wyszły z mody, a szczyty popularności święciła nowa prostota - niepasująca do naszego olbrzymiego, rozhulanego miasta, ale jak najbardziej odpowiednia w moim aktualnym stanie.

Moja próba samobójcza podkreśliła zdecydowanym wykrzyknikiem rok, który okazał się katastrofalny dla wszystkich lubiących dobrą, czystą zabawę. (Zapominasz o dominujących wpływach Frankwrithe'a i Lewdena, którzy doprowadzili do wielu z tych

niefortunnych zdarzeń. Z historycznego punktu widzenia powinnaś to postrzegać jako działanie Hoegbottona i Synów przeciwko F&L, a nie przeciwko Twoim znajomym).

Galeria z trudem brnęła naprzód w zmienionej postaci, zmuszona do handlowania reprodukcjami reprodukcji słynnych obrazów oraz prymitywnymi akwarelami przedstawiającymi życie miasta, tworzonymi przez mężczyzn i kobiety, którzy w przeciwnym razie byliby cenionymi hydraulikami, księgowymi lub telefonicznymi akwizytorami.

Niemal doprowadzona do ruiny, musiałam znaleźć inne źródła dochodów. Od czasu do czasu Sirin dawał mi zlecenia na artykuły i książki - „Moja droga Janice, zatrudnij się u mnie na stałe”, mawiał, proponując pakt z diabłem - co mi bardzo pomagało. Otrzymywałam także ochłapy od Martina Lake'a, który czasami proponował mi - jak to później ujął Sybel - finansowy odpowiednik „rżnięcia z litości” w postaci wstępnych szkiców do obrazów, które jego nowa galeria - dokąd uciekł Sybel, gdy opuściła mnie fortuna - sprzedawała po cenach wielokrotnie wyższych od stawek, jakie ja otrzymywałam za jego dzieła. Szkice pospiesznie przynosił sługus Lake'a, wygadany mężczyzna nazwiskiem Merrimount. Podsumowując, moja próba jednak mnie zabiła.

Ale przynajmniej nie umarłam fizycznie - nie tak jak umierał Duncan. Drugi rok jego romansu z Mary Sabon zbiegł się w czasie ze zdecydowanym nasileniem jego grzybowej choroby, która czasami pozostawiała go tak słabym i wycieńczonym, że nie mógł prowadzić zajęć - chociaż jeśli objawy ustępowały przed zmrokiem, zmierzał Ścieżką Hipokryzji prosto pod okno Mary. Objawy różnicowały się w zależności od pory roku, jak pokazują „listy symptomów”, które sporządzał:

WIOSNA

wymioty biegunka skurcze
suchość w ustach krótki oddech
gwałtowne wahania nastroju.

LATO

zawroty głowy
zamglony wzrok
dreszcze
obfite poty
nadmierne ślinienie
gwałtowne wahania nastroju.

JESIEŃ

wymioty biegunka skurcze
gwałtowne wahania nastroju.

ZIMA

majaki
zamglony wzrok nudności
gwałtowne wahania nastroju.

Duncan był przekonany, że powyższe objawy pojawiły się u niego na skutek kontaktu z Maszyną. Ja z kolei byłam przekonana, że „gwałtowne wahania nastroju” nie miały nic wspólnego z jego grzybowymi dolegliwościami, tylko z chorobą zwaną „Mary Sabonitis”.

Na szczęście dla ich związku, który w przeciwnym razie mógłby być przeplatany epizodami bardziej pasującymi do domu wariatów bądź szpitala niż uczelni, objawy pojawiały się i znikwały jak letnie burze, które od zawsze nękały Ambergris. (Cóż za ironia. Ponieważ w tej chwili trudno o wolniejszy sposób zwracania się ku światu niż poprzez moją chorobę, ten zmienny, płynny dar. Równie dobrze mógłbym się zamieniać w drzewo, zapuszczać korzenie. Pragnienie przepelniające moje ciało wzywa pragnienie ziemi. Nie może powstać nic, co nie jest częścią mnie lub w końcu się mną nie stanie. „Nie chcę niczego i niczego nie pragnę”, jak kiedyś powiedział pewien stary święty wariat nazwiskiem Tonsure, zanim pogrzebali go pod ziemią).

Trzeba jednak przyznać, że czasami choroba przynosiła Duncanowi wielką radość, niewątpliwie również wywoływaną przez grzyby. Pewne wydarzenie, które nastąpiło w drugim roku jego romansu z Mary, najlepiej obrazuje skrajność objawów, do jakich zdolny był jego organizm:

„Tego ranka, gdy obudziłem się w swojej kwaterze, czułem się lekko zdezorientowany. Miałem słabe zawroty głowy i czułem mrowienie na skórze: zwiastuny osaczających mnie dolegliwości. Jednak objawy minęły, więc udałem się na zajęcia. Pamiętam, że zobaczyłem Mary w ostatnim rzędzie podczas wykładu o „Słynnych męczennikach”, dokładnie w chwili, gdy moje usta stały się suche jak tablica. Pomyślałem, że to jej obecność tak na mnie podziałała. Przez pierwsze dwadzieścia minut czułem się dobrze, ożywiałem wykład starymi dowcipami o Żyjących Świętych, które opowiadał mi Cadimon Signal w religijnej akademii w Morrow, po czym nagle poczułem, że spory

penetrują moją głowę i kończyny - wspinały się zatokami, wciskały pomiędzy mnie i moją skórę. Nie mogłem oddychać. Nie mogłem się poruszyć. Zaczęły mi się kłębić przed oczami, zasnuwając wzrok jaskrawozieloną zasłoną. Wybrałem więc jedyne możliwe wyjście, do którego nauczyłem się uciekać w takich sytuacjach, choć było najtrudniejsze. Rozluźniłem ręce, nogi, szyję i głowę, po czym - jak syn, który ufa ojcu, że ten złapie go i uratuje przed upadkiem na trawę, do wody, na ziemię - powierzyłem równowagę swojego ciała grzybom... i niech mnie cholera, jeśli nie utrzymałem się na nogach. Niech mnie cholera, jeśli nie przetrwałem, choć czułem się, jakbym tonął. Pot płynął ze wszystkich porów mojej skóry. Miałem mdłości, byłem zdezorientowany, kręciło mi się w głowie. Wydawało mi się, że szare kapelusze wypatrują mnie z olbrzymiej odległości - czułem na sobie ich spojrzenia, niby czarną chmurę, burzę oczu... a macki wciąż przesłaniały mi wzrok, oślepiając mnie... a potem, gdy tylko zakończyły swój marsz ze wschodu na zachód, spotykając się gdzieś w okolicach grzbietu mojego drgającego nosa, dolegliwości ustąpiły i znów mogłem... oddychać. Co tam oddychać - ja leciałem, szybowałem, stałem się lekki jak pojedynczy zarodnik, a jednocześnie tak potężny, że mógłbym jedną ręką podnieść całą Akademię. Gwałtowna radość wsączyła się do mojego ciała, pędząc od stóp, przez biodra, do rąk i głowy. Nie mógłbym czuć się szczęśliwszy gdybym był słońcem i świecił na wszystkich z nieba. A wśród tego szczęścia nie istniałem naprawdę, tylko byłem łącznikiem, pomostem, łukiem, który łączył się z setką tysięcy innych łuków ciągnących się w górę i dół mojego ciała, tworząc idealny krzyżujący się wzór pełni. Nie mogę też oprzeć się wrażeniu, że gdy spory gwałtownie mnie uwolniły i pozostawiły zdyszanego i bladego, poczułem podziękowanie, którym promieniowały tysiące tworzące niewidzialną wspólnotę, która stała się moim ciałem". (Później Mary powiedziała mi, że przez cały ten czas nie przerywałem wykładu, choć mówiłem trochę niewyraźnie).

Czy mu wierzę? Zbyt wiele widziałam, by nie wierzyć. Ale przecież Sabon widziała dokładnie to samo, a jednak nie zdecydowała się na ten krok. Gdzieś po drodze postanowiła zignorować, przegapić, nie zauważyć, ominąć wzrokiem.

Po tym jak Duncan zrelacjonował mi kilka z tych „epizodów”, było mi trudno traktować z uśmiechem wysyłane przez niego nieliczne pocztówki, które zaczął podpisywać

„Twój brat, Ogród Grzybowy”. (Ale właśnie nim byłem - przeszczepionym grzybowym ogrodem wyrwanym z podziemnych ogrodów szarych kapeluszy. Zmieniały się pory roku, a ja stałem się celem wędrówki wielkiego exodusu, społeczności uchodźców, która mnie skolonizowała i usiłowała pełnić te same coroczne rytuały - kwitnąć, dojrzewać i umierać zgodnie ze swoim rodowodem. Tęsknili za domem, ale zadowalali się tym, co mieli: mną. Z kolei ja, biedaczysko, z każdym rokiem mogłem doświadczać nowej eksplozji płodności, na tyle egoistycznie chłonąc przyjemność, by wytrzymać równoważący ją ból - i tylko mając nadzieję, że w okresach remisji moja choroba nie jest zaraźliwa. W ten sposób zachowywałem więź z podziemiami, chociaż w nich nie bywałem. Pewnego dnia rozpuszczę się w świecie, stanę się delikatną mgiełką spór, osiadę na chodniku i drzewach, na trawie i glebie, a jednak pozostanę - czujny i świadomy).

Być może jeszcze bardziej niepokojące było to, że - o czym jeszcze nie wiedziałam - z każdym tygodniem zbliżał się naszyjnik ciał Sabon, a wraz z nim ostateczne upokorzenie Duncana.

Otrzymałam przedsmak przyszłych wydarzeń, gdy, po dwóch latach związku z Duncanem, Sabon wreszcie odwiedziła mnie w mojej galerii, zapewne na prośbę Duncana. (Nie - sama postanowiła to zrobić. Oprócz mamy byłaś jedynym żyjącym członkiem mojej rodziny. Ciekawiłaś ją. Przemawia przez Ciebie poczucie winy - że nie okazywałaś mi wsparcia i miałaś tak negatywne nastawienie, choć nigdy jej nie poznałaś. Dociera do mnie, Janice, że chociaż tak wiele rozmawialiśmy przez te wszystkie lata, to nigdy o właściwych sprawach). Można by spytać, dlaczego tak długo czekała, dlaczego ja zwlekałam, ale chyba musiała zdawać sobie sprawę, jak bardzo nie podoba mi się fakt, że mój brat sypia ze studentką. (Muszę Ci to przyznać: wydaje się, że masz szósty zmysł, który pozwala Ci wyczuwać nadchodzące tragedie. Ale wtedy po prostu sprawiałaś wrażenie małostkowej).

Wtedy zaczęli mi się wymykać z rąk już nawet mniej znani artyści. Jednak moja galeria nadal cieszyła się dobrą opinią. Utrzymywałam ją w czystości, jakiej nie powstydziliby się Morrow, a każdy zabrany obraz zastąpiłam doskonałą kopią. Po dziwnej lodowatej zimie w Ambergris od prawie osiemnastu miesięcy utrzymywała się niemal idealna pogoda. Dobra aura oznaczała większą liczbę klientów z ulicy, a to przekładało się na zwiększenie sprzedaży. Jeszcze kilku turystów i mogłam znów utonąć w zieleni niczym pachnący miętą, wysadzany drzewami Bulwar Albumuth.

Dlatego początkowo uznałam Mary Sabon za kolejną potencjalną klientkę. Poza tym znałam ją tylko z gorączkowych opisów Duncana, spodziewałam się więc kogoś wyższego, mądrzejszego i bardziej ponętnego. Była niska, ale nie drobna, ani gruba, ani chuda. Od

lśniących rudych włosów aż po szyje na zamówienie szmaragdowozielone buty, od woni perfum po stonowaną czerwoną sukienkę, która bardzo naturalnie wisiała na jej ramionach, promieniowała bogactwem i zdrowiem. (Ubrała się lepiej niż zazwyczaj ze względu na Ciebie, Janice. W swoje najlepsze niedzielne ubranie).

Wchodząc, skinęła głową, po czym zaczęła wędrować od ściany do ściany, zerkając na obrazy. W dłoniach, które trzymała za plecami, kurczowo ścisnęła torebkę. Jeszcze nie przybrała mistrzowsko przebiegłej pozy, która pewnego dnia miała ją umieścić w centrum uwagi. Naszyjnik jeszcze nie zaczął się tworzyć.

- Czym mogę służyć? - zapytałam, częściowo podnosząc się zza biurka. Pamiętam, że zastanawiałam się, czy uda mi się ją zainteresować któryś z żalonych pejzaży, które pokrywały moje ściany - a nawet czy podane ceny są wystarczająco wysokie jak na jej bogactwo. Dysponowałam wtedy kilkoma przeżutymi i pokiereszowanymi widoczkami przedstawiającymi Urząd Pocztowy im. Vossa Bendera - popularnymi od czasu sukcesu Lake'a - a także kilkoma ładnie rozmytymi panoramami doków i rzeki Moth. Pozycję każdej z nich wzmacniała bliskość i boska jakość dwóch szkiców autorstwa Lake'a, które przedstawiały rybaków rozcinających martwą słodkowodną kałamarnicę. Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła.

- Jestem Mary Sabon. - Pomimo zdenerwowania zachowywała pewność siebie, jaką ja nigdy nie mogłam się pochwalić. Grała mi tym na nerwach.

- Mary Sabon - powtórzyłam.

Pokiwała głową, spuściła wzrok na swoje buty, po czym znów podniosła go na mnie.

- A ty oczywiście jesteś Janice. Twój brat wiele mi o tobie opowiadał. - Roześmiała się, rozbawiona tym wyświechtanym zwrotem.

- Tak. Tak, to ja - odpowiedziałam, jakby zaskoczyło mnie własne imię. - A więc to ty jesteś Sabon.

- Zgadza się - odrzekła, nie spuszczając ze mnie wzroku.

- Zdajesz sobie sprawę, że to, co robicie, może się skończyć wyrzuceniem Duncana z Akademii? - rzuciłam.

Te słowa same się pojawiły. Nie miałam zamiaru ich wypowiedzieć. Od czasu Próby brakowało mi taktu. (Od czasu? Nigdy nie miałaś taktu!).

Uśmiech zniknął z ust Sabon, a przez jej twarz przemknął urażony grymas. Ujrzałam w nim przebłysk przeszłych wydarzeń, które wróciły, by ją dręczyć. Nigdy nie dowiedziałam się, czym były.

- My się kochamy, Janice - odparła... i oto zaskoczenie, szok. Stukot klawiszy o papier przywołał niespodziewane odkrycie: ona była zwykłą dziewczynką. Kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy, była prostolinijnym dzieckiem. Teraz, pisząc te słowa, czuję wstyd, choć nie jestem pewna, z jakiego powodu. Była młoda. Ja byłam starsza. Mogłam ją wtedy zmiażdżyć, ale o tym nie wiedziałam. (Umarło. To wszystko umarło. Odeszło. Bez sensu).

- My się kochamy, Janice - powtórzyła. - Poza tym twój brat jest historykiem. Chwilowo wykłada, ale już pracuje nad nowymi książkami... A ja też nie zawsze będę studentką.

Myślę teraz o wszystkich rzeczach, które mogłam wtedy powiedzieć, delikatnych lub okrutnych, by zapobiec marmurowym schodom, uniesionej dłoni, ognisćie czerwonemu śladowi na jej policzku.

Usiadłam za biurkiem.

- Wiesz, że on jest chory, prawda?

- Chory? - zdziwiła się. - Chodzi ci o chorobę skóry? Grzyb? Ale on znika. Nigdy nie utrzymuje się długo. Nie nasila się. W niczym mi nie przeszkadza.

Ale widziałam, że jest inaczej.

- Powiedział ci, jak się zaraził? - spytałam.

- Tak. To się stało, gdy jako mały chłopiec wybrał się na wyprawę badawczą. No wiesz, ZUT. Dolegliwości pojawiają się i znikają. Bardzo dzielnie to znosi.

Mniejsza o skalę kłamstwa Duncana; to ZUT wytrąciło mnie z równowagi. Straciłam oddech, a w jego miejsce pojawił się ból. Zanim Umarł Tata było zwrotem, który dzieliłam tylko z Duncanem i matką. (A jednak właśnie dzielisz się nim w swoim maszynopisie, który będzie mógł przeczytać byle pijaczyna z ulicy).

- Wszystko w porządku? - spytała.

Musiałam zrobić pauzę. Przerwać i odwrócić od niej uwagę.

- Tak, w porządku - odpowiedziałam, rozpierając się na krześle. - Skoro o tym wiesz.

Owszem, grzyb opuszczał jego skórę na wiele tygodni, czasami miesięcy, ale kiedy powracał, zawsze stawał się bardziej podstępny i odbierał mu więcej energii. Jak mogłam opowiedzieć Mary o obsesji Duncana na punkcie podziemi, zwłaszcza teraz, gdy utrzymywał, że już nie jest nimi zafascynowany?

Uśmiechnęła się, jakby coś mi wybaczała. Prostota tego uśmiechu zauroczyła mnie tylko na chwilę. Prostota tam, gdzie żadna prostota nie powinna istnieć. W moich oczach Mary zawsze pozostawała złożona, skomplikowana, przebiegła.

- Chcę kupić obraz - powiedziała.

Odniosłam wrażenie, że podejmuje ostatnią rozpaczliwą próbę, by mi się przypodobać. Chciała kupić moją przyjaźń.

- Obraz - powtórzyłam, jakbym była stolarzem, rzeźnikiem, kapłanem, każdym tylko nie właścicielką galerii.

- Tak. Co byś mi poleciła?

Dobre pytanie. Chciałam jej polecić, by już więcej nie spotykała się z Duncanem. Żeby nigdy nie wracała do mojej galerii, ponieważ... ponieważ... Czy to powiedziałam? Nie. Nie zrobiłam tego. Powstrzymałam się i wskazałam dwa najdroższe dzieła: szkice kałamarnic narysowane przez Lake'a, przewrotnie zatytułowane „Skrzele” i „Płetwa”.

Pokiwała głową, uśmiechnęła się, popatrzyła na szkice, a potem znów na mnie.

- Bardzo ładne. Wezmę je - powiedziała, po czym pobladła, gdy, odwróciwszy się, zauważyła ich cenę.

Pozwoliłam, żeby je kupiła, chociaż widziałam, że są za drogie nawet dla niej. (Wcale nie miała dużo pieniędzy. Przez Ciebie wydała sumę, za którą mogłaby się utrzymać przez dwa miesiące. Potem odkupiłam od niej te szkice, żeby miała za co żyć).

Wymieniłyśmy drobne uprzejmości. Gdy już stałyśmy przy drzwiach z torebkami w dłoni, odwróciła się, uśmiechnęła i rzekła:

- Może któregoś dnia przyłączę się do ciebie i Duncana i razem zjemy lunch z Bonmotem.

Lunch. Pod wierzbami. Tylko my czworo. Jak przyjemnie. Jak idealnie. Zjemy kanapki w ostrym blasku letniego słońca i porozmawiamy o naszym ciele, o tym, jak się tworzą lub nie tworzą w tym opustoszałym mieście nad rzeką Moth. Nawet teraz, gdy wspominam tę propozycję, czuję, że tonę.

Wezbrała we mnie czerń albo opanowały mnie grzyby albo stało się cokolwiek innego, co może wam przyjść do głowy, gdy czytacie te słowa, w każdym razie odparłam:

- Ciekawe. Który szlak Duncan wybierze dziś w nocy? Ścieżkę Pamięci o Tobie czy Ścieżkę Zapominania Ciebie.

Obraz przedstawiający Urząd Pocztowy im. Vossa Bendera wyglądał nadspodziewanie efektownie w świetle, które przebijało się przez okna i barwiło moją skromną galerię na złoto. Szczegóły tego obrazu wyryły mi się w pamięci, gdy uparcie wpatrywałam się w niego, dopóki nie przestałam czuć na sobie jej pełnego wyrzutu spojrzenia i nie upewniłam się, że sobie poszła.

Moja galeria znów opustoszała. Ponownie zostałam sama. Było tak, jak być powinno.

Chociaż potem wielokrotnie widywałam Mary uwieszoną na ramieniu mojego brata, odezwałam się do niej dopiero podczas przyjęcia, gdy czekała na mnie na dole schodów, trzymając w pogotowiu ostrze komentarza odnoszącego się do Duncana.

Cóż za ironia, doprawdy. Sięgam poprzez czas i przestrzeń, by przy jaskrawym świetle ułożyć przedstawiającą ją mozaikę, po czym odkrywam, że teraz, gdy już dzieli ze mną pokój, światło słabnie, a ona staje się niemal... niegroźna.

Być może tak naprawdę nigdy nie rozumiałam Sabon. Być może stanowi ten rodzaj szyfru, który staje się tym mniej czytelny, im więcej słów mu poświęcamy. Rozpływa się w atramencie, nietykalna.

Grzyb wgrzył się w taśmę maszyny do pisania. Teraz piszę lepkiem zielonym atramentem, a każde słowo odznacza się na klawiszach omszałą mazią. Gdybym mogła zgasić światło, zapisane zdania niewątpliwie ukazałyby mi się z fosforyzującą wściekłością - z rozdrażnieniem istot odkrytych pod kamieniem. (Kłopoty ze sprzętem nie powinny wchodzić w skład fabuły. To pierwsza lekcja, której nauczył mnie Cadimon Signal). Atrament przylączył się do sprawy szarych kapeluszy; w odróżnieniu od mojej krwi.

W tym posłowniu przedstawiłam Mary Sabon, całkiem zasłużenie, w równie złym świetle jak szare kapelusze, a jednak z łatwością mogłabym zapewnić jej drogę ucieczki - dziś serce podpowiada mi, że wystarczyłaby najdrobniejsza wymówka, by ją rozgrzeszyć w moich oczach. Gdyby tylko dała coś z siebie. Ale nigdy tego nie zrobiła: można ślęczeć nad jej książkami przez sto lat, a i tak nie znajdzie się w nich niczego osobistego. Jest kwestią dyskusyjną, czy Duncan zdołał lepiej poznać jej naturę. Wątpliwe, czy Sabon sama знаła własne serce. (Mylisz się - znała je. Wiedziała, kim jest, lepiej niż ktokolwiek, kogo spotkałem. Myślę, że właśnie dlatego ją kochałem, a ona zrobiła to, co zrobiła).

Na przyjęciu, nawet po tym jak ją spoliczkowałam, również nie powiedziała niczego od siebie. Tylko machnięciem dłoni odprawiła tych, którzy mogliby mnie wyprowadzić. Odpędziła nadciągające koraliki swojego naszyjnika ciała. Wycofali się, promieniejąc i mamrocząc coś pod nosem.

- Czego tak naprawdę chcesz, Janice? - rzekła z uśmiechem. - Chciałabyś odzyskać dawne czasy? Znów odnosić sukcesy? Wolałabyś nie być reliktem przeszłości z tak marnymi perspektywami, że musisz pomagać przy organizacji przyjęcia dla artysty, który kiedyś zatrudniał cię jako agentkę?

Miałam na to odpowiedź, ale nie taką, jakiej spodziewała się Sabon. Nie, moja odpowiedź znacznie przekraczała jej oczekiwania.

Ale chyba powinnam zacząć od nowa, nawet teraz, z powrotem wejść w rolę oschłej kronikarki wydarzeń, na które chciałabym mieć wpływ...

W ostatnich latach suche fakty zgodnie ze swoim zwyczajem wyrosły jak grzyby po deszczu wraz ze wzrostem popularności jej książek, tak że teraz mogą wejść do dowolnej księgarni bądź biblioteki i znaleźć informacje o jej dzieciństwie - o inspiracjach, edukacji, zboczeniach, rozrywkach itd.

Jej książki o tytułach jak przekleństwa - „Zaognienie wojen plemiennych Aanów”, „Ograniczony wpływ szarych kapeluszy na Ambergris: Rewizjonistyczna historia miasta” - i powtarzających się notkach biograficznych, do których dołączały kolejne wybrane informacje, tak jak muł osadza się w delcie rzeki Moth. Nawet tutaj mam dwie z tych pozycji. Coś podobnego.

Notki z jej trzeciej książki, „Refleksje na temat historii Ambergris”, oraz najnowszej, „Wyznania rewizjonistki: Zebrane eseje Mary Sabon”, różnią się tylko nieznacznie. Poniżej połączyłam je w celu ułatwienia analizy.

O AUTORCE: Mary Sabon od urodzenia mieszka w Ambergris. Podczas Wojny Domów uzyskała dyplom magistra historii w Akademii Blythe'a, gdzie jej nauczycielem był między innymi pisarz Duncan Shriek. <1> Sabon napisała szesnaście <2> książek w ciągu wybitnej dwudziestodwuletniej <3> kariery, między innymi: „Rola przypadku w historii południowych miast”; „Trillian jako reformator: Wpływ świńskich karteli na historię Ambergris”; <4> „Magiczne Ambergris: Dziedzictwo Manzikerta IX”; „Badania przyrodnicze z moim ojcem”; „Rola szarych kapeluszy we współczesnej literaturze: Dylemat Zakochanego Dradina”; <5> oraz „Cinsorium: Przemyślenie mitu szarych kapeluszy” <6>. W wieku czterdziestu siedmiu lat <7> Sabon pozostaje <8> najaktywniejszą i najbardziej lubianą spośród licznych historyków Ambergris, rzucając światło zarówno na historię, jak i na swoich kolegów po fachu. <9> Jej wczesna fascynacja naukami przyrodniczymi z pewnością została zainspirowana przez rodziców, Davida Sabona i Rebeccę Verden-Sabon. Ojciec był uznanym przyrodnikiem, który ukuł termin „natywizm”, natomiast matka była utalentowaną ilustratorką dzieł przyrodniczych. <10>

Być może moje przypisy pomogą lepiej zrozumieć tę litanie osiągnięć Mary:

<1> *..Akademii Blythe'a, gdzie jej nauczycielem był między innymi pisarz Duncan Shriek.* Od lat Sirin, podejmując decyzję, czy pozostawiać w książkach uwagi dotyczące Duncana, kieruje się dwoma czynnikami: (1) do jakiego stopnia dana książka atakuje teorie Duncana oraz (2) jak złą sławą cieszy się Duncan w chwili jej wydania. Jeżeli książka w otwarty sposób sprzeciwia się teorii bądź teoriom zawartym w pracach Duncana - jest tak co najmniej w połowie przypadków - i czyni z tej agresji swoją główną tezę, wtedy odwołanie do Duncana znika z tekstu, pozostając fantomową kończyną, która czeka na przytwierdzenie. Co zaś się tyczy złej sławy, to sądzę że po swoim zniknięciu, być może ostatecznym, Duncan w czarodziejski sposób powróci w biografii pisarki, i zostanie w niej uwięziony na wieki. (Albo w czarodziejski sposób pojawi się tutaj).

<2> *Sabon napisała szesnaście książek...* Niestety, ta liczba stale rośnie, a każdy nowy wypruwający wnętrzności tom nie znika z druku za sprawą niezrozumiałego zamiłowania do nekromancji i prowadzi do powstania jeszcze bardziej złożonego naszyjnika ciał. Czym Sabon ujmuje czytelników? Dlaczego zawsze jest bardziej popularna od Duncana? (A dlaczego odpowiedź na to pytanie powinna nas interesować? Lepiej zajmij się podziemnymi przygodami). Na kolejnych stronach wyrafinowanej prozy, do której czytania przeważnie nie potrafię się zmusić, Sabon od lat dodaje czytelnikom pewności siebie, sprawia, że czują się inteligentni, proponuje zdroworozsądkowe wyjaśnienia nawet najbardziej cudownych i doniosłych wydarzeń. (Chociaż nawet ona nie umie wytłumaczyć Ciszy!). Wydaje się, że nie ma znaczenia, czy jej odpowiedzi są błędne bądź niekompletne. Nie liczy się, że często lekceważą złożoność świata - odzierają go ze smutków i radości, by przynieść wygodne otepienie i jednakowość: pustą skorupę rozgwiazdy zamiast jej żyjącego ciała. (A jednak musisz przyznać, że Sabon ożywia trupa z dowcipem i rozmachem).

Z kolei Duncan lubił prowokować swoich czytelników, dźgać ich zaostrozonym patykiem, uwypuklać niepoznawalną ironię świata, a następnie, maszerując ku prawdzie, odkrywać nowe tajemnice, by każde tak zwane rozwiązanie wymagało postawienia setki nowych pytań. Czytelnik odkłada książkę Duncana wstrząśnięty i oderwany od tego, co zawsze uznawał za pewnik.

Ujmując rzecz w skrócie, po zredukowaniu do pojedynczego znaku interpunkcyjnego dzieła Sabon możemy uznać za kropkę (czasami stanowczy wykrzyknik!), dzieła Duncana zaś za znak zapytania. Zamknięte drzwi. Otwarte drzwi. Wszystko zasłonięte, wszystko ujawnione. (A może po prostu pisałem złe książki). Przeciętny czytelnik lubi, gdy pozwala mu się wrócić do domu po długiej podróży, a nie porzuca go na pustkowiu w obliczu nadciągającego zmierzchu, podczas gdy zadrukowane strony stanowią pustynię, która nie daje pocieszenia. (Janice, piszesz o moich książkach tak, jakby były smutnymi bryłami węgla ukrytymi na dnie wyschniętej studni! Nie wierzę, że nie dostrzegałaś w nich humoru i entuzjazmu. Zastąp „pustynię” „tajemniczą obcą krainą”, z całym bagażem niebezpieczeństw i emocji).

<3> ...w ciągu wybitnej dwudziestodwuletniej kariery. Niestety, ta liczba również cały czas rośnie, chociaż jest bardzo niedokładna. Siedem lat po tym jak Sabon uzyskała dyplom Akademii Blythe'a w jej notce biograficznej widniała liczba „dziesięć”. Dziesięć lat po zakończeniu edukacji zastąpiło ją „piętnaście”. Mimo to jestem pewna, że Bonmot zawsze cieszył się, że o Akademii wspomina się w kontekście wolnym od jakichkolwiek skandali.

<4> „Wpływ świńskich karteli na historię Ambergris”. Najbardziej niezamierzenie zabawna książka, jaką kiedykolwiek czytałam. Ten potworek powstał w oparciu o obserwację, którą Duncan poczynił w artykule zamieszczonym na łamach „Biuletynu historii naturalnej” Towarzystwa Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta, a mianowicie, że Trillian Wielki Bankier utracił władzę na skutek walki, którą toczył o względy pewnej kobiety z przywódcą potężnego świńskiego kartelu (nie możesz być pewna, że to moja uwaga zainspirowała Mary do napisania książki - ta anegdota jest powszechnie znana), co popchnęło Sabon do poświęcenia stusiedemdziesięciopięciostronicowej książki na daremne przekonywanie czytelników, że świńskie kartele dzierżyły olbrzymią władzę w całej historii Ambergris - a wszystkie zdania, które tam wyczytałam, są równie długie i męczące jak niniejsze. (Przyznaję, że ta publikacja mnie oszołomiła, podobnie jak jej popularność. Ale każdy z nas ma prawo do jednej złej książki. Przynajmniej jestem pewien, że świńskie kartele poczuły się docenione).

<5> „*Rola szarych kapeluszy we współczesnej literaturze: Dylemat Zakochanego Dradina*”... Według mnie jedynym dylematem jest to, jak można zaszczycać mianem „literatury” taki zbiór lęków, głupot i przesądów. Przynajmniej Sabon nie wspominała tutaj o moim bracie.

<6> „*Cinsorium: Przemyślenie mitu szarych kapeluszy*”... Na razie nie czuję się na siłach, by omówić tę książkę. To by wymagało długotrwałych objaśnień, co chwilowo przekracza moje możliwości. Poza tym właśnie ten tom dał początek natywizmowi, a to zbyt potworna myśl, by się nią w tej chwili zajmować.

<7> *W wieku czterdziestu siedmiu lat...* Na szczęście ta liczba także rośnie. Pewnego dnia przejdzie do Nieskończoności, podobnie jak sama Sabon. (Jak każdy z nas. Nie potrzebujemy do tego ani łutu szczęścia, ani planu. A wtedy to wszystko przestanie mieć dla kogokolwiek znaczenie; co nie oznacza, że teraz obchodzi wiele osób).

<8> *Sabon pozostaje...* Obecnie jej książki zawierają pożarte i wyplute resztki teorii Duncana. (To się często zdarza, chociaż wydaje mi się, że zazwyczaj okrada się martwych lub bardzo sędziwych pisarzy. Nie zaprzeczę, że trochę mnie to zabolalo).

<9> *...rzucając światło zarówno na historię, jak i na swoich kolegów po fachu.* Ten najświeższy dodatek do kanonu Sabon przynajmniej uznaje fakt, że większość jej książek zeruje na padlinach innych historyków.

<10> Wzmianka o rodzicach Mary przypomina mi, że trochę skłamałam dla potrzeb dramaturgii. Widziałam Mary, jeszcze zanim odwiedziła mnie w galerii. Po prostu wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że to ona.

Widziałam ją razem z rodzicami w Akademii Blythe'a, otoczoną kontrolowanym chaosem, który zawsze towarzyszy rozpoczęciu wiosennego semestru. Nagły rozprysk zieleni z drzew, stukot butów na chodnikach i schodach, gdy studenci - nerwowi i podekscytowani - szukają swoich sal. Gdy tamtędy przechodziłam, udając się w odwiedzinę do Duncana, jedna z rodzin przyciągnęła mój wzrok swoim bezruchem. Jej członkowie stali na środku dziedzińca, a zarazem w samym środku dziwnego spokoju. Dziewczynka w

lekkim rozkroku, ze wzrokiem wbitym w ziemię i zamyśloną miną, niedbale trzymająca podręczniki jedną ręką. Rodzice jak wieże po jej obu stronach, a w przestrzeni pomiędzy nimi córka należąca do innego świata.

Ich pozbawione zmarszczek, pospolite twarze nie wyrażały wielkiej radości ani smutku, a przynajmniej ja niczego takiego w nich nie dostrzegałam, choć jednocześnie wyczuwałam napięcie; obecność jakiejś przytłaczającej emocji. Czułam się niemal jak świadek jakiegoś rytuału bądź ceremonii. Czy dziewczynka pochyliła głowę do modlitwy? Odchodząc, obejrzałam się na nich i wydawało mi się, że oddalają się ode mnie wolno niczym lodowiec.

To musiał być pierwszy rok Mary w Akademii i wydaje mi się ciekawe, że już wtedy ją zauważyłam, jeszcze zanim Duncan mi ją wskazał, zanim dowiedziałam się, kim jest.

Kiedy czytam notkę biograficzną Sabon w rozmaitych książkach i docieram do zdania zaczynającego się od słów „Jej wczesna fascynacja naukami przyrodniczymi...”, to, co staje mi wtedy przed oczami, nie jest związane z jej wizytą w galerii, ale z tym pierwszym obrazem: dwojgiem rodziców stojących na straży po obu stronach córki, która przekrzywia głowę. Coś w jej nieufnej postawie nadal mnie niepokoi, chociaż w toku moich badań stali się kimś więcej niż milczącymi posągami.

Prawdę mówiąc, moje badania w pewnym stopniu osłabiły ich wpływ na moją wyobraźnię, fakty bowiem nie okazały się szczególnie imponujące. (A dla mnie owszem!).

Biorąc pod uwagę, że najważniejszym wkładem Davida Sabona w nauki przyrodnicze była pomoc w zredagowaniu poprawionego wydania klasycznej „Historii zwierząt” Xavera Daffeda, być może najlepiej byłoby po prostu napomknąć o jego istnieniu i przejść dalej. Jednakże jego osobliwa (niebezpieczna!) opinia o szarych kapeluszach, którą dzielił się w formie przemówień podczas wielu spotkań Ambergriańskiego Towarzystwa Historycznego (zadymione, zaprawione żółcią imprezy przeplatane pokasływaniem, pomrukami i niezrozumiałymi szeptami osiemdziesięcioletnich starców), powinna zostać gdzieś udokumentowana. Czy jest na to lepsze miejsce niż posłowie?

David Sabon głosił odmianę natywizmu (który nazywa się także „dobrym sposobem, by dać się zabić”) trochę odmienną od tej, którą później spopularyzowała Mary. Nie tylko wierzył, że szare kapelusze „nie są inteligentniejsze od krów, świń czy kur”, ale także uważał, że powinno się je traktować „tak samo jak traktujemy inne zwierzęta”. Jak czytamy w zapisie

jednego z jego słynnych przemówień: „Szare kapelusze powinny być wykorzystywane jako pomoc w pracach fizycznych, źródło rozrywki oraz mięsa”.

Chociaż później David Sabon utrzymywał, że słowa „oraz mięsa” pojawiły się w jego przemowie przez pomyłkę (przeniesione z wykładu na temat Króla Kałamarnic), bezlitosne ambergriańskie gazety nie miały oporów przed zamieszczeniem takich nagłówków, jak: DAVID SABON ZALECA PRZEKĄSKĘ Z SZAREGO KAPELUSZA PRZED KOLACJĄ czy: NOWY „ARCYKSIĄŻĘ MALIDU”, DAVID SABON, LUBI PRZEKĄSIĆ SZARY KAPELUSZ PRZED SNEM. Z pewnością Mary Sabon, jedyny owoc lędźwi szaleńca, od dzieciństwa była poddawana indoktrynacji ojca, co stworzyło podwaliny pod jej własne nieroztropne teorie. (Możliwe, ale zawsze wydawało mi się, że Mary wstydzi się działań ojca).

Podczas gdy wśród przodków Davida Sabona próżno szukać kogoś bardziej znaczącego niż fryzjer w Stockton czy mało ważny sędzia w Morrow, matka Mary, Rebecca Verden-Sabon, pochodziła ze szlachetniejszego rodu. Jej ojciec, Louis Verden, zaczynał jako jubiler, by później zostać ilustratorem licznych naukowych tekstów, chociaż jego najlepsze prace ukazywały się w *Płonących Liściach*, czasopiśmie twórców, w którym z czasem został kierownikiem artystycznym i dla którego czasami pisywałam, gdy akurat nie miałam zleceń od Sirina. Verden zilustrował także serię paranoicznych (niewystarczająco paranoicznych) festiwalowych broszur dla Hoegbottona i Synów, w tym między innymi „Wymianę”, „Bendera w skrzyni”, „Stajnie pesymistów”, „W pierwszych godzinach po śmierci” i „Nocny krok” (wszystkie we współpracy z lubiącym czarny humor niedocenianym pisarzem Nicolasem Sporlenderem, na którego kiedyś przypadkowo wpadłem - co ciekawe, pod ziemią).

Rebecca została uczennicą ojca i w końcu przejęła obowiązki redaktorskie w *Płonących Liściach*, choć dopiero po tym, jak moja galeria obróciła się w popiół i pył. Wcześniej specjalizowała się w ilustrowaniu reklam i tekstów naukowych. Pod pewnymi względami można uznać, że rysunki stworzone przez Rebeccę na potrzeby debiutanckiej książki córki, „Zaognienie wojen plemiennych Aanów”, przyniosły jej większą popularność niż cała wcześniejsza praca.

W czasie, gdy Duncan był wykładowcą Mary, spotykał się z Davidem i Rebeccą podczas semestralnych zebrań z rodzicami. Z pewną wesołością wyobrażam sobie, jak uroczyście rozmawia z rodzicami Mary w swoim gabinecie, uśmiecha się do nich uspokajająco, odprowadza ich do drzwi, by po chwili gorączkowo wyskoczyć przez okno i

pomknąć na schadzkę z ich córką. (Naprawdę uważałem, że ją chronię, a ona potrafi samodzielnie podejmować decyzje. W końcu była już dorosła. Wiedziała, czego chce).

Najwyraźniej ten osławiony naturalista cierpiał na osobliwą odmianę ślepoty: nie potrafił dostrzec tego, co miał przed oczami, jeśli to coś nie pełzało, latało, pływało bądź galopowało. Nawet jako wytrawny obserwator nie zdawał sobie sprawy z tego, co knują Duncan i Mary, dopóki nie powiedział mu o tym ktoś z zewnątrz.

- Dziękuję - mawiał do Duncana. - Dziękuję, że tak pan dba o naszą córkę.

I na swój sposób rzeczywiście o nią dbał, czyż nie?

10

Mary i Duncan, Duncan i Mary. Na szczęście w przypadku wszystkich utopii, zwłaszcza tych opartych na miłości, ktoś w końcu pojawia się i mówi: „Nie - to nie w porządku. Nie - to się musi skończyć”. Dlaczego? Ponieważ tak naprawdę Duncan zawsze docierał pod okno Mary Ścieżką Wyparcia, którą doskonale znam. Przyjrzyjmy się choćby mojej obecnej sytuacji. Zaczynają mi się kończyć pieniądze, ale właściciel tego przybytku jeszcze o tym nie wie. Sądzi, że po prostu nie miałam okazji wybrać się do banku, w końcu cały czas piszę. (Prawdziwe życie zakłóca relację z prawdziwego życia. Coś podobnego).

Poza tym stanowią pewnego rodzaju ciekawostkę - nieźle zarabia, pozwalając wstrętnym typkom zerkać na mnie zza rogu. „Oto Janice Shriek. Kiedyś była sławna”. W tej chwili jakiś sztywniak gapi się na mnie z rozdziawioną gębą zza błyszczącej drewnianej belki. Ignoruję go - nie może liczyć nawet na okruch mojej uwagi.

Jednakże lubię zapach piwa, whisky i dymu. Lubię te pełne życia chwile, gdy wszyscy gawędzą, weseli niczym banda mlaskających szarych kapeluszy trzymających pół tuzina odciętych głów, jak w „niegdysiejszych czasach”.

Duncan ponownie zaczął tu regularnie przychodzić, gdy poróżnił się z Bonmotem. Kiedy wszystko runęło, znów uznał Sporę Szarego Kapelusza za swój dom; znów został Zielonym Bogiem Spory. Wypito tutaj niejedno piwo. Czasami zastanawiam się, czy Duncan kiedykolwiek wracał tu w tamtych szczęśliwych-nieszczęśliwych czasach i wpatrywał się w róg pokoju, gdzie teraz widać tylko dziurę.

A dlaczego Duncan poróżnił się z Bonmotem? Czyżby z powodu miłości? Zapewne. Jeśli zajrzemy do dziennika Duncana, do wpisu, w którym relacjonuje Mary znamienne w skutki odkrycie przez Bonmota na Ścieżce Pamięci o Tobie, wkrótce się dowiemy. Atrament jeszcze nie wysechł w miejscu, w którym ze smutkiem pisał:

„Zauważony. Wykryty. Zaskoczony. Zatrzymany. Osaczony. Obsobaczony. Pojmany. Pochwycony. Oszołomiony. Bez nadziei na zrozumienie. Pojął, ogarnął myślą i rozszyfrował, bez nadziei na akceptację. Gdybym mógł zbudować z tych słów mur, by utrzymać go daleko od nas, zrobiłbym to, ale nic z tego. To już koniec. Już nie jestem wykładowcą. Ty już

nie jesteś moją studentką. W pewnym sensie zostaliśmy uwolnieni - od ukrywania się, skradania, kłamstw, smakowitego zakazanego zetknięcia ust”.

(No i proszę, próbuję to idealizować - odgradzać się słowami od cierpienia. Czasami czuję do siebie obrzydzenie).

„Było już długo po zmroku, gdy ruszyłem Ścieżką Pamięci o Tobie. Nie pamiętam niczego ze swojej wędrówki, poza zadrapaniami, których nabawiłem się, gdy przez nieuwagę wszedłem na krzew róży w ogrodzie, oraz zamrożonego układu gwiazd. Było zimno, więc z radością wspiałem się przez otwarte okno prosto w objęcia twoich gładkich białych rąk. Twoja skóra, jak zawsze, rozbudziła moje zmysły i zadrzałem pod wpływem mocy Twego spojrzenia, dotyku miękkiego miejsca u podstawy szyi, zapachu mydła, cudownych zagłębień po wewnętrznej stronie Twoich ud.

A potem, odurzony dotykiem i zapachem, Twoim smakiem na moich dłoniach i ustach, szczęśliwy wyskoczyłem z powrotem na nocny ziąb, pewny, że zobaczę Cię następnego wieczoru; nawet nagle ukłucia w lewym ramieniu i prawej stopie, które przepowiadały ból powodowany przez spory, dodatkowo ożywiały mój nastrój. Gwiazdy falowały i wirowały, a solidne, zimne budynki jakby się kołysały pod wpływem szczęścia, które we mnie wzbudziłaś.

Ale, moja ukochana, żadne szczęście nie może się obyć bez próby. Żadna radość nie trwa niezmieniona, nieprzeistoczona. Nie oznacza to, że szczęście musi się skończyć, ono po prostu przyjmuje nową postać, nowy kształt.

To się stało obok wierzb, gdzie ujrzałem Cię po raz pierwszy, gdzie przelotnie mignęły mi Twoje rude włosy, jak ogień przepalający drzewa. Właśnie obok tych drzew, przy ścieżce, którą szedłem jako szczęśliwy człowiek, ukazał się moim oczom kamienny stół, przy którym jadłem lunch. Stał dokładnie pomiędzy wierzbami i przypominał czarną jaskinię, a nie kamień; zaś ciemnozielone liście okolicznych krzewów lśniły odbitym światłem. I przy tym stole, moja ukochana, ktoś siedział, a ja, mimo że nie widziałem go wyraźnie, wiedziałem, kto to jest, i straciłem cały entuzjazm. Domyślałem się, że szczęście zaraz się ode mnie odwróci.

Bonmot siedział przy stole, ubrany w swój najbardziej oficjalny strój, jak przystało na truffidiańskiego kapłana w dniu sakramentu w katedrze. Połyskująca szata wyszywana złotą nicią lśniła pomimo ciemności.

Spojrzałem w ten mrok, ale nie dostrzegłem jego oczu.

- Bonmocie - odezwałem się. - To ty, Bonmocie? - Chociaż już wiedziałem, że to on.

Nic nie odpowiedział, tylko gestem polecił mi usiąść przy stole. Nie wahałem się ani chwili, Mary - chętnie usiadłem obok niego. Wszelkie wymówki dotyczące zimna lub późnej pory zostałyby zmiażdżone pod ciężarem kamienia i jego wzroku. Tak więc usiadłem, rzuciłem żartobliwy komentarz, zwróciłem uwagę na panujący ziąb, po czym spytałem:

- Może więc skusimy się na nocną przekąskę zamiast lunchu?

Bonmot nie odezwał się ani słowem. Wpatrywał się we mnie z beznamiętnym wyrazem twarzy, jego laska stała oparta o kamienną ławę, medalion zwisał z szyi na srebrnym łańcuchu. Zacisnąłem palce na stole tak mocno, że kamień otarł mi skórę.

W końcu się odezwał, a każda sylaba rozbrzmiewała nieznośnie wyraźnie w zimnym nocnym powietrzu. Oto co powiedział, moja ukochana. Nie potrafię tego zapomnieć. Nie zmrużyłem dziś w nocy oka z powodu tych słów. Powiedział:

- To nic nie da, Duncanie. Ja wiem. Kiedyś także miałem tajemnicę, która zmieniała każdy mój oddech w kłamstwo, więc nie pomoże ci opowiadanie o innych sprawach. Ponieważ ja wiem. Masz romans ze swoją studentką, Mary Sabon.

Cisza trwała przez pełne dziesięć sekund, po czym zacząłem mówić. Nie mogłem przestać. Każde słowo było zaprzeczeniem tego, co powiedział. Każde słowo tak bardzo oddalało Cię ode mnie, że czułem się chory - a jednak to robiłem, ponieważ uważałem, że to jedyny sposób, by nas ocalić. Paplałem więc dalej - o czym Bonmot mówi? Jak śmie? Czyżby mnie nie znał? Po prostu wyszedłem na późny spacer. Czy nie wie, że pomagam trzymać chłopców z dala od studentek? Czy nie zdaje sobie sprawy, że jestem jego współpracownikiem, profesjonalistą, osobą, która nigdy nie zrobiłaby tego, co mi zarzuca? Po tylu rozmowach w ogrodzie podczas lunchu - tylu cudownych rozmowach - jak może w ogóle brać pod uwagę... przecież to skandal...

przecież jestem wzorowym wykładowcą... przecież jestem publikowanym historykiem... jestem... jestem... aż nagle zrozumiałem, że on wcale nie słucha tego, co mówię, a smutek przekształcił jego oblicze z granitu w skórę, ciało i kość. Wtedy umilkłem. Odwróciłem wzrok. Cały dygotałem. Już przewidywałem, co Bonmot mi odbierze, i myślałem, że to oznacza koniec. Naprawdę. Koniec. Powiedział:

- Nie będzie już więcej wspólnych posiłków pod wierzbami. Już nie jesteś wykładowcą w Akademii. Masz natychmiast zabrać swoje rzeczy i zniknąć przed świtem. Co do Mary, to skończy kolejne dwa semestry i uzyska dyplom, ale jeśli jeszcze raz się tutaj pojawi, wydalimy ją w bardzo publiczny sposób. Mam już dosyć skandali, Duncanie. Nie pozwolę, by przyjaźń lub coś, co ją przypomina, zniweczyło moją dobrą pracę na tej uczelni. Dobranoc, Duncanie.

Nawet nie zauważyłem, kiedy odszedł, ponieważ myślałem o tym, że Cię straciłem. Myślałem, że te słowa oznaczają nie tylko koniec mojej kariery wykładowcy, ale nasz koniec. Ale teraz, gdy Ci to wszystko opowiadam, rozumiem, że to nie koniec - jedynie zapowiedź zmiany. Zmiany na lepsze. Jesteśmy zdesperowani i zakochani, co może być wspaniałe. To oznacza niecierpliwością wszystkie nasze czyny i słowa. Oznacza, że nie lekceważymy swoich ciał i serc. Oznacza, że nasza miłość jest gwałtowna i pozbawiona sztuczek.

Ale to nie jedyny rodzaj miłości, jaki może nas połączyć - nie jedyny rodzaj namiętności. Choć jest w nas płomień ognisty jak Twoje włosy, to zupełnie nowy rodzaj emocji towarzyszy wolności publicznego okazywania sobie uwielbienia, już bez strachu. Istnieje siła, która płynie z dzielenia życia nie tylko podczas nocnych schadzek lub za pośrednictwem takich rozpaczliwych listów. I właśnie dlatego, mimo że dziś w nocy straciłem wszystko, o dziwo wciąż mam nadzieję, Mary. Mary. Twoje imię wciąż jest dla mnie objawieniem, ciało zawsze przypomina mi o naszym pierwszym razie, a dotyk sprawia, że odbiera mi siły cudowna myśl: Jestem z Mary Sabon. Kocham Mary Sabon.

Piszę ten list przy świetle latarni w swoim gabinecie. Gdy świt zaczyna malować miasto na szaro, niemal widzę stąd Twoje okno. Powietrze jest słodkie i chłodne. Mam dwie skrzynki pełne książek i innych osobistych przedmiotów.

Za kilka minut opuszczę Akademię, być może na zawsze. Pozostawię po sobie tylko dwie rzeczy: w swoim biurku - dla Ciebie, kiedy tylko będziesz chciała go wziąć - egzemplarz »Rozmyślań o wielu twarzach Ambergris« Cadimona Signala, które tak bardzo chciałaś przeczytać - miały być prezentem urodzinowym dla Ciebie - oraz ten list, bezpieczny w naszej ulubionej kryjówce. Proszę Cię, jeśli doczytałaś do tego miejsca, nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Proszę, nie opuszczaj mnie.

Twój ukochany,

Duncan”.

„Proszę, nie opuszczaj mnie”, zapisuje w swoim dzienniku, niezdarnie przekształcając notkę w list, który mógłby napisać dziewiętnastolatek, po czym wyrwa go, podpisuje i zostawia dla niej - tylko po to, by otrzymać go z powrotem cztery lata później i ponownie połączyć z pozostałymi kartkami. Nie wyrwał i nie wysłał do niej sąsiednich kartek. Nie wysłał jej strony, która następuje po tym łzawym, ale triumfalnym pożegnaniu - tej, która zawiera fragment: „Straciłem jednego z najlepszych przyjaciół. Straciłem przyjaciela przez własną głupotę. Kto mnie teraz zrozumie? Z kim będę mógł porozmawiać?”.

„Kto mnie teraz zrozumie?”. Oto sedno tego wszystkiego, co zaczęło dręczyć Duncana. Opowiadał Bonmotowi o tak wielu sprawach - czasami w skrócie, czasami mało konkretnie, ale i tak wystarczająco szczegółowo, by Bonmot mógł odpowiadać, wykorzystując pełnię swej edukacji i intelektu. Ja nigdy nie byłam historyczką ani kapłanką, artystką ani obiektem artystycznych działań. Mary? Zbyt młoda, na jakimś poziomie musiał sobie z tego zdawać sprawę. Odpowiednia pod względem fizycznym, ale nie nadawała się do rozmowy o takich tajemnicach. (To nieprawda, nawet po Tobie nie spodziewałem się tak niesprawiedliwego, krytycznego i niegodnego zachowania. Nie rozmawiałem z nią o podziemiach, szarych kapeluszach i mojej chorobie, by ją chronić. A także, owszem, ponieważ była młoda, ale nie dlatego, że sądziłem, że nie zrozumie - po prostu bałem się ją wystraszyć. Nie chciałem, by wzięła mnie za świra, fałszywego proroka, szaleńca).

Jednakże Duncan nie wyrwał pierwszej wersji drugiej strony listu, która jest niemal identyczna z drugą wersją, nie licząc przemowy, którą przypisuje Bonmotowi:

„Nie będzie już więcej wspólnych posiłków pod wierzbami. Już nie jesteś wykładowcą w Akademii. Masz natychmiast zabrać swoje rzeczy i zniknąć przed świtem. Co do Mary, to ona jest tylko dzieckiem. Jest twoją

ofiara na równi z Akademią. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, jak ją to może skrzywdzić? Nie chodzi mi o to, że jesteś wykładowcą, ale o ciebie, Duncanie, konkretnie o ciebie. Jak wieloma obsesjami możesz się kierować w życiu? Ilu panom możesz służyć? I czy to przetrwasz?”.

Czy ukrył ten fragment, by uchronić Mary przed zranieniem, obronić Bonmota przed jej niechęcią? A może po to, by zaprezentować się w lepszym świetle? (Teraz to już nie ma większego znaczenia, prawda? Można by pomyśleć, że bardziej Ci zależy na bronieniu Mary niż na jej zniszczeniu. Zdecyduj, jaki cel Ci przyświeca).

Myślałam, że zapisanie tego wszystkiego pomoże mi ułożyć poszczególne wydarzenia we właściwej kolejności i umieścić je w odpowiednim kontekście. Jednak chronologia staje się coraz bardziej niejasna. Stoję na dole schodów na przyjęciu Martina Lake'a, a szkarłatny odcisk mojej dłoni nadal rozgrzewa twarz Mary, na której lekceważące słowa właśnie zamierzam odpowiedzieć. Co odpowiedziałam? Nie jestem pewna, czy ma to jeszcze jakieś znaczenie. Im bardziej się skupiam, tym szybciej rozmywa się ostrość widzenia, której pragnę i na którą zasługuję, tak jakby wszystko wydarzyło się jednocześnie albo w odwrotnej kolejności i jakbyśmy dopiero zbliżali się do początku.

Czy istnieje prawdziwy powód, poza pechem i złym wyczuciem chwili, dla którego Mary i Duncan nie mogli zostać razem? Czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego nie mogłam zejść po schodach do Mary i Duncana, a naszyjnik/pętla ciał nie mógł się rozpaść jeszcze zanim powstał, zmieniając się w zbiór uśmiechniętych, pełnych zachwyty twarzy? Ślad mojej dłoni na twarzy Mary mógłby się przekształcić w czuły dotyk szwagierki. Mogłoby mnie teraz nie być w tym miejscu, w którym ciemność sufitu łagodzą tylko warstwy fioletowych grzybów, rozrastających się w szalonym tempie. (W tym mieście fioletowe grzyby nie mają dobrych zamiarów, Janice. Musiałeś to wiedzieć. To gatunek wyhodowany specjalnie do szpiegowania, źródło miriad poszatkowanych raportów gromadzonych w otchłaniach podziemnych tuneli).

Jednakże słowa nie mogą wpływać na przeszłość. Bonmot wyrzucił Duncana. Dla mojego brata i Mary był to początek końca (ale tylko w jednym sensie).

Pamiętam, że Bonmot powiedział mi o tym podczas jednego ze spotkań w Katedrze Truffidiańskiej. Wtedy już nie uprawiałam szalonego seksu, więc, jak pewnie zgadliście, zwróciłam się ku religii. To również nie trwało długo, ponieważ miało niewiele wspólnego z wiarą, ale przynajmniej zapewniało mi pretekst do spędzania czasu z Bonmotem. Staliśmy w

tym samym miejscu, w którym później umarł, pomiędzy ławkami znajdującymi się najbliżej drzwi.

- Janice - odezwał się. - Musiałem coś zrobić. Mam nadzieję, że mnie za to nie znienawidzisz.

- Nie sądzę, bym potrafiła cię nienawidzić, Bonmocie.

- Kto wie? Musiałem zwolnić Duncana. Z powodu Mary. Chyba już wiesz, co mam na myśli?

Przez chwilę panowała cisza. Byłam zaszokowana. Duncan nie miał okazji, by mi powiedzieć. Nie widziałam go od kilku dni.

- Naprawdę musiałeś? - spytałam. Wydaje mi się, że początkowo równie bardzo jak o Duncana martwiłam się tym, jak to wpłynie na moją relację z Bonmotem.

- Tak. Musiałem.

Pochylił głowę i pogrążyliśmy się w modlitwie.

Jak Mary zareagowała na te wieści? Długo - dłużej niż się spodziewałam - trwała u boku Duncana. Tydzień później Duncan oznajmił mi, głosem, w którym pobrzmiwały echa namiętności, że Mary przemyciła dla niego list za pośrednictwem niczego niepodejrzewających rodziców. (Bonmot pozwolił, by Mary sama wyznała prawdę rodzicom, czego nigdy nie uczyniła). W tym liście błagała Duncana, by na nią zaczekał.

Albo oczarowało ją romantyczne gładzenie, albo uznała wątek rozdzielonych kochanków, zmuszonych do powstrzymania swych pragnień, za tragicznie romantyczny.

- Jeszcze rok i będziemy mogli być razem - zapewnił mnie Duncan. - Znajdziemy mieszkanie. Ustatkujemy się.

- Będziecie mieli dzieci? - dodałam. - Znajdziecie porządną pracę? Przestaniecie włóczyć się pod ziemią?

Gorzki uśmiech wykrzywił mu twarz, ale Duncan nie odpowiedział.

(Może Tobie wydawał się gorzki, ale przede wszystkim byłem przerażony Twoim brakiem wiary. Wtedy naprawdę sądziłem, że Mary i mnie łączą takie same przekonania dotyczące podziemi. W snach prowadziłem ją tunelami, jakbym znów miał piętnaście lat, a jej żądza przygód była równie silna jak moja).

Mary mogła błagać, lecz Bonmot już dawno stał się niewrażliwy na błagania; stary kapłan nigdy nie przebaczył mojemu bratu. Jego przełożeni w truffidiańskiej hierarchii wykorzystali to zdarzenie, by jeszcze bardziej go upokorzyć w oczach Kościoła. Także Akademia jako wspólnota wykładowców nigdy mu nie wybaczyła. Chociaż Bonmot nie

próbował rozgłaszać tych wieści, a jedynie poinformował o odejściu Duncana, inni nauczyciele i tak się dowiedzieli. Jak mogło być inaczej? Ich brak przebaczenia przyjmował różne formy, z których najgorsze wypchnęły mojego brata poza obręb jego wybranego pola badań. (Bardziej się martwiłem, w jaki sposób wydobędę od nich dane, które gromadzili nieświadomie, pracując nad moimi licznymi projektami). Wielu (wcale nie tak wielu; wtedy uważałem, że z pewnością nie tylu, by pokrzyżować moje dalsze zawodowe plany) z jego byłych współpracowników pisywało do czasopism historycznych, redagowało je bądź publikowało książki. Przy takich strażnikach, obdarzonych długą pamięcią, stało się mało prawdopodobne, by teorie Duncana kiedykolwiek ukazały się drukiem w szanowanych wydawnictwach. (Szanowanych? Raczej haniebnych. Każdego roku setki stron druku poświęcane ukrywaniu bądź omijaniu prawdy. To oni cały czas znajdowali się na obrzeżach, tylko o tym nie wiedzieli). W ten sposób wykluczenie z Akademii Blythe'a jeszcze bardziej odizolowało Duncana od wszystkich poza Mary. (Mary i Tobą, co z pewnością nie było zgodne z moją wizją szczęśliwej rodziny). W swoim dzienniku Duncan osiągał nowe poziomy małostkowości (wtedy czułem autentyczny smutek, ale z perspektywy czasu nawet prawdziwa melancholia musi zasługiwać na pogardę), w przypływie urażonej dumy zapelniając kolejne strony nazwiskami tych, którzy go opuścili.

„Atriarch, Elizabeth: Dyrektorka do spraw studenckich, która uczyniła prześmiewczy rytuał z naszego tańca podczas szkolnych uroczystości. Obok Bonmota to ona najbardziej pomagała mi w podziemnych badaniach. Niegdyś towarzyszyła słynnemu Daffedowi podczas jednej z jego dziwacznych wypraw po nowe okazy do południowych dżungli, gdzie pokochała brnięcie po kolana w szlamie i błocie przez bujną roślinność. Regularnie karmiłem ją niegroźnymi, lecz egzotycznymi opowieściami o podziemiach, w zamian za co ona przymykała oko, gdy moje zajęcia stawały się coraz bardziej ezoteryczne. Teraz jestem dla niej jak cień”. (Dla tej kobiety każdy był cieniem. Nie powinienem był brać tego do siebie).

„Balfours, Simon: Jeden ze strażników, których unikałem, zmierzając na schadzki z Mary; lubił ze mną żartować o Hoegbottonach. Gdy później spotkałem go na ulicy, wywarczał moje imię jak przekleństwo, po czym dorzucił kilka prawdziwych obelg”. (Już nie żyje, zmarł na atak serca podczas służby. Nie mogę go winić za tamtą reakcję - zrobiłem z niego głupca).

„Bittern, Ralstaff: Ogrodnik! Nawet ogrodnik nie chce ze mną rozmawiać ani na mnie patrzeć. Prawdę mówiąc, nigdy za mną nie przepadał, ale myślałem, że przynajmniej sprawiały mu przyjemność nasze próby wzajemnego przechytrzenia się, gdy usiłował odkryć skalę moich nocnych przechadzek. Wygląda na to, że się myliłem”. (Dziś pracuje jako ogrodnik na terenie wokół Katedry Truffidiańskiej, a jego postawa się nie zmieniła. Pluje na mnie za każdym razem, gdy mnie widzi).

„Binder, David: Nadęty głupiec, kierownik katedry Badań nad Morrow, który zwykł paplać bez końca za każdym razem, gdy próbowałem udać się na kolejne zajęcia. Teraz milczy jak grób i jest dla mnie równie bezużyteczny jak kiedyś dla moich badań”. (Moja ocena nie uległa zmianie, zwłaszcza że on także już nie żyje, rozjechany przez pojazd mechaniczny).

„Cinnote, Fiona: Badania nad Rdzennymi Plemionami. Na swój sposób piękna. Śmiała się z moich żartów. Ja śmiałem się z jej. W głębi jej oczu dostrzegałem zmęczenie światem, które sugerowało ciekawą przeszłość. Ale miała romans z Binderem, na miłość Truffa. Jak śmie mnie oceniać!”. (Lecz tak naprawdę ja również nie mam prawa jej oceniać. Chciałem zaprosić ją na lunch, ale opuściła Akademię i wyruszyła na wyprawę do południowych dżungli, gdzie zniknęła bez wieści).

...i tak dalej, i tak dalej...

Jeśli chodzi o Akademię Blythe'a, przez dobre kilka lat Duncan potrafił myśleć tylko o tym, jak go skrzywdzono. Nie dostrzegał, że sam wyrządził wiele szkód Akademii i innym wykładowcom. Wtedy nie potrafił uznać, że dopuścił się występku. (Może nie na powierzchni, Janice. Od tamtej pory odkupiłem swoje winy. Sądzę nawet, że zrobiłem to w trójnasób. Ale chyba rzeczywiście „nikt się nie wywinie”, jak lubił mawiać Lacond, cytując Tonsure'a).

Co gorsza, Duncan nigdy nie wspominał mi o tych ludziach albo nawet ich nie znał, gdy pracował w Akademii. Wcześniej nigdy go nie obchodzili, ale gdy uznał, że wyrządzili mu krzywdę, ich rysy nabrały ostrości. (Nie potrafię tego skomentować ani powiedzieć nic na swoją obronę).

Tak więc Duncan zniknął z Akademii Blythe'a, przestał przemierzać jej korytarze, ogrody i sale wykładowe. Paradoksalnie, nagłe usunięcie go sprawiło, że Mary

niespodziewanie rozkwitła. Jak mi wyjaśnił Bonmot, uwolniona spod ciągłej „kurateli” Duncana i równie pożądlivej presji jego idei, stała się jedną z najlepszych studentek. Dzięki Bonmotowi, który ją prowadził, ale jej nie przytłaczał, zaczęła rozwijać własne teorie, ziarna, które ostatecznie miały doprowadzić do niezgody i zdrady. (Uważasz jej teorie za pozbawione wartości, Janice, a jednocześnie twierdzisz, że tłamsiłem jej intelektualną wolność jak jakiś potworny... potwór. Nie da się tego pogodzić. Nie przeczę, że popełniłem kilka błędów, co zapewne wkrótce wykażesz, ale nie tylko po mojej stronie leży wina. Nie jestem pewien, czy leży ona po czyjejkolwiek stronie).

Mogę tylko zgadywać, w jaki sposób odcięcie od Akademii wpłynęło na badania Duncana nad szarymi kapeluszami. Sądzę, że zabolalo go do żywego, oczywiście jeśli był w stanie zarejestrować ten ból ponad intensywnym pożądaniem, które czuł wobec Mary. (Znów się mylisz! Mylisz się! Ustanawiasz nowe rekordy bezczelności. Do czasu wydalenia z uczelni niemal zakończyłem eksperymenty. Niewiele więcej mogłem zlecić studentom, nie wzbudzając podejrzeń. Moje zajęcia stały się parodią wykładów, parodią studiów. Studenci też to wyczuwali. To, że wyniki okazały się niejednoznaczne, nie oznacza, że doświadczenia były niekompletne. Po prostu przenieśliem laboratorium i badania w inne miejsce - mianowicie do swojego ciała. To była niezła szkoła! Gdy zacząłem żyć ze swoją przypadłością, a potem odkrywać sposoby jej kontrolowania, traktowałem ją coraz mniej jak chorobę, a coraz bardziej jak przemianę).

Tydzień po tym, jak Duncan powiedział mi o wydaleniu z Akademii Blythe'a, późne popołudnie przyniosło nie tylko deszcz i szmer modlitw dobiegający z Dzielnicy Religijnej, ale także pukanie do drzwi. Duncan stał na werandzie w strugach deszczu, z włosami przyklejonymi do czaszki i kałużami wokół obutych stóp. Szary jak grzybianin i pachnący stęchlizną. O oczach jak fosforyzujące zielone koła ze smolistoczarnymi środkami. Oszołomiona, przez chwilę widziałam go takim, jakim później miała go ujrzeć Mary - jakby nie należał do tego świata, choć nigdy go nie opuścił. Na wpół niewidzialne spory oświetlone przez lampę na werandzie tworzyły mglistą aureolę wokół jego głowy. Włosy zaczęły mu się przerzedzać i z bólem zauważyłam pierwsze oznaki siwizny na jego skroniach. A jednak ponownie uciekał z ruin pozostałych po katastrofie, którą sam na siebie sprowadził. Jakaś cząstka mnie nie potrafiła mu współczuć.

- To ci zaczyna wchodzić w nawyk - rzekłam.

- Czy możesz mi znaleźć pracę? - spytał z szerokim uśmiechem. - Nie mam grosza przy duszy. - Tak po prostu. Z błyskiem kruchej pewności siebie obecnej u ludzi, których nie podtrzymuje nic bardziej konkretnego niż uczucie (i grzyby).

- Ciebie też miło widzieć - odparłam, wchodząc z powrotem do mieszkania, by znaleźć dla niego jakiś ręcznik, i czując ulgę, że tym razem nie będzie mnie prosił o zdrapanie z niego grzybów.

- Oczywiście, że mogę ci znaleźć pracę - powiedziałam, rzucając mu ręcznik w twarz. - Jest wiele ofert dla paranoicznych, skompromitowanych, alternatywnych historyków z chorobą grzybową, których niedawno zwolniono za sypianie ze studentkami.

Duncan się skrzywił.

- Studentką. Liczba pojedyncza.

- Pojedyncza. Mnoga. Czy to ma jakieś znaczenie? - Odwróciłam się od niego. - To jak będzie? Ja mam iść czy ty chcesz? - spytałam. - Nie mamy wyboru. Moja galeria nie utrzyma nas obojga, skoro nie jest w stanie utrzymać nawet mnie.

- Iść? - Przez chwilę patrzył na mnie pytającym wzrokiem, po czym zrozumiał. - Lepiej ty idź. Może teraz odnosi się do mnie z dezaprobatą?

- Zakładasz, że wie.

- On wie wszystko. A tego, czego nie wie, szybko się dowiaduje. Ty idź. A więc poszłam. I to był początek czegoś zupełnie innego.

Gabinet Sirina zajmował część pierwszego piętra głównej siedziby spółki Hoegbotton i Synowie przy Bulwarze Albumuth. W ponurym gmachu z czerwonej cegły stale unosiła się woń trocin do pakowania i egzotycznych przypraw. Budynek okrył się złą sławą, gdy w kulminacyjnych scenach pewnej powieści wykorzystano biura jako wsparcie dla słabnącej fabuły. Przetrwiał jednak nie tylko ten malapropizm, ale też całe wieki innych wyzwania - od Szarych Plemion, przez Festiwale o tragicznym przebiegu, po pożary wzniecane przez rozwścieczonych mnichów z Dzielnicy Religijnej protestujących przeciwko podejrzanym praktykom biznesowym. (Nie mówiąc o nieustannym szturmie, który przypuszczała na redaktorskie siedziby para coraz bardziej bezzębnych i drażniących Shrieków). „Hoegbottonom nie można ufać tylko w dwóch przypadkach: kiedy coś im sprzedajesz lub coś od nich kupujesz”, jak często mawiano w dokach.

Gabinet Sirina - azyl dla kultury w samym środku bezdusznego narzędzia chciwości, które zajmowało główną część budynku - działał sezonowo. Zimą i wczesną wiosną palisandrowe biurko Sirina tonęło w umowach, maszynopisach, propozycjach, raportach

finansowych i pokrewnych książkach, a wszystko to w ramach przygotowań do publikacji. (Jeszcze nie wtedy, ale wkrótce - może nawet w ciągu trzech lub czterech lat - znalazł się tam maszynopis Mary. Na pewnym etapie rzeczywiście była utalentowana. A także płodna - w pozytywnym sensie - gdy już się rozkręciła). Wraz z upływem roku biurko pozbywało się znacznej części rupieci, aż wreszcie jesienią pozostawały na nim tylko gotowe książki oraz czasopisma i gazety pełne recenzji, zarówno promiennych, jak i mrocznych. Następnie zima ponownie zakrywała piękny palisandrowy blat ciężarem rzeczy obiecanych i obiecujących. W gabinecie Sirina unosił się najcudowniejszy zapach pergaminu, atramentu i świeżo wydrukowanych książek.

Przypominam sobie to wszystko podczas pisania i nagle staje mi przed oczami nie tylko ta jedna wizyta w gabinecie Sirina, ale wiele, podczas różnych pór roku, przyjemna fasada wspomnień równie zmysłowych jak gorąca płatanina ciała w pokojach na tyłach domu gościnnego. Widzę Sirina starzejącego się nieustannie, ale z godnością, czego przejawy widać wyłącznie w jego włosach, które wycofują się i bieleją, podczas gdy reszta pozostaje niezmienną. Widzę regularne przyływy i odpływy papierów na jego biurku. Widzę nagle i niewytłumaczalne zniknięcia i powroty zastępów jego sekretarek. Rozmazane kolory i ruch za oknami. Niewzruszoność jego uśmiechu, biurka, kolekcji motyli. (Trudno otrząsnąć się z tych uczuć, prawda, Janice? Trudno, ponieważ wcale tego nie chcesz. Tak jak ja).

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech gabinetu Sirina, poza rosnącą stertą rupieci na jego biurku (a więc to była wczesna wiosna?) oraz utrzymującą się wonią cygar i wanilii, były szklane pojemniki w kształcie rur, które wykonywał dla niego dmuchacz szkła pochodzący z Morrow. Leżały obok siebie na stole za biurkiem, obok owalnego okna wychodzącego na Bulwar Albumuth. W każdym z pojemników wycięto malutkie otwory, a wewnątrz znajdowały się gąsienice, poczwarki oraz w pełni rozwinięte motyle. (Z pewnością niewiele łączyło je z przeszłością bądź teraźniejszością. Gdy wydobywały się lśniące ze swoich ciasnych domków, znały tylko chwilę obecną. Czasami im zazdrościłem).

Często widywałam, jak Sirin krząta się przy swoich obowiązkach, gdy sekretarka wpuszczała mnie do jego gabinetu, lecz tym razem stał i rozpaczał nad martwym motylem. Był opalony i wyglądał na wypoczętego, miał na sobie świeżo wyprasowany szary garnitur i bordowe buty, ale elegancki efekt rujnowała jaskrawa wielokolorowa mucha, która zawstydziłaby nawet klauna; była to jego jedyna wada, nie licząc oszukiwania ludzi. Od naszego ostatniego spotkania linia włosów Sirina się cofnęła jeszcze bardziej, odsłaniając wąską, inteligentną twarz.

Znałam go od lat, lecz tak naprawdę niewiele - jeśli cokolwiek - o nim wiedziałam.

Odwrócił się, gdy weszłam. (W jego głowie mieszkały motyle i ćmy, Janice, tak jak w mojej grzyby. To utrudniało mu słyszenie). Obdarzył mnie swoim słynnym spojrzeniem, którym potrafił dziurawić ściany i wydobywać prawdę nawet z najbardziej zatwardziałych truffidiańskich mnichów.

- Spójrz na to. - Jego oczy za złotymi oprawkami okularów lśniły, ale krył się w nich niepokój. - Mój ulubiony szafirowy kappan padł ofiarą wysłanników szarych kapeluszy. Może to znak. - Wyciągnął w moją stronę zwinięte truchło ukochanego motyla spoczywające na umazanych zarodnikami dłoniach, które należały do pianisty, a nie do wydawcy i pisarza. (Często uważałem, że jest o klasę lepszym pianistą niż redaktorem).

Spotkaliśmy się w połowie drogi pomiędzy drzwiami i szklanymi pojemnikami. Popatrzyłam na stworzenie leżące na jego dłoniach. Rzeczywiście - martwy motyl był pokryty skorupą szmaragdowozielonych grzybów. Rozłożone skrzydła wypuściły tysiąc czerwono zakończonych macek, które przypominały płataninę czułeków. Motyl wyglądał jak skomplikowana nakręcana zabawka pokryta klejnotami. Piękniej niż kiedykolwiek za życia - nie był motylem zduszonym przez grzyby, ale całkowicie nowym stworzeniem. Nawet faktura jego zewnętrznego szkieletu uległa zmianie, stając się bardziej miękka. Patrzyłam na niego z nagłym irracjonalnym lękiem. Ten proces zbytnio przypominał mi to, co zaczęło się dziać z moim bratem. (Nie jestem ani motylem, ani grzybem i sam kieruję swoim losem, ale doceniam Twoją troskę).

Głos Sirina przywrócił mnie do rzeczywistości.

- Wielka szkoda, Janice. Straszliwa strata. Tragedia o iście manzikerckiej skali. Nie powinienem był wyjeżdżać. - Niedawno wrócił z „wakacji” na Południowych Wyspach, zmuszony do wyjazdu, by uniknąć skutków swojego zaangażowania w Kampanię Obywatela Ryby, o której najlepiej jak najmniej wspominać. (Nawet taki starzejący się historyk jak ja, Janice, musi uznać to stwierdzenie za wyzywające: starsi członkowie klanu Hoegbottonów zasugerowali, by Sirin na jakiś czas zniknął, gdy za sprawą przecieku do gazet wyszło na jaw, że to on stał za Obywatелеm Rybą, próbą umieszczenia na niedawno zwolnionym stanowisku Przedsona śmierdzącego, martwego od pięciu dni słodkowodnego okonia).

- Nie miałeś wyboru - odparłam.

Lekceważące wzruszenie ramion.

- Mogliśmy wygrać wybory. Każdy byłby lepszy od Griswalda. Wytrzyma najwyżej kilka tygodni, a potem ściągną go ze stanowiska. Miejmy nadzieję, że tylko w przenośni. Szkoda.

- Tak. Masz rację. - Nie byłam jednak pewna, czy ma na myśli motyla, czy też coś bardziej nieuchwytnego i niebezpiecznego. Dystans pomiędzy nami powiększał się z każdą kolejną wypowiedzią.

Sirin odwrócił się w stronę biurka, wciąż trzymając w dłoniach motyla, i jakby przestraszył się kakofonii papierów, książek, długopisów, maszynopisów, gazet i umów, która go przywitała. Najbardziej rzucały się w oczy maszynopisy, tak bardzo poznaczone czerwonym długopisem, że wyglądały, jakby się wykrwawiały. (Zwykłem go nazywać Sirinem Inwazyjnym. Zawsze próbował odcisnąć swoje piętno na nieskazitelnym stylu biednych pisarzy. Zawsze drażnił ludzi swoim czerwonym długopisikiem. Kiedyś żartowałem, że nie mógłby być bardziej zjadliwy w swojej krytyce, gdyby używał do pisania własnej krwi).

- Siadaj, siadaj - rzekł, wskazując krzesło, na którym piętrzyły się książki. - Po prostu je zepchnij.

Posłuchałam go, uginając się pod ich ciężarem. Kiedy usiadłam, nie mogłam nie zauważyć poszarpanej kartki z jego pismem: „Czy pojawienie się rodziny Manzikertów w jakiś sposób wywołało zmianę w szarych kapeluszach? Czy przybycie M pozbawiło nas szansy na ich zrozumienie?”. (Kolejna rzecz, której nigdy nie zapomnę jeśli chodzi o Sirina: jego poszarpane notatki, emisariusze pisarskiego zniszczenia).

A więc Sirin także trzymał rękę na pulsie tajemnicy (albo po prostu była to notatka, w której kopiował bądź poprawiał jakąś książkę, którą zamierzał wydać). Czasami wydawało mi się, że gdyby Sirin i Duncan usiedli do poważnej rozmowy, wszystkie tajemnice zostałyby wyjaśnione, ujawnione, usunięte. (Nie, to nieprawda. Przychodzi mi do głowy znacznie mniej przyjemny scenariusz).

Sirin złożył swoje malutkie brzemię na biurku przede mną, po czym z założonymi rękami rozparł się w fotelu i wbił we mnie wzrok, a po jego twarzy przemknął dziwny uśmiech. Być może już rozmyślał o ucieczce albo był to ostatni bolesny uśmiech poświęcony szafirowemu kappanowi. Motyl wyglądał jeszcze piękniej w snopach światła padających przez okno Sirina, jak egzotyczny klejnot.

- Słyszałem plotki - odezwał się Sirin - że Duncan opuścił Akademię Blythe'a w dość niezwykłych okolicznościach. Czy to prawda?

- Odszedł, to prawda - odrzekłam. - Ale nie ma w tym niczego niezwykłego. Po prostu różnica zdań. Nic, co mogłoby mu przeszkodzić w znalezieniu nowej pracy.

- Janice. Czy Duncan koniecznie chce zaprzepaścić każdą karierę, w której czyni jakieś postępy? (Typowe dla tego drania).

Zazgrzytałam zębami.

- To było rozstanie w przyjacielskiej atmosferze.

- Słyszałem coś innego - odparł Sirin, po czym machnięciem dłoni zbył rodzący się we mnie protest. - Ale to nie ma większego znaczenia.

Mam mętlik w głowie. Nie pamiętam, czy odbyliśmy tę rozmowę w jego gabinecie, czy gdzie indziej, czy może chodzi o inną rozmowę. Gdy próbuję wyobrazić sobie jego gabinet podczas naszego spotkania, widzę książki, które przynależą do innych okresów, innych spotkań. Jestem niemal pewna, że „Wymiana i inne opowiadania” Nicholasa Sporlendera wtedy jeszcze nie zostały wydane, podobnie jak zbiór esejów o Martinie Lake'u, który ukazał się dopiero kilka lat później. Kiedy przyglądam się uważniej, dostrzegam laskę stojącą w kącie gabinetu, choć przecież Sirin nie chodził o lasce. Z kolei tam - migocząca jak ciemna powierzchnia wody oświetlona lampą - rozgwiazda, której Duncan nigdy mu nie pokazał. Nie, tak naprawdę to okulary, te same, które przyniosłam na przyjęcie Lake'a. Teraz to widzę.

Czy to oznacza, że Sirin wiedział to, co wiedział Duncan? O okularach? (Martwię się o Ciebie, siostró. Jedyne, co Ci wychodziło, to ponure popychanie naprzód liniowej akcji. Teraz także to Ci się wymyka).

Jest tutaj ciemniej niż wcześniej, a jednak widzę więcej, jeśli to ma jakikolwiek sens. W powietrzu roi się od spór. Poproszę barmana o wachlarz lub otwarcie okna. Nie mogę sobie pozwolić na ponowne wyjście. Robi się zbyt późno, by pisać od nowa. Chcę tylko posuwać się naprzód. Chcę tylko patrzeć przed siebie. Błędy się rozmnożą. Zdania poprowadzą donikąd. Nie dbam o to.

Ale teraz jesteśmy w gabinecie Sirina i próbujemy zrzucić z siebie ciężar nagromadzonych wspomnień.

Sirin opowiedział jakiś dowcip, ale nie zrozumiałam puenty. Przez chwilę siedzieliśmy w niezręcznej atmosferze, po czym powiedziałam:

- Przyszłam tutaj, żeby się dowiedzieć, czy...

- Przyszłaś szukać pracy dla Duncana i być może także dla siebie. Twoja galeria podupada. Duncan zadał się ze studentką. Powiedz mi, dlaczego miałbym wam pomóc?

Żadnego wytchnienia od niezwykłych zdolności, które pozwalały mu o wszystkim wiedzieć. Mogłam odpowiedzieć tylko w jeden sposób:

- Zawsze solidnie dla ciebie pracowaliśmy. Rzadko nie dotrzymywaliśmy terminów. Nasze prywatne życie nigdy nie wpływało na firmę.

Sirin skwitował to śmiechem niepozbowionym współczucia - choć może znów przypominam sobie jakieś inne spotkanie - a jego ciało się zatrzęsło, wzbijając z garnituru chmurę dziwnego czarnego pyłu.

Przysunął się do biurka, opierając łokcie o blat i składając palce. Jego oblicze nagle nabrało intensywności.

- Polecę was oboje na odpowiednie stanowiska. Tymczasowe bądź stałe, któż to może wiedzieć? Wydarzy się coś potwornego, co da wam obojgu szansę znalezienia pracy. Wkrótce *Dziennik Ambergris* stanie się jedynym wiarygodnym źródłem informacji. Będą potrzebowali reporterów. Wspólnie powinniście zaspokoić tę potrzebę i dobrze się spisać. (Tylko dobrze się spisać? W przypadku Sirina nic nigdy nie było takie proste, dlatego trzymałem się od niego z daleka).

Ta informacja mnie oszołomiła.

- Skąd wiesz? - zaczęłam, ale po chwili wzruszyłam ramionami. Dałam sobie spokój z próbami zrozumienia skąd i dlaczego Sirin wie tak wiele, a także dlaczego ciągle mnie to dziwi. Byłam przekonana, że pewnego dnia napisze książkę, w której wszystko wyjaśni.

- Nie ma znaczenia dlaczego, prawda? Proponuję ci pracę. (Dowcipny, tak. Sprytny, owszem, ze smutkiem kryjącym się w środku, ale także na swój sposób śmiertelny).

Pochylił się i podał mi wizytówkę. Lubiłam patrzeć mu w oczy, jego spojrzenie wprawiało mnie w lekkie drżenie.

- Odwiedź redaktora w *Dzienniku* za mniej więcej sześć tygodni. Wtedy wszystko się zacznie.

- Sześć tygodni to bardzo długo - odparłam.

Zapowiadał się zastój. Duncan będzie nękał Mary na odległość, nie mogąc się do niej zbliżyć, a ja niczym sterniczka na statku będę kierowała rozsypującym się szkieletem swojej galerii, która coraz słabiej trzyma się na powierzchni. Czasami, gdy siedziałam przy biurku bez żadnych klientów na horyzoncie, czułam, jak pokój kołysze się z boku na bok, gdyż galeria nie była zakotwiczona do niczego bardziej stabilnego niż wieczne długi.

Sirin rozparł się w fotelu.

- Nie tak długo, jak ci się wydaje. - Jego spojrzenie złagodniało. - Nie mogę wam niczego zagwarantować, Janice. Nikt nigdy nie otrzymuje żelaznych gwarancji. A teraz wybacz, ale mam inne spotkanie. Jeśli dopisze ci szczęście, może zmienisz swoje doświadczenia z pracy w *Dzienniku* w książkę dla mnie. Później o tym pomyślimy, w zależności od tego, czy Ambergris nadal będzie istniało, gdy to wszystko dobiegnie końca.

I na tym skończyło się moje spotkanie z Sirinem. Gdy wychodziłam, wrócił do swoich motyli, cmokając na znak dezaprobaty wobec grzybów, które połknęły jego szafirowego kappana.

Po tym spotkaniu pozostały mi dwie rzeczy. Po pierwsze, nazwisko na wizytówce: James Lacond. Lacond - gruby, śmierdzący cygarami, potargany, różowawy, rozlazły - miał wkrótce odegrać ważną rolę w życiu Duncana. Kiedy jednak patrzyłam na jego nazwisko i usiłowałam przyjąć do wiadomości, że za sześć tygodni nasze życie się zmieni, wydawał mi się zaledwie drobnym graczem. To wtedy po raz pierwszy dotarło do mnie, że być może Sirin nie zdobył informacji o Duncanie w tak intuicyjny sposób jak sądziłam. Mogłabym przysiąc, że wychodząc, zauważyłam maszynopis, na którego stronie tytułowej widniał tytuł „Rola przypadku w historii Południowych Miast”, wepchnięty pomiędzy dwa tomy „Tradycji Starożytnych Saphantów”. Jeszcze teraz wspomnienie tytułu pierwszej książki Sabon wywołuje u mnie dreszcz.

(Podobnie jak halucynacje, które opisałaś kilka akapitów temu, to po prostu niemożliwe. Mary wydała swoją debiutancką książkę dopiero cztery lata później. Przez dwa z tych czterech lat widywałem wstępne wersje jej tekstu, cudownie lekkie i zmysłowe. Bardzo niechętnie traktowałem je czerwonym długopisem, gdyż redagowanie jej książki, często tuż po tym jak się kochaliśmy, było niemal równoznaczne z pisaniem po jej skórze, krytykowaniem jej samej - czego nie potrafiłem czynić, gdyż była pod każdym względem idealna).

W ciągu godziny, Sirin, ten elegancki mężczyzna, zniknął z Ambergris na trzy lata. Nikt nigdy się nie dowiedział, dokąd się udał i co robił.

Dwie minuty temu w barze zaczęła się bójka. Wcześniej, przez kilka minut pisząc, słuchałam podniesionych głosów, dopóki pisk krzesel i jakiś ciężki odgłos, jakby przewracanego stołu, nie dały znać, że kłótnia przerodziła się w coś poważniejszego. Przez chwilę chciałam tam pójść. Czułam się oderwana od rzeczywistości, nieobecna. Pragnęłam z kimś porozmawiać. Z kimkolwiek. Zamiast tylko „mówić” do tych, którzy czytają tę relację.

Niejednokrotnie zastanawiałam się, kto przeczyta te słowa, gdy odejdę. Staję w obliczu realnej możliwości, że przeczyta je właściciel Spory - lub przynajmniej rzuci na nie okiem. (Nic z tego - ja dotarłem tu pierwszy). Jeśli tak się stanie, dziękuję za gościnność. Ciekawe, co pan pomyśli o zawartości tych poplamionych sporami stron. (Ciekawe, co pomyśli o moich komentarzach. Chociaż jeszcze nie jestem pewien, czy zostawię tutaj tekst, gdy skończę. Może przeniosę go w jakieś bezpieczniejsze miejsce). No dobrze.

W barze już jest cicho. Ktoś głęboko oddycha. Ktoś pisze na maszynie i głęboko oddycha. Zbliżamy się do końca. Widzę Mary na dole schodów, cierpliwie oczekującą, aż zniszczy jej świat.

Za moimi plecami zieje otwór. Może już o nim wspominałam. Zasykali go, ale w przerwach między pisaniem ponownie go udrażniam. Przez ostatnie kilka dni usunęłam mnóstwo gruzu. Wydaje mi się także, że coś próbuje się przedostać od drugiej strony. Może to kolejna oznaka Zmiany, a może tylko klasyczne najście. Myślę, że w końcu się dowiem.

Pięć tygodni po mojej rozmowie z Sirinem mężczyzna, w którym później rozpoznano Anthony'ego Bliss, zbliżył się do wejścia do jednego z magazynów Hoegbottona w pobliżu nabrzeża. Skinął na strażnika, ustawiającego w środku skrzynie, po czym, zgodnie ze słowami świadka, podniósł rękę, w której coś trzymał. Strażnik się wyprostował, odpowiedział skinieniem głowy i zbliżył się o krok do Bliss. Bliss rzucił mu trzymany przedmiot. Strażnik złapał go jedną ręką, nakrył drugą, po czym zmarszczył brwi. Próbował uwolnić rękę, ale przywarły do obiektu. Bliss pokiwał głową, uśmiechnął się i zniknął w tłumie, strażnik zaś zaczął wic się na ziemi, a jego skóra gwałtownie zbieła i zaczęła odchodzić od ciała krętymi śnieżnobiałymi pasmami... aż w końcu nie pozostało po nim nic poza lśniącymi pasmami grzybów. (Większość świadków do tego czasu opuściła miejsce zdarzenia, nie licząc kilku turystów, którzy nie znali natury Ambergris). Grzyby ściemniały do głębokiej czerwieni, po czym wybuchły gwałtownym płomieniem. W ciągu zaledwie kilku minut, zanim pompy zdołały dostarczyć wodę, magazyn doszczętnie spłonął razem ze znaczną częścią towarów, które Hoegbotton i Synowie importowali w tym miesiącu. Przedmiotem, który Bliss rzucił strażnikowi, okazała się zarodnikowa mina kupiona od szarych kapeluszy: była to pierwsza otwarta akcja Frankwrithe'a i Lewdena przeciwko ich śmiertelnym wrogom, spółce Hoegbotton i Synowie, rozpoczynająca konflikt, nazwany później Wojną Domów.

CZEŚĆ DRUGA

Być może zbyt okrutnie jest myśleć, że tak jak Tonsure pragnął z całych sił wyrazić się i komunikować pod ziemią, tak również stara się być słyszany obecnie nad jej powierzchnią, gdy [historycy] z równie wielkim przekonaniem starają się go uciszyć.*

- Duncan Shriek

„Hoegbottoński przewodnik po
wczesnej historii miasta Ambergris”

* Przekład Konrada Kozłowskiego (przyp. tłum).

11

*Żaden człowiek rzecz nie może,
że gniew mój wzbudził i uszedł z życiem,
chyba że w wiecznym trwa cierpieniu!*

*Przed sobą widzę Wyspę Sophii,
na której spoczął ciężar nocy,
podobną echu niczym duch.*

*A gdyby zrzucić los okrutny,
zaś razem z nim odrzucić wojnę
tak niepotrzebnie rozpętaną?*

„Co pani najlepiej zapamiętała z Wojny Domów?”

Jeszcze pół roku temu pewien bezczelny młody reporter zadał mi to pytanie, wcześniej zadając sobie trud, by wytropić mnie w moim mieszkaniu: ruinie zagraconej pozostałościami po życiu wypełnionym nieudanymi początkami. Szczerze mówiąc, nawet nie pamiętam, dla której gazety pracował.

Byłam opryskliwa i ponura, gdyż po całym dniu służenia za przewodniczkę dla ludzi, których określam mianem Ignorantów i Gburów, przejęłam od nich najgorsze cechy. Poza tym on był naprawdę bardzo młody; Sybel nie był taki nawet jako dziecko. Wątpię, czy urodził się przed wybuchem wojny.

- Co pani najlepiej zapamiętała z Wojny Domów? - spytał.

Widziałam drobinki kurzu unoszące się w powietrzu za jego głową, podświetlone przez promienie słońca, które wpadały przez otwarte okno. Wtedy już rzadko je otwierałam. Nie podobało mi się to, co wtedy widziałam w swoim mieszkaniu: wytarty czerwony dywan, sukienki z cekinami na wpół ukryte na wieszakach w kącie i rzucone na nędzny rozkładany fotel; dziesiątki obrazów, które ocalałam z galerii, wszystkie tak samo bezwartościowe. Miałam nawet dwa ceremonialne miecze, Truff raczy wiedzieć skąd - a także dziesiątki albumów ze zdjęciami, których przez lata nie miałam serca wyjmować.

Mieszkanie wymagało solidnego przewietrzenia, chociaż muszę przyznać dziennikarzowi, że nawet nie zmarszczył nosa, gdy chmura kurzu wzbija się w powietrze pod wpływem uderzenia jego żyłastych pośladków o siedzisko drugiego rozkładanego fotela.

- Co zapamiętałam? - powtórzyłam. Na Truffa, chłopak miał taką gładką i beztroską twarz, nawet w tym świetle. Czy każdy niewinny człowiek tak wygląda? - Oczywiście operę - odrzekłam.

Jego oczy rozbłysły i otworzyły się szerzej; zaczął coś gryzmolić w beużytecznym małym notatniku, który przyniósł ze sobą.

- Kiedy pisywaliśmy reportaże wojenne, zwłaszcza gdy wojna już się rozkręciła na dobre, nie mieliśmy papieru - powiedziałam. - Musieliśmy notować na chusteczkach, używając do tego celu własnej krwi. Zazwyczaj wtedy, gdy kończył nam się atrament.

Podniósł wzrok, wyraźnie wstrząśnięty, a kasztanowe włosy opadły mu na jeszcze ciemniejsze piwne oczy. Następnie popatrzył na swój notatnik, niemal z poczuciem winy, ale kiedy zachichotałam - ten odgłos wystraszył mnie bardziej niż jego - zrozumiał, że żartowałam.

- Czy z jakiegoś powodu jest pani na mnie zła? - spytał, pozbywając się ostatnich pozorów dziennikarskiego profesjonalizmu. Nagle stał się zwykłym dzieciakiem, jakim kiedyś był Duncan.

Popatrzyłam na początkującego reportera i westchnęłam, po czym rozparłam się w fotelu.

- Nie. Nie jestem zła. Jestem stara i zmęczona. Może czegoś się pan napije? Albo coś zje? Przyjaciół upiekł dla mnie trochę ciastek. Chyba wciąż gdzieś tu są. - Zaczęłam szukać pod stertą poduszek, które leżały u moich stóp.

- Nie - odpowiedział, trochę zbyt pośpiesznie. - Nie trzeba. Chcę tylko dowiedzieć się więcej o wojnie, o operze.

Miał usta, które już zawsze pozostaną pełne, ale pozbawione wyrazu. Poważne usta, na których nie widniał nawet ślad wygięcia w górę lub w dół, więc nie wiadomo było, czy jest optymistą, czy pesymistą. Chociażby z tego powodu mógłby pewnego dnia zostać dobrym dziennikarzem. Albo szulerem.

Ale teraz siedział, czekając na moją odpowiedź, i pocił się, a jego słodki młody zapach wypełniał moje mieszkanie.

- To była wojna - powiedziałam. - Zginęło wielu ludzi. Wiele budynków legło w gruzach. Prawdziwe piekło. Z jakiego powodu? Sądzę, że po pewnym czasie już nikt tego nie wiedział.

Pokiwał głową, jakby rozumiał. Ale czy rzeczywiście? My nie rozumieliśmy, choć byliśmy reporterami wojennymi. Jak mawiał mój ojciec, reporter jest lustrem, a nie oknem, co jest dwukrotnie boleśniejsze. Nie pozwala, by wydarzenia po prostu przelatywały przez szybę jego punktu widzenia, ale uważnie się im przygląda.

Już miałam gułę w gardle. Moje mieszkanie wydawało mi się nie do zniesienia. Moja noga była ciężka, bezwładna i obolała.

Rzadko opowiadałam dziennikarzom o tym, co zapamiętałam - dla nich miałam przygotowane frazesy, komunały, spirale męźnych słów, które nic nie znaczą. Ponieważ to boli. Ponieważ tak wiele straciliśmy podczas wojny.

„Nikt się nie wywinie”. Zgodnie z tym, co odkrył Duncan w fortecy-klasztorze Zamilonu, są to jedne z ostatnich zapisanych słów Samuela Tonsure'a, które stanowią dobrą życiową radę: *nikt się nie wywinie*. Zatem ciesz się tym, co masz, dopóki możesz.

Kusiło mnie, by powtórzyć dziennikarzowi mądrość Tonsure'a, ale już zaczynałam się czuć skępowana i mało ważna. Poza tym on zadał pytanie.

- A co z operą?

Uśmiechnęłam się i pochyliłam, wpatrując się w jego śliczną twarz i beztroskie oczy.

- Jeśli chodzi o wojnę - rzekłam - to pamiętam, że w samym jej środku, blisko epicentrum konfliktu, gdy setkom męźczyzn, kobiet i dzieci groziło rychłe rozerwanie na kawałki lub zamiana w spory, środowiska twórcze Ambergris pozwoliły sobie na najbardziej absurdalne szaleństwo w całej absurdalnej historii miasta: wystawiły operę.

Cóż to było za niesamowite przedsięwzięcie.

Ogłoszenia opisywały operę jako:

Romans Ambry i Grisu

Autor: Anon

Sponsor: Zatroškani obywatele

Reżyseria: Sarah Gallendrace

Miejsce wystawienia: Opera Trilliana

- jeśli wciąż będzie stała

W rolach głównych: Różne różniste talenty

- w miarę dostępności.

Znakomita „wzajemna satyra” na obie strony biorące udział w aktualnym konflikcie, zawierająca „wzruszający wątek miłosny” ukradziony w

całości z dalekiej przeszłości za sprawą podstępu i pobocznych wątków. Opera - z muzyką, którą udało się ocalić z wojennej zawieruchy - w reżyserii Sarah Gallendrace, geniusza odpowiedzialnego za produkcję opery „Trillian” Vossa Bendera.

Cena biletu do uzgodnienia przy wejściu.

Z perspektywy czasu, niezależnie od tego, co się wydarzyło, operę można uznać za jedyny duży sukces czasu Wojny, jedyny znak, że gdy to wszystko dobiegnie końca, nadal może istnieć miasto zwane Ambergris.

Wtedy miasto - po ponad dwóch latach konfliktu - zaczynało rozrywać się na kawałki, jak bestia, która nienawidzi samej siebie z furią zrodzoną z samopoznania. Każdej nocy ogłuszający huk bombardowań, światła na niebie - fiolet, czerwień lub zieleń grzybowych bomb - stały, monotony hałas gorączkowo wsączający się w ziemię, tak że nawet nowe dziwne stada wron, które przybyły, by dziobać naszych zmarłych, zostały z nim zaślubione, a ich wrzaski zaczęły idealnie naśladować odgłosy grzybowych mózdzierzy. (Nikt nie wiedział, czy w danej chwili ma się kryć przed śmiercią czy ptasim gównem). A rankiem: ślady samookaleczeń, budynki przecięte na pół lub rozbite w pył, olbrzymie cięte rany w ziemi.

W tygodniach przed pojawieniem się zapowiedzi opery - poszarpanych, odręcznie wypisanych plakatów, które przybijano do zwęglonych słupów i wałących się ścian - wielu z nas zaczął przytłaczać strach, że Ambergris, jako miasto lub idea, nie przetrwa, że po raz pierwszy upadnie, i to na zawsze. Wraz z tym strachem pojawiło się przerażenie własną śmiertelnością, o którym udawało nam się zapominać przez pierwsze lata wojny. Widząc wokół siebie oznaki tego, że miasto może umrzeć, nie mogliśmy dłużej ignorować myśli o naszym osobistym losie. Wydawało się nam, że teraz wszyscy lśnimy jasnością, która przepaja nasze ciała metaforycznym światłem, jakiego wcześniej w nas nie było. Promieniowały nim nasze oczy, usta, ruchy. Myślę, że ten fatalizm w pewien nieporządny i niemyty sposób czynił nas wszystkich szlachetnymi. (Ślicznie to opisujesz, ale ja widziałem tylko brud, krew i śmierć. Jedyne prawdziwe piękno kryło się pod ziemią i było śmiertelnie niebezpieczne. To dziwne uczucie, znaleźć się w potrzasku między takimi dwiema skrajnościami).

Kiedy przedstawiciele Hoegbottona i Synów oraz Frankwithe'a i Lewdena spotkali się w Księgarni Borgesa na tydzień przed przedstawieniem, by ogłosić zawieszenie broni, wszyscy trochę się uspokoiliśmy. Pozwoliliśmy, by uspioło naszą czujność. Skoro byli zdolni

do zawieszenia broni ze względu na operę, to pewnego dnia mogą to zrobić z ważniejszych powodów.

To były trudne (a już na pewno niebezpieczne) dwa lata dla Duncana i mnie, cały czas bowiem byliśmy w pogoni za jakąś historią. Potrzebowaliśmy takiego odpoczynku. Potrzebowaliśmy poczucia bezpieczeństwa. (Później poczułem, że w pewnym sensie to przedstawienie było dziełem zbiorowej świadomości miasta - impulsem wiodącym ku zapamiętanej harmonii, której Ambergris tak naprawdę nigdy nie zaznało. Gdy usłyszałem pogłoski o przygotowywanej operze, uznałem je za straszliwe kłamstwa, które miały rozbudzić fałszywą nadzieję. Nikomu z nas nie przyszło do głowy, że pewnego wieczoru domy wydawnicze Hoegbottona oraz Frankwrithe'a i Lewdena zaplącą się w tymczasowy pokój, a my staniemy przed budynkiem Opery Trilliana).

Wieczorem w dniu przedstawienia zebraliśmy się w piątkę: ja, Sybel, nasz pracodawca James Lacond w środku, Duncan oraz Mary, patrząc od lewej do prawej. Sybel, Lacond i mój brat służyli za nieprzepuszczalną barierę dla wszelkich potencjalnych niesnasek pomiędzy mną i Lady Sabon. Sybel niedawno ponownie wkroczył do mojego życia jako goniec pracujący dla Laconda i czasami nocował w moim mieszkaniu, zupełnie jak za dawnych czasów.

- Opera? - zdziwił się, gdy mu powiedziałam. - Czy ostał się jakiś budynek, w którym można ją wystawić?

Cudownym zrzędzeniem losu Opera Trilliana stała ostentacyjnie nienaruszona pomiędzy dwoma kopcami czerwonych grzybów - kipiącymi gruzowiskami, które kiedyś były bankiem i restauracją. Co prawda, na skórze opery widniało olbrzymie wyżłobienie w kształcie klina (klasyczny ślad po wybuchu grzybowej bomby), biegnące od dachu do pierwszego piętra i odsłaniające grubo ciosane drewniane belki, które tworzyły szkielet budynku. Była to jednak drobna rana w porównaniu z wieloma innymi budynkami, które runęły, nie mogąc się oprzeć podstępным żyłom napastliwych grzybów.

Zapadał zmierzch i przez ranę w ciele opery przebijał krwawy skrzep słońca, oświetlając ulicę ciemnopomarańczowym blaskiem, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. Brodziliśmy w tym świetle, nasza grupa i wiele innych, zbliżających się do budynku opery. Ulicę przenikał zapach, który sprawiał, że chcieliśmy czym prędzej dostać się do środka - nazbyt znajoma woń pleśni, skutek użycia jakiejś grzybowej broni, z której wystrzelono tydzień, dzień lub godzinę temu. Nigdy nie dało się tego stwierdzić.

Drzwi, nieuszkodzone, otworzyły się na zardzewiałych połączonych zawiasach, gotowe, by przyjąć nas wszystkich, zwolenników Hoegbottona, Lewdena i neutralnych. Nie odprawiono z kwitkiem nikogo, kto chciał zająć miejsce w środku, choć niektóre wymagały ostrzejszych targów niż inne. (W takim kontekście bilety okazałyby się zbyt konkretnym szaleństwem. Dziwnie było wchodzić do budynku opery tamtego wieczoru, w tamtym kontekście, po tak wielu latach wykradania się na przedstawienia podczas przerw na lunch, zabierania tam studentów w ramach zajęć lub chodzenia tam z Tobą, Janice).

Z tego, co pamiętam, Mary i ja wyglądałyśmy olśniewająco w naszych sukniach z cekinami, wyperfumowane i upudrowane. Wydobyłam z jednego ze schowków swoją najlepszą kreację z czasów, gdy Nowa Sztuka święciła największe triumfy. Zaokrąglony dekolt. Zuchwały czarny kapelusz. Buty z jaszczurzej i kreciej skóry. Torebka o fakturze i kształcie spotykanych niemal wyłącznie na najbardziej południowych z Południowych Wysp. Tylko moje włosy były w lekkim nieładzie, ale nie dało się na to nic poradzić; w mieście trudno było o lustro, większość roztrzaskały bomby lub wypaczyły włókna grzybów. Ten strój przypominał, kim byłam dawniej, co z jednej strony mnie smuciło, ale także dodawało prestiżu, gdyż w tamtych czasach w zasadzie byłam właścicielką opery. Nie pamiętam, co miała na sobie Mary, ale cokolwiek to było, mogło stanowić najwyżej zapowiedź przyszłej chwały.

Mary, Sybela i mnie łączyło jedno - żadne z nas nie uległo grzybowym chorobom, siejącym spustoszenie wśród ludności jako skutek uboczny nieustannych bombardowań. Tego samego nie można było powiedzieć o dużej części osób, które nas otaczały, gdy przepychaliśmy się w stronę drzwi.

Przypominający ropuchę James Lacond z nieodłącznym cygarem w ustach - jak zwykle z Niceańskich Zapasów - miał placek jaskrawozielonych grzybowych kosmyków na lewej stronie łysiejącej głowy. Jednakże nic w jego zgorzkniałej postawie nie wskazywało na choćby najdrobniejszy dyskomfort. (Jak zawsze poruszał się z zaskakującym wdziękiem jak na grubasa). „Ulegnij szarym kapeluszom, a w końcu zawrzesz z nimi pokój, w taki czy inny sposób”, lubił mawiać.

Mój brat, milczący i nerwowy (ponieważ spodziewałem się, że skoro jak dotąd nie wyraziłyście chęci rozejmu, Ty i Mary będziecie się kłócić przez cały wieczór; tak naprawdę wojna czasami stanowiła najmniejsze z moich zmartwień, chociaż wyczuwałem szare kapelusze pod podłogą i wszędzie widziałem ich symbole i znaki), zdradzał więcej oznak napięcia. Srebrzysto-fioletowe „znamie” wilo się na jego przedramieniu niczym żywy tatuaż. Kto wie, czy jego ubranie nie skrywało czegoś jeszcze bardziej upokarzającego? (Nie

skrywało. Potrafiłem już nad tym panować, przynajmniej przez jakiś czas. Gdybym pokazał się w mojej grzybowej postaci, budynek opery by opustoszał).

Niektórzy z otaczających nas widzów uczynili ze swojego nieszczęścia część stroju. Gdy szliśmy do przedsionka, po obu stronach mijając schody prowadzące w górę i na dół, pomalowane na złoto ściany, posępne czerwone zasłony, które nie mogły ukryć dziur w podłodze, oraz wypatroszony, cichy bar pokryty śladami płomieni, wszędzie po drodze napotykalismy tych modnisiów. Ukazywała się nam pełnia pomysłowości i szaleństwa Ambergris. Jedna z kobiet zakryła całe ciało trelią, na którym układały się granatowe grzyby, które ją opanowały, tak że ich pierzaste pasma tworzyły pełną suknię z trenem. Inni przekształcili swoje chorobowe objawy w kolczyki bądź inne dodatki. (To o czymś świadczy, że już nie szokowały nas rzeczy, które widzieliśmy tamtego wieczoru. Jakże szybko ludzie przystosowują się do skrajności. W sekrecie się z tego cieszyłem, gdyż na jakiś czas czyniło mnie to normalnym, ani mniej, ani bardziej dotkniętym od innych, zwłaszcza w oczach Mary. Oczywiście później już w niczym mi nie pomagało, gdy „zwyczajni” obywatele Ambergris dla wygody zapomnieli o dziwactwie i surrealizmie Ambergris w czasie wojny).

Mary głośno wciągnęła powietrze, gdy zobaczyła kobietę z trelią. Sybel i Lacond zwrócili na nią miażdżące, karcące spojrzenia, ale udała, że ich nie widzi. Sybel nigdy nie był pod ziemią, ale potrafił błyskawicznie przystosowywać się do nowych sytuacji. Lacond co prawda nie zszedł pod ziemię tak daleko ani na tak długo jak Duncan, ale i tak naznaczyło go to na całe życie: przez pory jego skóry czasami przebijała zdobna czerń.

- Lepiej do tego przywyknij - szepnął Lacond. - Będziemy musieli się przyzwyczać do znacznie poważniejszych rzeczy, zanim to się skończy.

Sybel się skrzywił; wiedziałam, że oświadczenia Laconda czasami wydawały mu się jednocześnie niejasne i pretensjonalne.

Ale być może zastanawiacie się, w jaki sposób, nawet mając między sobą olbrzymią i ociężałą postać Jamesa Laconda, Mary i ja mogłyśmy tak spokojnie wejść do opery jako członkinie tej samej grupy. Na pewno pomogły nam w tym wojenne okoliczności oraz fakt, że Mary trzymała się na dystans i przesłaniał ją grzybowy księżyc znany jako Lacond, ale musicie także pamiętać, że dwa semestry banicji Bonmota już dawno przeszły do historii. Banicja ta, podobnie jak wiele innych spraw sprzed wojny, stała się tak odległą, że już nie pamiętałam jej szczegółów bądź pamiętałam je na tyle nieostro, że wydawała się nierzeczywista.

Dlatego na czas konfliktu wstrzymałam się z oceną wielu kwestii, wliczając Mary, a nawet pogodziłam się z myślą, że mogą ułożyć sobie życie z Duncanem. Rzeczywiście,

można powiedzieć, że wojna zapewniła Duncanowi i Mary nową tymczasową podniętą, poczucie niepokoju, które zastąpiło to, co utracili, nie mogąc skradać się po terenie Akademii Blythe'a. (A mimo to wciąż byłaś napięta, uśmiechałaś się w wymuszony sposób, a Twoja grzeczność była tak niegrzeczna). Nie rozmawiałam z nią, obie jednak śmiałyśmy się z żartów Duncana, a nawet okrężną drogą, przez Duncana lub Laconda, kierowałyśmy do siebie nawzajem różne uwagi. Sybel, dla własnej rozrywki, starał się kreować sytuacje, w których Mary musiałyby się do mnie odezwać lub vice versa, ale bezskutecznie.

Przeszliśmy po poplamionej potem, zdeptanej podłodze przedsionka, po czym trzymając się blisko siebie wspięliśmy się po schodach na balkon, zmuszeni do ignorowania własnego cierpkiego zapachu wywołanego wielotygodniowymi niedoborami wody, które uniemożliwiały regularne kąpiele. (Już dużo wcześniej przywykłem do tej woni, ale wydaje mi się, że eleganckie ubranie z jakiegoś powodu ją wyostrzyło, zapewne za sprawą kontrastu).

Następnie poczuliśmy podmuch zateęchłego powietrza na twarzach, a potem kolejny, mocniejszy i jeszcze bardziej zateęchły, gdy wyszliśmy na balkon i ujrzeliśmy salę opery!

Patrzyliśmy w dół na rzędy podniszczonych pozłaczanych foteli, które szybko zapelniały się widzami, widzieliśmy kanał dla orkiestry wypełniony gorączkowym skrzypieniem strojonych instrumentów, a za nim prostą drewnianą scenę, na wpół ukrytą za bordową kurtyną, w której ziały olbrzymie dziury ukazujące śpiewaków biegających za zasłoną, pionki ustawiające się na miejscach przy wtórce pomruków i przepychanek.

Im dokładniej się przypatrywaliśmy, tym więcej dostrzegaliśmy drobnych szczegółów, a całe przedsięwzięcie stawało się coraz mniej majestatyczne. Gipsowe cherubiny, umieszczone w narożnikach naszego balkonu, obramowujące nasz widok, zestarzały się, a pęknięcia zmarszczek nadały im pozory mądrości i uczyniły bardziej złowieszczymi niż niewinnymi. Na każdym siedzeniu widniała plama od potu powstała na skutek wieloletniego używania. Wszystkie filigrany oraz ozdobne zawijasy wymalowane na ścianach i suficie były popękane, powgniatane lub nierówne. Było tak od zawsze, i to wrażenie swojskości dodawało mi otuchy.

Wtedy Duncan westchnął.

- Patrzcie - powiedział, wskazując na sufit.

Jedynie Lacond nie wydał z siebie żadnego odgłosu, gdy to zobaczył. Nawet Sybel zaklął pod nosem.

Teraz wydaje mi się dziwne, że nie zauważyliśmy tego od razu, zupełnie jakbyśmy początkowo nie dopuszczali do siebie myśli, że to istnieje.

Podnieśliśmy wzrok, podchodząc do krawędzi balkonu, i powoli zaczęliśmy rozumieć, skąd bierze się wyraźne, czyste, ale niezaprzeczalnie zielone światło, które rozświetla wnętrze opery. (Racjonalny umysł potrafi przyswoić tylko ograniczoną liczbę dziwactw bez doznania uszkodzeń).

- Co to jest? - szepnęła Mary.

- Pozostałości grzybowej bomby - odpowiedział Lacond.

- Częściowy niewypał - dodał Duncan. - Zespolony z sufitem.

Rana, którą widzieliśmy z zewnątrz, tylko w niewielkim stopniu świadczyła o zniszczeniach, jakich doznał budynek. Środek kopuły - ze stylizowaną mozaiką przedstawiającą kawalerię Morrow pędzącą na ratunek Ambergris podczas Ciszy - zniknął, a brakujące kawałki po prostu rozplynęły się w powietrzu, zostały wchłonięte, zastąpione intensywną zielenią, która wysyłała fale światła na scenę. Zieleń miała oczy, a przynajmniej tak się wydawało, przyjęła bowiem postać zbioru okręgów, rozwijających się zarodni.

Wstrzymałam oddech. Szyja rozboleła mnie od patrzenia w górę. Przez zielenie prześwitywało rozgwieżdżone niebo, jakby nie była bardziej materialna od gazy lub mgły, a jednak każda jej cząsteczka migotała i wirowała, emanując światłem, które pozwoliło nam odszukać nasze miejsca.

Lacond zauważył, że nie potrafiłam oderwać od niej wzroku, nawet gdy już usiadłam.

- Widziałas go już z zewnątrz - zauważył najuprzejmiej jak potrafił. Jego wybrzuszone powieki drgały, cygareto poruszało się w górę i w dół między zębami, pochwycone przez rybie usta. Słodki ziołowy zapach cygara mnie uspokoił. - Niewypał grzybowej bomby, jak już wspomnieliśmy. Uderzył w szkło i kamień kopuły i przybrał postać... cóż, czegoś, czego jeszcze nigdy nie widziałem. Ciekawy efekt. I stabilny. Zostanie tutaj na długo albo wytrzyma tylko kilka godzin. - Roześmiał się.

- To prawie dzieło Nowej Sztuki - rzekł Sybel, szczerząc się w uśmiechu.

- Piękne - odezwał się Duncan, patrząc w górę. - Przepiękne.

- Raczej okropne i szokujące - odparła Mary odległym szeptem, który zagubił się w podmuchu powietrza.

- Trochę daleko, żeby się wspiać - powiedział Sybel. - Ale myślę, że dałbym radę.

- Wspiałbyś się nawet na tęczę, gdybyś mógł - odrzekłam, wywołując na jego twarzy wymuszony grymas.

Oderwałam wzrok od sufitu. Musiałam. W przeciwnym razie moje myśli by tam pozostały, uwięzione, przez cały czas trwania opery. (Byłam oszołomiona, widząc coś takiego nad powierzchnią ziemi. Z nową siłą nawiedziła mnie myśl, która coraz częściej pojawiała się

w mojej głowie od początku wojny: skoro to, czego miejsce jest pod ziemią, wychodzi na powierzchnię, dlaczego ja miałbym tutaj pozostawać? Byłem jak marynarz, który wypadł za burtę i wyciąga rękę w stronę światła, tylko po to, by odkryć, że jest ono fałszywe, a on zanurza się jeszcze głębiej). A jednak, czy wszyscy nie widzieliśmy znacznie dziwniejszych rzeczy, odkąd rozpoczęła się Zmiana? Myśląc teraz o tamtym suficie, jestem dziwnie obojętna. Wstrząsnęło mną już zbyt wiele cudownych widoków, zarówno świętych, jak i nieświętych.

Nikt nie miał biletów, ale to nie oznaczało, że udało nam się dostać dobre miejsca. Nawet w czasie wojny (zwłaszcza w czasie wojny!) obowiązują hierarchie i hierarchie wewnątrz hierarchii. Lacond mógłby usiąść w pobliżu orkiestry wraz z jedną osobą towarzyszącą, ale wtedy musiałby nas porzucić. Prowadzeni do najwyższej położonego rzędu, musieliśmy schylać głowy, by nie uderzyć o sufit balkonu (przynajmniej miał on uspokajająco biały kolor). Siedzenia były zrobione z twardego drewna - ciężka sprawa w przypadku opery o sześciu aktach i tylko z jednym antraktem. Ponad nami kopuła; poniżej - śmiertelna krzywizna opadająca aż do rzędów na parterze (które z tej perspektywy nie miały końca), a potem biegnąca w górę, do kanału orkiestry i na scenę. Na balkonie śmierzdziało starymi przegniłymi książkami. Od wieków nikt tu nie sprzątał. To, co z daleka wyglądało na gładkie i bez skazy, z bliska robiło tandetne i smutne wrażenie. Wydawało się, że tylko Sybel ze swoją gibką sylwetką czuje się tu komfortowo.

Być może wyraźnie pamiętam operę, ponieważ wtedy po raz ostatni można było zobaczyć tak wielu wrogów, którzy zajmowali tę samą przestrzeń, a jednak nie próbowali wbić sobie nawzajem noża w plecy, ani dosłownie, ani w przenośni. Tego wieczoru w operze pojawili się agenci obu stron konfliktu, dyskretnie wprowadzeni osobnymi wejściami, z których jedno miało postać dużej dziury w ścianie. Wszystkie osoby uznane za neutralne umieszczono w środkowej części parteru, najdalej od wyjść. (Co mnie rozbawiło - gdyby obie strony straciły nad sobą panowanie i rzuciły się do walki, neutralni obywatele w środku bardzo by ucierpieli na skutek swojej delikatnej pozycji).

Władczy członkowie Domu Hoegbottona, którzy już teraz przypominali potomków imperium w swoich wyzywających surdutach i spodniach z zaprasowanymi zaszewkami - nawet jeśli wyglądali przy tym na wymizerowanych, gdyż materiał ześlizgiwał się z ich łokci wychudłych na skutek racjonowania żywności - wymuszonym marszem podążyli na swoje miejsca. Nieruchomy wzrok. Kilka nerwowych uśmiechów. Wielu przypięło medale, które sami sobie przyznali za odwagę na polu bitwy.

Strona Frankwithe'a i Lewdena wyglądała zupełnie inaczej. Wślizgnęli się na swoje miejsca, byli ubrani głównie na czarno, starali się trzymać w cieniu - nie licząc ich przywódcy, L. Gaudy'ego, który wkroczył na salę w czymś, co mogę nazwać jedynie „kostiumem” w jaskrawoczerwonym kolorze, zmienionym przez zielony blask grzybowego światła w pulsujący słonawy fiolet. Przez kilka minut stał z rękami na biodrach, patrząc na stronę Hoegbottonów. Wydawało się, że szeroki uśmiech sparaliżował jego twarz. (Spierano się, czy tą zuchwałą postacią rzeczywiście był L. Gaudy, czy raczej jeden z wielu aktorów, których przez ostatnie dwa lata Gaudy zatrudniał, by go udawali podczas oficjalnych uroczystości, gdyż ze zrozumiałych przyczyn obawiał się prób zamachu. Niezależnie od tego, czy był prawdziwy, czy fałszywy, gdy go ujrzałem, po plecach przebiegł mi dreszcz strachu).

W strefie neutralnej wypatrzyliśmy Martina Lake'a i Merrimounta, którzy zajmowali swoje miejsca, otoczeni przez niedobitki twórców Nowej Sztuki, którzy wyglądali na obszarpanych i przybitych. (Ich czas minął. Nie mogli zostać wskrzeszeni przez żadną operę).

Martin i Merrimount mieli na sobie połączenie strojów wieczorowych z oficjalnymi garniturami, a ja niemal czułam agresywną woń wody kolońskiej, która stała się „firmowym zapachem” Martina, choć jej sponsorowanie w czasie wojny nie przynosiło mu żadnych zysków. (W Twojej relacji tamten wieczór w operze przypomina prawdziwe zawieszenie broni. Janice, wszyscy byliśmy uzbrojeni po zęby, jak piraci płynący rzeką Moth i szukający odpowiedniego miejsca do wybudowania miasta. Nie sposób było przejść przez hol do toalety, nie zahaczając po drodze o ukryte pod ubraniami pistolety, noże albo jeszcze gorsze rzeczy. A kiedy już się dotarło do męskiej ubikacji, okazywało się, że jest pełna szpiegów wymieniających informacje).

Podnieśliśmy ze swoich miejsc zasmucająco amatorskie, wypisane wielkimi literami teatralne afisze i usiedliśmy. Lacond nadal całkowicie zasłaniał Mary przed moim wzrokiem. Gdy tak czekaliśmy w zielonym blasku, wśród przytłumionego gwaru ludzi cały czas wchodzących do opery, który milkł trzy lub cztery razy, gdy wydawało się, że przedstawienie zaraz się zacznie, mignęło mi przed oczami i odbiło się echem moje dawne życie. Przez chwilę, siedząc na twardym krześle, od którego nagle rozboleły mnie pośladki, uległam złudzeniu, że pomimo finansowej ruiny to ja zebrałam środki, by stworzyć operę. Od momentu zajęcia miejsca aż do podniesienia się kurtyny znów czułam się silna. Straszne uczucie. Widziałam zwiotczałą twarz Edwarda w szpitalu dla obłąkanych, czułam wstążkę czerwieni wydobywającą się z mojego nadgarstka. Zdecydowanie nie chciałam powrotu do tamtego życia.

Zresztą iluzja i tak rozwiąła się po pewnym krótkim spotkaniu w drodze do damskiej toalety przed rozpoczęciem przedstawienia. Nagle na horyzoncie pojawiła się wąska i pomarszczona ze starości błazeńska twarz Merrimounta.

Skinął głową i powiedział:

- Czy maczałaś palce w tej operze, Janice?

- Nie - odrzekłam. - To nie ja. - Złapana. Oskarżona.

- W porządku - odparł. - Myślałem, że to może ty. - Po chwili dodał: - Myślisz, że właśnie do tego zmierzała Nowa Sztuka? Do szalonej opery wystawianej w czasie wojny? - Błysnął zębami w uśmiechu, po czym zniknął.

Nienawidziłam euforii, pod wpływem której rumieniłam się i lekko drżałam z radości. Merrimount się do mnie odezwał. (To żalosne, siostrzyczko).

Powiedziałam Duncanowi o swoim spotkaniu, ponad chudą piersią Sybela i szerokim brzuchem Laconda, ale zanim zdołał odpowiedzieć, usłyszałam słowa Mary:

- Jeśli tak, to mamy do czynienia ze strasznym marnotrawstwem. Wszystko prowadziło do tego jednego przedstawienia. Powinni byli się wstrzymać do zakończenia wojny.

Roześmiałam się, a Sybel, jako sprawny były kierownik, wyjaśnił ochoczo Mary:

- Merrimountowi chodziło o to, że oprócz niego, Martina i Janice wszyscy znaczący członkowie dawnego ruchu Nowej Sztuki są zaangażowani w powstanie tej opery. To jedyna rzecz, co do której potrafili się porozumieć na tyle dobrze, by pokazać ją światu.

Mary pokiwała głową i powstrzymała się od komentarza. Wiedziała, że Sybel jej nie lubi, i rozumiała, iż jest tak dlatego, że ja jej nie lubię.

- Nie da się ukryć, że to widownia z łapanek - rzekł Duncan. - Nie mają nic innego do roboty, jak tylko przesiadywać w domach.

- Zgadza się - przytaknęłam. - Myślę, że to świadczy o lekkiej desperacji.

W tamtych dniach nie dało się ukryć desperacji, zwłaszcza w operze. W tłumie prawda o naszym jądłospisie przejawiała się pod postacią kwaśnego zapachu czerstwego chleba i warzywnego bulionu, a także, co ciekawe, gałek do drzwi. Jakiś przedsiębiorczy osobnik odkrył, że wiele gałek do drzwi w naszym mieście wykonano z trocin i wołowej krwi. Gdy się je podgrzało i poddało destylacji, nadawały się do zjedzenia, pod warunkiem, że było się bardzo głodnym.

- Martin i Merri utrzymują się dzięki życzliwości znajomych i sąsiadów - zauważył Sybel.

- Jeśli on w ogóle jeszcze maluje - wtrącił Duncan - to na pożyczonych płótnach i ukradzionymi farbami. Czasami podłapuje jakieś dorywcze zajęcia, ale teraz chyba trudno o pracę.

- Racja, drogi Duncanie - szepnęła Mary - ty jednak nie musisz się martwić.

Nie musiał się martwić, ponieważ rodzice Mary wspólnie zdobyli dla niej mieszkanie położone z dala od terytoriów lokalnych milicji Hoegbottona i F&L, w strefie, która jeszcze nie padła ofiarą ataków ani zamieszek. Tymczasem Mary jeszcze nie zdawała sobie sprawy, że przyjmując Duncana pod swój dach, naraża się na większe niż zwykle kłopoty z szarymi kapeluszami. (Była bezpieczniejsza niż inni ludzie. Możesz mi wierzyć. Dobrze ją chronilem).

Moje spojrzenie przepalało ciemność chroniącą Mary.

- Co zamierzasz robić, gdy wojna się skończy? - zapytałam Duncana.

Czyżby po twarzy mojego brata przemknął uśmiech?

Mary odpowiedziała za niego, a Sybel wyprostował się na krześle i uważnie nadstawił ucha, zupełnie jakby założył się z kimś o jej odpowiedź:

- To samo co teraz. Kontynuować badania. Pisać książki, takie jak Duncan.

No cóż, rzeczywiście kontynuowała badania podczas wojny. Prawdę mówiąc, wojna często nie wywierała na nią żadnego wpływu, przynajmniej emocjonalnego. Ale wcale nie chciała pisać książek takich jak Duncan. Chciała pisać książki tak jak Duncan. Wkrótce stało się to jasne.

Wśród publiczności zapadła cisza. Światła nie mogły zgasnąć, ale kurtyna mogła się podnieść i właśnie w tej chwili postanowiła to zrobić. Miałam do wyboru wpatrywać się w milczącą ciemność albo zwrócić się w stronę sceny.

Kurtyna się podniosła. Zielony blask bardzo przypominał tutejsze światło, przy którym piszę to posłowie. Tutaj jestem na scenie. Tam byłam częścią widowni. Choć to niewielka różnica.

Przedstawienie się rozpoczęło.

Pomimo dzielnych starań Gallendrace, wkrótce okazało się, że opera jest dość chaotycznym przedsięwzięciem. Czegóż innego można się było spodziewać w tych okolicznościach, przy braku funduszy, braku czasu, kostiumach i dekoracjach pochodzących z darowizn oraz niedoborze wielu innych środków? Jednakże produkcja ucierpiała także na skutek niepotrzebnego skomplikowania - zbyt wielu części i zbyt niewielu aktorów. Co więcej, mężczyźni wcielali się we wszystkie kobiece role, a kobiety we wszystkie męskie

role, co owocowało muzyczną dysharmonią, gdyż tenory i sopraną pojawiały się w najmniej oczekiwanych miejscach. Wraz z rozwojem akcji coraz trudniej było śledzić cokolwiek poza wątkiem głównych bohaterów.

Jednakże główna linia fabuły miała w sobie pewną dozę swojskości, którą trudno zatracić, zwłaszcza jeśli żyje się w samym środku opisywanego konfliktu. Tak jak w prawdziwym życiu, opera ze szczegółami opowiadała o okolicznościach śmiertelnej wojny pomiędzy dwiema kupieckimi rodzinami.

Mówiąc wprost, drapieźny Sirin dokładnie przewidział gospodarczą inwazję na Ambergris przeprowadzoną przez Frankwrithe'a i Lewdena; inwazję z gatunku tych, które tylko przypadkiem mogą doprowadzić do rozlewu krwi. Przez lata stała presja wywierana przez wydawnictwo Hoegbotton i Synowie na F&L na ich macierzystych rynkach w okolicach Morrow utrudniała Frankwrithe'owi dotarcie ze swoją ofertą do Ambergris - chociaż wykonano pierwszy niepewny krok dzięki skutkom zakazów Przesiona oraz największym księgarniom, które mogły sobie pozwolić na ignorowanie nacisków Hoegbottona. Jednak zaledwie kilka miesięcy przed moją pouczającą wyprawą do Morrow F&L przejęła kontrolę nad miastem z rąk słabej monarchii i od razu wydała dekret, na mocy którego usunięto z Morrow wszystkich agentów Hoegbottona i zakazano rywalom importu towarów. Hoegbotton nie mógł sobie pozwolić na skuteczny kontratak. (Do pewnego stopnia F&L skorzystała z czasowego przeniesienia zainteresowań H&S na pociągi i koleje, fiksacji, którą emanował Henry Hoegbotton, wiekowy ale sprytny patriarcha klanu Hoegbottonów. Henry Hoegbotton - o którym zbyt mało napisano; gdyby nie moja obecna sytuacja, sam podjąłbym się stworzenia jego biografii - miał nadzieję na erę gospodarczej dominacji na całym południu, aż po najdalszy kraniec ostatniego atolu Południowych Wysp, oraz na całej północy, wliczając zamrożoną krainę ludu Skamoo mieszkającego w szpachlowanych lodowych chatkach. Wielu ekspertów spekulowało, że Hoegbotton może rozpętać „świętą wojnę handlową” przeciwko zamkniętym rynkom Imperium Kalifa. Taka strategia wymagała jednak tego, by Hoegbotton znacznie rozszerzył terytorium działania, a to uniemożliwiało mu skuteczne reagowanie na takie zagrożenia jak zakaz działalności w Morrow).

Ta nowa wizja F&L tłumaczyła dużą liczbę ich agentów, którzy zdominowali krajobraz za oknem mojej (prawie) więziennej celi (wygodnej i umeblowanej). Ośmieleni zwycięstwem na własnym terenie, F&L zapragnęli rozszerzyć zakres działania w dół rzeki, opierając swoje szanse nie tylko na nowym modelu maszyny do pisania, Lewden II - na której właśnie piszę i przy której klnę i się pocę; gdyby tylko grzyby cały czas nie podgryzały tych przeklętych klawiszy - i zamiejscowych usług telefonicznych. Tak naprawdę wiele

przypadków infiltracji Ambergris miało swoje źródło w zainstalowaniu przez agentów F&L słupów telefonicznych; agenci nie tylko umieścili płynne materiały wybuchowe w pustych częściach słupów, lecz także utworzyli w mieście tajną siatkę szpiegowską. Ponadto F&L zaczęli przekazywać coraz więcej funduszy ambergriańskim bankom, licząc na uzyskanie wpływów w tych środowiskach.

Oczywiście Hoegbotton stawiał opór, a sytuacja osiągnęła punkt krytyczny z powodu Wyspy Sophii, cienkiego zagiętego atolu położonego na północ od Ambergris na środku rzeki Moth. „Sophią” w nazwie wyspy był nikt inny jak żona założyciela Ambergris, Manzikerta I - wiele setek lat temu oboje zwykli spędzać tam letnie wakacje. Teraz wyspa zajmowała strategiczną pozycję na północnych szlakach handlowych; ten, kto ją kontrolował, mógł swobodnie narzucać myta, a na dodatek wykorzystywać wyspę jako magazyn. Na niejasnych warunkach oddano ją w dzierżawę władcom Morrow, Menickim Królom, w podziękowaniu za pomoc udzieloną Ambergris podczas Ciszy. Pomimo upadku Menickich Królów dzierżawy nigdy nie odwołano, zatem Frankwrithe i Lewden wykorzystali to jako pretekst, by zagarnąć wyspę, z łatwym do przewidzenia skutkiem. Konflikt, który zaczął się na wyspie, dotarł do Ambergris i zapewne od początku był tylko wymówką dla rozpętania otwartej wojny.

Opera próbowała pokazać wszystkie źródła konfliktu w formie musicalu, robiąc użytek z barwnego tłumu służących, bankierów, kupców i żołnierzy - chóru obdartusów, zataczających się na scenie - podczas gdy na pierwszym planie rozgrywał się zakazany romans łączący przedstawicieli klanów Hoegbottona i Frankwrithe'a - zabieg fabularny, który był stary już wtedy, gdy Voss Bender stawiał pierwsze niepewne kroki. Jeden z pobocznych wątków opowiadał o dwóch służących pracujących dla skłóconych klanów i pojawiał się w nim dziwny mężczyzna ze szczepu Nimblytodów, obserwujących akcję z wysoka (w tym przypadku ze szczytu dwóch ustawionych na sobie skrzyń) i sporadycznie pełniących rolę narratora - co budziło obrzydzenie Sybela, który mruknął do mnie coś o „stereotypach”. Wielokrotnie pojawiał się także duch Sophii Manzikert, skazany na wędrowkę po ukochanej wyspie pośród wszelkiego rodzaju machlojek, których nie mógł powstrzymać.

Nawałnica pisków i gwizdów przeszkodziła śpiewakom, gdy na scenie po raz pierwszy pojawiła się Wyspa Sophii - sterta pozszywanych ze sobą burych worków na ziemniaki podtrzymywanych przez ubranych na czarno mężczyzn, którzy pozostawali tragicznie widoczni w zielonym świetle. Gdy wyspa pozęglowała w stronę śpiewaków, nie zaś odwrotnie, atonalne buczenie zagłuszyło głosy dobiegające ze sceny.

Fragmety muzyki zostały w widoczny sposób ukradzione z „Trilliana” Bendera, czego można się było spodziewać, skoro przedstawienie reżyserowała Gallendrace. W

orkiestrze brakowało flecisty, którego zastąpił głośno gwizdzący osobnik. (Tak naprawdę cała orkiestra brzmiała jak „jęcząca, skrzypiąca i grzechocząca załoga szkieletów”, jak to ujął pewien dowcipniś). Kilka dziur w scenie - najwidoczniej nie było czasu, by je załatać - sprawiło, że w pewnej chwili duch Sophii wpadł głową naprzód do kanału dla orkiestry, ku uciesze widowni, która zareagowała owacją na stojąco. (Co prawda cieszyliśmy się, że możemy obejrzeć operę w czasie wojny, lecz to nie znaczyło, że wyzbyliśmy się swojej ambergriańskiej natury).

Za sprawą (niemal) analogicznie rozmieszczonych dziur w kurtynie przerwy pomiędzy scenami nabrały kuszącego i skandalizującego charakteru, gdyż przed oczami widowni migały obnażone uda i pośladki gorączkowo przebierających się aktorów. Zmiany dekoracji okazały się znacznie mniej efektowne, ponieważ Gallendrace postanowiła raczej sugerować niż ilustrować, pozwalając, by niemalowane drewniane skrzynie i inne nieozdobione przedmioty służyły jako zastępcze rekwizyty pobudzające wyobraźnię.

A jednak była to całkiem znośna opera. Orkiestra nie przestawała grać, nawet gdy Sophia na nich spadła. Śpiewacy dysponowali dobrymi głosami - namówiono na krótki gościnny występ byłego słynnego barytona Samuela Raila. Niestety, dziura w suficie, nawet zatkana grzybem, zmieniała akustykę w taki sposób, że czasami śpiew docierał do nas w silnie zakłóconej i zniekształconej postaci; chwilami miałam wrażenie, że słucham głosów szarych kapeluszy, a nie istot ludzkich.

W połowie drugiego aktu, gdy moje nogi zaczęły zapadać w sen, obróciłam się na siedzeniu i obejrzałam. Jakieś dziesięć rzędów za nami dojrzałam Bonmota, któremu towarzyszyło kilkoro wykładowców z Akademii Blythe'a. Pomachałam do niego; on mi odmachał. Przez chwilę miałam ochotę podejść i porozmawiać, może nawet do nich dołączyć - w końcu Duncan miał swoją Mary, Lacond swojego Duncana, a Sybel był zbyt wściekły z powodu sposobu, w jaki przedstawiono jego lud, bym miała z niego jakikolwiek pożytek. Ale właśnie wtedy Sophia wpadła do kanału dla orkiestry, a gdy się odwróciłam, by popatrzeć na chaos, który się rozpętał, odpowiednia chwila minęła. Bonmot z jakiegoś powodu wyszedł przed antraktem (tak jak kilkoro innych członków widowni!), lecz dopiero po tym, jak Mary ostentacyjnie poszła z nim porozmawiać, na kilka minut opuszczając Duncana. (Nie zrobiła tego, by mnie zranić, Janice, ale żeby mi pomóc. Z całych sił starała się zlikwidować rozłam między nami, uważała, że zawieszenie broni pomiędzy walczącymi Domami może także oznaczać pokój pomiędzy Domem Bonmota i Domem Duncana, ale tak się nie stało).

Po antrakcie wystrój sceny stał się jeszcze bardziej prymitywny, a fabuła bardziej nedorzeczna. Na scenie pojawił się tłum duchów, a nawet skrzydlata wróżka - zabieg tak

żałosny, że spodziewałam się wybuchu zamieszek. Śpiewacy rozpaczliwie próbowali zrekompenzować te niedociągnięcia wspaniałymi, czasem przesadzonymi występami, zagłuszając się nawzajem i brzmiąc nieczysto nie jako soliści, ale jako chór.

W połowie czwartej części doszłam do wniosku, że najwyraźniej przegapiłam jakiś istotny element fabuły, gdyż zgubiłam wątek. Na scenę zaczęli wychodzić aktorzy ubrani w ciemnoczerwone mundury, identyczne z tymi, które noszą żołnierze Kalifa. Ich pojawienie się wywołało burzę oklasków i radosne okrzyki całej widowni. Nareszcie prawdziwe kostiumy! Pokaz, który może zaspokoić naszą żądzę przepychu. Rozlali się po scenie, zupełnie jakby ktoś przewrócił na blat butelkę wina. Wśród nich ujrzelśmy białą turban dowódcy. Zaczął strzelać na scenie, z głośnym trzaskiem odrzutu obu pistoletów. Publiczność ponownie ryknęła, bo chociaż nie śpiewał, to wspaniale się prezentował na scenie, z ciemną brodą i wąsami, z przeszywającym spojrzeniem.

Wycelował w jednego ze śpiewaków, a ten upadł - ponownie była to Sophia, biedna Sophia, skazana na upadek. Cieknąca krew, która w miniaturowej skali odzwierciedlała natarcie żołnierzy, rozlała się na przodzie białej sukni Sophii, na nowo rozbudzając w nas miłość do opery. Cóż za melodramat! Cóż za autentyczna scena bitewna!

Oczekiwaliśmy, że z wrzasków i krzyków dobiegających ze sceny wyłoni się jeden czysty sopran lub alt, który połączy nitki chaosu. Ludzie Kalifa odrzucą pistolety i miecze. Staną się częścią wielkiego chóru głosów bądź potężnym kontrapunktem. Kochankowie ponownie się połączą. Rodziny się pogodzą. Kurtyna opadnie, po czym znów się podniesie, by aplauz mógł się stać bardziej konkretny, nagradzając naszych ulubieńców.

Jednakże żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła. Ani jedna.

Zamiast tego muzyka zaczęła tracić harmonię, stała się nieuporządkowana, na chwilę powróciła z dawną mocą, gdy sekcja naiwnych drewnianych instrumentów dętych podtrzymała melodię, ale zaraz rozpadła się na pojedyncze dźwięki waltorni i skrzypiec, po czym ucichła, pozostawiając tylko odgłosy walki.

Publiczność na chwilę umilkła. (Niektórzy z nas po prostu ucieszyli się, że muzycy przestali grać). Wreszcie zaczynaliśmy rozumieć. Nie od razu w to uwierzyliśmy i każde z nas osobno doszło do tego wniosku. Jednak olśnienie w końcu na nas spadło, u niektórych wywołując głośne westchnienie, u innych krzyk lub wrzask, u jeszcze innych ciszę zrodzoną z przerażenia bądź zaskoczenia. W tym zielonym blasku wszystko było możliwe, nawet inwazja.

Kiedy dowódca w białym turbanie zamachnął się mieczem i ściął głowę Sophii, po czym uniósł ją - ociekającą krwią i białą - odzianą w rękawiczkę dłonią, zrozumieliśmy, że

przedstawienie skończyło się przed kilkoma minutami. Gdy tak siedzieliśmy, oglądając operę, oddziały Kalifa dokonały inwazji na Ambergris. (Dla mnie stało się to jasne kilka sekund później, gdy na scenie pojawiła się Sarah Gallendrace z rozciętym brzuchem, próbująca powstrzymać wypływające wnętrzności nieprawdopodobnie bladymi dłońmi. To wtedy wyrwałem się z otępienia).

Na scenie rozwinięto flagę Kalifa. Kanał dla orkiestry wypełniły przedmioty zupełnie niezwiązane z muzyką - martwi, posiekani na kawałki ludzie; resztki dekoracji, które usunięto z metodyczną precyzją - dzięki czemu niektórzy żołnierze bez trudu przedostali się na drugą stronę i zaczęli strzelać do widowni.

Nagle, ze sprawnością przekraczającą wszystko, co wydarzyło się tego wieczoru. Dom Hoegbottona i Dom Frankwrithe'a i Lewdena dały wspólną odpowiedź. Zrobiły to w zwierzęcy i chrapliwy sposób, niemal jednomyślnie. Przy wtórze głośniego krzyku wyrażającego oburzenie i strach dobyto ukrytej broni palnej. Dobyto noży i mieczy. Podczas gdy neutralni - widziałam Martina i Merrimounta biegnących do wyjścia - usiłowali wydostać się z miejsc, które teraz nie dawały im żadnej możliwości obrony, Hoegbotton i Lewden, Hoegbotton i Frankwrithe, połączyli siły w jednym celu. Było to widać w ich oczach: na jakiś czas odłożyli na bok wszystkie różnice zdań, by pokonać wspólnego wroga. Rzucili się w stronę sceny, strzelając i dźgając, a żołnierze Kalifa na sygnał dany przez swojego dowódcę odpowiedzieli morderczym ogniem. Ciała upadały między rzędami, posiekane na kawałki. Zapach krwi i prochu unosił się ze sceny. Zielony blask rozświetlał i zniekształcał kłęby dymu. Goście, którzy nie spodziewali się, że ten wieczór może się tak skończyć, wpadli w panikę i rzucili się do ucieczki, niektórzy z nich w szoku biegali tam i z powrotem jak w klatce, nie potrafiąc znaleźć wyjścia.

Wydawało się, że na balkonie mamy większe szanse, jeśli tylko główne wejście nie zostało zablokowane. Ruszyliśmy w stronę schodów, a potem w dół. Czuliśmy się o wiele spokojniejsi niż widzowie na parterze. Podczas przedstawienia byliśmy znacznie oddaleni od sceny, na której teraz dochodziło do aktów przemocy. Czuliśmy, że przemoc powoli się rozprzestrzenia wraz z rozlewającą się plamą żołnierzy Kalifa, lecz ci przypominali raczej naturalny kataklizm dokonujący inwazji we własnym rytmie, który pozwoli nam spokojnie się oddalić.

Lacond wyjął pistolety z kabur na nogach. Sybel dzierżył nóż o wyjątkowo śmiertelnośnym wyglądzie i ostrzu tak długim, że zastanawiałam się, w jaki sposób zdołał go ukryć. Mój brat, chcąc chronić Mary, pozwolił, by grzybowa choroba przejęła nad nim większą kontrolę. Jedno jego oko pozostało czyste i niebieskie, ale drugie zarosło zieloną

pozwijaną substancją, która zwiększyła jego rozmiary oraz głębię spojrzenia. Pozwolił także, by jego prawa ręka zmieniła się w coś w rodzaju grzybowej pałki, czarnej i lśniącej. Wyraz twarzy Duncana świadczył o tym, że jest gotowy umrzeć za Mary, tu i teraz. (A także być może znieść niewielkie okaleczenie w obronie Ciebie i Sybela).

Schowaliśmy się za Lacondem-taranem, który torował nam drogę, odpychając ludzi na boki. Po raz ostatni rzuciłam okiem na scenę i zobaczyłam, że żołnierze Kalifa przemieścili się dalej w głąb widowni, opór Ambergrian zaś ma już na celu jedynie umożliwienie ucieczki większości widzów, a nie ofensywę.

Potem w dół po zatłoczonych schodach śmierdzących potem i przez główne drzwi w ciemność nocy, biegiem, wyraźnie słysząc nowy dźwięk, który, jak się później okazało, wydawały moździerze Kalifa rozstawione wokół miasta. Powietrze przeszywały wystrzeliwane na oślep pociski. (Wiedzieliśmy, że to sprawka Kalifa, gdyż ten wyjątkowy odgłos nie przypominał żadnej z broni H&S i, w odróżnieniu od bomb F&L, spadające pociski nie zmieniały się w poskręcaną chmurę grzybów i zarodni. Po prostu z trzaskiem uderzały w różne obiekty, posyłając w powietrze ich fragmenty, po czym zastygały w bezruchu. Nie wiem, dlaczego obawialiśmy się tych moździerzy bardziej niż broni Domów. Być może po prostu ich nie znaliśmy. Do pozostałych agresorów już zdążyliśmy przywyknąć).

Właśnie tak wyglądał nasz wieczór w operze, który zapamiętałam lepiej niż wszystko inne.

To była bardzo dziwna wojna, już na długo przed operą - dwa lata obserwowania, jak Ambergis, niczym jakiś rozgrzany słońcem i obrzmiały od pożartego mięsa gad, chaotycznie próbuje wylinieć, zrzucić skórę, stać się czymś nowym. W całym mieście, od wąskich uliczek zrujnowanej Dzielnicy Biurokratycznej po szeroki ruchliwy Bulwar Albumuth, czuliśmy, że to się zbliża. Pod jaskrawopomarańczowym niebem zawiązywały się dziwne sojusze. Przykładowo, pionowa inwazja słupów telefonicznych, kiedyś przypadkowo rozrzuconych, a teraz zgodnie maszerujących od nabrzeża do pokrytego łuskami białego podbrzusza miasta. Razem z telefonami do Ambergis napływała broń palna pochodząca z Imperium Kalifa (często za pośrednictwem agentów F&L, którzy wyroili się w mieście jak grube czarne muchy). Broń wszelkich rozmiarów i rodzajów, przeważnie dziwnie nieporęczna i lśniąca kalejdoskopowymi refleksami na powierzchni nieznanymi metalami. Wydzielala jednocześnie nową i starą woń, pachniała dalekimi krainami, jakby metal nasiąkł esencją odlewni i fabryk,

w których ją wyprodukowano. Broń palna mnie przerażała. Wyglądała jak emanacja jakiegoś przysłego Ambergris, które jeszcze nie istniało, ale wkrótce miało powstać.

Kawiarniane życie na świeżym powietrzu stało się niebezpieczne i naznaczone incydentami. Coraz częściej dochodziło do postrzeleń i napadów z użyciem noża. (Broń palna roztaczała wokół siebie aurę nowości, która okazywała się zbyt kusząca dla przeciętnego Ambergrianina. Była dla nas zbytnią nowinką, abyśmy ją bezboleśnie wchłonęli). Na ulice zaczęły powracać pojazdy mechaniczne - ciemne, zawilgocone metaliczne żuki, które długo pozostawały w uśpieniu - gdy Hoegbotton dostarczył miastu beczki z lepkiem czarnym paliwem pochodzące z jego nowych źródeł.

Nawet powietrze inaczej pachniało - zmieniło się, zupełnie jakbyśmy wszyscy oddychali drobnymi cząsteczkami prochu; nasze płuca płonęły niezależnie od wpływu pyłków wiosną i jesienią, także w dni, gdy powietrze nie było zimne ani suche. (Wcale sobie tego nie wymyśliłaś - poziom zawartości spór w powietrzu zaczął się zmieniać. Szare kapelusze rozpoczęły powolny, ale niepowstrzymany proces translacji/transformacji, którego punktem kulminacyjnym miała się stać Zmiana).

Wtedy nikt z nas nie zastanawiał się nad tymi zmianami. Ambergris, pomimo całej swej historii, sekretów i czaru, zawsze było brudne, chorowite i na krawędzi zawalenia - zniszczone, bełkoczące wieloma językami, niezrozumiale zaprojektowane, o niejasnym przeznaczeniu. Wszyscy uważaliśmy, że ten gad ostatecznie nie wylinieje, lecz z powrotem zanurzy się w błocie, a po tym doświadczeniu jego skóra stanie się jeszcze bardziej nakrapiana.

W to dziwactwo, w tę bańkę pochwyconej ambry, w której jednocześnie działa się wszystko i nic, wdarła się wojna. Nagle to, co wydawało się chaotyczne, nabrało formy i struktury: My kontra Oni: Hoegbotton, którego wielu z nas nie tolerowało, przeciwko Frankwithe'owi i Lewdenowi, Obcemu, który był znacznie gorszy - napastnikowi, uzurpatorowi, którego nie znaleźmy od czasu tymczasowej okupacji przez Kalifa wiele pokoleń wcześniej.

Właśnie w takiej atmosferze zostaliśmy reporterami dla *Dziennika Ambergris*, pod kierownictwem redaktora i wydawcy Jamesa Laconda.

Duncan, pod nieobecność Mary - która w pierwszych dniach wojny nadal była spętana dwusemestralnym zakazem - postanowił samodzielnie odwiedzić Laconda i wszystko z nim załatwić. Nie mogę powiedzieć, aby mi przeszkadzało, że Duncan zdecydował się pójść zamiast mnie. Trochę się dowiedziałam na temat Laconda i odkryłam, że ma wiele wad - absurdalnie dużo palił, pił, często podczas pracy, ciągle przeklinał i czasami uczestniczył w

niebezpiecznym procederze handlu narkotycznymi grzybami. (Wszystko to wady, które kiedyś dotyczyły także Ciebie, Janice!).

Początkowo Duncan uznał Laconda za klótliwego i irytującego. Redaktor nie rozumiał, jak cennym byłibyśmy dodatkiem do jego stajni zajeżdżonych dziennikarskich chabet. Jednakże wcześniej poznał Duncana, czytał jego prace, a nawet recenzował jedną z jego książek i to go do nas przekonało. (Do mnie. Nie wiem, czy kiedykolwiek tak naprawdę przekonał się do Ciebie. Z pewnością nie było w tym Twojej winy - był hałaśliwym starym pierdzielem. Tego dnia, gdy poszedłem go odwiedzić, James już znajdował się na równi pochyłej. Pewnie dlatego mnie polubił, gdy się lepiej poznaliśmy. Zobaczył we mnie pokrewną zagubioną duszę, która nie wykorzystała swojego potencjału, kandydata do przedwczesnej środowiskowej śmierci. Jak się później dowiedziałem, pojawiłem się w jego życiu w okresie upadku oczekiwań - dziennikarstwo było dla niego takim samym upokorzeniem jak dla nas. Kiedy go zobaczyłem - nadętego, przysadzystego, z czerwonym nosem i cygarem w ustach - gdy układał ruchomą czcionkę w prasach drukarskich, które stukwały, grzechotały i łkały w tle, wyczułem w nim upór, odmowę pogodzenia się z losem. Mówił szybko, a jego pulchne palce wkładały i wyjmowały czcionkę z niespodziewanym wdziękiem. Lubił gładkie koszule, na które zakładał pasiaste szelki podtrzymujące spodnie, których nogawki wtykał w krótkie buty. Często mruczał coś pod nosem - odkąd go znam, zawsze mówił do siebie, o cenach tuszu albo kapryśnych krojach pisma.

„Czego chcesz?”, spytał, nie podnosząc wzroku znad swojej pracy. Nie musiał tego robić. Zdawałem sobie sprawę z łączącej nas więzi, widząc bladoczarne chropowate plamy wokół jego podbródka i uszu. Był kiedyś pod ziemią. Gdy wreszcie na mnie spojrzał, zobaczył to samo we mnie. Od tamtej chwili wszelka niechęć z jego strony była podyktowana względami czysto ekonomicznymi).

Lacond, za sprawą przeznaczenia lub szczęścia, bądź jednego i drugiego, założył Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta, historyczną organizację znaną ze swych dziwacznych teorii i wysokiego wskaźnika umieralności. Jak napisał Duncan kilka lat później we „Wczesnej historii miasta Ambergris”:

„Jeszcze nigdy członkostwo w towarzystwie historycznym nie kryło w sobie takich niebezpieczeństw. Co dwa, trzy lata kolejna grupka członków towarzystwa ulega bowiem pokusie wyważenia jednego z włazów prowadzących pod ziemię, a następnie rusza w panujący tam mrok i wędruje kanałami odpływu ścieków, by eksplorować leżące pod miastem podziemia. Co

nieuniknione, za każdym razem któryś z nich zaklinuje się w jakimś przepuście, a pozostali ruszą po pomoc, bądź też - jak można się domyślić - zostaną złapani przez szare kapelusze. W każdym razie taka ekspedycja zawsze nieodmiennie sprowadza się do tego, że znikają na wieki wieków. Można sobie wyobrazić, jak nieszczęśni członkowie TADRMM wymachują swymi oficjalnymi kartami członkowskimi w kierunku niewzruszenie zbliżających się do nich szarych kapeluszy. Jeśli nie knują i nie rozważają kolejnych planów popełnienia zbiorowego samobójstwa, zajmują się wydawaniem »Biuletynu historii naturalnej«.*

Ten biuletyn miał się później stać ekscentrycznym okrętem flagowym Duncana, który poprowadził nieustraszoną załogę „alternatywnych historyków” na niezbadane i niebezpieczne wody Zapomnienia. Śmiałkowicie ci trwali na rubieżach publicznego uznania i niepewnie utrzymywali się na powierzchni dzięki wzmiankom na marginesach mało znanych gazet i czasopism - unosząc się na słonawych wodach przypisów do artykułów sławniejszych kolegów. (Przypisy Mary w końcu również zaczęły pełnić tę konserwującą rolę, często stanowiąc jedyną wzmiankę o licznych historykach, wliczając mnie. Chociaż niektórzy odczuwali wdzięczność, dla większości życie na marginesach okazało się ponurą i mało satysfakcjonującą egzystencją).

Nasz tata oczywiście uwielbiał historyków, ale od zawsze nienawidził dziennikarzy. Uważał ich za młodzieńczą, larwalną postać historyków i twierdził, że wzorem niektórych gatunków gadów i owadów, które pożerają swoje młode, powinniśmy się ich pozbyć dla dobra społeczeństwa. Pamiętam, że nazywał dziennikarzy „historykami pozbawionymi mądrości i perspektywy”.

Jednakże, jak mawiał Duncan po wojnie, „ojciec się mylił. Dziennikarze to tylko przestraszeni ludzie z notatnikami, którzy ze wszystkich sił próbują nie dać się zabić”. Paradoksalnie był to dla nas nudny czas wypełniony bieżącością. Bez przerwy gdzieś się skradaliśmy i ukrywaliśmy, po czym dokądś biegliśmy. Rejestrowanie tego, co widzimy - skutków wybuchu, rozwoju choroby, bitwy - a potem bieg w inne miejsce. Ukrywanie się. Relacjonowanie. Ucieczka. Ukrywanie się. Relacjonowanie. Ucieczka.

- Przynieście mi historię! - ryczał Lacond ze swojego ulubionego miejsca przy składarce. - Gdzieś tam jest historia, znajdźcie ją natychmiast!

* Przekład Konrada Kozłowskiego (przytłum.).

Nawet w tych tygodniach, gdy był zmuszony płacić nam za te historie chlebem, warzywami i mlekiem.

„Przynieście mi historię!”. To polecenie stało się całym naszym życiem. Zamiast z zaczerwienionymi oczami udawać się w powolną, chwiejną wędrówkę do galerii, zaczynałam dzień - w samym środku nocy - przy wtórze dzwoniącego telefonu. Szukałam go po omacku, mamrotałam „słucham?”, a wtedy głos, zazwyczaj Laconda, choć czasami jego asystenta, szeptał „ulica taka i taka numer 123 - bombardowanie”. Jeśli telefony akurat nie działały, do moich drzwi pukał goniec, zazwyczaj Sybel, który przyjął tę pracę, ponieważ nie mógł znaleźć niczego innego. Kiedyś ubierał się ekstrawagancko, lecz teraz wkładał strój, który pozwalał mu się stopić ze ścianą. „Każdy czas i miejsce muszą mieć odpowiednią oprawę”, wyjaśniał. „Nie pomyśl, że tęsknię za starymi złymi czasami”. (Tęsknił? On wciąż nimi żył. Funkcja gońca w gazecie do pewnego stopnia zapewniała mu neutralność w tych częściach miasta dla niego kluczowych, jeśli nadal chciał „dostarczać substancje tym, którzy ich potrzebują”, jak lubił mawiać. Z pewnością ułatwiało to Sybelowi dyskretne przekazywanie mi „spokoju umysłu”, jak nazywał nalewkę, której potrzebowałam. Co do stroju Sybela z czasów wojny, to w zasadzie nie ograniczał on jego zdolności kamuflażu. Szkoda, że nie widziałas, jak był ubrany w swoim naturalnym środowisku, w koronach drzew. Tylko że... nie dało się go wtedy zobaczyć).

Pospiesznie wkładałam koszulę i spodnie - w takich okolicznościach jedyny praktyczny ubiór dla kobiety - wciągnęłam długie czarne kozaki na zmarznięte stopy, po czym wybiegałam z mieszkania, kurczowo ściskając w dłoni długopis i notatnik. W kieszeni spodni miałam suszone grzyby, które dał mi Duncan. Gdyby obok mnie wybuchła zarodnikowa bomba, miałam je połknąć jako antidotum. Oczywiście były skuteczne tylko w przypadku niekonwencjonalnej broni F&L. Nadal byłam bezbronna wobec odłamkowych bomb H&S.

Nie przychodzi mi do głowy - gdy analizuję wszystkie doświadczane przez nas zmiany stanowiska, miejsca i funkcji - bardziej druzgocąca zmiana niż ta, która uczyniła z nas reporterów. Nigdy nie uznawałam za swój atut fizycznej wytrzymałości, ale teraz niemal każdego dnia musiałam odwoływać się do uśpionych rezerw mojego organizmu. Raz za razem skręcałam kostki, biegnąc ku jakiejś historii (lub uciekając, gdy okazała się zbyt niebezpieczna), idąc po nierównych wysepkach chodnika zniekształconego przez grzyby lub broniąc się przed stratowaniem przez tłum umykających obywateli. W końcu przed każdym wyjściem owijałam obie kostki bandażami, mając nadzieję, że to dodatkowe wsparcie mi pomoże.

Zważywszy na to, z jaką łatwością śmierć znalazła naszego ojca, to, że ocaleliśmy, można przypisywać tylko szczęściu. Czasami, gdy razem z Duncanem patrzyłam na tłące się ruiny sklepu warzywniczego i sprzedawców obróconych w czerwony popiół, czując nieznośny smród, zastanawiałam się, czy przypadkiem znów nie staram się popełnić samobójstwa.

(Jeśli tak, to całe miasto próbowało się zabić. Dla mnie jedną z najdziwniejszych rzeczy podczas wojny był spokój, który czasami opanowywał ludzi pośród przemocy - stan łaski, a może wyparcia. Pamiętam, jak kiedyś patrzyłem z końca ulicy na wybuch grzybowej bomby kilka przecznic dalej. Była to jedna z tych obrzydliwych konstrukcji rozpuszczających się w delikatną fioletową mgiełkę, która niesiona siłą wybuchu dostaje się do płuc każdego, kto stanie jej na drodze, zmieniając ludzi w kruche posągi rozpadające się pod wpływem najdelikatniejszego dotyku lub podmuchu. Schowałem się w bocznej uliczce, chociaż już byłem odporny na działanie grzybów - fioletowa mgiełka zostałaaby zneutralizowana w moich płucach przez zieloną mgiełkę, już się tam znajdującą - i obserwowałem mijających mnie biegiem, wrzeszczących przechodniów. Nie można im było pomóc, przynajmniej ja nie potrafiłem. Jednakże po drugiej stronie ulicy dostrzegłem mężczyznę w długim palcie, który stał spokojnie obok latarni. Miał na oczach grube okulary, a nos i usta zasłonił szmacianą maseczką. Gdy mgła go otoczyła, przynosząc ze sobą typową, choć osobliwą, woń limet i cytryn, nie wpadł w panikę. Po prostu stał w miejscu. Kiedy pozostali zastygli w połowie nieudanej ucieczki, znieruchomieli z wywróconymi oczami, a na ich ustach, brwiach i nogach osadził się jasnofioletowy meszek, mężczyzna jeszcze chwilę postął, a następnie ruszył w swoją stronę. Z czasem, gdy wdrożono kolejne środki ostrożności, coraz częściej widywałem ludzi wykonujących codzienne czynności z oszałamiającym spokojem. Tylko w Ambergris! Ponieważ, co niesłychane, bardzo niewielu ludzi uciekło z miasta podczas wojny. Do Stockton i Morrow razem wziętych trafiło nie więcej niż kilka tysięcy uchodźców).

Tymczasem biedny Duncan zmagał się z innymi problemami. Sezonowe dolegliwości związane z grzybową chorobą nasilały się pod wpływem stresu, aż wreszcie mój brat powiedział w żartach Lacondowi, że mógłby się oprzeć o ścianę pokrytą grzybami i nikt by go nie zauważył. Jego trencz stawał się na zmianę dziwnie pusty bądź wypchany w zależności od zajadłości objawów, a kapelusz zakrywał większość kosmyków, które uparcie kolonizowały jego czaszkę. Gruba warstwa wody kolońskiej pomagała maskować smród rozkładających się grzybów - przynajmniej do drugiego roku wojny, gdy tak wielu ludzi zaraziło się grzybową chorobą, że kamuflaż stał się zbyt skuteczny. (W wielu przypadkach po prostu ćwiczyłem nowo uzyskaną kontrolę nad swoimi dolegliwościami. Zmiany kształtu i

gęstości były jedynie reakcjami na obecność spór w moim bezpośrednim otoczeniu. W ten sposób się broniłem - a także, wcale nieprzypadkowo, Ciebie. Chociaż czasami dodatkowo chowałem pod płaszczem olbrzymią spluwę; niektóre zagrożenia najlepiej traktować dużymi pociskami).

Nie tylko to utrudniało mojemu bratu życie. Na początku wojny dręczyło go pragnienie powrotu Mary. Pamiętam, jak kiedyś biegliśmy we dwoje opustoszałą uliczką; mnie doskwierały opuchnięte kostki, a Duncanowi w pełni rozwinięta choroba - kosmyki jaskrawozielonych zarodni wystrzeliwały z jego odkrytej głowy niczym race dające sygnał wrogom - a za nami, poprzez kłęby dymu powstałe po wybuchu granatu H&S, pędził tuzin żołnierzy nieregularnych oddziałów F&L, którzy chcieli nas ukarać za przewinienia kogoś innego... a gdy tak biegliśmy, Duncan pisał list miłosny do Mary - co jakiś czas jedno lub dwa niewyraźne zdania nabazgrane na potrójnie złożonej kartce. Jeden z takich „listów” kończy się słowami: „Muszę kończyć, ukochana! Chciałbym napisać więcej, ale spóźnię się na umówione spotkanie”. Truff jeden wie, w jaki sposób przemycał je do Akademii Blythe'a, a potem do domu rodziców Mary.

Akademia Blythe'a pozostała otwarta przez półtora z dwóch semestrów, których brakowało Mary do uzyskania dyplomu, chociaż wykładowcy i kapłani nadal wykorzystywali budynek jako bezpieczną przystań, nawet gdy studenci zostali odesłani do domów. Aby Mary i pozostali podopieczni o podobnym profilu studiów mogli ukończyć wymagane kursy, Bonmot raz w tygodniu odwiedzał ich w domach rodzinnych. Wyobrażam sobie, jak idzie ulicą, mocny, silny, w swoich zielonych szatach, niewrażliwy na rozlew krwi, który dokonuje się wszędzie wokół niego. Bycie kapłanem podczas tej wojny wymagało pewnego stopnia oderwania od rzeczywistości.

Wiedziałam, jak to jest wieść takie życie - dawało jakąś nielogiczną odporność, zmuszając do oddzielenia się od otoczenia. Trzeba się było oddzielić, wyrwać z kłębiącego się wokół nas kontekstu. Nie było innego wyjścia. Pozwolenie sobie na zostanie częścią świata w pewnym sensie oznaczało śmierć. (To dziwne, że tak myślisz, Janice, ponieważ przez większość czasu, gdy akurat nie byłem zajęty pracą, opracowywałem teorie historyczne stojące w sprzeczności z tą opinią. Dla mnie wojenne wydarzenia - chaos - naśladowały najgorsze cechy naszego niepewnego związku z Mary. Moje własne ciało wydawało się zdolne do wyrażania emocji poprzez transformację. Tak jak czułem się ja, czuł się otaczający mnie świat, lub vice versa. Oczywiście nie wierzyłem, że to moje niepokoje wywołały konflikt - to był jedynie metaforyczny związek, ale przez to wcale nie słabszy. Czyż nie jest

prawdą, zacząłem myśleć, że historyk może najlepiej objaśnić te okresy w dziejach, które najdokładniej imitują wydarzenia lub istotne emocje z jego własnego życia?).

Jestem pewna, że niektórzy ze stałych klientów Spory Szarego Kapelusza pamiętają wojenne szaleństwo - bez wątpienia jest wśród nich wystarczająco dużo posiwiających bród i zrzedzących głosów. Nawet to zielone szkło, które stanowi jedyne źródło światła poza świeczkami - szkło zniekształcające szybkie, rytmiczne ruchy chodzących, pod których stopami skrzypią deski i którzy chaotycznie akcentują swoje kroki stuknięciami laski - doświadczyło wojny: powstało na skutek zespolenia przezroczystej szyby z grzybową bombą. Efekt jest piękny, choć niezamierzony. (A skoro szkło co jakiś czas zmienia się i przekształca, kto wie, czy już osiągnęło ostateczną formę? Być może przemieni się w coś zupełnie innego).

Nie zastanawiały mnie jednak intensywność ani skala konfliktu, lecz natura wykorzystywanych broni. Zupełnie jakby szare kapelusze w przebraniu wyszły na powierzchnię i zaczęły nas mordować. Pistolety strzelały grzybowymi pociskami, które po trafieniu w ciało zakopywały się głęboko w tętnicach i zmieniały je w arterie spór - te twardniały w ciągu paru sekund, czyniąc ofiarę twardą i kruchą jak korale z Południowych Wysp. Niektóre specjalne gatunki grzybów mogły służyć jako bomby, miny lub granaty, błyskawicznie rozkładając ciało lub uwalniając zarodniki, które dusiły ofiarę. Wkrótce również telefony stały się niebezpieczne, używano ich bowiem jako nośników śmierci - ofiara podnosiła słuchawkę, po czym słyszała wysoki wrzask, rozsadzający jej bębenki i serce (ten wrzask bardzo przypominał odgłos przypisywany olbrzymim „szarym grzybom wielorybim”, których wyraźnie przybyło w Ambergris bezpośrednio przed Ciszą). Brat Henry'ego Hoegbottona, Frederick, zginął w ten sposób, podobnie jak kilku innych kupców. Czy F&L zdawali sobie sprawę z tego, co robią, gdy znaleźli sposób na zdobycie broni od szarych kapeluszy? Zapewne nie. Pewnie nie mieli pojęcia. Po prostu zależało im na efektach.

Jeden z naszych pierwszych wspólnych reportaży poruszał kwestię nowych broni.

Bomby jako chleb

D J. Shriek

W zeszły weekend światło dzienne ujrzała nowa niepokojąca informacja dotycząca broni wykorzystywanych przez Dom Lewdena: są jadalne. W niektórych częściach Dzielnicy Kupieckiej, która w ostatnich tygodniach została poważnie zniszczona na skutek bombardowań, ci, którzy przeżyli, przetrząsają gruzy nie w poszukiwaniu innych ocalałych bądź ciał najbliższych, lecz bomb.

Doktor Alan Self, fizyk zatrudniony przez milicję Domu Hoegbottona, potwierdza te rewelacje i wyjaśnia: „Nie wiem, jak to się zaczęło, ale z powodu braku pożywienia w niektórych częściach miasta wygłodniaли ludzie zaczęli zjadać pozostałości piekielnych grzybowych bomb Domu Lewdena”.

Rdzeń tych bomb nie wybucha, lecz służy jako nośnik bomby - pewnego rodzaju balast. Jest on bogaty w białko i jak dotąd wydaje się, że nie ma żadnych szkodliwych skutków ubocznych.

Najwyraźniej dotyczy to także niektórych rodzajów grzybowych pocisków.

„Charakteryzuje je krótki okres połowicznego rozpadu”, tłumaczy Sarah Mindle, jedna z wielu osób zwerbowanych przez Hoegbottona do tej coraz bardziej bezładnej wojny domowej. „Po mniej więcej pięciu godzinach większość z nich staje się beczynna, nieszkodliwa”.

Pożywe pociski są także zbierane przez biedotę oraz osoby odcięte od źródeł pożywienia przez barykady i oddziały milicyjne różnych wrogich frakcji. Oczywiście szukanie pocisków bywa ryzykowne. Ustalenie, kiedy stają się nieszkodliwe, wymaga specjalnych umiejętności.

„Czekam, aż [pociski] stracą fioletowy odcień”, powiedział nam Charles Jarkens. Jarkens jest bezdomnym, którego żona zginęła podczas jednego z bombardowań na początku wojny. „Czekam na to, a potem czekam, aż staną się lekko pomarańczowe wokół podstawy. Wtedy wiem, że można je zjeść”.

Według niepotwierdzonych i szokujących doniesień pewna rodzina, której syn został zabity przez grad takich pocisków, posunęła się do wydobywania ich z jego ciała i zjedzenia.

Jak dotąd nikt nie potrafi wytłumaczyć, w jaki sposób Dom Lewdena wszedł w posiadanie takiego uzbrojenia, a także dlaczego Hoegbotton i Synowie nie używają przechwyconej broni przeciwko F&L. Niektórzy spekulują, że blokada Ambergris przez okręty F&L doprowadziła do tak znacznego ograniczenia zapasów żywności oddziałów milicyjnych Hoegbottona, że broń Lewdena jest rozmyślnie detonowana i wykorzystywana jako żywność.

Jak można się było spodziewać, takie prowokacyjne artykuły doprowadzały do częstego bombardowania biur Laconda, aż w końcu musiał pod osłoną nocy przenieść prasy drukarskie do sekretnej kryjówki w lasach na przedmieściach Ambergris.

- Niech teraz spróbują mnie powstrzymać! - wołał buńczucznie, czerwieniejąc na twarzy. - Te napuszone, mordercze świny mogą mnie wysadzać w powietrze jak często chcą, a prasy i tak będą drukować! (Muszę przyznać, że wojna na jakiś czas dodała Lacondowi animuszu).

Dopóki wystarczało paliwa, pojazdy każdego ranka dostarczały gazety, a szybcy gońcy - zazwyczaj chłopcy i dziewczęta w wieku od dziesięciu do piętnastu lat, jedyna grupa, która była wystarczająco wytrzymała, a jednocześnie nie została powołana do oddziałów milicyjnych Hoegbottona - roznosili je do kilku bezpiecznych lub neutralnych miejsc, gdzie od razu były wyprzedawane. Dystrybucja wiązała się z ryzykiem i czasami nasi gońcy nie wracali. Sybel przez jakiś czas się w to angażował, ale nie wytrzymał nerwowo.

- Nie zniosę tego - powiedział mi pewnego ranka. Wokół jego oczu wykwitły ciemne kręgi, gwałtownie mrugał, a jego lewa ręka drżała w niekontrolowany sposób niezależnie od nastroju. - Nie zniosę tego. Nie zniosę. (Tak naprawdę nie mógł znieść jednoczesnej pracy na tyłu frontach. Chociaż rzeczywiście miał kilka nieprzyjemnych kontaktów z milicjantami, którzy obrabowali go z bronią w rękę, oraz z bombami).

Do tego czasu Lacond zdążył zachwycić się naszą pracą, pozwalał więc nam korzystać z pomocy Sybela podczas naszych misji, co wcale nie oznaczało, że Sybel był bezpieczniejszy - po prostu podejmował innego rodzaju ryzyko.

- Chyba wykonujecie kawał dobrej roboty - powiedział nam Lacond, gdy pewnego razu siedzieliśmy we trójkę na podłodze w jego gabinecie, spoceni i wyczerpani. - Obie strony chcą dostać wasze głowy na tacy.

Dlatego uznaliśmy, że mądrzej będzie publikować nasze reportaże pod pseudonimami, na przykład Michael Smith i Sarah Pickle. Zaczęłam nawet nocować poza domem, w różnych miejscach, rzadko wracając do swojego mieszkania, bojąc się, że dostanę grzybową kulka w tył głowy.

A jednak bywały takie dni, w niektórych częściach miasta, gdy można było przejść kilkanaście ulic i nie zauważyć, że toczy się wojna - jeśli udało się przekonać samego siebie, że huk moździerzy to odgłosy burzy. Targowiska były otwarte, ludzie szli do pracy, telefony działały (mimo że mało kto chciał z nich korzystać), restauracje podawały potrawy, które udało im się przygotować. Z powodów politycznych w Dzielnicy Religijnej wciąż było w miarę bezpiecznie, a H&S i F&L spokojnie handlowały tam jedzeniem i ubraniami - czasami

prowadząc zażarte walki zaledwie kilka ulic dalej. (Wojna była także szansą dla rdzennych plemion, zwłaszcza Dogghe'ów, by zarobić krocie na dostawach jedzenia i kolaboracji z wrogiem - którymkolwiek). Kilka razy nawet udało mi się spotkać artystów i właścicieli galerii, którzy znów zaczęli obdarzać mnie szacunkiem ze względu na mój nowy zawód.

To okazjonalne poczucie bezpieczeństwa częściowo było spowodowane okopaniem się obu stron konfliktu na swoich pozycjach po siedmiu lub ośmiu miesiącach wojny. Pierwotnie Dom Lewdena zamierzał uderzyć na południowy wschód oraz południowy zachód i przejąć kontrolę nad główną siedzibą H&S i nabrzeżem. Jednakże po kilku ostrych potyczkach, pole działania F&L zostało ograniczone do jednej trzeciej powierzchni Ambergris na północy. Dom Lewdena kontrolował część nabrzeża i Bulwaru Albumuth, ale nie mógł się przebić do głównej siedziby H&S. Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, Dom Hoegbottona odnalazł morale i dyscyplinę, które pozwoliły mu utrzymać swoje pozycje. W ten sposób „linia frontu” się ustabilizowała, nie licząc przenikających przez nią szpiegów, zdradzieckich ataków, a w końcu także ostrzału mózdzierzowego Kalifa. Regularność frontu zapewniała nam względny spokój. (Ja nigdy się nie uspokoiłem. Ten konflikt od samego początku mnie martwił. Niepokoiło mnie, że nie potrafię odgadnąć motywów zaangażowania szarych kapeluszy. Nigdy wcześniej nie opowiadali się po żadnej stronie, a wręcz wydawało się, że nie dostrzegają różnic pomiędzy poszczególnymi frakcjami - albo dostrzegają, ale ich one nie obchodzą. Dlaczego teraz mieliby zmienić taktykę? Poza tym wszędzie była ich broń, lecz oni sami pozostawali w ukryciu).

To jednak nie mogło trwać wiecznie. Miastu groziło, że przestanie być miastem, a zmieni się w kupę gruzu spowitą czarnym dymem i zasypaną stertami ciał - że stanie się dwudziestoma różnymi miastami, które tylko umownie utworzą kraj zwany „Ambergris”.

Duncan to wyczuwał, ale nie potrafił tego wyrazić. (Przeczuwałem to w głębi mego stale zmieniającego się ciała, nie mogłem jednak na to nic poradzić).

- Zbliżamy się do końca - powiedział pewnego wieczoru osiemnaście miesięcy po wybuchu wojny, gdy siedzieliśmy w tłących się ruinach kawiarni „Pod Czerwonogardłym Cielaczkim”. Był to mniej więcej neutralny grunt, odkąd ogień mózdzierzy zburzył lokal. Przynajmniej mogliśmy liczyć na to, że nikt nie będzie próbował nas zabić, gdy siedzieliśmy schowani za przewróconymi stołami i kilkoma strategicznie rozmieszczonymi krzewami. Obsługa była skandaliczna, ale trzeba wziąć pod uwagę fakt, że wszyscy kelnerzy zginęli.

Duncan był blady, ale cały, na twarzy umazany błotem, pokryty zaczerwienionymi, podrażnionymi skaleczeniami. Raczyliśmy się kilkoma butelkami znakomitego *ale*

Fantastycznego Teda, które znaleźliśmy w opuszczonym magazynie, cudem ocalałego pod przewróconymi, roztrzaskanymi drzwiami.

- Do końca? - drążyłam.

- Tak - odparł i pociągnął długi łyk piwa. - Zbliżamy się do końca. Coś musi pęknąć. Coś musi się popsuć. Zmienić się. To nie może tak dalek trwać. Nie może.

- Jak dotąd całkiem dobrze sobie radzi, Duncanie - przypomniałam. Łyknęłam piwa. Było ciepłe, niemal gorące, ale wciąż przyjemnie aromatyczne.

- Może po prostu ja nie potrafię dłużej tak funkcjonować.

- Chodzi ci o otrzymywanie zapłaty w jajkach, kalafiorach i mleku?

Roześmiał się, ale wiedziałam, że ma na myśli Mary, zawsze Mary. Jak wyrazić przenikanie się wojny ze spokojem domowego zacisza?

W przypadku Duncana właśnie to był okres niezmaconego szczęścia - te kilka miesięcy, nim zaczęli się nawzajem rozrywać na kawałki, gdy cieszył się ciałem i umysłem Mary w mieszkanku, które ze sobą dzielili. Dwa miesiące wcześniej Mary uwolniła się od zobowiązań wobec Akademii, kończąc studia z wyróżnieniem. Bonmot już nie miał nad nią władzy, jeśli nie liczyć wdzięczności, jaką wobec niego odczuwała. Wprowadziła się razem z Duncanem do małego mieszkania w okolicach Bulwaru Albumuth. Miły układzik. W swoim dzienniku mój brat dzielił się zadowoleniem, które stanowiło wytchnienie od jego naziemnych i podziemnych przygód. Zupełnie jakby Manzikert I przyznawał się, że lubi szyć.

„Wstaję wcześnie, by zaparzyć herbatę w czajniczku i przyrządzić kilka jajek. Mamy takie same podkładki pod nakrycia, ale talerze są zupełnie pomieszane. Kilka kupionych przeze mnie jest ozdobionych jakimś białym motywem, a pozostałe, które Mary wykradła z domu swojego ojca, mają ozdobny wzór w formie bluszczu. Moje podobają mi się bardziej. Ale widelce wszystkie są takie same”.

Zupełnie jakby postradał zmysły. Czyżby nie wiedział, że ród Shrieków jest skazany na tułaczkę nad i pod ziemią, niczym najmniej zasiedzali nomadzi z ludu Skamoo? Albo jak wędrujące w poszukiwaniu pożywienia armie potępionego niewiernego Stretchera Jonesa? (Nie, z pewnością o tym nie wiedziałem, Janice. Przed śmiercią taty byliśmy typowymi domatorami. Nic nie burzyło naszego domowego szczęścia. Poza tym uważam, że bez tego kruchego spokoju nie przetrwalibyśmy wojny. To dziwne, jakie wspomnienia z nami pozostają. Wciąż pamiętam tamten wzorek w kształcie bluszczu i przyjemność, jaką dała

Mary kradzież talerzy, a także drobne i trochę większe pęknięcia, które z czasem się na nich pojawiły pod wpływem nieustającego echa bombardowań).

To, co w moim życiu zawsze przypominało żywe srebro, intensywny żar piesszczot, który z czasem blaknął w mojej pamięci, u Duncana toczyło się powoli i ślamazarnie, nigdy nie oddalając się od jego myśli. Oto kolejny typowy wpis, który pojawił się kilka tygodni później:

„Poranek: blask słońca i ona. Nie jestem pewien, którym z nich jestem bardziej zauroczony. Ta wolność po długotrwałym cierpieniu wydaje się niemal nierzeczywista. Ona jest tutaj, przede mną, śpi. Mogę się jej przyglądać do woli - katalogować elementy jej piękna, od różanych ust, przez niewielkie wgłębienie nad górą wargą, delikatną linię nosa, długie rzęsy okalające zamknięte oczy, aż po szyję subtelnie opadającą ku lekko piegowatej ręce, która w nocy wyslizgnęła się spod kołdry. Powinienem ją obudzić. Powinienem. Ale nie potrafię. Jest teraz tak spokojna, w przeciwieństwie do świata na zewnątrz. Obserwując ją, nabieram sił, których chciałbym jej użyczyć, gdy się obudzi. Muszę kończyć - znów rozlega się huk mózdzierzy, a ona zaczyna się poruszać”. (To udany wpis, nawet jeśli nie jest typowy dla stanu, w jakim przeważnie się znajdowałem. Czuję się niemal tak, jakbym za jego pomocą próbował sam siebie przekonać, czując grozę otaczającego nas świata. Wracalem do niej każdego wieczoru po wielogodzinnej ciężkiej, niebezpiecznej pracy. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach trudno byłoby mnie nazwać stałym kochankiem. Ale gdy wokół wybuchały bomby, pociski z rykiem wbijały się w ulice zaledwie kilka przecznic od nas, a oddziały milicyjne posługiwały się chaotyczną przemocą, byłem wyjątkowo niestały. Czasami niebezpieczeństwo zbliżało nas do siebie, a wtedy nie potrzebowaliśmy słów ani innych ograniczeń jak w Akademii. Wtedy było dobrze. Ale przez pozostałą część czasu z trudem starałem się ją kochać pomimo pełnej napięcia, klaustrofobicznej atmosfery. Przyznaję - nie dało się zachować klimatu zakazanej miłości, który towarzyszył nocnemu skradaniu się do jej pokoju. Stałem się mężczyzną, który chrapie w nocy, a czasami zrywa się ze snu, krztusząc się sporami wypełniającymi gardło. Chyba od początku się mnie bała. Wcześniej nie widziała tego wszystkiego. Nie była na mnie gotowa.

Była odważna pod wieloma względami, ale nie w ten sposób. I nie mogę jej za to winić).

Siedzieliśmy w kawiarni i patrzyliśmy, jak po przeciwległej stronie ulicy sześciu żołnierzy nieregularnych oddziałów Hoegbottona zajmuje pozycje za drzewami i zaczyna strzelać w stronę budynków, z których, wirując, nadlatywały charakterystyczne karmazynowe pociski nazywane „Specjalnością Lewdena”. Dwaj ludzie Hoegbottona upadli, wijąc się na ziemi i kurczowo trzymając za pierś. Jeden ze zwolenników F&L wypadł z drugiego piętra jednego z ostrzeliwanych budynków i przy wtórze głuchego wilgotnego huku wylądował na chodniku, zmieniając się w niewyraźną masę krwi i kości.

A my tylko siedzieliśmy, obserwując i pijąc piwo. Było spokojnie w porównaniu z tym, co widzieliśmy wcześniej. Nie działo się nic niespodziewanego. Musieliśmy się skupiać na rzeczach ważnych; nie mieliśmy czasu na nic więcej. Więc siedzieliśmy tam i rozmawialiśmy przez kolejne pół godziny, podczas gdy ludzie zabijali się po drugiej stronie ulicy.

Oczywiście potem Kalif zaatakował podczas wieczornego przedstawienia w operze i nagle zyskaliśmy nowy temat, o którym mogliśmy pisać.

Ludzie Kalifa okrążają miasto

Druga faza okupacji?

Indywidualna opinia

D.J. Shriek

W przeszłości Kalif podarował nam telefony, broń palną i wybór pysznych serów. Wydaje się, że obecny Kalif pragnie nam dać dwie rzeczy, których mamy w nadmiarze: bomby i wojnę.

Najwyraźniej nie zapamiętał podstawowych lekcji, jakich uczy historia. Podczas pierwszej Okupacji, przed Ciszą, obywatele Ambergris na jakiś czas zapomnieli o małosłownych sprzeczkach i wspólnie zniechęcili, po czym pokonali Zachodniego Wroga.

Teraz Kalif powrócił, zasypując miasto mózdzierzowymi pociskami wystrzeliwanymi spoza jego granic. Nie licząc jednego krótkiego wypadu, który przeprowadził zapewne tylko w celu odebrania nam radości ze skromnego, lecz przyjemnego przedstawienia, Kalif niechętnie posyła swoje

oddziały na nasze ulice. Prawdopodobnie uważa, że nie będzie musiał wkraczać do miasta, gdyż sami skapitulujemy jak jacyś nieudacznicy ze Stockton.

Może się jednak mylić. Wygląda na to, że jego działania zjednoczyły wrogów, którzy wcześniej nie mieli ze sobą niż wspólnego poza spójnikiem w nazwie.

Wczoraj na Bulwarze Albumuth widzieliśmy część dwunastego oddziału milicji Domu Lewdena oraz piątego oddziału nieregularnej piechoty Domu Hoegbottona (czyli „Brudasów”, jak się ich potocznie nazywa) wspólnie zmierzające w stronę nabrzeża w celu usunięcia wszystkich ludzi Kalifa, którzy mieli pecha wciąż przebywać w okolicy.

Poza tymi poszlakami mamy informacje z poważnych źródeł, że Hoegbotton i Synowie oraz Frankwithe i Lewden mogą planować ogólne zawieszenie broni, którego celem będzie doprowadzenie do porażki Kalifa przed wznowieniem wzajemnych wrogich działań.

Gazety towarzyszące moździerzowemu ostrzałowi Kalifa także nie pomogły mu zdobyć sympatii obywateli. Według tych dziwacznych, postrzępionych listów miłosnych skierowanych do naszego wielkiego miasta Kalif przybył, aby „wyzwolić mieszkańców Ambergis spod jarzma chaosu i tyranii”.

„Szczerze mówiąc”, powiada przeciętny człowiek spotkany na ulicy (przynajmniej przeciętny wśród tych, którzy wciąż żyją i nie są podziurawieni grzybowymi pociskami), „myślałem, że sami nieźle sobie z tym radzimy. To nasza sprzeczka. Pomiędzy nami i tymi draniami z F&L. Kalif nie powinien się wtrącać”.

Gazety także informują, że „W celu zachowania cennych zabytków i zbiorowej mądrości Dzielnicy Religijnej, Kalif postanowił wkroczyć i zakończyć konflikt”.

Zaiste, „wkroczyć”.

Wielu z nas zastanawiało się, dlaczego Stockton, Nicea i inne miasta na południu nie włączyły się do konfliktu - w końcu rozłam pomiędzy dwoma domami w istotny sposób wpłynął na ich działalność handlową. Teraz już wiedzieliśmy, że odwołały się do wyższej instancji, i chociaż minęły dwa lata, zanim ta dostojna postać, Kalif, ich wysłuchała, to w

końcu tak się stało. Tak naprawdę wcale nie potrzebowała pretekstu, gdyż w sercu każdego Kalifa płonie pragnienie zemsty na naszym mieście za przeszłe porażki.

Wrzask moździerzowego ostrzału Kalifa - często przeprowadzanego na oślepienie lub nie w porę - w przyjemny sposób kontrastował z jękiem grzybowych pocisków i trajkotaniem broni Hoegbottona. (Moje ciało, podobnie jak miasto, było wtedy w stanie wojny. Burczenie w moim brzuchu, gdzie grzyby walczyły z grzybami - na co Mary często zwracała uwagę, gdy była w mniej życzliwym nastroju - siłą dorównywało inwazji Kalifa. Ostre bóle, które od czasu do czasu wyniszczały moją klatkę piersiową, były równie dotkliwe jak wirujące pociski przecinające niebo nad Ambergris).

Być może to jeszcze większe szaleństwo, ale gdy już się dowiedzieliśmy, że H&S i F&L zjednoczyli się przeciwko Kalifowi, nikt nie zwracał większej uwagi na jego oddziały. Nawet gdy w ramach dziennego wypadu dumnie przemaszerowały Bulwarem Albumuth w długiej kolumnie czerwieni, my ich zignorowaliśmy. Mieliśmy dosyć wojny. Albo nie potrafiliśmy przetrwać tego nowego zagrożenia, albo nie czuliśmy takiej potrzeby.

Właśnie tak stały sprawy tamtego roku na progu Festiwalu.

12

Nadeszła noc tak straszliwa, że nikt nie śmiał jej nazwać. Nadeszła noc tak straszliwa, że nie potrafiłam. Nadeszła noc tak straszliwa, że nikt nie potrafił jej wyjaśnić. Nadeszła najstraszliwsza z nocy. Nie, też niedobrze. Nadeszła najstraszliwsza z nocy, której nie sposób zapomnieć, wybaczyć, a nawet nazwać. Trochę lepiej, ale czasami wolę nie poprawiać. Niech słowa pozostaną surowe i niezdarnie rozczapierzone na stronie, tak jak to wyglądało w rzeczywistości.

Później zaproponowano takie określenia, jak „potworność”, „masakra” i „szaleństwo”, ale ja ich nie uznaję. Nie były i nie są w stanie przekazać tego, co powinny.

Czy mogliśmy się domyślić? Oderwać od bardziej bezpośrednich problemów na wystarczająco długo, by zrozumieć ostrzegawcze sygnały? Oczywiście teraz wszystko wydaje się jasne. Duncan twierdził, że wojna nie będzie trwała w nieskończoność w niezmienionej postaci, i miał rację.

Gdy Duncan i ja zobaczyliśmy ślepą, oślepiającą białą głowę Vossa Bendera spływającą rzeką Moth dwa dni przed Festiwalem, powinniśmy się byli czegoś domyślić.

- Nieczęsto widuje się coś takiego - zauważył Duncan, gdy siedzieliśmy na opustoszałym pomoście i patrzyliśmy, jak głowa oraz barka, która ją wiozła, powoli wypływają na środek rzeki. Świeciło niemrawe słońce przesłonięte kłębamii mgły.

- Ja nigdy czegoś takiego nie widziałam - odrzekłam.

Na polecenie F&L rozcięto ogromny marmurowy posąg Vossa Bendera, który przez prawie dwadzieścia lat stał w Dzielnicy Religijnej, po czym załadowano go kawałek po kawałku na barkę, w niezwykle zmyślny sposób wykorzystując przy tym bloki i dźwignie. Kawalki Bendera ze wszystkich stron otaczały jego olbrzymią, władczą, miażdżącą ciężką głowę, która za chwilę miała zniknąć w górze rzeki Moth. W słabym blasku słońca wyglądała na wyjątkowo bezbronną.

- Ciekawe, co sobie pomyślą ludzie, którzy mieszkają wzdłuż brzegów rzeki - powiedziałam.

- Co masz na myśli? - spytał Duncan.

- Czy uznają to za akt wyburzenia, zniszczenia boga, czy też pozostaną dziwnie niewzruszeni?

Duncan się roześmiał.

- Ja czuję się dziwnie niewzruszony.

Przyszedliśmy na pomost częściowo po to, by się odprężyć. Oboje nadal byliśmy odrobinę roztrzęsieni po otarciu się o śmierć poprzedniego dnia, gdy pojawiliśmy się w miejscu, w którym podobno doszło do ataku bombowego, a bomby wybuchły dopiero po naszym przybyciu. Miałam brudne włosy, z czarnymi pasmami powstałymi w skutek eksplozji, i poobcieraną twarz. Duncan stracił kawałek ucha, o wielkości paznokcia kciuka. Ucho już zaczęło się regenerować, co jednocześnie mnie fascynowało i przyprawiało o gęsią skórę. (Chcesz usłyszeć coś jeszcze bardziej fascynującego? Ono zostało oderwane już dawno temu).

- Myślę, że to smutne - powiedziałam. - Wywożą wszystkie nasze kosztowności jak pospolicci złodzieje.

Do tamtej pory wojska F&L zadowalały się bombardowaniem nas dniem i nocą jak opętane. Nieprzerwany potok dóbr, dzieł sztuki i rzeźb popłynął na północ dopiero w poprzednim tygodniu. Powinno to dla nas stanowić wyraźny sygnał, że wojna ponownie się zmieni. W końcu wydawało się, że Dom Lewdena, dysponujący grzybowymi minami, bombami i pociskami, ma bezpośrednie związki z pewną pozbawioną praw podziemną grupą.

- Szczerze mówiąc, Janice - odezwał się Duncan, zanurzając brzydkie palce u nóg w nurcie rzeki Moth - nie mam zamiaru przekonywać cię, że jest inaczej, ale uważam, że widok głowy Vossa Bendera butnie płynącej w dół rzeki jest bardzo zabawny. Tyle wysiłków ze strony F&L, i po co? Co niby zamierzają zrobić z tymi „szczątkami”, gdy już dotrą do Morrow? Przerobią marmur na kolumny w jakimś publicznym budynku? Ponownie złożą posąg? A jeśli tak, to gdzie go ustawią, na Truffa? Sami nie bardzo wiedzieliśmy, co z nim zrobić.

- Może masz rację - odrzekłam. - Co nie znaczy, że nie może mnie to smuć.

Czy już wspomniałam, że nadeszła najstraszliwsza z festiwalowych nocy? Spaliła Księgarnię Borgesa. Powstrzymała wojnę pomiędzy F&L i H&L. Powstrzymała także miłość łączącą Duncana i Mary. Zerwała ją. Unicestwiła. Na zawsze. (To prawda, że tamta noc zakończyła wiele rzeczy, ale Festiwal nie miał nic wspólnego z końcem mojego związku z Mary. Sam do tego doprowadziłem). Jeszcze nigdy nie było takiego Festiwalu, może poza czasami Płonącego Słońca. Być może już nigdy nie będzie podobnego. (A czy będzie potrzebny? Od czasu Zmiany, każdego tygodnia w jakiejś części miasta panuje chaos jak podczas Festiwalu).

Z tego co pamiętam, nasz ojciec nigdy nie miał nic do powiedzenia na temat Festiwalu. (Nieprawda. W swoim eseju „Kwestia Ambergris” napisał [parafrazuję z pamięci]: „Sercem tego miasta nie jest plac, budynek ani posąg, tylko wydarzenie: Festiwal Słodkowodnych Kałamarnic. To właśnie związana z nim otoczka wypełnia miasto alternatywną historią, która, gdybyśmy tylko potrafili zrozumieć jej odpływy i przyływy, a także nierozzerwalnie z nią związaną przemoc, pozwoliłaby nam zrozumieć Ambergris”. Takie stwierdzenia inspirowały mnie do wypraw badawczych w głąb miasta. Pamiętam, że gdy w młodości próbowałem czytać eseje ojca, rozumiałem z nich tylko fragmenty i przebliski. Uwielbiałem tę tajemnicę i atmosferę przygody, nowe pytania rodzące się z tego, co byłem w stanie zrozumieć). Jednakże powiedział nam kilka rzeczy o szarych kapeluszach. Pamiętam, że przy kolacji lubił rozprawiać o aktualnie prowadzonych badaniach. Nie miał daru budowania właściwej otoczki. Siedział przy stole i wpatrywał się w purée z ziemniaków, jedną ręką drapiąc się z tyłu głowy, a drugą grzebiąc widelcem w jedzeniu. Zawsze miał wtedy nieobecny wyraz twarzy, jakby nawet podczas rozmowy z nami rozważał coś w myślach. Czasami mamrotał coś rytmicznie pod nosem. Czasami rozmawiał z nami, ale tak naprawdę był gdzie indziej. W tamtych czasach pachniał limetami, gdyż nasza matka nalegała, by używał wody kolońskiej do zwalczania woni starych książek, którą nasiąkał w sali z rzadkimi woluminami w Bibliotece Miejskiej w Stockton. Ale, jako że ojciec nienawidził wody kolońskiej, zamiast tego kroił limety i namaszczał się ich sokiem. (Lubiłem tamten zapach książek i brakowało mi go, gdy zniknął - była to uspokajająca, staroświecka woń, zazwyczaj zmieszana z suchym aromatem dymu z cygar. Czuję, że jest to zapach wiedzy, a, by ją zdobyć, trzeba się solidnie napocić, choć nie za sprawą wysiłku fizycznego, lecz umysłowego. Dla mnie zatechły zapach książek i aromat cygar były wytworem pracujących mózgów).

Podczas jednej z takich kolacji podniósł na nas wzrok i powiedział:

- Tak naprawdę szare kapelusze są nieskomplikowane. Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. Dopóki twoje działania nie krzyżują im planów, nie dbają o to, co robisz, nawet jeśli sprawiasz im fizyczny ból. Ale jeśli w jakiś sposób uruchomisz zapalnik któregoś z ich „działań”, cóż, wtedy nic cię nie uratuje.

(Ja także to pamiętam. „Zapalnik”. Nigdy wcześniej nie słyszałem, by to słowo padło z jego ust. Dlaczego go użył? Nauczając w Akademii Blythe'a stosowałem ten termin w odniesieniu do Ciszy. Czy Cisza została spowodowana przez uruchomienie jakiegoś „zapalnika”, układ okoliczności, który sprawił, że szare kapelusze uznały, że mogą z powodzeniem włączyć swoją Maszynę? Jeśli tak, to dokładnie jakie bodźce mogły wchodzić

w grę? Czy możemy przewidzieć, kiedy zostanie podjęta kolejna taka próba? A jednak, nawet po szczegółowym przeanalizowaniu dawnych almanachów, historycznych relacji, dzieł licznych statystyków, takich jak Marmy Gort, i wszystkiego innego, co wpadło mi w ręce, nie potrafiłem ustalić tych skończonych, mierzalnych wartości, które mogły stworzyć idealne warunki. W końcu doszedłem do wniosku, że niezwykła zdolność szarych kapeluszy do gromadzenia informacji, w połączeniu z ich dodatkowymi zmysłami opartymi na sporach, sprawia, że nigdy nie poznamy prawdy. Nie powstrzymało mnie to przed kontynuowaniem badań. Ani przed dalszym stawianiem najważniejszego pytania: kto zbudował Maszynę? I do czego - dokładnie - ona służy?).

Podczas tegorocznego Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic mieliśmy się przekonać, co się stanie, gdy całe Ambergris wspólnie uruchomi zapalnik. Ponieważ ten zepsuty Festiwal był niczym antyteza Cisy, zesłany, by nas przekonać, że wszelkie pozory prawa w mieście to iluzja, która nie może istnieć, niezależnie czy uznamy, że spoczywają w dłoni otyłego, podstarzałego Hoegbottona, chudego, wiekowego Frankwrithe'a, czy pomarszczonego oblicza Kalifa, którego żadne z nas nigdy nie widziało.

Wieczorem w dniu Festiwalu czerwone słońce zaszło nad rzeką Moth. Większość papierowych lampionów, które wystawili ludzie, została zgnieciona przez gruzy lub pojazdy wrogich sił. Ludzie Kalifa wzmocnili ostrzał spoza miasta. Już nie udawali, że starają się celować, tylko uderzali na oślep, tak jak na ślepo podrywały się do lotu gołębice próbujące uniknąć złapania w krzyżowy ogień. Bomby równie dobrze mogły zburzyć szpital jak wartownię oddziałów Hoegbottona. Dlatego do umysłów ocalałych wkraść się fatalizm. To wszystko było równie przypadkowe jak atak serca. Po co martwić się czymś, przed czym nie sposób się obronić? Chodziliśmy więc po ulicach spokojnie jak przed wojną, gdy jeszcze nie musieliśmy kulić się przed prawdziwymi zagrożeniami, takimi jak grzybowa kulka wpakowana w głowę przez jakiegoś nadpobudliwego rekruta F&L.

Strzały nie robiły na mnie wrażenia. Za to gdy o zmroku wyglądałam przez okno swojego mieszkania, przerażały mnie liczne czerwone flagi.

Tego dnia, gdy wracaliśmy z naszych dziennikarskich misji, jeszcze przed oddaniem naszego, dziś już niesławnego, artykułu „Kalif chce głowy każdego Ambergrianina”, w mieście pojawiło się mnóstwo flag szarych kapeluszy - rapsodie czerwieni, które, tak samo jak wszechobecne grzyby, wydawały się bliskie utworzenia jakiegoś wzoru, przekazania jakiegoś komunikatu, by po chwili ponownie rozpaść się w chaos.

Gdy późnym popołudniem dotarliśmy do biur Laconda, wiatr przybrał na sile. Grzechotał żwirem w bocznych uliczkach. Przyniósł ze sobą dziwny przedwczesny półmrok oraz zapach, którego nikt nie potrafił rozpoznać. Czy była to woń rzeki? Wydawała się zarazem gorzka i przyjemna, ostra i niewyraźna.

Jak mógłby powiedzieć Martin Lake, w Ambergris zmieniło się światło.

Wyszliśmy z biur Laconda zmęczeni i senni; Duncan wrócił do mieszkania, które dzielił z Mary, a ja do swojego, także położonego przy Bulwarze Albumuth, ale znacznie dalej i w przeciwnym kierunku. (Nawet Lacond nie mógł wymagać, byśmy relacjonowali Festiwal. Nie w tamtym roku. Oddziały Kalifa były niewiadomą - wyprowadzały nas z równowagi tak samo jak nudny Festiwal w poprzednim roku). Sybel postanowił przyjąć moje zaproszenie i u mnie przenocować, na wszelki wypadek. Mieliśmy albo wspólnie świętować Festiwal, albo się przed nim bronić. (Pozostawiłem liczne zabezpieczenia; przykro mi, że okazały się niewystarczające). Wszyscy przeżyliśmy wiele Festiwali. Byliśmy zawodowcami. Potrafiliśmy sobie poradzić.

Rozważałam wybranie się do rezydencji matki, ale Duncan zapewnił mnie, że potrafi zapewnić jej bezpieczeństwo. (Była bezpieczna z kilku powodów, z których dość istotnym było jej miejsce pobytu: położone wystarczająco daleko w górę rzeki, by ludzie Kalifa nie zajęli jej domu, i wystarczająco daleko od Ambergris, by nie doznała żadnej krzywdy ze strony szarych kapeluszy).

Zmierzch zmienił się w noc, zanim pojawił się Sybel, zdyszany po biegu. Wpuściłam go i zarygłowałam drzwi.

- Nie jest dobrze - powiedział, z trudem łapiąc oddech. - Drzewa są takie nieruchome. Panuje cisza, która... myślę, że właśnie tak musiało to wyglądać podczas Ciszy.

Cóż za myśl. Zakręciło mi się w głowie od przerażenia połączonego z podekscytowaniem. Co, jeśli dziś w nocy doświadczymy tego, czego doświadczyło dwadzieścia pięć tysięcy ludzi podczas Ciszy, a miasto, jak przepowiadał Duncan, stanie się obiektem kolejnego wielkiego eksperymentu?

- Bzdura - odparłam. - To tylko kolejny Festiwal. Pomóż mi. Przepchnęliśmy kilka szafek pod drzwi.

- To powinno wystarczyć.

Z zewnątrz dobiegały krzyki kilkudziesięciu pijanych młodzieńców, którzy zataczali się po ulicy.

- Śmierć Kalifowi! - usłyszałam, po czym nastąpiła lawina przekleństw.

- Będą mieli szczęście, jeśli przeżyją choćby godzinę - rzekł Sybel. - I to nie Kalif ich zabije.

- Od kiedy jesteś taki wesoły? - spytałam.

Spojrzał na mnie, po czym wrócił do ładowania broni. Mieliliśmy pistolety i noże, które Sybelowi udało się kupić od jednego z oficerów Kalifa. Kwitł czarnorynkowy handel. Niektórzy żartownisie spekulowali, że Kalif dokonał inwazji na Ambergris po to, by wywołać popyt na nadwyżki broni.

Tymczasem szare kapelusze miały spory, grzybowe bomby i Truff jeden wie co jeszcze.

- Myślisz, że tutaj jesteśmy dużo bezpieczniejsi? - spytałam.

Sybel się uśmiechnął.

- Nie. Niedużo bezpieczniejsi.

Tamtego wieczoru wyczuwałam w nim więcej niż odrobinę niepewności pomieszanej z uczuciem, na które niezwykle rzadko sobie pozwalał: zadowoleniem. (Wydawało Ci się rzadkie, ponieważ nigdy nie widziałas go w jego żywiole).

Jeszcze długo nie zabijaliśmy okien deskami, obawiając się, że przestaniemy się orientować, co się dzieje na zewnątrz. Księżyc w pełni, zniekształcony i rozmyty, opuszczał się po ciemniejącym niebie.

Przez poplamioną i zamgloną szybę patrzyliśmy na przechodzących lub przebiegających uczestników Festiwalu. Klauni, magicy, ludzie na szczudłach i zwykli obywatele pozbawieni szczególnych talentów, którzy włożyli jaskrawe stroje i wyszli na ulice, gdyż - nie ma co ukrywać - w samym środku wojny Festiwal raczej nie mógł znacząco pogorszyć sytuacji. Co prawda, bez olbrzymiego napływu gości z innych miast w uroczystościach brało udział znacznie mniej osób niż zazwyczaj, ale Sybel i ja zgodziliśmy się, że tegoroczny Festiwal ma większy potencjał, niż przewidywali tak zwani specjaliści. (Wliczając nas, Janice, w naszej gazetowej rubryce).

Potem uczestnicy zabawy zaczęli się rozchodzić. Wkrótce grupki się przeredziły i widywaliśmy tylko ludzi przechodzących pojedynczo lub dwójkami, pijanych i lekkomyślnych albo czujnych i pospiesznie zmierzających do celu. Od czasu do czasu coś wybuchało w tle, ludzie Kalifa bowiem nie odpuszczali. Jaskrawopomarańczowe płomienie towarzyszące wstrząsającym eksplozjom dziwnie nas uspokajały. Oczywiście dopóki pojawiały się daleko od nas. Przynajmniej wiedzieliśmy, skąd pochodzą. (Tak, to On ofiarowywał nam je z całą siłą Swej dobrotliwej, choć oschłej miłości).

Sybel i ja wyglądaliśmy przez okno, jakbyśmy po raz ostatni oglądali świat.

- Pamiętasz, jak w Festiwalowe noce organizowaliśmy przyjęcia w opuszczonych kościołach? - odezwał się Sybel. Wtedy, w tamtym świetle, wyglądał bardzo staro, a wokół jego oczu i ust wyraźnie było widać zmarszczki.

- Tak, pamiętam - odpowiedziałam z uśmiechem. - To była świetna zabawa. Naprawdę.

Przynajmniej lepsza niż wojna. Nie chciałam jednak wracać do tamtych dni.

Sybel odwzajemnił mój uśmiech. Czy kiedykolwiek byliśmy sobie bliscy? Teraz wyteżam pamięć, myśląc o spojrzeniach, które wtedy wymieniliśmy. Nie, nie byliśmy sobie bliscy, ale dobrze się ze sobą czuliśmy, a to coś niemal jeszcze bardziej intymnego. Podczas przygotowań do niezliczonych przyjęć, gdy codziennie widywałam Sybela w swojej galerii, zawiązała się między nami głęboka sympatia.

- Może po wojnie będę mogła... - Te słowa wydały mi się tak wielkim kłamstwem, że nie potrafiłam kontynuować. - Może galeria będzie mogła...

Sybel pokiwał głową i odwrócił wzrok, najwyraźniej zażenowany.

- Byłoby świetnie - odrzekł.

Dalej obserwowaliśmy miasto przez okno: zabarwiony grzybami, stale zmieniający się obraz.

W końcu się zaczęło, co najmniej trzy godziny po zmroku. Do miasta zakradł się spokój. Na ulicach pozostali tylko biegający uzbrojeni ludzie. W pewnej chwili pośpiesznie minął nas tuzin członków milicji Hoegbottona, pędzących w zwartej formacji, z bronią lśniąca w blasku pożarów. Potem przez jakiś czas nic się nie działo. W świetle księżyca oraz jednej lub dwóch trzeszczących latarni widzieliśmy aleję, którą nikt nie chodził, tak bezwietrzną, że zmięte gazety leżące na chodniku trwały w całkowitym bezruchu.

- Zbliża się - szepnął Sybel. - Nie wiem, co to jest, ale wkrótce się wydarzy.

- Bzdury - odparłam. - To tylko chwilowa cisza.

Mimo to ogarnął mnie niepokój, podobnie jak całe miasto. Zaległ mi w gardle, brzuchu, nogach. Na swój sposób również wiedziałam, że to się zbliża, czułam to niczym fizyczną obecność. Jakby moje nerwy były nerwami miasta. Coś wkroczyło do Ambergris. (Spory szarych kapeluszy pełzły przez Twój układ nerwowy, wzbudzając strach i wątpliwości, zgodnie z planem. Mogłam dodać antidotum do Twojego jedzenia, ale przeciwko atakom podejmowanym z pełną siłą działa ono tylko przez jakiś czas).

Zgasły uliczne latarnie.

Wydawało się, że nawet księżyc zamigotał i trochę zbladł. Potem latarnie ponownie się zapaliły - wszystkie - ale miały grzybowy zielony kolor i prawie nie dawały światła. Zamiast tego ich fałszywy blask tworzył mgłę, zamieszanie, strach.

Sybel zaklął.

- Może powinniśmy zabarykadować okno? - spytałam.

- Jeszcze nie - odparł Sybel. - Jeszcze nie. Wiesz, może to już koniec. Może... - Teraz to on nie dokończył. Oboje wiedzieliśmy, że to niemożliwe.

Na ulicy poniżej znów zaczęli się pojawiać ludzie. Tym razem uciekali w panice. Nie mogliśmy im pomóc, nie wystawiając się na niebezpieczeństwo, więc tylko patrzyliśmy przez okno, zastygli w bezruchu, nawet nie czując się winni. Przez nasze pole widzenia przebiegła kobieta bez butów, z długimi rozwianymi włosami. Miała szeroko otwarte usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Kilka sekund później coś pojawiło się w rynsztoku przy chodniku. Spróbowało się wyprostować jak człowiek, zatoczyło się groteskowo, po czym zrezygnowało z pozorów i skoczyło w ślad za kobietą, znikając nam z oczu. Ściągał je ryk mózdzierzowego ostrzału Kalifa.

- Co to było? - syknęłam do Sybela. - Co, na Truffa?

Sybel nie odpowiedział. Szeptał coś w swoim ojczystym języku, śpiewnym świergocie szczepu Nimblytodów. Nic nie rozumiałam, ale jego głos brzmiał kojąco. Tylko że moich nerwów już nie dało się ukoić.

Potem na ulicy pojawił się pełznący mężczyzna, którego ciągnęły za nogi jakieś postaci kryjące się w cieniu. A jednak wciąż się czołgał, pomimo strachu, pomimo wątplenia. Aż w końcu, gdy mózdzierze Kalifa wydały z siebie wyjątkowo hałaśliwy okrzyk, coś ściągnęło go z ulicy.

Znów zapanowała cisza. Wtedy już dygotałam. Zgrzytałam zębami. Nigdy nie rozumiałam, jak można mimowolnie zgrzytać zębami albo nimi szczekać, gdy akurat się nie zgrzyta. Sybel nakłonił mnie do zaciśnięcia zębów na kawałku materiału.

- Chodzi o odgłos - szepnęłam. - Usłyszą cię. (Jeśli Cię usłyszeli, to stało się tak dlatego, że „usłyszeli” moje zabezpieczenia na drzwiach twojego mieszkania - moja próba niesienia pomocy mogła zamiast tego wystawić Cię na niebezpieczeństwo).

Ulica była opustoszała, nie licząc niewyraźnych kształtów na granicy pola widzenia.

Nagle ostrzał z mózdzierzy, który prowadzono stopniowo po okręgu wokół miasta, stał się chaotyczny. Kilka wybuchów nastąpiło w jednej chwili, blisko nas, a charakterystyczny gwizd towarzyszący zniszczeniu zabrzmiał tak banalnie, że początkowo nawet nie pomyślałam o zagrożeniu. Sufit podskoczył, podłoga zadrżała, opadł kurz.

Potem nic się nie działo przez kilka minut. Wreszcie nastąpiła kolejna erupcja wybuchów, trochę dalej. Na obrzeżach Ambergris eksplozje płomieni rozświetliły nocne niebo, bielsze niż księżyc. Powoli, gdy pożary się rozprzestrzeniły, stało się jasne, że pożoga utworzyła okrąg wokół Ambergris.

Patrzyliśmy, jak ogień się rozszerza, i milczeliśmy, nie potrafiąc słowami wyrazić odczuwanego niepokoju.

Po chwili Sybel odezwał się bezbarwnym głosem:

- Zauważyłaś?
- Co?
- Ktoś uciszył mózdzierze Kalifa.
- Tak, rzeczywiście - odrzekłam.

Nie mieliśmy żadnego racjonalnego dowodu na to, że pozycje Kalifa zostały zdobyte, lecz wiedzieliśmy, że tak się stało. Ktoś lub coś zaatakowało oddziały Kalifa. Ale nawet H&S lub F&L nie zaryzykowałiby ataku w całkowicie nieprzewidywalny wieczór Festiwalu.

Wtedy postanowiliśmy zabić okno deskami. Niektórych rzeczy lepiej nie oglądać, jeśli to tylko możliwe.

Czy mam wam opowiedzieć o zbrodni, którą w oczach Mary popełnił Duncan podczas Festiwalu? Podczas gdy Sybel i ja zabijaliśmy deskami okno w moim mieszkaniu, Duncan prowadził Mary w bezpieczne miejsce - chociaż nie takie, jakiego się spodziewała lub oczekiwała. Nie było to bezpieczeństwo, jakie zapewnia żywy naszyjnik uznania i szeptanych ciepłym głosem pochwał. Nie był to ten rodzaj bezpieczeństwa, który wzmacnia zaufanie lub miłość. Gdzie bowiem Duncan mógłby być bezpieczny, gdy na powierzchni panowała taka zawierucha? Myślę, że już wiecie, drodzy Czytelnicy, jeśli dotarliście do tego miejsca. Niektórzy z nas czytają, by odkrywać nowe rzeczy. Inni czytają, by odkrywać to, co już wiedzą. Duncan błędnie odczytał Mary. Wydawało mu się, że ją zna. Mylił się. Skąd to wiem? Tak mi powiedział jego dziennik. W nim jest wszystko.

„Zabrałem Mary pod ziemię, gdy na powierzchni szalał Festiwal. Niech Truff ma mnie w swojej opiece, ale to zrobiłem. Nie wiem, dlaczego przyszło mi do głowy, że przyniesie nam to cokolwiek dobrego poza zagwarantowaniem przetrwania. Ludzie Kalifa byli już niedaleko naszego domu, a czułem, że szare kapelusze zbliżają się jeszcze szybciej. Spory w mojej skórze podeszły pod powierzchnię i wskazywały w ich kierunku. Moja skóra dosłownie ciągnęła

mnie ku nim, pragnąc do nich dołączyć - tak blisko zdrady znalazło się moje ciało. Poza tym, zaledwie pięć domów dalej grupa gamoni z F&L biła do nieprzytomności jakąś staruszkę. Nie miałem wątpliwości, że wkrótce dotrą także do nas.

- Ufasz mi? - spytałam Mary. Była blada i dygotała. Nie spojrzała na mnie, ale pokiwała głową. Nie wiem, czy kiedykolwiek kochałem ją bardziej niż w tamtej chwili, gdy pozostawiała za sobą wszystko co znajome. Pocałowałem ją. - Weź kurtkę - poleciłem. - Przynies z kuchni manierkę.

A potem wyruszyliśmy. Miejsce, do którego zamierzałem ją zabrać, znajdowało się pod ziemią, ale rzadko przebywały tam szare kapelusze. Wejście leżało w połowie drogi pomiędzy naszym domem a zbirami z F&L. Musieliśmy się śpieszyć. Chcieliśmy przemknąć do szczurzej nory, zanim złapią nas inne szczury. Miałem na sobie swój szynel, który obsadziłem kilkoma gatunkami maskujących grzybów. Z jakiejś przyczyny niosłem parasol - już nie pamiętam po co. Pamiętam tylko, że żartowałem z Mary na jego temat, by choć trochę ją rozbawić. Ale była zbyt przerażona, sparaliżowana strachem. Naprawdę sędzę, że była pewna, iż oboje zginiemy. Na szczęście miałem wtedy mniej więcej ludzki wygląd, w przeciwnym razie zwariowałyby ze zgrozy. Kiedy nie da się liczyć nawet na to, że ukochany zachowa swoją postać...

Dotarliśmy do wejścia kilka minut przed zbirami z F&L - słyszeliśmy ich okrzyki i nawoływania, świst pochodni, woń słodko-gorzkiego rozkładu, która pokrywała każdego, kto zbyt długo miał kontakt z grzybową bronią - ale minęli nas, gdy schodziliśmy po drabinie w głąb otworu.

- Dokąd idziemy? - spytała mnie Mary. Nie wiem, czy naprawdę chciała poznać odpowiedź. Pachniała strachem, jej perfumy zjełczały.

- Cały czas idź za mną - powiedziałem. Widziała tylko ciemność, gdy dotarliśmy do końca drabiny i weszliśmy do tunelu, ale moje oczy się zmieniły. Widziałem rzeczy, których nie potrafiła dostrzec. Oznaczenia w tunelu. Wirujące kolory wydobywające się z mroku. Trzymałem ją za rękę - jej zimna dłoń zaciskała się na mojej jak szpony sokoła na ciele myszy - gdy szliśmy korytarzem. Było mokro - brodziliśmy w gęstej, płytkiej wodzie, a tunel zaczynał opadać, musieliśmy więc uważać, by się nie poślizgnąć. Poprzez ciemność widziałem ślepe oczy pewnego gatunku grzybów, ognistą zieleń pełzających mchów. W górze słyszeliśmy przytłumiony głuchy huk

towarzyszący bombardowaniu: pamiętam, że - choć to szalone - cieszyłem się z tego dźwięku. Z pewnością dzięki niemu Mary zrozumiała, że nie mogliśmy zostać na powierzchni?

Oczywiście, w ramach korygującej przeciwwagi, z dołu dolatywał obrzydliwy duszący smród. A potem, jakby w celu zaprzeczenia wszystkim moim pocieszającym słowom, rozległ się tupot. Chyba wtedy ostatecznie się załamała i wpadła w panikę. Odsunęła się ode mnie, chcąc zawrócić, uciec. Przytrzymałem ją za nadgarstek i nie chciałem puścić. Musiałem zasłonić jej usta dłonią, by powstrzymać ją przed krzykiem.

- Będziemy zgubieni, ukochana, jeśli wydasz z siebie choćby jeden dźwięk - powiedziałem. - Umrzemy. Rozumiesz?

Pokiwała głową, a ja odsunąłem rękę od jej ust. W słabym świetle jej oczy były białe i rozszerzone.

Odgłosy dobiegały z dołu, a ich źródło szybko się przemieszczało. Coś chciało się wydostać. Coś chciało dotrzeć na powierzchnię. Powstrzymanie tego czegoś nie należało do moich obowiązków, nawet gdybym mógł to uczynić, a nie mogłem. Nie było czasu na cokolwiek poza tym, co zrobiłem: wciągnąłem Mary pod szynel i popchnąłem na ścianę korytarza, tak że płaszcz zakrył nas oboje, a sam pokrył się ochronnymi sporami, które zaczęły zapuszczać korzenie i tworzyć zarodnie. Musiałem mieć nadzieję, że to wystarczy.

Odgłosy kroków i zapach stały się intensywniejsze. Widziałem, że Mary dusi w sobie krzyk. Trzęsła się, mocno przyciskając się do mnie całym ciałem. Nic w Akademii Blythe'a ani w jej stosunkowo krótkim życiu nie przygotowało jej na taką chwilę.

Nagle znalazły się wszędzie wokół nas - szare kapelusze, pędzące w górę tunelu, rozmawiające ze sobą za pomocą młaśnień i gwizdnieć. Jeden otarł się o mój płaszcz, lecz tak się śpieszyły, że nawet nie przystanąły i wkrótce znów zapadła cisza, nie licząc echa ich wędrówki ku powierzchni. Coś miało się wydarzyć tej nocy; intuicja mnie nie okłamała. Pod ziemią będzie znacznie bezpieczniej niż na powierzchni, tej nocy bowiem nawet szare kapelusze znajdują się na ulicach. Zadrzałem i przyciągnąłem Mary bliżej.

- Możesz iść dalej? - spytałem.

- Chyba tak - odpowiedziała, spokojniej niż poprzednio.

Potem wielokrotnie się zastanawiałem, czy właśnie to był ten moment - czy w tamtym tunelu, gdy minęły nas szare kapelusze, Mary podjęła decyzję. Czy wtedy postanowiła, że nie uwierzy w nic, co zobaczy, cokolwiek by to było. Czy uznała, że mnie wydziedziczy, zdyskredytuje z powodu tamtej chwili. Albo tej. Albo kolejnej. Nigdy nie będę miał pewności, ale i tak się zastanawiam. Dla mnie jednak ta chwila była pełna słodyczy: wahałem jej włosy, czułem ją obok siebie, wiedziałem, że oboje wciąż żyjemy i jesteśmy razem”.

Tymczasem, przy zabitym deskami oknie, Sybel i ja czekaliśmy w ciemności, aż wypełni się nasz własny los. Nie mogliśmy uciec do podziemi, zresztą nie uważaliśmy, by mogło tam być bezpieczniej niż w naszej kryjówce.

Od czasu do czasu słyszeliśmy dziwne odgłosy które nie mogły być prawdziwe - bulgotanie, krzyki i wrzaski, ale dziwnie zniekształcone, jakby dobiegały z oddali lub coś je zakłócało. Czasami wydawało nam się, że na ulicy pod naszym oknem żołnierze walczą na miecze. Słyszeliśmy odgłos liściastych pnączy błyskawicznie rosnących i splatających się ze sobą. Odgłos walących się budynków - głuchy, stłumiony ryk, a potem słodkie zmęczone westchnienie drewna lub kamieni uderzających o ziemię. Do mieszkania przedostawał się jakiś ostry, a jednocześnie zatechły zapach.

Sybel kołysał się w tył i w przód, obejmując rękami kolana.

- Powinniśmy stąd wyjść - powiedział. - Wydostać się z mieszkania. Znaleźć jakieś wysoko położone miejsce.

- Nie mów tak - odparłam. - Tutaj jest najbezpieczniej.

Uśmiechnął się i dziwnie na mnie popatrzył.

- Najbezpieczniej było w Księgarni Borgesa, a oni ją spalili.

Przerażał mnie.

Coś zaczęło drapać w drzwi, powoli i niepewnie. To mogło być cokolwiek. To mógł być wiatr. A jednak ze strachu nie mogłam oddychać. Każdy nerw w moim ciele ożył i wysyłał ostrzegawcze sygnały. Zamknęłam oczy na dłuższą chwilę, jakbym siłą woli chciała sprawić, by dźwięk umilkł. On jednak stał się jeszcze głośniejszy, pewniejszy, bardziej precyzyjny. Skrobanie. Do drzwi. W okno. Słyszałam, jak to coś węszy. Czyta nasz zapach. Zadrzałam, pochwycona w objęcia koszmaru. Gdybyśmy nie zabili okna deskami, to coś właśnie by na nas patrzyło.

Sybel jęknął i chwycił mnie za ramię.

- Janice, chyba musimy stąd uciekać.

Ścisłałam broń tak mocno, że bolały mnie knykcie.

- Ale dokąd możemy uciec, Sybelu? I jak się stąd wydostaniemy? To już chyba niemożliwe.

- Myślisz, że uda ci się prześlizgnąć przez okno w łazience? - spytał.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi - ale nie na spodziewanej wysokości, tylko niżej, znacznie niżej. Zdusiłam krzyk.

- Jest za blisko. Słyszysz nas. Słyszysz, jak rozmawiamy. Wie, co zamierzamy.

Trzymałam pistolet jak pałkę. Był beużyteczny. Strach zbyt głęboko we mnie wniknął. To nie przypominało myśli samobójczych. Z tamtym lękiem już potrafiłam sobie poradzić - ten lęk był zupełnie inny, nowy, nieznan.

Sybel chwycił mnie za ramiona i wyszeptał:

- Albo wyjdziemy przez okno w łazience, albo umrzemy. To coś tutaj wejdzie i nas zabije.

- Tak, Sybelu - odpowiedziałam szeptem - ale co zrobimy, jeśli jeden z nich już czeka przy oknie w łazience? Co, jeśli tam też się zaczęli?

Sybel wzruszył ramionami. Jego oczy płonęły dziwnym, fatalistycznym blaskiem.

- Wtedy to już nie będzie miało znaczenia. Będziemy martwi. Pójdę pierwszy. Jeśli mnie dopadną, wracaj do mieszkania, zamknij się w sypialni i czekaj na nadejście świtu.

Uściskałam go. Jeszcze nigdy nie byłam tak przerażona jak w tamtej chwili - nawet teraz, gdy spisuję tę relację. Nie wiem, co się ze mną stało. Widziałam okropieństwa wojny, nauczyłam się je katalogować z kliniczną precyzją, lecz to było coś bardziej osobistego.

Istota za drzwiami ponownie zapukała. Po czym przemówiła.

Odezwała się okropnym, wilgotnym głosem, jakby parodiowała ludzką mowę:

- Mam coś. Dla ciebie. Na pewno. Ci się spodoba.

Czy wtedy po raz pierwszy w historii Ambergris szary kapelusz lub istota wysłana przez szare kapelusze przemówiła do mieszkańca miasta? Z pewnością nie - historia jest usiana szczątkami tych, którzy odbyli takie rozmowy; było ich co najmniej tuzin albo dwa. A jednak tamtej nocy ponad sto osób przyznało się do takich kontaktów. Co to oznaczało? Wtedy w moim umyśle żadne znaczenie nie mogło się przebić przez warstwę strachu. (To nie znaczyło, tak jak w przypadku zmyślnego naśladowcy albo papugi. Wabik. Przynęta. Pułapka. Odwrócenie uwagi. W wykonaniu ich trutni. Dziś zastanawiam się, czy to był kolejny zwiastun Zmiany).

Przedostaliśmy się do tylnej części mieszkania, do łazienki. Pomogłam Sybelowi wspiąć się do okna. Za nami istota o wilgotnym głosie tukała w drzwi jak pijak i wydawała z siebie niski bulgoczący śmiech.

- Wpuść mnie! - powiedziała. - Wpuść mnie! Mam coś dla ciebie.

- Szybko! - zawołałam do Sybela, gdy mocował się z zasuwką. - Pospiesz się!

Uporał się z zasuwką, po czym spojrzał na mnie.

- Otwórz - poleciłam, czując, że do gardła podchodzi mi żółć.

Gdy otworzył okno, zadrżałam i przygotowałam broń.

Świeże powietrze wtargnęło do mieszkania. Świeże powietrze, odległe odgłosy walki, trochę bliższy ryk płomieni widocznych ponad sylwetkami dachów, ale nic więcej.

Sybel wy dostał się przez okno. Przyszła kolej na mnie.

Istota zaczęła tuc we frontowe drzwi. Zaniósła się śmiechem, który napływał potężnymi pomarszczonymi falami. Być może nawoływała swoich pobratymców. (Zbierała siły - dysponowała tylko zbiorową świadomością, była jedynie sumą swoich spór).

Stałam na sedesie i podciągnęłam się na parapet okienny, odpychając się lewą stopą od ściany. Wąski parapet, wąskie okno.

Za moimi plecami łomot zmienił się w odgłos roztrzaskiwania.

Sybel podał mi rękę i wyciągnął mnie przez okno.

Roztrzaskiwanie ustąpiło miejsca rozdzieraniu. Drzwi nie miały szans wytrzymać nawet minuty.

Sybel zamknął za nami okno. Na nocnym niebie lśniły gwiazdy przesłaniane łatami mgły; panował chłód. Na obrzeżach miasta szalały pożary.

Drżąc, z pistoletem zatkniętym za pasek i nożami w kieszeniach, stanowiąc takie samo zagrożenie dla siebie jak dla innych, chwiejnie wyszłam na dach nad pierwszym piętrem. Nie był duży. Razem z Sybelem musieliśmy przytulić się do siebie jak podczas tańca, by przedostać się z kanału burzowego na właściwą część dachu.

Za sobą usłyszeliśmy stłumiony ryk. Wrzask. Coś, czego nigdy wcześniej nie słyszałam i nie chcę usłyszeć ponownie. (Niezależnie od tego, gdzie teraz jesteś, obawiam się, że znów go usłyszysz. W tamtej chwili pośród toczącej się wojny wszyscy usłyszeliśmy jęk towarzyszący pierwszemu ruchowi dławiącej się rdzą i mięsem Maszyny. Karmiła się tą energią. Potrzebowała jej. Od tamtej pory moje wyczulone zmysły stale słyszały ten szum, wyczuwały wibracje w ziemi. Przerażało mnie to).

Jak można zapanować nad strachem w takiej chwili? Ja nie potrafiłam. Z trudem powstrzymywałam się przed zmoczeniem spodni. Bomby to coś innego. Dziennikarstwo to coś innego. Tym razem nie potrafiłam spojrzeć na siebie z zewnątrz. Nie potrafiłam uciec.

- Co teraz, Sybelu? - spytałam. Ciężko dyszałam. Niewykluczone, że także żałośnie pojękiwałam.

- Teraz idziemy wyżej - odrzekł Sybel.

Dostrzegałam w nim nagły przypływ pewności siebie, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziałam. Jako Nimblytod w wysoko położonych miejscach czuł się jak ryba w wodzie, nieważne, od jak dawna mieszkał w mieście.

Zatem weszliśmy wyżej, podążając za krzywizną dachu do miejsca, w którym mogliśmy podciągnąć się na kolejny poziom, a potem jeszcze następny, aż w końcu znaleźliśmy się na prawdziwym dachu - pochyłym i pokrytym dachówką, oddalonym o jedną przecznicę od mojego mieszkania. Nie wiedzieliśmy, co się znajduje po drugiej stronie, i nie chcieliśmy wiedzieć. Po tej stronie mieliśmy niczym nieprzesłonięty widok na ulicę - i na to, co przedostało się przez drzwi do mojego mieszkania.

Staraliśmy się być cicho, ale istota na dole już nas usłyszała. Podążała naszym tropem.

Sybel zdawał sobie z tego sprawę lepiej ode mnie.

- Jest przy oknie w łazience. Wychodzi do kanału deszczowego - powiedział. Spojrzał w prawo. Trzy stopy dzieliły nas od płaskiego dachu kolejnego budynku. Znajdował się wyżej, ale w jego środkowej części zauważyliśmy krawędź muru.

- Musimy przeskoczyć na następny dach - powiedziałam.

Sybel pokiwał głową.

Ruszył pierwszy, by mi pomóc, gdybym miała kłopoty. Płynny, elegancki bieg; skok w ciemność; lądowanie na czworakach po drugiej stronie. Rzuciłam mu pistolet i noże. Za sobą słyszałam tupot. Czulałam zapach jakby gnijącego mięsa, ale z domieszką słodkawej woni grzybów.

Pobiegłam w stronę prześwitu najszybciej jak mogłam i skoczyłam; ziemia zawirowała pode mną, a płomienie na zachodzie przypominały obraz w kalejdoskopie; ciężko upadłam na ziemię.

Sybel pomógł mi wstać i pobiegliśmy w stronę muru. Gdy już znaleźliśmy się za nim, ukryci przed wzrokiem choć nie przed węchem prześladowcy, Sybel oddał mi pistolet i noże.

Już słyszeliśmy, jak istota węszy na drugim dachu. Wyczuwaliśmy jej radość. Ten odgłos powoli zbliżającego się stwora nigdy mnie nie opuści.

- Dokładnie wie, gdzie jesteśmy - szepnął Sybel.

Słyszeliśmy, jak podchodzi coraz bliżej i bliżej do przerwy między dachami.

Wtedy już bełkotałam. Modliłam się do Truffa, do Bonmota, do każdego, kto przyszedł mi na myśl. Nawet teraz, pisząc to posłowie, mając za plecami dziurę w ziemi, widząc, jak moja maszyna do pisania powoli zmienia się w grzybową papkę, bełkoczę, gdy myślę o tamtej chwili.

Czekaliśmy. Niemal za długo. Zapach istoty się przybliżył. Przeskoczyła na nasz dach - słyszeliśmy, jak pokonuje prześwit jednym swobodnym susem, jak jej pazury skrobią o powierzchnię dachu, próbując znaleźć oparcie. Nie mogła być dalej niż dwadzieścia stóp od nas.

- Co zrobimy, Sybelu, co zrobimy? - powtarzałam raz za razem.

- Uspokój się i bądź cicho, Janice - odpowiedział. - Tylko spokojnie. Kiedy dam ci znać, wstań i strzel w to coś.

Podniosłam wzrok na nieliczne gwiazdy widoczne poprzez blask księżyca, chmury i dym, który zaczął płynąć nad miastem. Noc była zimna. Czułam pod plecami szorstki chłód kamienia. Wydawało mi się, że sekundy ciągną się w nieskończoność. Miałam czas, by pomyśleć o swojej galerii, zastanowić się, czy rankiem wciąż będzie stała. Miałam czas, by pomyśleć o Duncanie i Mary, spytać sama siebie, czy nie byłam dla nich zbyt ostra, czy miałam prawo ich krytykować. Poczułam ukłucie żalu - że nigdy nie wyszłam za mąż, nie mam dzieci, nigdy nie wiodłam „normalnego” życia.

Mam nadzieję, że rozumiecie: myślałam, że zaraz umrę.

Czekaliśmy niemal za długo. Myśleliśmy, że istota jest dalej, nagle jednak rzuciła się ku nam biegiem. Pobawiła się w tropienie, ale już jej się znudziło i teraz chciała nas wykończyć. Biegając, mówiła: „Mam coś dla ciebie coś dla ciebie coś dla ciebie coś co ci się spodoba ci się spodoba ci się spodoba”, co brzmiało jak śpiew jakiegoś starego kapłana siedzącego ze skrzyżowanymi nogami i liczącego koraliki w Dzielnicy Religijnej.

Właśnie wtedy wstaliśmy, wystraszeni. Wstaliśmy i wypaliliśmy w istotę z pistoletów. Była ciemna jak noc, a jednocześnie przezroczysta - gdy się zbliżyła, widzieliśmy przez nią gwiazdy. Była gruba. Była chuda. Miała pazury. Miała kły niczym z polerowanej stali. Miała oczy tak ludzkie, a zarazem tak odmienne, że jej wzrok mnie sparaliżował. Nie dało się jej opisać. Nawet teraz, gdy próbuję ją sobie wyobrazić, zbiera mi się na wymioty. Chcę pozbyć się jej ze swoich myśli.

Pociski przeszły przez nią na wylot. Zatoczyła się w lewo, źle oceniła odległość i uderzyła w mur przed nami, po czym znów się podniosła. Strzeliliśmy ponownie - wyrwaliśmy olbrzymie dziury w jej grzybowej czaszce i niemożliwym ciele. Ryknęła, plunęła

strumieniem ciemnego płynu i spróbowała wspiąć się na mur. Sybel wepchnął lufę pistoletu pod jej miękki-sztywny podbródek i pociągnął za spust. Siła odrzutu pchnęła wrzeszczącego i zataczającego się stwora do krawędzi dachu, skąd runął w dół. Cały czas mówił. Cały czas powtarzał nam, że ma dla nas coś, co nam się spodoba.

Przez chwilę staliśmy odrętwiali. Niektórych rzeczy nie da się opisać. Można ich tylko doświadczyć.

Zniknął strach. Już go nie odczuwałam. Nie potrafiłam. Nie miałam dla niego miejsca; on nie miał miejsca dla mnie. Musiał odwiedzić inne miejsca, innych ludzi.

- Chodź - powiedziałam do Sybela. - Musimy zejść z tego dachu. Może ich być więcej. Na pewno usłyszały. Poszukamy azylu w Dzielnicy Religijnej. Może tam wciąż jest bezpiecznie.

Zeszliśmy z dachu i zanurzyliśmy się w noc.

Może zapytacie, jakie to było uczucie. Zapewniam was, że straszne. Straszne. Takie doświadczenie na zawsze uodparnia człowieka na wszelkie okropności.

Tymczasem Duncan i Mary zawędrowali jeszcze dalej w głąb ziemi...

„Szliliśmy w dół, cały czas w dół, aż w końcu pochyłość złagodniała, a ściany i ziemia zaczęły promieniować dziwnym zielonym światłem, które widziała nawet Mary. Stąpaliśmy po grubym zielonym dywanie z chwytających na oślep kosmyków. Miękkim i cichym, ponieważ każdy wydawany przez nas dźwięk był wsysany w powierzchnię, po której szliśmy. Przed sobą nie widzieliśmy niczego poza dziurą tunelu, który ciągnął się w dal, nie dając szans na jakiegokolwiek odstępstwo, nie dając innej możliwości.

- Daleko jeszcze? Dokąd idziemy? - spytała Mary bezbarwnym, nijakim głosem.

- Już niedaleko - uspokoiłem ją. Bolało mnie serce, bo z każdym krokiem wydawała się coraz bardziej odległa, chociaż szliśmy ramię przy ramieniu. - Idziemy gdzieś, gdzie będziemy bezpieczni. - Przynajmniej w takim stopniu, w jakim to możliwe.

Im głębiej schodziliśmy pod ziemię, tym bardziej ożywały grzyby na moim ciele. Ciągnęły za mój płaszcz, wiły się na mojej piersi. Wiedziały, że są w domu. Chciały wrócić, ale im nie pozwalałem. Gdyby wróciły, nigdy bym stamtąd nie wyszedł.

Jednocześnie słyszałem Mary idącą obok mnie, a moje wyostrzone zmysły wzmacniały każdy dźwięk. Jej oddech, nerwowe ruchy dłoni, odgłos kroków.

- Nie rozumiem dlaczego to konieczne - powiedziała w pewnej chwili, a zielony blask oświetlił jej wykrzywioną strachem twarz.

- Musimy to zrobić - odparłem. - Gdybyśmy zostali na powierzchni, być może już bylibyśmy martwi. - Niewyraźny głuchy huk i wstrząs towarzyszące wybuchowi gdzieś ponad naszymi głowami zaakcentowały moje słowa. Pustka panująca w tunelu stanowiła dodatkowy argument.

A jednak nie byliśmy sami. Po prostu Mary nie widziała, jak unoszą się w powietrzu wokół nas, nie zwracając na nas uwagi, tak samo jak ona nie zwracała uwagi na nie, oddane własnym rytuałom i potrzebom. Wciąż nie wiem, czym były, a nawet nie potrafię opisać ich kształtu. Być może były to zabarwione na czerwono mega-spory, przeźrocyste, przejrzyste. A może całkowicie inne organizmy. Już dawno nauczyłem się nie krzywić, gdy przez któryś z nich przechodziłem; na szczęście, jak już wspomniałem, Mary ich nie widziała.

- Ufasz mi, prawda? - spytałem. Wszędzie wokół nas kołysały się kosmyki grzybów, zieleń nie była jednym kolorem, lecz tysiącem odcieni, a głosy rozbrzmiewały w moich uszach tak intensywnie, że chciałem je przekrzykiwać, chociaż wiedziałem, że nikt poza mną ich nie słyszy. Ślepe głosy nawołujących grzybów. Tak piękne. Tak nieznośne.

- Nie wiem, czy to kwestia zaufania - odpowiedziała. - To nie jest prawdziwe, Duncanie. Nie mam zamiaru uznać tego za rzeczywistość. Dałeś mi jakąś pigułkę. Doświadczam wizji. - Dziwnie było patrzeć, jak słaba stała się ta zazwyczaj silna osoba po wyrwaniu ze swojego żywiołu.

Zignorowałem ją. Grzyby pod naszymi stopami przypominały blade dłonie. Przez jakiś czas musiałem ją nieść.

- Już prawie jesteśmy - powiedziałem.

- Jacy? - spytała, drżąc w moich ramionach. - Martwi??

Cóż mogę wam napisać o naszej ucieczce do Katedry Truffidiańskiej? Zastanawiam się, co zapewni wam odpowiednią perspektywę. Nie wiem, od czego zacząć, ale w końcu to

nic nietypowego. Nie da się za pomocą wyważonej prozy oddać surowych doświadczeń, nie narażając się przy tym na wpadnięcie w przeciętność bądź powolne wypalenie i zapomnienie.

To było tak: Sybel i ja opuściliśmy naszą kryjówkę na dachu i ruszyliśmy bocznymi uliczkami i alejkami w stronę Katedry Truffidiańskiej. Był to jedyny charakterystyczny obiekt, w którym mogło być bezpiecznie.

- A co, jeśli zajęli katedrę? - spytał Sybel.

- Wtedy pójdziemy gdzie indziej - odrzekłam. - Ale musimy spróbować.

Sybel wiedział równie dobrze jak ja, że nie możemy siedzieć w jednym miejscu - nie mogliśmy zostać na dachu i zastanawiać się, co za chwilę wyskoczy zza krawędzi.

Świat, w którym się znaleźliśmy, był cichy. W niektórych miejscach latarnie się paliły, w innych nie. Tam gdzie były włączone, oświetlały wszystko fioletowym lub zielonym blaskiem. Fiolet i zieleń pochodziły od spór. Było ich pełno w powietrzu, zatem nie chcąc ich wdychać, oddarliśmy paski materiału z ubrań i zasłoniliśmy nimi usta i nos.

Czy to było skuteczne? Wciąż żyję, wtedy jednak nie mogłam się pozbyć nieprzyjemnej myśli, że wciągam do płuc tysiące malutkich istnień i jestem o krok od zmienienia się w Duncana.

Wspomniałam, że świat był cichy. Czy rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć? W całym mieście nie rozbrzmiewał żaden dźwięk. Spory ścinały powietrze, tłumiły hałasy, wysysały dźwięki ze świata. Żyliśmy w ciszy. Przypominała czyjaś Obecność i nas obserwowała. Gdy sunęliśmy wzdłuż ściany, przez długie chwile pozostając w cieniu, czułam, że każda spora jest malutkim okiem, które przekazuje obraz do niewidzialnego władcy. W płucach czułam ciężar, jakiego nigdy potem nie doświadczyłam. Powietrze próbowało wysać ze mnie słowa, których jeszcze nie wypowiedziałam, i zdusić je, zanim się narodzą.

Cisza i mgła. Fiolet i zieleń spór zagęszczały powietrze, ograniczały widoczność do dwóch stóp. Tworzyły coś w rodzaju mgły, przez którą z trudem dostrzegaliśmy odległe płomienie, świadczące o zniszczeniu armii Kalifa.

Nie zamierzam jednak sugerować, że ta cicha mgła była pusta. Nie była. Gdy przemierzaliśmy ulice, które nagle stały się obce i nierozpoznawalne, mieliśmy wrażenie ruchu niemal poza zasięgiem wzroku, zawsze na obrzeżach pola widzenia. Nie oglądaliśmy się na to, co tamtędy przechodziło, bojąc się, że w ten sposób stanie się zbyt rzeczywiste. To, co nas stamtąd obserwowało, nie reagowało, mijało nas bokiem - niewątpliwie oszczędzając siły na inne, ważniejsze misje. Tyle że przez to wcale nie baliśmy się mniej.

Nie łagodziło to także ogromu ludzkiej katastrofy, której przejawy wylaniały się z mgły i zbyt długo pozostawały w zasięgu naszego wzroku. Na niektórych latarniach wisiały ciała z kołyszącymi się głowami, opuchniętymi językami, skórą ściągniętą w karykaturach uśmiechów. Inne ciała leżały na ulicach, potykaliśmy się o nie w ciemności. Kawalki ludzi, które wydawały się starannie porozcinane - nie ofiary mózdzierzowego ostrzału, ale równe sterty: nogi, ręce, tułowia. Księżyc ponad naszymi głowami był jak pięść przyciśnięta do brudnej szyby.

Cały czas w ruchu, co tak działało nam na nerwy, że w pewnej chwili wystrzeliłam w ciemność i wrzasnęłam w stronę cieni:

- Wyłażcie! Wyłażcie, dranie!

Sybel nawet nie próbował mnie powstrzymać. Tylko patrzył przed siebie i szedł. Miał nawiedzony wzrok, nieobecny wyraz twarzy. Nie każdy strach wygląda tak samo. Ja spotkałam swój na dachu; Sybel spotkał swój na ulicach.

Dotarliśmy do obrzeży Dzielnicy Religijnej, stawiając dwa kroki do przodu, jeden w bok, jeden do tyłu, dwa do przodu, cały czas niemal dostrzegając niewyraźne zarysy duchów, które przemykały i krążyły wokół.

Dzielnica Religijna wyłoniła się z grzęzawiska nocy jako zarys kopuł i iglic podświetlonych płomieniami, które szalały za nimi w odległości wielu mil. W tym świetle wyglądała niezmiernie, dziwnie, nie pasowała do Ambergis. A jednak do niej weszliśmy, licząc, że znajdziemy tam bezpieczeństwo. Pozwoliliśmy sobie na ulegnięcie wpływowi tych iglic, tych wypiętrzających się altanek, bez wyjątku cichych i martwych, bez ani jednego kapłana w zasięgu wzroku. (Zapewne kulili się w piwnicach, jakby mogło im to w czymś pomóc).

Szliśmy ulicą Bannerville. Nadal to pamiętam. Uliczne latarnie były wolne od strasznego brzemienia śmierci. Niektóre z nich działały. Lśniły na zielono. Na końcu Bannerville mieliśmy skręcić w prawo i znaleźć się w odległości jednej przecznicy od Katedry Truffidiańskiej.

Ogarnęły nas dziwna radość i poczucie swojskości, nieproporcjonalnie silne w tych okolicznościach. Puściliśmy się biegiem, zaczęliśmy się śmiać, zrezygnowaliśmy z przemykania w cieniu; byliśmy tak blisko bezpieczeństwa, że powolna wędrówka byłaby nie do zniesienia. Wydawało się nam, że najgorsze minęło. Naprawdę tak myśleliśmy. Już rozważałam, co powiem Bonmotowi. Już się nad tym zastanawiałam, niech Truff ma mnie w swojej opiece.

Sybel puścił moją rękę. Biegł trochę z tyłu. Byliśmy już prawie na końcu Bannerville, nie więcej niż dwadzieścia stóp od bezpiecznego schronienia. Nad nami zamigotała latarnia wolna od zielonego blasku, który przenikał resztę miasta.

Właśnie mieliśmy skręcić za róg. Słyszałam ciężki oddech biegnącego Sybela. Potem usłyszałam nieznamy dźwięk - odgłos uwięziony pomiędzy westchnieniem a jękiem - a gdy się obejrzałam, zobaczyłam tylko wstęgi krwawej mgiełki. Zatrzymałam się i patrzyłam. Przez chwilę nie mogłam oddychać. Nic z niego nie zostało - nawet buty. Zupełnie nic. Całkowicie się rozpuścił. Doszczętnie. Było w tym takie ostateczne i straszliwe piękno, że pomyślałam, iż to musi być jakaś absurdalna magiczna sztuczka, potworny żart. To jednak nie był żart, a śmiech zduszony w mojej krtani zmienił się w szloch. Sybel zginął, niemal na moich oczach, niecałą przecznicę od katedry. Po chwili zrozumiałam, że to musiała być jedna z grzybowych min F&L, ale przez moment wydawało mi się, że to coś bardziej śmiertelnościowego, bezpośredniego - coś osobistego.

Kiedy spróbowałam się poruszyć - odejść od krwawej mgiełki? zbliżyć się do niej? - oparłam ciężar ciała na prawej stopie, poczułam gwałtowny ból i upadłam na ziemię. Wtedy zdałam sobie sprawę, że mina wymazała także moją prawą stopę, razem z butem. Pozostał tylko kikut. Nic więcej. Leżałam na ziemi, ciężko dysząc, i patrzyłam, jak krew cieknie z nieprzyzegannej części rany. Cisza ustąpiła miejsca powolnemu i bolesnemu pulsowaniu krwi w uszach. Przypomniła mi się krew, którą puściłam sobie z nadgarstków, i przez chwilę z zadowoleniem patrzyłam, jak krwawie - wypływał ze mnie płyn, który stanowił bardziej podstawową część mnie niż mózg lub umysł, dusza lub duch. Niemal na to przyzwalałam. Już prawie postanowiłam się położyć i pozwolić, by to się stało.

Ale wtedy pomyślałam o biednym Sybelu i coś się we mnie zmieniło. Dotarliśmy tak daleko. Prawie nam się udało. Zaczęłam krzyczeć i wrzeszczeć, ale nie używałam słów, niczego tak zrozumiałego jak słowa.

Zdjęłam z ust pasek materiału i sporządziłam prymitywną opaskę uciskową, by powstrzymać krwawienie. Wokół mnie krwawa mgiełka, która kiedyś była Sybelem, kłębiła się pasmami wspaniałego karmazynu i zaczynała rozwiewać.

Wstałam i zacisnęłam zęby. Skacząc na jednej nodze, skręciłam za róg, zmierzając w stronę bezpiecznego schronienia. Nie wiem, jak długo to trwało, ani nawet co się działo wokół mnie - skupiałam się tylko na uderzeniach mojego buta o żwir i bólu w lewej nodze, na której skakałam i utrzymywałam ciężar całego ciała. W pewnej chwili upadłam i nie potrafiłam się podnieść. Pamiętam, że doczołgałam się aż do olbrzymich wrót Katedry

Truffidiańskiej, uniosłam się na moment, by otworzyć drzwi i wcisnąć się do środka, po czym runęłam na podłogę.

Wszyscy ludzie wewnątrz katedry byli martwi. Leżałam tam, gdzie upadłam, obok trupa. Patrzyliśmy sobie w oczy i dopiero po chwili zauważyłam, że gdzieś w głębi, obok ołtarza, coś się porusza.

„Kiedy dotarliśmy do celu, postawiłem Mary na ziemi. Znajdowaliśmy się w dużej okrągłej jaskini. Zielone porosty pokrywały podłogę. Od ścian odbijały się czerwono-zielone spory, które unosiły się w złoto-szarym świetle. Sporządziłem dla niej grzybowy tron w kolorze lawendy i srebra. Posłałem w powietrze nieustannie wirujące pasma szmaragdowych grzybów przypominające błyszczący papier. Wyrzeźbiłem stół wyrastający z ziemi, a na nim postawiłem kielich z czystą zimną wodą zaczerpniętą z poziomu wodonośnego. Obok zaś położyłem trzy grzyby - pomarańczowy, niebieski i fioletowy - które miały nie tylko zaspokoić głód, ale także wzmocnić ją i uspokoić.

Długo przygotowywałem się do tej chwili. A jednak muszę przyznać, że nie wszystko w jaskini pozostawało pod moją kontrolą. To było niemożliwe. Coś śmiało się w kącie, w tonacji niedostępnej dla zwyczajnego ludzkiego ucha. Coś nieludzkiego. Brzmiało niemal jak ludzka mowa. Stwory pełzały i czołgały się w mroku. Jaskinię przenikała woń przypominająca zapach gnijących owoców mango. Mimo to była najbezpieczniejszym miejscem, jakie można znaleźć pod ziemią. Moje laboratorium, mój azyl. Wszystko tam znałem, wliczając śmiejącą się istotę. Znałem na najbardziej podstawowym poziomie. Odprężyłem się, gdy Mary zarzuciła mi ręce na szyję. Myślałem, że doceni to, co jej podarowałem. Ona jednak nie odzywała się do mnie i nie chciała się rozejrzeć. Ja także nie potrafiłem z nią rozmawiać. Zamiast tego odwróciłem się, by nie zobaczyła szmaragdowych żył pełzających w górę mojej twarzy”.

Pozostawali w tej ustronnej jaskini przez długie godziny, siedząc lub stojąc. Jeśli rozmawiali, to tylko szeptem, ale czasami milczeli, świadomi, że co kilka minut może się pojawiać jakieś nowe zagrożenie.

„Byłem szczęśliwy”, napisał Duncan w swoim dzienniku. „Myślałem, że osiągamy nowy poziom bliskości, która wykracza poza słowa. Że skrajność naszej sytuacji uczyni z nas

jedność. Zamiast tego z każdą mijającą minutą coraz bardziej się od siebie oddalaliśmy. Dziś nie potrafię zrozumieć, dlaczego wtedy czułem się szczęśliwy. Czyżbym był ślepy?”. (Czy pojawił się moment, w którym odkrycie przestało być epifanią, a stało się ciężarem? Nie wiem, chociaż pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że wiedza - zwłaszcza sekretna - stała się brzemieniem).

Mary przeszła do ataku w chwili, gdy jej umysł odmówił zaakceptowania tego, co widziała, ponieważ następnego ranka utrzymywała dystans podczas całej drogi na powierzchnię.

Od tamtej chwili już tylko kwestią czasu były powstanie naszyjnika ciał i nasza konfrontacja u podnóża schodów. To tliło się na jej twarzy, w jej oczach, równie niezatarte jak pstrokate grzyby na ciele Duncana. Cała jej kariera naukowa i wola miały się skupić na uczynieniu tego, co widziała, możliwie nierzeczywistym i odległym. Kto mógł ją za to winić? Ja mogłam, i to robiłam, nawet jeśli Duncanowi brakowało zimnej krwi. To była porażka - porażka miłości i wyobraźni.

Kiedy oni czekali pod ziemią, ja leżałam na posadzce katedry, a szare kapelusze wędrowały pośród ciał. Byłam martwa, a jednak nie martwa, widząca, choć ślepa, wpatrywałam się w sufit, na którym przedstawiono chwałę truffidiańskiego kosmosu. Można by to uznać za zapowiedź naszyjnika ciał Sabon. On również wydawał się nie na miejscu w swoim otoczeniu. Także był martwy, a jednak nie martwy, ślepy, choć miał oczy. Staralam się jednak wyrzucić z głowy wszystkie myśli, próbując przetrwać, udając trupa obok wielkiej sterty ciał. Nie miałam miejsca na smutek. Nie miałam czasu na łzy. W tamtej chwili zaczęłam się odprężyć. Zaczęłam rezygnować ze swojego ja. Nie miałam wyboru. Nie miałam się gdzie ani jak ukryć.

Tamtej nocy przestałam być reporterką, a stałam się kimś zupełnie innym.

13

Im bardziej się zbliżam do końca, tym bardziej się zbliżam do początku. Wspomnienia wyłaniają się z eteru, z nicości. Przywierają do mnie jak zielone światło, jak grzyby, które nie przestają kolonizować mojej maszyny do pisania. Musiałam na jakiś czas przerwać - bolały mnie palce, a nawet po tym wszystkim, co widziałam, grzyby mnie niepokoiły. Porozciągałam palce, pospacerowałam tam i z powrotem po pokoju. Oprócz tego przejrzałam pudło ze starymi papierami ojca - wszystko czytałam już sto razy. Były tam wstępne wersje esejów historycznych, listy do współpracowników, może nawet znalazłabym list, który dostał z Dworu Kalifa, gdybym dokopała się wystarczająco głęboko. Na wierzchu Duncan położył wyschniętą rozgwiadę, której szkielet stał się kruchy ze starości. (Trzymałem ją tam jako przypomnienie. Po Twoim liście do mnie - który, o czym przekonuję się, czytając tę relację, musiał być napisany przez całkowicie inną część Twojej osobowości - chciałem pamiętać, że niezależnie od tego, jak bardzo odizolowany się czuję, oddzielony od innych za sprawą tajemnej wiedzy, i tak jestem z nimi połączony. Ale to nic nie dało - rozgwiadza przypominała mi, jak bardzo się zmieniłem).

Trzymam rozgwiadę na swoim stoliku, jak coś w rodzaju talizmanu. Może pomoże mi skończyć.

Obok rozgwiadzy znalazłam muszelki, matowe i wyszczerbione - ostatnie pozostałości naszych najciekawszych wakacji. Miałam wtedy dziesięć lat, a Duncan sześć. Nasz tata wziął urlop naukowy w Instytucie Historii i Wyższej Teorii im. Porfala (czy też, jak zwykł go nazywać: „Substytucie Histerii i Wyższego Rozkładu im. Porfirii”) w Stockton, gdzie wykładał historię. Nie pamiętam, abym jeszcze kiedyś, wcześniej bądź później, była na tygodniowych wakacjach. Tata wykupił dla nas bilety na rzeczną barkę. Mama była zrelaksowana i wesoła, a tata bardziej spokojny i wyciszony niż kiedykolwiek.

Pamiętam jeden nawyk, który wyrobił sobie podczas tamtych wakacji. Chętnie zrywał łądygę turzycy i trzymał ją w ustach jak fajkę, żując końcówkę, podczas gdy kapelusz o szerokim rondzie ocieniał mu twarz. Przesiadaliśmy na leżakach i czytaliśmy albo patrzyliśmy na mijane wiejskie krajobrazy.

W tamtych czasach zachodni brzeg rzeki Moth był prawie całkowicie niezamieszkaany. Widzieliśmy dziwne zwierzęta, które przychodziły nad wodę, by się napić; spoglądały na nas

z zaciekawieniem, ale bez strachu. Raz zauważyliśmy dziwnych niewysokich ludzi ubranych w ekstrawaganckie stroje, którzy wpatrywali się w nas z osobliwą intensywnością. Woda była lustrem, w którym nasze wizerunki sięgały ponad falami ku ich odbiciom - rozciągnięte, nierzeczywiste.

Popłynęliśmy barką aż do Południowych Wysp, gdzie spędziliśmy cztery dni na plażach. Nie mogliśmy sobie pozwolić na dotarcie dalej niż do najbardziej wysuniętej na północ wyspy Hathern z czarnym piaskiem i melancholijnymi ruinami dawno upadłego Imperium Saphanckiego, ale i tak dobrze się bawiliśmy.

Mama nie chciała wejść do wody, musiała więc pogodzić się z tym, że tata będzie ją ochlapował. Tata uwielbiał pływać - chociaż „unosić się” lub „podskakiwać na wodzie” lepiej opisywało to, jak wyglądał, gdy rzucał się w fale. Mama uwielbiała obserwować wschody i zachody słońca z naszego małego wynajętego bungalowu. W czasie dnia godzinami spacerowała po plaży i zawsze przynosiła nam muszelki i lśniące kamienie. Czasami Duncan i ja towarzyszyliśmy jej, czasami zostawaliśmy z tatą.

O zmroku siadywaliśmy na kocu i tata rozpałał ognisko, po czym przyrządzał ryby nad ogniem. Nie pamiętam, czy je kupował, czy łowił. Nie przypominam sobie, by był sprawnym rybakiem.

Potem opowiadał nam, w przekorny sposób, o potężnym Imperium Saphanckim.

Wskazując na czarno-szare nierówności terenu i poszarpane mury tonące w piasku i morzu, zalane pomarańczowym blaskiem zachodzącego słońca, mówił:

- Oto skutki wojny. Rozegrała się tu bitwa morska, a potem ci, którzy ocaleli, walczyli na tej plaży. Kiedyś stało tutaj miasto. Teraz jest tylko to, co widzicie. A potem... a potem! - A potem znajdował sposób na to, by wpleść piratów i przygody w swoją lekcję historii.

Wtedy nie przywiązywałam większej wagi do jego słów o wojnie. W ruinach znajdowaliśmy doskonałe skałki do wspinania i baseny pływowe do penetrowania. To, że setki lat temu w tych miejscach walczyli i umierali ludzie, wydawało się tak dalece niezwiązane z naszymi wakacjami, że aż nierealne.

Innym razem tata przyniósł mi malutkiego kraba pustelnika w białej spiralnej muszli.

- Nie zrób mu krzywdy - powiedział - i zostaw go na plaży, kiedy będziemy odjeżdżać.

- Tak zrobię - obiecałam, zachwycając się dotykiem malutkich nóg na skórze mojej dłoni.

Piasek chrzęszczący pomiędzy palcami u nóg; upał i bryza od morza, światła łodzi daleko od brzegu.

Mama przez większość wyjazdu opiekowała się Duncanem, ponieważ był mały i ciągle wymagał uwagi. (Pamiętam tylko niewyraźny błysk słońca, z największym trudem przywołuję wspomnienie wody - pewnie to wszystko było zbyt idylliczne, by zachowało się w mojej pamięci).

To był jeden z niewielu okresów, gdy ojciec w pełni poświęcał mi swój czas. Pięć lat później zmarł. Osiem lat później matka przywozła nas do Ambergris i domu nad rzeką Moth. Dwadzieścia lat później Duncan poczuł pierwsze ukłucia grzybowej kolonizacji w swoim ciele. Dwadzieścia pięć lat po naszych wakacjach spróbowałam się zabić. Trzydzieści lat później Wojna Domów niemal zabiła nas wszystkich.

W jaki sposób niezwykle przyjemne wspomnienia z dziecięcych wakacji mogą wygodnie współistnieć ze wspomnieniami wojny? Czy świat może się składać z takich skrajności? Myślałam o podobnych sprawach, gdy leżałam pośród ciał w Katedrze Truffidiańskiej. Każde pytanie rodziło kolejne, tak że wkrótce wydawało mi się, że pytania zawierają swoje własne odpowiedzi.

Leżałam tam bardzo długo, wpatrując się w nic i nikogo, podczas gdy szare kapelusze kręciły się wokół mnie, a każda sylaba ich młasczącej mowy była jak ostrze noża ślizgające się pomiędzy moimi łopatkami. Nie wiem, czego szukały ani czy to znalazły. Słyszałam, jak przewracają ciała, grzebią w kieszeniach trupów. Raz szponiasta dłoń otarła się o bok mojej twarzy. Czułam, że ktoś lub coś na mnie patrzy; nie zamierzałam odwzajemnić spojrzenia. Czułam na sobie oddech jednego z nich, wyczuwałam plątaninę zapachów, które przywarły do nich jak druga skóra: stęchlizna, pleśń, brud, kurz i lekka ziołowa nuta.

A potem, nareszcie, witraż nade mną odbił światło słońca i nastał świt, szare kapelusze zniknęły, a ja wciąż żyłam, otoczona setkami umarłych pokrytych ciemną i zaskorupiałą krwią.

Podniosłam się sztywno jak staruszka, z trudem dźwignęłam się na jedną nogę i omiotłam wzrokiem rzeź.

Zmarli nie wyglądali na spokojnych. Nie wyglądali planowo ani sensownie, nie wyglądali, jakby odpoczywali, ani w żaden inny sposób, który mógłby sugerować wygodę czy rządy prawa. Ich nogi i ręce starczały pod nienaturalnymi kątami, wyrwane, powykręcane lub wywichnięte. Usta wyrażały skrajny ból, strach i zaskoczenie. Zasnęta krew i rojące się muchy. Bładożółta skóra naznaczona błękitem. Olbrzymie rany niczym pazury wrzynały się w klatki piersiowe, pozostawiając czerwonawe bruzdy. Rząd głów pozbawionych ciał. Po chwili musiałam przestać patrzeć. Musiałam się powstrzymać od patrzenia.

Szkoda, że nie mogę wam powiedzieć, że wyglądali pięknie.

Właśnie wtedy postanowiłam, że nigdy nie stanę się jedną z nich. Musiałam znaleźć drogę ucieczki. (Nawet jeśli to oznaczało pisanie posłowania przy kiepskim świetle, z ograniczonym budżetem, dla tysięcy czytelników lub nikogo?).

Bolesnie podskakując, przedostałam się przez ciała, z wielkim wysiłkiem otworzyłam podwójne drzwi i znalazłam się w powojennym Ambergris.

Posłowie, pokłósie. Teraz dygoczę i nie wiem, czy to oznacza, że jestem głodna, czy że boję się, co może wyjść z dziury w ziemi za moimi plecami. A może niepokoją mnie następstwa katastroficznej walki pomiędzy Domami, szarymi kapeluszami i Kalifem. Pomiędzy mną i moją obecnie zdradziecką nogą. Pomiędzy Sybelem i grzybową miną, której nie zauważył. Pomiędzy Duncanem i Mary.

Gdy tego ranka kuśtykałam poprzez miasto, wciąż zaszokowana, używając kija jako kuli, stało się dla mnie jasne, że przez wiele miesięcy przeżywaliśmy bardzo nieudany Festiwal. Budynki zamienione w fioletowy popiół. Trupy wciąż niepogrzebane, ale zamrożone przez wnikające w ciało grzyby, które litościwie pozbawiły je zapachu. Dziwiłam się, jak wielu ludzi krąży po mieście z nieobecny wzrokiem; również do nich należałam. Wrażenie smutku, owszem, ale wykraczające poza smutek - poczucie destabilizacji, pustki. Wkraczaliśmy do Ambergris jako ci, którzy ocaleli, i pytaliśmy: czy to naprawdę nasze miasto? Czy naprawdę tutaj mieszkamy? (Sądziłem, że to sięga głębiej - apatia, zmęczenie. Wydawało się, że to oznaki zagubienia, umysłowej odrazy, niezdolności zrozumienia, czy wygraliśmy, czy też przegraliśmy. Skąd mogliśmy wiedzieć?).

Zawalone budynki leżały powbijane na pale własnych kolumn, które wciąż sięgały ku otwartemu niebu. Ulice usłane śmieciami i kawałkami porozrywanego mięsa. Roztrzaskane relikty minionych wieków zmienione w nierozpoznawalne sterty drewna i metalu. Główna siedziba Hoegbottona, która przetrwała liczne ataki F&L, tej ostatniej nocy została zrujnowana - splądrowana i wypatroszona, z czarnymi śladami po zgaszonym pożarze pnącymi się po wewnętrznych ścianach ku poranionemu sufitowi. Wszechobecny zapach dymu i zgnilizny, do którego przyzwyczailiśmy się w ciągu ostatnich kilku lat, ale który tego ranka był ostry i intensywny jak nigdy wcześniej. Urząd Pocztowy im. Vossa Bendera został splądrowany, a małe metalowe skrzynki, niektóre z nich stopione i zdeformowane przez ogień, walały się na popękanych schodach. W innych miejscach całe dzielnice wspólnie rozbierały barykady wzniesione w celu powstrzymania wojsk Kalifa, oddziałów F&L albo szarych kapeluszy. Gdybym mogła wlecieć ponad miastem jak wrona, ujrzałabym je jako

rozpadające się oko przebite w samym środku i tłące się na obrzeżach, gdzie porzucone mózdzierze Kalifa leżały otoczone ciałami zabitych.

To dziwnie zabrzmiało, ale teraz zdaję sobie sprawę, że gdybym przyjrzała się wystarczająco uważnie, zobaczyłabym fizyczne oznaki początku ataków Mary na książki Duncana. Jeśli patrzyło się odpowiednio długo, dokładnie i intensywnie, wszędzie można było dostrzec teorie Duncana, wplecione w cegły, kamienie, drewno, a nawet zamieszkujące wiatr, który zstępował z nieba i szeptał na wąskich ulicach zasypanych gruzem. A w jaskrawych plamach krwi, spalonym drewnie i okaleczonych ceglach kryła się riposta Mary obalająca te teorie. Co widziała Mary, gdy tamtego dnia szła przez jakąś inną część miasta, pośród innych następstw wojny? Cóż mogła widzieć, jeśli nie ucieleśnienie natywistycznej teorii swojego ojca? Wszystko skatalogowane jako elementy całkowicie naturalnego kataklizmu. (Teraz już naprawdę przesadzasz, Janice!).

Wspominając swoją wędrówkę przez miasto, już rozumiem, że błyszczący naszyjnik ciał otaczał szyję, na której wspierała się głowa pełna robaczywych myśli. Pełna niedopasowanych obrazów, które zawsze będą uniemożliwiały Sabon dostrzeżenie prawdy w teoriach Duncana. Odnalazła swoją własną osobistą historię; spisała ją, by wyprzeć prawdę.

W pewnym sensie niemal każde słowo, zdanie i akapit, które napisała na temat Ambergris po wojnie, stanowiło próbę zaprzeczenia moim wspomnieniom - temu, co widziałam podczas wojny, co widziałam tamtej nocy razem z Sybelem, co widziałam później, gdy wędrowałam przez miasto. Oraz, oczywiście, wszystkiemu, co sama widziała pod ziemią. (Bzdury. Mary wcale nie reagowała inaczej niż wielu innych Ambergrian. W mieście dominowała postawa wyparcia, ale jak można za to winić mieszkańców? Musieli dalej tam żyć. Po Ciszy było znacznie gorzej. Wyobraźcie sobie, że wasi najbliżsi pewnej nocy znikają, a Wy nie możecie zrobić niczego poza dalszym wykonywaniem codziennych obowiązków i liczeniem na to, że nie spotka Was taki sam los).

W końcu, pierwszego poranka po wojnie, znalazłam się w Akademii Blythe'a. Dotarłam tam po godzinie lub dwóch skakania i kuśtykania, a moja wędrówka wydawała się bezcelowa i przebiegła w pogrzebowym nastroju. Dręczyły mnie ból i pustka. Znajome miejsce było dla mnie ostoją.

Z jakiegoś powodu zakładałam że zbeczeszczenie Katedry Truffidiańskiej rozciągnie się także na Akademię Blythe'a, ale tak się nie stało. Zauważyłam kilka wybitych okien, dwie przewrócone ławki, obszar spalonej trawy i przypalony kawałek dachu, ale wierzby

wyglądały tak jak zawsze. Kapłani i wykładowcy krążyli po trawniku, uprzątając szczątki. Ta atmosfera działania, uczciwej pracy, napelniała mnie nadzieją.

Usiadłam na ławce, mając nadzieję, że wspomnienie dawnych rozmów, które wtedy tak mnie uspokajały, uspokoi mnie także teraz.

Zamiast tego padł na mnie cień. Uniosłam wzrok i zobaczyłam Bonmota, który wpatrywał się we mnie z ponurym uśmiechem. Miał twarz ubrudzoną sadzą albo ziemią. Jego lewy policzek przecinało długie płytkie skaleczenie. W tamtej chwili wyglądał na niezwykłego, chociaż tak naprawdę stał się bardziej bezbronny niż mogłam podejrzewać. (Czyja wiara by się nie zachwiała, choćby przez chwilę, w obliczu takiej niewytłumaczalnej rzezi?).

Ponury uśmiech złagodniał i ustąpił miejsca trosce, gdy Bonmot zobaczył, w jakim stanie znajduje się moja stopa - a raczej, że w ogóle jej nie ma.

- Żyjesz - odezwałam się z niedowierzaniem. Brak snu i straszliwe przeżycia sprawiły, że myślami odpłynęłam bardzo daleko.

- Musisz iść do lekarza - rzekł Bonmot. Kucnął i delikatnie podłożył dłoń pod moją łydkę, by dokładniej przyjrzeć się ranie.

- Raczej nie - odparłam. - Nic już się nie da zrobić. Rana jest w większości przypalona. Ciało jest czyste. Spędziłam całą noc z tłumem trupów w Katedrze Truffidiańskiej. Może chciałbyś to sprawdzić.

Pochylił głowę.

- Wiem. Słyszałem. Byłaś tam?

- Tak - odpowiedziałam. - Udawałam martwą. Nie przejmuj się nogą.

Popatrzył na mnie.

- Janice, ktoś powinien to obejrzeć.

Roześmiałam się z nutką goryczy.

- Pewnie tak, ale kto to zrobi? Cały ranek kuśtykam po naszym starym zniszczonym mieście. Widziałam niewiele rzeczy, które nie są okaleczone, zmiażdżone, pęknięte, wykręcone albo martwe.

- Odbudowa nie zajmie dużo czasu - odrzekł. - Zdziwisz się. Pewnego dnia zapomnimy o tym wszystkim. - Po chwili zapytał: - Kontaktowała się z tobą Mary?

Zatem tylko w ten sposób mógł zapytać o Duncana.

- Nie - odpowiedziałam.

(Miało się to stać dopiero po kilku dniach. Zaprowadziłem Mary z powrotem do naszego mieszkania, które zostało splądrowane, ale nie zrujnowane, i wróciliśmy do naszego

niezdrowego i nieszczęśliwego wspólnego życia - trochę bardziej milczący, trochę bardziej skryci, trochę bardziej nieobecni. Podczas tych pierwszych kilku dni po zakończeniu wojny lubiła mówić, że ją „tłamszę”. Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Potrzebowałem jej pocieszenia. Potrzebowałem jej).

Rozpłakałam się. Wciąż mówiłam, moją twarz nadal wykrzywiały ni to grymas, ni to uśmiech, ale płakałam.

- Sybel nie żyje - powiedziałam.

I wtedy, chociaż miał tego dnia tysiąc obowiązków, Bonmot mnie przytulił, a ja, szlochając, powiedziałam mu o wszystkich zabitych.

Straty się nawarstwiały. Kiedy odwiedziłam swoją galerię, odkryłam, że ogień spustoszył wnętrza. Ponownie zniknęły wszystkie obrazy, zabrane przez złodziei lub płomienie. Artyści mieli do mnie pretensje, chociaż byłam przekonana, że niektórzy z nich sami ukradli swoje obrazy ze ścian. Straciłam czas. Straciłam pieniądze. Myślałam, że uda mi się wskrzesić galerię, ale bez Sybela czułam się zagubiona. Nie miałam wystarczającej liczby „bogatyh przyjaciół”, jak ich lubił nazywać. Na krótko otworzyłam podwoje, ale już nie byłam w stanie przyciągnąć nawet przeciętnych talentów, zwłaszcza że Martin i Merrimount otworzyli własną galerię. Zostało mi sześciu podstarzałych pejzażystów. Bez wątpienia byłam skazana na porażkę.

Z perspektywy czasu widzę, że wojna oznaczała koniec tak wielu rzeczy, że agonia mojej galerii zasługuje najwyżej na skromny przypis w relacji historycznej z tamtego okresu. Przykładowo, wojna odebrała mi prawą stopę - co do tego nie może być wątpliwości. Kiedy ktoś mnie pyta, co zapamiętałam z wojennych czasów, zawsze kusi mnie, by wskazać słojuwate palce u nogi i powiedzieć: „Spytaj moją stopę”.

Ukrytą zaletą tego, że tak wielu ludzi straciło kończyny, było osiągnięcie nowych wyżyn w sztuce konstruowania drewnianych protez. Judith Aquelus, rzeźbiarka, osobiście wybrała drewno na moją protezę, a ja tylko poprosiłam, by stopa została wykonana z najlepszego drewna figowego pochodzącego z zachodniego brzegu rzeki Moth, z okolic, w których dorastał Sybel. Być może moją stopę wyrzeźbiono z drzewa, po którym Sybel się wspinał. Ckliwe, wiem, ale nie dbam o to, jak sentymentalna jest to myśl. Kochałam go i chcę zawsze choć częściowo mieć go przy sobie. Za każdym razem, gdy zakładam protezę, przypominam sobie Sybela i katedrę, chociaż z czasem ból stał się przytępiony. Czasami nie wiem, czy czuję fizyczny ból w kikucie nogi, czy psychiczne cierpienie. Jest mi wszystko jedno. Chcę pamiętać. Muszę pamiętać.

Judith, przy współpracy ze specjalistami od drewnianych protez ze sklepu Similiana, który już dawno splajtował, stworzyła unikatowe dzieło, które stało się moją prawą stopą. Wyrzeźbiła na niej miniaturowy, stylizowany wizerunek opery, na którym widać żołnierzy Kalifa podczas swojego scenicznego debiutu. Nikt, kto stracił kończynę, nie powinien pokazywać się publicznie bez protezy Judith Aquelus. Stopa i laska: idealne akcesoria podczas takich niezbędnych czynności jak spacer do sklepu spożywczego po bochenek chleba!

Dzięki lasce i nowej drewnianej stopie osiągnęłam zupełnie nowy poziom ekscentryczności. Mało tego, sama stałam się dziełem sztuki - tylko to mi pozostało, biorąc pod uwagę, że tworzenie i sprzedawanie sztuki okazało się dla mnie całkowicie niedochodowe.

Co ciekawe, zielone grzyby, które skolonizowały moją maszynę do pisania i coraz bardziej utrudniają mi dokończenie tego posłowania, zaczęły także przenikać moją drewnianą stopę. Zamieniam się w mały las. Być może na swój sposób doświadczam tego, przez co przechodził Duncan. (Martwe drewno to nie to samo co żywe ciało. Niczego nie da się porównać z tym przerażającym mrowieniem, które towarzyszy opanowywaniu skóry i ciała przez inną formę życia).

Odkąd kupiłam pierwszą protezę, nie potrafię się powstrzymać przed zamawianiem - gdy mnie na to stać - lub samodzielnym rzeźbieniem kolejnych. Czasami wpadam w żartobliwy nastrój i mam ochotę pozostawić w całym mieście szlak drewnianych stóp. Być może pewnego dnia pozostanie po mnie tylko stopa.

- Podoba ci się? - spytałam Duncana, gdy po raz pierwszy mu ją pokazałam.

- Bardzo do ciebie pasuje - odpowiedział. (Moje ciało dotknęło zbyt wiele dziwnych zmian, abym był zdolny do prawdziwej empatii. Zrzucanie mięsa jak skóry, tracenie go i ponowne odzyskiwanie, stało się dla mnie normalnym doświadczeniem).

- Swędzi - poskarżyłam się.

I to się nie zmieniło. Ciało pod protezą, wyposażoną w giętkie paski i srebrne klamerki, swędzi jak cholera w najmniej spodziewanych momentach.

- Mnie cały czas swędzi - odparł Duncan, nie chcąc być gorszym.

Tamtego dnia, gdy staliśmy na nabrzeżu i patrzyliśmy na wpływające okręty, Duncan był bardzo blady. Gdy dokładnie się popatrzyło, było widać, że poruszane wiatrem włosy na jego głowie tak naprawdę nie są włosami, lecz czarnymi grzybami, które kołyszą się w tył i w przód. Pod jego płaszczem dostrzegałam kolejne oznaki ruchu. Wątpię, by ktoś jeszcze je widział - lub chciał zauważyć. To wyparcie miało się stać jeszcze silniejsze w latach po

wojnie, zwłaszcza gdy Forteca Sabon stała się bastionem sprzeciwu, a członkowie naszyjnika ciał utworzyli wokół niej ochronną fosę.

- Tęsknisz za nim? - spytałam Duncana.

- Strasznie tęsknię - odpowiedział. (Tęskniłem za normalnością, którą Sybel wprowadzał w moje codzienne życie. Obcowanie z Tobą, Janice, wiązało się z huśtawką nastrojów i przypominało melodramat. Chociaż kochałem Bonmota, nasze rozmowy zawsze miały religijny podtekst. Z kolei rozmowy z Sybelem były tak naturalne, swobodne i wolne od osądów, że nawet nie czułem, jak bardzo ich potrzebuję, dopóki się nie skończyły).

- Jeśli bardzo cię swędzi, mógłbym znaleźć sposób na wyhodowanie ci grzybowej protezy - zaproponował.

Zignorowałam go i spytałam:

- Jak się czuje Mary?

Nie odpowiedział.

Musiałam przerwać, żeby oczyścić klawisze maszyny do pisania. Zielone grzyby stały się zbyt podstępne. Klawisze nie uderzały w kartkę, ale grzęzły w szmaragdowym mchu, a na papierze odbijała się seria coraz bardziej roślinnych znaków. Nie udało mi się wszystkiego pozbyć, ale usunęłam wystarczająco dużo, by przez jakiś czas móc dalej pisać. Nie jestem pewna, kiedy zabraknie mi czasu; muszę brać pod uwagę wiele czynników. Kiedy skończy się cierpliwość właścicielowi Spory? Kiedy zmęczy mnie czynność, która coraz bardziej wygląda na bezcelową? Kiedy coś wypełźnie z dziury w ziemi za mną i położy kres moim spekulacjom?

Wydaje mi się, że jest ranek, ale nie chce mi się sprawdzić. Wcześniej myślałam, że to pora lunchu, ale okazało się, że mój żołądek się pomylił. Jeśli jest ranek, to niebo zapewne ma szary i przeciętny kolor zaplamiony deszczem. O tej porze roku pojawiają się nagle ulewy, które zmieniają miasto w zbiór surowych zarysów, okradając je z kolorów i faktur. Na ulicach pojawia się wysyp parasoli, a ludzie szybko zmierzają do celu, nie zwracając uwagi na otoczenie.

14

Posłowie. Pokłosie. Po wojnie.

Wojna była irytująca, otepiająca, bezsensowna. Po jej zakończeniu równowaga sił wyglądała podobnie jak przed rozlewem krwi. Hoegbottonowie kontrolowali Ambergris, a F&L kontrolowali Morrow oraz Wyspę Sophii, ale brakowało im militarnej siły i politycznej woli, by narzucić swoje absurdalne opłaty. Zmasakrowane oddziały Kalifa wycofały się na drugą stronę rzeki Moth, a jego kupcy przyjechali do Ambergris, by zawrzeć umowy z Hoegbottonami, dotyczące odbudowy miasta i importu nowych produktów. (Co ciekawe, oddziały Kalifa w zasadzie osiągnęły swój cel, nawet jeśli nie dokonały tego w zaplanowany sposób. Bo czyż poprzez swoją ofiarę nie wyzwoliły obywateli Ambergris spod jarzma chaosu i tyranii?).

Po wojnie Ambergris zapomniało o swoim prawdziwym wrogu - Hoegbotton i Synowie nadal pomstowali na Frankwrithe'a i Lewdena lub Kalifa, ale nie przestrzegali przed szarymi kapeluszymi. Ludzie z ulgą poddali się tej masowej ułudzie. Czyż nie było łatwiej obwiniać F&L niż bezkształtnego, anonimowego wroga, który kryje się pod ziemią i pozornie atakuje na oślepie? (Trzeba jednak uczciwie przyznać, że brak jasności co do źródła grzybowego arsenału F&L komplikował sprawę - F&L rzeczywiście wyglądali na jedyne podżegacza. W końcu szare kapelusze miały w zwyczaju co jakiś czas wyskakiwać ze swoich kryjówek podczas Festiwalu).

Straszliwe, lodowate piękno prawdy nikogo nie pociągało. Przez kilka kolejnych lat co parę tygodni jedna, dwie, trzy albo cztery osoby ginęły od grzybowych bomb, pozostałych po wojnie bądź nowo podłożonych - zapewne przez szare kapelusze lub F&L, ale któż potrafi ich odróżnić?

H&S nie starali się temu przeciwdziałać i ze wszystkich sił próbowali powstrzymać Laconda przed pisaniem o tych przypadkach. Jako miasto i mieszkańcy nie potrafiliśmy się zmierzyć z nadchodzącym unicestwieniem, rozdrażnieni przez wroga, który nie był nawet w jednej czwartej tak groźny. W pewnym sensie żyliśmy wewnątrz bajki, przekonani, że czyjeś działanie lub brak działania może nas ocalić. Gdy mijały kolejne dni, a Ambergris nie padało ofiarą inwazji, stawaliśmy się coraz mniej drażliwi i ostrożni. Nikt nie zamierzał zniszczyć miasta - dokonać tego mogły tylko plotki i próżne gadanie. Gdybyśmy tylko w to uwierzyli,

wróg nie mógłby wypełznąć nocą i sprawić, że wszyscy znikniemy. Trwałość należała do przeszłości.

(Nie sądzę, by wiele się zmieniło, ale jeśli nawet, to z powodów, które wyjątkowo elokwentnie wyłożył historyk Edgar Rybern: mianowicie, barbarzyńskie instytucje i osoby mogą służyć społeczeństwu, „cywilizacja” zaś może, w swoich najbardziej łagodnych formach, okazać się barbarzyńska. To doprowadziło mnie do dwóch wniosków w istotny sposób związanych z wojną. Po pierwsze, sam fakt nawiązania przez F&L kontaktów z szarymi kapeluszami, a następnie z H&S nieodwracalnie zmienił wszystkie trzy strony, które, abstrahując od deklarowanych planów, zostały wytracone z równowagi przez wojnę. Teraz, czy sobie z tego zdają sprawę, czy nie, każda nowa decyzja coraz bardziej oddala je od pierwotnych celów. Nie jestem w stanie stwierdzić, jaki to przyniesie skutek w perspektywie kolejnych stu lub dwustu lat).

Dla Duncana koniec wojny oznaczał dwie rzeczy: Lacond mógł mu pomóc wrócić do pisania pod pseudonimem - wraz z końcem wojny stało się jasne, że Lacond może zatrzymać tylko jedno z nas i nie będę to ja, nawet gdybym chciała zostać - a cierpliwość Mary niemal się wyczerpała.

Powolne wycofywanie i ucieczka od miłości dokonywały się w tym samym czasie, gdy Lacond zaczął wciągać Duncana w realizację swoich ekscentrycznych obsesji. (Wcale nie bardziej ekscentrycznych niż moje własne, Janice. Nasze porozumienie sprawiało, że już nie czułem się taki samotny).

W jaki sposób wycofywała się Mary? Poczekaście - wszystko Wam wyłożę. Przestała tolerować chaotyczny plan dnia Duncana. Przestała uznawać jego ekscentryczne zachowania za urocze. Przestała traktować jego grzybową chorobę jako tragedię, a jego zmagania z dolegliwościami jak akt odwagi. (Nie sądzę, by kiedykolwiek myślała w ten sposób o mojej chorobie. Po prostu znosiła skutki uboczne, by być ze mną).

W niewielkim mieszkaniu, które dzielili, zapanowała klaustrofobiczna atmosfera. W swoim dzienniku Duncan podał powód tych odczuć:

„W tym miejscu nie czuję inspiracji - muszę schodzić do Spory albo mieszkania Laconda, by pisać albo tylko wpatrywać się w kartkę. Nie wiem, dlaczego w moim domu zapanowała tak dusząca atmosfera, ale tak się stało. Nie ma w nim niczego, co motywowałoby mnie do tworzenia. Oczywiście nie licząc Mary”.

Jednakże Mary spędzała coraz więcej czasu z przyjaciółmi. Czasami nawet nocowała w domu rodziców. Duncan nie miał szansy ani wyboru. Bo niby skąd? Nie był w tych sprawach dostatecznie doświadczony, by walczyć lub choćby dostrzec objawy. To smutne, ale dla Duncana jedynym sposobem na odzyskanie Mary było ciągle pokazywanie jej prawdy, chociaż dla każdego rozsądnego człowieka było oczywiste, że powinien raczej kłamać, by ją zatrzymać. (Cyniczne podejście, które poskutkowałoby tylko na krótką metę. Poza tym ani ja nie byłem tak naiwny, ani Mary tak doświadczona, jak to przedstawiasz). Za każdym razem, gdy ukazywał jej prawdę, ona bardziej go odpychała. Wreszcie napisał w swoim dzienniku:

„Czuję się tak, jakbym znów żył samotnie. Tak naprawdę jej już tutaj nie ma. Przypomina pustą łupinę lub skorupę. Ma mętny wzrok. Matowe włosy. Mówi powoli i z trudem. Nie słucha mnie. Zabijam ją”.

Ale, by nie minąć się z prawdą, należy także przyznać, że Duncanowi nie odpowiadało codzienne domowe życie, przynajmniej nie na dłuższą metę. Oszczędzę Wam kontrastu pomiędzy wczesnymi wpisami do dziennika, w których z głupiutką radością rozplywa się nad pięknem pochrapywania Mary, a późniejszymi nudnymi i jadowitymi komentarzami dotyczącymi tego samego odgłosu. Zresztą spójrzcie na ten lakoniczny wpis, który powstał zaledwie miesiąc przed katastrofą: „kolejna noc dziwnych zapachów”. Czasami niemal się usprawiedliwiał: „Mogłaby narzekać na częstotliwość, z jaką wypuszczam zarodniki. Albo na to, że od czasu do czasu wydzielam dziwny zielony szlam. A jednak nie narzeka”.

Myślę, że nawet wtedy nadal chciał z nią być. Nie wierzę, by kiedykolwiek zrozumiał, że może ją stracić. (Wtedy nie wyobrażałem sobie, że mógłbym wytrzymać bez niej choćby chwilę - i muszę szczerze przyznać, że od czasu, gdy ją straciłem, znośne chwile w moim życiu pojawiają się coraz rzadziej i są coraz mniej intensywne). W końcu jeszcze nigdy nie doświadczył rozstania - w odróżnieniu ode mnie, ja bowiem przeżyłam ich dziesiątki. Byłam specjalistką od nieudanych związków. Stały się dla mnie rytuałem, każda bitwa miała własną historię i własne zasady postępowania.

Duncanowi i Mary udało się zostać razem w ich mieszkanku jeszcze przez kilka miesięcy, ale tak samo jak rozgwieżdża, która nagle stała się krucha, ich miłość umarła na długo, zanim uznali ten fakt. Łącząca ich więź została zniszczona, zerwana, i chociaż Duncan nadal kochał Mary - mimo że chyba już jej nie lubił - ona nie kochała jego. Ich związek był nadszarpnięty, rozplątany. Zdarzały im się ostre kłótnie i łzawe powroty. Duncan szukał azylu w moim mieszkaniu, po czym do niej wracał, pomimo moich obiekcji.

Pod koniec napisał w swoim dzienniku:

„Mam wrażenie, że ona jest zbudowana z gliny, drewna albo kamienia. Nie ma już w niej nawet odrobiny tamtej cudownej płynności, która sprawiła, że jej pożądałem, choć nadal mnie pociąga. Myślę sobie, że to tylko kwestia czasu - w końcu pogodzi się z tamtą nocą i z tym, co widziała. Zrozumie to dziwne piękno, a dzięki temu zrozumie także mnie. Na razie narzeka na to, jak dużo czasu spędzam z dala od niej, z Lacondem i »tym głupim towarzystwem«, jak je nazywa, ale kiedy jestem przy niej, twierdzi, że ją »tłamszę«, Krzywi się z obrzydzeniem, gdy moja grzybowa choroba przybiera na sile. Kiedy czuję nadchodzący atak, muszę szczerlnie owijać się szlafrokiem, chowając się przed jej krytycznym spojrzeniem. W jej towarzystwie nie mogę się odprężyć. Miłość do niej mnie postarza. Wciąż wracam myślami do tamtej nocy. Do euforii, którą czułem, gdyż wreszcie miała zobaczyć to, co ja widziałem, i miało nas to połączyć. Zastanawiam się, jak mogłem być tak naiwny.

Duncan nigdy nie rozważał wyparcia się swoich odkryć, zapomnienia o podziemnym świecie, zaprzeczenia temu, co tam odnalazł. Był jednak zdolny do obwiniania samego siebie:

„Jak mogłem się spodziewać, że ona uwierzy w to, co ja sam rzadko potrafiłem zrozumieć? Czasami żałuję, że nie udało mi się znaleźć innego sposobu. Czasami chciałbym to wszystko cofnąć, zacząć od nowa. Ale wątpię, by mi pozwoliła”.

Wkrótce prawie przestali ze sobą rozmawiać... aż wreszcie, pewnego dnia, Duncan wrócił do domu z biura Laconda i jej nie zastał. Myślał, że wyszła tylko na chwilę, dopóki nie znalazł liściku. Zachował go razem z pozostałymi notatkami. Teraz leży obok mojej gnijącej maszyny do pisania. Oto jego treść:

Mój ukochany!

Kocham Cię, ale już nie jestem w Tobie zakochana. Chcesz, abym dostrzegala rzeczy, które nie istnieją. Nie tylko pragniesz, bym zobaczyła niemożliwe, ale uznała je za coś pięknego, za objawienie. Tamta noc była dla mnie straszliwym doświadczeniem, Duncanie. A twoje naleganie, bym uwierzyła, zaczyna mnie przerażać.

Nie ma sposobu, by nas uratować. Nie mogę dalej z Tobą żyć. Mam nadzieję, że z czasem będziemy mogli zostać przyjaciółmi, ale teraz musimy się

rozstać. Poza tym oboje mamy książki do napisania, a żadne z nas nie potrafi stworzyć w takiej atmosferze.

Czy wiesz, jak trudno jest mi porzucać nie tylko kochankę, ale i nauczyciela? Niestety, nie mam wyboru.

Dziękuję za wszystko, czego mnie nauczyłeś, wszystko, co mi przekazałeś na temat historii i świata. Nigdy tego nie zapomnę.

Na razie na tym zakończę, ponieważ, jak doskonale wiesz, zbyt wiele słów może stanowić pułapkę.

Ściskam Cię,

Mary

PS. Zostawiam Ci mieszkanie, dopóki nie znajdziesz sobie własnego kąta.

Czasami pomiędzy tym, czego potrzebujemy, a tym czego pragniemy, ziele prawdziwa otchłań. Przykładowo, pragnę mieć więcej światła w tym przeklętym pokoju, ale potrzebuję obiadu, ponieważ burczy mi w brzuchu. Duncan zawsze pragnął Mary, ale czy jej potrzebował? W pewnym sensie nie. W pewnym sensie, tak jak pisarz, który skupia się przede wszystkim na swojej pracy, Duncan nie potrzebował niczego poza dostępem do podziemi. (Robisz ze mnie jakiś teoremat, który za wszelką cenę pragnie zostać wyrażony, a nie ludzką istotę).

Obok notki Mary leży list, który napisała do przyjaciółki. Nie wiem, w jaki sposób Duncan wszedł w posiadanie go. Nie mam ochoty zgadywać. (Przechwycenie jej korespondencji było jednym z moich bardziej wstydlivych postępów. Kierowało mną chwilowe szaleństwo, wariactwo z miłości. Zrobiłem to tylko raz czy dwa. Wciąż się tego wstydzę). List znacznie śmieiej objaśnia całą sytuację i z pewnością zdenerwował Duncana.

Duncan stał się jeszcze bardziej sobą. Zostawiłam go, ponieważ nie mogłam już tego znieść - bredzenia o szarych kapeluszach. Wszystko się wokół nich kręci. Nawet gdyby mnie kochał, wiem, że mogłabym się stać najwyżej dodatkiem do tych cholernych szarych kapeluszy. Co gorsza, moi rodzice go nienawidzili, ponieważ, jak to ujmowali, skalał niewinność ich córeczki. Poza tym nie dało się z nim żyć i był jak dziecko - cały czas chciał być zakochany, jeśli nie we mnie, to w swoich badaniach. Męczył mnie. Reagował niezwykle emocjonalnie. Jak można przez cały czas tak funkcjonować? Nie mogłam złapać

oddechu ani spokojnie pomyśleć. A jego opinie o moich badaniach! Zawsze się czepiał, zawsze był pewny, że ma rację, a ja się mylę. Sądzę, że w jego oczach nigdy nie mogłabym się stać nikim więcej niż studentką, musiałam więc od niego uciec. Tak, kochałam go, ale czasami, jak się przekonuję, miłość nie wystarczy.

(Zadrzałem w myślach i zastanowiłem się nad sobą - czy rzeczywiście taki byłem? Tak, pewnie byłem. Ale nie wiem, czy Mary kiedykolwiek rozumiała, jak dużemu stresowi podlegałem i jak ważne było to, czego poszukiwałem. Chodziło ni mniej, ni więcej tylko o odkrycie losu wszystkich mieszkańców tego miasta, może nawet świata. A jednak. Mimo wszystko. Wiedziałem, że coś ode mnie wzięła, że byłem dla niej cenny. Dawałem niemal tyle samo, ile brałem. Byłem jej mentorem, a ona moją uczennicą, niezależnie od tego, jak wiele smutku jej przysporzyłem. To mnie trochę pocieszało).

I tak to się skończyło. A przynajmniej tak mi się wydawało. Ponieważ mimo że Mary uwolniła się od Duncana, on nigdy na dobre nie uwolnił się od niej ani od jej naszyjnika ciała.

Duncana opuściło szczęście w miłości, ale jego kariera historyka ponownie rozkwitła: oczywiście w miniaturze, porównując z wyzynami, których sięgnął w młodości. Co prawda ci, którzy mówili prawdę o szarych kapeluszach i przeszłości Ambergris, byli skazani na funkcjonowanie na marginesie, udało im się jednak stworzyć własną organizację: Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta. Większość powojennych nadziei na wyrażenie siebie Duncan realizował za pośrednictwem TADRMM.

TADRMM ponownie stało się pasją Laconda - i na swój ograniczony sposób dość dobrze prosperowało przez jakiś czas po wojnie - a *Dziennik Ambergris*, który pozwalał nam opłacać czynsz, często cierpiał z powodu zaniedbania. (Rzeczywiście. Nigdy znacząco nie podupadł, gdy Lacond go redagował, ale kiedy kilka lat później przejąłem kierownictwo nad gazetą, musiałem ją wyciągać z finansowego dołka, ku uciesze naszych licznych wrogów).

- Ważne jest to - powiedział mi kiedyś Lacond - że publikujemy prawdę, dokumentujemy to, co się dzieje. Dzięki nam pozostanie przynajmniej jakiś zapis, dowodzący, że ktoś o tym wiedział.

To stwierdzenie wydało mi się absurdalne.

- Po co? - odparowałam. - Żebyś mógł, kiedy już otworzy się otchłań, stanąć na krawędzi i krzyknąć w dół: „A nie mówiłem?”

Lacond popatrzył na mnie tak, jakbym nic nie zrozumiała z tego, co powiedział.

Kiedy zrelacjonowałam tę wymianę zdań Bonmotowi, ten rzekł:

- Owszem, ale ilu jeszcze szelmstw dopuściłby się Duncan gdyby nie Lacond?

Musiałam przyznać, że to dobry argument. Ponieważ w latach po wojnie Lacond poświęcał większość czasu na uczynienie z Duncana swojego zastępcy. Gdyby nie on, strata Mary mogłaby zboleć Duncana znacznie bardziej. (W jaki sposób mogłaby mnie bardziej zboleć? Przez kilka miesięcy prawie nie wychodziłem z mieszkania. Lacond musiał mnie siłą wyciągać z łóżka, bym dla niego pracował. Jeszcze przez wiele lat czułem pustkę w żołądku i płucach. Czasami myślałem o Mary i traciłem oddech).

Lacond miał na Duncana przewrotny wpływ. Sprawił, że Duncan zapragnął czegoś, z czego pozornie dawno temu zrezygnował: odbudowania reputacji. (Może i pogodziłem się z brakiem szacunku, ale to nie znaczy, że o niego nie walczyłem. Musiały minąć lata, nim pojawiła się szansa na choćby najdrobniejszą poważną publikację, ale nigdy się nie poddałem). Lacond powtarzał Duncanowi, że jeśli opublikuje wystarczająco dużo esejów w biuletynie TADRMM, to w końcu zostanie ponownie zauważony.

- Wystarczająco dużo tekstów w marginalnym czasopiśmie czytany przez kilka tysięcy innych wariatów? - spytałam Duncana, gdy mi o tym powiedział. - To ma być droga do większej chwały? Chyba nie, Duncanie. Naprawdę tak nie sędzę. Powinieneś spróbować napisać kolejną książkę; może uda ci się znaleźć wydawcę.

Pokręcił głową.

- Nie teraz, jeszcze nie. Na razie nie potrafię nawet myśleć o książce, moje myśli są zbyt niekompletne. Ale eseje... tak, mógłbym je pisać. A Lacond może mieć rację, nigdy nie wiadomo.

Absurd! Duncan jednak w to wierzył. Oto, co napisał w swoim dzienniku:

„Czasami czytam listy, które zachowałem ze swoich dni chwały, gdy czytelnicy mogli bez trudu zdobywać moje książki w dużej liczbie. Wtedy pojawiali się ludzie, którzy mnie rozumieli, którzy zdawali sobie sprawę, że piszę prawdę. Nie wierzę, że wszyscy oni umarli w ciągu kolejnych dwudziestu lat, albo że nie ma nowych czytelników, którzy mogliby docenić moje książki. Muszę po prostu znaleźć sposób na to, by ponownie do nich dotrzeć. A jeśli mi się to uda, być może znów dotrę do Mary. Łatwo jej lekceważyć Laconda oraz TADRMM, ale jej opinia o mnie może ulec zmianie, jeśli... Na razie trudno o tym marzyć i myśleć”.

(Wtedy rzeczywiście w to wierzyłem, być może naiwnie, ale z czasem moje nastawienie uległo zmianie. Przestałem postrzegać książki jako drogę do zbawienia. Przestałem nastawiać się na publikację, ale raczej na gromadzenie wiedzy i jak najszersze jej upublicznianie).

Czy Duncan nie dostrzegął, że Lacond próbował tego samego od lat - dziesięcioleci - z jeszcze mniejszym powodzeniem? Pewnie był na ten fakt tak samo zaślepiiony jak na to, że gdy przesiadywał w cieniu olbrzymiego dębu przed domem rodziców Mary, mając nadzieję, że ją zobaczy, ona wędrowała zupełnie innymi ścieżkami. Jak ktoś tak inteligentny może być aż tak głupi? Duncan jednak nie ustępował. (Nie miałem wyboru. Myślałem, że Mary i ja w końcu zostaniemy przyjaciółmi. Tłumaczyłem sobie, że nie daję jej spokoju, ponieważ się nią opiekuję i ją chronię. A jaka była prawda? Moje serce, rozdarte pomiędzy nadzieją i bólem, nie mogło znieść myśli, że miałbym jej już nigdy nie zobaczyć, nawet jeśli mogłem liczyć najwyżej na to, że w oknie przez sekundę mignie mi jej sylwetka, która jeszcze na wiele miesięcy potrafiła mnie zahipnotyzować).

Bonmot zwykł mawiać, że „Ograniczenia naszej wyobraźni są ograniczeniami naszej wolnej woli”. Duncan nie potrafił sobie wyobrazić życia, w którym zabrakłoby Mary i szarych kapeluszy. Czasami zastanawiam się, jak zmieniłoby się jego życie, gdyby uwolnił się od Ambergris i pożegłował na Południowe Wyspy, zatracając się w falach i wietrze, oddając innej obsesji.

(Janice - wszystkie obsesje są takie same. Ich najważniejsze elementy niewiele się różnią. Uparcie nie wierzysz, że moje poszukiwanie wiedzy nie było powodowane osobistymi względami i egoizmem, lecz lękiem o przyszłość miasta. Nie dawałem Mary spokoju z obawy o przyszłość Duncana Shrieka. Szczerze mówiąc, poza Mary niewiele trzymało mnie w Ambergris. Coraz bardziej się zmieniałem i stale musiałem wymyślać nowe powody, które powstrzymywały mnie przed zejściem pod ziemię i pozostaniem tam na dobre. Mógłbym zasiąść w jakimś mrocznym, wilgotnym zakątku świata szarych kapeluszy i zapuścić korzenie. Mógłbym pozwolić, by grzyby mnie skolonizowały, wciągnąć do płuc ich sen i obudzić się za tysiąc lat do całkiem nowego losu. Czy więc po pewnym czasie to nadal była miłość? Zapewne nie. Raczej rozpaczliwe poszukiwanie normalnego życia. Czy możesz mnie za to winić?).

Gdyby tylko Duncan mógł przeprosić Bonmota w sposób, który ten by zaakceptował. Ale tak się nie stało. Wydaje mi się, że wiara Bonmota była bardziej krucha niż dawał po sobie poznać - pewnie uważał, że jeśli wpuści Duncana z powrotem do swojego życia, to wpłynie to na jego charakter, nadszarpnie trwałość jego przekonań. W tamtym okresie

Duncan mógłby znaleźć u Bonmota niezbędną równowagę. Mógłby skorzystać z pomocy kogoś więcej niż pozbawiona stopy siostra, którą dręczyły koszmary o byciu zakopaną pod stertą trupów. Ponieważ Lacond rzeczywiście go przekonał - chodzili na te wariackie spotkania wariackiego towarzystwa, a Duncan wierzył, że czyni postępy, ponieważ słucha go trzysta osób. (Lacond mi wystarczał. On nigdy nie sprawiał, że czułem się pokrzywdzony lub obłąkany, co Bonmotowi udawało się nawet podczas naszych najlepszych rozmów. Nawet w najbardziej skromnym słudze bożym można odnaleźć szczyptę przekonania o własnej prawości, która jest czymś strasliwym. Tymczasem Lacond uczył mnie pewności siebie i wytrzymałości. Odkąd stał się dorosły, co roku spisywał swoje dziwaczne, niepopularne teorie i za pośrednictwem swojego towarzystwa udostępniał je ludziom. I co roku większość czytelników odrzucała jego teksty, udawała obojętność bądź uznawała te teorie za nieprzychylnie odzwierciedlenie lub komentarz na temat jego własnej kondycji. A jednak Lacond nigdy nie przestał, nigdy się nie poddał. Ja tego nie potrafiłem).

Poszłam na zebranie TADRMM. To mi wystarczyło - jeden rzut oka na program, który wręczyła mi tęga kobieta w fioletowym szalu bez końca owijającym jej szyję, niczym dławiący ją fioletowy wąż dusiciel - jeden rzut oka przekonał mnie, że już tam nie wrócę:

Towarzystwo Ambergrian dla Rdzennych Mieszkańców Miasta

Cotygodniowe zebranie nr 231

- zebraniu przewodniczy prezes James Lacond
- protokołuje Linda Pitginkel
- okolicznościowa oprawa muzyczna w wykonaniu „George’a Flecisty”
- przekąski upieczone przez Larę Maleon. Program zebrania

(1) Recytacja motto Towarzystwa: „W poszukiwaniu prawdy, dla prawdy, przez prawdę. Przeciwno bezwładowi, przeciwno beztrosce, przeciwno fałszowi”.

(2) Przedstawienie mówców (James Lacond).

(3) Rebecca Flange czyta fragment swojej książki „Zbrodnie Tonsure'a: Rola trucizny”.

(4) „Czym jest prawda - Jak mamy ją traktować i jakie ma znaczenie dla zrozumienia szarych kapeluszy” - referat Sarah Potent.

(5) „Kontakty ze zmarłymi - ich wpływ na nasze zrozumienie szarych kapeluszy” - referat Rogera Seabolda.

(6) „Jestem prawdziwym potomkiem Samuela Tonsure'a” - referat Jamesa „Tonsure'a” Williamsa.

(7) „Dowody na istnienie grzybów o rozmiarach miasta” - referat Fredericka Madnoka (pod nieobecność autora odczytany przez Harry'ego Flacka).

Myślę, że już sam plan zebrania powinien dać mi jakieś wyobrażenie o tym, z jakimi bufonami związał się Duncan. Od pisania rzetelnych książek przeszedł do pisania rzetelnych artykułów, nauczania w rzetelnej szkole, a potem do skandalu i złamanego serca, by teraz wieść żalosną egzystencję na marginesie swojej wybranej dziedziny badań.

(Ponownie jesteś niesprawiedliwa. Doceniam Twoją opiekuńczość, ale prawda często jest tak dziwna, że początkowo nie da się odrzucić nawet najbardziej szalonych teorii, najgłupszych przypuszczeń. Pamiętasz, jak pozwalałem, by moi studenci prowadzili dla mnie badania? To była podobna sytuacja - zawsze szukałem ziarna prawdy w powodzi bzdur, które prezentowano podczas tych zebrań. Czasami u podstaw nawet najbardziej absurdalnej teorii można było znaleźć skrawek informacji dotyczącej szarych kapeluszy, którą można było pozyskać i wykorzystać w innym celu. Właśnie po to pojawiałem się na tych spotkaniach, a nie dlatego, że wierzyłem we wszystko, co tam słyszałem, bądź chciałem, by mnie kojarzono z tymi ludźmi. Ale, Janice, kto inny opublikowałby moje „wariackie teorie”? Po wojnie nie znalazłby się żaden chętny, oprócz, jak się ostatecznie okazało, Sirina. A nawet on nie zrobił tego porządnie, jak sama doskonale wiesz, mój dobroczynny, samozwańczy kacie).

Z pewnością byłam przyzwyczajona do kontaktów z dziwnymi ludźmi - nigdy nie spotkałam artysty, który na jakimś poziomie nie byłby dziwaczną lub wyobcowaną osobą. Ale to było coś innego. To byli ludzie na samej krawędzi szaleństwa. Dziwacy. Stolarze, którzy w wolnym czasie opracowywali paranoiczne teorie dotyczące Domu Hoegbottona, dojrzewające w mrocznych, lśniących przestrzeniach ich wyobraźni. Znudzone kury domowe, które łapały się na lep najbardziej krzykliwych gazetowych nagłówków. Nienawidzący samych siebie, zarabiający grosze, zgorzkniali pracownicy banków, którzy bronili szarych kapeluszy, ponieważ ucieszyliby się, gdyby te powstały i przejęły kontrolę nad miastem. Ludzie, którzy wierzyli, że są wcieleniami historycznych postaci takich jak Tonsure. A na marginesie tego marginesu, bezdomni, którzy przychodzili na zebrania Towarzystwa, by znaleźć schronienie. Upośledzeni umysłowo, których zwolniono ze zniszczonego Szpitala Psychiatrycznego im. Vossa Bendera. Przez chwilę wydawało mi się nawet, że widzę szary

kształt, który przypominał mojego byłego współwładziciela Edwarda, ale gdy spojrzałam ponownie, już go nie zauważyłam. A to byli tylko widzowie.

Co za banda zaplutyh awanturników! Podczas zebrania czułam gorzki smak jadu! Smutna, samotna, żalosa, nerwowa, neurotyczna, psychotyczna, obnażona zgnilizna miasta.

- Według mnie Tonsure był szarym kapeluszem przebrany za kapłana.

- Oszłomiła mnie gracja, z jaką grzyb przeskakiwał z drzewa na drzewo.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że mam dar kontaktowania się ze zmarłymi, dopóki nie skończyłam dwunastu lat.

- W rozległych, pustych przestrzeniach pod miastem rozpanoszył się olbrzymi grzyb, który zamierza zamknąć całe miasto w swym oślizłym uścisku.

- Jako kobieta jestem lepiej dostrojona do uczuć nieożywionych przedmiotów.

Duncan zaś chciał zostać ich przywódcą: Władcą Niezadowolonych. Niezadowolonych, że muszą pracować. Niezadowolonych, że muszą mieć jakiś zawód. Rozczarowanych, którzy nigdy nikogo nie oczarowali, chyba że jako dzieci. Nic dziwnego, że Mary ich nienawidziła. Ja także nienawidziłam tej grupy. Przynajmniej w tej kwestii mogłam się z nią solidaryzować. (A jednak oni i ja jesteśmy znacznie bliżej prawdy niż ci, którzy szydzili z naszej organizacji, niezależnie od nieraz bezpodstawnych dowodów, które przedstawiano podczas zebrań. Wyczuwam w Twoich uwagach pewną dozę snobizmu, Janice, zupełnie jakby jedynymi ludźmi godnymi uwagi byli malarze, pisarze albo dramaturgowie - ale cofnij się do swojego własnego opisu Nowej Sztuki i jej twórców. Czy naprawdę byli inni, poza tym, że silniej narzucali światu owoce swojej obsesji i wyobraźni? Czasami jakaś teoria lub idea może być równie dziwna i piękna jak obraz, nawet jeśli wyrażają ją osoby mało elokwentne.

Pozwól, że Ci opowiem, co widziałem tamtego dnia podczas zebrania. Widziałem kobietę, która usiłowała poradzić sobie z niewyjaśnioną śmiercią swojej siostry. W tym celu zebrała wszystkie znane fakty dotyczące Samuela Tonsure'a i nagięła je do potrzeb teorii, która miała jej pomóc pogodzić się z tym, z czym nie sposób się pogodzić. W tym wymuszonym połączeniu faktów i fantazji mógł się znajdować fragment prawdy, choćby psychologicznej. Być może, postrzegając Tonsure'a w innym świetle niż ja, tamta kobieta zwiększała moje zrozumienie jego osoby o jakiś drobny szczegół.

W swojej diatrybie o prawdzie Sarah Potent wychodziła od historii buntu Stretchera Jonesa przeciwko Kalifowi, a potem podejmowała liczne pozostające bez odpowiedzi pytania dotyczące przeszłości Ambergris - czy w zawołany sposób nie stawiała tych samych

pytań, które od czasu do czasu wszyscy zadawaliśmy? Czy zasługiwała na potępienie, dlatego że próbowała to wszystko przemyśleć?

Czy mogłaś pozostać ślepa na piękno teorii Fredericka Madnoka, która głosiła, że Ambergris „ocienia” od spodu olbrzymi grzyb, równie szeroki i wysoki jak miasto, poprzecinany tunelami szarych kapeluszy? Czy mogłaś nie zwrócić uwagi na niezwykłą precyzję i mistrzostwo wykonania jego licznych wykresów? Na humorystyczne podpisy, które pokazują czytelnikowi, że Madnok doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak szalona może się wydawać jego teoria?

Bycie wyrzutkiem to sztuka, Janice, bycie wariatem to umiejętność. Niektórzy ludzie postanawiają zajmować się pisaniem fikcji i uznaje się to za prawowite zajęcie. Inni wolą przedstawiać dzieła swojej wyobraźni w bardziej osobisty sposób. Na przykład mnie to spotkanie dało więcej niż jakakolwiek przeczytana powieść).

Prawda jest jednak taka, że Duncan nie postrzegał ich takimi, jakimi byli naprawdę, tylko takimi, jakimi chciał ich widzieć: jako stowarzyszenie wizjonerów, marzycieli i rewolucjonistów. Najwyraźniej był nimi tak urzeczony, że na pewien czas pożegnał się z rozumem, stał się aspołeczny i zaczął mnie unikać. (Któż mógłby mnie za to winić, zważywszy na Twoje ówczesne nastawienie? Tak podobne do Twojego stosunku do Mary. Cóż za ironia, biorąc pod uwagę stosunek Mary do TADRMM). Gdy ci wariaci zaczęli zajmować mu coraz więcej czasu, przestał się kąpać. Całymi tygodniami nie zmieniał ubrań. Bełkotał pod nosem. (Strasznie tęskniłem za Mary. Tak bardzo mi jej brakowało, Janice. Nie wiem, czy potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo).

Co zaś najgorsze, gdy Lacond zaczął podupadać na zdrowiu, Duncan coraz bardziej angażował się w wydawanie biuletynu TADRMM, a to oznaczało, że pisał mniej, ponieważ nawarstwiające się obowiązki redaktorskie zajmowały mu większość czasu.

Tak samo jak Lacond, Duncan nie cenzurował teorii sprzecznych z jego własnymi ideami. Wierzył, że skoro większość „ekspertów” nie jest zdolna do przyjęcia prawdy o szarych kapeluszach, wszystkie teorie powinny ujrzeć światło dzienne, niezależnie od ich zasadności. Uważał, że to ułatwi umysłom otwarcie się na to, co nietypowe i nieprawdopodobne. „Zmiękczenie oporu wobec rzeczywistości”, mamrotał. „Rodzaj powszechnego powstania przeciwko wygodnej powierzchowności”. (Tak jakby mogło mi to w czymkolwiek pomóc).

W tym celu gazeta, którą w coraz większym stopniu redagował „w imieniu” wciąż żyjącego Laconda - nawet pisując eseje pod jego nazwiskiem - stała się jeszcze bardziej ekstrawagancka i przez to jeszcze bardziej lekceważona i odrzucana przez ludzi żyjących w

kłamstwie. (Jednak niektóre z tych teorii, chociaż błędne, były piękne i eleganckie. Na przykład „morchellomancja” - przepowiadanie przyszłości z grzybów... czy też, jak to określiłaś ku mojemu rozbawieniu, „uwalnianie dawno uśpionych, kolorowych zarodników szaleństwa”. Zrozum, że nie wszystko, co piękne, musi być prawdziwe, by mieć jakąś wartość).

Przynajmniej Duncan ujrzał prawdę, lub jakąś formę prawdy, na własne oczy. Pozostali, którzy przesiadywali w swojej świetlicy, wysłuchując opowieści o tym, dlaczego inteligentne grzyby pewnego dnia wyjdą spod ziemi i wszystkich zabiją - a w niektórych przypadkach o tym, dlaczego im się to spodoba - nie widzieli prawdy. Po prostu nie mieli lepszych pomysłów - zgadywali. Byli samotni i rozpaczliwie szukali towarzystwa albo czegoś, co obroni ich przed ciemnością. Nawet wariacka teoria jest lepsza od braku jakiegokolwiek teorii. Od bycia nikim. Od otchłani.

Takiej jak dziura, która znajduje się za moimi plecami i prowadzi Truff jeden wie dokąd. (Truff może nie wiedzieć, dokąd ona prowadzi, ma bowiem na głowie ważniejsze sprawy, ale oboje wiemy, że prowadzi pod ziemię. Pozwól, że przywołam imię Truffa w bardziej właściwym kontekście: na litość Truffa, skończ z tym melodramatyzmem!).

Co robiłyśmy ja i Mary, podczas gdy Duncan postanowił zadowolić się byle czym? Cieszę się, że spytaliście. Mary rozpoczynała swoją błyskotliwą karierę, która ostatecznie miała zaowocować powstaniem jej oszalamiającego naszyjnika ciała. Tymczasem ja schodziłam coraz niżej po drabinie sukcesu. Pewnego ponurego wiosennego dnia pożegnałam się ze swoją galerią.

Gdy stałam samotnie na ulicy, usłyszałam głos Sybela:

- Dobrze sobie radziłaś. Wiele osiągnęłaś. Nie powinnaś się smucić. Jak długo mogłabyś ją jeszcze utrzymać?

- Kiedyś powiedziałaś, że to dopiero początek, Sybelu.

- Naprawdę mi uwierzyłaś? Powiedziałem ci to, co potrzebowałaś usłyszeć.

- Tak, masz rację. Masz rację.

Odwróciłam się, by na niego popatrzeć, ale oczywiście go nie było. Przez chwilę musiałam pozbierać myśli. Odeszłam, nie oglądając się za siebie, bojąc się, że jeśli to zrobię, wybuchnę płaczem.

Ucieczka, uciekałam, uciekłam. Dokonałam tego. Już mi nie groziło to, że ktoś uzna, że osiągnęłam sukces. Musiałam zacząć od nowa, w mieście, na którego pomoc raczej nie

liczyłam. Obracałam się w tych samych kręgach, od czasu do czasu przesiadywałam w tych samych przedsiionkach słabości, ale to były tylko pozory - blaknąca poświata, która nie ogrzewała twarzy.

Ponownie zdałam się na łaskę Sirina, który po długiej przerwie wrócił na swoje stanowisko u Hoegbottona. Nikt nie plotkował o tym, jakim szelmostwem oddawał się podczas swojej nieobecności. (Nie mam pojęcia, co wiedział o Hoegbottonach, że mógł liczyć na taką ochronę, ale musiał dysponować czymś więcej niż dowodami na defraudacje, cudzołóstwa czy słabości charakteru).

Podczas gdy Mary mogła ze strony Sirina liczyć na najlepsze traktowanie oraz umowę na swoją pierwszą książkę, ja otrzymałam pracę jako przewodniczka po Ambergris, a mój „gabinet” mieścił się na parterze nowo odbudowanej głównej siedziby H&S. Chociaż rzadko się widywaliśmy, Sirin i jego palisandrowe biurko znajdowali się dokładnie nade mną. Czasami spoglądałam na sufitowe płytki i wyobrażałam sobie, że widzę motyle wyfruwające ze szpar. Przyznaję, że w niektóre dni, gdy kipiałam ze złości, zgrzytałam zębami i posyłałam ciche przekleństwa w stronę tego sufitu. (A ja muszę się przyznać, że przedstawiłem Sirina Mary kilka tygodni przed wybuchem wojny, i to głównie dzięki mojemu wstawiennictwu Sirin po powrocie zaproponował Mary wydanie książki. Nie powiedziałem Ci tego z oczywistych względów).

Trzeba uczciwie powiedzieć, że bez swojej galerii i nędznych pozorów szacowności, które mi zapewniała, już nie mogłam zajmować prestiżowego stanowiska - Sirin zaś znalazł młodszych i tańszych dziennikarzy do pisania artykułów, które wcześniej zlecał Duncanowi i mnie. Tak więc pięć razy w tygodniu strużka turystów odnajdywała drogę do mojego gabinetu i zapisywała się na tak absurdalne wycieczki, jak „Ulubione miejsca i środowisko szarych kapeluszy” - polegające na pokazywaniu miejsc, w których różni słynni ludzie „zniknęli” bądź zginęli z rąk szarych kapeluszy, a potem na zejściu do piwnicy nowo odbudowanej Księgarni Borgesa, gdzie nigdy nie widziano żadnego szarego kapelusza. Kolejną z ulubionych wycieczek była trwająca od zmierzchu do północy wyprawa „Nawiedzone Ambergris”. W jej trakcie musiałam korzystać z talentu aktorskiego, którego nie posiadałam, oraz tony notatek, ponieważ wszystkie opowieści zlewały mi się w jedną całość. (Sądzę, że doskonale nadawałbym się do takiej pracy, gdybyś tylko mi ją zaproponowała).

Jednakże z perspektywy czasu najgorszą wycieczką były „Literackie atrakcje Ambergris”, gdyż wraz ze wzrostem popularności Sabon musiałam zacząć zabierać turystów

pod okna każdej drogiej nory, którą aktualnie wynajmowała, gdzie gapili się i kręcili w kółko, przekonani, że lada chwila zauważą pisarkę wyglądającą zza zasłony.

„Oto dom kontrowersyjnej i utalentowanej Mary Sabon”, tak zaczynała się oficjalna gadka, którą byłam zmuszona mamrotać i sprzedawać turystom, których mogło, ale wcale nie musiało to obchodzić.

„To w tym domu Sabon napisała większą część swojej książki »Kolejne banalne banały«, w której obaliła wiele z najbardziej paranoicznych teorii dotyczących szarych kapeluszy”. I tak dalej.

Czasami Sybel patrzył na mnie z pobliskiego drzewa, uśmiechając się znacząco, ale z sympatią, ubrany w strój, który najlepiej znałam: leśną zielen i brąz swojej młodości.

- Spokojnie, Janice - pocieszał mnie. - Nie jest tak źle. Mogłoby być gorzej. Wiem coś o tym.

- Gorzej? Niby co mogłoby być gorzej? - pytałam, ale wtedy był już drobiną kurzu w kąciaku mojego oka, a ja wprawiałam w zakłopotanie siebie i turystów, zadając to pytanie na głos.

Im częściej teraz o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że Sybel miał rację: biorąc pod uwagę stan mojej stopy, miałam szczęście. Mój status Reliktu równoważył kalectwo drewnianych palców i słojuwatyh podeszew. Mogłam odchodzić od scenariusza i wzbogacać historię miejsc, które odwiedzaliśmy, nie szczędząc turystom szczegółów i opowiadając o intrygach z polotem, na jaki było stać niewielu innych przewodników. Naprawdę tam byłam, gdy *to* albo *tamto* się wydarzyło. Żeby odkupić swoje dawne przewinienia wobec obyczajności i skromności, czasami musiałam prowadzić ludzi pod swoją biedną wypatroszoną galerię, a tam recytować jej historię i dzieje legendarnej Nowej Sztuki. (Naprawdę wierzysz, że Sirin nie czuł dreszczyku chorej satysfakcji, gdy zmuszał Cię, byś tam wracała? Jestem pewien, że czuł; jak mogłoby być inaczej?).

Prawdę mówiąc, w pierwszych latach ta praca nawet mi nie przeszkadzała, zwłaszcza gdy jeszcze nie musiałam oprowadzać wycieczek o nazwie „Nawiedzone Ambergis” i wystawać jak idiotka przed domem Mary. Przynajmniej przez część czasu mogłam korzystać z konia i wózka, dzięki czemu nie musiałam powłóczyć drewnianą nogą. Interes zaczynał kwitnąć: ustanie działań wojennych wkrótce spowodowało przybycie nowej fali ciekawskich - nie na tyle ciekawskich, by brali udział w Festiwalu, ale wystarczająco, by zwiedzać miasto w świetle dnia w innych porach roku.

Poza tym często pojawiałam się w Akademii Blythe'a tuż przed porą lunchu. Pozwalałam żwawym turystom z Morrow, Stockton lub Nicei swobodnie włóczyć się po

okolicy, oczywiście w granicach rozsądku, a sama dosiadałam się do Bonmota, by zjeść w jego towarzystwie kanapkę. Na kamiennej ławce. Pod legendarnymi, ale już znacznie bardziej pomarszczonymi wierzbami.

- Trudna publiczność? - prawie zawsze pytał Bonmot, wywołując uśmiech na mojej twarzy.

- Nie jestem komediantką ani zonglerką, Bonmocie. Nie muszę ich zabawiać. Wystarczy, że pokazuję im ciekawe miejsca.

- Jesteś bardzo uczynnym przewodnikiem - odpowiadał, próbując się nie roześmiać. - Uczysz ich samodzielnego znajdowania sobie rozrywek.

- Dlaczego nie? Ja muszę tak robić. - Mówiłam to z uśmiechem.

Chciałabym móc powiedzieć, że wspólne posiłki z Bonmotem przebiegały w takiej atmosferze jak dawniej, ale tak nie było. Owszem, nad naszymi rozmowami nadal unosił się duch zadowolenia i swobody, ale stał się bardziej ulotny; nie utrzymywał się tak długo jak kiedyś i nie wpływał na mnie tak mocno. Nasze rozmowy miały ograniczenia; byliśmy naznaczeni bliznami. Bonmot nigdy nie rozmawiał o Duncanie, a ja, nie chcąc rezygnować z choćby wyblakłej przyjemności, jaką wciąż dawały mi te spotkania, nie próbowałam drażnić tego tematu.

Sytuacja się zmieniła, ale to samo można było powiedzieć o Bonmocie. Zmieniła go wojna.

- Zauważyłam, że teraz czasami zdarza ci się wahać - powiedziałam pewnego razu, gdy zapadła niezręczna cisza. - Chcesz coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymujesz.

Bonmot pokiwał głową.

- Masz rację. Powstrzymuję się, ponieważ już nie jestem pewny. To, co kiedyś wydawało mi się oczywiste, nie brzmi prawdziwie, gdy o tym mówię, dlatego najpierw mówię w myślach, a dopiero potem na głos. W przeciwnym razie mam wrażenie, że obracam w ustach trociny. Poza tym tęsknię za ludźmi, którzy zginęli, i czasami podczas rozmowy widzę ich, ponieważ przypominam sobie, który kapłan nauczył mnie truizmu, który mam zamiar wypowiedzieć. - Popatrzył na mnie znacząco i ze smutkiem. - Bardziej mi się podobało, gdy wszystko wiedziałem.

Szczekliwy śmiech. I jego echo ze strony Sybela, który stał na wierzbie i szeptał:

- Bardziej mi się podobało, gdy niczego nie wiedziałem.

Czułam się dziwnie, siedząc tam i obserwując przemierzający dziedziniec nowy nabór studentów o młodzieńczych obliczach - gibkich, rozpromienionych sukcesem, pozornie

niewinnych - zdając sobie sprawę, że zaledwie kilka lat wcześniej Mary, Duncan i Bonmot odgrywali swoje wyznaczone role pożądania, miłości, tajemnic i odkryć. Wojna wznosiła się jak niepokonana czarna ściana pomiędzy tamtymi czasami a terażniejszością.

Powinam była wcześniej wspomnieć, że koraliki naszyjnika ciał Mary tak naprawdę miały twarze i nazwiska. Gdy stałam na dole schodów, patrząc na szkarłatny odcisk mojej dłoni wciąż rozgrzewający twarz Mary i przygotowując się, by odpowiedzieć na jej pełne nienawiści słowa, obejrzałam się i przez chwilę na nich spoglądałam. Pozwólcie, że ich wam przedstawię, w kolejności, w jakiej pojawiają się w mojej pamięci, abyście mogli ich rozpoznać, gdy ich spotkacie: John Batte, wiceroyal za czasów Bonmota, awansował na stanowisko royala po śmierci Bonmota i był zagorzałym zwolennikiem dzieł Sabon, tak że nawet udostępnił jej uprzednio zamknięte truffidiańskie archiwa. Sarah Cryller, obecnie ambasadorka Domu Frankwithe'a i Lewdena w Ambergris, jest nową, wciąż jasno płonąącą gwiazdą, która kiedyś żywiła nadzieję, że Sabon przeniesie się do jej wydawnictwa. Często przeze mnie wspomniany Merrimount pomógł Sabon „wejść” do środowiska twórców i pojawiał się na wielu przyjęciach organizowanych z okazji publikacji jej książek. Jessica Hoegbotton, potomkini Domu Hoegbottona, główna łączniczka pomiędzy publiką i słowami Sabon, śmiała się najgłośniej z żartu Mary o Duncanie. Daniel Griswald, Przesion Kościoła Truffidiańskiego, ma zęby, które lśnią jak kły, gdy się szczerzy, co czyni częściej niż kamienny gargulec. W swej nieskończonej mądrości nie zakazał żadnej z książek Sabon, lecz przyjął je z otwartymi rękami i zarekomendował członkom swojej wspólnoty. I w końcu Matthew Daffed, jeden ze współpracowników Duncana w Akademii Blythe'a, będący dziś jednym z jego najbardziej zajadłych krytyków.

A także inni, wielu innych, których twarze rozmazują się w mojej pamięci, nawet gdy przywołuję ich nazwiska. Dlaczego ich zaprosiłam? Ponieważ musiałam - Lake sobie tego zażyczył. Mimo że wodziłam po nich potępiającym spojrzeniem, byłam zaskoczona, że aż tak bardzo nie lubili mojego brata, zaskoczona strachem, który unosił się z ich twarzy jak para. (Niektórzy z nich czasami bywali kanalami, ale większość pozostałych nie wyrządziła mi żadnej krzywdy, choć niestrudzenie pracowali na triumf Mary).

Początkowo najnowsze wieści dotyczące postępów Mary docierały do mnie za pośrednictwem Bonmota.

- Mary sprzedała drugą książkę - powiedział mi Bonmot pewnej jesieni, pod wierzbami, które pozostały niewrażliwe na zmianę pór roku, podczas gdy liście dębów po

drugiej stronie ulicy zmieniły kolor na oburzoną czerwień i pomarańcz, po czym wyłysiały, a przez miasto poniósł się szept płomieni.

- Drugą książkę - powtórzyłam.

Otrzymanie takiej informacji z drugiej ręki, gdy każdego dnia słyszałam nad sobą skrzypienie i przesuwanie się desek, po których Sirin spacerował między swoim biurkiem a drogocennymi motylami, było niemal nie do zniesienia. (Było jeszcze gorzej - odkryłem, że związała się z innym mężczyzną, w jej wieku, synem najlepszego przyjaciela jej ojca, kimś, kogo znała od lat. Kimś wygodnym. Kimś bezpiecznym. Kimś z cyfrą „III” w nazwisku. Mogłem tolerować jej książki, ponieważ wiedziałem, że zawierają drobną cząstkę mnie, ale nie potrafiłem tolerować tego związku).

- Tak. Nosi tytuł „Zaognienie wojen plemiennych Aanów”. Przejrzałem ją i jest doskonała. Mary doskonale się przygotowała do jej napisania. Przynosi chlubę uczelni.

Skoro Duncana nie było, brzmiała tu ta stara, nudna śpiewka. (Bonmot nigdy mi nie wybaczył, nawet pod koniec życia. Nie rozumiałem tego. Gdyby nasza sytuacja uległa odwróceniu, z pewnością bym mu przebaczył, no ale ja nie jestem kapłanem. Widywałem go od czasu do czasu w ostatnich latach przed śmiercią. Kiedy spacerowałem po Parku Trilliana, spotykałem go na ławce za zakrętem. Podnosił wzrok i nasze oczy się spotykały, zanim zdążył odwrócić spojrzenie. Podczas tych nielicznych chwil dostrzegałem w nich spokój, który rozwiewał się, gdy tylko Bonmot mnie rozpoznawał. Nie zatrzymywałem się, by z nim porozmawiać - świadomość, że nie potrafi zapomnieć o mojej błędnej ocenie sytuacji, była zbyt bolesna, doprowadzała mnie do szału. Później, w swoim mieszkaniu, które wychodziło na Plac Vossa Bendera, siadałem na balkonie, piłem wino i analizowałem nasze spotkania w parku, próbując sobie przypomnieć, czy widziałem w nim jakiegokolwiek oznaki emocji innych niż gorycz bądź uraza. Czasami udawało mi się przekonać samego siebie, że tak było, czasami nie).

Bonmot - co przemawia na jego korzyść, choć może wręcz przeciwnie - nigdy nie zdawał sobie sprawy, że mogę nie mieć ochoty wysłuchiwać szczegółowych sprawozdań z sukcesów Mary. Później, gdy zrozumiał, jak upokorzona się czułam, stojąc pod jej kolejnymi rezydencjami i opowiadając o niej turystom, zrezygnował z tych relacji. Pewnie dotarło do niego, że jej wspinaczka na szczyt jest oczywista.

- To świetnie - wymamrotałam. - Jestem pewna, że napisała bardzo ciekawą książkę - rzekłam z ustami pełnymi kanapki z kurczakiem, kątem oka zerkając na moich niewydarzonych turystów, by się upewnić, że nie pakują się w kłopoty.

Czasami podczas lunchu studiowaliśmy religijne teksty. Miały na mnie kojący wpływ. „Boże, zachowaj mój język od zła, moje usta od kłamstw. Pomóż mi nie zważać na tych, którzy szemrzą przeciwko mnie”. Chociaż już nie potrafiłam się zmusić do uczestnictwa w nabożeństwach w świeżo odnowionej Katedrze Truffidiańskiej ani żadnej innej zamkniętej przestrzeni, hymny i powiedzenia przynosiły mi pewną ulgę. „Stróżu szczęścia, w którego obecności znika rozpacz, w swym wielkim współczuciu naucz mnie ze spokojem i godnością otwierać się na to, czego doświadczam, oraz przeżywać szczęście i radość”. Gdy czytałam te słowa na głos przed snem, koszmarne obrazy ustępowały, a czerwona mgiełka towarzysząca śmierci Sybela się rozwiewała. „Oby radowały Cię słowa płynące z moich ust i uczucia mego serca”. Gdy kładłam się spać, wrażenie układania się obok rzędu trupów słabło, stawało się znośne. „Mądrzy muszą umrzeć, tak jak głupi i nieczuli, pozostawiając innym swoje dobra”.

- Lubisz pracować jako przewodniczka? - spytał Bonmot podczas jednego z lunchów.

- Tak - odpowiedziałam, zanim zdążyłam się zastanowić. Gdybym się zastanowiła, odpowiedziałabym przecząco.

- Dlaczego? - spytał, a w jego głosie nie było nagany, jedynie szczerą ciekawość. Niejednokrotnie dawał do zrozumienia, że może mi znaleźć porównywalną pracę w kościele, lecz zmiana religii w codzienny obowiązek, wliczając uczestnictwo w chórze, zupełnie mnie nie interesowała.

- Dlaczego? - Dlaczego lubiłam pracę przewodniczki? W pierwszych latach dlatego, że: - Mogę spędzać dużo czasu na świeżym powietrzu. Mogę oglądać miasto ze świeżej perspektywy osób, które go nie znają.

Ponieważ praca zabierała mnie ze świata Duncana. Ponieważ tydzień po tygodniu pozwalała mi ponownie przeżywać, poprzez refleksyjne sny na jawie, moje dawne sukcesy. Ponieważ spotykałam ciekawych ludzi, także mężczyzn, chociaż nauczyłam się być bardziej wymagająca niż dawniej. Ponieważ ci, których oprowadzałam, nie widzieli we mnie nieudacznika, ale część dziedzictwa i historii Ambergris. Poza tym doceniałam fakt, że nie muszę się zapracowywać. Zaczęłam zauważać, że zawsze docieram do tego samego punktu, niezależnie od ilości włożonego wysiłku.

Nigdy nie udało mi się skutecznie uciec przed Duncanem, tak jak jemu nie udało się uciec przed samym sobą. Zresztą, tak naprawdę wcale tego nie pragnęłam. Nie licząc tekstów ojca, Duncan jest jedynym, co mnie z nim łączy. Mam nadzieję, że wciąż jest ze mną, we własnej osobie, podczas gdy tata przemawia do mnie jedynie skrawkami znaczeń wyzierającymi z fragmentów, które Duncan zachował w swoich dziennikach, notatkach i

esejach. Wszystkie te zapiski mają związek z pracą; wygląda na to, że tata nigdy nie napisał niczego, co nie byłoby związane z jego badaniami, a przynajmniej mama nie znalazła żadnych takich tekstów, gdy katalogowała jego rzeczy.

Przeczytałam te zapiski dwukrotnie, zanim wtaszczyłam je na górę razem z resztą przedmiotów, które postanowiłam ocalić z mieszkania Duncana. Większość tekstów taty jest tak nudna i oschła, że zaczęłam rozumieć, dlaczego żył w swoim własnym wyspecjalizowanym świecie. Oderwana od rzeczywistości wiedza zawarta w jego dziełach ciekawiła, a może nawet elektryzowała innych historyków, ale my nie znajdowaliśmy w niej żadnego punktu zaczepienia. Czasem wydaje mi się, że Duncan podjął się zadania „przetłumaczenia” tekstów naszego taty na język strawny dla szerokiego odbiorcy. (Myślałam, że może tata coś wiedział, że jego papiery pomogą mi w rozwiązaniu zagadek. Ale nic z tego). Czasem wydaje mi się, że Duncan lepiej by na tym wyszedł, gdyby został hydraulikiem, stolarzem, kowalem, kupcem albo misjonarzem.

Do dzieł ojca nie przedostało się nic z naszej osobistej historii, chociaż nie była ona bez znaczenia. Niektórzy mawiali, nie bez nutki kpiny, że historię naszego rodu po stronie matki można prześledzić aż do założenia Ambergris przez Johna Manzikerta - że jeden z anonimowych, zapomnianych członków załogi statku, George Bliss, był naszym dalekim praprzodkiem. Na przestrzeni lat nasi pozostający w cieniu krewni - ciotki, wujkowie, dziadkowie i kuzyni, którzy mieszkali w odległych miastach, takich jak Nicea, i których rzadko widywaliśmy - zbudowali wokół postaci Blissa całą mitologię. Opowieści o tym, jak Bliss walczył z szarymi kapeluszami, jak przyjaźnił się z Samuelem Tonsure'em przed jego zniknięciem, niejasne odwołania do podziemi - oczywiście wszystkie bez wyjątku apokryficzne. (Apokryficzne? Być może, ale w młodości lubiłem te opowieści. Wzmacniały we mnie poczucie, że mam przyrodzone prawo do czołgania się w słabo oświetlonych miejscach).

Tata zwykł żartować, że ożenił się z mamą w ramach badań nad historią miasta.

- Dzieciaki, wasza matka odgrywa istotną rolę w moich obecnych badaniach - rzekł pewnego razu. - Stanowi pożywkę dla moich esejów. Pewnych eksperymentów, pewnych eksperymentów nie da się przeprowadzić bez niej... a jeśli nawet, to wtedy - tu zerknął znacząco na mamę, a potem znów na nas - nie sposób uzyskać takich samych efektów.

Czasami, gdy to mówił, przytulał się do niej od tyłu i muskał nosem jej szyję. Wtedy mama uśmiechała się chytrze, a po chwili udawała obrażoną i odsuwała się od niego. Pamiętam ten uśmiech, ponieważ był dla mnie pierwszą wskazówką, że istnieje jakiś dorosły świat znajdujący się ponad tym, który zamieszkiwaliśmy jako dzieci.

Mama nie potrafiła śmiać się z siebie; nigdy nie wiedziała, czy ludzie śmieją się z nią, czy z niej, więc nie oddawała się wesołości w towarzystwie - tylko tata potrafił ją rozśmieszyć w swobodny, niewymuszony sposób.

Nie wiem, czy w naszych żyłach krąży krew pierwszego pokolenia Ambergrian, ale myślę, że tata w to wierzył. (A jeśli nawet wcześniej tak nie było, Janice, to teraz miasto, w zmienionej formie, rzeczywiście płynie moimi żyłami, czy tego chcę, czy nie. Płynie nimi cały świat).

Podczas gdy na górze Sirin starał się uczynić z Mary przebój dziesięciolecia, a na dole ja harowałam, by jakoś związać koniec z końcem, Duncan pracował nad teoriami i artykułami, których zwieńczeniem - lub grobem - pewnego dnia miał się stać jego przewodnik po „wczesnej historii miasta Ambergis”. (A przynajmniej stanie się nim pełna wersja, która jeszcze nie trafiła do druku).

W tamtych dniach zdania wypełzały spod skóry Duncana, akapity wydobywały się z jego ust z każdym oddechem. W zimowe poranki niemal było widać, jak układają się z białej pary, gdy mówił. (Nic mi to nie dawało - większość zdań i akapitów nie łączyła się w dłuższe dzieła, a jeśli tak się działo, ofiarowywałem je biuletynowi TADRMM).

Czasami myślałam, że to Spora Szarego Kapelusza czyniła go tak płodnym - że w przestrzeni, która nie znajdowała się ani nad, ani pod ziemią, poczuł idealną równowagę - i sprawiała, że, zrównoważony i mocno osadzony w rzeczywistości, mógł pisać bez skrepowania. Z pewnością właściciel był zachwycony jego obecnością - „alternatywny” czy nie, po raz pierwszy historyk wykorzystywał jego tawernę jako miejsce pracy. Oczywiście Duncan skuteczniej niż ja przyciągał klientów, w osobach swoich znajomych wariatów. Przez pewien czas w lokalu pojawiał się nawet Lacond, zanim choroba pozbawiła go tej możliwości.

Następujący wpis z dziennika Duncana objaśnia jego podejście:

„Jeśli prywatne życie historyka w jakiś sposób pokrywa się z historią, o której postanawia pisać - jeżeli osobiste losy »dublują« publiczny bieg zdarzeń - wtedy pojawia się alchemia, a historyk w pewnym sensie sam staje się opowiadaną historią. Gdy już ją zapisze w postaci znaków i symboli, nad którymi ma władzę, otrzymuje historię swojego życia. Ten fakt może nie być oczywisty dla czytelnika, a jedynie pojawiać się w postaci przebłysków, gdy pasja autora wyziera z kart książki. Wtedy, przez ułamek chwili, widzimy

historyka obnażonego, jeśli tylko świat postanowi właściwie zinterpretować jego wskazówki”. (Nie napisałem tego. Tylko cytowałem innego historyka. Nawet nie pamiętam którego).

Wyrażając tę teorię - która wymaga, by historyk przyswoił wybraną część historii jako część własnego życia; albo, bardziej konkretnie, dopasował wydarzenia historyczne do tych ze swojego życia - Duncan ulegał silnemu wpływowi dzieł charakterystycznego niceańskiego filozofa-historyka Edgara Ryberna. Rybern uważał, że osobiste przekonania każdego człowieka zniekształcają jego ogląd historii. Oto, co napisał w swojej książce „Podejścia do historii” (książce, którą Sabon ostro krytykowała, jeszcze podczas nauki w Akademii):

„Taka osoba nigdy nie ogranicza się do nakreślenia zarysu przeszłości. Teksty nie stoją obok siebie na półce, ale mieszają się ze sobą, wchodzą w konflikty i wzajemnie na siebie wpływają, aż w końcu prawdopodobnie wyłania się z niemożliwego. Obrócone w gruzy źródła zapewniają materiał do budowy teorii o większej wadze i trwałości. Jednakże opowieść, która pojawia się na drodze tego procesu, nie interesuje takiego historyka. Jest zaledwie wstępem do objaśnienia, wstępem do bardziej osobistej teorii. W ramach tego procesu chronologia i rodowód zdarzeń przedstawionych w fabularnej opowieści zależą od uprzedzeń i doświadczeń indywidualnej psychiki oraz podświadomych impulsów, które są w niej zagnieżdżone”.

W oparciu o rozmyślenia Ryberna Duncan zaczął zadawać sobie pytanie - w niezliczonych artykułach wydawanych na łamach nieszczęsnego biuletynu TADRMM oraz podczas niezliczonych rozmów z Lacondem - „Dlaczego nie spróbować świadomie zniekształcić historii, skupiając się na tych fragmentach i schematach, które mają największe znaczenie lub najsilniej wpływają na życie danej jednostki?”.

Takie spojrzenie zapewne zwiększyłoby empatię historyka wobec konkretnych wydarzeń. Na przykład ja, jako historyczka, najlepiej czułabym się, opisując dzieje różnych oddziałów psychiatrycznych oraz skutki, jakie wywiera na psychice bezpośrednie doświadczenie masowej rzezi.

Skoro o każdym umyśle można powiedzieć, że funkcjonuje w gąszczu uprzedzeń i subiektywizmu, to pogoń za obiektywizmem staje się próżnym, śmiechu wartym celem - czyli w efekcie kłamstwem; zwłaszcza w takiej dziedzinie jak historia, gdzie każdego dnia, o każdej godzinie, każdej minucie historyk coraz bardziej się oddala od badanych wydarzeń.

(To uproszczenie, owszem, ale w swojej istocie zgodne z prawdą. Zresztą, to i tak nikogo nie obchodziło. Historia wkrótce nas dopadnie, a jeśli czegokolwiek się nauczyłem, to tego, że wszystko, co zostaje wydrukowane, zmienia się w nagrobek oznaczający śmierć przeszłości).

Lacond, pomimo wszystkich swoich wad, rozumiał nastawienie Duncana. (W końcu tak samo jak ja był pod ziemią, przynajmniej raz lub dwa, i jego ciało zapłaciło za to surową cenę). W jednym z numerów biuletynu napisał:

„Kiedy Duncan Shriek pisze o Ciszy - czym zasłynął także na tych łamach - jednocześnie dosyć dosłownie, moim zdaniem, opisuje swoje osobiste cisze na przestrzeni lat, czyli to, w jaki sposób był uciszany - przez innych, przez własne błędy - oraz wszystkie podobne cisze, których doświadcza każdy z nas. W pewnym sensie uczynił historię Ambergris swoją własną. Jest zbyt dobrym historykiem, by to przenikało do jego tekstów, ale pewne analogie regularnie się w nich pojawiają - zwłaszcza te odnoszące się do pograżenia się Tonsure'a w ciszy i rozpaczcy oraz jego późniejszego wyjścia na powierzchnię pod postacią książki”.

Ci eksperci, którym chciało się krytykować teorie Duncana - głównie Sabon - wskazywali na zagrożenia związane z osobistym podejściem historycznym. Sabon napisała esej do wydanego przez H&S zbioru „Bezosobowe punkty widzenia: Obiektywizm w historii Ambergris” (który prawdopodobnie sprzedał się w mniej więcej pięciu egzemplarzach):

„Niezaprzeczalną rysą na każdej teorii »osobistej historii« jest chęć odnalezienia płaszczyzny leżącej ponad gołymi faktami, w celu objawienia jakiejś nauki bądź uniwersalnej »prawdy«, którą można dopasować do życia danej osoby oraz spleść z wyszukaną intelektualną pogardą: niechęcią wobec dokładności, odrzuceniem sprzecznych dowodów, pomieszaniem domysłów z prawdą, sprzeciwem wobec pouczeń”.

W pewnym sensie Sabon miała rację. Nie chcę przez to powiedzieć, że teorie Duncana były błędne - nikt nigdy nie odważył się sprawdzić ich prawdziwości na drodze podziemnych badań. Kiedy jednak kilka lat później Duncan rozpoczął pisanie „Wczesnej historii”, szukał w swojej twórczości wskazówek dotyczących tego, jak ma żyć, i dlatego, zamiast szukać w historii tego, co mogło mieć dla niego osobiste znaczenie, pozwolił, by to, co osobiste, stało

się historią. (Może masz rację, ale czytelnicy nigdy nie mieli szansy sprawdzić, czy głosiłem prawdę, czy fałsz, ani za pośrednictwem książki, ani w życiu).

Niestety, przynajmniej według mnie, analogie, których poszukiwał Duncan, nie zawsze istniały. Jak mu kiedyś powiedziałam: „Twoje badania nigdy nie wyjaśnią śmierci naszego ojca”. Chyba mi nie uwierzył. Byłby jeszcze bardziej nieufny, gdybym mu powiedziała, że Bonmot i truffidianizm mogą mu pomóc w rozwiązaniu tej tajemnicy. (Ze wszystkich Twoich wcieleń, przeobrażenie się w zwolenniczkę zorganizowanej religii zdumiało mnie najbardziej. Ale z pewnością nie miałem Ci za złe nawrócenia - jedynie zazdrościłem czasu, który spędzałaś z Bonmotem).

Wreszcie odnalazłam coś osobistego pośród oschłych tekstów taty - było ukryte w pudełku, które schowano w kolejnym pudełku. Płócienna rzeźba grzyba o wysokości około dwunastu cali. Można powiedzieć, że to część jego osobistej historii, a zarazem symbol rzadkiego zaburzenia szacunku, jaki okazywali sobie moi rodzice.

Ów szacunek przejawiał się tym, że ojciec unikał wkraczania na prywatny teren mamy. Nasi rodzice byli tak odrębni, a zarazem tak blisko ze sobą związani, jak to tylko możliwe między dwojgiem ludzi. Często myślałam, że po śmierci taty mama tak długo niczego nie tworzyła, ponieważ to on zapewniał jej przestrzeń niezbędną do oddawania się sztuce.

Tata nie wchodził do niektórych pomieszczeń w naszym domu w Stockton - a zwłaszcza do pracowni mamy. Tam mogła się odprężyć i szkicować, malować, a nawet pracować nad rzeźbami, podziwiając przez okno wspaniały widok lasu. Wiedziała, że tata nigdy tam nie wejdzie, nawet z krótką wizytą lub w celu przypomnienia jej o prośzonej kolacji, na którą musieli się wybrać. Nawet wtedy, gdy nie było jej w domu. A ona zapewniała mu to samo - jego gabinet dla nas wszystkich stanowił zakazany ład.

Niektóre dni spędzali w swych odrębnych przestrzeniach, a wtedy dom wydawał się cichy, lecz Duncan i ja wyczuwaliśmy w tej ciszy jakiś rodzaj mrowienia bądź brzęczenia, potężną energię. Wiedzieliśmy, że w tych odrębnych przestrzeniach nasi rodzice tworzą, każde na swój specyficzny sposób. W latach przed śmiercią taty naszą świadomość przenikała atmosfera wyjątkowego wysiłku, pracy.

To nie znaczy, że nasi rodzice nie czerpali radości ze swoich dzieł bądź nie chcieli się nimi dzielić. Jednakże istniały osobne przestrzenie przeznaczone do pracy i do prezentowania jej owoców. Tę drugą rolę spełniał salon. Jeśli któreś z nich chciało się czymś podzielić, w stanie gorączki po przyływie natchnienia, zapisane strony lub obraz pojawiały się w salonie.

Na tym neutralnym gruncie przedstawiali swoje odkrycia i zbierali pochwały. Tata czytał z luźnych kartek, które miał w dłoni, a mama szeptała: „Cudowne. Natchnione. Bardzo oryginalne”. Albo to ona odsłaniała szkic, studium bądź obraz i opowiadała o iskrze, która spowodowała jego powstanie, tata zaś mówił: „Cudowne użycie koloru. Bardzo mi się podoba sposób, w jaki narysowałaś tę postać. Piękne”. (Spotkalibyśmy się z dziesięciokrotnie bardziej entuzjastycznymi komplementami, Janice, gdyby któreś z nas podzieliło się wynikami naszych wczesnych doświadczeń. Wciąż pamiętam, jak wieloma pochwałami Cię obsypali, gdy pokazałaś im swoje pierwsze obrazy. Kochali Twoje dzieła bezwarunkową miłością).

Myślę, że właśnie w tych dwóch przestrzeniach, odrębnej i wspólnej, tkwił sekret ich szczęścia. Kiedy byli osobno, czuli swoją obecność równie mocno jak wtedy, gdy byli razem.

Salon służył także jako miejsce, w którym poszukiwali pomocy. Jeśli utknęli, stanęli w obliczu zagadki, martwych słów bądź martwej farby, wychodzili do tej wspólnej przestrzeni i, za pomocą konkretnych sygnałów, jasno dawali do zrozumienia, że potrzebują siebie nawzajem, by wspólnie poobradować nad jakimś zagadnieniem.

Po stronie taty sygnałem były długie, głębokie westchnienia i szeleszczenie papierami (słuchając go, doprowadziłem do perfekcji własną umiejętność wzdychania), a czasami nawet sztuczne robienie hałasu poprzez wpadanie na meble. Po stronie mamy sygnały były bardziej bezpośrednie, ponieważ, by dotrzeć do salonu, musiała minąć gabinet taty.

Szybkie klepięcie dłonią o drzwi w drodze do wspólnej przestrzeni zazwyczaj zwracało jego uwagę.

Zawsze mnie zaskakiwało, jak szybko drugie z rodziców odrywało się od swoich zajęć, by przyjść do salonu. Czasem tylko po to, by posłuchać, jak współmałżonek daje upust frustracji, a czasem by zaproponować praktyczne rady.

Z tego co wiem, tylko raz jedno z nich przekroczyło granicę. Pewnego dnia tata postanowił spróbować swoich sił w rzeźbie, ale nie byle jakiej. Chciał użyć drutu i płótna, w pewnym sensie połączyć rzeźbę z obrazem. Po minie mamy widziałam, co sądzi o tym pomysłe, ale pożyczyła mu materiały i przez tydzień pracował nad swoją własną Nową Sztuką. Słyszeliśmy, jak wpada na różne przedmioty w swoim gabinecie, czasami przeklina, po czym wychodzi, by prosić mamę o więcej materiałów. Oboje z Duncanem oczekiwaliśmy czegoś wielkiego. (A przynajmniej, jak to wtedy ujęła Janice, *czegoś*).

Wreszcie tata skończył i wszyscy zebraliśmy się w salonie na odsłonięciu dzieła. Rzeźba stała na stole obok kanapy, zakryta prześcieradłem. Mama stała z boku z założonymi rękami, podczas gdy tata objaśniał swój pomysł.

- Chciałem ukazać prawdziwy kształt codziennych przedmiotów. To pierwsze w serii studiów, które łączą malarstwo z rzeźbą, tworząc nową hybrydę.

Gdy wypowiedział te słowa, ściągnął prześcieradło, ukazując... płócienny grzyb, któremu kształt nadawały umieszczone w środku druty.

- Grzyb. Zrobiony z płótna - zauważyła mama.

- No cóż - odparł tata. - Jeszcze go nie pomalowałem. Mama wróciła do swojej pracowni.

Ja wróciłam do lektury.

Tylko Duncan miał na tyle przyzwoitości, by podejść do taty i powiedzieć, że jego dzieło bardzo mu się podoba. Tata już nigdy nie zapuścił się na teren sztuki.

Nie sądzę, by mi była pisana więź, jaka połączyła naszych rodziców, i nie wiem, czy ich przykład wystarczająco dużo mnie nauczył. Po śmierci taty nasze relacje stały się zbyt zmienne, a życie zawodowe za bardzo nas od siebie oddaliło, wydaje mi się jednak, że taka więź i zrozumienie łączyły Mary i Duncana, zanim odsunęli się od siebie. (Obawiam się, że tylko przez chwilę. W niektórych miesiącach tak było, w innych nie. Trzeba długo znać drugą osobę, by tak jej zaufać. Nie mieliśmy wystarczająco dużo czasu).

„Natywizm”, powiedział mi Duncan pewnego razu, „przypomina przedłużający się przypadek zbiorowego samobójstwa”.

Wspominam o tym, ponieważ Historia i moje nowe wcielenie przewodniczki wciąż się krzyżowały, na wiele sposobów i wbrew mojej woli. Przykładowo, wykazując się okrutną uprzejmością, Sirin zdołał załatwić mi niepłatne stanowisko w bezzębnym koszarze, którym jest Ambergriańska Rada Turystyki, w ramach uznania dla mojego byłego statusu „społecznej ikony itd.”, jak to ujął, witając mnie jeden z pozostałych członków rady, by zaraz ponownie przybrać zaśliniony i zadumany wyraz twarzy, który robił całkiem przyjemne wrażenie.

Dołączyłam do rady w idealnym momencie, gdy akurat, próbowała uczynić samą siebie zbędną. Pierwszego dnia mojej służby rada postanowiła rozpocząć niejasną kampanię na rzecz zniechęcenia turystów do odwiedzania miasta, ponieważ, jak wyjaśnił jeden z dotkniętych podagrą weteranów licznych prawdziwych bądź wymyślonych wojen: „To są głupcy. Trzeba ich chronić. Zbyt wiele śmierci. W czasie Festiwali. Kochaneczkwie na to nie zasługują”. Prawie mi się wymknęło, że mniejsza liczba turystów oznacza statystycznie większe ryzyko, że lokalni mieszkańcy padną ofiarą przemocy lub „dziwnych zdarzeń”, jak gazety obecnie zwykły nazywać spotkania z szarymi kapeluszeniami. Ale się powstrzymałam. W

końcu był to mój pierwszy dzień w pracy i jeszcze nie byłam pewna, czy chcę palić za sobą mosty. (Gdybyś poważniej traktowała swoje obowiązki, być może niektóre z pomysłów TADRMM spotkałyby się z życzliwością tych starych drani. Tymczasem nie przypominam sobie, żebyś podczas publicznych zebrań rady robiła cokolwiek poza zajmowaniem przestrzeni).

W skutek tego przez kolejne dwa lata podczas miesięcy poprzedzających Festiwal rada płaciła za rozwieszanie plakatów, które przedstawiały martwe psy w różnych nieprzyjemnych i wyszczerzonych pozach, podpisane hasłami takimi jak: „Martwe psy. Martwi turyści. Dla nas to wszystko jedno. Trzymajcie się z daleka od Ambergris w czasie Festiwalu”.

Turyści rzeczywiście poczuli się obrażeni, ale nie śmiertelnie, jeśli mogę oceniać na podstawie dużej liczby ludzi, którzy pozwalali mi się oprowadzać po mieście i paplać o trupach i starych budynkach. Z pewnością nie miałam nic przeciwko tej tendencji, jednakże, niezależnie od plakatów, Ambergris zaczęło podlegać bardziej gruntownej i negatywnej zmianie. Niewidzialny lecz niezbędny bufor pomiędzy tym co zawodowe a tym co osobiste, ulegał powolnej erozji, za co obwiniam natywizm.

Jestem pewna, że obwinianie natywizmu za cokolwiek będzie przez wielu czytelników postrzegane jako bluźnierstwo, skoro jednak dotarliście tak daleko, nie możecie teraz zrezygnować. Jeśli więc nie poczuliście nieodpartego znużenia, a może nawet odrazy (albo buntu), czytając poprzednie strony, to ośmielę się powiedzieć, że nawet się nie skrzywicicie, gdy oznajmię: „Obwiniam natywizm”. Nie tamtą konkretną formę szaleństwa, która dotknęła ojca Sabon - nie tamten rodzaj natywizmu. Odnoszę się do formy, którą Duncan nazwał „ostatecznym skutkiem wojny”: dążenia do zostania ślepym, głuchym i niemym, jako osobliwej i żalosnej metody półprzetrwania. (Pozwalała ona ludziom funkcjonować w codziennym życiu, zamiast zabijać okna deskami i bełkotać ze strachu w swoich domach. Tego nie mogę jej odmówić).

Natywizm na modłę Sabon rozprzestrzenił się po południowych miastach za sprawą jej książek i esejów, zarażając turystów, którzy brali udział w moich wycieczkach. Wkrótce Bonmot już nie musiał składać mi relacji z postępów Mary, wyraźnie bowiem dostrzegałam jej stado czarnych wron uczujących na padlinie odkryć Duncana w oczach gości, których oprowadzałam po kolejnych banalnych miejscach.

Przyznaję, że początkowo cieszyły mnie te zakłócenia rutyny. Jak powiedziałam Sybelowi, który zawsze towarzyszył mi podczas wypraw - w różnych postaciach - przekazywanie wciąż tych samych informacji stawało się coraz bardziej monotonne, aż wreszcie zmieniałam się w kalekę, podstarzałą kozę albo owcę, która bez końca żuje te same

żółknące żdźbła trawy. Poczułam ulgę, gdy reakcjami na moje znudzone beczenie stopniowo przestały być grzeczne skinięcia głową i oczywiste pytania lub okazjonalne próby żartów, a zastąpiły je takie komentarze, jak: „Marty Sabon pisała o tym miejscu w swojej książce o natywizmie. Następnym razem powinna pani o tym wspomnieć”. „Doskonały pomysł”, odpowiadałam. „Na pewno tak zrobię”. Po czym próbowałam kontynuować, jakby nie powiedziano niczego obraźliwego, oczywiście jeśli mi na to pozwalano.

Marzenia również dochodziły do głosu: „Myśli pani, że spotkamy Sabon podczas tej wycieczki?”.

Na co odpowiadałam urywanym, ale neutralnym tonem: „Nie tym razem”. Nawet gdybyśmy wystawali przez cały tydzień w cieniu dużego dębu przed jej rodzinnym domem.

Jeszcze bardziej irytujące były niespodziewane pytania - ostre ataki, których nie byłam w stanie przyjąć, a które miały na celu sprawienie mi bólu - otwierające drzwi w miejscach, w których żadne drzwi nie powinny istnieć.

„Czy jest pani w jakiś sposób spokrewniona z Duncanem Shrikiem, o którym Sabon wspomina w swoich książkach?”.

Pytający przeważnie promieniowali naiwnym dobrym samopoczuciem, które wydzielali równie naturalnie jak pot - szukali potwierdzenia, że nie tylko jestem ekspertem, ale mam osobisty stosunek do informacji, jakie przekazuję, niezależnie od tego, czy akurat staliśmy przed starym budynkiem poczty, czy przed jakąś tawerną ze „Sporą” w nazwie.

W takich przypadkach chętnie udzielałam grzecznościowych odpowiedzi, chociaż za każdym razem nie tylko mnie to zaskakiwało, ale też zmieniało otaczający mnie świat, wszędzie bowiem dostrzegałam jakiś wpływ mojego brata.

- Natywiści są jak manziści, menici albo wyznawcy każdej innej religii - stwierdził kiedyś Duncan. - Równie prawi, równie słusznie myślący. - Nic dziwnego, że ich pytania zmieniły moje postrzeganie świata.

Gdy natywizm podbijał miasto i całe Południe, odkryłam, że drzwi do mojej niedoli otwierają się coraz szerzej i stają coraz ciemniejsze, a w głosach pytających zagościła agresja.

Pewnego wyjątkowo wyczerpującego i upalnego letniego popołudnia, kilka lat przed tym, jak Zmiana rozpoczęła się na dobre, usłyszałam pytanie: „Czy jest pani siostrą Duncana?”, wypowiedziane tonem łączącym gorączkowy entuzjazm z żądzą krwi.

Otoczenie, jak zwykle wyblakłe i rozmyte - moje usta wypluwały strumień znajomych słów, ale umysł wędrował - ponownie nabrało ostrości.

Stałam razem z wycieczką na środku Placu im. Vossa Bendera, przed fontanną przedstawiającą zwycięstwo Bankiera Trilliana nad konkurencyjnymi bankierami-weteranami

z Nicei. Wokół placu wznosiły się stare budynki, które kiedyś służyły Trillianowi za główną siedzibę. Blżej rosła przyjemna dla oka mieszanka wonnych zielono-czerwonych dzikich kwiatów, świadcząca nie tylko o nadejściu lata, ale także stanowiąca podjętą przez Dom Hoegbottona prostą próbę upamiętnienia walk, jakie rozegrały się po śmierci Vossa Bendera. Pozwoliłam grupie przez kilka minut swobodnie spacerować po placu, zatem wędrowali tu i tam, przyglądając się wszystkiemu ze świeżością, której nie rozumiałam.

Odwrociłam się w stronę osoby, która zadała pytanie, a ta natychmiast uległa rozdzieleniu. Odezwała się kobieta, lecz jej mąż stał tuż obok, równie stanowczy i zdenerwowany. Oboje zbliżali się do sześćdziesiątki, kobieta miała siwe włosy i wbiła się w bezkształtną sukienkę ozdobioną kwiecistym wzorem, do której włożyła białe pończochy i klockowate drewniane buty.

„Niespecjalnie mnie obszedł szalony błysk w jej oczach ani jej gruby czerwony uśmiech”, powiedziałam później Duncanowi, gdy wypoczywałam w jego mieszkaniu.

Tak naprawdę patrzyłam na nią, jakby była olbrzymim grzybem, który wystrzelił spod płyt pokrywających dziedziniec.

„To nie był szalony błysk”, opowiedział Duncan. „To była iskra prawej determinacji”.

Jej mąż, krępy facet, którego mięśnie częściowo zmieniły się w tłuszcz, nosił okulary oraz, o dziwo, spodnie i tunikę, które wyszły z mody na długo przed tym, jak Stara Suka ustąpiła miejsca Nowej Suce - przypominały muzealne eksponaty, o których opowiadałam podczas wycieczki.

Na szczęście tabliczki z imionami, zawadiacko przypięte do kontynentów ich piersi, zdradzały nie tylko dane osobowe, ale także pochodzenie. Moździerz i Tłuczek, jak zaczęłam ich nazywać w myślach, przybyli z mojego rodzinnego Stockton. Jakoś mnie to nie pocieszyło.

- Czy jest pani siostrą Duncana? - powtórzyła Tłuczek. Tym razem zabrzmiało to tak, jakby dźgnęła mnie palcem w żebra.

- A co, jeśli jestem? - spytałam.

Moździerz pozostał niewzruszony, podczas gdy Tłuczek popatrzyła na mnie pustym wzrokiem, jakby się nie spodziewała, że odpowiem pytaniem.

- Gdyby była pani jego siostrą, przekazalibyśmy mu wiadomość - oznajmił Moździerz chrzęszczącym barytonem, kręcąc się niespokojnie. Widziałam, że ta rozmowa nie jest jego pomysłem, ale postanowił spisać się jak najlepiej.

- Naprawdę? Zrobiliby to państwo? - odparłam. Tak naprawdę to nie było pytanie i chciałam móc powiedzieć, że zabarwiłam te słowa odpowiednią dawką miążdżącej

pogardy, ale tak się nie stało. Zbił mnie z tropu fakt, że dwoje turystów ma czelność podejść do mnie i mówić coś takiego.

Moździerz przez chwilę balansował na jednej nodze, a Tłuczek się zawahała; z pewnością nie znosiła, gdy zadawano jej pytania.

- Oczywiście. Właśnie to bym zrobiła - odpowiedziała w końcu.

- A jaka by to była wiadomość? - spytałam. Nie powinnam była zawracać sobie tym głowy. Mogłam ją zignorować. Mogłam przejść do kolejnego etapu wycieczki.

Tłuczek zmarszczyła brwi, a jej twarz ściągnęła się i stała bardziej wyrazista.

- No cóż, poprosiłabym, żeby mu pani powiedziała, że się myli, a natywiści mają rację.

- Oraz że powinien przestać próbować straszyć ludzi swoimi teoriami - dodał Moździerz.

Moździerz i Tłuczek stali, czekając na moją odpowiedź, a słońce przypiekało nas wszystkich. Uciekłam wzrokiem i śledząc dwie jaskółki, które ścigały owady po rozpalonym błękitnym niebie, zastanawiałam się, jak do tego doszło. Czyżbym błędnie oceniła skalę swojego upadku? Gdzie to się skończy? Czy może się skończyć? Czy powinno? Mam palce zielone od spór. To nie może być dobry znak.

Mogłam powiedzieć starym Moździerzowi i Tłuczce - do których teraz czuję coraz większą sympatię, choć nie mam ku temu podstaw - że Duncan jest bliżej, niż im się wydaje, i spytać, czy mają ochotę się z nim spotkać. Ale nie wydaje mi się, by rzeczywiście tego chcieli. Czuliby się zakłopotani, gdyby odkryli, że osoba, której obraz nosili w myślach, naprawdę istnieje. W odróżnieniu od natywizmu, który istniał właśnie po to, by ludzie mogli uniknąć zakłopotania.

W mojej ocenie natywizm stał się kolejnym „zjawiskiem”, jak wcześniej Nowa Sztuka, tylko że w innej dziedzinie. Nie trzeba było niczego malować ani interesować się sztuką, by się przyłączyć. Nie trzeba było reagować, interpretować ani wyrażać siebie. Nie wymagano aż takiej aktywności. Wystarczyło wierzyć w teorię i bezmyślnie powtarzać ją innym, na bieżąco uwzględniając wszystkie nowe drobne wariacje. (Nie różniło się to zasadniczo od śpiewów, za pomocą których niektórzy z uwięzionych mnichów truffidiańskich przepędzali lęk ze swoich serc).

Natywizm stał się tak popularny, że wkrótce po tym, jak Moździerz, Tłuczek i ja odbyliśmy naszą pouczającą rozmowę na Placu Bendera, Ambergriańska Rada Turystyki, wbrew mojej odosobnionej i stanowczej opinii brzmiącej „Nie, ni cholery”, włączyła do mojego pękającego w szwach programu wycieczkę o profilu natywistycznym.

Z czego składała się ta nowa atrakcja? Była to standardowa wycieczka „Osobliwości szarych kapeluszy” uzupełniona o kilka dodatków, między innymi oglądanie rodzinnego domu Sabon, Akademii Blythe'a oraz kilku starannie wybranych i doglądanych ścian pokrytych grzybami - „Och, jakie to ładne, jakie zachwycające”, gruchała większość turystów - a także mnóstwo propagandy, od której bolały mnie zęby. Nigdy nie myślałam, że będę zmuszona powtarzać nazwisko „Sabon” tak często i tak wielu obcym ludziom.

- Czy jestem siostrą Duncana? - odezwałam się w końcu. - Tak, jestem. Znają go państwo?

- Słyszeliśmy o nim - odparł Moździerz, prawie wykazując się sprytem.

- Ale go państwo nie znają?

- Osobiście nie - odpowiedziała Tłuczek.

„Nawet cię nie znali, Duncanie”, powiedziałam mu później. „Nigdy cię nie spotkali. A jednak zachowywali się tak, jakby im się wydawało, że znają cię osobiście”.

- Och, rozumiem. Używają państwo jego imienia, więc myślałam, że może jesteście bliskimi przyjaciółmi.

„To chyba cena odbitej sławy”, rzekł Duncan, wyglądając przez okno na podwórze. „Wystarczy, że o tobie przeczytają”.

Przynajmniej udało mi się wywołać zażenowanie na twarzy starego Moździerza. Jednakże Ślicznotka Tłuczek od razu przeszła do ataku.

W końcu udało mi się uwolnić od wycieczki natywistycznej, ale zajęło mi to prawie rok. Ludziom podobała się ironia tego, że któryś ze Shrieków, którykolwiek, pełni rolę przewodnika podczas tej wycieczki - przynajmniej tym, którzy czytali książkę Mary, a było ich zbyt wielu. (Nawet mnie. Jestem zaskoczony, że nie wspominasz o tamtym dniu, gdy dołączyłem do wycieczki natywistycznej. Jeszcze nigdy nie widziałem, by ktoś musiał tłumić w sobie tak silną irytację przez tak długo. Zrobiłem to tylko dlatego, że przez jakiś czas rozważałem przyłączenie się do walki. Skoro chcieli wykorzystać moje życie do potrzeb swojej zbiorowej halucynacji, to powinienem przynajmniej na tym zarobić. Wyobrażasz sobie, jaką furorę zrobiłby Duncan Shriek jako przewodnik?).

„Cinsorium: Przemyślenie mitu szarych kapeluszy” było książką, której potrzebowaliśmy podczas tamtych reakcyjnych lat odbudowy, podobnie jak kilka lat wcześniej potrzebowaliśmy książki Sabon o świńskich kartelach. Nowy tom utrwalił rozłam pomiędzy Duncanem i Mary. Jak napisał Duncan w swoim dzienniku po skończeniu lektury:

„Po raz pierwszy moje ciało rozumie to, co mój umysł uznał już dawno temu: Mary już do mnie nie wróci”.

W swojej książce Sabon na zmianę krytykowała teorie Duncana dotyczące szarych kapeluszy i je podkradała - zupełnie jakby zmieliła jego pomysły na brokat i użyła go do ozdobienia swojego dzieła. (Być może nie byłoby to tak bolesne, gdybym nie podarował jej swojego egzemplarza „Cinsorium”, gdy byliśmy w Akademii, z dedykacją: „Mojej najdroższej Mary - oto moje serce. Obchodź się z nim delikatnie. Całuję, Duncan”. Nie mogłaby obejść się z nim brutalniej, gdyby zaostrzyła okładki książki do śmiercionośnej ostrości i wielokrotnie mnie nimi przebiła. Potrafię jej wybaczyć większość spraw, ale nie to).

- A więc to taką wiadomość mam przekazać Duncanowi? - upewniłam się.

Triumfalne spojrzenie Tłuczka.

- Tak, dziękujemy. Byłoby wspaniale. Ale to nie wszystko, co mamy mu do przekazania.

- Spodziewałam się tego.

Jak wszyscy wiedzą, natywizm składa się z dwóch podstawowych idei, ale większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że tylko jedna z nich jest nowatorska. Drugą znamy od stuleci. Innowacja Sabon polegała na sposobie połączenia obu pomysłów i opatrzeniu ich chwytliwą etykietką „natywizmu”, którą wymyślił jej ojciec i która była jak kromka chleba zakrywająca wyjątkowo niechlujnie przyrządzoną kanapkę.

Jaka była pierwsza część tej wspaniałej teorii?

Na początek Sabon rzuciła myśl - nie mogę nawet określić jej mianem „idei” - że szare kapelusze są zdegenerowanymi potomkami lokalnego szczepu, który przypominał Dogghów lub Nimblytodów (nie pytając żadnego z tych plemion, co sądzą o wrzuceniu do jednego worka z szarymi kapeluszami, ani nie zapoznając się z ich bogatą, przekazywaną ustnie historią), ale został skolonizowany, a następnie opanowany przez kilka odmian grzybów spotykanych w Ambergris, na powierzchni oraz pod ziemią. Sabon twierdziła, że potężne miasto, które Manzikert I stał z powierzchni ziemi, zamieszkiwała przypominająca Saphantów cywilizacja starsza od szarych kapeluszy. Zasugerowała nawet, że szare kapelusze usługiwały tej hipotetycznej rasie. (Wydawało mi się to wyjątkowo ironiczne - zważywszy na los, jaki spotkał moje książki z rąk krytyków - że postulując istnienie „innej rasy” i czyniąc z tej kwestii główną tajemnicę książki, Mary do tego stopnia zawładnęła wyobraźnią czytelników, że nikomu nie przyszło do głowy, by zakrzyknąć: „A gdzie dowody?”).

- Proszę powiedzieć Duncanowi, że nie musi się przejmować szarymi kapeluszami - rzekł Tłuczek.

„Powiedzieli, że nie musisz się przejmować szarymi kapeluszami, Duncanie”.

„Ach, ale ja wiem, że one przejmują się nami, i to mnie martwi”.

Tutaj Duncan zaczął w dość nieprzekonujący sposób naśladować powłóczący nogami szary kapelusz. Gdybym wcześniej nie widziała, jak to robi, nie domyśliłabym się, o co mu chodzi.

„Półgłówek”.

„Niewdzięczna pedantka. Ale co jeszcze powiedzieli?”.

- Proszę mu także powiedzieć - dodał Moździerz, bez cienia groźby - że lepiej, by zmienił pracę.

„Ho, ho! Czy ty też czasem mi tego nie mówisz, Janice? Nie możesz więc mieć do nich pretensji”.

„Chcesz usłyszeć dalszy ciąg czy będziesz sprawiał kłopoty?”.

- Przepraszam - powiedziałam do M i T, przypominając sobie cenną radę Sybela, że nigdy nie jest za późno na zmianę kursu, dopóki nie przybije się do brzegu. (Jasne, Sybel był prawdziwym ekspertem od żeglarskich metafor). - Przepraszam, żartowałam. Tak naprawdę nie jestem siostrą Duncana. Po prostu czasem lubię tak mówić, żeby było ciekawiej. Proszę mi wybaczyć.

Odwrociłam się do pozostałych turystów, którzy ponownie zgromadzili się wokół mnie i zaczęli nadmiernie się interesować moją rozmową z M i T.

- A teraz niech państwo zwróć uwagę na te charakterystyczne zdobienia z okresu trilliańskiego na budynku po przeciwległej stronie placu, a zwłaszcza na żłobkowane łuki, szerokie kolumny i delikatne filigrany. Proszę także spojrzeć na...

- Nie wierzę pani - przerwał mi Moździerz ze szczerą emfazą, którą w zależności od nastawienia można było zinterpretować jako grzeczną stanowczość bądź cichy gniew.

Wtedy, nie po raz pierwszy, pomyślałam, że może nadeszła pora na zmianę pracy.

Druga część natywizmu odzwierciedlała dziwaczne uprzedzenie, z którym Duncan usiłował walczyć w swojej książce: większość historyków (i laików) myślała i pisała o szarych kapeluszach tak, jakby były naturalnym zjawiskiem, równie niezmiennym, bezimiennym i nieprzewidywalnym jak pogoda, a przez to lepiej zrozumiałym jako całość, jak zmiana pór roku czy silna burza. (Gdyby tylko natywiści rzeczywiście traktowali szare kapelusze jak pogodę i na podstawie obserwowanych znaków - obniżenia temperatury,

charakterystycznego kształtu chmur, dziwnego gorącego wiatru - próbowali przewidzieć, co dla nas szykują).

Jak napisał Duncan w swojej książce wiele lat temu:

„Gdy z perspektywy czasu patrzymy na liczne relacje historyczne dotyczące Ambergris, widzimy, że brakuje w nich odpowiedzi na trzy proste, a zarazem niezwykle istotne pytania: (1) W jaki sposób, przy braku silnej zcentralizowanej władzy, Ambergris udało się uniknąć rozpadnięcia na odrębne, niewielkie miasta-państwa? (2) Jaka jest przyczyna wahań liczby przypadków przemocy i niszczenia prywatnej własności podczas Festiwalu? (3) Biorąc pod uwagę obecność w mieście wyznawców ponad stu sprzecznych ze sobą religii i kultów, co powstrzymuje wybuch świętej wojny?”.

Według Duncana odpowiedzią na te pytania były szare kapelusze, które za sprawą ukrytych wpływów (ich pierwszym fizycznym przejawem było wykorzystanie grzybowych broni przez Frankwithe'a i Lewdena) oraz licznych szczegółowo zaplanowanych „zarodnikowych rozwiązań” utrzymywały społeczeństwo w równowadze pomiędzy anarchią i kontrolą. Duncan sądził, że jest w interesie szarych kapeluszy, by Ambergris stale parło naprzód, nigdy ostatecznie się nie rozpadając ani nie jednocząc, wiecznie pozostając na krawędzi, w stanie rozchwiania.

Jednakże Mary i jej natywiści odrzucali wiarę w świadomą manipulację szarych kapeluszy. W artykule zamieszczonym na łamach *Dnia Ambergris* Mary napisała:

„Apologeci wciąż na nowo oskarżają szare kapelusze o własne szaleństwa i występki. Takie podejście usuwa osobistą odpowiedzialność i jest równie lekkomyślne jak religie przypisujące uczynki ludzi wpływom słońca, księżyca lub morza. Jesteśmy odpowiedzialni za własne postępowanie, historię i szczęście. Nie odrzucam twierdzeń, że szare kapelusze są podstępnyimi i zdegenerowanymi istotami, albo że mają negatywny wpływ na nasze miasto. Nie czynią tego jednak rozmyślnie. Ich historia to nie wszechogarniający spisek i wielowiekowa baczna kontrola, lecz żalosna opowieść o podporządkowanej rasie, która działa instynktownie i bezcelowo jak wszystkie niższe zwierzęta. Przypisując im złowrogie zamiary - lub starając się zrozumieć ich motywacje - czynimy z samych siebie ofiary niezdolne do samodzielnego kształtowania naszego losu. Odrzucam taką wariacką ideologię”.

Mary bezlitośnie atakowała każdą próbę udowodnienia, że szare kapelusze są zdolne do świadomego rozumowania bądź planowania, nawet na niewielką skalę. Duncan napisał list do wydawcy jednej z gazet, opisując to, co uważał za jeden ze skutków ubocznych działań szarych kapeluszy. (Wcale nie. Uważałem, że te skutki są równie zamierzone jak wszystkie pozostałe krzywdy, które wyrządziły nam szare kapelusze).

„Te same spory, które utrzymują populację w ryzach, podejmują się także wielu dobroczynnych zadań. Przykładowo, mieszkańcy Ambergris cieszą się względnie dobrym zdrowiem, a w historii miasta nie znajdujemy żadnej udokumentowanej zarazy, choć te nawiedzały Stockton i Morrow. Nie należy lekceważyć tych pozytywnych wpływów, niezależnie od tego, czy są rozmyślnie, czy też nie”.

Mary zmieszała ten pomysł z błotem, pisząc w kolejnym numerze: „Czy brak chorób natychmiast ma prowadzić do wniosku, że chroni nas jakaś siła inna niż zdrowy rozsądek i higiena?”. (Ze wstydem przyznaję, że jej list do redakcji, wysłany w odpowiedzi na mój list, wywołał u mnie ciarki na plecach. Wiem, że nie kierowała tych słów wprost do mnie, ale w pewnym sensie była to bezpośrednia komunikacja).

- W jej książce to wszystko prezentuje się tak logicznie - skarżył się Duncan, gdy razem wyglądaliśmy przez jego okno na Plac Vossa Bendera. Pod nami M i T oraz reszta turystów krążyli, nie wiedząc, co ze sobą począć. - Nieważne, że jej dowody są równie bezpodstawne jak moje.

- Zgoda, ale czy ty nie możesz dostarczyć jakichś dowodów, Duncanie? Nie możesz czegoś zrobić?

- Niby jak? Za pomocą kolejnego artykułu dla TADRMM? Niezależnie od tego, jak często Mary wspomina o mnie w swoich książkach, nic mi to nie daje. Otrzymałem kilka propozycji wywiadów, ale pod warunkiem, że będę odgrywał rolę klauna albo ekscentryka. Wszystkie moje słowa natychmiast miały zostać zdyskredytowane i zapomniane. Lepiej w ogóle się nie odzywać.

Wcześniej odwróciłam się z głośnym westchnieniem w stronę Moździerza i Tłuczka.

- Mają państwo rację, nie żartowałam - rzekłam. - Duncan jest moim bratem. A więc przekażę mu państwa słowa, gdy go ponownie spotkam. Czy teraz możemy...

- I proszę mu dać ten list - odezwała się Tłuczek, wyjmując z kieszeni zapieczętowaną kopertę.

Przyjęłam ją od niej niczym zdechłą rybę. Jakie jeszcze niespodzianki czekają mnie tego dnia? Jak dużo cierpliwości muszę w sobie znaleźć? Trudno było nie postrzegać tej dwójki jako osobistych emisariuszy Sabon, posłanych, by mnie dręczyć.

- I dam mu państwa list - dodałam, kłamiąc. Wyrzuciłam go bez czytania przy pierwszej okazji. - Ale w zamian muszę poprosić o przysługę. Proszę, by państwo przekazali w moim imieniu pewną wiadomość.

To ich zaskoczyło, ale Tłuczek pokiwała głową.

- Myślę, że tak będzie ucziwie - odparła.

Główną atrakcją natywizmu w oczach Ambergrian było to, że uwalniał ich on od konieczności myślenia o szarych kapeluszach i robienia czegokolwiek w ich sprawie, jednocześnie zapewniając, że to najbardziej odpowiedzialne rozwiązanie. A także, w mojej opinii - już słyszę okrzyki oburzenia, ale pozostaję niewzruszona - usuwał ze świadomości Ambergrian poczucie winy za masakrę, której dokonał Manzikert I.

- Nie wspominając o tym, że pozwalał im się nie martwić kolejną Ciszą - zauważył Duncan.

M i T zniknęli z pola widzenia. Na placu za oknem panował względny spokój.

- Nie wspominając o tym - zgodziłam się.

Być może szybkość, z jaką Dom Hoegbottona oraz Dom Frankwithe'a i Lewdena przyjęły natywizm, stanowiła potwierdzenie teorii Duncana. Czy dla szarych kapeluszy istniał lepszy sposób obrony? (Myślę, że zbliżasz się do granic krainy zwanej Paranoiczną Teorią Spiskową, Janice). Tymczasem ci z nas, którzy nie byli podporządkowani ślepej ideologii, musieli znosić olbrzymie wiece natywiistów, ich umoralniające przemowy, kampanie pisania listów, które rozpoczynali, gdy tylko ktoś miał czelność wydobyć na światło dzienne coś, co choćby w najmniejszy sposób zagrażało ich wizji świata. Prawdopodobnie nawet Sabon nie podejrzewała, że natywizm stanie się tak popularny, oraz że tak długo będzie napędzał sprzedaż jej książek. (Ale musisz przyznać, że mechanizmy Zmiany powstrzymały jej pęd).

Miałam osobiste powody, by odrzucać teorię Sabon. Czasami, podczas pracy widziałam Sybela, który stał na najbliższym drzewie za plecami tłumu i słuchał jakiegoś natywistycznego mówcy. Oglądał się, patrzył na mnie i ze smutkiem w oczach kręcił głową. Przecież został zabity przez precyzyjnie umieszczoną broń szarych kapeluszy. Ja straciłam

stopę. Trudno było obwiniać za oba te przypadki przypadkową i niewyjaśnioną siłę. Przynajmniej ja nie miałam takiego zamiaru.

- Ale jak możemy przekazać pani wiadomość? - spytała Tłuczek.

- To proste - odrzekłam. - Jest przeznaczona dla Mary Sabon. W końcu to przywódczyni was, natywiistów.

Moździerz już zaczął kręcić głową i chciał zaprotestować, że nie znają Mary, a jedynie czytali jej książki, zbyłam jednak jego sprzeciw machnięciem ręki i przywołałam ich bliżej.

Przed wojną, przed śmiercią Sybela, zanim zostałam właścicielką galerii, odpowiedziałabym im coś takiego, szeptem lub rykiem: „Po pierwsze, jeśli nie przekażecie w moim imieniu tej wiadomości, to poproszę Duncana, by ściągnął wam na kark szare kapelusze, żebyście sami się przekonali, jak są umotywowane. Dlatego proponuję, byście zaczęli szukać Sabon, gdy tylko skończę mówić. Macie jej powiedzieć, żeby przestała zwodzić czołobitnych kretyńców takich jak wy. Żeby przestała sugerować, że wszystko w życiu znajduje się pod naszą kontrolą, oraz podkopywać dorobek mojego brata. Żeby przestała stopniowo go zabijać na oczach wszystkich. Żeby przestała marnować wasz i jego czas swoimi absurdalnymi teoriami, które sprawdzają się tylko w przypadku jej osobistych demonów. Żeby przestała przestała przestała przestała przestała”.

Ale nie powiedziałam tego. Jestem Janice Shriek, niegdyś członkini towarzyskiej elity, i niech mnie szlag, jeśli pozwolę, by załazła mi za skórę para nędznych turystów, którzy dopiero co wysiedli z promu przybyłego ze Stockton.

Nie wiem, co popychało Mary do okazywania Duncanowi, swojemu mentorowi, okrutnej „sympatii” poprzez burzenie wszystkiego, co zbudował - nawet gdy już pogodził się ze swoją rolą ducha. Być może nie był to tylko strach. Może także zazdrość. Może chciała mu pokazać, że potrafi to wszystko zrobić lepiej.

Praktycznym skutkiem wskrzeszenia przez Sabon dyskusji rozpoczętych przez Duncana było kupienie przez Frankwrithe'a i Lewdena praw do jego książek od Hoegbottona i Synów - a następnie wydanie ich w formie źle zredagowanej, obrzydliwie drogiej, potwornie pociętej antologii zatytułowanej „Cinsorium i inne historyczne baśnie” (tata przekreśliłby ten tytuł na „Cinsoryje i inne historyczne brednie”), przeznaczonej wyłącznie na rynek biblioteczny, by umożliwić uczonym przestudiowanie kanonu tekstów, o których pisała Sabon. Duncan sprzedał Hoegbottonowi pełnię praw do swoich książek, teraz mógł więc jedynie zaakceptować tantiemy, jakie popłynęły do niego cienką strużką po wydaniu zbioru. Nie mógł powstrzymać masakry, której dokonano na jego tekstach. (Zresztą nie było mnie

stać na sprzeciw, gdyż moje dochody znacznie zmalały odkąd TADRMM nie mogło mnie już samodzielnie utrzymywać).

Antologia spotkała się z niewielkim zainteresowaniem recenzentów - uznano ją za historyczną ciekawostkę, która odzwierciedlała „histerię i ignorancję mniej oświeconych czasów”, jak napisano w jednej z nielicznych recenzji - co oznaczało, że życzliwi czytelnicy tacy jak Moździerz i Tłuczek zapoznawali się ze Shrikiem wyłącznie za pośrednictwem filtra Sabon. Przykro jest myśleć o tym, że Duncan rozpaczliwie próbował wyrazić siebie, a F&L i jego ukochana Mary robili wszystko, by go uciszyć, ale tak właśnie się działo.

Pomimo okazjonalnych zapewnień Sirina - odrzucanych przez Laconda podczas licznych wściekłych zebrań TADRMM, gdzie według Duncana ten temat stale powracał - że Sabon nie chciała nikomu zaszkodzić swoimi działaniami - być może wręcz przeciwnie - i że taki cel nie przyświecał także Hoegbottonowi, gdy sprzedawał prawa Frankwithe'owi i Lewdenowi, jestem pewna, że Mary wskrzesiła Duncana tylko po to, by skuteczniej go zniszczyć. Niezależnie od tego, czy miała taki zamiar, czy nie. Jak się okazało, natywizm znakomicie opisywał działania Sabon.

Najbardziej jednak złościło mnie, że Duncan najwyraźniej nie miał jej tego za złe, jakby uznawał jej prawo do tego, by go wykorzystywała. (Nie potrafiłem jej za to nienawidzić. Chociaż widok zmasakrowanych rozdziałów i akapitów dotknął mnie do żywego, jakaś część mnie była podekscytowana, że moje słowa ponownie ukazały się drukiem, w jakiegokolwiek formie).

Nie, zamiast tego zwróciłam się do Moździerza i Tłuczka - ze szczerością i nadzieją w głosie, podając im swoje ściągawki dotyczące pozostałej części wycieczki - następującymi słowami:

- Jeśli kiedyś spotkają państwo Mary, proszę jej przekazać, że Duncan przesyła pozdrowienia. - Szkoda, że nie udało mi się zachować spokoju później, na pewnych marmurowych schodach, ale nigdy nie twierdziłam, że jestem konsekwentna.

Potem objęłam ich oboje i razem odwróciliśmy się w stronę grupy.

- Obawiam się, że nastąpiła zmiana planów. Tych dwoje zacnych i szlachetnych obywateli Stockton poprowadzi dalej waszą wycieczkę. Miłej zabawy!

Moździerz i Tłuczek zaniemówili, a ja zostawiłam ich bez żalu, po czym wspięłam się po schodach do mieszkania Duncana, gdzie dość długo rozmawialiśmy, patrząc przez otwarte okno, jak w dole, na Placu im. Vossa Bendera, grupa turystów powoli się rozpada.

Ambergriańska Rada Turystyki - uwieczona pomiędzy swoimi sloganami o martwych psach a chęcią zysku, pomiędzy moimi protestami, że czuję się „zmieszana” i nie wiem, jaki komunikat staramy się przekazać, a swoją pewnością, że doskonale wiedziałam, co robię - rozważała zwolnienie mnie, ale nie potrafiła się zdobyć na odwagę.

Od tamtej pory przez większość dni cieszyłam się, że tego nie zrobili.

15

Czasami - tylko czasami - zastanawiam się, dla kogo piszę tę relację. Kto ją przeczyta? Czy będzie ona kogokolwiek obchodziła? Pozbyłam się złudzeń, że piszę posłowie do „Wczesnej historii miasta Ambergris” Duncana, i podejrzewam, że wy, drodzy czytelnicy, jeśli dotarliście do tego miejsca, także już w to nie wierzycie.

Czasami wydaje mi się, że kierują mną złość i smutek, poczucie niesprawiedliwości - poczucie, że moje życie, życie mojego brata, powinno być prostsze, że powinniśmy odnieść większy sukces. Innym razem mam wrażenie, że piszę te relacje, by pozostawić coś po sobie, gdy już odejdę. Albo że w jakimś sensie próbuję za pomocą pisania poradzić sobie z ciałami w katedrze, czerwonymi wstążkami na swoich nadgarstkach oraz złamanym sercem Duncana.

Z pewnością są ludzie, którzy woleliby, żebym nie pisała tej relacji - chcą utrzymać znany wizerunek Janice i powszechnie panującą opinię o Duncanie. Pełniejszy opis zburzy budowane przez nich latami wyobrażenie o nas obojgu. (Kim są ci, którym tak zależy na naszym upadku? Czy to członkowie naszyjnika ciał, o którym tak często wspominasz? Janice, nikogo nie obchodzimy na tyle, by chciał stworzyć nasz fałszywy obraz - jest tak już od lat).

Są także ci, którzy po prostu nienawidzą tego, co sobą reprezentuje Duncan, którzy nie potrafią zaakceptować prawdy i dlatego odrzucają posłańca razem z wiadomością. To się często zdarza w życiu, czyż nie? Mary jest sztandarowym przykładem. Wciąż na nas czeka tam na przyjęciu, ale naprawdę nie chcę teraz o tym pisać. Są ważniejsze sprawy do omówienia i możliwe, że nie zdążę skończyć tej relacji, ale będę dzielnie brnęła naprzód, ponieważ nic innego mi nie pozostało.

Brama, Lustro, Drzwi.

Z pewnością gdzieś znajdują się drzwi?

Pewnego popołudnia, gdy skończyłam oprowadzać rodzinę turystów ze Stockton po miejscach związanych z Trillianem Wielkim Bankierem, Sirin pojawił się na szczycie schodów prowadzących na pierwsze piętro. Z wdziękiem skinął na mnie długim palcem i zniknął na górze.

Jego gabinet wyglądał tak jak zawsze, wliczając motyli raj w szklanych pojemnikach w głębi.

- Mam pracę dla Duncana - powiedział bez wstępów, uśmiechając się zza biurka.

Wtedy Duncan jeszcze nie „korzystał” z marnych groszy, które Frankwrithe i Lewden mieli mu płacić za niesławną antologię, i wciąż z trudem się utrzymywał, redagując biuletyn TADRMM, zastępując w tej roli Laconda, który zaczął podupadać na zdrowiu. Tak więc pieniądze bardzo by mu się przydały. Nie potrafiłam jednak zrozumieć, dlaczego Sirin, którego powodzenie obecnie zależało od wydawania dzieł słynnej Mary Sabon, miałby proponować coś wartościowego Duncanowi.

- Jaką pracę? - spytałam, ciężko siadając. Kikut nogi pulsował bólem w zetknięciu z paskami i drewnem protezy. Gdyby Sirin był bardziej życzliwym człowiekiem, spotkałby się ze mną na parterze.

- Zlecenie na tekst - odparł i ponownie się uśmiechnął. - Powinno Duncana zainteresować, jeśli przedstawi mu się je w odpowiedni sposób.

Już mi się to nie podobało.

- Co to takiego?

- Ktoś musi dla nas napisać pewną broszurkę. Okazało się, że na pierwotnym autorze nie możemy polegać, a do terminu wydania pozostały niecałe trzy miesiące.

- Co to znaczy, że nie możecie na nim polegać?

- Rozerwała go zapomniana grzybowa bomba.

- Aha.

- Ale - szybko dodał Sirin - nie miało to nic wspólnego ze zleceniem. Znalazł się po prostu w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. To wszystko.

- Jaki tytuł nosi broszura?

- „Hoegbottoński przewodnik po wczesnej historii miasta Ambergris”. Myślisz, że Duncan by się tego podjął?

Nie wiedziałam, co myśleć o tej propozycji. Po wojnie Sirin w zasadzie nas porzucił. Z drugiej strony, w czasie wojny znalazł nam pracę. Ostatnio bardziej pomagał Mary niż nam, ale nie mogło być wątpliwości, że ten wybór zdradza świetnego nosa do interesów.

- Przewodnik turystyczny? - spytałam.

- Tak. Przewodnik turystyczny. Duncan od razu musi to zrozumieć. Nie znajdzie się tam miejsce na jego ekscentryczne teorie, chyba że w celu wprowadzenia elementu rozrywki. Nie chcemy zniechęcić turystów; pomyśl, jaki miałyby to wpływ także na twoją pracę. - Ponownie uśmiech, uniesienie kącików ust i spojrzenie, które przypominało, że zawdzięczam mu swoje stanowisko.

Podał kuszącą stawkę za wykonanie zlecenia.

- Spróbuję - obiecałam. - Dziękuję, że o nas pomyślałeś.

Sama nie wiem, co wtedy czułam. Moje oczekiwania dotyczące wpływów i władzy tak gwałtownie i drastycznie się zmniejszyły, że naprawdę uważałam, iż Sirin czyni Duncanowi wielki zaszczyt. Myślałam, że próbuje ponownie włączyć nas w szeregi uprzywilejowanych, wybranych. Myliłam się, ale czy ktoś może mieć mi za złe nadzieję?

Przy drzwiach obejrzałam się i spytałam:

- Dlaczego nie dałeś tego zlecenia Mary Sabon? (A jeśli nie Sabon, to któremuś z członków jej naszyjnika ciała. Na pewno z radością powitaliby taką możliwość).

- Jest zajęta innymi sprawami - odrzekł, po czym szybko się poprawił. - Ale co ważniejsze, ona się do tego nie nadaje. Twój brat jest pod tym względem niejako wyjątkowy.

Nie musiałam długo przekonywać Duncana - zaczęły go już uwierać ograniczenia TADRMM i niewielka publiczność, na którą mógł tam liczyć. Ucieszył się z szansy zrobienia czegoś innego. (Ucieszyłem się z obietnicy zarobku).

- Będzie jak za dawnych czasów - powiedział mi, gdy siedzieliśmy w tym pokoju. - Będzie jak przed wojną.

Prawe oko zarosło mu spiralnym złoto-zielonym grzybem. Na jego lewym palcu wskazującym utworzył się zawinięty fioletowy kosmyk przypominający liść paproci. Szyję pokrywała złocista powłoka, która pulsowała jak skóra kałamarnicy. Jego zapachu nie dało się opisać. Tak, byłoby jak za dawnych czasów.

W ciągu dwóch miesięcy Duncan przytargał tutaj tysiące stron książek, czasopism i starych gazet. Wiele tygodni ślęczał przy mojej maszynie do pisania, tworząc własną historię Ambergris. Sądzę, że uważał, że buduje swoją Maszynę z resztek pozostawionych przez miasto. (Zlecenie pojawiło się we właściwym momencie, gdy starałem się zsyntetyzować i wyjaśnić wszystko, czego nauczyłem się na przestrzeni lat. Napisanie tej relacji zajęło mi dwa miesiące, ale zarazem był to owoc trzydziestu lat pracy. Chociaż moje odkrycia miały skończyć w przewodniku turystycznym, nie zamierzałem ich spłycić ani uczynić niekompletnymi).

Po pewnym czasie pozostawiłam go samego. Co kilka dni wpadałam, by sprawdzić, jak mu idzie, ale to wszystko - miałam własne życie i coraz dłuższą listę turystów, dla których ekshumowałam atrakcje miasta...

Zawsze gdy prosiłam go o pokazanie fragmentów eseju, by móc złożyć Sirinowi okresowy raport dotyczący postępów w pracy, Duncan czytał mi wybrane kawałki na głos.

- Nie da się przecenić znaczenia kałamarnic dla gospodarki Ambergris - mówił.

- Znowu kałamarnice - narzekałam, a on mnie uciszał.

- Z pewnością buntownik Stretcher Jones nauczył się cenić słodkowodne kałamarnice, ponieważ jego armia długo żywiła się nimi podczas zesłania na słone bagna na obrzeżach Imperium Kalifa - intonował.

Zerkałam na Sybela, który krzyżował ręce na piersi i kręcił głową, po czym kiwałał potakująco. (To w Twoim stylu, przywoływać zmarłego, by się z Tobą zgadzał).

- Kule armatnie, których używał Kalif podczas okupacji, okazały się użyteczne do wznoszenia ścian podczas odbudowy. (Bardzo ciekawy fakt, który wielu turystów uznałoby za pomocny, gdyby tylko wyszedł cało spod ostrza Sirina).

I tak dalej, i tak dalej. Doświadczenie zdobyte podczas oprowadzania wycieczek podpowiadało mi, że tekst nie przypomina przewodnika turystycznego, ale przynajmniej Duncan czynił postępy. Udzielanie mu rad przed zakończeniem pracy byłoby bezproduktywne.

Jednakże po upływie dwóch miesięcy Duncan zrezygnował z mojego pośrednictwa i wysłał ukończony maszynopis pocztą kurierską prosto do Sirina. Tekst miał sześćset stron. Z tego na dwustu pięćdziesięciu stronach znalazły się długie, zawile przypisy, z których część była opatrzona własnymi przypisami i dodatkowymi adnotacjami. Zapewne Duncan wiedział, co bym powiedziała, gdybym to przeczytała jako pierwsza.

Sirin wezwał mnie do swojego gabinetu, gdzie wspólnie oddaliśmy się kontemplacji zaplamionych na zielono kartek, które niezdarnie piętrzyły się na jego biurku. Niektóre ze stron wyglądały jak wysuszone, żyłkowane liście sałaty. Inne miały konsystencję wilgotnego kleju. Od jeszcze innych bił ciemny blask. Mogłabym przysiąc, że słyszę niskie buczenie wydobywające się ze sterty.

- Co mam o tym myśleć? - spytał Sirin.

- Rzeczywiście wydaje się dość długa - odrzekłam.

Sirin parsknął.

- Długa? Patrzysz na te same strony co ja? Nie o długość tutaj chodzi. To znaczy, oczywiście, ona też stanowi problem, ale nie najważniejszy. Znasz tekst?

- Tylko te części, które Duncan odczytał mi na głos.

Sirin rozparł się w fotelu, a na jego twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia.

- Janice, w tym maszynopisie jest wszystko, czego w TADRMM nienawidzę, i jeszcze więcej. Każda bujda, każdy lęk, każda paranoja. On nawet próbuje wplątać śmierć waszego ojca w swoją sieć spiskowych teorii dotyczących szarych kapeluszy.

- Naprawdę aż tak źle?

- To jeszcze nie wszystko. Przypisuje Jamesowi Lacondowi różne szalone teorie, które wydają się nie do przyjęcia nawet w przypadku tego starego łobuza.

Postanowiłam mu nie mówić, że Duncan zrobił to celowo. Kiedyś wyznał mi, że reputacja Laconda została tak dalece nadszarpnięta za sprawą jego obsesji, że pozwalał innym wykorzystywać swoje nazwisko jako przykrywkę dla teorii, które mogły ich zdyskredytować, podczas gdy sam pisał pod pseudonimami. („James Lacond” stał się naszym redakcyjnym pseudonimem. Z czasem sytuacja wymknęła się spod kontroli, ale dawała nam dużo satysfakcji. Dostrzegaliśmy w postawie Laconda przejaw skłonności do samozniszczenia oraz świadomość własnej małości, ale jednocześnie niekłamaną radość. Było to odzwierciedlenie jego nadmiernej skromności. Ja zaś skwapliwie z tego skorzystałem we „Wczesnej historii”.

Ostatecznie Sirin zignorował i pozostawił ten wątek, ku naszemu wielkiemu zadowoleniu).

- Nie możesz tego zredagować, żeby nabrało właściwego kształtu? - spytałam, z góry znając odpowiedź.

- Nie, nie mogę - odparł Sirin. - Nie potrafię tego ocalić. - Umilkł na chwilę i rzucił mi wyrachowane spojrzenie. - A dlaczego pytasz? Myślisz, że ty byś potrafiła?

- Może - odparłam, wiedząc, że najtrudniejsze będzie namówienie Duncana, by zgodził się na zmianę choćby jednego przecinka. (Jakże słabo mnie rozumiałaś, Janice).

Ponownie spotkałam się z Duncanem w Sporze, w tym pokoju. Gdy podeszłam do drzwi, migoczące światło wydobywające się z pomieszczenia oszukało mój wzrok. Wydawało mi się, że widzę, jak cień Duncana, niemożliwie olbrzymi i poskręcany na krawędziach, błyskawicznie powraca do bardziej ludzkiego kształtu. Bulgotanie i skowyt zmieniły się w ludzki głos.

- Janice - rozległo się chrapliwe powitanie, a następnie: - Janice - tym razem prawdziwym głosem mojego brata.

Jeszcze nie weszłam do pokoju. Nie mógł mnie zobaczyć. (Nie własnymi oczami).

Kiedy w końcu weszłam, zobaczyłam, że jest blady i skurczony i co chwila krzyżuje ręce na piersi.

- Przychodzisz od Sirina - powiedział. To nie było pytanie.

- Tak.

- A więc widziałaś... widziałaś moją wczesną historię?

- Tak.

- A on ją przeczytał.

- Tak.

Podniósł na mnie wzrok, w którym nagle pojawiła się desperacja.

- Podoba mu się?

- Czy mu się podoba? - powtórzyłam. - Nie, Duncanie, jest nią wprost zachwycony. Bezgranicznie zachwycony. Poprosił o przewodnikową wersję wczesnej historii Ambergris, a ty dałaś mu tom na tyle obszerny, by pomieścić wszystkie truffidiańskie hymny, z czego połowa ma formę przypisów. Jest zniesmaczony.

Duncan zaczął coś mamrotać pod nosem. Ten nawyk pojawił się u niego w latach po wojnie. Nie zjednywał mu sympatii u ludzi.

- Ale wreszcie dobrze to opisałem - odrzekł. - Wreszcie wszystko udokumentowałem.

Sirin pozwolił mi przeczytać fragmenty maszynopisu w swoim gabinecie. Tekst był usiany dziwnymi symbolami i znakami. Zawierał wiele osobistych wtętoństw. Był bełkotliwy. Tylko miejscami robił sensowne wrażenie. Podczas lektury miałam wrażenie, że napisało go kilka osób, z czego raptem dwie lub trzy były zdrowe psychicznie bądź konsultowały się z pozostałymi autorami. (Zgadzałam się. To nie był najważniejszy moment. Nie potrafiłam kontrolować swojego kształtu. Byłam dezorientowana. Zamknęłam się w pokoju i pogрузyłam w pracy nad esejem, pozwalając, by inne części mnie przedostały się do tekstu wraz ze swoimi opiniami. Z godziny na godzinę moje ciało się zmieniało, co utrudniało mi skupianie się na wykonywanym zadaniu. Gdy skończyłem, wydawało mi się, że wszystko jest na swoim miejscu, ale wtedy już nie byłem tylko sobą).

Duncan zmarszczył brwi i odwrócił wzrok (aby ukryć grzyb rozkwitający na moim policzku).

- Więc jej nie chce?

- Duncanie, nie jestem pewna, czy nawet TADRMM ją zechce. Twoja historia nie jest zbyt sensowna.

Wstał z uśmiechem sztucznie przyklejonym do twarzy.

- A ty, Janice? - spytał. - Mogłabyś ja zredagować. Mogłabyś dać Sirinowi to, czego pragnie. Przynajmniej częściowo. A ja zachowam resztę do innych celów.

Ta odpowiedź mnie zaszokowała. Dawny Duncan - a przynajmniej Duncan, który nie był tak bezbronny - odebrałby Sirinowi swój maszynopis. Ale pamiętam, że już wtedy szukałam dla niego usprawiedliwienia. Czas surowo się z nami obszedł. Duncan potrzebował pieniędzy, by opłacić swoje małe mieszkanie i miejsce w Sporze, musieliśmy więc zadowalać się tym, co udało nam się zdobyć. Wtedy jednak nie rozumiałam, dlaczego bardziej o siebie nie zaważył i tak łatwo uległ. Chyba już nigdy tego nie zrozumie.

(Ponieważ, Janice, stawałem się tym, w co wierzyłem. Stawałem się tym. I chociaż było to coś dziwnego i nieznanego, co nigdy nie spotka się z uznaniem, dla mnie znaczyło więcej niż słowa na kartce).

- Mogę spróbować - odrzekłam.

- Dzięki! Dzięki - Był tak żałośnie wdzięczny, że nawet mnie uściskał. - W takim razie wszystko się ułoży. Idź powiedzieć Sirinowi. Idź mu powiedzieć. Uczyn go szczęśliwym. (Chciałem, żebyś wyszła. Znów czułem zbliżającą się przemianę, a gdy się zmieniałem, czasami wchłaniałem to, co mnie otaczało).

Poszłam zatem do Sirina.

To, co Duncan pisał przez dwa miesiące, ja zredagowałam w ciągu trzech dni. Po prostu odrzucałam wszystko, co nie miało sensu, i starałam się zachowywać to, co sprawiało wrażenie chronologicznie uporządkowanej historii. Duncan z żalem zapoznał się z efektami mojej pracy, dodał kilka przypisów, zmienił niektóre z moich poprawek i udzielił swojej akceptacji w tak bezceremonialny sposób, że jeszcze bardziej się na niego wściekłam za łatwość, z jaką się poddał.

Być może powinnam być bardziej współczująca. W jego dzienniku znalazłam następujący wpis pochodzący z tamtego okresu:

„Jak umrę? Nie w ten sposób, nie ja. Mnie czeka powolny rozkład, utrata zmysłów, szarzenie świata, wyprzedaje i brak zrozumienia dla moich książek, a następnie zapomnienie moich słów, wymazywanie wszystkich znaków ze stron, a także wymazywanie mnie samego, mózg zapadający się w powolnej starości, całkowita samotność, bez rodziny ani przyjaciół, aż wreszcie, gdy już obrócę się w pył, wydam westchnienie roztargnienia i nie pozostanie po mnie nawet ślad istnienia... Ale dopóki to nie nastąpi, słysząc stukanie czarnego konara w szybę, będę ignorował jego ostre zaproszenie - i żadnym zachowaniem nie dodam powagi temu, co pewnego dnia mnie zabierze”.

Ta próżna i wewnętrznie sprzeczna melancholia wyraźnie świadczy o przygnębieniu, w jakie Duncan czasami wpadał w tamtym okresie. (Janice, ten cały cytat pochodzi od jednego z genealogów Kalifa, który na boku tworzył chałtury! Kontekst, Janice, kontekst. A może moje pismo jest tak niewyraźne, że nie potrafiłaś odczytać przypisu?).

Kiedy przyniosłam Sirinowi poprawiony esej, wciąż nie podobało mu się kilka fragmentów, ale zbliżał się termin wydania, więc nie miał zbytniego wyboru.

- Poza tym - przyznał - odrobina ekscentryczności na pewno zauroczy turystów.

Takimi ekscentrycznymi elementami w pierwszym wydaniu okazały się między innymi hasła z dołączonego do tekstu glosariusza dotyczące Duncana i Sabon, a odwołujące się do tego, co już nie istniało:

„SABON, MARY. Agresywny i momentami wybitny historyk. Doszła do swojej pozycji po trupach starszych, zakochanych historyków. Pięć stóp dziesięć cali. Sto piętnaście funtów. Rude włosy. Bardzo zielone oczy. Elegancki strój. Uśmiech jak ogień. Wróg Jamesa Laconda. Podczas rozmowy potrafi skaleczyć jednym słowem. Autorka kilku książek, których tytuły wypadły mi z głowy.

SHRIEK, DUNCAN. Stary historyk, urodzony w Stockton; w młodości wydał kilka słynnych książek historycznych, później był lekceważony i niszczone przez krytyków, którzy powinni lepiej znać się na rzeczy. Jego ojciec, również historyk, zmarł z radości, a raczej na zawał serca spowodowany informacją o przyznaniu mu ważnej nagrody przez Dwór Kalifa. Duncan miał wtedy dziesięć lat. Od tamtej pory co prawda nigdy nie groziła mu śmierć z powodu spotykających go zaszczytów, lecz jedna z jego książek została zakazana przez Przewodniczącą Truffidiańskiego. Uznany specjalista od szarych kapeluszy, choć nawet najrozsądniejsi obywatele ignorują jego nawet najmniej ekstrawaganckie teorie. Kiedyś miał szczęście spotkać miłość swojego życia, nie udało mu się jednak jej utrzymać ani powstrzymać przed kradzieżą i podważeniem jego pomysłów. Mimo to wciąż ją kocha, oddzielony od niej niemożliwą do pokonania przepaścią, którą tworzą imperia, ryby, pseudonauka i pewien arogancki pisarz”.

...to ostatnie urocze zdanie odwołuje się do wpisów dotyczących sardynki, Samantha, Imperium Saphanckiego i Maksymiliana Sharpa, które znajdowały się pomiędzy notkami o Duncanie i Sabon. Nawet wtedy, blisko końca, nie potrafił zrezygnować z Mary, niezależnie od tego, jak bardzo by mu to pomogło, i pomimo moich próśb, by usunął oba wpisy.

(Pozostawiłem także liczne wskazówki świadczące o tym, że przemycam różne zniekształcone teorie Laconda, ale wątpię, by czytelnicy je wychwycili, padły bowiem ofiarą bezlitosnej redakcji).

„Wczesna historia” została ocalona, ale Sirin nie miał żadnych nowych zleceń, ani dla Duncana, ani dla mnie. A Duncan chyba po raz pierwszy wyraźnie zrozumiał, że nie ma dla niego powrotu. Miał już zawsze błąkać się na obrzeżach dawnej kariery, a ja miałam pozostać widmem, które ostrzega podróżnych i przechodniów.

To niemal przypominało żart. Ja żyjąca jako duch. Czy wiecie, w jaki sposób duchy ukazują się w Ambergris? Nawiedzają Was jako przewodnicy. Prowadzą Was do starych budynków. Uczą Was historii miejsc, w których straszą.

Gdy zrozumiałam, że jestem duchem, stałam się znacznie szczęśliwsza.

Być może już o tym wspominałam, ale czasami nocą wychodzę z domu, by się oderwać od pracy. Dla mnie noc wyraźnie się różni od dnia. Wtedy nie potrafię tak skutecznie bronić się przed duchami, a łóżko polowe, które tutaj wniosłam, jest dość niewygodne. Moja noga marznie pod wpływem grzybów, które ją opanowały, ale nie przeszkadza mi to uczucie.

Kiedy mam dobry dzień, piszę średnio kilka tysięcy słów. To prawda, że wracam do niektórych akapitów i dokonuję poprawek, mimo to przeważnie prę naprzód. Nie liczę na to, że stworzę dzieło idealne, ale być może uda mi się stworzyć coś, co żyje - zakładając, że dotrę do końca. W tej chwili nie widzę powodów, dla których miałabym kiedykolwiek przestać pisać to posłowie. Godziny mijają tak spokojnie i bezproblemowo, że nie dostrzegam niczego innego, czym byłoby warto się zająć. Co niby miałabym robić? I co będę robiła, gdy skończę?

Z każdym słowem zbliżamy się do schodów, przyjęcia i naszyjnika. Niemal wyczuwam zakończenie, nawet jeśli jeszcze go nie dostrzegam. Jestem tak płodna, że sama siebie zaskakuję - wciąż zapelniam kolejne strony. Tworzę nowe części, nowe rozdziały.

Jednakże mimo wszystko jestem zmęczona. Zauważyłam, że moja proza staje się coraz bardziej pospolita i liniowa, wskakując w ramy chronologii w rozpaczliwej próbie utrzymania tempa. Nawet jeśli nic na to nie wskazuje, niedługo skończę, choćby miało się to odbyć zbyt gwałtownie. Możliwe, że zmęczenie weźmie górę nad rozpędem i spowoduje przedwczesne zakończenie, odrywając Was, drodzy Czytelnicy, od tej porywającej i prawdziwej relacji znacznie szybciej niż to konieczne lub właściwe. Jeżeli tak się stanie, nie zamierzam za nic przeproszać. To jest posłowie albo pokłosie - już nie pamiętam - a ich nikt nie czytuje. Nikogo nie obchodzi, co zawierają. Gdy pojawiają się w książce, opowieść już dobiegła końca. Gdybym miała ochotę, mogłabym napisać sto stron o niejasnych truffidiańskich rytuałach, by rozproszyć strach. Nie byłoby to bez precedensu. Takie rzeczy już się zdarzały.

Co mi pozostało do opowiedzenia? Minęło wiele lat, w podobny sposób jak wcześniej. Gwiazda Sabon wciąż wspinała się po nieboskłonie. Zostałam zapomniana, chociaż nadal

pracowałam jako przewodniczka i byłam kłótnią członkinią Ambergriańskiej Rady Turystyki. Rzadko proszono mnie o wygłaszanie krótkich przemów podczas uroczystości ponownego poświęcenia historycznych budynków bądź pojawianie się w roli jednej z kilku skamielin na proszonych kolacjach, które służyły mumifikacji Wojny Domów.

Duncan został zapomniany, nie licząc ciągłych okrutnych wskrzeszeń dokonywanych przez Sabon. Bonmot umarł - patrząc z dłuższej perspektywy, w jednej chwili był z nami, a w następnej po prostu zniknął - co napełnia mnie coraz większym smutkiem. W porze lunchu siadywałam z kanapką na starej kamiennej ławce i próbowałam przywołać obraz tamtych wspañałych rozmów i jego zachrypnięty głos, lecz nigdy nie było tak jak dawniej. Być może wspomnienia to wszystko, co mamy, ale one nie zastąpią ciała i krwi.

Chociaż wydawało się, że Duncan czyni niewielkie postępy odnośnie do swoich teorii, wciąż się zmieniał, bezustannie stawał się inny. Nigdy w pełni się nie otrząsnął po Sabon (ani TADRMM, jeśli mam być szczery), rzadko interesował się innymi kobietami, bo tak naprawdę nigdy nie odrywał się od swojej pracy na wystarczająco długo, by je zauważyć. Później mi wyznał, że czasami wciąż obserwował Sabon, ukryty w cieniu przed jej aktualnym domem albo domem jej aktualnego kochanka. (Czasami rzeczywiście trochę wariowałam. Na późniejszym etapie rozgrywki zastawiałem pułapki na Mary w biuletynie TADRMM, podpisując nazwiskiem Laconda szalone teorie, które, jak sądziłem, będzie zmuszona obalać, tracąc energię, a jednocześnie nieświadomie angażując się w dialog ze mną. Z tego, co wiem, nigdy do tego nie doszło). Biorąc pod uwagę jego obsesje i moją pracę przewodniczki, stanowiliśmy idealny zespół prześladowców, ja działałam za dnia, a on w nocy. (Tylko jedno mnie pocieszało: nigdy nie wyszła za mąż. Z pewnością to o czymś świadczy?).

Gdzieś po drodze - nie wiem dokładnie kiedy - Duncan i ja się zestarzeliliśmy. Byliśmy starzy, ale wciąż bezczelni; jeśli nie mądrzy, to przynajmniej pomarszczeni. Tacy jak zawsze, tylko bardziej. *Nikt się nie wywinie.*

Podczas gdy my pozostaliśmy tacy sami, miasto przemieniało się raz za razem, jak to ma w zwyczaju. I choć nie zmieniały się jego umazana brudem głowa, skalane wieże czy rozpustne wezwania na modlitwę, to wciąż było inne. Nauczyłam się je kochać i doceniać jak nigdy przedtem. Tylko je naprawdę dobrze poznałam, niemal zbyt dobrze. (A jednak żadne z nas nigdy się nie dowiedziało, czy miasto odwzajemniało nasze uczucia).

Potem, jakieś cztery albo pięć lat temu, na miasto zaczęła wywierać wpływ Zmiana, zaburzając jego płynne funkcjonowanie. Wszystko stało się nieprzewidywalne, poza jednym stałym elementem: podobnie jak kiedyś zrobił to mróz, teraz Amberggris opanował skwar, utrzymujący się nawet zimą i wiosną. Wraz z upałem przyszły deszcze, które opadały na

ziemię tłustymi strugami, bełkotały do siebie krótkimi ulewami lub rozplywały się w delikatną szarą mgiełkę.

W jednym z artykułów, który Duncan wyciął i schował w swoim dzienniku, omówiono ze szczegółami dziwną naturę deszczu:

„Czasami deszcz dziwacznie się zachowuje. Tworzy leje na niebie. Pada w jeden sposób po lewej stronie Bulwaru Albumuth, a pod innym kątem po jego prawej stronie. Wraz z nim z nieba spadają zaskakujące dary: ryby, małe kałamarnice i kraby, które nie występują w tych okolicach. Rzucają się bezradnie na stertach wodorostów równie obcych dla tego miasta, jak obcy my jesteśmy dla nich, podczas gdy wokół zbierają się tłumy, albo wręcz przeciwnie, gdyż wielu z nas stara się ignorować takie zdarzenia”.

Nad rzeką Moth deszcz zachowuje się, jakby był świadomy: czasami tworzy kolumny po obu stronach nurtu, lecz nie pada na samą rzekę. Jak donosi jeden z naocznych świadków, powietrze „zmienia się tam w ciemność o ciężarze i zapachu odmiennym niż na pozostałej części nieba”. (Drzwi, Janice).

Ponowne nadejście deszczu, jak w dawnych czasach, doprowadziło do gwałtownego wzrostu grzybów, tak że ich niszczenie i usuwanie znów stało się bardzo dochodowym zajęciem. A jednak szare kapelusze przestały się pojawiać, nawet podczas najciemniejszych nocy.

Bardziej niepokojący niż same znaki wydaje się fakt, że nikt nie wie, co one oznaczają.

Nawet Dom Hoegbottona przez ostatnie trzy lata nieufnie obserwował pogodę i wydawał się dziwnie pokorny wobec wroga, którego nie potrafił rozszyfrować ani pokonać.

Razem z upałem i deszczem powrócili agenci Domu Frankwrithe'a i Lewdena, którzy przeniknęli do Ambergris, choć tym razem bez zauważalnego wsparcia szarych kapeluszy. W obliczu wzrostu liczby morderstw i nieustannie krążących plotek o wojnie, znów mieliśmy zszargane nerwy, tak samo jak w przeddzień wybuchu konfliktu wiele lat temu.

To wszystko nie miało dobrego wpływu na przemysł turystyczny. Liczba uczestników moich coraz bardziej rutynowych wycieczek wyraźnie spadła. Takie wydarzenia, jak konieczność ominięcia trzystopowego karmazynowego grzyba, który nagle wystrzelił spod chodnika obok naszych stóp, lub uskoczenia przed strumieniem srebrzystych rybek zrzuconych przez burzę, stanowiły atrakcję tylko dla nielicznych.

Wiem, że nawet te proste stwierdzenia dotyczące Zmiany oburzą niektórych czytelników, w większości natywiistów. Dla nich żadna Zmiana nie nastąpiła. Dla nich postępujące „dziwaczenie miasta”, jak to kiedyś określił Duncan, nie toczy się według żadnego wzoru ani rytmu, nie ma przyczyny. Niektórzy godni politowania głupcy nadal zaprzeczają, że dzieje się coś dziwnego. Sądzę, że naszym stałym zwyczajem nawet ci, którzy uznają istnienie Zmiany, zaczęli się do niej przyzwyczajać. (Już nie powinniśmy się do niczego przyzwyczajać. Zaczynamy żyć we własnej przyszłości, a ta powinna być dla nas dziwna).

Być może w ten sposób uczynię swoją relację bardziej osobistą i prawdziwą: gdy pojawiły się pierwsze objawy Zmiany, James Lacond zachorował. Mówiąc, że zachorował, mam na myśli to, że grzybowa choroba w końcu nim zawładnęła, czym czasami groziła także Duncanowi. (Niestety, Lacond nie dotarł wystarczająco daleko pod ziemię i nie spędził tam wystarczająco dużo czasu. To gorsze niż dotarcie za daleko. Mówiłem mu więcej niż raz, że powinien doświadczyć czegoś więcej wewnątrz swojego ciała, by przetrwać. Odrzucił moją radę). Musiał się zamknąć w pokoju na tyłach biura, podczas gdy Duncan kierował wszystkim w jego imieniu. Lacond nie wytrzymał długo i wkrótce niemal dosłownie zniknął.

Nikt nie wiedział, jak bardzo był chory, dopóki nie umarł. Janice, powinnaś była go odwiedzić pod koniec życia. Byłem przy nim każdego dnia, zgarbiony na krześle obok jego opanowanego przez grzyby łóżka, bezskutecznie próbując wyłowić jakieś zrozumiałe słowo spomiędzy przegniłych zębów biednego ludzkiego wraku. „HmMMM bważy dokłabacz stargo”, mówił z idealną jasnością charakterystyczną dla ludzi, dla których już nie ma nadziei. Kiwałem głową z mądrą miną i dalej pracowałem nad swoimi diatrybami przeciwko natywizmowi oraz innym niebezpiecznie obłąkanym teoriom.

Pachniał rumem, który mu podarowałem, by złagodzić jego cierpienie. Śmierdział stęchlizną, jak pokoje, których nie wietrzono od czasu Ciszy. To prawda, że szczerze go kochałem i pomagałem mu najlepiej jak potrafiłem, ale nigdy nie był dla mnie namiastką Bonmota - to by było krzywdzące dla nich obu. Gdy na niego patrzyłem, widziałem raczej lustrzane odbicie siebie w przyszłości: siwa broda, szalony wzrok, pół wieku zgłębiania historii wyciekające z mojego mózgu przez bełkoczące usta. Nie mogę powiedzieć, by mnie to podnosiło na duchu, a jednak sprawiało, że jeszcze troskliwiej się nim zajmowałem!

Choć nie potrafił zrozumiałe mówić, od czasu do czasu udawało mu się pisać. Kiedyś przyciągnął mnie do siebie i pokazał słowa nabazgrane na kawałku papieru: „Martwię się, że rozkład i wywołana nim śmierć stępią moją zdolność zrozumiałego argumentowania ze zwyczajową żywotnością”. Rozśmieszyło mnie to, a Lacond także się uśmiechnął, w stopniu,

w jakim to było możliwe. Pokiwałem głową, by pokazać, że zrozumiałem. Kiedy zmarł, a ja przejąłem obowiązki redaktorskie w biuletynie TADRMM, wydawało mi się naturalne, że powinienem kontynuować, dokopując się do niemal nieskończonych zasobów „nowo odkrytych” tekstów tego starego drania, jak gdyby nadal szeptał mi do ucha o niczym-niczym-niczym.

Pewnego wczesnego ranka wszedłem do pokoju Laconda i odkryłem delikatną powłokę lśniących czarnych spór pokrywającą białą pościel.

Ciała nie było. Pościel lekko pachniała limetami. Wiedziałem, co się stało. Trwało to tak długo, że nie czułem smutku, jedynie determinację.

Zwinąłem pościel i zaniósłem ją nad rzekę Moth. Po drodze nabierałem w dłoń czarne zarodniki i je rozrzucałem. Na Bulwarze Albumuth. Na bruku Dzielnicy Religijnej. Rozsmarowywałem je na ścianach opustoszałej Dzielnicy Biurokratycznej. Wcierałem w cegły siedziby H&S. Upuszczałem na krzaki i parkowe ławki.

Kiedy dotarłem do rzeki, wrzuciłem pościel do wody i patrzyłem, jak unosi się na powierzchni i rozwija, aż ostatnie spory, pijane wilgocią, znikły mi z oczu.

Oczywiście zachowałem też fiolkę spór, które zamierzałem rozrzucić pod ziemią. Żadna część Ambergris nie pozbędzie się łatwo Jamesa, nawet po jego śmierci).

Gdzieś, kiedyś, w zeszłym roku umarła także moja (nasza!) matka, w swojej rezydencji nad rzeką. Sąsiedzi znaleźli ją na fotelu, zapatrzoną na wodę. Powiedzieli, że wyglądała na szczęśliwą, ale nikt nie lubi umierać, nie sędzę więc, by to była prawda. Powiedzieli, że wyglądała tak, jakby wszystko zrozumiała. A przynajmniej rozumiała więcej niż ja, pomimo moich niestrudzonych badań.

Co dziwne, około trzeciej nad ranem w przeddzień jej śmierci zadzwonił telefon. Kiedy odebrałam, w słuchawce nie usłyszałam żadnego głosu. Może to była pomyłka. Może uznała, że nie ma już nic więcej do powiedzenia. Może tylko chciała usłyszeć mój głos przed śmiercią. Nie wiem.

To się stało wiosną. Drzewa wokół jej domu kwitły - biało-różowe kwiaty ciężko wisały na gałęziach. Trawniki były usiane płatkami. Zdawało się, że to nieodpowiednia pora na pogrzeb. Zapach kwiatów odpędzał zapach śmierci.

Duncan i ja towarzyszyliśmy trumnie w podróży do Stockton, najpierw na pokładzie rzecznej barki, a następnie w powozie zaprzężonym w muły. Pochowaliśmy ją obok naszego ojca na starym cmentarzu komunalnym obok biblioteki, gdzie ojciec spędzał tak wiele czasu. Na uroczystości zjawilo się niewiele osób: kilkoro krewnych, truffidiański kapłan, stary

znajomy taty - pradawna ludzka skamielina, zgarbiona, zgięta i lekko zagubiona (przez cały pogrzeb żabki od szelek wisiały mu na ramionach, gdzie je zarzucił, gdy korzystał z toalety) - oraz para młodych ludzi, których rodzice znali mamę. Gdy tam staliśmy, otoczeni nagrobkami i jaskrawozieloną trawą, to wszystko wydawało nam się nierzeczywiste. Nieprawdziwe.

Nie zatrzymaliśmy się w Stockton na długo - nic nas już tam nie trzymało. Miasto wydawało się nam całkowicie obcym miejscem, którego nigdy nie odwiedziliśmy. (Ambergris wpływa w ten sposób na ludzi - staje się tak ważną częścią życia, że każde inne miejsce przypomina tylko jego niewyraźne echo, blade odbicie, kopię poszukującą oryginalności).

Gdy wróciliśmy do rezydencji, zdaliśmy sobie sprawę, do jakiego stopnia jej dom zmienił się w magazyn - matka zapełniła go tak wieloma przedmiotami, które wykonała lub kupiła, że niemal nie zauważało się, że odeszła. (A jednak, jak się okazało, większość z tych rzeczy tylko przechowywała dla innych, dom bowiem opróżniał się z każdym wtaczającym się do środka krewnym).

- Zawsze była taka chłodna - powiedział Duncan, gdy staliśmy w przedpokoju, patrząc na portrety i zdjęcia członków rodziny, gromadzone przez matkę latami.

Mieliśmy przed sobą całą konstelację krewnych, których mogliśmy odszukać - niektórych spotkaliśmy na pogrzebie - ale po cóż mielibyśmy się tym teraz kłopotać? Było już za późno. Zostaliśmy zabrani w obce miejsce, a wtedy wszystkie dawne więzi pękły jak przegniła lina. Ludzie, których spotkaliśmy w Stockton, byli już dla nas zaledwie uprzejmymi twarzami, ale mnie tylko trochę to przeszkadzało. Po części byłam zadowolona, że nie muszę podejmować wysiłku, którego wymagałoby podtrzymanie tych więzi. Lepiej, by pozostali fotografiami, niewyraźnymi uśmiechami, uściskami dłoni i miło wspomnianymi czułościami z dzieciństwa. Po śmierci ojca nasze drogi się rozeszły, a my na swój sposób to polubiliśmy.

- Zawsze była taka chłodna - powtórzył Duncan. Dopiero po chwili go usłyszałam w tym pustym i olbrzymim budynku, otoczona podobiznami nieżyjących osób. Na kominku stało tyle samo oprawionych w ramki nagrobków, ile tkwiło w ziemi na miejskim cmentarzu.

Kiedy w końcu dotarły do mnie słowa Duncana, odwróciłam się ku niemu z poirytowaną miną.

- To nie ona była chłodna. My tacy byliśmy. Byliśmy gburowatymi, oziębłymi dziwakami. Pełzaliśmy tunelami, prawie się nie odzywaliśmy i zawsze byliśmy sami, pograżeni w myślach. Nie tworzyliśmy prawdziwej rodziny, jeśli się nad tym zastanowić. Nigdy nie potrafiliśmy ofiarowywać się innym. Skąd więc mamy wiedzieć? - zapytałam, teraz już podniesionym głosem. Jakie to miało znaczenie w tym miejscu? Moje słowa najwyżej

będą bez końca odbijały się echem, błękały po krętych schodach, opadały do zalanej piwnicy.

- Skąd mamy wiedzieć, że nie chodziło o nas?

Twarz Duncana ściągnęła się i poczerwieniała, a ja widziałam, że powstrzymuje łzy. Trudno było to stwierdzić, jego ciało bowiem już niemal nie potrafiło produkować łez; a jeśli nawet mu się udawało, była to fioletowa, na wpół stała wydzielina, która sprawiała mu ból, gdy prześlizgiwała się przez kanaliki łzowe. Oto miara tego, jak bardzo przywykłam do Duncana, bo nie wydawało mi się to dziwne.

- Prawie jej nie odwiedzałem - powiedział. (Miałem na myśli to, że prawie się z nią nie widywałem. Odwiedzałem ją, ale się nie spotykaliśmy. Wychodziłem z tunelu w suchym kącie piwnicy i pozostawiałem jej podarunki z podziemia - rzeczy, które według mnie mogły się jej spodobać. Na pewno wiedziała, że pochodzą ode mnie).

- Nie miała ci tego za złe. Była samotniczką. Sama dokonała takiego wyboru.

Zanim Umarł Tata, była równie pogodna i zrównoważona jak my. (Nigdy nie byliśmy zrównoważeni, Janice). Ale tamta śmierć zabiła nas wszystkich, nie tylko ojca. Jak moglibyśmy temu zaprzeczyć?

W otoczeniu przytłaczającej kolekcji rzeczy mamy - dywaników, obrazów, rzeźb, książek, nieudanego zbioru bibelotów - to wszystko wydawało się nam aż nazbyt oczywiste. Tymczasem rzeka, niczego nieświadoma, bulgotała i chichotała za oknem. (Każdy Ci powie, że wraz z wiekiem stajesz się coraz bardziej samotny. Ludzie piszą o tym w książkach. Wołają o tym na rogach ulic. Mamrocą o tym przez sen. Ale kiedy cię to spotyka, zawsze stanowi szok).

Nie mogliśmy zatrzymać domu. (A niby jakim cudem? Pytaliśmy, ale okazało się to niemożliwe - mama miała zbyt duże długi, a jej dawny majątek tak naprawdę już nie istniał, nie licząc zaniedbanej posiadłości). Nie mogliśmy także zatrzymać zbyt wielu rzeczy, które znajdowały się w domu (ponieważ nie był nasz!). Ale nie potrafiłam znieść utraty portretów i fotografii z przedpokoju. Z jakiegoś powodu utrata jedynej kruchej więzi, która łączyła nas z tamtymi ludźmi, których powinniśmy byli znać, wydawała się równie niewłaściwa, jak próba ich odszukania i nawiązania relacji z obcymi osobami. Stojąc na cmentarzu w Stockton, wymienialiśmy grzecznościowe zapewnienia: „powinniśmy się kiedyś spotkać”, w które tak naprawdę nikt nie wierzy. Dlaczego starałam się wobec obcych ludzi, a nie wobec własnej matki? Naprawdę nie wiem. Chyba że szczerze wierzyłam, że mnie przeżyje. Albo że umarła już dawno temu.

- Ja nie wracam - oznajmił Duncan, gdy zamknęłam za nami drzwi i wyszliśmy na dwór. Był cudowny gorący wiosenny dzień. Żółte słońce świeciło nam z gracją nad głowami, a gładka i rozświetlona rzeka Moth lśniła na tyłach rezydencji.

W świetle słońca ciało Duncana wyglądało na przezroczyste. Przypominał awangardową rzeźbę, mityczną lub baśniową postać. Światło prześlizgiwało mu się po twarzy. W tym nagłym przypiływie blasku ujrzałam białe włosy na jego skroniach, siwo-białą brodę, zmarszczki wyryte wokół ust i na czole, lekko zapadnięte oczy. Zestarzał się. Przedwcześnie.

- Nie wracasz? - spytałam. - Tutaj?

- Nie wracam - powtórzył, ale nie spojrzał mi w oczy.

I rzeczywiście. Nie wrócił. Zobaczyłam go potem tylko raz.

Właściciel Spory ponownie się pojawił, mamrocząc coś o niezapłaconych rachunkach. Uśmiechnęłam się i próbowałam go zbyć dwiema monetami, które trzymałam w skarpetce. Najwyraźniej dotarło do niego, że pozwala mi korzystać z tego pokoju za darmo. Zastanawiałam się, czy zrozumie, jeśli powiem mu, że wypatruję Duncana. Istnieje dawny truffidiański rytuał, który polega na czekaniu na zmarłą bliską osobę. Z szacunku dla zmarłego przez trzy dni czeka się jak gdyby na zmartwychwstanie, lecz tak naprawdę na częściowe ustąpienie własnego smutku. Pozostaje jednak faktem, że Duncan może w każdej chwili wypełznąć z dziury w ziemi za moimi plecami. (To prawda. Ale nie trzeba było na mnie czekać).

Chociaż właściciel lubił Duncana, to niewykluczone, że zwołałby znajomych z kijami, gdyby ten nagle wypełzł spod ziemi. Wkrótce będę musiała odejść, w taki czy inny sposób, więc dochodzę do wniosku, że nadszedł właściwy moment, by opowiedzieć wam o moim ostatnim spotkaniu z Duncanem. Odbyło się ono trzy tygodnie przed przyjęciem Martina Lake'a. Niespodzianka - wtedy także Mary widziała Duncana po raz ostatni, chociaż nie wspomniała o tym swojemu naszyjnikowi ciał, gdy szkalowała mojego brata podczas przyjęcia. Pewnie nie uznała tego za istotne. Może wtedy już zbytnio się bała.

Powodem, dla którego Mary zechciała spotkać się z Duncanem, był fakt, że mimo wszystkiego, co się wydarzyło, Duncan nigdy z niej nie zrezygnował. Wciąż się starał, aż do samego końca - chociaż nie wiem do końca czego i pewnie nigdy się tego nie dowiem. (Ja także nie wiem, Janice - nie wiem nawet, gdzie teraz jesteś. Wreszcie „wypełzłem z dziury”, jak to elokwentnie określiłaś, ale Ciebie nigdzie nie ma - tylko ta bluźniercza, denerwująca, stronicza relacja).

Pewnego wiosennego dnia o zmierzchu siedziałam przy swoim biurku w budynku spółki Hoegbotton i Synowie przy Bulwarze Albumuth. Pogoda jak zwykle była dziwna. Słońce z trudem przebijało się przez warstwę mgły: słabe światło sączyło się przez przeszkłone drzwi przystrojone ulotkami i arkuszami z gazet, które zachwalały pokrzepiający wpływ wycieczek po Ambergris.

Ustawiłam obok biurka jedną albo dwie lampy, a jako że pogoda odstraszyła zarówno pozostałych przewodników, jak i, najwyraźniej, potencjalnych klientów, spędzałam czas na płaceniu rachunków i pisaniu pokrętnych listów, w których przepraszałam artystów, którzy obwiniali mnie o utratę swoich dzieł podczas wojny. Nadal byłam winna pieniądze wielu ludziom i obawiam się, że większość z nich nic nie dostanie - wszystko oddałam właścicielowi Spory.

Właśnie obliczałam, ile powinnam zapłacić Rogerowi Mandible'owi, by wystarczyło mi na czynsz, gdy to coś spadło z sufitu na blat biurka. Zdusiłam krzyk, przekształcając go w długie, gwałtowne drżenie, ale cofnęłam się od biurka, unosząc pióro jak nóż.

Nastąpiła rozczarowująca zwłoka. Potrzebowałam chwili, by zorientować się, co spadło na biurko, na blacie bowiem panował straszny bałagan. Jedynym nieznanym przedmiotem okazała się para osobliwych okularów, które leżały zausznikami do dołu na programie starego przedstawienia Vossa Bendera. Wokół jednego z zauszników zawiązano supeł z czerwonego trójkątnego materiału. Powoli okrążyłam okulary, raz albo dwa razy zerkając na sufit, cały czas trzymając nad głową zaimprovizowaną broń. Niczego nie zauważyłam. Gdyby ktoś patrzył na mnie z ulicy, uznaliby mnie za wariatkę.

Moje serce zwolniło. Opuściłam pióro, odłożyłam je na biurko i usiadłam, śmiejąc się ze swojego strachu. Okulary. Przytwierdzone do sufitu? Spadły na biurko? Nadal nie potrafiłam ogarnąć tego łańcucha zdarzeń. Czyżby jakiś współpracownik lub turysta przyczepił je do sufitu kilka miesięcy temu, a teraz wreszcie poddały się grawitacji? Przynajmniej wydawało się, że nic mi nie grozi. Zyskałam średnio interesującą opowieść, którą rano podzielę się z innymi przewodnikami.

Podniosłam okulary. Metalowe oprawki były ciepłe w dotyku, niemal żyłaste, ale cienkie jak rzęsy. Promieniowały dziwnie złocistym, różowawym blaskiem, a ich powierzchnia okazała się zarazem szorstka i gładka. Szkła były znacznie cieńsze: niczym skrzydełka ważki. Również grzały mnie w rękę, a mój badawczy palec wycofał się gwałtownie, gdy poczułam, że małe przezroczyste łuski, z których się składają, poruszyły

się pod wpływem dotyku, choć zapewne to tylko zetknięcie powierzchni palca i soczewek wywołało takie wrażenie.

Roześmiałam się, gdy okulary zaczęły brzęczeć. Miałam wrażenie, że to jakiś żart, fantazja, którą niemal jestem w stanie pojąć, a nie zagrożenie. Wibracje mieszały się z dźwiękiem, ale początkowo nie wiedziałam, czy po prostu nie drży mi ręka i nie dzwoni mi w uszach.

Postukałam okularami o biurko. Rozległ się brzękliwy odgłos, przypominający dźwięk kamertonu. Kierowana taką samą ciekawością, jaka prowadzi do wyrwania skrzydeł muchom, początkowo próbowałam zgiąć okulary, a kiedy mi się nie udało - rozbić je o bok biurka. Całkowicie angażując się w serię eksperymentów, zapewne zadowolona, że przekształciłam strach w agresję, wyjęłam z szuflady scyzoryk i usiłowałam zarysować szkła. Bezskutecznie.

Odłożyłam okulary, jeszcze bardziej zbита z tropu. Co powinnam z nimi zrobić? Przez chwilę się zastanawiałam. Na zewnątrz mgła zgęstniała, bezlitośnie nadciągając znad rzeki Moth. Nikt nie wszedł do biura podczas moich doświadczeń. Nikt nie wejdzie. Blaknące słońce skurczyło się do niewyraźnego białego punktu, którego światło zagłuszał blask mgły.

Dokładniej przyjrzałam się kawałkowi czerwonego materiału. Nie pasował do okularów. Nie był tak elegancki ani precyzyjny. Lekko drżącymi dłońmi rozwiązałam supeł. Materiał wyglądał znajomo. Czerwony kolor, trójkątny kształt. Gdzie go widziałam? Przypomniałam sobie na chwilę przed tym, jak zobaczyłam słowa zapisane na tkaninie znajomym charakterem pisma:

Włóż okulary. Podążaj za czerwoną ścieżką.

Nie bój się.

Przypomnij sobie ZUT.

Duncan. Czerwony trójkąt był kawałkiem flagi szarych kapeluszy, które najczęściej widywano na końcach drewnianych kołków wbijanych w ziemię obok tych grzybian, którzy nie wrócili pod ziemię na dzień. Nagle flaga i okulary wydały mi się bardzo blisko powiązane. Zaszło mi w ustach, a moje serce znów zaczęło szybko bić.

Włożyć okulary? Nie przyszło mi to do głowy. Uniosłam je do światła lampy i spojrzałam przez szkła, ale nie włożyłam ich na nos. Z bliska pachniały lawendą i morską wodą. Chociaż „łuski” zniekształcały widok na zamglone okno, nie dostrzegłam żadnego zaburzenia perspektywy, obraz nie stał się ani ostrzejszy, ani zamazany. To nie były okulary korekcyjne.

Wpatrywałam się w skrawek czerwonego materiału leżący na biurku. Wyróżniał się na tle wszystkich pospolitych, bezbarwnych drobiazgów, które zaczęły przejmować kontrolę nad moim życiem - rachunków, nieustępliwych listów od wściekłych malarzy, opisów wycieczek po mieście, całej niezręcznej geografii mojego codziennego życia. A pośrodku tego wszystkiego - strzęp koloru, strzęp krwi, strzęp wiadomości.

W końcu, co złego może wyniknąć z włożenia okularów?

Wyrzałam na zasnutą mgłą niebo. Podeszłam do drzwi. Otworzyłam je i wyszłam na ulicę. Mgła przywarła do mojej skóry. Delikatne dzwonienie odległych rozmów. Melodyjny ryk pojazdu mechanicznego. Woń płomieni. Smak metalu. Czy dzięki okularom przebiję wzrokiem mgłę? Czy one ją usuną? Wciąż trzymałam je w lewej dłoni, z dala od ciała, jakby mogły wybuchnąć i zasypać mnie odłamkami.

Zanim Umarł Tata.

Duncan nie kontaktował się ze mną od miesiący.

Włożyłam okulary. Idealnie ułożyły się na moim nosie, a zauszniki gładko wsunęły się na miejsce; ponownie zapulsowały, jakby były żywe.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, a ja szeroko się uśmiechnęłam. Dzięki mojemu biednemu bratu wpatruję się przez zniekształcone skrzydła ważki w świat pogrążony we mgle. Nic nowego.

Wtedy oprawki się napięły i zacisnęły wokół moich uszu. Przez chwilę czułam silne ciepło, ale trwało to tak krótko, że nie zdążyłam wydać z siebie żadnego dźwięku.

Potem szkła zaczęły się wypełniać czernią. Czerń wypłynęła ze szczytu oprawek i z metodyczną precyzją zasnuła najpierw jedną, a potem drugą zniekształconą łuskę. Stałam bez ruchu, zafascynowana i zarazem przerażona, a płyn powoli przesłaniał świat, zastępując go własną rzeczywistością.

Kiedy zapanowała całkowita czerń, mgły już nie było, została zmieciona, przepędzona, razem ze wszystkim co niewyraźne i rozmyte...

Mój świat składał się teraz z dwóch... poziomów? Warstw? Świat, który znałam, stał się podległy innej rzeczywistości. Znajomy świat bynajmniej nie zniknął; wciąż był wyraźny, lecz stał się przejrzystym tłem dla nowego świata. Widziałam ulicę, sklepy naprzeciwko mojego biura, latarnię na rogu, dwie kobiety stojące pod latarnią, gołębia śpiącego na jej szczycie, fasady budynków, które ciągnęły się wzdłuż ulicy - każdą cegłą i kamieniem.

Jednakże to, co mi się objawiło, sprawiało, że rzeczywistość robiła niezwykle ubogie wrażenie. Jak to wyjaśnić? Nigdy nie byłam dobrą malarką - jak mam teraz namalować słowami obraz, który widziało niewielu ludzi, a może nikt? (Zacznij od kolorów. Zacznij od

symboli. Zaczynj od faktur. Zaczynj od odcieni. Zaczynj od czegokolwiek, tylko wreszcie zaczynj!).

Oto przykłąd: witryna zakłądu drukarskiego po drugiej stronie ulicy... została „zamalowana” żywą powłoką drobnych świecących czerwonych grzybów. Pośród nich poruszały się powolne skupiska szmaragdowego światła, które dokonywały zbiorów. Jak mam to opisać, skoro nawet nie potrafiłam tego dla was namalować? Wizja jest silniejsza od pióra. Trzeba lepszego pisarza, by chociaż częściowo ją przedstawić.

Na każdym budynku - każdej powierzchni - widniały symbole i słowa: świecące i wyraźne, w lśniących zieleniach, żółcieniach, czerwieniach, fioletach i błękitach. Strzałki i drogowskazy w obcym języku. Wytrawione odpowiedniki młaśnieć i gwizdnieć. To przypominało różnicę między miastem przed, po i w trakcie Festiwalu Słodkowodnych Kałamarnic - gdy światła zdobia każdy balkon, dekorację i filigran. Zaczęłam rozumieć, że widzę miasto takim, jakim postrzegają je szare kapelusze. Wygodnie podzielonym, rozplanowanym i opisanym dla ich potrzeb. To jest ich miasto, a ta powłoka stanowi dowód ich kontroli. Czulałam się jak we śnie i koszmarze zarazem. Na granicy pola widzenia dostrzegałam jakieś kształty, które poruszały się w nienaturalny sposób. W powietrzu przeskakiwały miliony spór, zalewając niebo cynobrową orgią odnowy, jakby zbliżał się zmierzch, a nie świt, gwiazdy zaś, przypominające blade duchy, były większe i bardziej opalizujące niż w naszym świecie. „Zapachy” wisiały w powietrzu, w postaci chmur i jeszcze-nie-chmur, fałd i żyłek tekstur, które nie były fałdami ani żyłkami tekstur.

ZUT. ZUT. Powtarzałam ten akronim raz za razem. Próbowalałam zachować spokój. Co napisał Duncan? „Podążaj za czerwienią”. Powinnam podążać za czerwienią i zaufać Duncanowi.

Podążać za czerwienią. Przede mną pojawiła się czerwona ścieżka złożona z malutkich wijących się kosmyków. Wiedziałam, że gdybym zdjęła okulary - czy mogłam to zrobić? - przestałabym dostrzegać ścieżkę i grzyby. Czy chcę spróbować je zedrzyć i zostawić Duncana samemu sobie? Przez chwilę się wahałam, po czym podążyłam czerwona ścieżką przez odmienione miasto.

Moje „ja” rozpadło się i przekształciło w... coś innego. Jak mam to opisać? Jak zacząć? Od czego zacząć? (Och, na litość Truffa, Janice! Zaczynj od początku. Przejdź do środka. Skończ na końcu. Dasz sobie radę). Miasto poczerniało, a ludzie na jego tle wyglądali jak błyski rtęci. Każdy składał się z tysiąca pociągnięć pędzlem, wirowych wzorów osobistego działania. Czerwona ścieżka zacierała się za mną i popędzała mnie, znikając szybciej, gdy tylko zwalniałam kroku.

Może powinnam zacząć od koloru. Może powinnam spróbować to dla was namalować. Tak jak artysta nakłada kolejne warstwy farby, by ukazać i podkreślić jakiś aspekt, motyw, wcześniej nieznaną prawdę, tak te okulary ukazywały inne miasto, do którego powróciły szare kapelusze, ponownie je kolonizując bez naszej wiedzy. (One nigdy go nie opuściły, Janice, droga siostrzyczko. Nigdy nie odeszły. Okulary nie ujawniają tego, co ukryte, lecz pokazują to, co otacza nas od wieków).

Wszystko zmieniło się we własny negatyw: mgła wiała się jak czarny dym, a ciemne, twarde cegły budynków stały się białe i niematerialne jak szkło. Powiadam wam, że w tym prawdziwym świecie, który zapewnia nam fundament istnienia - na którym możemy mocno się wesprzeć, oczywiście zakładając, że świat interpretowany przez nasze zmysły jest obiektywnie rzeczywisty - wszędzie są wypalone znaki i symbole szarych kapeluszy.

Nałożone. Ładne słowo, ale nie jego szukam, ponieważ może ono nadawać eteryczne i nierealne atrybuty czemuś, co jest nieznośnie rzeczywiste.

Próbuję powiedzieć, że świat, który znam od ponad pół wieku, przestał wydawać się prawdziwy w obliczu innego świata, który istnieje ponad nim i w jego wnętrzu.

Ale co tak naprawdę widziałam, gdy szłam po czerwonym dywanie w stronę Spory Szarego Kapelusza? Widziałam fosforyzujący obłok zielonych spór tańczących pośród mgły, tak lśniący i pełny w swym locie, że przypominał pojedynczą, myślącą istotę. Widziałam ceglana ścianę pokrytą - zakrzepłymi? - literami i symbolami szorstkimi jak owady, w tak różnorodnych kolorach, że nie nadażała za nimi wyobraźnia. Widziałam długie stworzenia przypominające stonogi, które marszczyły się i falowały, stapiając się z przejrzystymi cegłami. Widziałam, jak ulicą usianą skupiskami świecących żółtych, niebieskich i zielonych grzybów snuje się nieprzerwany szlak czerwonych plam, jakby wytrawionych na powierzchni ulicy przez malarza.

Podążałam za ścieżką jak we śnie. Nie miałam wyjścia.

Sekret polegał na tym, by nie wzdygać się, gdy w pole widzenia z trzaskiem wskakiwały wyrywające się z bezruchu dziwne istoty. Sekret polegał na tym, by wyobrazić sobie, że to wszystko sen, by jak najbardziej się okłamywać. Czasami miałam wrażenie, że zdarto skórę miasta, odsłaniając inne miejsce - równoległy świat, który łączyło z naszym tylko kilka podobieństw.

(No cóż, może rzeczywiście nikt nie potrafił tego sprawiedliwie, a nawet niesprawiedliwie, oddać. Jak opowiedzieć o czymś, czego w zasadzie się nie widzi, lecz postrzega za pomocą jakiegoś szóstego zmysłu, miejsca pomiędzy okiem a mózgiem, które nie powinno istnieć. Niektórzy doświadczają tego po raz pierwszy i doznają obłądu. Pewien

mnich mieszkający w Zamilonie ujrzał to i skoczył z murów fortecy. Tonsure nie zwariował tylko dlatego, że tak wiele innych odkryć przytłoczyło jego zmysły. Dobrze sobie poradziłaś, siostrze. Bardzo dobrze. Lepiej niż Mary).

Duncan czekał na mnie w tym pokoju. Siedział na krześle obok dziury w ziemi, przed sobą miał stół. Nie widziałam go z progu. Usiadłam w fotelu naprzeciwko niego. Wciąż miałam na oczach okulary, więc cały pokój lśnił fioletowym i złotym blaskiem; w powietrzu unosiły się istoty przypominające przezroczyste meduzy.

Ciało Duncana widziane przez okulary było odmienione. Grzyby poruszały się po zarysach jego kości, powoli i cierpliwie go przekształcając. A może to nie były grzyby? Mignęły mi brązowo-złote rzeski, wypukłości, które niepokojąco kojarzyły się z olbrzymimi rozgwiazdami. Pachniał ustany winem pozostawionym na noc. Pachniał kanałami, które wypłukano do czysta wyciągiem z wiciokrzewu i drzewa sandałowego, lecz nie usunięto do końca nieprzyjemnej woni wciąż utrzymującej się w tle. Gnijącym mięsem. Cynamonem. Wszystko to połączone w jedną woń, wibrację nie przeznaczoną dla ludzkiego nosa.

- Czy już mogę zdjąć okulary? - spytałam Duncana. Nie chciałam go takim widzieć.

- Nie zastanawia cię to? - odpowiedział gardłowym, szorstkim głosem. - Nie zastanawia cię, na co patrzysz? Mnie by zastanawiało na twoim miejscu.

Sposób, w jaki trzymał głowę - głowa była jaśniejącym owalem, szyja bryłą plamistej ciemności - sugerował, że jest pijany.

- Dobrze się czujesz? - spytałam. Coś mi kazało uciekać od niego jak najdalej, wydostać się stąd, zerwać okulary z twarzy. (Intucja Cię nie okłamywała).

- Spytałem, czy cię to nie zastanawia - powtórzył i trzasnął pięścią w stół. Od jego ręki po pokrytym spiralnym wzorem blacie popędziła fala pomarańczowych spór. Przez chwilę miałam wrażenie, że stół zapłonął. Potem pomarańczowy kolor wyparował.

- Tak... zastanawia mnie to. Zastanawia mnie twój wygląd. Zastanawia mnie, dlaczego wybrałaś taki sposób, by mnie tu sprowadzić. Ale przede wszystkim chciałabym wiedzieć, czy dobrze się czujesz.

Szorstki śmiech.

- Czy uważasz, że kiedykolwiek dobrze się czułem?

- Owszem. Czasami nawet widziałam, jak się śmiejesz.

Duncan uniósł dłoń i zobaczyłam, że otacza ją spiczasta przezroczysta nibynóżka jakiejś istoty.

- Pamiętasz swój list?

- Który? - spytałam. Było tak wiele listów. Nawet w tej chwili listy zaśmiecają podłogę tego pomieszczenia.

- Złote nitki połączeń. Nikt nie jest sam. Wszystko jest powiązane. Gdy ktoś umiera, nitki wciąż drgają. Coś w tym stylu.

Zdecydowanie się upił, albo nie był sobą. (Och, ależ byłem sobą - sobą, którego tłumilem przez lata).

- Pamiętam - odparłam. - Co to ma z tym wspólnego?

Duncan się roześmiał.

- Wszystko. Ponieważ miałaś więcej racji, niż ci się wydawało. W tej chwili, moja droga siostrze, patrzysz na rozgwiadę, którą pokazałem ci wiele lat temu. Ona nigdy nie umarła, po prostu zrzuciła swój szkielet i jego cielesną obecność. Bezszykieletowa i niewidzialna, rozszerzyła się, obejmując moje ciało. Karmi się moją chorobą.

Nie wiedziałam co odpowiedzieć, więc milczałam.

- W świecie szarych kapeluszy nie tak naprawdę nie umiera, jedynie ulega przemianom. W inne ciało. Innego ducha. Inny nośnik. Jeśli spojrzysz na to z ich perspektywy, dostrzeżesz piękno. Ona odziera mnie z choroby, ale nie za darmo. Coraz bardziej przybliża mnie do świata, który widzisz przez okulary.

Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, drodzy Czytelnicy, teraz zwątpicie w moje słowa, chociaż to wszystko prawda. Z pewnością tak się stanie. Sama w nie wątpię. Wątpię w to, co widzę na własne oczy. Wątpliwości były serdecznymi przyjaciółmi mojego ojca. Jonathan Shriek traktował je jako swojego Wielkiego Sprzymierzeńca. „Wątpliwości”, mawiał, unosząc palec, „pozwalają nam docierać do samego końca. To ważna prawda”. Tata podawał w wątpliwość każde napisane przez siebie słowo. Kiedyś powiedział mi o tym, gdy siedzieliśmy w salonie po długim, wyczerpującym dniu. Każde słowo. Myślałam, że żartuje, ale teraz widzę, że nie.

Jeśli więc macie ochotę, możecie nie uwierzyć - w którąkolwiek część mojej opowieści. Ale nie kwestionujcie moich intencji, by wszystko wyjaśnić, by przybliżyć Wam Duncana, by przybliżyć Wam siebie.

- Zdejmij okulary - polecił Duncan.

- Nie jestem pewna, czy teraz tego chcę - odrzekłam. Zaczynałam rozumieć, że w prawdziwym świecie mogą czekać gorsze rzeczy niż te, które widziałam przez szkła. Chociaż przede mną niewidzialna rozgwiada powoli okrążała ciało Duncana, karmiąc się jego chorobą, szaleńczo obracając rękami.

Zdjęłam okulary. Nie zaskoczyło mnie, gdy pomknęły na środek stołu i tam przycupnęły, czekając. Na co? Żebym znów je włożyła?

Bez okularów zobaczyłam Duncana jako... zasymilowanego. Jego choroba wydała owoce. Mój brat przekształcił się w wytwór wyobraźni jakiegoś szarego kapelusza. Kamuflaż wsączył się w jego ciało, stając się osobną istotą, tożsamością. W tym stroju, przebraniu, wcieleniu był zarazem wolny i szybki. Zwinny i ślamazarny. Tworzył ze swojego ciała potoki, „pyłowa materia” jego lewej ręki lśniła fioletowo, wysadzana kapeluszami tysięcy małych grzybów. Jego wyciągnięta ręka przypominała strużkę, wąski strumień kończący się bezkształtną kałużą ciała. Pasma drugiej ręki jednoczyły się, łączyły, rozplatały i ponownie scalały.

Im mniej powiem o jego ciele, tym lepiej. (Z pewnością nie był to mój najlepszy dzień). Nie pozostało w nim nic z Duncana, poza oczami i kpiarskim uśmiechem jak płynne złoto przecięte żyłą granitu.

- Co się stanie, kiedy zaczniesz penetrować mój mózg? - odezwał się Duncan, chociaż nic nie powiedziałam. - Nie wiem. Może już nie będę Duncanem. Może dowiem się wszystkiego o szarych kapeluszach.

Nie czułam już strachu. Zaskoczyło mnie to, ale naprawdę się nie bałam. Nie przerażał mnie. Był moim bratem, niezależnie od wszystkiego. Przyzwyczyłam się. Już tamtego dnia, gdy po raz pierwszy wtoczył się do mojego mieszkania, pokryty grzybami, wiedziałam, że kiedyś do tego dojdzie. (Nie bałaś się? Może dlatego, że to nie Ciebie dotyczyło. Ja byłam jednocześnie zafascynowana i przerażona).

Sięgnęłam ku połyskującemu i kipiącemu splotowi jego ręki i lekko go dotknęłam.

- Opowiedz mi, co się stało - poprosiłam.

- Oboje byliśmy pijani - odrzekł.

- Kto?

- Mary i ja - wykrztusił.

- Gdzie?

- Na otwarciu galerii. Dziś po południu. Tak się złożyło, że oboje się tam pojawiliśmy. Wcześniej wypiliśmy trochę wina i chyba dlatego mnie nie zignorowała. Wydawało się, że jest w dobrym nastroju. Właśnie skończyła pracę nad nową książką. Chciała o tym porozmawiać. Nie miałem nic przeciwko. Było coś wyjątkowego w nas obojgu i w tym dniu, dzięki czemu to stało się możliwe. Wszystko, co wydarzyło się wcześniej, należało do zamierzchłej przeszłości.

Nie wierzyłam mu. Spotkali się przez przypadek? Tak się złożyło, że pojawili się na otwarciu tej samej galerii? Mało prawdopodobne, znając Duncana. Ale odpuściłam. (To prawda. Masz rację. Zaplanowałem to ze szczegółami. Ostatnia szansa. Chciałem jej wszystko pokazać - wszystko, korzeń po korzeniu, jaskinia po jaskini).

- Czy... czy wyglądałeś tak jak teraz? - spytałam.

Duncan się skrzywił.

- Nie. Kontrolowałem to. Utrzymywałem w środku. Niczego nie zobaczyła. Wyglądałem pewnie na trochę tęższego niż podczas naszego poprzedniego spotkania, z powodu tego, co w sobie dusiłem. Ale to wszystko.

- Co się stało?

Spojrzał na mnie, a jego zmarszczona brew wystarczyła mi za odpowiedź, jeszcze zanim się odezwał.

- Wyszliśmy na dwór. Zacząłem opowiadać o swoich teoriach. W kieszeni miałem okulary. Jak już mówiłem, oboje byliśmy lekko pijani. Przywołaliśmy kilka miłych wspomnień z Akademii. Rozbawiłem ją. Teraz myślę, że po prostu mi współczuła, ale wtedy wydawało mi się, że w jej twarzy i ruchach dostrzegam pragnienie, byśmy znów zostali przyjaciółmi. I nie mogłem się powstrzymać. Po prostu nie mogłem. Wyjąłem okulary. Poprosiłem, by je włożyła. Zachichotała i spytała: „Co to?”, po czym wsunęła je na nos. Wyglądała w nich pięknie. Nie potrafiłem tego znieść. Chyba początkowo myślała, że to kalejdoskop albo jakaś imprezowa sztuczka. Roześmiała się zachwycona. Pozwoliła, żebym wziął ją za rękę i poprowadził ulicą. A jednak...

- Co? - spytałam.

- A jednak w jakiś sposób odgadła, na co patrzy. Zobaczyła coś, co ją przestraszyło, tak bardzo, że się wściekła. Rzuciła okulary na ulicę. Zaczęła mnie przeklinać. Myślę, że by mnie uderzyła, gdybym się nie odsunął. Przez jakiś czas szedłem za nią, żeby się upewnić, że bezpiecznie wróci do galerii. I to wszystko. Zostawiłem ją i przyszedłem tutaj. Potem posłałem swoje okulary, by cię odnalazły.

- To wszystko - powtórzyłam. Po chwili dodałam: - Czego się spodziewałeś?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Chyba sądziłem, że wreszcie zobaczy to samo, co ja, a wtedy uda mi się wszystko naprawić.

Zamiast tego, pod wpływem jej strachu i własnej rozpacz, w końcu zdał sobie sprawę, że już zawsze będzie sam i nigdy nie zakosztuje luksusu normalnego życia.

Skrzywił się, widząc moją minę.

- Janice! Wcale nie uważałem, że będzie tak jak wcześniej, ale przynajmniej przekonałaby się, że nie jestem wariatem, kłamcą, szaleńcem. Przynajmniej zrozumiałaby, że... długo pracowałem nad tymi okularami, żeby mogła tego doświadczyć. (Dziesięć lat. Ich zbudowanie wymagało dziesięciu lat badań. A kiedy skończyłem, nikt nie chciał przez nie patrzeć, poza Tobą, Janice, ale Ty już wcześniej mi wierzyłaś).

- Naprawdę myślałeś, że to się może dobrze skończyć?

Smutne spojrzenie, którym mnie obdarzył, nie pozwalało mi go osądzać.

- Czy wiesz, od jak dawna ją chronię, dbam o nią?

Zacząłam się zastanawiać, czy szaleństwo Duncana nie objawia się właśnie niezdolnością do zapomnienia o Mary, a nie ekstrawaganckimi obsesjami. (Musiałem spróbować. Musiałem podjąć wysiłek. Nawet jeśli wiedziałem, że to bezcelowe, gdy tylko wszedłem do galerii).

- Tak czy inaczej, to już koniec - rzekł. - Raczej nie zostanę długo w Ambergris, przynajmniej nie na powierzchni.

- Wybierasz się na kolejną wyprawę? - spytałam.

- To nie będzie wyprawa. Nie byłbym pierwszy. Są tam też inni. W mroku, gdzie odrzucają fałszywe światło, jak lubił mawiać Bonmot. To jest wybór. Wszyscy go mamy. Dlatego chyba ponownie się tam wybiorę.

- Na zawsze? - Byłam bliska wpadnięcia w panikę, choć początkowo nie miała ona podstaw.

- Prawdopodobnie tak. Niewiele mi pozostało na powierzchni.

Właśnie wtedy zrozumiałam, drodzy Czytelnicy, że mnie także niewiele tutaj pozostało. Czy do końca swoich dni mam pracować jako przewodniczka, skazana na opowiadanie o historycznych miejscach, które zawsze będą się dla mnie wiązały z osobistymi sukcesami i porażkami? Cóż to za życie? Czy skończę jak matka? Może kiedyś znów spróbuję się zabić, gdy samotność stanie się nie do zniesienia. A może poddam się nurtowi i każdego dnia będę wykonywała te same rutynowe czynności, wpadnę w powtórzenia, które maskują prawdę. Czasami się zastanawiam: „Czy Duncanowi się udało? Czy odnalazł ostateczną prawdę? Czy znalazł ostateczne szczęście? Czy to by się sprawdziło w moim przypadku?”.

Być może dla was wygląda to jak kapitulacja, ale w tej chwili czuję, że to sprzeciw.

- Powinnaś do mnie dołączyć - powiedział Duncan. - Przenieśli Maszynę. Muszę ją znaleźć, zanim wyprowadzą ją na powierzchnię. Bo kiedy już to zrobią, przyjdą razem z nią. -

Roześmiał się, choć zabrzmiało to prawie jak skowyt, jakby coś go ukąsiło. - A więc tak naprawdę nie ma znaczenia, gdzie będziemy: na ziemi czy pod ziemią. Żadnego znaczenia.

- Przyjdą na powierzchnię?

- Maszyna to drzwi. Ale zaburzenie jej pracy nie dotyczyło samych drzwi. Chodziło o jej lokalizację. Muszą ją przetransportować na powierzchnię. Muszą ponownie opanować miasto. Aby skorzystać z drzwi i wrócić tam, skąd przyszli. Zbadałem je. Zbliżyłem się do nich. Mogą mnie zabrać do nowego miejsca.

Jak napisał w swoim dzienniku:

„Jej powierzchnię mącą widma obrazów, jakby raz za razem bezmyślnie ścieranych nieostrożną dłonią drobiazgowego i niecierpliwego artysty. Olbrzymia smagana wiatrem pustynia, ospała ciężarem swych wydm. Niezmacony ocean, którego powierzchnię zakłócają jedynie cienie wiszących nad nim chmur, a woda ma tak doskonały turkusowy odcień, że aż rani oczy. Górskie pasmo o zachodzie słońca, którego masywy podpierają odległe, leżące w ruinie wieże. Obrazy te za każdym razem migotliwie dochodzą do doskonałości, by po chwili wycofać się w niepamięć. Miejsca, których - o ile tylko istnieją na świecie - nigdy nie widziałeś, nigdy też nie słyszałeś o ich istnieniu. Nigdy”.

- To wymagało ode mnie ogromnej pracy detektywistycznej, Janice - powiedział. - Musiałem długo i cierpliwie czekać. Musiałem pozwolić, by grzyby pożarły mnie żywcem. Drzwi się otwierają. Szare kapelusze są prawie gotowe. Na niebie pojawi się zielone światło i spomiędzy wież powstanie inny świat. Coś, co Tonsure napisał w swoim dzienniku - coś o fortecy w Zamilonie - skierowało mnie na właściwy trop. Dlaczego więc nie miałbym nim podążyć? Na co miałbym czekać? Niezależnie od tego, dokąd mnie zaprowadzi.

To właśnie wtedy, pomimo wszystkiego, co widziałam i wiedziałam, przez chwilę zaświtało mi w głowie, że mój brat rzeczywiście oszalał, Mary ma rację, a wszystko, co mi kiedykolwiek mówił, jest kłamstwem; że jest bardziej szalony niż kiedykolwiek był Lacond; że Mary, tak jak napisała do przyjaciółki, uciekała przed wariatem; że moje życie popychały do przodu raporty ze szpitala dla obłąkanych, którym był mózg Duncana Shrieka. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że czytelnicy tej relacji mogli dojść do takiego wniosku już wiele stron wcześniej.

- Jesteś pewien? - spytałam. - Naprawdę jesteś pewien?

Duncan był przesiąknięty dziesięcioleciami alternatywnej historii, dyskutował o swoich teoriach ze zmarłymi za pośrednictwem ich książek, a także z żywymi, a jakże, lecz głównie ze zbieraniną wariatów i ekscentryków, przy których członkowie Kultu Fuszerek Pana sprawiają pospolite wrażenie. Wyhodował skórę grubą jak u olifanta. (Mimo wszystko dociera do mnie, że tak naprawdę nigdy nie chciałem zostać historykiem, a co dopiero dziennikarzem. Zawsze chciałem tworzyć historię, nawet jeśli nikt nie miał się dowiedzieć, jak dużą jej część pomogłem stworzyć).

Jednakże gdy to powiedziałam, ujrzałam w jego spojrzeniu nagłą i niespodziewaną urazę. Czyżbym wątpiła w jego słowa? Czy zamierzam go zdradzić?

- Tak, jestem pewien - odparł.

- To mi wystarczy - odpowiedziałam z uśmiechem.

Gdy wstał, by chwycić mnie w grzybowe objęcia, pozwoliłam mu na to i odwzajemniłam uścisk, próbując powstrzymać drzenie. (Ta chwila mnie uratowała. Gdybyś ty także przestała we mnie wierzyć, byłbym stracony).

Zabrałam okulary i wyszłam, nie wiedząc, że wkrótce wrócę.

Zanim Duncan zniknął, dostałam od niego ostatnią pocztówkę. Utknęła w pęknięciu w drewnie na moim progu, jak zbłąkany liść. Napisał na niej: „Już czas”. Tylko tyle: „Już czas”. Miał rację. Wszyscy, na których nam zależało, umarli bądź byli dla nas straceni. Po co zostawać na powierzchni?

Zmartwiona odwiedziłam jego mieszkanie, gdzie znalazłam częściowe potwierdzenie tego, że odszedł: uchylone drzwi, a w środku pustka, nie licząc dużej skrzyni. Gdy szłam przez olbrzymie pokoje, przypomniałam sobie coś jeszcze, co mu powiedziałam, gdy skończyliśmy rozmawiać o Maszynie.

- Nieważne, co robisz. Nieważne, jak dużo publikujesz. Nieważne, jak bardzo się zmieniasz, i tak umrzesz. Prawda?

Roześmiał się, patrząc na mnie nieswoimi oczami i pokazując zęby w uśmiechu.

- Być może istnieje jakiś sposób - odpowiedział, a wtedy po plecach przebiegł mi dreszcz i ogarnął mnie spokój, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałam.

Sybel i Bonmot stali obok jak duchy, spoglądając na puste mieszkanie. Chyba wszyscy zastanawialiśmy się, co jest w skrzyni.

Być może istnieje jakiś sposób. Od dawna rozmyślam o tych słowach Duncana. Zastanawiam się, co mógł sugerować, i chyba już wiem. Tylko nie mam pojęcia czy to prawda. Czy wierzę dostatecznie głęboko we wszystko, co mi pokazał?

Wróciłam myślą do jego opisu Maszyny i podziemi. Dla niego był to tylko kolejny aspekt jego wyprawy i obsesji, obojętne, dokąd go prowadziła. Mnie wydawało się drogą wyjścia, drzwiami, jak to opisywał Duncan, lub oknem otwartym na błękitne niebo. Jak wyglądało w oczach Tonsure'a? Czasami się nad tym zastanawiam. Czy on nadal może gdzieś tam być? Żywy?

16

Na chwilę się zdrzemnęłam. Nie mogłam się powstrzymać. Działalam na coraz szybszych obrotach i robiłam coraz mniej przerw.

Coś mi się przyśniło. W moim śnie pojawił się Edward. Nigdy nie opuściliśmy szpitala psychiatrycznego. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie na niewygodnych krzesłach, ubrani w identyczne kaftany bezpieczeństwa. Otaczały nas olbrzymie pomarańczowo-czerwono-czarne grzyby. Widok ich bursztynowych blaszek, które powoli oddychały ponad nami, z szelestem imitując zachowanie czujących istot, działał na mnie dziwnie uspokajająco.

- Dokąd odszedłeś? - spytałam.

- Pod ziemię - odpowiedział.

- Co tam znalazłeś?

- Akceptację, wieczne życie i grzyby - odrzekł, po czym się uśmiechnął. Był to uroczy uśmiech. Promieniował, obmywając całą twarz złocistym światłem.

- To wszystko? - dopytywałam się. - Było warto? Musiałeś z czegoś zrezygnować?

- Ze strachu. Ze świadomości. Z dotychczasowego życia.

- Jakie to uczucie?

- Pamiętasz te ćwiczenia na zaufanie, do których nas zmuszali? Kiedy musieliśmy przewracać się w objęcia innych, swobodnie upadając i ufając, że pozostali nas złapią?

- To coś podobnego?

- To coś podobnego. Tylko wyobraź sobie, że upadasz przez sto lat, zanim zostaniesz złapana, mając przed sobą czarne niebo pełne zimnych martwych gwiazd, a za sobą otchłań. (Wydaje mi się, że we śnie przyswoiłaś kilka linijek z mojego dziennika).

- Ty nie żyjesz - odparłam. To nie było oskarżenie.

- Pewnie tak - odpowiedział.

Wtedy już zrzuciliśmy kaftany bezpieczeństwa i staliśmy na opuszczonym nieciekawym dziedzińcu w całości połkniętym przez zakład. Na jego przeciwległym końcu znajdowało się dwanaście eleganckich szmaragdowych grzybów na długich nóżkach, których strzegły dwie okrągłe purchawki lśniące od lepkich spór w morskim kolorze. Całość stanowiła osobliwe odzwierciedlenie zakładowego obiektu do gry w kręgle na trawie.

- Przepraszam - powiedziałam, chociaż nie wiedziałam za co.

- W porządku, Janice.

Następnie odszedł alejką, stając się coraz mniejszy, aż w końcu zniknął w skupisku grzybów.

Czyż to nie dziwne? - pomyślałam we śnie. Czyż to nie dziwne? I nawet nie wiem, co to oznacza.

Kiedy się obudziłam, wydawało mi się, że widzę stojącego nade mną Sybela, ale się myliłam. Leżałam sama na swojej połówce w tym ponurym pokoju.

Tak wiele opuściłam, lecz teraz nie mam czasu, by się cofnąć i poukładać wszystko we właściwej kolejności. Nie zdążyłam dokładniej opisać swojego (krótkotrwałego) nawrócenia na truffidianizm, które nastąpiło pod skrzydłami Bonmota po moim niefortunnym wypadku. Nie rozpisywałam się o swoich dwóch poronieniach. Jak również o tym, że przez większość dorosłego życia byłam narkomanką. Że przez wiele lat potajemnie kochałam się w Sirinie i kilka razy przespaliśmy się ze sobą cztery albo pięć lat temu. Że - i jest mi z tego powodu niezmiernie przykro - to ja powiedziałam Bonmotowi o związku Duncana z Mary. (Podejrzywałam. Wtedy nie posiadałbym się z wściekłości; już nigdy bym się do ciebie nie odezwał. Ale teraz widzę, że coś innego zniszczyło nasz związek). Że ukradłam dziennik Duncana z jego mieszkania kilka miesięcy przed tym jak zszedł do podziemi, na długo przed zdobyciem skrzyni. (Również podejrzewałam, że to Ty). Że tunelem za moimi plecami stale coś wędruje. Że nie wszystko, co Wam powiedziałam, jest prawdą, jaką postrzegał Duncan. Że moja maszyna do pisania świeci tak jasno, że nie potrzebuję lampki do pisania. Że mam w kieszeni koszuli okulary Duncana, które czekają w uśpieniu, aż je włożę.

Nic z tego nie jest istotne w porównaniu z tym, czym mam czas się z wami podzielić, ponieważ sądzę, że wreszcie udało mi się sprawić, by Mary Sabon zobaczyła - naprawdę zobaczyła. To nie Duncan, ale ja tego dokonałam.

W jaki sposób? Łut szczęścia, Truff jeden wie, że mi się należał. Mniej więcej dwa miesiące przed ostatecznym zniknięciem Duncana oprowadzałam po mieście grupę nieznośnych snobów - takich, którzy kpią ze wszystkiego co szczerze i radują się fałszem; im coś mniej prawdziwe, tym dla nich lepiej. A jednak gdy ujrzałam ich w innym świetle, okazało się, że tylko udają snobów - jednym z nich był nowy agent Martina Lake'a, David Frond, a dwoma kolejnymi jego znajomi, którzy po raz pierwszy odwiedzili Ambergris. Był to prawdziwy cud. Kiedy David dowiedział się, kim jestem, popatrzył na mnie wzrokiem, który nie pozostawiał złudzeń, że uważał mnie za martwą. Z kolei ja czułam podekscytowanie z racji tego, że w ogóle zna moje nazwisko.

Chwilę porozmawialiśmy, po czym zaproponował mi pracę, która miała polegać na zebraniu artystów, starych przyjaciół Lake'a, i skłonieniu ich do wystawienia swoich prac podczas pokazu połączonego z przyjęciem z okazji pięćdziesiątych urodzin Martina. Przy odrobinie szczęścia miał mi zlecić także koordynowanie samego przyjęcia. Z pewnością była to lepsza oferta niż wszystko, co od dłuższego czasu miał mi do zaproponowania Sirin.

- To będzie prawdziwa parada duchów z przeszłości Martina - oznajmił z uśmiechem David.

Miała to być także parada duchów z mojej przeszłości i nie byłam pewna, czy mi się to podoba. Ale potrzebowałam pieniędzy, jeśli chciałam utrzymać mieszkanie. Branża wycieczkowa ostatnio podupadła.

Co zaś się tyczy zmarłych, duchów, skatalogowanych, ale nigdy nie branych pod uwagę przez żyjących, byli to ludzie, których znałam i którym wydawało się, że mnie znają. Każda oszołomiona twarz, którą namierzyłam, dzielnie walczyła o główną nagrodę w konkursie na najbardziej-zaskoczzonego-tym-że-Janice-żyje. Każda oszołomiona twarz mogła podbudować ego Lake'a, pokazywała bowiem, jaką miernotą stał się jej właściciel.

Większość stanowili ludzie, którzy przypadkiem okazywali się dziwnie nieobecni, gdy wpadałam w prawdziwe kłopoty. Podczas ceremonialnego przecięcia nadgarstków. Podczas finansowej zapaści galerii. Kiedy przebywałam w szpitalu, próbując się oswoić z pustą przestrzenią, w której kiedyś pięć palców hasało niczym zamknięte w chlewiku świnię w rui.

Chociaż miało to być przyjęcie dla moich kolegów (raczej pozorantów i kpiarzy), to z typowym dla siebie szczęściem odkrywałam tylko „znajomych”, „nie do końca przyjaciół”, a nawet zdeklarowanych wrogów. Większość moich kochanków zniknęła podczas wojny - przeżyli mnie, ale przeraziła ich jatka, której doświadczyli - w poszukiwaniu spokojniejszego życia w Stockton, Morrow albo Nicei. Bonmot i Sybel umarli, a Sirin - dzięki swojemu pisarstwu - osiągnął pozycję, która w pewnym sensie czyniła go niedostępnym. Sybel oczywiście towarzyszył mi podczas planowania przyjęcia; jak mogłabym je zaplanować bez niego?

Kiedy myślę o ludziach, których wtedy znałam, zdaję sobie sprawę, że każdy z nas miał tak prywatne, osobiste i bezpośrednie doświadczenia, że rozmowa o nich, nie wspominając o próbie przeżycia jakiegoś wspólnego katharsis, okazywała się bezcelowa - jak zjazd absolwentów Akademii Blythe'a, podczas którego spotkali się tylko obcy ludzie z różnych roczników. Używany żargon mógł się okazać podobny, ale oprócz niego była tylko bolesna próżnia. Na tym polegał główny cel Nowej Sztuki - wlanie całej empatii w pracę i

ograniczenie się do powierzchownych kontaktów z innymi ludźmi. Dziś zastanawiam się, czy którekolwiek z nas uznaje, że gra była warta świeczki.

A jednak, pomimo swoich zastrzeżeń - a wiercie mi, że miałam zastrzeżenia wobec wielu osób - zdołałam ekshumować wystarczająco liczną grupę dawno zapomnianych, uśpionych, zahibernowanych przyjaciół, wraz z ich zakurzonymi, zmagazynowanymi-nadzieściolecia dziełami sztuki, by zarobić na swoje wynagrodzenie i otrzymać zadanie organizacji przyjęcia.

Na czym polegały moje obowiązki podczas przyjęcia? Miałam zaganiać stado artystów i dbać o ich dobre samopoczucie. Trzymać się na drugim planie. Pomagałam także w zapraszaniu gości, w zamian za co otrzymałam nie tylko dodatkowe pieniądze, ale także obietnicę zatrudnienia w galerii - obietnicę, co do której byłam pewna, że nie zostanie dotrzymana, niezależnie od tego, co się wydarzy podczas przyjęcia. Już nie byłam wystarczająco szanowaną osobą, zresztą jakaś część mnie chyba nawet była z tego dumna.

Tego wieczoru na przyjęciu pojawiło się czterech artystów - gdyby było ich więcej, nie potrafiłabym nad nimi zapanować ani znieść ich ego. W końcu zbliżałam się do wieku, w którym nawet znacznie silniejsze kobiety odchodzą na wcześniejszą emeryturę i spędzają ją na jakiejś wycieczkowej barce lub łodzi mieszkalnej beztrosko płynącej z nurtem rzeki Moth. Poza tym martwiłam się o brata, nie byłam więc w najlepszym nastroju. Nie można powiedzieć, żebym zbyt przejmowała się przygotowaniami - ani gotowaniem, jak w dniach poprzedzających przyjęcie żartowaliśmy z kucharzem, sardonycznym mężczyzną w moim wieku, który podnosił mnie na duchu i przy więcej niż jednej okazji próbował podnieść moją bluzkę.

Lake postanowił, że przyjęcie odbędzie się w odnowionym i wyremontowanym Hotelu Hoegbottona. Wcześniej pełnił on rolę legendarnej kryjówki, głównie podczas Festiwalu, musiał więc zostać niemal doszczętnie rozebrany, by móc stać się „hotelem”. Takie atrakcje jak żelazne kraty w oknach pokoju gościnnego nie wysyłały właściwego sygnału. Podobnie jak „kryjówki do wczółgiwania” prowadzące do tuneli, które z kolei prowadziły do rzeki Moth. Nie, wszystko zostało rozebrane, jak gdyby szare kapelusze i Festiwal były czymś odległym - odległym zarówno w czasie, jak i przestrzeni, a także czymś niewiarygodnym, co wiąże się z pradawną historią i nie może zostać zweryfikowane nawet przez najbardziej lekkomyślnego badacza. Rodzajem głupawej plotki - straszną historią opowiadaną dzieciom na dobranoc przez nieoświeconych rodziców. (Winię za to takie innowacje jak telefon. Tego typu prozaiczne urządzenia utrudniają ludziom wiarę w drugą osobę, dopóki nie spojrzy im ona w oczy i nie spróbuje ich uderzyć).

W miejsce tych przestarzałych struktur pojawiły się szerokie schody z marmuru kupionego od Kalifa po absurdalnych cenach oraz duże szklane okna, którym podczas Festiwalu z pewnością nie oprze się żaden żul z deską w dłoni. Zamówiono zapachowe świece, pościel ręcznie szytą przez nielicznych członków szczepu Dogghów, którzy nie zostali wymordowani przez naszych przodków, oraz krzesła i stoły wykonane przez stolarzy z Północnych Wysp. Na każdym piętrze stał telefon na piedestale, wygodnie umiejscowiony w pobliżu schodów. Zapach świeżego kamienia, nowych mebli i czystej pościeli był tak nieambergriański, że gdy tylko weszłam do hotelu, wiedziałam, że nikt miejscowy tam nie przenocuje.

Przyjęcie miało się odbyć na parterze, w sali bankietowej i pomieszczeniach obok niej, natomiast na galerię i spotkanie artystów przeznaczono mniejszą salę na pierwszym piętrze.

Wieczór był spokojny, nie licząc utrzymującej się mżawki; nie było widać księżyca, ale latarnie nadrabiały ten brak. W recepcji było czuć podmuchy wiatru, więc lekko marzłam, czekając, aż pojawią się Cztery Duchy z Przeszłości Lake'a.

Stałam w progu, pałac Ekskluzywne Cygaro Fantastycznego Teda i sącząc kieliszek taniego czerwonego wina z kuchennych zapasów. Miałam zamiar od samego początku dogadzać sobie i cieszyć się tym wieczorem. Jeśli wszystko pójdzie odrażająco źle, przynajmniej zachowam miłe wspomnienia.

Patrzyłam na noc sunącą Bulwarem Albumuth. Później okazało się, że była to dla mnie jedna z ostatnich okazji, by się odprężyć i po prostu obserwować. A jednak ogarnęło mnie osobliwe pobudzenie. Widziałam wszystko niezwykle szczegółowo, w sposób, którego nie potrafię wyrazić słowami. Nie dlatego, że świat zwolnił, albo ja dostrzegałam w nim coś ukrytego, chociaż wiedziałam, że przed oczami mam więcej, niż jestem w stanie zobaczyć - przypominały mi o tym okulary w kieszeni. Raczej chodziło o to, że wreszcie mogę zatrzymać na czymś wzrok. Wpatrywać się niemal pożądliwie w drobny refleks światła w rysztołu wywołany przez przejeżdżający z hukiem pojazd mechaniczny. Jakbym koniecznie musiała zobaczyć, w jaki sposób uliczny sprzedawca przekrzywia głowę, trajkocząc o swoich towarach. Cicha synkopa rozmów chwytanym jednym uchem i zamierających, gdy mijali mnie ludzie. Latarnia naprzeciwko hotelu, oświetlająca fasadę zamkniętego banku. Krótki i niski krzyk nocnego jastrzębia krążącego gdzieś w górze. Dotyk ulicy wyczuwalny przez buty. Szorstka powierzchnia futryny, o którą opierałam się ramieniem. Rozkoszny drżący przyływ aromatu cygara i cierpka delikatność wina.

Chyba już wtedy wiedziałam, że nie będę się długo cieszyła takimi widokami.

Czterej Artyści przybyli punktualnie - dwaj staroświeckim powozem, trzeci wynajętym pojazdem mechanicznym, a czwarty pieszo. Ich nazwiska brzmiały: Sonter, Kinsky, Raffe i Constance - barwna zbieranina rozwydrzonych twórców, z których żaden nigdy nie wspiał się choćby na niewielki szczyt publicznego uznania, nie licząc dawnego dobroczynnego wpływu, jaki wywierał na nich Lake.

Sonter był stary i trzeszczący, niczym wąska, wyschnięta, źle uszczelniona łódź - być może na progu śmierci w odmętach. Dziesięć lat spędzone na wyspie na środku rzeki Moth zdecydowanie mu się nie przysłużyło. Kinsky się rozrósł i sprawiał wrażenie pokonanego, lecz dzielnego. Charakteryzowało go ożywienie, którego brakowało pozostałej trójce i którym nadrabiał sine kręgi pod oczami. Constance cały czas wyglądał na wściekłego. Tylko Raffe, choć się postarzał - zaszokowana zdałam sobie sprawę, że zapewne jest w moim wieku - sprawiał wrażenie choć trochę pogodnego i pogodzonego z Losem.

Powitałam ich. Byli grzeczni. Tylko tego od nich oczekiwałam.

- Wyglądasz na zmęczoną - odezwał się Raffe. - Możemy ci jakoś pomóc?

Nie wiem dlaczego ten komentarz sprawił, że zachciało mi się płakać.

Zaprowadziłam ich na górę do tymczasowej galerii - sali, która pierwotnie pełniła rolę baru. Oświetlenie było fatalne, a z powodu niekompetentnego pomocnika nie udało mi się porozwieszać obrazów tak, jak chciałam, ale przynajmniej zebrał się już tłumek gości. Nie pamiętam swojej mowy powitalnej, wiem tylko, że przez chwilę gardło ścisnęły mi emocje przypominające sympatię dla osób, które przedstawiałam. W końcu ocaleli z rzezi, tak jak ja. Byli także artystami, a przez dwadzieścia lat życia zajmowałam się wyłącznie przedstawianiem artystów. Czyżbym tęskniła za utraconą galerią? Oczywiście, ale dziś na każdym kroku ogarnia mnie żal - do tego stopnia, że zaczynam się zastanawiać, czy to na pewno kwestia wspomnień, czy może coś się popsuło w moim sercu.

Poza tym tego nie da się uniknąć. Bonmot kiedyś mi powiedział: „Jeśli nie ogarnia cię smutek, gdy myślisz o przeszłości, to zapewne jej nie rozumiesz”.

Po moim przedstawieniu i krótkich przemowach artystów, pełna uwielbienia choć nieliczna publiczność obiegła Zapomnianych. Sonter jakimś cudem uniknął zmiążdżenia i podszedł do mnie.

- Słyszałem, że będzie dziś tutaj Mary Sabon - powiedział. - Czy to prawda?

- Nie wiem - odparłam. - Nie widziałam jej na liście gości.

To był mój jedyny małosłowny triumf - dzięki pewnej sztuczce udało mi się sprawić, że Mary Sabon nie została zaproszona na przyjęcie Martina Lake'a. Do wspomnianej sztuczki

wykorzystałam niewysłane zaproszenie i rysztoł prowadzący w podziemne głębie. Możliwe, że gdy piszę te słowa, gdzieś na dole jakiś szary kapelusz kurczowo ściska to zaproszenie. Być może to jego najcenniejszy skarb.

Dlatego mam nadzieję, że zrozumiecie, iż moje późniejsze działania były spontaniczne, może nawet nieplanowane. Nie poszłam na przyjęcie po to - jak po fakcie szeptali niektórzy - by dążyć do konfrontacji z Mary. Robiłam wszystko co w mojej mocy, by jej tam w ogóle nie było. (Wierzę Ci).

Sonter otworzył usta, by zadać mi kolejne pytanie, ale zatkałam go celnie wymierzoną przekąską podaną w miseczce na wydłużonej nóżce, którą chwyciłam z tacy przechodzącego kelnera, ze zręcznością, jaka niemal mi się nie zdarza. Sonter od razu się odwrócił.

Być może skłonił go do tego wyraz mojej twarzy. Być może nie miało to nic wspólnego z przekąską. Na Waszym miejscu bym tego nie wykluczała.

Przez kolejne dwie godziny zajmowałam się artystami, objaśniając ich obrazy tym, którzy tego potrzebowali. To była ciężka praca. Część z malowideł wpisywała się w nurt niejasnego symbolizmu, który zazwyczaj albo wprowadza mnie w zakłopotanie, albo rozbudza moją pomysłowość. Na szczęście, potężne określenia rodem z odległej przeszłości powróciły do mnie z otchłani pamięci.

- Intensywne wykorzystanie koloru.
- Odważne zastosowanie techniki olejnej.
- Kompozycja podkreśla twarz, dając subtelny symboliczny efekt.

Przyznaję, że ta część pracy sprawiała mi przyjemność. Dawała poczucie wolności. Przez krótką chwilę, gdy wskazywałam szczegóły błękitnej sylwetki drozda, która niespodziewanie pojawiała się wśród monotonnych szmaragdowych zarośli na dole jednego z obrazów Raffe'a, mogłam udawać, że Lake nadal jest moim klientem, a moja galeria stanowi centrum Nowej Sztuki. Nawet skrzyżowałam spojrzenia z jednym z moich byłych kochanków, a on uśmiechnął się do mnie z drugiego końca sali. Można powiedzieć, że byłam szczęśliwa.

Potem oddelegowano mnie do pomocy na parterze, w sali bankietowej. Jadłospis według pomysłu Davida Fronda składał się ze słowicznych jęczyczków i żabich udek, kawioru i ciasta cytrynowego, zupy z kałamarnic i nerek olifanta. Był to dość ambitny wybór potraw, godny samego otyłego smakosza, Manzikerta III. Z łatwością potrafiłam sobie wyobrazić inny czas i miejsce, w których takie przyjęcie zorganizowanoby dla Duncana, gdyby tylko szczęście było po naszej stronie. Alternatywny ciąg zdarzeń, w którym weszliśmy na szczyt i

na nim pozostaliśmy, zamiast przegrać z czasem i naszymi wrogami. (Czy tak by było dużo lepiej, Janice?).

Nie nadawałam się do takiej pracy, kuśtykałam więc tam i z powrotem obok ekstrawagancko ubranych gości brykających po parkiecie - na wpół myśliwy, na wpół wypłoszony królik - zabawiając notabli uprzejmą rozmową o pogodzie - wtedy na dworze już głośno bębnił deszcz - lub historii żłobkowanych łuków w holu, które Hoegbottonowie ukradli z jakiejś ruiny na południu.

Niektóre z osób, z którymi rozmawiałam, odwiedzały moją galerię jako dzieci lub młodzi dorośli, ale żadna z nich mnie nie pamiętała. Potomkowie handlowego imperium Hoegbottonów, urzędnicy z zagranicznych miast, nawet nerwowy wysłannik Frankwrithe'a i Lewdena (prawdopodobnie zakładnik). Nie wiem dlaczego musiałam im towarzyszyć i mało mnie to obchodziło. (Agent Lake'a zapewne się bał, że się upiją i wywołają awanturę).

Potem nastąpiła chwila odpoczynku dla staruszki, gdy mogłam po prostu postać sobie w galerii na piętrze, uśmiechając się do mecenasów sztuki, którzy przemykali obok mnie z drinkami w dłoni. Wszyscy artyści przyłączyli się do zabawy na parterze, a ja cieszyłam się z chwili wytchnienia.

Przyjęcie dotarło do tego nieznanego mi etapu, w którym - w odróżnieniu od innych imprez, w jakich uczestniczyłam - zaczęłam patrzeć na nie z zewnątrz. Byłam zdystansowana i bardzo zmęczona, z żalem przypominałam sobie cygaro, które musiałam porzucić, gdy pojawili się artyści. Myślałam o zniknięciu mojego brata i czułam się bezsilna.

Muszę przyznać, że tego rodzaju przyjęcie oraz rola, jaką podczas niego odgrywałam, zapewniały mi idealną anonimowość. Zachowując milczenie, mogłam udawać, że jestem niewidzialna, a zarazem wszechmocna. Rozmowy mieszały się w taki sposób, że nie słyszałam żadnych słów, jedynie rodzaj wirującego brzęczenia, bełkotu albo crescendo - a wtedy, jeśli uważnie się wsłuchałam, potrafiłam wychwycić pojedyncze słowa i zwroty, które jednak nie miały sensu. Duncan znajdował się już wtedy setki stóp pode mną, brnąc w stronę sedna tajemnicy. Wiedziałam, że tak musi być. Nie było go już przy mnie (choć byłam bliżej niż myślisz) i wydawało mi się, że już nie wróci.

Myślałam także o tym, że można uciszyć to brzęczenie, bełkot, crescendo - uciszyć je za pomocą jednego oskarżenia, krzyku albo wrzasku.

Mogłabym trwać w tym transie bez końca, ciesząc się melancholijnym zadowoleniem, gdybym nie usłyszała, jak ktoś, chyba Sonter, mówi, przechodząc obok drzwi:

- Przyszła Mary Sabon.

Znów skupiłam się na przyjęciu.

Sabon? Tutaj? Przecież nie została zaproszona...

Przyjrzałam się rzędącemu tłumowi w galerii. Ani śladu Mary. Pewnie jest na dole. Nie wiem dlaczego od razu zapragnęłam ją dopaść, ale wstałam, przepchnęłam się przez pijaną cizbę i uciekłam na marmurowe schody.

Na dole schodów, otoczona lśniącym naszyjnikiem ciał, który obecnie stale jej towarzyszył, stała Mary Sabon. Moje wysiłki, by zapobiec jej przyjściu, okazały się daremne. Była jak widmo, które objawiło się w cielesnej postaci i makijażu. Nic sobie nie robiła z prób powstrzymania jej. Była ponad to.

Nie widziałam jej od lat, nie licząc zdjęć w gazetach i ziarnistych wizerunków na obwolutach, „wyglądała młodziej niż powinna, jej skóra i włosy lśniły, jakby karmiła się ciepłem i światłem wirującego wokół niej naszyjnika wielbicieli. Rzeczywiście, prawie jej nie widziałam, ponieważ naszyjnik ją zasłaniał. Ale cóż za wytworność. Jaka skorupa różu. Jaka hipokryzja. Oto opowiada swojemu naszyjnikowi ciał kolejne historie, zniewalając je swoim wdziękiem, by zapomniały o tym, przed czym przez wiele lat przestrzegały ich wojna oraz Duncan.

Nie mogłam jej przepędzić, więc postanowiłam ją ukarać. (Mogłaś wyjść z przyjęcia. Czy to było takie trudne?).

Przyznaję, że byłam powolnym prześladowcą; każdy mógłby uniknąć spotkania ze mną, gdyby tylko dostrzegł mnie ponad głowami osób, które stały mi na drodze. Dotarcie do ostatniego stopnia zajęło mi wieki, głównie przez laskę i drewnianą stopę. Co zrobię, gdy do niej dotrę? Co powiem? Być może, pomyślałam w przypływie paniki, powinnam zdjąć protezę, rzucić nią w Sabon i wycofać się do galerii. Ale to był absurdalny pomysł, a Mary jeszcze mnie nie zauważyła. Zbyt ją pochłaniało mówienie o sobie.

Gdy dotarłam do ostatniego stopnia, usłyszałam jej komentarz na temat Duncana.

- Duncan Shriek? Ten stary oszust? On nie jest istotą ludzką, lecz ciągle tylko zbacza i wykracza.

Przez chwilę się śmiałam, głównie pod wpływem zaskoczenia, ale także powodowana uczuciem do brata, ponieważ to była szczerą prawdą - tylko że ton Sabon nie pozostawiał wątpliwości, że nie wypowiada tych słów z sympatią.

Mary usłyszała mój śmiech, ponieważ nie pasował do reszty - był echem zbyt odległym od pierwotnego dźwięku. Rozejrzała się i zobaczyła mnie w chwili, gdy skończyłam kuśtykać w dół schodów, kpiąc z ich praktyczności. Gdyby mieli windę do transportu dań, zamiast tego mogłabym się spuścić na wciągarnie.

Zatem zesłam na sam dół. Marmur lśnił jak szkło; widziałam w nim odbicia swojej twarzy i twarzy innych gości. Tłum powoli rozdzielił się na osobne koraliki naszyjnika. Mrugały do mnie pustymi oczami, tworząc korytarz prowadzący do Sabon. Wszyscy byli zbyt słabo lub zbyt mocno uperfumowani. Zrzucali z siebie światło, przyjmując cień. Grupa prymitywnych marionetek występujących w komediowym przedstawieniu.

Podeszłam do Mary. Wciąż miała na głowie burzę rudych włosów, choć wołałam się nie domyślać, w jaki sposób broni się przed siwizną. Miała na sobie ciemnozieloną wieczorową suknię z brokatowymi ramiączkami. W jej spojrzeniu kryła się pogarda, a może tylko rezerwa.

Ignorując moją obecność - jak na swoją zgubę zwykła robić w dawnych latach - powtórzyła:

- Duncan ciągle tylko zbacza i wykracza. Zakładając, że wciąż żyje.

Gdy to powiedziała, zbliżyła się o krok, odwróciła i spojrzała wprost na mnie. Stałyśmy zaledwie stopę lub dwie od siebie.

Przez chwilę się w nią wpatrywałam. Pozwoliłam jej dostrzec jad w moim spojrzeniu. Potem pokuśtykałam do niej i ją spoliczkowałam. Mruknęła zaskoczona, bardziej pod wpływem oszołomienia niż bólu.

Nie była ode mnie dużo wyższa. Nie tak wysoka, jak się wydawała, gdy schodziłam po schodach. I nie tak młoda, za jaką ją miałam. Na dłoni pozostały mi ślady makijażu.

Ślad po uderzeniu zapłonął czerwienią jak jej włosy, a od strony naszyjnika ciało dobiegło spłoszone westchnienie. Czerwień rozświetliła jej twarz, sprawiając, że ponownie pojawił się na niej wyraz szczerości. Rozprzestrzeniła się po policzku, spłynęła po szyi, zawirowała między piersiami i znikła pod suknią. Jeśli jest na świecie sprawiedliwość, ten ślad już nigdy nie zniknie z jej skóry, lecz pozostanie jako pulsująca pamiątka tego, że kiedyś skrzywdziła kogoś tak bardzo, że tym samym sprawiła cierpienie samej sobie.

- Kiedyś - odezwałam się - nikt nie znał twojego imienia. Pewnego dnia ponownie zostanie zapomniane.

Szeroko otwarte usta, nieme zaskoczenie, krok w tył, dłoń uniesiona do policzka, strach w oczach, gdy ujrzała samą siebie jako pył. W tym tygodniu moje uderzenie rozbudzi tysiąc języków w tuzinie kawiarni, aż w końcu nawet przemykające po niebie jaskółki, które tak kochają nasze miasto, zaczną powtarzać tę opowieść w swej nieustającej pieśni uwodzącej owady.

Na korzyść Mary przemawia fakt, że odprawiła strażników. Odpędziła nadciągające koraliki swojego naszyjnika ciała. Wycofali się, promieniejąc i mamrocząc coś pod nosem.

- Czego tak naprawdę chcesz, Janice? - rzekła z uśmiechem. Chciałabyś odzyskać dawne czasy? Znow odnosić sukcesy? Wolałabyś nie być reliktem przeszłości z tak marnymi perspektywami, że musisz pomagać przy organizacji przyjęcia dla artysty, który kiedyś zatrudniał cię jako agentkę?

Nie miałam jej nic do powiedzenia.

Zamiast tego obejrzałam się na zgromadzonych pochlebców i cmokierów, neofitów i desperatów, upewniając się, że na nas patrzą. Następnie wyjęłam okulary z kieszeni i rzuciłam je w stronę twarzy Mary. Aż do ostatniej chwili nie wiedziałam, że to zrobię, a wtedy już było za późno na zmianę zamiarów.

Okulary rozłożyły się w locie niczym pająk-akrobata i idealnie dopasowały do jej twarzy; zauszki wślizgły się na miejsce, mostek osiadł na nosie.

Mary wpatrywała się we mnie, gdy łuski soczewek wypełniły się tą niesamowitą czernią - gdy widziałam już tylko górną połowę jej źrenic, zaczęła krzyczeć; jej krzyk, im dłużej trwał, tym stawał się głębszy i bardziej rozpaczliwy. Zupełnie jakby zapomniała, że może zamknąć oczy. Wystarczyło zamknąć oczy i po jakimś czasie zaczęłam liczyć na to, że wreszcie to zrobi.

Zatoczyła się, złapała równowagę, dwukrotnie zamrugła, przestała krzyczeć - ale nie: nadal krzyczała, tyle że bezgłośnie. Wygląd jej twarzy świadczył o zaburzonej integralności ust, oczu, czoła i kości policzkowych. Na moich oczach zupełnie się rozsypała, patrząc przez okulary.

Upadła na kolana, szarpiąc się z okularami, ale te nie chciały zejść, a ona nadal nie potrafiła zamknąć oczu. Jej drogocenny naszyjnik ciał nie wiedział, co robić - był w rozterce, podchodził, cofał się, nie będąc w stanie pogodzić tego zachowania Sabon z jej poprzednim stanem.

Raffe i Sonter jako pierwsi otrząsnęli się z szoku i przepchnęli przez tłum, by pomóc Mary. Sabon miała rozchylone usta, jęczała i raz za razem powtarzała to samo słowo, które podejrzenie przypominało „Nie”. Raffe pocieszał Mary, podczas gdy Sonter próbował zedrzeć okulary z jej twarzy, ale one nadal nie chciały zejść.

W końcu, czując przyływ miłosierdzia, wystąpiłam naprzód i ściągnęłam okulary z twarzy Sabon; pomknęły po podłodze i zwinęły się w kulkę. Twarz Sabon obwisła i przez chwilę dostrzegłam w jej oczach iskierkę bólu - a może widmo wyrzutów sumienia? - która zaraz znikła. Jej źrenice uciekły do góry i zemdlą.

Naszyjnik ciał, który teraz dodawał swoje krzyki do narastającej kakofonii, rozdzielił się, by przepuścić Raffe'a i Sontera niosących Mary. Sonter mnie przeklinał. Nawet pozbawiona przytomności, twarz Mary wyrażała przerażenie i bezsilność.

Nikt nie chciał podnieść okularów, więc ja to zrobiłam. W końcu należały do mnie. Złożyłam je i schowałam z powrotem do kieszeni. Wciąż były ciepłe.

Drżałam i byłam wyczerpana; obserwowanie zmagania Mary pochłonęło całą moją energię. Nadal nie wiem, co mnie tak osłabiło, ulga czy przerażenie. Nadal nie wiem, czy to, co zrobiłam, było dobre czy złe.

Co zobaczyła Mary? Nie mam pojęcia. Przestałam nosić okulary ponad dwa tygodnie wcześniej. Uwolnione spod specjalistycznej kontroli Duncana, zaczęły działać jakoś dziwniej i silniej, jakby przebijały się przez warstwy rzeczywistości, których nie powinny oglądać nawet szare kapelusze. Cokolwiek zobaczyła, była to prawda - w jednej potężnej dawce.

Myślałam o tym, czy powinnam je ponownie włożyć - myślałam o tym bezustannie podczas pisania tej relacji. Czy udałoby mi się zobaczyć wszystko, aż do końca? Czy przeniknęłabym wzrokiem złote nitki, jeśli istnieją, i ujrzała coś całkowicie innego? A może po prostu zaczęłabym spadać?

Wiem jedno - od tamtej pory czasami miewam sen na jawie, w którym szukam Mary po tym, jak okulary spadają jej z twarzy. Znajduję ją płaczącą w korytarzu we wnętrzościach hotelu, siadam obok niej, przytulam ją i mówię: „Proszę, przebac mi”. Ale czasami w tym samym śnie na jawie mówię także: „Wybaczam ci, Mary. Wybaczam ci”.

17

Po przyjeździe kupiłam kilka gazet, lecz dowiedziałam się z nich jedynie, że „Sabon dochodzi do siebie po ataku wyczerpania”. Żadna nie wspomina o mojej roli w tym wydarzeniu. To wszystko, co wiem i chcę wiedzieć.

Myślę, że kiedy zostawiłam Mary, zatrzymałam się na skraju otchłani. Zatrzymałam się na skraju pewnego rodzaju Ciszy. Musiałam to wszystko spisać, spróbować uporządkować poza swoją głową. Wycisnąć truciznę.

Ale zrzuciłam już ostatnią skórę. Nie pozostała mi ani jedna. Nie mogę zacząć od nowa - robiłam to już zbyt wiele razy. Nie uwierzycie mi. Sama sobie nie uwierzę.

Może to wszystko tylko uniki i wymówki, a nie posłowie. Nie esej. Nie historia. Nie broszura. Tylko gładzenie staruszki. Może nie chcę myśleć o dziurze w ziemi za moimi plecami i o decyzji, którą muszę podjąć. Ale skoro tak, to przynajmniej dotarłam do końca. Opowiedziałam wam wszystko, co zamierzałam, a nawet więcej.

Gdy siedzę tutaj w zielonym świetle i przeglądam te strony, dostrzegam to, co widział Duncan, gdy pisał w tym pokoju - wąski skrawek obrazu, skromną wiedzę, którą zdobywamy, zanim znikniemy - i zdaję sobie sprawę, że moja relacja była sięgnięciem po omacku po prawdę, nieważne jak niepewną: krótkim błyskiem oświetlającym sylwetki martwych drzew. To historia mojego życia oraz życia mojego brata, opowieść o moim bracie i jego Mary. (Jak mogłaś zaprzęgnąć opowiedzieć taką historię beze mnie u swego boku, Janice?).

Jednakże w jakiś sposób udało mi się zachować z dala od tego wszystkiego i ukryć w głębi umysłu pojedynczą chwilę radości przed katastrofą: obraz mojego ojca biegnącego po nieznośnie zielonej trawie. Ale nie to, co wydarzyło się potem. Nie to, co stało się potem.

Pragnę takiej radości, takiego oświecenia, a przynajmniej szansy na jego osiągnięcie, nawet jeśli ma mnie to zabić. (Czy muszę powtórzyć Ci Twoje własne słowa? Wszyscy jesteśmy połączeni nitkami migoczącego światła. Ileż razy te słowa trzymały mnie przy życiu, sprawiały, że widziałem zbliżające się światło w niekończącej się ciemności. Jak Bonmot zwykł mawiać w swoich kazaniach: „Jesteśmy naczyniami na światło - popękkanymi naczyniami na rozproszone światło, ale jednak naczyniami”. Kawałkami rozsianymi w próżni. Czas Cię odnaleźć, Janice, i sprawdzić, w co się wpakowałaś).

Teraz już jesteście wolni, niezależnie od tego, co to było - postowie czy pokłosie. Uwalniam Was i pozwalam Wam wrócić do takiego życia, jakie wiedliście wcześniej. Jeśli potraficie.

Co zaś do mnie, to nadszedł czas, by porzucić nawet to słabe zielone światło dla ciemności. Odgrodziłam się od czekającej mnie decyzji tyloma słowami, iloma się dało, ale niepotrzebnie. Pomędzy słowami znajdują się przerwy, w które muszę wpaść, równie szerokie jak słowa i dwa razy bardziej zdradzieckie.

To tylko zmiana obiektu zainteresowania. Kolejny cel wędrówki. Nic więcej. Już się nie boję. Nie czuję lęku. Wszyscy nie żyją, zniknęli albo są rozczarowani. Pytam was, kogo jeszcze mam się bać? Oto czas, Gdy Już Umarł Tata. Gdy Już Umarła Mama. Oto całkowicie nowe miejsce.

Chyba nadeszła pora na ostatni spacer. Ostatnie spojrzenie na to szalone, piękne, brudne, smutne, wspaniałe miasto. Sybel, Bonmot, moja mama oraz reszta czekają tam na mnie w jakiejś postaci - szeptu niesionego podmuchem wiatru, szelestu gałęzi, cienia na ścianie. Może nawet znajdę czas na ostatni lunch pod wierzbami, trzymając okulary bezpiecznie schowane w kieszeni. Potem wrócę i zdecyduję, czy powinnam wybrać się na poszukiwanie Duncana, czy powinnam włożyć okulary i zmierzyć się z tym, co zobaczyła Mary.

„Nikt się nie wywinie”, powiedział kiedyś Samuel Tonsure.

A może jednak?

(KRÓTKIE) POSŁOWIE AUTORSTWA

SIRINA

Moja rola w tej historii jest złożona i niezręczna, ponieważ znam lub znałem wszystkich ludzi, o których Janice wspomina w swojej relacji, jak również samą Janice. Zawsze ją lubiłem, być może nawet bardziej niż powinienem, ale gdy wziąłem do ręki jej maszynopis, poczułem się podobnie jak kilka lat temu, gdy czytałem sześćsetstronicową wczesną historię autorstwa Duncana: przytłoczony, poirytowany, zmęczony, zaintrygowany i skonsternowany. Zawsze uważałem, że Janice ma dobre intencje, ale uprzedzenia i osobiste obsesje prowadzą ją do podejrzanych wniosków. Wiele z takich wniosków trafiło do posłowia, które pozostawiła, co tłumaczy, lub przynajmniej pomaga wytłumaczyć, działania, jakie podjąłem wobec tekstu. Mam nadzieję.

Znalazłem pierwotny tekst napisany na maszynie w pokoju na tyłach Spory Szarego Kapelusza. Udałem się tam w poszukiwaniu Janice, gdyż nie pojawiła się w pracy od ponad miesiąca. Jako że łączy nas długa historia współpracy, czułem się w obowiązku sprawdzić, czy nie stało się nic złego. Właściwie, biorąc pod uwagę historię naszej osobistej znajomości, kierowało mną coś więcej niż poczucie obowiązku - martwiłem się o nią.

Zważywszy na wydarzenia, które rozegrały się podczas przyjęcia Martina Lake'a - wydarzenia dokładnie opisane w relacji Janice - podejrzewałem, że może się „ukrywać”, dręczona wstydem lub zażenowaniem. Nie zdawałem sobie sprawy, że pisze niezwykle podburzającą, może nawet grożącą zaskarżeniem, opowieść o życiu swoim i swojego brata.

Kiedy znalazłem maszynopis, miał postać nieuporządkowanej sterty kartek leżących obok maszyny do pisania. Maszynę pokrywały zaschnięte zielone porosty lub grzyby; piaszczysta zielona substancja opanowała całą obudowę. Gdybym pojawił się choćby dzień później, ten sam los mógłby spotkać maszynopis.

Pobieżnie przejrzałem tekst - jednak na tyle dokładnie, by rozpoznać, kto go napisał, i zauważyć komentarze dodane przez Duncana, którego pismo i postawę zdążyłem poznać podczas naszej wieloletniej współpracy.

Za biurkiem, na podłodze obok ściany, kilka obluzowanych klepek częściowo zakrywało dziurę prowadzącą pod ziemię. Gdy tylko ją zobaczyłem, szybko wyszedłem, zatrzymując się tylko po to, by zabrać maszynopis.

Gdy wróciłem do swojego gabinetu i przeczytałem maszynopis, nie wiedziałem, co mam dalej robić. Choć liczne części tekstu traktujące o najnowszej historii Ambergris sprawiały wrażenie zgodnych z prawdą, przeplatały się z wręcz absurdalnymi oskarżeniami i twierdzeniami. Wiedziałem, że mogę nigdy się nie dowiedzieć, co jest prawdą, a co fałszem.

Nie byłem także w stanie potwierdzić jakichkolwiek informacji dotyczących rodziny Janice - mimo że w tekście wspomniano o rodzinnych dokumentach i dzienniku Duncana, nie znalazłem ich w Sporze Szarego Kapelusza. Co zaś najgorsze, maszynopis wyrządzał tak dużą krzywdę reputacji mojej pisarki Mary Sabon, że z czysto zawodowego punktu widzenia nie powinienem dopuścić do wydania go. Lecz przede wszystkim, niezależnie od wszelkich obaw, szczerze wierzyłem, że Duncan lub Janice lada chwila wejdą do mojego gabinetu, by odebrać maszynopis. Dlatego przetrzymywałem go przez kilka lat. Nie potrafiłem się zmusić do zniszczenia go. Nie chciałem także pozwolić, by ludzie zapoznali się z tą relacją.

Jednakże stopniowo stało się jasne, że Janice i Duncan zniknęli, być może na zawsze. Co dziwne, właściciel Spory przysięga, że Janice nie wychodziła z lokalu w dniu, w którym skończyła pisać swoją relację - po prostu zniknęła z pokoju, zapewne przez dziurę w podłodze. Właściciel twierdzi także, że nie widział Duncana w czasie, gdy ten najprawdopodobniej dodawał swoje komentarze do tekstu.

O tym, że Duncan zniknął kilka tygodni przed przyjęciem Martina Lake'a, świadczą tylko niepotwierdzone informacje zawarte w maszynopisie Janice. Jako że był bezrobotny w chwili swojego rzekomego zniknięcia, nikt, nawet członkowie TADRMM, nie zauważył jego nieobecności.

Jednakże prawdą jest, że nie widziano go w Ambergris od czasu dodania komentarzy do tekstu Janice. Czyli od prawie czterech lat.

Co do Janice, to niewiele wiadomo o miejscu jej pobytu. Według najnowszych plotek osoba pasująca do jej rysopisu wpadła (lub została wepchnięta - nigdy się nie dowiemy) pod pojazd mechaniczny w dniu, w którym Janice skończyła pisać swoją relację. Podobno na miejscu zdarzenia znaleziono drewnianą stopę, ale ciało było zbyt zmasakrowane, by umożliwić identyfikację.

Kiedy już stało się jasne, że Shriekowie nie wrócą, ponownie wydobyłem i przeczytałem maszynopis. W ciągu minionych trzech lat w mieście wydarzyło się wiele

dziwnych rzeczy, zatem nawet najbardziej osobliwe części relacji już nie wydawały się absurdalne. Pozostawała jednak kwestia sposobu, w jaki przedstawiono Mary. Postanowiłem, że pokażę jej ów tekst i pozwolę zdecydować o jego losie. Być może wygląda to tak, jakbym zrzekał się odpowiedzialności, ale czułem, że nie mam wyboru.

Ku mojemu zaskoczeniu, Mary stwierdziła, że Hoegbotton i Synowie koniecznie powinni opublikować relację Janice. Zdecydowanie przy tym obstawała i poleciła, żebym nie usuwał ani nie łagodził żadnych komentarzy na jej temat, nawet najbardziej nieprzychylnych. Potem ogarnęły ją silne emocje i odniosłem wrażenie, że żałuje, że nie pokazałem jej maszynopisu w dniu, w którym go znalazłem.

Spełniając życzenie Mary, dokonałem tylko nielicznych zmian redaktorskich, przygotowując relację Janice do wydania w formie książki. W niektórych miejscach wygładziłem tekst - na przykład poprawiłem błędy gramatyczne pojawiające się w częściach, które pisała w wyjątkowym pośpiechu. Poprawiłem także wszystkie literówki. Tam, gdzie Janice zamieszczała dwie odmienne wersje poszczególnych stron lub scen - co zdarzało się dosyć często - zawsze wybierałem tę bardziej dopracowaną. Oddzieliłem ręcznie dopisane poprawki Janice od komentarzy Duncana, umieszczając te drugie w nawiasach i usuwając wszystkie nawiasy z tekstu Janice, co wydało mi się najbardziej eleganckim rozwiązaniem potencjalnie uciążliwego problemu. W miejscach, w których Janice nadmiernie się rozpisywała lub całkowicie traciła z oczu temat, skracałem tekst, ale całość tych cięć ograniczyła się do pięciu lub sześciu akapitów. Możliwe, że w tej kwestii wykazałem się zbyt dużą zachowawczością - część opisów teorii Duncana sprawia nużące wrażenie - ale wolę monotonię od zarzutów o nadgorliwość w wypełnianiu redaktorskich obowiązków.

Usunąłem także końcowy komentarz Duncana do maszynopisu Janice, dopisany za ostatnim rozdziałem. Nie chciałem tego robić, ale, niestety, musiałem. Komentarz okazał się nieczytelny. Poprosiłem kilku grafologów o przeanalizowanie tego zdania, lecz żaden nie potrafił podać jego znaczenia. Jaka była najbardziej spójna interpretacja? „Zbieżność światła pomiędzy wieżami, a będąc tam we właściwym czasie skoczyłem naprzód”. Zamieszczam to zdanie, mimo że intuicja podpowiada mi, bym tego nie robił.

Moim jedynym dodatkiem do tekstu było uzupełnienie jednej lub dwóch scen, w których Janice nie podołała opisom, jednakże wyłącznie w przypadkach, gdy sam dysponowałem zawartymi w tekście informacjami.

Kolejną komplikację stanowiło skażenie kartek grzybem, jak również ich przypadkowe spiętrzenie na stole w Sporze. Na niektórych stronach słowa były ledwie czytelne, a wiele stron i części tekstu miało pomieszaną kolejność. Część z nich nie została

ponumerowana, więc trudno było je uporządkować. Staralem się kierować chronologią wydarzeń - choć Janice nie zawsze się jej trzymała - ale możliwe, że popełniłem kilka błędów.

Tak więc nie da się ukryć, że ingerowałem w maszynopis Janice, w sposób, który - niezależnie od tego, jak był nieznaczny - niektórzy mogą uznać za zbyt drastyczny. Pomimo krążących plotek nie jest prawdą, że „Posłowie do *Hoegbottońskiego przewodnika po wczesnej historii miasta Ambergris*” jest złożonym oszustwem mojego autorstwa. Maszynopis jest autentyczny (patrz: kopia przykładowej strony), ja zaś nie miałem nic wspólnego z napisaniem go. Nieprawdą jest także, że wydawnictwo Hoegbotton i Synowie publikuje go teraz wyłącznie w związku z nagłym wzrostem sprzedaży książek Duncana.*

Nie wątpię, że wydanie tej książki wywoła ostrą dyskusję o wartości natywizmu, dążeniach szarych kapeluszy i naturze Zmiany, która coraz bardziej zaburza życie w Ambergris. Po przeczytaniu jej niektórzy dojdą do wniosku, że oto lekceważone teorie Duncana znajdują dramatyczne potwierdzenie.

Właśnie z tego powodu, przygotowując maszynopis do druku, doświadczyłem nowych wątpliwości dotyczących jego upublicznienia. Żyjemy w bardzo nieprzewidywalnych czasach i nie chciałbym, aby ta książka stała się katalizatorem skrajnych postaw. Mam także nadzieję, że czytelnicy nie wyciągną pochopnych wniosków z lektury. Wiem, że w tych niepewnych dniach ludzie chwytają się wszystkiego, co wpada im w ręce, by zrozumieć dziwne wydarzenia, które czasami przytłaczają nas wszystkich. Żywię szczerą nadzieję, że ta książka nie popchnie nikogo w przepaść.

Co do obecnego miejsca pobytu Duncana i Janice, obawiam się najgorszego, chociaż plotki*, jak to plotki, nadal kwitną w otaczającej nas atmosferze paranoi i strachu.

* Część moich redaktorów sugerowała, abym dołączył do tego wydania nieokrojoną wersję „Wczesnej historii Ambergris” Duncana. Nie udało mi się jednak zdobyć tekstu, zwróciłem swój egzemplarz Janice i nie wiem, co z nim zrobiła. Poza tym, wydanie łączące maszynopis Janice z pełną wersją „Wczesnej historii” zawstydziłoby wielkością i wielomównością nawet opublikowany przez Hoegbottona w twardej oprawie zbiór siedemdziesięciu pięciu broszur turystycznych o Południowych wyspach.

* Na przykład nie ma żadnych dowodów na potwierdzenie rzekomych „pojawień się Duncana” w Zamilonie i Alfarze.

Część VIII

Nic nie było takie samo, gdy wróciłam.

||- Jest noc, gdy piszę te słowa, i panuje upał, a ja nie wiem, czy ta wysoka temperatura jest normalna, czy może wiąże się ze Zmianą. Coś wgrzyza się w drewno pomiędzy sufitem tego pomieszczenia a dachem. Ten odgłos żucia niemal mnie uspokaja. Przypomina mi o absurdalnych urządzeniach do Teś je pamiętam - ledwie. Przynależał taśma butelki po piwie do łapania myszy budowanych przez naszego ojca. Krawężnik kuchennego stołu. potem Ural trochę smalcu i smarował. Wolę go od dźwięków, które czasami dobiegają z dołu. Wolę nie myśleć, co nim sięgają butelki, wpychał o studek na butelki potocznie kumierzyckiego sera, tam się może dziać. Nie żartuję, to postawie jest, jedyną rzeczą, która chroni tak lub. F, pod spodem stał się dźwięk w którym było wystawienie chrodi mnie przed natłokiem myśli o teraźniejszości. Zielone światło dźwięk wady, by myśli nie ucieka się po dźwięku... a następnego ranka nigdy nie żutka, ale klientela owszem. Jest późno. Rozeszli się do domów. znalazł wyzerowanego gryzonia, wisi iguana, którego wady ugnieci na zostaliśmy tylko ja, lampka i maszyna do pisania, a także to, co wader. Szybko, bez ustrzeni, myśli szybko poruszała, gotowi na kolejną przegrza się przez sufit i porusza na dble. Mam gorączkę. Czuję, że noc spędziłam w busenie. Mama zawsze kaciła głowę, uśmiech stonania powinnam się położyć na łóżku polowym, które kazałam sobie tutaj ojca - chyba po prostu chciała kupić palanki na mgiecy i wieszcie mieć przynieść. Czuję, że powinnam odpocząć. Ale nie mogę. Muszę pisać dalej to głowę. Ale wszystkim jego ugnalaski, takie ugiły - unajdrewnia, Mam trochę grzybów, które zostawił Duncan, ale nie jestem pewna, czy które działały, choć były byt komplementowne, by działać. powinnam je zjeść, więc tego nie zrobię. Mogłyby mi pomóc ale także

Trafna decyzja! standardowa bzdura. Nieumie

zaszkodzić. Dlatego aby pozbyć się gorączki, będę pisała o aniegu. O wspaniałym, cudownym aniegu, który czekał na mnie w Ambergris. Może przy okazji ustana odgłosy żucia. Chyba że rozbrzniewają tylko w moim umyśle w takim wypadku mogą nigdy nie umilknąć.

Najumie dobre mogłyby znaleźć się prochu danielowego.

Wróciłam do Ambergris przemienionego przez anieg, z na wół tropikalnego miasta do ciała przykrytego białym całunem. Wszystkie ulice, alejki, dziedzińce, budynki, witryny sklepowe i pojazdy mechaniczne uległy tajemnicom aniegu. Biel nie pasuje do Ambergris. Jest kolorem poddaństwa, a Ambergris nie zwykło się poddawać. Nie mamy tego w naturze.

||- Początkowo miasto wydało mi się podobne do nudnego, statecznego Morrow, jednak pod anonimowym białym przykryciem leżało to samo stare

~~NIEISTOTNE!~~

Kopia przykładowej strony z maszynopisu Janice Shriek. Pomimo zastrzeżeń Duncana co do wagi opisu przemienionego Ambergris, nie usunąłem tej części tekstu, chociaż się tego domagał; nie usunąłem niczego, co padło ofiarą redakcji Duncana. Jednakże po dokładnym zastanowieniu wyrzuciłem pół tuzina osobliwych akapitów, które nie były w żaden wyraźny sposób powiązane z tekstem, uznałem bowiem, że dygresje te raczej odciągną uwagę od tekstu niż go wzbogacą. Uważny czytelnik zauważy, że powyższa strona zawiera jeden z takich usuniętych fragmentów.

A jednak, pomimo konfliktów i przemocy, które zrelacjonowano i przepowiedziano w niniejszym tomie, w mojej pamięci zachował się spokojny wizerunek Janice i Duncana. Co dziwne, jest to obraz Janice siedzącej w tym pokoju w Sporze, spokojnie piszącej na maszynie - widzianej z perspektywy klientów baru, w promieniu zielonego światła pomiędzy drzwiami a korytarzem, jak kiedyś postrzegano Duncana, lecz coraz odleglejszej, za zielonym szkłem i zieloną trawą, niknącej, gdy światło gaśnie ponownie.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej żonie Ann, mojej pierwszej czytelniczce, która od wielu lat służy mi cennymi komentarzami i wsparciem. Szczególne podziękowania kieruję do Petera Lavery'ego, Rebeki Saunders i pozostałych pracowników Pan Macmillan za liczne dowody życzliwości. Dziękuję także innym redaktorom „Shrieka”: Liz Gorinsky (USA), Hannesowi Riffelowi (Niemcy) i Sebastienowi Guillotowi (Francja), jak również niezłomnemu Jimowi Minzowi.

Dziękuję wszystkim, którzy przeczytali całość lub część tej książki w formie maszynopisu i podzielili się ze mną swoimi komentarzami, m.in. Mattowi Cheneyowi, Giare Dudman, Jasonowi Lundbergowi, Markowi Robertsowi, Ericowi Schallerowi, Annie Tambour, Jeffreyowi Thomasowi, Juliet Ulman, Elizabeth VanderMeer, Robertowi Wexlerowi, Neilowi Williamsonowi, Tamar Yellin i Zoranowi Zivkovicowi. Dziękuję wszystkim w ISD, którzy okazywali mi ogólne wsparcie bądź konkretną pomoc w kwestiach dotyczących niniejszej powieści, m.in. Gwen Hooper, Dianie Jones-Fllis, Paulowi Larsenowi, Missy Lynch, Meredith McDonough, Kimberley Mitchell, Leigh Moore, Richardowi Petersonowi, Leisie Pichard i Scottowi Strattonowi. Dziękuję Jonathanowi Edwardsowi i Markowi Robertsowi za cudowne fałszerstwa. Szczególne podziękowania kieruję do swojego agenta, Howarda Morhaima, za jego wskazówki, porady, cierpliwość i przyjaźń, Danny'ego Barora z Baror International za nieustające wskazówki i porady dotyczące obcojęzycznych rynków, oraz Claire Weaver za jej niezmordowaną postawę.

MUZYCZNE PODZIĘKOWANIA

Podczas tych siedmiu lat, które zajęło mi napisanie „Shrieka”, wspierała mnie muzyka - nieoficjalna ścieżka dźwiękowa, która pomagała mi utrzymać koncentrację.

Afghan Whigs - *Gentlemen* - związek Duncana i Mary

Aion - *Dead Can Dance* - ogólnie

In Flames - *Soundtrack to Your Escape* - sceny wojenne

James - cała dyskografia - ogólnie

Murder City Devils - cała dyskografia - ogólnie oraz sceny wojenne

Muse - cała dyskografia - scena w operze

The National - cała dyskografia - związek Duncana i Mary

Nick Cave - *The Boatman's Call* - smutniejsze chwile w związku Duncana i Mary

Pleasure Forever - kompilacja - rozpustne przyjęcia Janice i noc Festiwalu

Scott Walker - *Tilt* - podziemne przygody Duncana

Songs: Ohia - *Magnolia Electric Co.* - ogólnie

Spoon - cała dyskografia, wliczając *Gimme Fiction* - ogólnie oraz sceny wojenne

The Cure - *Mixed Up* - przejścia

The South - *Mystic Tides* - ogólnie

Thursday - *War All the Time* - sceny z korespondentami wojennymi

Szczególne podziękowania dla zespołu The Church. Podczas pisania „Shrieka” słuchałem wybranych utworów z ich wszystkich płyt.

Tallahasse, Floryda, maj 1998 - sierpień 2005